

OPIUM DLA LUDU W 10 ODSEŁONACH

RW2019



DO DIABLA Z
BOGIEM

**DO DIABŁA
Z BOGIEM**

**antologia
opowiadań fantastycznych
pod redakcją Dawida Juraszka**

Oficyna wydawnicza RW2010
Poznań 2014

Spis treści:

Grzegorz Piórkowski KISMET

Bartłomiej Dzik SMAK RAJU

Stanisław Truchan NIE MA MIEJSCA NA ZŁOTY WIEK

Hanna Fronczak ZA PIĘĆ DWUNASTA

Karolina Cisowska HUMANITARNA MINIMALIZACJA STRAT

Anna Dominiczak KOZETKA

Paweł Ciećwierz NA POHYBEL

Joanna Maciejewska WSZYSCY JESTEŚMY BOGAMI

Istvan Vizvary CZTERDZIESTE SIÓDME WCIELENIE BERNARDA V.

Dawid Juraszek POWRÓT SYNA

Grzegorz Piórkowski

KISMET

Wracasz do kraju, wydaje się, że wybiłeś ich już tam na froncie wszystkich, a tu proszę, organizują zamach na papieża.

Nieudany.

Papież w Częstochowie, akurat defilada, nowe mięso idzie na front, on je błogosławi, potem jedzie sobie tym swoim wozem opancerzonym, wiwaty, i nagle jakaś kobieta się przed tłum wyrywa – po sekundzie wybucha, płomień ogarniają ludzi, budę wozu opancerzonego, który nagle przyśpiesza, tłum biegnie we wszystkie strony, krzyki, wrzaski, krew, urwane kończyny, zaraz wojsko się rozstawia, nurkuje w ten tłum, w ogóle panika, nikt nie wie, co robić. Oglądałem transmisję, mnie przy tym nie było, dopiero zacząłem walizkę rozpakowywać, telewizor gdzieś tam sobie grał, na wpół wyciszony, przypadkiem zerknąłem kątem oka – tam już zapętlili powtórkę z tragedii.

Zaraz się też wypowiadają generałowie, dowódcy, kapitanowie, że atak, kontruderzenie, wzmocnienie ochrony na granicy, dokładniejsze sprawdzanie uchodźców i imigrantów. Cały ten cyrk. Potem jeszcze kilka obrazków z frontu, jakieś fragmenty materiałów, które ostatnio puszczała Al Jazeera. Na tym materiale dziwny film: budują jakiś swój eden, czy co im tam ostatnio odwaliło, hordy półnagich robotników, cegły z gliny, wypalane w słońcu, tam gdzieś z tyłu trzech zakutanych w szmaty nadzoruje budowę wielkiego zamku. Pod spodem napisy w tych ichnich robaczkach.

Potem już tylko siedziałem na łóżku i oglądałem wiadomości. Robiono teraz zbliżenia tego ujęcia, na czerwono zakreślano kobietę, która nagle, bez żadnego ostrzeżenia – nic się nie dało wyczytać z jej twarzy – wyrwała się do przodu, wsadziła dłoń pod ubranie, cudem przemycony ładunek eksplodował.

Czekałem, aż zadzwoni telefon. Zadzwonił.

– Widziałeś?

To dzwonił Ferdek, kumpel z oddziału, on też właśnie wrócił z frontu.

– Taa. To się papie Watykan przypomniał.

– Ale będzie. Przynajmniej tym razem nic mu się nie stało. Brudasy tam pewnie płaczą teraz, będą transmitować marsze żałobne, a potem rzeź ludności okupowanej.

– To pewnie zaraz wracamy.

– A żebyś wiedział. Dzwonili już do ciebie?

– Co? Nie. Co ty gadasz w ogóle?

– Jakaś misja nowa. Niby niebezpieczna i w ogóle. Bo tam się dziwne dzieją, w sumie to do końca nie wiadomo, o co chodzi. Można iść, można nie iść, dają wybór. Ale pójdą wszyscy, do których zadzwonią. Wiesz, jak nie pójdziesz, to jesteś cykor. I takie tam. Zaraz zaczną się ploty w dywizji.

– Do mnie nikt nie dzwonił.
– Może ciebie nie chcą.
– A kto cię pytał?
– Dziadek.
– Uuu. I co powiedziałaś?
– A jak myślisz? Że jadę. Odprawa za tydzień, trzeba będzie jechać do Warszawy.
– I co, znowu strzelanie do ciapatych?
– Taa. I jakieś tam religijne głupoty. Ale żadnych konkretów. Na odprawie wszystko powiedzą.

– Pewnie płacą dobrze, skoro niby ta misja taka niebezpieczna?

– Od chuja.

– Szczęściarz.

– Się okaże, czy wrócę.

Rozłączył się, potem znowu oglądałem wiadomości, patrzyłem na częściowo wypakowaną walizkę.

Są takie chwile, gdy sobie człowiek uświadamia, że to koniec. Chwilowo przynajmniej. Że nie obudzi się już w okopie albo pod pancierzem transportera, albo w namiocie, tylko w domu, w łóżku – i za pierwszym razem w ogóle nie załapie, co się stało, gdzie jest, co się dzieje. Wspomnienia wskoczą na swoje miejsce dopiero po chwili – dom, przerwa od tego wszystkiego, od ciągłej szarpaniny: z przenoszeniem się z miejsca na miejsce, z ciapatymi, z samym sobą.

I z początku się siedzi, nie mogąc uwierzyć. A gdy już się człowiek przebudzi – to co potem? Jak wygląda życie poza frontem? Zaraz się przekonasz, podpowiada jakiś głos w duszy, a ja czekam i czekam, i mimo tego nic się nie dzieje, walizka nadal nierozpakowana: koszule jak wypatroszone wnętrzości, nabrzmiały wieloryb, któremu ktoś rozpruł bebechy.

A potem – po godzinie, dwóch? – dzwoni telefon.

To major Stefan Dziad.

– Widzieliście?

– Tak, panie majorze.

– Koniec z tym. Nie można na to pozwolić, jeszcze się któremuś uda.

– Wiadomo, kim była kobieta?

– Mamy podejrzenia. Nic pewnego, oczywiście nie dało się jej zgarnąć wcześniej, zupełnie kryta, nic, co zwróciłoby naszą uwagę... Ale dowiedcie się. Wyjaśnią wam na odprawie.

– Tak więc... mam jechać...

– Poruczniku Drozd – przerwał mu major. – Wiemy, że właśnie wróciliście. Ale polecono mi właśnie wam przekazać tę propozycję. Wy już widzieliście niebezpieczeństwo. Wiecie, co potrafi wróg.

– Stawię się, panie majorze.

– Źle rozumiecie. To nie jest rozkaz.

– Rozumiem, panie majorze.

– Zdecydujecie po odprawie. Prześlę wam wszystkie dane.

– Panie majorze, o co tam w ogóle chodzi?

Cisza w słuchawce. Dziadek nabrał powietrza, jakby szykował się do jakiejś przemowy, ale w końcu tylko je wypuścił, i rzekł:

– Zobaczycie sami.

Rozłączyłem się, spakowałem walizkę.

Jestem trepem. Żalotne.

Pusty pokój rano przeraża bardziej niż perspektywa strzelania do brudasów.

Kiedy jesteś na froncie myślisz sobie ciągle, jakby to fajnie było wrócić do kraju. Nie wiem nawet, skąd się wtedy te myśli biorą.

* * *

Baza wojskowa, i wszędzie żołnierze, i już się człowiek czuje bardziej jak w domu. To dobre dla tych, którzy nie mają co zrobić z życiem – usłyszałem kiedyś, ale nie myślałem nad tym zbyt wiele.

Dostałem przepustkę, zaraz skierowano mnie do jakichś podziemnych kompleksów, musiałem pokazywać ją każdemu wartownikowi, przykładać do każdego czytnika, jak na filmach. W końcu korytarze opustoszały, czasem tylko przemknęła jakaś postać.

Znalazłem pokój dwieście pięć, do którego miałem się udać. Zapukałem, wszedłem.

W środku zapalone świetlówki, duży stół, wokół krzesła, a na ścianie monitor. Dwóch ludzi już tu było, jednego znałem.

Ferdek, który dzwonił do mnie wcześniej, wstał, podszedł i przedstawił drugiego żołnierza, którego nazywał Eustachym. Eustachy był Hiszpanem, mówił z okropnym akcentem. Miał rangę kaprała.

– Będzie nas tu więcej – powiedział, mocno akcentując pierwszą sylabę w słowie „więcej”.

– Ty, właśnie, Ferdek, gadaj, co wiesz. Bo mi nikt nic nie mówił.

– Nam też nie. No, wspomnieli, że mamy tu czekać jeszcze na kilka osób. Pewnie zaraz będą. A potem odprawa i pewnie od razu ruszymy w drogę.

– A wiesz gdzie?

– Co ty.

– Do Ameryki – powiedział Eustachy.

– Co?

– No do Ameryki.

– A po co tam?

– Dziwy się dzieją.

Dziwy – skąd on w ogóle znał takie słowa?

– Jak to: dziwy?

– To nie oglądaliście wiadomości?

– Nie.

– Tam sobie raj na ziemi robią muzułmany.

– Muzułmanie – poprawił Fredek. – I jak to raj na ziemi? W tych lejach po

wybuchach wodorowych?

– No właśnie niby nie. Niby tam teraz kwitnie wszystko... albo nie kwitnie... zależy, jak oni chcą. Właśnie o to chodzi, że tam wszystko jest, jak oni chcą.

Już miałem zapytać o coś jeszcze, ale wtedy drzwi się otworzyły i weszło kilka osób. Dwóch żołnierzy, jeden koleś ubrany po cywilnemu i jeden w garniturze.

Ten w garniturze przedstawił nas sobie – ci nowi, którzy weszli, to porucznik John Cooper z USA i podporucznik Bartłomiej Święty, ten ubrany po cywilnemu to Marek Kowal. Swojego imienia nie podał.

Wymienił też imiona i rangi Ferdka, Eustachego i moje, a potem Kowal wyjął laptopa, podłączył go do ekranu i zaczął mówić, a my wszyscy siedzieliśmy i słuchaliśmy – tylko elegancki pan *nomen nescio* nie usiadł, stał pod ścianą.

– Ciężko będzie mi to wytłumaczyć. – Kowal mówił bardzo cicho. – Dla nas też jest to bardzo dziwne... mianowicie, cóż... zaczęło się, nie wiem, rok temu, wtedy właśnie udało się to zobaczyć, Rosjanie byli pierwsi, wyszpiewowali ich tam przez satelity, no i dzieje się to głównie w Stanach, chociaż czasem przenosi się do Kanady... yyy... no, proszę zobaczyć.

Włączył nam film, nagranie z telewizji. Al Jazeera transmitowała coś z jakiegoś ich starego miasta, wyglądało to, jakby się cofnęli w rozwoju tak z pięćset lat. Budowali tam wielkie fortyfikacje. Biali niewolnicy ciągnęli wielkie kamienie, opatuleni w brudne szmaty nadzorcy stali obok.

Potem włączył następny materiał: meczet, ogromny, kopuła ze złota, i masa ludzi, wszyscy się modlą, jak na komendę walą czołami w te swoje dywaniki.

– Gdzie to jest? W Jerozolimie?

– No właśnie nie. W Stanach.

– Jak to: w Stanach?

– No właśnie nie wiemy... do końca. Oni to wszystko transmitują u siebie, ostatnio zaczęli się jakby reklamować... że stworzyli raj w Nowym Świecie danym im przez Allaha, który nagroził ich za zwycięstwo nad niewiernymi, i teraz każdy prawy muzułmanin może się tam wybrać i rozpocząć nowe życie.

– Przecież oni to rozwalili w drobny mak.

– No właśnie. Niby radioaktywne pustkowia, a tu któregoś dnia obracamy tam satelitę, i proszę, po bombach ani śladu, za to kwitnie jakiś muzułmański raj.

– Mhm, prosimy dalej.

– No właśnie niezbyt mamy jakieś dalej... Nie wiemy: skąd, jak i dlaczego... czemu zniknęło promieniowanie, czemu nic im się nie dzieje, skąd wzięli środki na budowę tych wszystkich rzeczy... Tam już całe miasta, całe metropolie powstają, meczet na meczecie, i coraz więcej muzułmanów ostatnio tam przypląwa, przesiedlają się do tego swojego raj. I jest jeszcze to...

Włączył kolejny film. Ten już był z podpisami, przetłumaczyli. Obraz się trzęsie, ktoś trzyma kamerę w rękę, nacelowaną na mordę jakiegoś brodatego brudasza w arafatce. Brudas bełkocze coś, a na dole napisy: „oto jest wola jedyne boga... tak właśnie skończą wszyscy niewierni, pokarani przez aniołów, ci, którzy nie pokłonią się jednemu bogu. Allah jest wielki! Anioły stworzone są z ognia, człowiek to tylko

gruda gliny!". A potem kamera wycelowała w klęczących, zakrwawionych i spętanych jeńców; trochę przed nimi rozpalono ognisko. Przeczytałem jeszcze przetłumaczoną kolejną porcję wywrzeszczanego bełkotu – że to kismet, że tak ma być, bo tak ma być.

Widziałem już takie sceny, widziałem nawet na żywo. Tych czterech żołnierzy pewnie też. Spodziewałem się, że będą ich tam palić żywcem i obcinać im głowy. Ale nie.

Zaczęli coś, jakieś modlitwy i jęki, jakby gulgotał zarzynany indor, i wtedy te płomienie buchnęły w górę, niby podlane benzyną. Dalej nie wiem, co się stało, jakiś wiatr chyba powiał, ten, który trzymał kamerę, musiał się odwrócić, widać za gorąco mu było, a gdy ponownie zaczął filmować wielkie ognisko, to już nie było ognisko, tylko żywy płomień o kształcie człowieka – zupełnie świadomy – i jakby sięgnął wielką piąchą ku tym ludziom, drącym się teraz wniebogłosey. Wymieszały się te wszystkie dźwięki, jakieś śpiewy ciapatych, huk huraganowego ognia, krzyki umierających, potem znowu ten z kamerą musiał odejść, za blisko podszedł, przez chwilę widać tylko dym, piach na dole, obraz skacze, a potem znowu obraca obiektyw – tym razem na kilka zwęglonych ciał. Po ogromnym ognisku ani śladu.

– Blokujemy te transmisje – powiedział Kowal, gdy żaden z nas się nie odezwał.
– Chociaż jest ich całkiem sporo. To by mogło... sami panowie wiedzą. Blokujemy je gdzie się da, nie tylko w telewizji... jest to jednak bardzo trudne. Oczywiście nie da rady zablokować wszystkiego. Część już pewnie wyciekła do wiadomości publicznej. Co ludzie naprawdę sądzą, nie wiadomo.

– Może to tylko przypadek – mruknął Ferdek. – Złudzenie, fotomontaż.

– Jest wiele takich przypadków. Złudzeń. Takich i innych. Są nagrania, jak zmartwychwstają. Jak coraz gorsze rany im zadają, a oni wstają z martwych, a potem machają maczetami, strzelają w niebo i drą się wniebogłosey, że Allah jest wielki.

– Analizowaliśmy wszystko bardzo dokładnie – powiedział ten w garniturze. – Jeśli to oszustwo, to chcemy wiedzieć, jak zrobione.

– Nie takie rzeczy na filmach pokazywali. Może tam odkopali Hollywood...

– Chyba po to, żeby drugi raz je zniszczyć ku chwale Allaha. Nie żartujmy sobie – parsknął Kowal. – We wszystkich krajach, które już podbili, nie zaobserwowano żadnych inklinacji w stronę rozwoju kinematografii. Wątpliwe, by nagle stwierdzili, że zaczną siać taką dziwną propagandę.

– W takim razie – obróciłem się do tego w garniturze – co?

– Na pewno już się wszyscy panowie domyślają. Trzeba tam polecieć i sprawdzić. Zrobić rekonesans.

– Mhm. W pięciu?

– Tak.

– Dlaczego my?

– Dokonania na frontach. Zasługi w walce z muzułmanami.

– Mielibyśmy tylko zbadać, co się dzieje? Rekonesans?

Uśmiechnął się.

– Panie... Janek Drozd, tak?

Przytaknąłem.

– Panie Drozd, doskonale pan wie, co by tam trzeba było robić. Znaleźć, rozpoznać, zanalizować.

– I w razie możliwości rozwalić.

– Oczywiście. Ale ten sprzeciw w pana głosie... pan sobie myśli, że to uganianie się za jakimiś bzdurami, prawda? Że to absurd łązić tam po lasach i wsiach, pchać się w paszczę lwa tylko po to, żeby zobaczyć, jak powstał ten film, jakim sposobem oni tam z nuklearnego pustkowia zrobili sobie oazę – bo to przecież w ogóle niemożliwe. Może to błąd, może ten ruski satelita w ogóle się zepsuł, może to rzeczywiście jakieś złudzenie optyczne albo fotomontaż. Tak pan sobie myśli.

– Można powiedzieć, że tak sobie myślę.

– Dlatego właśnie panu powierzymy dowodzenie.

Nie przerywałem ciszy, nikt jej nie przerywał, i wszyscy patrzyli na mnie. Zaskoczeni, nie zaskoczeni? Wiedzieli wcześniej?

– Bo... bo nie wierzę?

– Bo jest pan cudownie sceptyczny. Panowie, proszę mnie źle nie zrozumieć, wiem, że jesteście pełni zapału i poświęcenia, właśnie dlatego między innymi lecicie na tę misję. Panie Drozd, pan oprócz tego również doskonale zdaje sobie sprawę z zagrożenia, które niesie ze sobą islam, został im do podbicia tylko ten kraj... i będą mieli Europę. Jednak chodzi tu o kwestię...

– Wiary – powiedział Kowal. – Sądzymy że... no, z tych innych filmów udało nam się wywnioskować... że tam też anioły się ukazywały, jakieś postaci przy niektórych imamach, po kilka aniołów, jakieś świetliste aury, niewiele widać na tych filmach... Zaraz je panom pokażę. Rzecz w tym, że tam mogło nastąpić wypaczenie rzeczywistości. Jest ona teraz bliżej... bliżej innego miejsca. To przez wybuchy. Widzicie panowie, przy wybuchu termojądrowym to nie tylko kule ognia i fale uderzeniowe...

– Czyli co – powiedział Ferdek. – Teraz jest tam jakaś inna rzeczywistość?

– Bliżej do innej rzeczywistości.

– *Caramba.*

Potem puścił te filmy – oglądaliśmy dziwne postaci, ludzi i nie-ludzi – ale wszystkie były okropnej jakości, w paru obraz robił się po kilku minutach tak zamazany, że nie dało się niczego zobaczyć. Nie były to już materiały puszczone przez Al Jazeerę, raczej po prostu rejestrowane kamerą spotkania z duchami. Taka się trochę atmosfera zrobiła, wszyscy zaraz się nachylili ku ekranowi, każdy wypatruje kształtów – tu głowa, tam ręka, tam cała postać. A to? To jest skrzydło, chyba skrzydło.

– Możecie panowie zrezygnować – powiedział na koniec koleś w garniturze. – Prosimy o decyzję jak najszybciej, ponieważ musimy powiadomić kogoś, kto was zastąpi.

Nikt nie zrezygnował.

– Cóż, panie Drozd, w takim razie zostaje pan dowódcą oddziału. Raportować

będzie pan tu, do nas, do sztabu. Zespół naukowców i specjalistów postara się asystować w razie potrzeby...

Potem jeszcze wziął mnie na stronę.

– Proszę mieć na nich oko. To dobrzy ludzie. Jednak to, co tam zobaczą...

Co za dureń. Jakby to był mój pierwszy raz.

– Wiem, co robić.

– Mam taką nadzieję – powiedział bez uśmiechu. – Szczerą.

* * *

Bładym świtem wylądowaliśmy na zachodnim wybrzeżu. Przetransportowano nas najpierw do Rosji, potem z Rosji poleciliśmy hybrydą.

Lot trwał może godzinę, hybryda po dotarciu na miejsce zawisała nad trawiastą polaną – zeskoczyliśmy po kolei – potem pojazd uniósł się i odleciał, znikając nam z oczu po paru minutach.

Obładowani sprzętem, w pancerzach z leśnym kamuflażem, zaraz pomknęliśmy do najbliższego lasu – pilot bał się, że zawadzi o drzewa.

W pięciu – Ferdek, Bartłomiej Święty, którego nazywaliśmy oczywiście Świętym, John Cooper, którego przeważaliśmy Jankes, i Eustachy, który tak naprawdę nazywał się Eustaquio Coronza – znaleźliśmy się na zachodnim wybrzeżu Ameryki Północnej. Zdani na siebie, mieliśmy określić, jakie to dziwne zjawiska tu zachodzą, oraz w miarę możliwości je zneutralizować.

Święty i Eustachy z czujnikami ruchu i podczerwieni na oczach przeczesywali teren, wodząc lufami karabinów po linii drzew za polaną. Ferdek, Jankes i ja kucaliśmy nad mapą.

Dostaliśmy satelitarne wydruki, a Jankes miał mapę samochodową, ponoć bardzo dobrą, kupioną za dwa dolary na jakiejś stacji benzynowej. Każda pokazywała co innego.

– Mhm, tu powinna być droga.

– Tu, gdzie teraz stoimy?

– Tak.

– Pokaż to.

– O, tu.

– Na wydruku mamy las. Na tym nowszym, na starym też jest droga, a przynajmniej jej pozostałości. Ale nie w tym miejscu, i nie wszędzie.

– Idziemy tam – powiedziałem. – Po drodze powinno być miasteczko. Zobaczymy, co się z nim stało. Jeśli na jego miejscu też będzie las, to faktycznie nieźle się tu po tych wybuchach popierdoliło.

– A może to nie były wybuchy? Tylko odstawili następną hucpę z fotomontażami?

– I jak niby mieliby oszukać świat – powiedział Jankes – łącznie z trzystoma milionami obywateli Ameryki, że ich własny kraj został wysadzony jak Hiroszima? Widziałeś transmisję. Stany zmiotło. A teraz? Rozejrzyj się. Las. Zaraz tu na nas wyskoczą Indianie. Tak to wyglądało jakieś sześćset lat temu.

– A ty gdzie mieszkałeś?
– Nowy Jork. Wcześniej w Nevadzie.
– Nevada to jakoś blisko.
– Teraz bardziej jesteśmy w Idaho.
– Niedaleko znajdują się punkty, które oznaczono jako miejsca częstego występowania tych dziwnych zjawisk. Trzeba zbadać. Potem nadamy meldunek i może nas stąd zgarną.

– Pan, poruczniku – odezwał się z tyłu Święty – nie wierzy w sens ani powodzenie tej misji.

– Góra każe, ja robię.

– Pan nie wie, jakie ma znaczenie.

– Pewnie jak każda. Im ich więcej zdechnie, tym lepiej.

– Ta ma szczególne znaczenie dla naszych dusz, poruczniku.

– Na pewno.

– Pan sobie nie zdaje sprawy, co o tym ludzie mogą sądzić. Co już sądzą. Bo tego się nie ocenzuruje w całości. Jakiś przeciek zawsze będzie. A to w końcu złamie ludzi.

– On ma rację, Janek – powiedział Ferdek. – Bo zobacz, jeśli to pójdzie oficjalnie, jeśli wszyscy już zobaczą i uwierzą, wszyscy od nas: co sobie pomyślą? Że tam aniołowie islamu, że tam Allah raj im buduje w nagrodę za zwycięstwo nad nami, niewiernymi. A gdzie nasz Bóg? Gdzie Jezus, co ma z nieba zstąpić i Bestię pokonać? Może zstąpi właśnie, ale jako Isa, jako prorok islamu, i przeciw nam obróci swój gniew?

– Mhm, czyli tak naprawdę idziemy jako ci święci krzyżowcy? Bić się z diabłem?

– Amen – powiedział Święty.

– Przecież z naszej perspektywy to wszystko musi być sprawką diabła, *las asechanzas del diablo* – odezwał się Eustachy.

– Tak, ty będziesz naszym reprezentantem hiszpańskiej inkwizycji. Na razie jeszcze nic nie wiadomo, a wy już panikujecie. Od razu na islam przejdźcie, jak się tak boicie. No, zbierać dupy, dotarcie do tego miasta zajmie nam o wiele dłużej, niż przewidywaliśmy. Rozejrzyjcie się tylko.

I rozejrzeli się. Rzeczywiście, musiało to trwać dłużej. Nie liczyliśmy się bowiem z tym, że staniemy oko w oko z dziewiczym lasem, niczym z jakimś rezerwatem, parkiem narodowym. Tylko że tu nie było wcześniej żadnego parku narodowego. Ba, to, co tu było wcześniej, zmiotła fala uderzeniowa. Nie powinno tu być niczego, a już na pewno jakiegoś ciemnego boru.

– Oczy i uszy dookoła głowy. Zresztą sami wiecie.

Na pewno wiedzą, pomyślałem. Strzelają się z tymi brudasami od dobrych kilku lat, jak i ja. Każdy z nich zaliczył kilka frontów, czytałem ich karty, przewijał się tam front zachodnoniemiecki, środkowoniemiecki, każdy chyba był w pewnym momencie w Bawarii, Janek to nawet postrzelał się trochę w Anglii.

Wiedzieli, co potrafią muzułmanie, wiedzieli, jak działają. Zwłaszcza mając do dyspozycji to, co zdobyli w każdym z krajów, które udało im się opanować. Wiele

rzeczy zostało: całe gospodarstwo, całe wielkie gałęzie przemysłu produkującego broń. I spryciarze od razu to wykorzystali. Zazwyczaj wojsko nie oddawało im łatwo tego, po co przyszli, w ostatniej fazie rozpadu państwa i przerabiania go w republikę islamską armia była ostatnią ostoją wolności, szansą na ucieczkę od prawa szariatowego na łono cywilizacji. Zazwyczaj jednak kończyło się na tym, że niedobitki wiały do sąsiedniego kraju, który też już był ogarnięty pożogą.

Mieliśmy w Polsce dywizję francuską, angielską, dwie niemieckie.

Moje dzielne zuchy były więc na froncie, znają się na tym, co ciapaci potrafią wymyślić. Tu nie będzie im – miałem nadzieję – tak łatwo. O wiele lepiej szła im walka w mieście, gdzie mogli nałapać sobie żywych tarcz i cywilów jako zakładników. Gubili się jednak w lasach Europy, nie był to ich teren.

Nikt jednak nie chciał się przyznać, że chwilowe *status quo* tak naprawdę nim nie jest – przewyższali nas liczebnie, z pełną świadomością tego faktu. Cierpliwości nie można było im odmówić. Nie teraz – myśleli sobie – nie za rok, może nie za pięć lat. Ale w końcu będzie nas dziesięć, dwadzieścia razy więcej niż was.

Z tego, co wyczytałem w aktach, Święty był też na krucjacie. Do Berlina, ale tej pierwszej. Ja się załapałem na drugą, lepiej przygotowaną. Co nie znaczy, że zakończoną sukcesem.

Szliśmy tak, obławowani, przez dziewicze lasy Ameryki. Przez roje much, komarów, obalone drzewa mające z tysiąc lat – dwóch machało maczetami, zmienialiśmy się co jakiś czas. Jakby tu zupełnie nie było ludzi, nigdy. O czymś takim jajogłowi w bazie nie mówili.

Na szczęście wyposażyli nas w cuda techniki – wbudowany w przedramię kombinezonu komputer wyliczył pozycję. Szliśmy strasznie wolno, do tego robiliśmy mnóstwo hałasu, przedzierając się przez chaszczki, ale nie było sensu i czasu, by szukać innej drogi. Im krócej na terytorium wroga, tym mniejsza szansa, że nas wyśledzą.

Miała tu być międzystanówka. Zamiast tego – wielki rezerwat jebanej przyrody. Jedyne, czego brakowało, to zasadzki brudasów.

Oni jednak trafili się niedługo potem. Akurat gdy las się skończył. Pierwszy wypatrzył ich Jankes.

– Tam! Padnij!

Zaraz wszyscy daliśmy nura w krzaczory, powyciągaliśmy gogle i lornetki, zaczęliśmy ich oglądać, i rzeczywiście, muzułmanie jak w mordę strzelił. Na szczycie niewielkiego wzniesienia, stało ich tam czterech, obok srebrna terenówka. Nie mieli przy sobie broni, przynajmniej nie widzieliśmy. Stali, patrzyli w naszą stronę, czasem pokazywali sobie coś palcami.

Też sobie ich pokazywaliśmy. Nie mieli szans nas wypatrzyć, nie gołym okiem, my oglądaliśmy sobie wszystko na dwudziestokrotnych zoomach.

– Zdejmujemy ich? – spytał cicho Ferdek.

– No jasne. Głupie pytanie.

– Jak?

– Szykować się. Ja biorę tego w środku. Eustachy i Święty tego z prawej, Ferdek i

Jankes tego z lewej. Tylko niech któryś nie przestrzeli niechący opony w tej terenówce. Celujcie raczej wyżej. Ten samochód to prawdziwy dar od Boga, albo Allaha. No nie krzywcie się tak. Szybko, bo nam odjadą. Na mój znak.

Wszyscy się ułożyli jak najwygodniej, powyciągali przed siebie karabiny, podokręcali celowniki optyczne, a potem, na moją komendę, jedna salwa, i trzech brudasów zważyło się na ziemię.

Potem przez jakiś czas nic, tylko śpiew ptaków, brzęczenie much, szum drzew i traw – chcieliśmy sprawdzić, czy nie wyskoczy ich więcej. Nikt się jednak nie pokazywał. Poczekaliśmy jeszcze trochę, potem wziąłem ze sobą Ferdka i ruszyliśmy w stronę samochodu, reszta nas osłaniała.

Na początku sądziłem, że ktoś jednak zacznie strzelać do nas od strony lasu – przypadliśmy z Ferdkiem do terenówki, każdy przykucnął z jednej strony, chowając się za budą i kołem; wyglądało jednak na to, że było ich tylko trzech. Przez wbudowany w kombinezon komputer wysłałem reszcie oddziału komunikat, że jest czysto. Osłanialiśmy naszych, jak schodzili. Potem obejrzelśmy sobie ciała.

- Ty – powiedział Jankes – muzułmanie jak muzułmanie.
- No trochę tak – zgodził się Eustachy. – Tylko bez broni.
- Raczej się tu nikogo nie spodziewali.
- Mają broń – powiedział Święty, zaglądając przez okno terenówki. – Trzy M4.
- Mhm, czyli jednak się tu czegoś spodziewali.
- Może chcieli sobie popolować. Kto ich tam wie. Oni wszędzie z tym łążą. Albo bali się Indian. No co, skoro tu się takie dziwy dzieją, to kto wie.
- Teraz sobie przynajmniej pojeździmy.
- Kluczyki są w stacyjce – powiedział Święty.
- Może czegoś tu szukali. – Ferdek odwrócił się, spojrzął tam, gdzie ciapaci patrzyli. – Co mogli sobie pokazywać? Nie nas przecież, nas by nie mieli szans wypatrzeć, oni zaś stali na otwartym terenie.
- Mmm, nic dziwnego tam nie widzę. Las. Może go chcieli, nie wiem, wyrąbać, albo podpalić, żeby było miejsce na meczet, to do nich podobne.

– Eustachy, a ty coś widzisz? Jankes?

Stanęli, spojrzeli.

– Nie, no, las.

– Mhm, dzięki.

– Ten las jest na wzniesieniu, może faktycznie chcieli go trochę wyciąć i zbudować ten swój zameczek, podobno stawiają je tu wszędzie, gdzie mogą, mamy nawet kilka takich na zdjęciach...

Chwycił nagle Ferdka od tyłu – wszyscy odskoczyliśmy, nikt się nie spodziewał, nie mogliśmy się tego spodziewać; wyjął nóż, nie przeszukaliśmy zwłok, więc stał tak teraz, przykładając ostrze do szyi Ferdka, z dziurą w głowie i w piersi, z zakrwawioną twarzą, pozlepianymi krwią włosami, ze skalpem ledwo trzymającym się czaszki – położony przez nas przed chwilą brudas, zmartwychwstały.

Bełkotał po swojemu, darł się, coraz mocniej przyciskając nóż do Ferdkowej szyi; zastanawiałem się, czy zdążę podnieść splotkę, ale wiedziałem, że bym nie zdążył,

nie było na to szans; on zapewne darł się, żebyśmy tę broń rzucili, oddali mu, bo go zabije – ale wiedział, że jakby od razu poderznął Ferdkowi gardło, to zaraz sam by znowu umarł, a przynajmniej natychmiast dostałby kolejną kulę, chociaż nie byłem pewien, czy zrobiłoby to na nim jakieś wrażenie.

W następnej chwili łeb jego muzułmański eksplodował fontanną krwi, bryzgnął mózgiem – to Święty, stojący wcześniej przy terenówce, podkradł się od tyłu, przyłożył tamtemu pistolet do skroni i wypalił.

Ferdek odskoczył, jakby go ktoś oblał wrzątkiem; mnie, Jankesa i Eustachego też ochlapała krew.

– Kurwa! – krzyknął Ferdek, ocierając oczy z lepkiej czerwono-szarej mazi. – Kurwa! Ochlapałeś mnie tym gównem!

– Faktycznie, lepiej by było, jakby ci gardło poderznął.

– Dwie dziury... miał dwie dziury, jedną w czole, drugą w sercu, dostał dwa razy, i wstał... Był martwy, przecież to niemożliwe, musiał być martwy.

– Czasem się zdarza...

– Co się zdarza? Że dostaniesz w łeb i w serce, a potem wstajesz, krzyczysz i wymachujesz nożem?

– No nie, ale że doznając ciężkiej rany, w przyływie adrenaliny...

– Ale nie po strzale w łeb!

– *Qué coño?*

– Jak na filmie.

– Sprawdźcie następnych – powiedziałem. – Walnijcie im jeszcze raz w łeb. Może jak się rozpadną na kawałki, to już nie będą wstawać. A potem zjeżdżamy stąd. I zabierzcie im noże, wszystko, co tam mają.

Przeszukali ich, pozbiali amunicję, noże, jeden miał nawet granat – na szczęście nie ten, który wstał z martwych.

Zawlekliśmy ścierwa do lasu, ukryliśmy pod gałęziami, nie było czasu, by zakopywać. Drapieżniki znajdą je prędzej czy później, ale nam to nie przeszkadzało – tylko zatrą ślady. Potem wsiedliśmy do samochodu. Ferdek z tyłu znalazł jakąś szmatę, wycierał się zapamiętałe z resztek mózgu.

– Będę śmierdział.

– Mogłeś być martwy. Ciesz się, że nie zauważył Świętego.

– Ej. Dzięki, Święty. Bóg prowadził twoją rękę.

– Amen, bracie.

– A wy znowu.

– Dokąd? – spytał Jankes; to jemu kazałem usiąść za kółko.

– Musimy jakoś wyśledzić, skąd tamci przyjechali. I unikać ich stałych tras. Gdziekolwiek mogą być.

Znowu rozłożyliśmy wydruk satelitarny, który wydawał się nam najbardziej aktualny.

Sprawdziłem, czy nie mieli w aucie jakiejś mapy; schówek jednak świecił pustkami, tylko skrobaczka do szyb i próbka lakieru, w dodatku innego koloru niż samochód.

– Będziemy go musieli zostawić, gdy już zbliżymy się do celu. Pojedziemy tędy, przy lesie. W razie czego potem go po prostu zamaskujemy gałęziami.

Jechaliśmy przez trawy; całkiem ładnie tam było, trzeba przyznać. Dopiero zza szyby samochodu krajobraz, przez który nie trzeba się już z mazołem przedzierać, nabiera uroku.

– Radio? – spytał Święty.

Włączyłem, i faktycznie, złapałem coś. Typowe muzułmańskie zawodzenie, od czasu do czasu wymieniane na kogoś, kto bełkotał po arabsku.

– Ktoś rozumie po ichniemu?

Wszyscy pokręcili głową. Tego się też spodziewałem. Źle się ostatnio patrzyło na kogoś, kto mówi po arabsku, nawet na froncie nie było wiele takich osób, i pilnowano ich jak oka w głowie – kto wie po czyjej stronie naprawdę stali. Paranoja przybrała całkiem spore rozmiary: ciągle podejrzenia, insynuacje, im też nie było łatwo. Kilku sobie palnęło w łeb, zwłaszcza tych śniadoskórych.

Chodziło też o to, by trudniej im było przeciągnąć nas na swoją stronę. Żeby nie mogli się z nami porozumieć, żeby nie mieli alternatywy dla zabicia nas. Żeby nie mogli nic z nas wyciągnąć. Oczywiście należało liczyć się z tym, że i tamci mieli jakichś tłumaczy, ale nieznanostwo ich języka to zawsze mniejsze ryzyko.

I żeby nas... nie nawrócili. Cóż, skoro boi się tego cała moja drużyna, to na pewno ktoś w naszym sztabie też się tego bał. Dlatego to ja zostałem szefem. I dlatego nikt z nas nie gulgotał po arabsku.

– Otwórzcie szyby. Jakbyśmy na coś wpadli, to walcie bez ostrzeżenia. Wjedziemy w nich, nawet się nie zorientują, kto ich rozwalił. Musimy korzystać z ich zaskoczenia, bo jeśli już się wywiedzą, że tu grasujemy, to koniec, będą chodzić w dużych grupach, dobrze uzbrojeni. Kto wie, może już chodzą.

Tak więc pootwieraliśmy szyby; teraz każdy siedział z karabinem przy oknie i lustrował otoczenie.

* * *

Dopiero po jakiejś godzinie natrafiliśmy na ślady ludzkiej obecności.

– Tam – powiedział Jankes, wjeżdżając gdzieś w krzaki i gasząc silnik.

Były tuż przy trasie, tuż przy granicy lasu, którą jechaliśmy – pniaki po ściętych drzewach, połamane gałęzie, wykarczowane krzaki. Wysiedliśmy i zamaskowaliśmy samochód. Srebrny lakier bił po oczach, więc trwało to dość długo – potrzebowaliśmy więcej gałęzi, a nie mogliśmy po prostu ogołocić miejsca, w którym stanęliśmy, i wrzucić wszystkich badyli na stertę.

Musieliśmy uważać – na coś im te drzewa były potrzebne, budowali jakiś meczet, wieże obserwacyjne, cokolwiek. Poszliśmy więc lasem, powoli. Wszyscy, cały sprzęt też zabraliśmy ze sobą, na wszelki wypadek lepiej było niczego nie zostawiać w samochodzie.

Nasłuchiwaliliśmy odgłosów pracy pił motorowych, nic jednak nie dobiegło do naszych uszu, może już się stamtąd zwinęły.

Wróciliśmy na miejsce, gdzie ścięto drzewa – powalono ich sześć. Nie za dużo,

nie za mało. Starając się nie zgubić śladów, wskazujących dokąd wleczono drzewo, poszliśmy ostrożnie tym tropem, wcześniej przyodzabiając się kamuflażem z chwastów i gałęzi.

Zachowywaliśmy całkowitą ciszę, Eustachy poszedł przodem jako czujka.

Po chwili wysłał wiadomość, żeby za nim podążać, bo znalazł coś dziwnego.

Zapadł gdzieś w krzaki, podeszliśmy po cichu, a potem, leżąc w chaszczach na skraju lasu, obserwowaliśmy przez lunety karabinów, co też Eustachy znalazł.

– No, niby miasto – stwierdził Eustachy. – Miasteczko. *Pueblo*.

– Jankes, czy to są amisz?

– Nie. Znaczą, nie wygląda.

– Bo przecież oni tak niby z dala od cywilizacji.

– Taa... Ale ci tu nie ubierają się jak amisz. Patrz, ten jest stary i nie nosi takiej brody, jaką powinien mieć amisz. Już by go wyklęli. O, a tamten ma strzelbę. Amisz to pacyfiści. Żadnej broni. To wygląda bardziej jak... jak rekonstrukcja osady sprzed trzystu lat.

– Albo i nie rekonstrukcja.

– Co robimy?

– Jak to co? – prychnąłem. – Idziemy. To nie muzułmanie.

Rzeczywiście, nie było tam żadnego brudas.

Wstałem, zarzuciłem karabin na ramię, i ruszyłem w stronę osady. Oddział poszedł za mną. Nie oglądałem się.

Schodziliśmy z góry, tak by dokładnie nas widzieli. Zauważyli oczywiście niemal od razu, kilku się skrzyknęło, pokazali nas sobie, potem rozbiegli się do domów.

Osada – kilkanaście domów, do tego stodoły i chlewy – została zbudowana wzdłuż czegoś, co można nazwać ulicą. Była to przeorana koleinami, szeroka droga, która podczas deszczu zapewne zmieniała się w potok błota.

Miałem nadzieję, że zrozumieją, iż nie mamy wrogich zamiarów. Może to rzeczywiście wspólnota kogoś w rodzaju amiszów, dziwna anomalia, albo ludzie, którzy z jakiegoś powodu zostali zmuszeni odgrywać tu tę szopkę – wśród dziczy, bez samochodów, elektryczności.

Naturalnie łapali za to, co mieli pod ręką: na zoomach oglądałem jakieś strzelby, flinty, rewolwery; chowali się potem z tym w domach, wystawiając lufy z okien. Ale nie strzelali.

Kilku wyszło nam na spotkanie. Nie podchodziliśmy za blisko, stanęliśmy kilkaset metrów od osady. Niech się naradzą, zdecydują.

– Janek – powiedział Ferdek. – Po co my do nich w ogóle idziemy?

– Zasięgnąć języka chociażby. Może się tu zetknęli już z brudasami. Może się z nimi strzelali. Poza tym... nie dziwne? Taka osada, tutaj, gdzie na dobrą sprawę powinny być ruiny jakiegoś miasta... Co tu się stało? Może coś wiemy... zobaczymy.

Było ich trzech. Szli powoli; pierwszy ksiądz, w czarnej sutannie i koloratce, za nim dwóch uzbrojonych mężczyzn, jeden w strzelbę – przewieszoną przez ramię – drugi z rewolwerem u pasa. W zniszczonych ubraniach, jeden miał słomiany kapelusz.

– Kimże jesteście, przybysze? – zaczął kapłan.

Cieżko było ich zrozumieć. Dopiero po chwili dotarło do mnie, co powiedział, strasznie bełkotał, to nie był angielski z moich czasów. Na szczęście mieliśmy ze sobą Jankesa, który też często się krzywił, słuchając ich mowy.

Przyglądali się naszym kombinezonom i broni, wypchanym różnorakim sprzętem plecakom, wszystkim gratom, którymi się obwiesiliśmy.

– Przybywamy z Europy – powiedziałem.

– A jakże, znać po was.

Potem dodał coś jeszcze; spojrzałem na Jankesa.

– Pytają, że w jakim celu.

– Sprawdzić, jakie spustoszenia poczynili niewierni – powiedziałem po angielsku, nie kazałem Jankesowi tłumaczyć.

Ksiądz musiał zrozumieć, że nie za dobrze mówimy w ich języku. Wysławiał się teraz wolniej, tak że łatwiej dało się go zrozumieć, dobierał prostsze wyrazy.

– Sprawiedliwość niebieska was tu zesłała! Aniołowie tedy czuwają nad nami, pobożnym ludem. Mahometanie niby zaraza po kraju się rozplenili, sprostać im niepodobna.

– Będziemy wdzięczni za informację, gdzie się skrywają.

– Wszelkiej pomocy wam udzielim, skoroście na chwałę Pana przysli ich gromić. Aniołowie niechybnie w bezpieczeńcu ku nim was poprowadzą, a jeśli trzeba, to i w bój powiodą. Chodźcie, ugościm was.

Wskazał gestem, potem odwrócił się i ruszył powoli. Poszliśmy za nim w milczeniu.

Chłopcy popatrzyli na mnie, potem na nich. Cóż, to mogła być pułapka, mogli nas tutaj wszystkich wystrzelać, wkraczaliśmy w zasięg tych ich starych strzelb. Jednak nie palili się do strzelania, a gdy zobaczyli, że prowadzi nas ksiądz, zaraz wyszli z domów, stanęli na werandach. Potem zaczęli się złazić bliżej.

Wtedy ksiądz stanął, jak już nas taka dość pokaźna grupka otoczyła, wznosił ręce, pokazał na nas, powiedział coś głośno, ludzie pokiwali głowami, a Jankes streścił, że kapłan mówi, by się nas nie bać, bo to pewnie aniołowie nas zesłali, byśmy pomogli im bronić się przed niewiernymi.

Zaprowadzili nas do kościoła – dużego budynku z dzwonnica i krzyżem. Weszliśmy do środka – prosty ołtarz, topornie zbite ławy.

– Janek, to może być jakaś lipa – szepnął po polsku Ferdek. – Zaraz tu się zrobi gorąco, gdy odkryją, że nie przysyłały nas żadne anioły czy co tam...

– Potrzebujemy informacji. To nie są muzułmanie, a wręcz mają z nimi na pieńku, są uzbrojeni, i w ogóle w miarę czujni. Jak się tu uchowali, nie wiem, ale na pewno wiedzą coś ciekawego. Warto zaryzykować.

Stanęliśmy przed ołtarzem, ksiądz i tamci dwaj przeżegnali się, Święty, Eustachy i Jankes także.

– W zły godzinie przybywacie. Jednak jeśliście zaprawdę przybyli, by pokarać niewiernych...

Nic nie powiedziałem, chociaż wcześniej o żadnym masowym karaniu nie było

mowy, tylko o rekonesansie.

– Udzielim wam pomocy – powtórzył jeden z towarzyszy księdza, ubrany w zniszczone, połatane portki, trzymające się na przetartych szelkach. – I wskażem, gdzie ich znajdziecie.

– Drzewa, któreście pewnikiem przy drodze widzieli, na palisadę ścinamy – podjął ksiądz. – Nieczęsto to bywa, że trapią nas mahometanie, ale gdy razu pewnego przybyli, to z orężem straszliwym i machinami z piekła rodem. Jeno z anioła pomocą ich odparliśmy. Modlitwami naszymi przywołan, odegnał niewiernych mieczem i pożogą. Teraz wszelako...

Wyraźnie zmieszał się, wbił wzrok w krzywe dechy podłogi, trwała cisza. Przerwał ją on sam, podnosząc smutne oczy.

– Teraz wszelako kapliczkę zdobyli. Kto wie, co będzie, jeśli świętość jej splugawili... Kto wie, czy Bóg nie pokara nas za to, że pozwoliliśmy im ją zbezczścić...

Spojrzałem po moich towarzyszach. Może źle zrozumiałem, może już mu się w głowie poprzewracało; przecież jest księdzem w amerykańskiej zabitej dechami wiosce sprzed dwustu lat, albo przynajmniej odgrywa takiego księdza, odgrywa zresztą całkiem przekonująco. I co, zobaczył muzułmanów, że mu weszli, rozwalili wszystko do szczętu, nie tylko World Trade Center, i sfiksował?

No bo czemu miałby mówić o aniołach?

Chyba że to, co na tych filmach... tylko że tam anioły były raczej muzułmańskie, pomagały brudasom.

Albo po prostu się przesłyszałem.

– Gdzie jest ta kapliczka?

* * *

Poszliśmy tam następnego dnia.

Amerykanie przyjęli nas całkiem miło, dali jeść – jakieś mięso, nawet dobre – dali pić, dali się wyspać na poddaszu w jednym z domów.

Nie było ich wielu. Ostatnio większość wysiłków skupiali na stawianiu palisady oraz polowaniu, i wystawianiu wart na wypadek przybycia niewiernych. Z nami czuli się jakby spokojniejsi, zwłaszcza gdy zobaczyli na piersi Świętego krzyżyk. Ksiądz długo z nim potem rozmawiał, a Jankes tłumaczył; przynajmniej się starał. Pokazywali sobie na niebo, na kościół.

Nie pytałem Świętego, o czym rozmawiali.

Dali nam nawet mapę – narysowaną węglem na kawałku wyprawionej skóry. Dało się jednak coś zrozumieć; kapliczka nie była daleko, zaznaczono ją na mapie krzyżem i jakimś podpisem, zamazanym.

Wyruszyliśmy we trzech – Ferdek, ja i Eustachy. Reszta pilnowała sprzętu, tym razem nie braliśmy wszystkiego.

Trzeba było sprawdzić, czy rzeczywiście są tam muzułmanie. Jeśli faktycznie opanowali kapliczkę, to pewnie po swojemu zleźli się całą gromadą, tak że nie dałoby się podejść na kilometr, nie wpadając na któregoś. Nie ma to jak przewaga

liczebna.

Kazałem im się zgłaszać, gdyby działo się coś niepokojącego, jakby ich zaatakowali czy coś takiego. Poza tym ograniczaliśmy komunikację. Trzeba było założyć, że tamci dorwali się do czegoś, co może łamać nasze szyfry albo przynajmniej je wysledzić – a wraz z nimi nas. Z tego powodu powstrzymywaliśmy się z meldunkami dla kwatery głównej.

Szliśmy we trzech skrajem lasu, znowu z gałęziami powpinanymi gdzie się da, rękoma i twarzami wysmarowanymi błotem.

– I co ty o tym sądzisz, Ferdek?

– Nie wiem... dziwne jakieś to wszystko. I ta wieś w środku puszczy... i że niby muzułmanie jakąś kapliczkę im zajęli.

– Eustachy?

– A może to prawda? – spytał Hiszpan. – A może tam rzeczywiście... no, anioły, demony... że niby islam... i oni myśleli, że to anioł... bo wiecie, tu anioły, tam anioły, znaczy: w chrześcijaństwie i islamie. Więc jak zobaczysz anioła albo coś, co na niego wygląda, to zastanawiasz się, jaki to anioł, nasz czy ich? Nie. Stwierdzasz – anioł. I już.

– A to może być cokolwiek.

– Ale nie fotomontaż. Bo skoro oni mówią, że...

– Z tego, co widzieliśmy, to mają mentalność zacofanych ćwoków. Albo udają tak doskonale, albo rzeczywiście stało się coś, co sprawiło, że mamy tu autentyczną społeczność sprzed dwustu lat. Takich oszukasz byle czym, projektorem holograficznym albo i zwykłym...

– I oni niby są sprzed dwustu lat, tak, a brudasy co? – spytał Ferdek. – Walili w nich z kałachów z jakiejś bryki? Bo tak to ci niby amisze opisali. I wtedy ich anioł uratował.

– Mhm, jeszcze żadnego anioła nie widzieliśmy.

– Ale widzieliśmy, jak jeden brudas wstał z martwych.

– To mógł być przypadek, jak ten jeden na milion, że matka widzi zagrożone dziecko i sama podnosi furgonetkę albo drzewo... że adrenalina...

– Po strzale w łeb?

– Adrenalina i wiara – prychnąłem. – Wiara czyni cuda. A teraz cicho. To gdzieś tam, na wprost.

Samochodu nie wzięliśmy ze względów oczywistych: żeby nie narobić hałasu, nie rzucać się niepotrzebnie w oczy i żeby ich zaskoczyć. Milczeliśmy, zbliżając się powoli. Tym ostrożniej, że z przodu dobiegły nas głosy – obserwując bacznie otoczenie, dotarliśmy do skraju drzew i skryliśmy się w krzakach.

Rzeczywiście, była kapliczka.

I muzułmanie.

Kapliczką okazał się murowany krzyż na szerokiej podstawie. Wokół niego wypalona trawa, on sam też nieźle osmalony, wszędzie popiół i nadpalone szczapy drewna. A naokoło jakichś dziesięciu biegających i gulgoczących brudasów. Pokazywali to na kapliczkę, to na wypalony krąg.

Jeden przyniósł kilka łopat, rzucił na ziemię, włączył się do dyskusji. Trochę dalej stało parę samochodów.

– Dużo ich – powiedział Eustachy.

– Idę się przyjrzeć z bliska. Wy mnie osłaniajcie. W razie czego weźmiemy ich z zaskoczenia, wystrzelamy jak kaczki, rzućcie granat w to wszystko, jak się nadarzy okazja.

– Dobra.

I poszedłem. Łazłem przez te krzaki, starając się podkraść jak najbliżej. Nie miałem szans, by cokolwiek zrozumieć; po arabsku potrafiłem powiedzieć tylko, żeby nie strzelali i że nie ma boga nad Allaha. Co też nie było dobrym rozwiązaniem – z dwojga złego, lepiej żeby cię zabili, niż pojмали.

Tymczasem jeden, stary, w brudnych długich szatach i turbanie, łąził wokoło kapliczki po wypalanej trawie, z dywanikiem pod pachą, wreszcie zatrzymał się, spojrzał przed siebie, rozłożył kocyk i klęknął.

Wysłałem Ferdkowi i Eustachemu wiadomość, żeby się szykowali – nie mogliśmy zbyt długo zwlekać, rosło niebezpieczeństwo, że nas wykryją.

Wszystko jednak było jakieś dziwne, staruch zaczął zawodzić po ichniemu, tamci stali, milcząc, dwóch wzięło łopaty.

Chwilę potem dziad się poderwał, pokazał na niebo, zabelkotał do pozostałych, zamachał rękoma. Potem pokazał w tę stronę. Zrozumiałem – coś jest nie tak.

Wtedy – terkot karabinu – Ferdek albo Eustachy. Odpowiedziały im strzały z innej strony. Ci wokół kapliczki powyciągali pistolety, paru pobiegło do samochodów po broń.

Zacząłem ich ściągać, jednego po drugim; najpierw tego starucha rozwrzeszczanego, który pokazywał to na nasze pozycje, to na samochody – dostał w łeb, przestał wrzeszczeć, wydawać rozkazy.

Natychmiast dali ognia w moją stronę – trochę na ślepo, nikt nie trafił – wycofałem się i zmieniłem pozycję. Gdzieś z tyłu, z lewej, też dochodziły strzały i krzyki, ale Ferdek i Eustachy musieli sobie radzić sami.

Wychyliłem się z za drzewa, wycelowałem, jeden z tych, którzy nie zdążyli zwać do samochodu, dostał w pierś, padł, wczepił pazury w czarną ziemię.

Schowałem się, parę pocisków uderzyło całkiem blisko. Chciałem się zerwać, uciec do swoich, zanim wrócą tamci z kałachami, albo czymś jeszcze gorszym.

A potem coś jak fala uderzeniowa. Ale bez wybuchu, bez eksplozji. Tak po prostu uderzyło, gdy się podnosiłem, ścięło z nóg; padłem w poszycie, w mchy i paprocie, przynajmniej cały się w nich schowałem. Wypadł mi karabin. Uniosłem się, rozgarnąłem krzaki, żeby go znaleźć.

Wtedy rzucił się na mnie jeden z nich, krzycząc, że Allah jest wielki – z kałachem właśnie. Biegł, wywalił serię, nie trafił chyba tylko cudem. Padłem na ziemię, odturlałem się i wyciągnąłem pistolet, dostał w łeb.

Wyrwałem mu z rąk kałasznikowa.

Znowu ich krzyki, tym razem z drugiej strony – strzeliłem za siebie, tam, gdzie zobaczyłem ruch liści, i puściłem się biegiem w stronę kapliczki, by dopaść

najbliższego drzewa.

I zobaczyłem, w prześwicie między roślinnością, że tam, na polance, coś się dzieje, że jeden z brudasów klęczy na kocyku, klęczy przed jakimś potworem, przed czarną trąbą powietrzną, która porywa z ziemi grudy gleby i resztkę trawy, w której wirują kamienie i patyki.

Wtedy uderzył kolejny podmuch, znowu mnie zmiotło – ten był silniejszy, plecami walnąłem w drzewo, pociemniało mi w oczach, znowu zgubiłem broń.

Gdy uniosłem powieki, zobaczyłem jeszcze, jak to coś przybiera humanoidalną formę, jak jednym z wirujących ramion pokazuje w moją stronę, jak ciapaci tu biegną.

Najpierw dopadli mnie ci z tyłu, jeden chciał złapać, unieruchomić, złamałem mu rękę, dopiero drugi powalił mnie ciosem w głowę, potem uderzył znowu i jeszcze raz, i przystawili mi nóż do szyi, zaczęli wlec w stronę kapliczki, nadbiegli inni, coś krzyczeli, wiwatowali, jeden czy drugi wystrzelił w powietrze.

Przestałem czuć podmuchy wiatru, a gdy znalazłem się na polanie, nie było śladu po dziwnym zjawisku.

Dostałem jeszcze parę razy w łeb, w brzuch, zgiałem się wpół, zaraz mnie podnieśli i pchnęli, uderzyłem o osmalony murowany krzyż.

To już koniec. Wiedziałem doskonale, co teraz będzie. Los najgorszy z możliwych. Jak cię złapią, katują, obcinają głowę, w ogóle masakra, każdy przynajmniej raz widział taki film. I po jednym miał dość. Potem w nocy, przed snem, nie można było tego wypędzić spod powiek. Człowiek wyobrażał ich sobie wokół siebie – tak jak ja teraz ich widziałem. Nachylające się brodate gęby, rozwrzeszczane, dzikie.

To nie potrwa długo, pomyślałem, dziwnie spokojnie. Minutę góra. Minutę ogromnego bólu. A może nawet krócej. Są rozgorączkowani, w takim stanie nie będą się pastwić zbyt długo. Nie to, żeby nie chcieli. Zabiją raczej niechęć. W gorączce emocji zaraz maczetą utną mi łeb, który później będą sobie podrzucać.

Miałem nadzieję, że obojętność umysłu narzuci obojętność ciała. Zdawałem sobie jednak sprawę, że to daremne. Kiedy pojawi się ból, puszcza wszystkie tamy, chociaż nie wiem, czy zdążę choćby krzyknąć, gdy będę już w połowie zdekapitowany, maczeta wzniesiona do powtórnego ciosu – ten moment w wyobrażeniach zawsze jawił się jako najgorszy.

Potoczyłem po nich wzrokiem – wszystko się dziwnie przeciągało. Bardzo chciałem, żeby już się skończyło – jak w szkole, kiedy byłem dzieciakiem i miałem coś przeczytać publicznie. Moja kolej wciąż nie nadchodziła, czekałem wiecznie, o wiele dłużej niż na próbie generalnej i wszystkich innych próbach. I strach tuż przed wyjściem, i jak wychodziłem przed tłum. Ten sam strach.

Wszystko zdarzyło się równie szybko jak wtedy w szkole. Wyszedłem, powiedziałem, umarłem.

Pchnął mnie jeden z nich, oparłem się o krzyż. W dłoniach drugiego zobaczyłem kałasznikowa, a na nim bagnet.

Mój Boże.

Krzycząc, zamachnął się. Zaraz mi wypruje bebechy.

Odwrociłem głowę. Nie chciałem patrzeć. Sam zmysł czucia wystarczy, tylko ból, będzie lżej, łatwiej po prostu znieść męczarnię bez świadomości, że na ziemi leżą twoje własne jelita.

Uniosłem więc wzrok, a nade mną było jakieś inne słońce, niżej zawieszone. Ciepłejsze.

Słońce i niebo bez chmur (a jeszcze przed chwilą ledwie zza nich wyglądało). Słońce grzało twarz, co mogłoby być prawie przyjemne.

Odruch – odwróciłem głowę, mimowolnie, by spojrzeć, co się dzieje, gdzie ten bagnet, którego tak wyczekiwałem (mięśnie brzucha napięte, zupełnie bezsensownie).

Ale tam już nie kałach, nie bagnet. Tam nie muzułmanin. Tam żołnierz rzymski, a w jego dłoniach włócznia. Włócznia, która w końcu przeszywa mi bok.

Nie miałem siły krzyknąć, tylko targnąłem głową, jeszcze bardziej do tyłu, widzę czubek krzyża, krzyża, o który się opierałem, do którego mnie przybito.

Longinus wyszarpnął włócznię z mego ciała.

A gdy spojrzałem na niego po raz kolejny, zobaczyłem, że to nie Longinus, tylko zwykły brudas, że kałach obłany ma szkarłatem. Że wcale nie patrzę już na niego z góry, że teraz osuwam się na ziemię, a nagle wolnymi dłońmi – czy były wcześniej skrepowane? – mogę złapać się za bolący bok. Krew leciała przez palce.

Dziwna wizja zniknęła. Zostały tylko kolejne ciosy. Ale chciałem jeszcze raz spojrzeć na to dziwaczne słońce, sprawdzić, czy jeszcze tam jest. I było, spojrzałem, było, wielkie, nisko nad ziemią, ponad czarnym krzyżem. Mrużyłem oczy, i ten obraz był ostatnim, co wypaliło mi się pod powiekami, nim je zamknąłem.

* * *

Potem było przebudzenie.

Śpiew ptaków.

Światło prześwitywało przez liście, zamknąłem oczy, przebijało się przez powieki, odwróciłem głowę.

Wilgotna ściółka na policzku.

Spróbowałem się ruszyć, wstać – ból w nodze, ból w ręce, ucisk w czaszce, jakby mi bok obcęgami poszarпали.

A potem sobie przypomniałem.

Gdy już oczy nawykły do światła, rozejrzałem się ostrożnie (jakby ktoś do głowy szkła nasypał). Wykopali dół, zasypali i przygnietli kamieniami. Teraz kamienie leżały rozrzucone na boki. Kombinezon zdjęli, zostałem tylko w spodniach moro i koszulce, brudnych od ziemi i krwi, która już dawno zaschła.

Dotknąłem czoła, musieli mi głowę rozbić, czy coś takiego, krew miałem na całej twarzy (albo błoto i brud), wszędzie strupy. Przekręciłem się z sykiem, wszystko bolało, jakby mnie ktoś skopał.

W końcu wstałem, podpierając się o najbliższy kamień, i zaraz na nim usiadłem, objąłem głowę dłońmi.

Gdy trochę przestała boleć, potoczyłem wzrokiem wokół. Nie zawlekli mnie daleko, ujrzałem znajomą polanę, wypaloną trawę w liściastym prześwicie. Podniosłem się, wziąłem jakiś kij i podpierając się, ruszyłem powoli w tamtą stronę.

Po kapliczce tylko ślad, parę cegieł tu i tam, wbitych w ziemię. Musieli wysadzić. Czarna ziemia całkiem przeorana, trzy doły, trzy hałdy ziemi. Kopali.

Ale nie znaleźli. Nie znaleźli, więc poszli dalej.

Zacząłem iść w stronę wioski. Widziałem ślady opon, pozrywaną trawę. Mieli chyba nawet jakiś wóz opancerzony, gąsienice zostawiały wyraźny ślad.

Nie słyszałem ich. Wokół nic, tylko śpiew ptaków, szum wiatru. Tak jak powinno być.

Tak jak stworzył tę krainę Bóg.

Wiedziałem, co zastanę, nie pomyliłem się – zwęglone resztki domów, w ścianach, które się ostały, dziury po kulach. Gdzieniegdzie placki nagiej gleby, bez wątpienia wyrwane przez granaty. Kto rzucił? Chyba nasi, wnioskując po miejscach eksplozji. Coś się ostało: zwęglona dzwonnica z czarnym krzyżem na tle białych chmur, przez które co rusz prześwitywało słońce. Patrzyłem na nią przez długi czas.

Czekałem, to było najrozsądniejsze.

Gdy usłyszałem kroki, odwróciłem się. Nie obawiałem się, sądząc po śladach, niewierni już dawno stąd odjechali, nie mieli po co tu zostawać, skoro wszystko już wypalili.

Ferdek miał broń przewieszoną przez ramię, kombinezon nieco osmalony, dostał postrzał w ramię, bandaż był biały, opatrunek świeżo zmieniony.

Stał i gapił się głupio.

– Janek.

– Aha.

– Ty żyjesz.

Włożyłem rękę pod koszulę, pomacałem się po boku – był tam wielki skrzep. Syknąłem z bólu. Ale mogłem iść, jedynie kulałem trochę, ból nie gorszy niż przy porządnym stłuczeniu.

– Żyję.

– Jak?

– Widać spartaczyli. Zapomnieli mi obciąć głowy.

– Ale jakby zaczęli.

Dotknąłem szyi. Rzeczywiście, też skrzep, niczym czerwony stryczek.

– Ruszyli tu od razu?

– Co?

– Po tym, jak mnie złapali. Daliście radę się wycofać?

– Tak. Ale nie przyszli od razu.

– Nic się już nie pali.

– Jak to?

– Powinno się jeszcze palić, domy by tak szybko nie zgasły. Gdyby zaczęli jakoś szybciej, od razu, to może już by wszystko wygasło. A tak powinno być chociaż ciepło. Bo przecież mieszkańcy sami by tego nie podpalili... Wyprowadziliście ich,

prawda?

Milczał długo, spojrział w stronę, z której przyszedłem.

– Janek, jak myślisz, ile cię nie było?

Teraz ja nic nie mówiłem. Tu już wszystko wygasło. Dawno. Dziesiątki godzin temu.

– Ile?

– Trzy dni.

– Trzy dni?

– Tak.

Skinąłem głową.

– Nie daliście rady się obronić? Mieli granaty zapalające? Miotacz ognia?

– Nie. To było coś...

– Ach. Wiem. Fałszywy anioł.

– Fałszywy?

– Tak. Widziałem już jednego.

– Czemu fałszywy?

– Nie pochodzi od Boga. Jest zły.

– Zły?

– Tak. Ale nie obawiaj się. Nie trać wiary. Damy radę.

Potem jeszcze raz spojrział tam, skąd przyszedłem. Mówił powoli:

– Janek... jak ty stamtąd... znaczy...

– Byłem martwy, Ferdek.

– Martwy?

– Mhm. Zabili mnie.

– A teraz żyjesz?

– Bóg pozwolił.

– Bóg?

– Tak. Najpierw mnie zamęczyli. Pod krzyżem. Widziałem go. Widziałem Longinusa, a patrzyłem Jego oczami. A potem zmartwychwstałem.

– Zmartwychwstałeś?

– Sam mówiłeś. Po trzech dniach.

– Janek, przecież to, co widziałeś... posłuchaj, tu coś jest... przez te wybuchy, w tej ziemi. I to zmienia... nie wiem, ludzi, to zwidy jakieś, ale wszystko się materializuje, te ich anioły, to ich wstawanie ze zmarłych, by móc od nowa walczyć z niewiernymi...

– To oni są niewierni.

– ...i to właśnie może być rezultat, że oni mają w głowie jedno, to tak właśnie zadziałało, jakoś się z ich religią sprzęgło, bo oni bardzo ściśle są z nią zżyci, tylko ona w nich siedzi. Tego mogła też doświadczyć ta kobieta, która się przy papieżu zdetonowała... mogli ją tu zabrać, a potem taką nafaszerowaną... perfekcyjna indoktrynacja, nikt nie podejrzewał... No przecież może tak być, prawda?

– Może. Zależy, jakich rozwiązań szukasz.

– Najprostszymi, Janek, najprostszymi. Sam pomyśl: coś w tej ziemi. Coś, co tak

działa na... na akurat ten obszar naszej podświadomości. Coś zależnego od... nie wiem, od fizyki... przecież w Biblii też były te wszystkie cuda, też widywano Boga, wiele razy. Może to się znowu uaktywniło... Tak sobie myślałem, wiesz, może tam, na kontynencie, przez te kilka tysięcy lat już się wyeksploatowało. Ale tu jeszcze nie, tu jeszcze tego nie ruszyli, dopiero bomby odkryły... coś. Przecież tu też pokolenia Indian biegały, a z góry mógł patrzeć nawet Manitou. Nie sądzisz, że wcześniej by to jakoś sami zużyli? A może właśnie nie. Może tu trzeba konfliktu, może jedna religia i druga religia, albo odpowiednie myśli...

– Albo nic tu wcześniej nie było. Może po prostu teraz na nas spojrzal. Spojrzeli obaj.

– Obaj? Czyli kto?

– Szatan i Bóg.

– Ale dla muzułmanów to właśnie Allah...

– „Wielu bowiem przyjdzie pod moim imieniem i będą mówić: Ja jestem Mesjaszem. I wielu w błąd wprowadzą”. A jak nie Bóg... to co takiego?

– Ale pomyśl, mogli, prawda? Tak tej kobiecie jakoś zamieszać w głowie... Sam przyznaj, mogli?

Już stał obok, już mnie trzymał za ramię, zaglądał w twarz, przekonywał sam siebie, radził sobie jakoś z tym, że umarłem, a żyję.

– Mogli – przyznałem. – Dlatego trzeba ich powstrzymać.

– Jak niby?

– Z pomocą Boga. Ilu Amerykanów przeżyło?

– Niewielu, Janek Ale co ty... Co ci się tam stało? Nie widzisz, że jesteś jakiś... inny?

– Prowadź mnie do nich. Do tego księdza, jeśli przeżył.

– I co im powiesz?

Odwróciłem się, by spojrzeć na czarny krzyż na tle białych chmur, akurat wyjrzało zza nich słońce, skąpało go w złotych strugach.

– Tamci powiedzieliby, że to wszystko kismet i wola Allaha.

– A ty?

– Że przysłał mnie Bóg.

Bartłomiej Dzik

SMIAK RAJU

Samochód pokonał ostry łuk z gracją, o jaką trudno było podejrzewać potężnego pięciometrowego SUV-a. Choć auto miało przed sobą odcinek stromego podjazdu, przyspieszało płynnie, bez cienia zadyszki. Cóż to bowiem za sztuka dla czterystu mechanicznych rumaków pociągnąć żwawo pod górkę dwie tony stali i aluminium?

Gorąc popołudniowego słońca szczypał kępy traw, nasycając powietrze szorstkim aromatem. Jeśli – używając terminologii perfumeryjnej – trawa tworzyła nutę bazową tego miejsca, to jabłeczna woń fermentującego cydru formowała nutę serca, słodką i przyjemnie orzeźwiającą. Nutą głowy, ta najbardziej ulotna, jeszcze przed chwilą szczypała w nos jak bursztynowy calvados, ale szybko stawała się jodem, solą... morzem. Skaliste wybrzeże Normandii było już bardzo blisko.

Szerokie opony pewnie trzymały się czarnej taśmy idealnie wylanego asfaltu. Gruba warstwa lepiku amortyzowała wszelkie wibracje, tak że leżące pod nią kamienie mogły spać spokojnym snem. Stare kamienie, pamiętające jeszcze rytmiczny marsz angielskich łuczników, którzy siali tu spustoszenie przed siedmioma wiekami. Łucznicy dostali rozgrzeszenie sześćset lat później – gdy przybyli ponownie, tym razem jako wyzwoliciele spod jarzma germańskich barbarzyńców. Potem już było spokojnie, coraz spokojniej, aż wreszcie ktoś nałożył na sędziwą drogę asfaltowy całun. Wtedy kamienie zasnęły na dobre.

Auto objechało niewielkie wzgórze i zwolniło na widok znaku stojącego przy prawym poboczu, tuż przed prostopadłą odnogą. Właściwe to były trzy znaki, jeden pod drugim. Na górze nowoczesna geometryczna symbolika: trójkąt jako wieża, prostokąt jako nawa, krzyżyk jako krzyż – zabytek sakralny. Pod spodem tabliczka z nazwą, za długą, by ją zapamiętać po jednokrotnym przeczytaniu. Jeszcze poniżej drewniany prostokąt, a na nim wypalony znaczek spłaszczonego walca z wyciętą ćwiartką. We Francji to mogło oznaczać tylko jedno. Ser.

Kierujący autem Gilbert Sauverand pomyślał, że widoczny na znaku wycięty fragment walca jest względnie duży. Zazwyczaj marketingowy ideogram obejmuje ósmą lub szóstą część serowego krążka, a nie ćwiartkę. To mogło mieć jakieś znaczenie, choć zapewne nie miało. Ale Gilbert zwracał uwagę na takie szczegóły.

Prawa stopa zsunęła się z pedału gazu i delikatnie musnęła hamulec. Auto powoli wytraciło prędkość do trzydziestu kilometrów na godzinę i skręciło w prawo. Nawierzchnia bocznego traktu była utwardzona, ale nie asfaltowa. Tutaj wiekowym kamieniom nie dano zasnąć na dobre pod czarnym całunem; od dziesięciu wieków mogły sobie pozwolić jedynie na parogodzinne czy z rzadka parodniowe drzemki.

Droga przecinała niewielki gęsty las, by potem łagodnie opaść łukiem w stronę strumyka, pokonać go kamiennym mostkiem i pognać pod górę na zielone wzniesienie. Była wąska i pozbawiona pobocza, dwa auta nie miały szans minąć się

na niej bez zjeżdżania na trawę. Romański klasztor na środku wzgórza objawiał się w całym swym majestacie zaraz, gdy wyjechało się z lasu, choć z asfaltowej szosy nie sposób było dostrzec nawet szczytu dzwonnicy. Budowla sprawiała zatem wrażenie położonej wyżej niż reszta obiektów w okolicy, a jednocześnie ukrytej za pierścieniem wzniesień. Ot, taki figiel dla niedoskonałych oczu płatany przez specyficzne pofałdowanie terenu...

Mechaniczne rumaki z ośmiocyndrowej stajni już dawno zrezygnowały z galopu, a teraz nawet zarzuciły kłus na rzecz majestatycznego stępa. Samochód przejechał przez otwartą bramę niewysokiego ogrodzenia i wnet znalazł się pomiędzy dwoma stadkami zwierząt. Po lewej skubał trawę tuzin mlecznych krów, nie zwracając najmniejszej uwagi na auto; po prawej cztery kozy, przywiązane postronkami do wystającego z ziemi palika, zaciekawione, uniosły głowy, patrząc w stronę zmotoryzowanego gościa. Trzy były szare, jedna smoliście czarna. I jeśli można w ogóle mówić o minach w przypadku zwierząt, czarna miała minę zainteresowaną i skupioną. Kierowca nie mógł oczywiście tego dostrzec, choćby ze względu na dzielącą go od zwierzęcia odległość, ale podskórnie czuł, że tak właśnie jest. Czarna koza, kontrastowy kleks na kobiercu zielonej trawy, przypatrywała mu się z zainteresowaniem.

Auto zatrzymało się niedaleko bramy klasztoru, na skraju prowizorycznego parkingu wyłożonego tłuczonym kamieniem. W odległości jakichś dziesięciu metrów stała szara furgonetka z zapalonymi światłami i włączonym silnikiem. Na dachu miała charakterystyczny płaski moduł kompresora chłodziarki. Ubrany w dżinsy i wełniany golf, brodaty mężczyzna pożegnał się z mnichem w czarnym benedyktyński habicie, nałożył okulary przeciwsłoneczne i usiadł za kierownicą. Gilbert zgasił silnik, uchylił drzwi i postawił stopę na ziemi. Mnich, który odprowadzał kierowcę furgonetki, trzydziestoparoletni łysiejący blondyn uśmiechnął się przyjaźnie i zrobił krok do przodu. Jednocześnie od strony głównych zabudowań klasztornych dało się słyszeć odgłos sandałów szorujących po kamieniach. Niewysoki starszy zakonnik o ogorzalej, wielce pocziwej twarzy dreptał zdyszany w stronę auta. Gdy Gilbert niespiesznie wysiadł i zatrzasnął drzwi, staruszek był już przy nim.

– Szczęść Boże! – przywitał się niskim, ciepłym głosem. – Niebawale... przybył pan z iście zegarmistrzowską precyzją, dokładnie według zapowiedzi.

Gilbert uniósł kąciki ust w delikatnym uśmiechu.

– Szczęść Boże! – odwzajemnił przywitanie. – Nawyk zawodowy zza Atlantyku. Widać francuska krew w moich żyłach jest już mocno rozrzedzona...

– My tu w klasztorze nie przywiązujemy specjalnej wagi do czasu. Kwadrans, godzina, cóż to znaczy wobec wieczności! Jestem ojciec Bertrand, przeor tego Domu Bożego. Nie mamy opata – dodał takim tonem, jak gdyby ten fakt wymagał usprawiedliwienia. – Jesteśmy za mali.

Właśnie minęła ich odjeżdżająca szara furgonetka. Gilbert mimowolnie rzucił okiem na kościół i przyległe zabudowania, weryfikując zasłyszane przed sekundą słowa.

– Rozmiar nie ma znaczenia – stwierdził filozoficznie i natychmiast uśmiechnął się przeproszająco.

Uwaga wypowiedziana wobec rozmówcy niższego o głowę i lżejszego o trzydzieści kilogramów mogła zostać odczytana dwuznacznie.

– Oczywiście. Liczy się to, co w środku – odparł równie filozoficznie zakonnik. – Brat Arnaud – wskazał na blondyna – zaprowadzi cię do domku dla gości, to samodzielny budynek między cmentarzem a murem dormitorium. Jeśli zdążysz się odświeżyć w pół godziny, zapraszam na nieszpory o osiemnastej. Po kolacji omówimy nasze sprawy.

Po kolacji omówimy nasze sprawy – powtórzył w myślach Gilbert i skinął głową.

* * *

Kwatera gościnna dorównywała wiekiem budynkowi klasztoru i była przystosowana do przenocowania pół tuzina osób w dwóch ascetycznie urządzonych izbach. Czas zatrzymał się tu gdzieś w okolicach połowy dziewiętnastego wieku, jeśli nie liczyć poprowadzonych bezpośrednio na ścianach i pobielonych kabli. Cała elektryczność ograniczała się zresztą do dwóch żyrandoli, lampki na biurku i jednego wolnego gniazdka. Ciepło zapewniał niewielki kominek, niepotrzebny o tej porze roku, ale gotowy do użycia, z sosnowymi polanami ułożonymi obok w półmetrowy stosik. Wystająca ze ściany miedziana rurka z jednym kurkiem zapewniała bieżącą wodę. Rzecz jasna – tylko zimną.

Gilbert rzucił na łóżko wyciągniętą z samochodu torbę, wyjął świeżą koszulę, kosmetyczkę i aktualne wydania *New York Timesa* i *Le Figaro*. Obmył twarz i tors orzeźwiająco wodą, przebrał się, podszedł do powieszanej na oparciu krzesła kurtki i z wewnętrznej kieszeni wydobył telefon komórkowy. Ikonka przekreślonej anteny sygnalizowała brak zasięgu. Dokładnie tak, jak się spodziewał.

* * *

Ktoś nieco złośliwy, albo po prostu dobrze znający ludzką naturę, powiedział kiedyś, że dla francuskiego zakonnika nakaz milczenia przy posiłku jest większym wyzwaniem niż śluby czystości. Rzecz jasna piękne uwodzicielki zawsze będą miały niezrównaną moc kruszenia sumień, ale odizolowani od świata braciszczowie nie byli na co dzień narażeni na pokusę podbrzusza, za to ich języki aż trzy razy dziennie wystawiano na ciężką próbę.

Mnisi jedli w milczeniu. Wykonane z kamiennych bloków ściany refektarza odbijały tylko odgłosy sztućców, zresztą bardzo delikatne, przez fakt użycia staromodnej, częściowo drewnianej zastawy. Zdecydowanie mocniejszy od dźwięku był zapach. Zapach ostry i słodki, rześki i antyczny, zapach pleśni szlachetniejszej niż złoto i ziół zieleńszych niż afgańskie szmaragdy. Aromaty tak gęste, że niemal dotykalne – jakby ktoś poprzeciągał w poprzek stołów szale z niewidzialnego kaszmiru. Zapachy doskonałe, w których zamknięto całą skomplikowaną *genesis* klasztornej sera, chleba, wina, nalewki...

Tak, to możliwe. Specjaliści podśmiewają się czasem ze snobów, którzy smakując wina, deliberują o składzie chemicznym gleby w winnicy. Ślepe testy udowadniają, że to wszystko bełkot. Grany przez niezapomnianego Louisa de Funesa koneser Charles Duchemin, potrafiący rozpoznać gatunek, rocznik, a nawet stopień nasłonecznienia winnicy tylko po oględzinach zawartości kieliszka, to postać równie uroczą, co fantastyczna. Taki kulinarny Spiderman czy Incredible Hulk. Naukowcy są zgodni – żywność nie przenosi zakodowanej w ten sposób historii. Inna rzecz, że ci naukowcy nigdy nie gościli w pewnym benedyktyńskim klasztorze...

Siedzący po prawicy przeora Gilbert miał dobry punkt obserwacyjny na cały refektarz. Bracia zakonnicy, w większości w jesieni życia, ale też niektórzy całkiem młodzi, zapelniali trzy czwarte miejsc w poczerniałych ze starości ławach, co we Francji mogło uchodzić za dowód znakomitej kondycji klasztoru. W połowie wysokości między podłogą a sklepieniem złociste snopy światła z okien przecinały skośnie komnatę. Utkane słońcem przekątne były absolutnie czyste, pozbawione charakterystycznego skrzywienia unoszących się w powietrzu drobinek. Ponoć tak właśnie wyglądało wpadające oknami światło w czasach przed rewolucją przemysłową. Drobną ciekawostką... albo kolejnym szczegółem wart odnotowania.

Po skończonym posiłku Gilbert z przeorem wyszli na wirydarz. Kwadratowy dziedziniec był mikroskopijny, ale znalazło się na nim miejsce dla wypielęgnowanego różanego ogrodu. Ojciec Bertrand zatrzymał się przy jednym z krzewów i czule, jakby z rodzicielską troską, musnął palcami imponujący kwiat w kolorze głębokiej czerwieni, niemal wpadającej w ciemny brąz.

– „Korona cierniowa” – przerwał ciszę Gilbert. – Tak nazywa się ta odmiana, nieprawdaż?

– Dokładnie. – Zakonnik przytaknął lekkim skinieniem głowy. – Jedna z moich dwóch ulubionych. – Podeszedł do innego krzewu i znów musnął kwiat, tym razem o barwie starego złota. – A to druga...

Na twarzy Gilberta odmalowało się pytanie.

– „Opatrzność Boża” – pośpieszył z wyjaśnieniami benedyktyn.

– Nie znałem... Piękna.

Zakonnik znów bezgłośnie przytaknął.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni za pański wysiłek włożony w zdobycie zezwoleń i kontraktów – zmienił temat i ruszył wolnym krokiem w stronę drzwi do dormitorium, przy północnej ścianie dziedzińca. – Biskup Johnson z Prałatury Dzieła nie mógł się pana nachwalić...

– Przesada. – Gilbert zrobił lekko zakłopotaną minę i spacerowym krokiem podążył za przeorem. – Jestem tylko prawnikiem z paroma użytecznymi koneksjami. To nic wielkiego. Elity są snobistyczne i bez specjalnego zachęcania wydają pieniądze na wszystko z metką „organic” i „slow food”.

Zakonnik otworzył przejście; weszli do środka, minęli schody na piętro i przedsionek. Potem uchylił kolejne drzwi i znaleźli się na zewnątrz, tuż przy domku gościnnym.

– Ale jednak były pewne problemy z zezwoleniami, czyż nie? – westchnął.

– Sprawa z nie do końca zrozumiałych powodów utknęła między instytucjami. To się czasem zdarza, uroki biurokracji. Wiedziałem po prostu, jak pociągnąć za odpowiednie sznurki. Wszystkie papiery są już w porządku, mogę je ojcu przekazać w tej chwili...

– O nie, ja się na tym zupełnie nie znam! – Zakonnik aż uniósł rękę, jakby chciał zasłonić się przed fizyczną napaścią. – Weźmie je od ciebie jutro ojciec Jean–Pierre, nasz ekonom.

Minęli domek dla gości, skręcili przed cmentarzem i ruszyli w stronę zabudowań gospodarczych.

– Kanada to nie jest wielki rynek – mówił Gilbert. – Ale wejście tam przetrze wam szlaki do USA. Zresztą nie zasypiamy gruszek w popiele i już zaczęliśmy pracować nad zezwoleniem FDA. Myślę, że sprawę da się domknąć jeszcze w październiku.

Mnich zwolnił i zrobił zamyśloną minę.

– Nasze sery w Hollywood... Albo w Las Vegas, mieście grzechu. Oni tam bardzo potrzebują wybawienia...

– O tak. – Gilbert zaśmiał się pod nosem. – Wasze produkty są prawdziwym wybawieniem dla podniebienia...

– To też. Lecz ja mówiłem dosłownie.

Gilbert zmarszczył brwi. W odpowiedzi ojciec Bertrand wskazał na dużą oborę.

– Zaraz wszystko wytłumaczę.

* * *

Wewnątrz, zamiast muczenia, przywitały ich dźwięki organów.

Stojące w dwóch rzędach krowy znajdowały się jakby w półśnie, z lekko przymrużonymi oczyma. Tylko minimalne ruchy nozdrzy zdradzały, że oddychają. Ogony dyndały bezwładnie. W boksach dla zwierząt ewidentnie brakowało jakiegoś istotnego elementu, jednak Gilbert nie mógł żadną miarę dojść, czego konkretnie. Dziwne uczucie.

Unosząc wzrok ku sufitowi, można było odnieść wrażenie, że do sklepienia podczepiono odciętą wzdłuż połówkę promu kosmicznego, tyle tam plątało się okablowania i tajemniczo wyglądających urządzeń. Kantata dobiegająca z głośników – o ile były to naprawdę głośniki – brzmiała tak naturalnie i czysto, że obserwator już prędzej wierzył w to, że aparatura jest iluzją zasłaniającą imponujące organy i grającego na nich arcymistrza, niż w to, że dźwięk faktycznie płynie z instalacji nagłaśniającej.

– Nie... do... wiary... – wyszeptał Gilbert na granicy słyszalności.

– Muzyka to wielki dar od Pana. Może zmieniać serca, otwierać na łaskę – rzekł zakonnik niewiele głośniejszym głosem, jak gdyby nie chciał, by jego słowa zanieczyściły dźwięki kantaty.

– Coś jak „efekt Mozarta”...

– W pewnym sensie. – Ojciec Bertrand przytaknął głową z uznaniem. – Swoją drogą, Mozart to bardzo ciekawy przypadek. Formalnie był wolnomularzem.

Niektórzy twierdzili, że masonstwo odcisnęło piętno na jego muzyce.

– Bzdura!

– Oczywiście, że bzdura; ale w pewnych kręgach popularna. I dopiero kilkanaście lat temu udało nam się ją obalić. – Przeor uniósł rękę ku sklepieniu obory. – Jak doskonale wiesz, Ojciec Święty Benedykt XVI był miłośnikiem Wielkiego Austriaka. Jeszcze jako prefekt Kongregacji do Spraw Wiary zlecił nam dokładne zbadanie prawowierności dzieł Mozarta naszą aparaturą. Testy wypadły jednoznacznie: Wolfgang Amadeusz jest czysty! Ale wracając do rzeczy... Klasyczny „efekt Mozarta”, o którym wspomniałeś, jest czymś bardzo ulotnym, zanika szybko po wybrzmieniu muzyki. My jakiś czas temu odkryliśmy, że w odpowiednich warunkach pozytywny wpływ muzyki sakralnej da się wychwycić, zamknąć i skoncentrować w materii ożywionej. W świeżym mleku. W dojrzewającym serze...

Gilbert jeszcze raz omiół wzrokiem sufit i boksy ze zwierzętami, by wreszcie opuścić oczy na drobnego zakonnika.

– Jak silne jest to oddziaływanie? – zapytał. – To znaczy, jak silnie ser działa na ludzi?

Ojciec Bertrand rozłożył ręce.

– Człowiek ma zawsze wolną wolę. Nie możemy nikogo zmusić do porzucenia grzechu, ale możemy mu pomóc. Jest to... dość solidna pomoc. Świadczenia nawróceń płyną z całej Europy.

Sauverand chciał coś odpowiedzieć, ale zamarł z rozchylonymi w połowie ustami, czekając, aż wybrzmia majestatyczne akordy. Tak jak wcześniej melanz aromatów w refektarzu, tak teraz otulająca go muzyka były czymś bardziej rzeczywistym niż materialna rzeczywistość. Czymś przenikającym przez skórę do ciała, przez ciało do kości, przez kości do... duszy?

– To zabawne... Jak sobie pomyślę – odezwał się w końcu – że taki, na przykład, producent filmów pornograficznych z Los Angeles z czystego snobizmu kupi kiedyś wasze wyroby. A gdyby wiedział...

– Pewnie by nie kupił. Niemniej my przecież wcale nie ukrywamy, co tak naprawdę oferujemy. – Zakonnik wskazał na wiszącą nad wejściem tablicę ze stylizowanym, staroświeckim logo.

Le Goût de Paradis

Smak raju

– Ktoś zje, dlatego że nie uwierzy – odparł Gilbert. – I uwierzy, dlatego że zje.

– Zatem uwierzy, dlatego że nie wierzy...

Wybrzmiały ostatnie dźwięki kantaty. Cisza, która zapadła na chwilę, była niczym kosmiczna próżnia. Była pustką, samotnością, egzystencjalną tęsknotą. Drzwi do obory uchyliły się bezgłośnie i do środka wszedł wysoki młody zakonnik o oliwkowej karnacji i kruczoczarnych włosach, pochodzący zapewne z Maghrebu.

– Nie polegamy tylko na nagraniach – wyjaśnił ojciec Bertrand. – Czasem instalacja służy jako podkład. Brat Laurent, którego tu widzisz, nie ma sobie równych, jeśli chodzi o śpiewanie psalmów po łacinie.

Młody mnich uśmiechnął się niepewnie i zrobił zakłopotaną minę. Przeor gestem dłoni dał sygnał Gilbertowi, by opuścili oborę. Żegnał ich zniewalający kontratenor w rzewnym akompaniamencie skrzypiec. Sauverand zatrzymał się nagle, robiąc zaintrygowaną minę.

– Uświadomiłem sobie teraz jedną rzecz... Choć może po prostu coś przeoczyłem. Sprzedajecie tylko krowie sery, nieprawdaż?

Zakonnik skinął głową.

– W oborze były tylko krowy?

Powtórne skinięcie.

– Ale gdy przyjeżdżałem, widziałem też cztery pasące się kozy.

Ojciec Bertrand uniósł oczy ku niebu, jakby szukał inspiracji w iskierkach pierwszych gwiazd.

– To fakt – odpowiedział. – Kozy są gdzie indziej, bo słuchają black metalu...

* * *

– Mądrość Boża jest nieskończona i czasem pozwala bluźniercze narzędzia obrócić przeciw samemu Władcy Ciemności – mówił zakonnik, gdy mijali sad i małe składki narzędzi ogrodniczych. – Mało kto o tym wie, ale pierwsze próby kanalizowania zła w materii organicznej podjęto już ćwierć wieku temu na Kubie. Na plantacjach tytoniu rozbrzmiewały komunistyczne marsze i inne antychrześcijańskie pieśni. Tak skażony tytoń był potem wykorzystany do produkcji ekskluzywnych cygar...

– Co prawda obłożonych embargiem w USA – wtrącił Gilbert. – Ale przecież nie tak nie kusi jak owoc zakazany.

– Otóż to! Zaiste diaboliczny zamysł: złamać ducha amerykańskich elit za pomocą garstki zrolowanych liści. Na szczęście ich plan spalił na panewce, bo nie dysponowali odpowiednią technologią utrwalania muzyki. Nasza instalacja powstała przy pomocy kilkunastu najtęższych umysłów ścisłych z trzech kontynentów, wybitnych akademików i praktyków oddanych Dziełu.

Doszli do drugiej obory, niewielkiego budynku, położonego w pewnej odległości od reszty zabudowań. Drzwi, z zewnątrz wyglądające całkiem zwyczajnie, od środka okazały się bardzo masywne i uszczelnione grubą gumową taśmą. Po otwarciu powietrze zadrżało od chrapliwych ryków i basowego dudnienia. Zrobiwszy trzykrotny znak krzyża, ojciec Bertrand wszedł do środka i dotknął znajdującego się tuż przy ościeżnicy panelu. Hałas przycichł wyraźnie, choć wciąż kaleczył uszy.

Instalacja przy suficie była podobna do tej z krowiej obory i zarazem bardzo od niej odmienna – miały się one do siebie mniej więcej jak karawan do rodzinnego kombi. Kozy nie poruszały się nerwowo, ale też nie stały spokojnie w miejscu. Wyglądały jak odurzone narkotykiem.

Gilbert nie mógł powstrzymać ironicznego uśmiešku.

– Niejeden miłośnik ciężkiego brzmienia sprzedałby duszę diabłu za taki sprzęt.

– Oni sprzedają duszę za dużo mniej, niestety! – odpowiedział smutnym tonem zakonnik. – Ta obora jest naszym nowym projektem. Spaczona twórczość, która

otwiera ludzkie serca na wpływ złych duchów, to jeden z większych tryumfów Szatana w minionym stuleciu. Liczba sprowadzonych przez złą muzykę opętań idzie w setki i tysiące, a to, co widzimy, to jedynie wierzchołek góry lodowej.

Czarna koza chrapnęła głośno, jakby dając do zrozumienia, że nie podobają jej się słowa benedyktyna. Gromada much zerwała się z jej głowy, zatoczyła krąg w powietrzu i wróciła na swoje miejsce. *Muchy!*

Gilbert zmarszczył brwi. Tego mu właśnie brakowało. *W oborze z krowami nie było much.*

– Nie wszystkie zwierzęta są takie same – mówił dalej ojciec Bertrand. – Niektóre Władca Ciemności upodobał sobie szczególnie. To nie przypadek, że w demonografii diabeł ma wiele kozich atrybutów. Podobnie ma się sprawa z węzami. Trzeba uważać, bo czasem pod tę oborę podpełzają żmije. Pełno tu też much, sług Belzebuba.

– Wciąż nie do końca rozumiem...

– Przez złą muzykę sączą się demony. Nasza instalacja niejako ściąga je ze świata i koncentruje w mleku, a potem w serze. Owszem, produkujemy kozie sery. Są one jednak opętane i wywożone do zaprzyjaźnionych egzorcystów.

Gilbert ciężko przełknął ślinę.

– Egzorcyzmujecie... sery?!

Ojciec Bertrand uśmiechnął się dobrotliwie:

– Demony można uwięzić w ciele zwierząt, jak to uczynił Jezus, wypędzając Legion do stada świń. My robimy coś bardzo podobnego. Dojrzewający ser jest rodzajem żywego organizmu. Jest wręcz, jak to mówią niektórzy, samodzielnym ekosystemem, mikrokosmosem. To bardzo dobre miejsce na złapanie w sidła demona, którego potem rytuał egzorcyzmu wygna do otchłani.

Czarna koza zabeczała dudniąco, żałośnie. Gilbert poczuł mrowienie na palcach lewej dłoni. Dwie muchy pełzały mu po kostkach. Ruszył lekko ręką, aby je odegnąć, ale złośliwie uczepliły się skóry.

– Lepiej już chodźmy – rzekł zakonnik.

* * *

Szafirowy nieboskłon skrzył się miriadami gwiazd, z których większość byłaby dostrzegalna gdzie indziej jedynie za pomocą teleskopu. Niezwykły widok dałoby się wytłumaczyć racjonalnie – poprzez odwołanie do wyjątkowej przejrzystości powietrza w tym oddalonym od cywilizacji zakątku, lub też metaforycznie – uznając, że normandzki klasztor w jakimś sensie leży „bliżej nieba”.

Przez otwarte okiennice domu gościnnego sączyły się rześkie powiewy, niosące aromat traw i ziół, dojrzałych owoców i nutkę morskiej soli. Pachniały też mury klasztornych zabudowań, choć na zdrowy rozum kamienie nie pachną. To było jak zapach starego papieru, jak woń chrupiącej skórki chleba, jak dębowy aromat z beczki, w której leżakował wiekowy trunek. Kamienie nie mają prawa tak pachnieć. A jednak!

Gilbert wsłuchiwał się przez chwilę w koncert ukrytych za linią półmroku

świerszczy. Cykały zwyczajnie, przynajmniej tak się wydawało. Chociaż gdyby miał się zakładać... Coś w trawie zaszleściło na granicy słyszalności.

Czyżby zmija?

Kciuk wystukał na dotykowym ekranie telefonu kilkunastocyfrową kombinację. Ikonka braku zasięgu zniknęła, a parę sekund później na jej miejscu pojawił się mały symbol anteny satelitarnej.

* * *

Po porannej modlitwie i śniadaniu ojciec Jean Pierre zabrał gościa do dawnego skryptorium, pełniącego obecnie rolę archiwum i kancelarii. Klasztorny ekonom był korpulentnym staruszką, w okularach o złotych oprawkach zsuniętych na sam czubek wielkiego nosa. Rozdzielił gruby plik papierów na cztery stosy ze sprawnością godną krupiera w Monte Carlo, rozdającego karty do *vingt-et-un*. Podpisał co trzeba i wręczył Gilbertowi.

– Doskonale! To rozwiązuje wszystkie nasze problemy. – Zakonnik zatarł ręce, a na jego twarzy odmalował się wyraz dziecięcej wręcz radości. – Teraz muszę tylko ścieśnić harmonogram naszych europejskich dostaw, by upchnąć gdzieś regularne transporty do Montrealu. Z Bożą pomocą pierwsza partia powinna trafić za Atlantyk już za dwa tygodnie.

– Macie bardzo napięty terminarz? – dopytał Gilbert.

– O tak! – Ojciec Jean–Pierre odruchowo poprawił okulary. Robił to co pół minuty, ale one i tak momentalnie zsuwały się na koniec nosa. – Wciąż pojawiają się nowe zamówienia, z oczywistych względów nie chcemy nikomu odmawiać, ale przecież w oborze nie zmieści się już więcej krów, a sery muszą dojrzewać parę miesięcy. Szczerze mówiąc, to sam nie wiem, jak się z tym wszystkim wyrabiamy, bo gdyby podejść do tego w sposób czysto księgowy, tak z kalkulatorem w rękę, to produkujemy więcej, niż jest możliwie na papierze. Opatrzność Boża czuwa... – Złożył ręce jak do modlitwy i wzniosł oczy ku niewidocznemu niebu.

Gilbert uśmiechnął się, zgął plik trzymany w dłoni papierów na pół i wsunął do kieszeni kurtki.

– Ojciec Bertrand planuje uruchomienie drugiej obory i zaadaptowanie części podziemi pod klasztorem na dojrzewalnię – uzupełnił ekonom. – To pozwoli nam podwoić produkcję, choć pewnie dopiero za rok.

– Wspaniała perspektywa. Wtedy już pewnie ruszą dostawy do Stanów.

– Miejmy nadzieję. Nic tak nie cieszy mnie i współbraci, jak świadomość, że nasze wyroby trafiają na kolejne rynki. To jakby obserwować na żywo Judytę maszerującą do obozu Holofernesa...

Sauverand delikatnie uniósł kącik ust, ale nie był to uśmiech.

– O tak, na pewno...

Księga Judyty to bardzo dobra analogia – dokończył w myślach.

* * *

Gilbert podszedł do samochodu, otworzył klapę i uniósł pokrywę schowka w podłodze bagażnika. Wydobył aluminiowy neseser, zamknął samochód i wrócił do domku gościnnego. Nikt go po drodze nie niepokoił, nikt nawet nie przemknął w zasięgu wzroku. Wszyscy zakonnicy byli zajęci albo modlitwą, albo pracami na farmie.

Dębowy stół aż zatrzeszczał, gdy niepozorna z wyglądu walizka opadła na blat. Sauverand ustawił zamek szyfrowy i przyłożył kciuk do czytnika linii papilarnych. Wieko odskoczyło z delikatnym sykiem i uniosło się na pneumatycznych siłownikach. Komorę neseseru podzielono na pięć części. W dwóch po lewej i dwóch po prawej leżały walce odlane z matowego metalu, każdy z niewielkim panelem numerycznym i wyświetlaczem. Centralną część walizki zajmował potężnych rozmiarów pistolet, wyglądający trochę jak większy brat słynnego Desert Eagle.

Drzwi wejściowe skrzypnęły. Broń ze środka walizki w ułamku sekundy znalazła się w prawej dłoni Gilberta.

– Jeszcze nie jest za późno, by się wycofać – powiedział cicho ojciec Bertrand.

Lufa pistoletu skierowana była w pierś benedyktyna. Wielka ciemnoszara lufa z absurdalnie małym otworem wylotowym. Jak obsydianowa wieża złego czarnoksiężnika z jednym owalnym okienkiem, przez które okrutne oczy obserwują świat.

– To broń elektromagnetyczna, nikt nie usłyszy wystrzału – wycedził oschle Gilbert.

Palec wskazujący na spuście drgnął o milimetr, natrafiając na pożądaną opór.

– Jeszcze nie jest za późno, by się wycofać – powtórzył cicho zakonnik.

Jego twarz pozostawała nad wyraz spokojna. Oczy ojca Bertranda pozbawione były lęku tych, którzy boją się śmierci, ale i śmiałości tych, którym nie zależy na życiu, bądź głupio myślących, że butną miną zyskają coś wobec bezwzględnego przeciwnika.

Spojrzenie Gilberta na ułamek sekundy wróciło ku wnętrzu walizki z czterema ładunkami zdolnymi obrócić klasztor z przyległościami w dymiące zgliszcza, potem znów zderzyło się z szarymi oczyma drobnego zakonnika. Lufa pistoletu nie drgnęła na milimetr. Sauverand zaczął artykułować pytanie:

– Kiedy wy...

Uśmiech ojca Bertranda był bardzo gorzki.

– Ja już wiedziałem w ogrodzie różanym. No, powiedzmy, coś już wtedy podejrzewałem. Wiemy, jakie możliwości ma Wielka Loża: perfekcyjnie sfalszowana tożsamość, wkupienie się w łaski najwyższych hierarchów. Ale tutaj, w klasztorze, wszystko jest takie... bardziej przejryste. Ludzkie serce widać jak na dłoni.

Na twarzy Gilberta odmalował się grymas, jakby nie chciał przyjąć do wiadomości wyjaśnień przeora.

– Skoro tak... – Palec wskazujący zwiększył nacisk na spust. – Dlaczego mnie nie powstrzymaliście, kiedy jeszcze mieliście możliwość. Mogliście mi poderżnąć gardło we śnie, otruć przy śniadaniu...

Zakonnik zrobił dobrotliwą minę nauczyciela, który musi coś wytłumaczyć

niesfornemu pupilowi.

– Otruć? My? – Z trudem powstrzymał śmiech. – Mój Boże... Zrobiliśmy coś dokładnie przeciwnego!

Zrobiliśmy coś dokładnie przeciwnego – słowa odbiły się zwielokrotnionym echem w umyśle mężczyzny trzymającego pistolet. Język przesunął się po wyschniętym podniebieniu. Aksamitny posmak w ustach był wciąż dobrze wyczuwalny.

– Nie, to niemożliwe... – Jakby na potwierdzenie własnych słów, Sauverand wyprostował jeszcze bardziej rękę z bronią, celując wprost w głowę zakonnika. – To nie może tak działać na kogoś, kto jest świadomy efektu. Nie na mnie...

Ojciec Bertrand milczał. Stał cały czas w miejscu, utrzymując kontakt wzrokowy z Gilbertem. Nie było w jego oczach odwagi, była może odrobina jakże ludzkiego lęku. Ale przede wszystkim była w nich wiara.

Palec wskazujący znowu minimalnie docisnął spust. Skomplikowany układ nowoczesnej broni naprężył się, aby zwolnić odpowiednie zapadki, uruchomić elektromagnesy i...

Jeszcze nie jest za późno, by się wycofać.

Palec rozprostował się, języczek spustu cofnął o trzy milimetry do pozycji spoczynkowej. Absurdalnie wielka lufa z absurdalnie małym otworem wylotowym powędrowała na dół, a chwilę później potężny pistolet opadł na dębowy blat koło otwartej walizki. Gilbert pobladł jak kreda, wziął głęboki oddech i skulił ramiona. Ojciec Bertrand uśmiechnął się ciepło.

– Chyba czas się wypowiedzieć, Gilberte. Ale najpierw zapraszam cię na kieliszek wybornego likieru. Doprawdy, niezwykła receptura...

Stanisław Truchan

NIE MA MIEJSCA NA ŻŁOTY WIEK

Prolog

Loki rozgarnął dłonią rude włosy, wyczesując z nich garść sosnowych szpilek.

– A wciórności! – mruknął. – Sypie się to igliwie na łeb, niby zeschłe liście późną jesienią... I jeszcze toto kłuje!

Burczał jeszcze przez chwilę, aż nagle przerwał w pół słowa i zadarł głowę, wypatrując czegoś w koronach drzew.

– Hej! – zawołał. – To ty, Ratatosk?

Cisza. A potem „pac!” – sosnowa szyszka odbiła się od ścieżki i poturlała w kępę borowiny.

– Jak cię złapię, nicponiu, to cały ogon oskubię! – krzyknął Czerwonowłosa.

– Hihhi, no to mnie złap! – usłyszał.

– Nie brykaj jak młody zajac na łągu, jeno gadaj, czego chcesz! – zezłościł się Loki. – Toć chyba nie po to tu przykicałeś, by się ze mną droczyć po próżnicy.

W koronie najbliższej sosny dały się słyszeć dźwięki, jakie wydają wiewiórcze pazurki, gdy zwierzątko biegnie po pniu. Zaraz potem ruda wiewiórka zwinnie zeskoczyła na dolny konar drzewa.

Albo raczej nie wiewiórka, a wiewiór. I był nim rzeczywiście Ratatosk, we własnej ogoniastej i pazurzastej osobie.

– Czemuż ty się, Loki, włóczysz po tej okolicy? – zapytał. – Tylko patrzeć, jak cię poniesie w tundrę, do Samów, albo zgoła na Svalbard!

– A ty skąd się tu wzięłeś, niecnoto? – zdziwił się Płomiennowłosa. – Azaliż Nidhogg zawarł pokój z Orłem?

Wiewiór znów zachichotał.

– Na razie będą musieli sobie radzić beze mnie. Ja przecież od czasu do czasu muszę posłuchać pogłosek i pogaduszek, plotki ze świata pozbierać... Znasz mnie przecież.

Loki ze zrozumieniem pokiwał głową. Znał Ratatoska, i to jeszcze jak!

Ratatosk tymczasem trajkotał dalej:

– Wiele różnych rzeczy się dzieje pod świętym drzewem Yggdrasil, oj, wiele! I w Midgardzie, i w Asgardzie, i między Asgardem a Midgardem... Zwłaszcza między!

Bóg ognia czujnie uniósł głowę. Nie rozumiał, co ten mały futrzasty plotkarz może mieć na myśli. Od tygodni wędrował po lasach, po górach i dolinach, zapędzając się też nad jeziora i fiordy, trzymał się z dala od Asów i Wanów, jeno ludzi albo trolle czasami spotykał na swej drodze. Stało się coś ważnego? Coś go ominęło?

– No cóże tak patrzysz, jakbyś ujrzał tura z ogonem między rogami? Toż chyba

słyszałeś dudnienie tam na południowym wschodzie? – Wiewiór machnął łapką, wskazując kierunek.

– Słyszałem. Aliści nie dopatrzyłem się w tym niczego dziwnego. Ot, letnie burze...

Ratatosk zabawnie pokręcił łepkiem.

– Nie, nie tak to było. Wotan się rozeźlił i piorunami walił gdzie popadnie. Tam, w okolicach rzeki Newy, tak kropnął w ziemię, że dziura się zrobiła, która ponoć dopiero za sto lat wypełni się wodą. Tamtejsze plemiona Ładogą owo miejsce nazywają...

To było coś nowego. Kiedy wczesną wiosną Loki wraz z Wotanem i Donarem włączył się po jednej z wysp zachodniego Bałtyku, największy z Asów był całkiem pogodny i zadowolony z biegu spraw pod świętym drzewem Yggdrasil.

– Cóż go tedy rozgniewało? – zapytał. – Jablek nieśmiertelności chyba nie zabrakło? Fenrir go ugryzł czy jak?

– Nie Fenrir – odpowiedział wiewiór konspiracyjnym szeptem. – Jowisz!

„Dziwne” – pomyślał Ognistowłosey. Czyciele śródziemnomorskich bogów ostatnio nie przedsięwzięli żadnej wyprawy przeciwko Germanom. Marek Aureliusz, który kiedyś omal nie przekroczył Karpat, od paru lat nie żył. Co więc mogło być powodem waśni Wotana z Jowiszem?

Ratatosk zwinnie przeskoczył z gałęzi na ramię Lokiego, wetknął pyszczek pomiędzy spocone rude włosy i szeptem zaczął opowiadać o tym, co się zdarzyło na północnych rubieżach Imperium Romanum. Ognistowłosey słuchał, słuchał, a jego zielone oczy coraz bardziej iskrzyły i twarz rozjaśniał coraz szerszy uśmiech.

– A dobrze mu tak, staremu bykowi! – powiedział w końcu.

– Nie kochasz go, jak widzę? – Wiewiór zachichotał i stanął słupka na ramieniu Lokiego. – Choć wałasasz się z nim i z Donarem po całym Midgardzie...

– Nie kocham. I wiesz dlaczego.

Wzruszył ramionami tak gwałtownie, że wiewiór, by nie spaść, wczepił mu się w skórę pazurkami wszystkich czterech łap. Płomiennowłosey z trudem zapanował nad chęcią zmiążdżenia gryzonia jednym uderzeniem prawicy.

– A co z Jowiszem? – zapytał. – Doszło to do Junony czy nie? Bo jeśli doszło, to i jego los marny.

– Nie wiem. Ale się dowiem.

Ratatosk połaskotał pyszczkiem szyję Ognistowłosego i zmienił temat.

– Słuchaj, Loki, ty się kiedyś zamieniłeś w kobyłę... A w małego ptaszka byś potrafił? Na przykład w dzięcioła?

– W dzięcioła? Nie wiem, nigdy nie próbowałem. A dlaczego pytasz?

– Bo u Italczyków jeden ze starych bogów, trochę już zapomniany, potrafi.

Loki wzruszył ramionami, choć teraz już nie tak mocno jak poprzednio.

– Wiem. Pikus. On nawet dość daleko się zapuszcza w ptasiej postaci. Podobno go tej wiosny widywali Wandalowie gdzieś nad Wisłą...

– Nie tylko. Ostatnio był tutaj, w tych górach. Chyba widział się z kimś ze Starszego Ludu.

Loki głośno przełknął ślinę.

– Pewnie lubi podróżować – powiedział. – Ale to nieważne... Tak, to z pewnością nic ważnego.

– Nie lubisz rozmawiać o Starszym Ludzie? O tych, dla których byłeś ongiś ważniejszy niż dla Germanów Wotan i Donar?

– Nieważne – warknął Loki. – Naprawdę nieważne.

– A Tami i Bagi, potomkowie kapłanów Starszego Ludu, ostatnio coś szeptali o jakiejś dziwnej wróżbie...

– A dajże ty mi spokój! – zachnął się bóg ognia. – Wróżbami niech się wiedźmy zajmą!

* * *

Apama–koja siedziała bez ruchu, wpatrzona w lustro wody w kamiennej czarze. Wiedziała, że powinna w końcu wstać i pójść do ogrodu, nazbierać ziół – ale nie potrafiła się przełamać. Czarne myśli przytłoczyły ją, przygięły do ziemi, przysypały jak lawina kamieni w górach na zachodzie. Po raz pierwszy poczuła, że niespodziewany dar bogów, otrzymany jeszcze wówczas, gdy jej rówieśniczki myślały o zamążpójściu, nie był błogosławieństwem, ale przekleństwem. Po raz pierwszy zatęskniła za czasami, gdy była jeszcze po prostu Apamą i nikt nie myślał, by obdarzyć ją zaszczytnym tytułem koi, przysługującym szlachetnie urodzonym damom i nielicznym służebnicom bogów.

Wieszczka przeżyła już niejedną chwilę strachu, a nawet bólu, gdy boski Karwinczu raczył jej zesłać jedną z tych wizji, które zawierały zapowiedź przyszłych wydarzeń – czasem jasną i zrozumiałą, częściej mglistą i trudną do odczytania. Nieraz też naraziła się trzem najwyższym kapłanom – Emekuziemu, Taganabiemu i Ollapie – i ośmiu świątynnym wróżbitom. Ale tym nigdy się nie martwiła. Kapłanom i wróżbitom, niedbale wypełniającym obowiązki, kilkakrotnie bez ogródek wyrąbała prawdę prosto w oczy, wytykając gnuśność i uchybienia w kwestii rytuałów. Teraz jednak zanosilo się na coś gorszego, znacznie gorszego.

Ludowi Pathi–Tuka coś zagrażało. Na czym polegało niebezpieczeństwo? Apama–koja podejrzewała, że tego nie wie sam Karwinczu, najwyższy z bogów. Wiedzieli może tylko ci, którzy stoją ponad bogami i ludźmi... Tak czy inaczej, wizje były wyjątkowo mgliste.

A kapłani na pewno nie staną na wysokości zadania. To ludzie o miałkich umysłach i koślawych duszach, do których łatwy dostęp mogły uzyskać demony kłamstwa i ułudy. Gdy nadejdzie czas, by poznać przesłanie bogów, ci ludzie nie usłyszą ich czystego, niezafałszowanego głosu.

A ona... Ona była tylko słabą kobietą. Czy Karwinczu nie zażartował sobie z niej, zsyłając swój dar? Bogowie bywają okrutni...

Wieszczka opadła na kolana i uderzyła czołem o kamienną posadzkę. Wyszepiała modlitwę, a potem zamarła bez ruchu w oczekiwaniu na znak.

Znak nie został jej dany.

Nie tym razem – pocieszyła samą siebie. – Po prostu wszystko w swoim czasie.

Część I

Znaki

Sunu przetarła zaczerwienione oczy i patrzyła na gości wyczekująco, mrugając powiekami.

Bagi zerknął na Tamiego. Ten ledwo dostrzegalnie skinął głową: „Mów”.

– Chcemy wiedzieć. – Głos Bagiego zabrzmiał twardo i zdecydowanie. – Coś się dzieje, coś nadchodzi... Musimy wiedzieć. A jeśli od tego zależy nasz los? Niewielu nas pozostało ze Starszego Ludu Północy, a jeszcze mniej jest takich, co nie zapomnieli mowy przodków.

– A jeśli okaże się, że można tylko czekać na zły los, nie mając sił, by go odwrócić?

– Nieważne. Trzeba wiedzieć.

Kobieta westchnęła.

– Skoro taka wasza wola...

Wiedziała, a raczej czuła, że spełnienie prośby niespodziewanych gości będzie ciężką próbą. To, co już na samym początku zobaczyła wśród czerwonych i czarnych plam pod zamkniętymi powiekami, budziło strach. I nie był to taki zwykły strach, jaki odczuwa się na widok niedźwiedzia lub wilka, albo męża uzbrojonego w topór.

To było jak widok paszczy Fenrira. Albo jak dotknięcie łuski Węża Midgardu.

A teraz miała rozpalić święty ogień, wpatrzeć się w płomień i spojrzeć jeszcze raz. Uważnie, dokładnie. Musiała stanąć na granicy dwóch światów.

A jeszcze ten gryzący dym... Wonny, jałowcowy, ale oczy pieką...

Tami i Bagi cierpliwie czekali. Wierzyli w Sunu i jej niezwykle zdolności – te same, których słabe echo odzywało się czasami w ich matce, a jeszcze słabsze w nich samych. Gospodyni tej chaty o powale poczerniałej od dymu była ostatnią wśród północnych Germanów wiedźmą Starszego Ludu. Jedyłą już kobietą zdolną odprawiać pradawne obrzędy – takie same, jakie przez wiele wieków odbywały się wewnątrz wielkich kamiennych kręgów, gdzie oddawano cześć Słońcu, Księżycowi i gwiazdom. Teraz Starszy Lud dogorywał: nikt już nie pamiętał języka przodków, kamienne kręgi zarastały chwastami, przepadła odwieczna mądrość wiedźm i czarowników.

– Już widzę – wychrypiała w końcu kobieta.

Goście wstrzymali oddech. Wiedzieli, że teraz nie wolno się odezwać ani słowem, a najlepiej siedzieć bez ruchu, unikając nawet drapania się po głowie czy rozprostowania zdętwiałych nóg. I nie warto było zadawać pytań; w tej chwili stara wiedźma przebywała w innym świecie, za nieprzeniknioną zasłoną rozciągniętą przez bogów dla ukrycia tego wszystkiego, co miało pozostać niedostępne dla zwykłego człowieka.

– Widzę – powtórzyła Sunu. – Wotan, w postaci jednookiego krogulca, unosi się wysoko nad rzeką, którą Słowianie nazywają Wisłą. Mija osadę zachodnich Gotów i

spojrzenie jego pada na złotowłosą dziewczkę o oczach jak chabry, o ustach jak maliny, a palcach zręcznych we władaniu igłą i wrzecionem...

Tami i Bagi spojrzeli na siebie porozumiewawczo. „Jednooki się gzi z kim popadnie, jak nie przymierzając ten ciastoch Jowisz” – pomyśleli równocześnie.

– I dziecko się rodzi – mówiła dalej wiedźma – a los jego całkiem zwyczajny, nie taki, jakiego mógłby oczekiwać mąż z boskiego nasienia zrodzon...

Zaczerpnęła powietrza, lekko zakrztusiła się dymem i mówiła dalej:

– Dopiero potomstwo jego... Widzę... Widzę jego potomka, władającego wielkim królestwem. Nie tu, gdzie teraz żyją zachodni Goci, ale gdzieś na południu, daleko stąd. Czci boga powieszzonego na drzewie...

Tami i Bagi znów spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Domyślili się, w czym rzecz. Resztki Starszego Ludu, żyjące wśród Germanów, doskonale znały dzieje panów Asgardu. Bogiem wiszącym na drzewie mógł być tylko Wotan, który przez dziewięć dni wisiał na świętym drzewie Yggdrasil.

– Widzę, jak ów potężny konung wysła okręty na zachód, by mu przywiozły skarby. Chce złota. Szukają kruszcu na wielkiej wyspie za oceanem...

„To na pewno ta wyspa, o której pisze Gruni” – pomyślał Bagi.

– Ludzie konunga niosą śmierć i pożogę mieszkańcom wyspy. Tym, którzy mieszkają w kamiennych domach, i tym, co klecą szałas z gałęzi. Zdobywcy wszędzie stawiają drzewa z posągiem bóstwa wiszącego na drzewie, a wszelkie ślady obcowania z innymi bogami i duchami każą zmywać wodą...

„To coś nowego – pomyślał Tami. – Wiadomo, że Wotan wisiał na drzewie, ale nie słyszałem o tym, by ktoś sporządzał takowe posągi... Kiedyż to wszystko się stanie?”

Stara jakby usłyszała jego bezgłośnie pytanie.

– Nie widzę miary czasu, jaki upłynie, zanim to nastąpi. Może dwa pokolenia przeminą, może dwa wieki, może tysiąc lat, albo i więcej... Nie widzę tego. Widzę za to wielką potęgę, która powstanie za zachodnim morzem. Ta potęga najpierw zetrze w proch tamtejsze szczepy, wśród których są jeszcze mędrcy znający Słowa Wielkich Kamieni, pokrewni nam duchem...

Bagi pokręcił głową. Zła to była wróżba. Oto czciciele Wotana poniosą ogień i śmierć ludom zamorskim. Ustawią wszędzie posągi pierwszego spośród Asów, wiszącego na świętym jesionie. Plemię twardych, bezwzględnych wojowników zapanuje nad oboma brzegami wielkiego morza na zachodzie. Czy to nie będzie ostateczna klęska Starszego Ludu, Ludu Kamiennych Kręgów?

Może to, o czym pisał Gruni, będzie ratunkiem? Dla Starszego Ludu – i dla ludzi z tamtej strony morza?

Sunu głęboko odetchnęła, po czym spojrzała na nich zupełnie przytomnie.

– Teraz już wiecie, jak sprawy stoją – odezwała się nieco zachrypniętym głosem. Bracia skinęli głowami.

– Ale to nie wszystko, prawda? – Wiedźma spojrzała na nich, mrużąc załzawione oczy. – Z czymś innym jeszcze przyszlście.

Bagi wyciągnął kawałek papirusu – dość marnej jakości, nie z tych używanych w

kancelarii cezara albo do przepisywania dzieł Wergiliusza.

– Pamiętasz Gruniego, Sunu? – zapytał.

– Waszego kuzyna? Tego, którego morscy rabusie przed laty porwali i sprzedali helleńskim kupcom?

– Tegoż samego. Przyszło od niego pismo z Romy...

– Jakże to? Toć u nas nie ma... Jak to Italczycy nazywają tych gońców? Czyżby Gruni posłańca wysłał?

– To się u nich nazywa poczta – przypomniał Tami. – Ale pismo od Gruniego przyniósł dzięcioł. Taki pstry. O, zobacz, co zgubił przy sposobności. – Gość pokazał wiedźmie maleńkie czerwone piórko.

– I to nie był zwyczajny dzięcioł. – Stara dotknęła pióra kciukiem i palcem wskazującym, na krótką chwilę przymknęła oczy... – Tak, na pewno nie zwyczajny.

Bagi tymczasem rozwinął papirus i przebiegł oczami krzywe szeregi runów, chociaż treść pisma znał niemal na pamięć.

– Pisze Gruni – zaczął wyjaśniać kobiecie – że jego nowy pan, człowiek ze szlachetnego rodu o nazwisku wziętym od zięby, postanowił go wyzwolić. Tenże pan, zebrawszy wielu zaufanych ludzi, wśród których znalazło się też kilku mędrców, przedsięwziął wielką wyprawę na zachodnie morze...

– Niech zgadnę. – Sunu uśmiechnęła się. Zmarszczki wokół jej oczu ułożyły się w siatkę tak gęstą, że można by nią łowić nie tylko ryby, ale nawet muszki owocówki. – Gruni się waha, czy ma popłynąć z nimi, czy wrócić tutaj. Serce ciągnie do swoich, a przygoda kusi?

Bagi też się uśmiechnął.

– Zgadłaś. I pyta o radę. Mam mu odpisać i się nie kłopotać, w jaki sposób pismo dotrze do Italii. Powiada, że wystarczy, bym je położył koło siebie w widocznym miejscu.

– Mówiłam, że to nie był taki zwyczajny dzięcioł – mruknęła stara. – Co by tu Gruniemu doradzić? – dodała głośniej.

Spojrzała na papirus w dłoni Bagiego i wyciągnęła rękę.

– Pozwól, niech dotknę.

Ujęła pismo dwoma palcami i zamknęła oczy. W chwilę później jej pomarszczoną twarz rozjaśnił nowy uśmiech, tym razem promienny niby wschodzące słońce.

– Toż Gruni aż się pali do tej wyprawy! – oznajmiła. – Niechże więc płyń. Dadzą bogi, powiedzie im się, a wtedy...

Pomarszczona twarz Sunu przybrała nagle uroczysty wyraz, jak przy sprawowaniu najświętszych obrzędów.

– Dadzą bogi, popłyniemy i my, reszta Starszego Ludu. Niewielu nas, nikt się nawet nie spostrzeże, gdy nas nie stanie. A my tam u nich spotkamy może mędrców, którzy wiedzą to, co wiedzieli ongiś nasi przodkowie. I wtedy wzniesiemy na nowo nasze święte kręgi.

– Oby! – westchnął Tami.

Biały Ocelot obejrzał się na Biegnącego z Wiatrem.

– Tylko mi tam nie zaśnij w tej trzcinie! – ostrzegł go, uśmiechając się od ucha do ucha.

Syn czarownika machnął ręką uspokajająco. Nie, aż tak źle z nim nie było. Owszem, nie wyspał się, a dziwny sen, który nawiedził go około północy, wciąż budził w nim niepokój – ale miniona noc nie odebrała mu sił. Choć niewyspany, wciąż wierzył, że nie zawiedzie. Że do końca będzie pełnoprawnym członkiem grupy, a strzała z jego łuku – albo może oszczep – niechybnie trafi w cel. Cokolwiek tym celem będzie: pekari, aguti, kapibara. Biegnący z Wiatrem prawie nigdy nie chybiał. Oby tylko udało się wytropić jakąś zwierzynę.

Jego starszy przyjaciel, teraz przewodzący czteroosobowej grupie, twierdził rano, że gdzieś za starorzeczem łatwo spotkać pekari, a trawa za Podwójnym Strumieniem wyjątkowo smakuje licznym aguti, które mają w pobliżu swoje nory, albo może dziuple w starych drzewach. Pomysł polowania od razu podchwycili Długi Szpon z Klanu Marmozety i Brat Księżycy, syn opiekunki ziaren z Klanu Chruścielaka. Wtedy Biegnący z Wiatrem przetarł zaczerwienione oczy, stłumił ziewanie i też pobiegł po łuk i oszczep.

Teraz, jak zwykle na polowaniu, czuł przede wszystkim przyjemne podniecenie. Być może takie, jakie czuje jaguar gotowy do skoku. Szedł odrobinę wolniej niż zwykle, ale wiedział, że jeśli już wypatrzy zwierzynę i napnie łuk, jego strzała niechybnie dosięgnie celu.

Mimo ciężkiej nocy. To była jedna z tych, kiedy nawiedzały go sny. Wyraziste wizje, które przychodziły ni stąd, ni zowąd i zawsze budziły niepokój.

Czarny Żółw, czarownik Klanu Kwezala, zawsze przywiązywał dużą wagę do snów swojego syna. Wierzył, że pochodzą one od Wielkiego Starca Wysoko na Niebie – tego, który wiele pokoleń temu objawił się praojcu i pramatce Klanu Kwezala pod imieniem Atabinuwy. Że wielki Atabinuwa wybrał sobie tego niepozornego, drobnego jak na swój wiek chłopca, by przez niego objawiać Klanom Kapibary, Chruścielaka, Marmozety, Kwezala i Mazamy prawdy ukryte przed oczami zwykłych śmiertelników. Ostrzegać przed niebezpieczeństwami, wskazywać drogę...

Pierwszy taki sen nawiedził Biegnącego z Wiatrem, gdy chłopiec miał dziesięć lat. Później, wkrótce po tym, jak poznał starszego o siedem lat Białego Ocelota z Klanu Mazamy, a ten wbrew przestrogom starszyny popłynął w dół Wielkiej Rzeki – sny stały się wyjątkowo wyraziste. Po przebudzeniu posłuszna pamięć chłopca odtwarzała każdy szczegół nocnej wizji. Biegnący z Wiatrem widział brzegi rzeki porośnięte trawą o wiechach przypominających ogon aguraszi, przecinające przestwór słonej wody płetwy ogromnych drapieżnych ryb, wodę zakrzepłą od zimna w biały puch, sypiący się z ciemnych chmur, a w końcu ponurą krainę deszczów i mgieł daleko na południu... Kiedy inni przypuszczali, że zuchwalec z Klanu Mazamy zginął gdzieś wraz z towarzyszami albo może zgubił drogę i pozostał na obcej ziemi – syn Czarnego Żółwia wiedział, jak jest naprawdę: Biały Ocelot żyje, ma się dobrze i pewnego dnia wróci, uparcie wiosłując pod prąd.

I tak się stało. Wrócili po trzech latach, cali i zdrowi. Opowieściom przy

ogniskach nie było końca. Słuchacze zdumiewali się, gdy zuchwały żeglarz mówił im o plemienu, które żyje w owej odległej krainie deszczów i mówi językiem podobnym do języka Pięciu Klanów, a w dodatku – tak samo jak oni – czci Atabinuwę, Wielkiego Starca Wysoko na Niebie, którego nazywa Watauinewą. Nie mogli uwierzyć, że woda może zakrzepnąć jak roztopiony воск. Nie potrafili sobie wyobrazić ryb zdolnych pożreć człowieka w całości ani zwierząt porośniętych futrem, które jednak zamiast nóg mają płetwy...

Niektórzy też się dziwili, że mówiąc o żyjących na południu drapieżnych ptakach morskich, Biały Ocelot ukradkiem wykonywał gest chroniący przed złymi mocami. Zupełnie jakby nie tylko one, ale samo ich wspomnienie mogło sprowadzić nieszczęście. Tylko Biegnący z Wiatrem zdawał się go wtedy rozumieć.

Nie brakowało oczywiście takich, którzy – bez względu na przynależność klanową – za wszelką cenę chcieli polować w towarzystwie Białego Ocelota. Wspólne tropienie kapibar lub pekari z dnia na dzień stało się pożądanym ze wszech miar zaszczytem i powodem do dumy. A taki śmieszny drobiazg jak źle przespana noc nie mógł stanowić przeszkody.

Sen jednak nie dawał synowi czarownika spokoju. Bo owszem, to musiał być sen zesłany przez Wielkiego Starca Wysoko na Niebie – świadczyła o tym tęcza, widoczna gdzieś daleko na widnokręgu – ale Biegnący z Wiatrem w ogóle nie zapamiętał treści snu. W pamięci utkwiły mu jedynie dwa szczegóły: czerń i ogień. Czerń była złowrogim cieniem na tle wschodzącego słońca, a ogień przetoczył się po sawannie kulą czerwonego płomienia, niszcząc wszystko, co napotkał na swej drodze.

Rano przypomniał sobie jeszcze jeden szczegół. W chwili gdy wschodzące słońce przesłonił czarny cień, do szalasu wdarł się podmuch wiatru. Paradny pióropusz Biegnącego z Wiatrem, noszony podczas wielkich świąt klanowych i plemiennych, zakołysał się i omal nie spadł z wieszaka – czyli drewnianego pała z obciętymi ukośnie końcówkami gałęzi. Oderwało się od niego jedno pióro – duże, zielone, pochodzące ze skrzydła kwezala złotogłowego. Wiatr natychmiast je porwał i poniósł na wschód.

Musi o tym powiedzieć ojcu. Zaraz po powrocie z polowania.

A teraz najważniejsze są aguti i pekari. Może jeszcze kapibary – bo na pewno można je spotkać w okolicach Podwójnego Strumienia. I łuk, i strzały w kołczanie, i oszczep w garści.

Jak na złość syn Czarnego Żółwia, łucznik rzadko chybiający, właśnie teraz się potknął. Nie zauważył wystającego korzenia.

Biały Ocelot, Długi Szpon i Brat Księżyca zatrzymali się. Pierwszy z nich podbiegł do Biegnącego z Wiatrem, ale ten już się zerwał na równe nogi.

I nawet na Białego Ocelota nie spojrział. Patrzył w stronę kępy wysokich traw pomiędzy dwiema szeflerami. Zanim pozostała trójka zauważyła, że dojrzewające wiechy się poruszają, oszczep Biegnącego z Wiatrem już tam był.

Trawy odezwały się do myśliwych wysokim, choć nieco chrapliwym dźwiękiem. To niewątpliwie był kwik rannego pekari.

Ostrze utkwilo w gardle.

– Jednak po tej nocy jestem do niczego – marudził syn Czarnego Żółwia. – Nie dam rady patrzeć równocześnie przed siebie i pod nogi.

– Czym ty się przejmujesz? – Biały Ocelot spojrzał na niego jak na mrówkojada z dwiema głowami. – Po takim rzucie? Myśmy nawet nie zauważyli, że w tej trawie coś jest.

Biegący z Wiatrem w ogóle go nie słuchał. Opuścił głowę, zmrużył oczy i zmarszczył nos. Wyglądał jak aguraszi na tropie aguti.

– Tam dalej jest coś dziwnego – powiedział szeptem, wskazując kierunek. – Stare, dawno wygasłe ognisko... i coś jeszcze.

– To zobaczmy – zdecydował Biały Ocelot.

Znaleźli palenisko o jakieś trzysta kroków dalej. Rzeczywiście dawno wygasłe; przywódca czteroosobowej grupki myśliwych podniósł garść węgla, obejrzał, powąchał, po czym stwierdził, że ogień płonął w tym miejscu jeszcze przed minioną porą deszczów. Kształt paleniska dowodził, że ogniska nie rozpałił nikt z Pięciu Klanów ani też z sąsiedniego plemienia Itawi.

Brat Księżyca zanurkował w trawy i po chwili odwrócił się do pozostałych, trzymając w dłoni jakiś podłużny przedmiot.

– Chyba nóż – stwierdził. – Ale trochę inny niż nasze. To chyba nie jest kamień...

– Więc to jest to... coś dziwnego? – Długi Szpon spojrzał pytająco na syna czarownika.

Biegący z Wiatrem tylko skinął głową. Właśnie poczuł dreszcz przenikający całe ciało. Jego przyczyną bynajmniej nie był wiatr.

– Takich noży używają Budowniczy Kamienych Szałasów – powiedział Biały Ocelot, biorąc znalezione do ręki. – Ci, przed którymi Klan Mazamy musiał uciekać z płaskowyżu.

A więc przyszli aż tutaj. Za blisko.

Przed wiekami przodkowie czterech pierwszych Klanów opuścili wilgotne lasy północy, by żyć na sawannie, z dala od zagrażających im kanibali. Połączyli się tutaj z Klanem Mazamy; jego członkowie woleli odejść z rodzinnego płaskowyżu, niż stać się niewolnikami Budowniczych Kamienych Szałasów. Przez tyle lat, przez tyle pokoleń nowe plemię żyło tutaj szczęśliwie...

Do czasu. Przed kilku laty po drugiej stronie rzeki pojawiła się horda kanibali. Wojownicy plemienia Dżabi stawili im czoła nad starorzeczem u stóp Białych Skał. Bezskutecznie. Horda porwała przeszło dwadzieścia osób. Kobiety i dziewczynki zabrała na północ, po mężczyznach i chłopcach pozostały starannie ogryzione kości, rozrzucone wokół palenisk na skraju Mokradła Duchów.

W kilka miesięcy później uzbrojone po zęby oddziały Budowniczych Kamienych Szałasów uprowadziły prawie całe plemię Tahapa. Wolni łowcy pekari mieli od tej pory pracować od świtu do zmroku w ich kamieniołomach albo spulchniać ziemię pod kukurydzą. Wszystko na chwałę boga Słońca i bogini Księżyca, a na pożytek wodzom odzianym w barwne szaty i przepasującym włosy czerwoną wstęgą.

Ale Dżabi i Tahapa mieszkali dość daleko stąd. A teraz jacyś wojownicy

słuchający rozkazów wodza noszącego czerwoną wstęgę na głowie palili ognisko niedaleko ich Wielkiej Rzeki. Czy znów potrzebują niewolników? Czy jeszcze raz trzeba będzie szukać sobie nowego, bezpiecznego miejsca? Jak daleko?

Oby nie w zimnych krainach dalekiego południa, na ziemi deszczów i mgieł...

I czy dzisiejszy sen Biegnącego z Wiatrem ma z tym coś wspólnego?

* * *

Ktoś uderzył pięścią w drzwi chaty. Trzykrotnie. Potem jeszcze dwa razy. I jeszcze dwukrotnie. Czyli swój. Chyba że ktoś podpatrzył umówiony znak... Ale to chyba niemożliwe.

Sunu zamknęła oczy i dotknęła palcami skroni. Wstrzymała oddech...

Tak, swój. A raczej swoi. Pewnie znów Tami i Bagi. Bliźniacy ostatnimi czasy bywali tutaj dość często. Z czymże przychodzą tym razem?

Odsunęła rygiel, otworzyła drzwi. Do chaty wpadł podmuch chłodnego powietrza. W progu rzeczywiście stanęli Tami i Bagi. Bliźniacy, choć niepodobni do siebie. Ten pierwszy miał czarne włosy i zielone oczy, drugi był jasnowłosy, a tęczówki jego oczu przypominały barwą bursztyn. Tylko wzrostem się nie różnili: obaj smukli, niby barczyści, ale nieprzesadnie rozrośnięci w ramionach, nie ułamki bynajmniej, ale też nikt by im nie przypisał machania Mjölnirem.

Ledwo weszli, schylając głowy, by sobie nie nabić guza o górną belkę odrzwi, Sunu wiedziała już, że bracia przynieśli coś niezwykłego. Coś, co dotknęło niewidzialnej strony świata.

– Siadajcie i pokażcie, co tam macie – rozkazała bez ogródek, nie czekając, aż wytłumaczą, po co przyszli.

Tami położył na stole pióro. Dość duże, w migotliwym świetle łożówki połyskujące zielenią.

Bagi też wyciągnął pióro. Znacznie większe od tamtego, ale burobrązowe.

Na pewno nie były to pióra ptaków żyjących w tej okolicy, ani w ogóle w krainach położonych wokół Morza Bałtyckiego.

Wiedźma podniosła to pierwsze. Swoim zwyczajem zamknęła przy tym zaczerwienione oczy, jakby wpatrując się w głąb siebie. Tami i Bagi widzieli drżenie powiek, ruchy gałek ocznych, trzepotanie rzęs... A stara milczała. Wpatrywała się i wsłuchiwała w to, co niewidzialne i niesłyszalne, a cisza trwała i trwała, i coraz bardziej ciążyła.

– To pióro świętego ptaka zza zachodniego morza – odezwała się w końcu kobieta. – Uświęcone dłońmi wiedzącego, który rozmawia z duchami. Jego lud znalazł się na rozdrożu. Być może czeka go szczęście... ale też grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Więcej nie widzę.

Tami już miał zapytać: „A to drugie?”, ale ugryzł się w język. Sunu wiedziała, co i kiedy ma mówić, głupotą byłoby ją popędzać.

Wszystko powtórzyło się jeszcze raz: pióro w dłoniach, zamknięte oczy, drżenie powiek.

I nagle – śmiertelna bladość. Twarz starej kobiety zbieleła jak świeżo uprane

prześcieradło.

– Człowiek o nazwisku wziętym od zięby ma niebezpiecznych wrogów – rzekła Sunu. – Ci uczynią wszystko, by mu zaszkodzić.

– Może jeszcze zdążymy ostrzec Gruniego... – Bagi z namysłem podrapał się po głowie.

Stara w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami.

– Trzeba by złożyć ofiarę bóstwom Słońca, Księżycy i gwiazd – podsunął Tami.

Sunu ciężko westchnęła.

– My już nie tacy jak kiedyś, świat już nie taki... To i ofiary nie takie. Ale trzeba spróbować.

* * *

Biegący z Wiatrem słuchał ojca w milczeniu. A kiedy Czarny Żółw skończył mówić, syn odezwał się z wahaniem:

– Ojcie, nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. Bo widzisz, to pióro w moim śnie...

– Tak?

Zamiast odpowiedzieć, Biegący z Wiatrem wstał i podszedł do haka, na którym wisiał jego paradny pióropusz, spleciony z piór kwezala i po raz pierwszy użyty przed czterema laty, w dniu dwunastych urodzin chłopca. Zdjął go i podał ojcu.

– Spójrz tutaj. – Wskazał palcem miejsce tuż nad węzłem łączącym rzemienie.

– Widzę. Tego pióra brakuje. Jesteś pewny, że...

– Poprzedniego dnia jeszcze było. Obejrzałem pióropusz dopiero dzisiaj i zauważyłem, że znikło.

Czarny Żółw potarł dłonią czoło.

– Tamtej nocy rzeczywiście trochę wiało. Niedługo i niezbyt mocno, ale słyszałem, jak wiatr świszczę i jak szumią gałęzie. Ale przecież to...

– To niemożliwe, by wiatr wtargnął do szałasów i wyrwał z pióropusza jedno pióro – dokończył Biegący z Wiatrem. – Chyba że...

– Właśnie. – Czarownik skinął głową. – Chyba że. Obaj wiemy, że to nie musiał być zwykły wiatr. Pamiętamy stare opowieści...

– A tamten sen, ojcie? – zapytał syn. – Możemy wierzyć, że zasłał go sam Atabinuwa?

– Czemu pytasz? Sam wiesz najlepiej. Ty zawsze je rozpoznajesz, zawsze odróżnisz sny wróżebne od takich zwyczajnych.

Biegący z Wiatrem skinął głową.

– Tak. Ale tym razem nie rozumiem...

– Atabinuwa mówi nam tyle, ile wystarcza, byśmy rozumieli. Jeśli mimo to nie rozumiemy, wina leży po naszej stronie. – Spojrzał na słońce, które zdążyło już przemierzyć czwartą część nieboskłonu, i dodał: – Stamtąd nadejdzie coś złego. Musimy być gotowi, mieć oczy i uszy szeroko otwarte.

– To jednak dziwne – powiedział z namysłem syn. – Ostatnio Dżabi zostali napadnięci przez kanibali, a Tahapa przez Budowniczych Kamiennych Szalasów.

Wszystko, co złe, zawsze przychodziło do nas z północy albo z północnego zachodu. Ze wschodu nigdy...

* * *

Nuzamika, Syn Jaguara, Pan Srebrnej Laski, Pierwszy Pasterz i Wielki Przewodnik Ludu Pathi–Tuka, czekał i zgrzytał zębami. Emekuzi, kapłan boga Karwinczu, coraz bardziej się spóźniał. Zniecierpliwiony władca oczywiście wiedział, że nawet zasiadając na Kamieniu Słów – miejscu, z którego wydaje się rozkazy decydujące o ludzkich losach – nie może Emekuziemu okazać gniewu; to jednak tylko wzmagало jego zniecierpliwienie, które powoli zamieniało się w złość.

Bezsilną złość. Władca chętnie by ją wyładował, okładając kapłana trzymanym w dłoni kijem ze srebrnymi okuciami – ale tego nie wolno mu było zrobić. Kapłan był nietykalny, a Srebrna Laska nie służyła do bicia. Symbolizowała najwyższą godność, jaka mogła być dana człowiekowi z ludu Pathi–Tuka. Należała się jej większa cześć niż czerwonej opasce zakrywającej czoło monarchy.

A poza tym – kapłan miał przyjść w sprawie o wiele ważniejszej niż osobiste ambicje władcy. Monarcha jest przecież mniej ważny niż jego państwo. Zadaniem Wielkiego Przewodnika jest przewodzić. Musi się to odbywać w zgodzie z wolą boga Karwinczu i innych pomniejszych bóstw. A oni przemawiają przez usta kapłana. Jeśli – jak ostatnio – dają swojemu wybranemu ludowi jakieś znaki, to zadaniem kapłana jest te znaki objaśnić i udzielić monarsze światłej rady. Tylko łaska potężnego Karwinczu może sprawić, że monarcha zapewni swojemu ludowi pomyślność. Tak więc bogu należy się cześć i szczodre ofiary, a kapłanowi szacunek.

Ale dlaczego on się spóźnia?

Wreszcie. To na pewno on. Strażnik przy drzwiach komnaty trzykrotnie uderzył w miedziany gong, oznajmiając nadejście dostojnego gościa. Gościem mógł być jedynie Emekuzi. Oczywiście Nuzamika mógł się o tym upewnić, wzywając strażnika dźwiękiem trzcinowej świstawki, ale to nie miało sensu. Gościem mógł być tylko kapłan, nikt inny.

Monarcha sięgnął po srebrny dzwonek. Jego dźwięk oznaczał polecenie wprowadzenia gościa do komnaty.

Emekuzi miał na sobie powłóczystą białą szatę, czerwono lamowaną, przepasaną szerokim błękitnym pasem. Głowę zdobiła zielona opaska, oznaka władzy, a na czole połyskiwał finezyjnie oszlifowany kryształ górski. A więc to, z czym kapłan przychodził, musiało być naprawdę ważne; w takim odzieniu gospodarz świątyni nieśmiertelnego Karwinczu składał ofiary z okazji najważniejszych świąt, na co dzień nosił się znacznie skromniej.

Wbrew temu jednak, na co mógł wskazywać ceremonialny strój, kapłan zachowywał się jak ktoś, komu się spieszy. Ktoś, kto jak najszybciej chce zrobić swoje i zająć się czymś innym. Pomiął wymianę zwyczajowych grzeczności i natychmiast po powitalnych ukłonach przeszedł do sedna sprawy.

– Zebrałem dzisiaj rano ośmiu wróżbitów świątyni – poinformował. – Wszyscy uznali, że tych znaków, na które wczoraj, o najwyższy, zwróciłeś uwagę, nie wolno

nam zlekceważyć. Postanowiliśmy tedy poszukać przesłania duchów w dymie ofiarnego ogniska...

Umilkł. Nuzamika czekał w milczeniu na dalszy ciąg. Kapłana nie godziło się popędzać; rozmowa dwóch najdostojniejszych osób o sprawach najwyższej wagi to nie wymiana zdań przy łuskaniu kukurydzy.

– Znaki źle nam wróżą – powiedział w końcu Emekuzi. – Wielkie zło ma nadejść od wschodu, zza wielkiej słonej wody...

Władca zmarszczył brwi.

– Czyż wielka słona woda nie jest na zachodzie? – zapytał. – Za wysokimi górami pokrytymi wiecznym śniegiem? Za dolinami, gdzie żyją czciciele boga, który przyjmuje postać pięciu sokołów... oby imię jego było przekłete?

Emekuzi uśmiechnął się.

– Owszem, za tymi górami też jest wielka słona woda. Ale przecież znamy dwie wielkie rzeki, które płyną w przeciwnym kierunku. Jedna przecina gęste i wilgotne lasy, nad którymi słońce stoi w zenicie. Druga ma swoje źródła gdzieś na południowym wschodzie, a potem płynie na południe. Żyjemy w samym środku bardzo wielkiej wyspy, Synu Jaguara. Otacza ją zewsząd woda, a smak jej jest słony.

– Rozumiem. – Monarcha skinął głową. – Czy znaki coś mówią o tym, jakiego rodzaju niebezpieczeństwo grozi tej naszej wyspie?

– Ludzie. Ludzie niosący śmierć i zniszczenie.

– Już wkrótce?

– Nie znamy miary czasu, jaki nas dzieli od tych wydarzeń. Znaki jednakowoż mówią, że niebezpieczeństwo można oddalić. Nie wiem wszakże, jakim sposobem.

Syn Jaguara potarł czoło pod czerwoną opaską.

– Czy Apama–koja też wie? Czy coś mówiła?

Najwyższy kapłan na moment zagryzł wargi. Zaraz potem na jego obliczu zagościł spokój, ale chyba kosztowało go to sporo wysiłku. Nuzamika wiedział dlaczego: gospodarz świątyni najwyższego boga i słynna wieszczka nawiedzana przez duchy nie żywili do siebie zbyt ciepłych uczuć. Nie byłoby nawet przesadą nazwanie tych uczuć wrogością i nienawiścią.

Emekuzi skinął głową, patrząc gdzieś w przestrzeń obok lewego ucha monarchy.

– Owszem, mówiła – potwierdził. – Że ze wschodu nadejdzie i dobro, i zło. Że zagraża nam demon podstępny i kłamstwa, więc musimy uważać, by się nie dać omamić.

Nuzamika oparł się obiema rękami na Srebrnej Lasce i przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w kamienne płyty posadzki.

– Trzeba by więc złożyć ofiary... – powiedział wreszcie z namysłem.

– Ofiarujemy wielkiemu Karwinczu serca czterech dziewczec. – W głosie Emekuziego nie było słycać wahania.

– Niech tak się stanie. – Syn Jaguara, Pan Srebrnej Laski, Pierwszy Pasterz i Wielki Przewodnik Ludu Pathi–Tuka pochylał głowę na znak zgody.

Część II

Papirusy

Powietrze stało się rzadsze.

– Czego? – Mars leniwie uniósł głowę znad papirusu.

Alara, daimonion trzeciej kategorii, zmaterializował się na progu komnaty. Przyjął postać najbliższą jego naturze: ukazał się swojemu panu jako dziesięcioletni ciemnoskóry chłopiec o krótkich kędzierzawych włosach. Nic dziwnego, pochodził przecież z Meroe. Materializacja w postaci jasnowłosego Germanina o błękitnych oczach kosztowałaby go znacznie więcej wysiłku.

– Żelazna Dziewica przybyła. – Daimonion niedbale, prawie niedostrzegalnie skinął głową. – Mój panie – dodał jeszcze *pro forma*.

„Zaczyna być bezczelny – pomyślał Mars. – Może by go tak na wszelki wypadek wychłostać? Oczywiście w takim stanie jak teraz, zmaterializowanego, w przeciwnym razie by nic nie poczuł”.

– Dla kogo Żelazna Dziewica, dla tego Żelazna Dziewica – powiedział, marszcząc brwi. – Dla ciebie, marny niewolniku, jaśnie pani Minerwa. Albo nawet wiel–ce do–stoj–na bo–gi–ni Minerwa. Powtórz.

– Wielce dostojna bogini Minerwa – mruknął Alara. W jego głosie nie było szacunku choćby za ćwierć zaśniedziałego asa. – Pragnie z tobą porozmawiać, mój panie.

– Poproś tedy. A potem się wynoś. I nie waż się podsłuchiwać, pomioście pustynny!

Daimonion znów niedbale się skłonił, po czym zniknął jak duch. W chwilę później próg przekroczyła, szeleszcząc białym chitonem, jasnowłosa niewiasta o greckich rysach twarzy i zimnym spojrzeniu niebieskich oczu. Minerwa, dopiero co nazwana przez służbę gospodarza Żelazną Dziewicą.

Mars podniósł się z poślaczanego stolca, starając się jednak uczynić to bez przesadnego pośpiechu. Jego twarz okraślił szeroki, acz nieszczerzy uśmiech.

– *Salve, augustissima!* – powitał gościa. – Cóż sprowadza tak dostojną osobę w moje niskie progi?

Bogini rozsiadła się na szerokiej kline z warsztatu mistrza Harpalosa, oparła stopy o podnózek, poprawiła fałdy chitonu, po czym zlustrowała gospodarza od stóp do głów.

– Czyżbyś zamierzał teraz zostać bogiem jakichś Negrów z tamtej strony pustyni? – zapytała, spoglądając wymownie na przepaskę biodrową.

– To jest odzienie pewnego plemienia żyjącego na antypodach. Na ziemiach, których nasi poczciwi Rzymianie do tej pory nie odkryli – wyjaśnił gospodarz. – Jak mniemam, pasjonują cię teraz kwestie westymentarne?

– Ciężki twój dowcip, wojowniku. – Minerwa skrzywiła się. – To było zagajenie tylko. A my musimy poważnie porozmawiać.

– O czymże?

– Zaraz ci pokażę *imaginem aëriam*, która wszystko wyjaśni.

Poprawiła pukiel włosów nad uchem, wyciągnęła zza paska nieduży srebrzysty krążek, wyglądający jak podrabiany denar, uniosła go do ust i wypowiedziała kilka niezrozumiałych słów. Mars miał wrażenie, że słyszy dialekt umbryjskiego używany w okolicach Iguwium, ale nie miał pewności.

Powietrze nad stołem z cedrowych desek zmętniało, a w chwilę później zalśniło jak fenickie szkło w promieniach słońca, po czym dał się słyszeć stukot butów o marmurowe płytki.

Bóg wojny zmarszczył brwi.

– To ogród Tytusa Fryngiliusza?

Minerwa pokiwała głową z uznaniem.

– Kiedy nie masz na głowie galei, od razu sprawniej myślisz. Chyba już wiesz, o co chodzi?

– Domyślam się. Ale czy naprawdę trzeba się przejmować tym marzycielem bujającym w obłokach?

– Patrz i słuchaj. – Bogini wskazała ruchem podbródka swoją *imago aëria*, na której właśnie coś zaczęło się dziać. – Potem sam ocenisz.

* * *

– *Salve!* – Tytus Fryngiliusz uniósł dłoń w powitalnym geście.

Gość w odpowiedzi skłonił się nisko, orientalnym zwyczajem. Mistrz Archelaos, syn wyzwoleńca, miał zwyczaj traktować ekwitów z wyszukaną czołobitnością. Gdyby nie była mu znana prostota obyczajów gospodarza, pewnie by się giął w pokłonach przez co najmniej minutę.

– Mniemam, mistrzu, że masz dobre wieści o postępie prac nad naszą kwinkweremą? – Fryngiliusz postanowił przejść od razu do rzeczy, bo wiernopoddańcze gesty budowniczego okrętów wprawiały go w zakłopotanie.

Ekwita czuł się następcą Cyncynnata i mierzyły go zwyczaje przejęte od Seleucydów czy Ptolemeuszy.

– W rzeczy samej, dostojny Tytusie. – Archelaos znów zamierzał się skłonić, ale w porę sobie przypomniał, że Fryngiliusz nie lubi przesady. – To będzie okręt, jakiego świat nie widział. Gdziekolwiek położona jest ta wyspa, o której wspominałeś, mój panie, ten okręt dowiezie cię tam bezpiecznie. O ile oczywiście dobierzesz odpowiednią załogę.

– Obejrzyjmy tedy rysunki. – Ekwita spojrział na zwój papirusów przyniesiony przez gościa. – Zapraszam. W tryklinium mam duży stół, można rozłożyć wszystkie naraz.

Dwaj mężczyźni ruszyli w stronę portyku zwieńczonego trójkątnym tympanonem, mijając po drodze dwóch ciemnoskórych niewolników, pracowicie przycinających pędy róż. Zanim weszli do środka, Archelaos obejrzał się, jakby czymś zaniepokojony, i przez krótką chwilę ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się ptakowi, który przysiadł na gałęzi pobliskiego dębu.

– Chodź, mistrzu, chodź! – Ekwita z uśmiechem szturchnął go kułakiem w plecy. – Co to, dzięcioła nie widziałeś?

Mars przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń nad stołem, gdzie powietrze wciąż jeszcze drgało i falowało, po tym jak *imago aëria* rozwiała się niby dym kadzidła.

– I cóż w tym szczególnego? – zapytał w końcu. – Czcigodny Tytus Fryngiliusz kazał zbudować okręt i chce nim popłynąć na jakąś wyspę. Kto bogatemu zabroni?

Żelazna Dziewica spojrzała na niego z politowaniem.

– Ech, jesteś jak centurion z Tamugadi czy innego garnizonu na pograniczu. Tylko musztra i szermierka, żadnego pomysłu. Dzieciola na drzewie widziałeś? Zauważyłeś, że Archelaos coś wyczuł? Ten pół–Żyd, pół–Amoryta wychowywał się gdzieś na Pustyni Syryjskiej, jest wyczulony na to, co niewidzialne...

Bóg wojny uniósł głowę.

– Byłżeby to Pikus?

– W rzeczy samej. Pikus, syn Sterkucjusza. Wieść gminna niesłusznie przypisuje ojcostwo Saturnowi, jak zapewne słyszałeś.

Mars wzruszył ramionami.

– I cóż ten biedak może? Kirke go zamieniła w dzieciola...

Ze spojrzenia Minerwy dało się teraz wyczytać już nie politowanie, a drwinę zmieszana z pogardą.

– Ty naprawdę wierzysz w te głupoty? Nasi prostoduszni rzymscy półbarbarzyńcy, by dowieść, że sroce spod ogona nie wypadli, nawtykali do swoich baśni tyle greczyzny, ile się zmieściło. A to Eneasza, a to Kirke. Opowieści starych Latynów twierdzą, że Pikus sam z siebie posiada zdolność zamieniania się w dzieciola. W ludzkiej postaci strzela ze zwykłego łuku i nigdy nie chybia, a w postaci ptasiej potrafi nałożyć strzałę długości palca na cięciwę łuczku, który by się zmieścił w twoim sandale i wcale by cię nie uwierał. A czytałeś ten traktat napisany niedawno przez Fryngiliusza?

– Hmm... Znaczy... – Bóg wojny zawahał się. – Masz na myśli *De immortalium fatibus variabilitate*?

– A słyszałeś, by ekwita Tytus Fryngiliusz napisał cokolwiek innego?

– Nie słyszałem, zaiste – przyznał gospodarz.

– Właśnie. A teraz ten marzyciel chciałby urzeczywistnić swoją utopię. Gdzieś daleko, za morzem...

Mars uniósł brwi. Bardzo wysoko.

– Skoro daleko od Rzymu, to w czym kłopot? Gdzie indziej władają inni bogowie, niech oni się tym trapią.

– W takim razie zobacz, kogo skaptował.

Bogini znów wyciągnęła srebrzysty krążek podobny do podrabianego denara i wymruczała parę słów. Tym razem brzmiało to jak przekleństwa w języku Arewaków z okolic Cezaraugusty w Hiszpanii. Mars musiał przyznać, że Żelazna Dziewica wykazywała naprawdę niezwykłą inwencję w doborze haseł.

Imago aëria była tym razem węższa od rękawa tuniki i nieco krótsza.

– Patrz. – Minerwa wskazała jedno z imion na liście. – Arsaces z Hermopolis.

Imię partyjskich królów, ale to jeno wyzwoleniec. Zajmuje się machinami poruszonymi siłą pary. O, a ten tutaj, Zopyros z Apamei, jeszcze lepsze ziółko. Wymyślił, że spalając destylowany olej skalny, można poruszać kołami pojazdu, by obracały się szybciej, niż wtedy gdy ciągną go konie. A znów ten – palec bogini zatrzymał się na Poliniku z Eretrii – wymyśla jakoweś latające maszyny...

– Sądziś, że to wszystko da się zrobić?

– Wiele z tych rzeczy już robiono, czyżbyś nie wiedział? Ale to było li tylko dla zabawy. Ku uciesze monarchów albo patrycjuszy. Fryngiliusz jednak, jak widać, myśli o tym poważnie. Jeśli im wszystkim się powiedzie... Potrafisz sobie wyobrazić, jaką potęgę stworzą gdzieś tam na krańcach świata? Imperium bez świątyń... – Bogini wzdrygnęła się. – Imperium, w którym ofiary składane będą takiemu Pikusowi i Faunusowi. A Terminus naprawdę będzie strzegł granicznych kamieni...

Marsowi wyraźnie zrzęda mina.

– Słusznie prawisz, to wielce niebezpieczne idee. Moc bogów bierze się z wiary czcicieli, z ich chęci adorowania bóstw i składania im ofiar. Atoli jeśli gdzieś na krańcu świata... to może do nas ta zaraza nie dotrze?

– Kto wie, kto wie... Statki szybsze od trirem, latające pojazdy...

Bóg wojny podrapał się po głowie.

– A rozmawiałaś już o tym z Jowiszem?

Minerwa nagle się zakrztusiła. Nie wiadomo czym, bo gospodarz zagapił się i nie wydał daimonionowi żadnych dyspozycji w sprawie napojów. Minęła długa chwila, zanim bóg wojny zrozumiał, że Żelazna Dziewica po prostu się śmieje.

– I cóż cię tak rozbawiło, moja droga? – zapytał.

– Zaraz ci pokażę. Staremu ostatnio znów się zebrało na amory...

– *Nihil novi sub sole* – mruknął Mars.

– ...a Junona czegoś się domyśliła i wysłała za nim daimoniona, żeby zdobył dowody winy. Potem mi te dowody pokazała, kiedyśmy się spotkały na babskich plotach. Uśmiejesz się, kiedy ci powiem, co z tego wyszło. U Germanów zresztą już się śmieją, a u nas też niedługo zaczną, bo daimoniony mają niewyparzone gęby, a przy tym co drugi w ludzkiej postaci do tawerny zagląda.

Bogini po raz trzeci wyciągnęła krążek wyglądający jak podrabiany denar, po czym wymruczała zaklęcie. Tym razem zabrzmiało jak pierwsze słowa kolchidzkiej kołysanki.

* * *

Zieloną łączkę nad rzeką Danuvius, w prowincji nazwanej przez Rzymian Górną Panonią, nieopodal miasteczka Vindobona, niemal w całości przykrył żółty kobierzec mleczków. Dziewczynę, która zrywała kwiaty i wiła z nich wianek, wschodni poeta porównałby zapewne do róży albo lilii. Ubrana była skromnie, jak celtycka wieśniaczka, ale urodą dorównywała najpiękniejszym spośród szlachetnie urodzonych dam Imperium.

Gdzieś na widnokręgu pojawił się czarny punkt. Rósł w oczach, zbliżał się z szybkością strzały wystrzelonej z partyjskiego łuku – i w końcu okazał się ptakiem.

W dodatku drapieżnym.

– Stary zamienił się w orła, nie w łabędzia albo w złoty deszcz? – Mars uśmiechnął się sarkastycznie.

– Jak widzisz. A tamten – Minerwa wskazała lewy górny róg *imago aëria* – nie przewidział tego i udaje krogulca. W dodatku ma tylko jedno oko.

– To ten germański... Jakże mu? Wotan?

– Owszem. Patrz, co będzie dalej.

Wzrok Wotana musiał być zupełnie zaćmiony pożądaniem. Jednooki zauważył orła dopiero wtedy, gdy oba boskie ptaki równocześnie znalazły się nad głową dziewczyny. Niespodziewane uderzenie orlego skrzydła tak krogulca oszołomiło, że zanim oprzytomniał, wygramolił się z nadrzecznych zarośli i rozwinął skrzydła, było już po wszystkim. Dziewczyna wygładzała pomiętą suknię, a orzeł bez pośpiechu odlatywał na południowy wschód. Nad łączką łagodne poddmuchy południowego wiatru roznosiły szare, brunatne i białe piórka.

– Potem stary wrócił do swoich larów i penatów... a wtedy dopiero się zaczęło? – domyślił się Mars.

– A jak uważasz? – Minerwa zachichotała, wyłączając swoją *imago aëria*. – Junona wyrwała mu z brody tyle kłaków, że można by z nich zrobić pędzle dla dziesięciu Zeuksisów. Teraz Gromowładny siedzi zamknięty w swoim tryklinium i nie wpuszcza nikogo poza Eskulapem, który mu robi okłady. Stary ma chyba z dziesięć guzów na łbie, a gębę tak pokiereszowaną, jakby go tygrys łapą pogłaskał.

Mars pokiwał głową ze zrozumieniem.

– W takim razie Jowisz nie ma głowy do takich spraw jak niebezpieczna utopia Fryngiliusza...

– Nie ma. Musimy sobie z tym poradzić bez niego.

– Ale czy naprawdę musimy? Czytam teraz – bóg wojny pomachał papirusem, który wcześniej odłożył na bok – o czymś znacznie bardziej niebezpiecznym. Chrześcijaństwo coraz szerzej się rozprzestrzenia, ich apologeci nauczyli się czerpać całymi garściami z Platona i Seneki.

Żelazna Dziewica skrzywiła się pogardliwie.

– Myślisz, że chrześcijaństwo ma jakieś perspektywy? A znasz chociaż podstawowe założenia tej doktryny?

– Co masz na myśli?

– Posłuchaj: *Będiesz miłował bliźniego swego jak siebie samego*. Kochany, to się nie przyjmie!

* * *

Tytus Fryngiliusz w zadumie stał przy kamieniu ofiarnym. Wszystko było gotowe – a on zwlekał. Wynalazek Zopyrosa z Apamei, ostatnio ulepszony przez Arsacesa z Hermopolis, już spoczywał w jego dłoni, gotowy, by zrodzić ogień ofiarny – a on wciąż czekał, zamyślony, nieobecny duchem.

Ekwita postanowił złożyć w ofierze to, co najbardziej odpowiadało naturze najstarszych bóstw. Na ołtarzu znalazły się kłosa zbóż i polne kwiaty, kłaczka paproci

i szyszki sosen, jabłka, figi i leśny mech. Ofiarny stos wieńczył jednak przedmiot, którego wcześniej nikt spośród zebranych nie spodziewał się tam zobaczyć: nieduże wiosło z dębowego drewna, owinięte w żaglowe płótno.

Szczególnie Polinik bardzo się temu dziwił. Tytus, kładąc wiosło na szczycie ofiarnego stosu, zwrócił się wprost do niego, choć wiedział, że inni myślą to samo, co Eretryjczyk.

– Najstarszym bóstwom mieliśmy ofiarować to, co im szczególnie miłe, prawda? – zapytał. – Czyli to, co rośnie w lasach, na polach i na łąkach?

– W rzeczy samej... – Wynalazca wyraźnie się zawahał.

Ideę powrotu do Złotego Wieku, do owych na poły mitycznych czasów niezmaconej szczęśliwości, doskonale rozumiał i od dawna uważał za swoją, ale kwestie religijne były dla niego prawdziwą *terra incognita*. Ideę popierał ze wszystkich sił, ale prawa, którymi rządzi się świat bogów, znał znacznie gorzej niż prawa mechaniki.

– Są jednak na świecie – mówił dalej Fryngiliusz – ludy, który mają zgoła inne wyobrażenie ofiary. Bogowie są potężniejsi od nas. Cóż więc możemy im dać, czego nie mogliby sami sobie wziąć? Nic. A skoro tak, ofiara musi być czymś innym. Daniem bogom tego, co nam potrzebne. Powiedzeniem im: „Gotowi jesteśmy wam oddać to, co najbardziej niezbędne”. Jest takie miejsce na wyspach za Oceanem, gdzie półnaczy ludzie grzeją się w nocy przy ogniu, by nie zamarznąć. Jakie ofiary składają swoim bóstwom? Ofiarą jest żagiew z ogniska. A znów na pustyni są ludy, które z każdego kubka wody ulewają odrobinę dla bogów. Dla jednych sprawą życia i śmierci jest ogień, dla drugich woda, i dlatego jakąś ich część oddają swoim bóstwom.

Spojrzał na zebranych i dokończył:

– A coż jest najważniejsze dla tych, którzy przedsięwzięli wyprawę za Ocean?

Zrozumieli. Nie byli przecież zwykłymi, niepiśmiennymi legionistami ani też prostodusznymi bywalcami ostyjskich knajp, wierzącymi, że im tłustszego wołu zarzną na ołtarzu, tym łatwiej uproszą Marsa, by dodawał siły ciosom ich mieczy, albo Neptuna, by zesłał pomyślny wiatr. Rozumieli, że bogom te ofiary potrzebne są tak samo, jak żabie siodło albo rybie kwadryga. Myśl wypowiedziana przez Fryngiliusza tkwiła już gdzieś na dnie ich świadomości, a teraz nagle wydostała się na powierzchnię.

I oto już lada chwila ofiara miała zostać złożona. Jednak Tytus Fryngiliusz zdawał się czekać na coś jeszcze. Zapalacz z ekstraktem oleju skalnego czekał na ruch jego dłoni, na dotknięcie palca.

Nagle, nie wiadomo czemu, wszystkie głowy, jak pociągnięte niewidzialnym sznurkiem, odwróciły się w stronę odległej o blisko stadion bramy, ozdobionej wizerunkiem srebrnego ptaka w locie i złotym napisem *VILLA AD AVEM ALBAM*. Na tym ptaku odlanym z czystego srebra, na samym końcu jego dzioba, siedział teraz prawdziwy ptak – z krwi, kości i piór. Siedział i kręcił łepkiem. W końcu zerwał się do lotu, przemknął nad ogrodową aleją i nad głowami ofiarników, po czym przysiadł na grubym konarze dębu, tuż nad ołtarzem.

– Oto znak! – ogłosił Tytus Fryngiliusz.
W jego prawej dłoni błysnął płomień.

* * *

Kłamliwie bowiem są opowieści idolatrów, którymi ich kapłani od wieków lud prosty mamią, jakoby demony, niesłusznie za bogów uznawane, nie podlegały zwykłemu prawu natury. Rzekoma ich nieśmiertelność jest bowiem długowiecznością zaledwie. Dowiedziono niezbitcie, że wskutek działania sił, których istoty trudno dziś dociec, demony owe, choć z rodzaju ludzkiego się wywodzące (a mianowicie od Atlantów), po zagładzie Atlantyd niemal przestały się starzeć, co sprawia, iż życie ich blisko stukrotnie się wydłużyło...

Mars pokręcił głową. Niegłupi ten syryjski gnostyk, albo po prostu dobrze poinformowany. Pewnie raczej to drugie. Najbystrzejszy nawet umysł nie przeniknąłby skrzętnie skrywanej tajemnicy bogów bez niczyjej pomocy. Jeżeli Syryjczyk tę tajemnicę poznał, to ktoś musiał mu ją ujawnić.

...i – jak policzono – żyją one sześć tysięcy pięćset siedemdziesiąt sześć lat, niektóre zaś nawet o rok dłużej.

Bóg wojny parsknął śmiechem. Co za bzdury! Ogólnie rzecz biorąc, niby prawda, ale ta liczba... To tak, jakby powiedzieć, że człowiek żyje siedemdziesiąt lat, trzy miesiące, dwanaście dni i cztery godziny. Przecież taki na przykład Amon z Egiptu przeżył blisko osiem tysięcy lat, a fenicki Melkart zaledwie pięć... Różnie bywa, tak samo jak u ludzi. Tutaj syryjski filozof nadmiernie popuścił wodze fantazji.

Co zaś się tyczy wielorakości i różnorodności demonów – pisał gnostyk nieco dalej – to najważniejsze z nich są podobne do ludzi, choć zdolne do odmieniania kształtu. Tak to Jowisz postać białego byka raz przyjął, zaś kiedy indziej łabędzia, a jeden z germańskich demonów w konia się przeistoczył. Inne jeszcze, osobliwie te, które lud w Arabii słowem dzinni nazywa, są jakby z lotnej pneumy, niewidzialnej dla oka. Potrafią jednak przyjąć postać z dotykanej materii uczynioną, a to ludzką, a to zwierzęcą albo zgoła roślinną. Te ostatnie zresztą są wykorzystywane do różnych posług przez najważniejsze demony, czyli te, którym idolatry wnoszą świątynie i marmurowe posągi.

Mars odłożył papirus i podrapał się po głowie. Naszła go nagle pewna myśl. Po chwili jednak doszedł do wniosku, że jest ona jeszcze zbyt trudna do wprowadzenia w czyn, a nawet do ubrania w słowa; musiał się jeszcze nad nią zastanowić.

Zaczął czytać dalszy ciąg gnostyckiego traktatu.

Moc demonów zasię – twierdził Syryjczyk – tym większa jest, im większą liczbę czcicieli pozyskają. Ci bowiem modłami i ofiarami potęgi im przysparzają. Głupotą jednakowoż byłoby mniemać, iż nadprzyrodzona moc owych demonów sprowadza

się do niespodzianego nawiedzania niewiast, by chuciom uczynić zadość, albo też wtrącania się w wojny prowadzone przez śmiertelnych, co – jak Homer zaświadcza – zdarzało się pod murami Troi. Mogą one niezwykle szybko, nieomal w okamgnieniu, przebywać ogromne odległości albo wywoływać różne gwałtowne zjawiska w powietrzu i na morzu. Mogą też swą moc przekazywać sobie nawzajem albo łączyć siły. Każde takie działanie powoduje jednak ubytek rzeczony mocy, tak iż demona na pewien czas słabym i bezbronny czyni. Wtedy nawet zabić by go można, co kiedy indziej niemożliwym się zdaje, bo rany ich same się zasklepiają, bez większej szkody dla zdrowia.

Mars pokiwał głową. Ten gnostyk naprawdę dużo wiedział o bogach.

I oto myśl sprzed chwili stała się nagle wystarczająco jasna i klarowna, by przekuć ją w czyn. Co też bóg wojny postanowił niezwłocznie uczynić.

– Alara! – zawołał.

Minęły chyba ze dwie minuty, zanim daimonion się zmaterializował. Mars pomyślał, że w końcu jednak trzeba będzie krnąbrnego opieszalca wychłostać. Musiał jednak odłożyć ten zbożny zamiar na później; teraz miał dla Alary zadanie do wykonania i trzeba było słudze wytłumaczyć, co ma robić. Trudne i skomplikowane misje wymagają szczegółowych instrukcji. Dlatego też bóg wojny ograniczył się do gniewnego pomruku:

– Mógłbyś się trochę pospieszyć. Czekać to sobie może dziwka w Ostii na marynarza, a nie pan na sługę.

Alara nie odpowiedział.

Bóg wojny przez długą chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Daimonion swoim zwyczajem zmaterializował się jako ciemnoskóry nubijski chłopiec o kędzierzawych włoskach i w tej postaci wyglądał jak ucieleśnienie dziecięcej niewinności. Kto go nie znał, dałby się nabrać. Ale Mars go znał, i to aż za dobrze. I potrzebował go takiego, jaki był.

– Słuchaj, obwiesiu – zaczął. – Wiem, że jesteś leniwy jak stary hipopotam...

– A co w tym złego, panie? – spytał z niewinną miną daimonion. – *Ignavis semper feriae*.

– Dla ciebie, nicponiu, *feriae* właśnie się kończą – huknął bóg wojny. – Mam dla ciebie ważne zadanie. Czeka się podróż...

– Panie! Byle nie konno! – przeraził się Alara.

– Nie, nie konno. – Mars roześmiał się hałaśliwie. – W ogóle będziesz musiał się materializować tylko wtedy, kiedy zajdzie taka potrzeba. Ale za to... niekoniecznie jako słodkie dzieciątko znad nilowej katarakty.

– Uuu! – Daimonion zrobił tak nieszczęśliwą minę, że jego pan z trudem powstrzymał się od pogłaskania sługi po kędzierzawej główce.

– Nie jojcz, tylko przygotuj się. – Wyraz twarzy Marsa dowodził, że bóg bezskutecznie silił się na surowość i powagę. – Musisz poćwiczyć.

Alara skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę.

– Niewykluczone, że zamiast małym Nubijczykiem będziesz musiał stać się

tlustym, spasionym szczurem.

Sługa westchnął z rezygnacją. Nagle znikł, a w miejscu, w którym przed chwilą stał, powietrze jakby zgęstniało. Po dwóch sekundach na podłodze intarsjowanej hebanem, tuż obok wiotkiej postaci Ariadny, siedział rudy szczur.

– Jesteś zadowolony, mój panie? – pisnął.

– Może być. Teraz bocian.

– Kle–kle–kle–kle! Nie powiedziałaś, panie, czy mam być biały, czy może czarny. Jak widzisz, wybrałem ten drugi kolor.

– Opuść drugą nogę, bo się przewrócisz. A teraz... mewa!

Ptak, głośno skwirząc, trzykrotnie okrążył komnatę, omal nie strącając małego marmurowego posążka, przywiezionego niedawno z Koryntu.

Bóg wojny zatarł ręce z zadowoleniem.

– Widzę, że będzie z ciebie pożytek. Wytłumaczę ci jeszcze dokładnie, o co chodzi... to znaczy tobie i Numairowi... a potem, w Nony majowe, wyruszyście.

Alara zmarszczył brwi.

– Ma mi towarzyszyć Numair? Ten paskudny arabski *dzinnus* od Minerwy?

– Już ci mówiłem: Minerwa to ona jest dla mnie – warknął Mars. – A dla ciebie wielce dostojna bogini Minerwa. Powtórz.

– Wielce dostojna bogini Minerwa – mruknął daimonion, znów bez cienia szacunku.

– Numair – wyjaśnił bóg – ma rzadką nawet u arabskich daimonionów zdolność zakłócania wróżebnych snów. A to nam będzie bardzo, bardzo potrzebne. Dlatego też wielce dostojna bogini Minerwa postanowiła mi go wypożyczyć na pewien czas.

– No dobra, niech będzie. – Sługa powiedział to takim tonem, jakby wyświadczał swojemu panu wielką przysługę. – Jak trzeba, to mogę pójść, pojechać, polecieć, popłynąć albo popełznąć, nawet z tą pustynną wywłoką z tamtej strony *Sinus Arabici*.

– I o to chodzi – uciał Mars. – Zresztą nie tylko możesz, ale musisz. Obaj musicie. Tego chce pani Minerwa i tego chcę ja.

– Skoro musimy... – Westchnienie Alary zdmuchnęło na podłogę papirus odłożony nieco wcześniej na stół.

Subtelne rozważania syryjskiego gnostyka na temat natury bogów wylądowały między muskularnym torse Herkulesa a masywnym cielskiem lwa z Nemei.

– Oczywiście nawet nie pomyślałeś, żeby podnieść? – warknął pan na sługę.

– Już podnoszę. – Daimonion posłusznie pochylił się i wziął do ręki papirus.

Mars tymczasem sięgnął pod tunikę i wyciągnąwszy coś, co wyglądało jak zaśniedziała sestercja, wymruczał zaklęcie. Alara z ciekawością spojrział na czarny kwadrat, który pojawił się w powietrzu dwie piędy nad blatem stołu.

– Muszę wymienić moją *imagine m aëriam* na jakąś lepszą – burknął z niezadowolaniem jego pan. – Ta strasznie wolno się uruchamia.

W końcu czerń ustąpiła miejsca barwnemu obrazowi. Daimonion miał przed sobą widok morskich fal, a nad nimi sylwetkę ptaka.

– Co to jest?

– Morski ptak z południowej części zachodniego oceanu – wyjaśnił bóg wojny. – Na północy żyje inny podobny gatunek. Germanie mówią na niego skuwur.

Obraz w końcu się poruszył. Ptak zatoczył krąg nad falami i nagle spojrział prosto w oczy Alary. Daimonion cofnął się, a potem upadł przed Marsem na kolana.

– Panie! – wyszeptał przerażony. – Chyba nie każesz... nie każesz mi się... materializować... w takiej... postaci? Ja... Ja się boję! To straszna bestia!

– Jaka znów bestia! Skuwur nie jest większy od zwykłej kury.

– Widzę, panie! Ale on... On jest straszny.

– Dlatego też to nie ty będziesz udawał skuwura w razie potrzeby. – Mars roześmiał się. – To będzie zadanie Numaira.

Daimonion odetchnął.

– A teraz wynoś się i czekaj na dokładne instrukcje – zakończył bóg wojny.

Alara zniknęła jak sen jaki złoty. Pozostało po nim ledwo dostrzegalne zgęstnienie powietrza, ale i ten ślad rozwiął się w okamgnieniu.

Część III

Ocean

Morze. Bezkresny przestwór rozfalowanego błękitu. Jak okiem sięgnąć, ani skrawka lądu. *Makarioi Nesoi*, tylekroć opiewane przez greckich i rzymskich poetów Wyspy Szczęśliwe, pozostały w tyle za lewą burtą. Daleko na południowym zachodzie czekał cel podróży – ten wyśniony, wymarzony, wyteścniiony... Odległy, ale osiągalny. Tytus Fryngiliusz wierzył w to i swą wiarą zaraził wszystkich: załogę kwinkweremy, grono mędrców pochylających głowy nad papirusami, a nawet niewolnice odkupione od dotychczasowych panów i wciąż jeszcze nie bardzo wiedzące, co mają sądzić o nieoczekiwanej odmianie losu. Po drugiej stronie oceanu wszyscy mieli znaleźć swoją własną Wyspę Szczęśliwą. Swoją utopię.

Fryngiliusz kazał teraz odłożyć wiosła i uruchomić maszynę napędzaną siłą pary – wynalazek Arsacesa z Hermopolis. Było już rzeczą pewną, że nie spotkają na swej drodze żadnego statku, więc dymiący komin nie wywołał niczyjego zdziwienia. Ekwita oczywiście wiedział, że wiosłarze nie będą próżnować aż do końca podróży. Paliwo należało oszczędzać; ładownia kwinkweremy nie pomieściła wystarczających ilości lśniącego czarnego kamienia, który płonął niby drewno, podgrzewając kotły z wodą. Druga maszyna, ta na destylowany olej skalny, miała poważną wadę: jej moc nie wystarczała, by nadać statkowi pożądaną prędkość. Wynalazca, Zopyros z Apamei, bardzo nad tym ubolewał; prosił nawet Fryngiliusza, by dał mu trochę czasu na jej udoskonalenie, ale ekwita chciał wyruszyć jak najszybciej, więc uczony rad nierad musiał ustąpić. Teraz zamykał się na cztery spusty w swojej kajucie i ślęczał nad papirusami.

Polinik z Eretrii, w przeciwieństwie do Zopyrosa, spędzał niemal całe dni na pokładzie. Fascynowały go latające ryby. Uczony Grek śledził wzrokiem ich powietrzne ewolucje, a potem pochylał się nad woskową tabliczką – i notował,

notował, notował. Za papiirusy zabierał się dopiero wieczorem. Uparł się, że skonstruuje maszynę zdolną do lotu, a przy tym tak samo sterowną, jak najlepszy statek. Fryngiliusz radził mu już kilkakrotnie: „Poczekaj, aż dotrzemy do celu, na lądzie będziesz mógł eksperymentować do woli, nie to co w kajucie, teraz daj sobie spokój!” – ale Polinik się uparł. Taką już miał naturę: musiał uparcie posuwać się naprzód. *Nulla dies sine linea*.

Arsaces z Hermopolis nie był aż takim pracusiem. Uwielbiał przechadzać się po pokładzie, bynajmniej nie analizując trajektorii, po której poruszały się latające ryby. O swojej pasji – zastosowaniu pary wodnej we wszelkiego rodzaju machinach – chętnie rozmawiał z każdym, kto chciał słuchać, ale jego wynurzenia były bardziej snami na jawie niż dociekaniem uczonego.

– Wyobraźcie sobie – mówił pewnego razu – ogromną maszynę, z której buchają kłęby pary i która zdolna jest pociągnąć dwadzieścia wozów, a każdy z nich pomieści pięćdziesięciu albo i stu ludzi, albo ładunek o pojemności tysiąca kwadrantali. I wszystko to posuwa się naprzód z prędkością większą niż ta, którą osiąga koń w galopie.

– Przecież taki łańcuch wozów przewróci się na pierwszym lepszym zakręcie! – zaoponował wyzwolenc Grunio (który zresztą upierał się, by mówić na niego Gruni, tak jak nazywali go ziomkowie na Północy).

– Masz rację. – Arsaces skinął głową z powagą. – Dlatego trzeba będzie zbudować dla takiego łańcucha wozów specjalną drogę. Wozy mogłyby się trzymać liny biegnącej obok. Trzeba by też sporządzić specjalne połączenia między tymi wozami. Takie, które by zapobiegały nadmiernemu oddalaniu się od osi drogi. Mam już stosowne rysunki na papiirusie...

Słuchacze ze zrozumieniem kiwali głowami. Wierzyli, że Arsaces może coś takiego skonstruować, ale szczegóły ich raczej nie pociągały. Potakiwali, by uczonemu okazać szacunek.

W dniu, w którym za lewą burtą przez chwilę majaczyły zarysy jakiejś wysepki, a Tytus Fryngiliusz polecił zmienić kurs z południowo-zachodniego na południowy, pogoda wciąż była słoneczna, wiatr niezbyt mocny, a fala niska. Po wydaniu niezbędnych rozkazów dowódca wyprawy stanął na dziobie i zapatrzył się w dal. Zdawało się, że wypatrywał lądu na widnokręgu – zupełnie jakby można było z tego miejsca zobaczyć ową wymarzoną wyspę na południowym zachodzie, odległą jeszcze o wiele dni żeglowania.

– A dlaczego teraz skręciliśmy na południe? – usłyszał nagle.

Odwrócił się i zobaczył Eunice. Dziewczyna patrzyła na niego zadzierając lekko głowę i swoim zwyczajem nieco mrużąc skośne oczy.

Eunice, nazwana tak przez swoich Aleksandryjskich panów, pochodziła z dalekiego kraju Serów, ojczyzny jedwabiu. Była małym dzieckiem, gdy do jej domu przyszli uzbrojeni ludzie i zabrali całą rodzinę. Uczynili to zapewne na rozkaz jakiegoś możnego pana, któremu naraził się ojciec dziewczyny. Potem ogromny statek – tak ogromny, że Eunice nie potrafiła policzyć żagli – powiózł ją na zachód, do krainy zwanej Ofirem. Tam małą Seryjkę kupił otyły mężczyzna w zawoju na

głowie, wciąż obzerający się baraniną i wycierający sobie palce w zmierzwioną brodę. On sprzedał ją kupcowi z Aleksandrii – i tak znalazła się w granicach Imperium Rzymskiego...

Domyślano się, że Tytus Fryngiliusz widzi w Eunice swoją przyszłą żonę. Nikogo to nie dziwiło; wszystkie kobiety na statku były niewolnicami, ale w przyszłości, na wyspie, niewolnictwa miało nie być. Ekwita, jako dowódca wyprawy, mógł sobie wybrać, kogo chciał – a trzeba było przyznać, że Eunice przewyższała urodą pozostałe towarzyszkę podróży.

Tytus mimo woli się uśmiechnął. Eunice dobrze mówiła po grecku – w Aleksandrii nie używano łaciny, więc język panów połowy świata nie był jej znany – ale „r” nie zawsze jej wychodziło. Teraz też jej słowa zabrzmiały dość zabawnie.

– Bo nie chcemy trafić na tę wielką wyspę w miejscu najbardziej niegościnnym – wyjaśnił. – Gdybyśmy nie zmienili kursu, dopłynęlibyśmy do wybrzeży porośniętych gęstym, bagnistym lasem, gdzie trudno byłoby uprawiać ziemię.

Dziewczyna pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Aha. A drogę do tego miejsca, do którego chcesz dotrzeć, możemy znaleźć dzięki Eratostenesowi?

– Owszem.

– Który jednak nigdy tam nie był i o istnieniu tej wyspy w ogóle nie wiedział... Jak to możliwe?

Ekwita uśmiechnął się tajemniczo.

– Bogowie nam sprzyjają – powiedział, po czym zaraz się poprawił: – Oczywiście niektórzy bogowie... bo raczej nie Jowisz albo Mars.

Jego spojrzenie pobiegło ku wieńczącej dziób kwinkweremy głowie ptaka, wyrzeźbionej w dębowym drewnie. Na jej czubku siedział teraz inny ptak, znacznie mniejszy, ale za to jak najbardziej żywy. Dziecioł.

Eunice też zerknęła w tamtą stronę, po czym opuściła powieki, pochyliła głowę i skrzyżowała ręce na piersi.

Kiedy znów otworzyła oczy, dziecięcia już tam nie było.

– Tytusie? – odezwała się po chwili milczenia.

– Co?

– Mówiłeś, że nigdzie pod pokładem nie ma żadnych szczurów?

– Oczywiście. Nie ma. Zopyros się o to postarał. Wykurzył wszystkie, jeszcze zanim wyruszyliśmy.

Dziewczyna pokręciła głową.

– A jednak widziałam dzisiaj jednego.

– Niemożliwe – zapewnił ją Fryngiliusz. – Gdyby nawet jakiś się uchował, to do tej pory zdechłby z głodu. Zapasy są dobrze zabezpieczone. Pod pokładem nie ma niczego, czym szczur mógłby się żywić.

Obejrzał się, zauważył jasnowłosego mężczyznę na rufie, zmarszczył brwi, podrapał się po głowie i mruknął:

– Nooo... Chyba że...

Odsunął się od burty i zawołał:

– Grunio! Przyrowadź do mnie Naramsina!

– On chyba woli, by na niego mówić Gruni – zauważyła nieśmiało Seryjka.

– Nieważne. – Ekwita machnął ręką. – Przyzwyczaj się.

W chwilę później Grunio wrócił na pokład z Chaldecykiem. Przybysz z Borsippy stanowił całkowite przeciwieństwo byłego niewolnika: czarnowłosa, czarnooki, o skórze niemal brunatnej, sięgający mu głową zaledwie do ramienia. W tej głowie jednak mieściła się wiedza, jakiej mogliby mu pozazdrościć najwięksi helleńscy mędracy; Naramsin, niegdyś kapłan boga Nabu, wiedział o wiele więcej niż oni.

– Eunice, opowiedz jeszcze raz o tym, co widziałaś – poprosił Fryngiliusz.

Naramsin uważnie słuchał Seryjki, kiwając głową i wymieniając porozumiewawcze spojrzenia z Grunionem. Zadał też kilka pytań: w którym miejscu zobaczyła tego szczura, jak długo go widziała, jak się zachowywał... Kiedy skończyła, zażądał:

– Podaj mi rękę. Prawą.

Jego dłoń była drobna i krucha, jak u kobiety z wyższych sfer.

– A teraz lewą Grunionowi – polecił.

Przybysz z lasów dalekiej Północy musiał uważać, by uściskiem swojego potężnego łapska nie zmiażdżyć jej delikatnych palców.

Mężczyźni przez chwilę stali bez ruchu z zamkniętymi oczami, jakby wsłuchując się w tylko dla nich słyszalne dźwięki, a potem wymienili spojrzenia szybkie jak błyskawica.

– To nie był szczur – oświadczył Naramsin.

– Nie? – zdziwiła się Eunice.

– Nie. To, co zobaczyłaś... Albo może ten, którego zobaczyłaś... – Chaldecykiem spojrział na Gruniona, jakby szukał pomocy.

– Może lepiej tego nie tłumaczyć? – zaproponował jasnowłosa.

– Wiesz, chyba masz rację. To trochę skomplikowane.

Odwrócił się do Fryngiliusza:

– Jest tak, jak przypuszczałeś. Musimy podjąć jakieś kroki... Trzeba by się naradzić...

Ekwita skinął głową.

– Trzeba. I to szybko. Eunice, zostaw nas samych, proszę.

* * *

Alara, zmaterializowany w postaci galijskiego korigana o ciemnej skórze i włosach białych jak śnieg, patrzył na Numaira spode łba, gniewnie sapiąc i zaciskając pięści.

– Twoja nieostrożność w końcu nas zgubi – warknął, siadając na niskiej skrzyni przymocowanej łańcuchem do ściany. – Ty ich wszystkich uważasz za głupców?! Myślisz, że nic nie potrafią?!

Dżinn, który tym razem wybrał sobie postać szympansiątka o nietypowej dla tego gatunku jasnopłowej sierści, wydał wargi.

– Coś tam potrafią, ale niewiele. A nasza zwykła, niewidzialna postać ma tę wadę,

że łatwiej wyczuć aurę. Wiesz przecież. Czyli z dwojga złego...

– Wiem. – Sługa Marsa ciężko westchnął. – Jest na pokładzie aż trzech takich, którzy potrafią... Ale to nie znaczy, że masz się ludziom pokazywać. Oni się przecież domyślą, że to nie był prawdziwy szczur. Zopyros...

– Zopyros nie jest cudotwórcą – wszedł mu w słowo małopokształtny towarzysz. – A to, że jakaś głupia dziwka mnie zobaczyła, nic nie znaczy.

– Jeśli powiedziała Fryngiliuszowi...

– To Fryngiliusz pomyśli, że Zopyros spaprał robotę – uciął Numair.

Alara westchnął.

– Niech ci będzie. Nie zapomnij tylko, że mamy zadanie do wykonania.

– Niech cię o to głowa nie boli. Ja mam do zrobienia dużo więcej niż ty. I o wszystkim pamiętam.

Daimonion z Meroe nie odpowiedział. Dla niego konieczność wykonywania jakichkolwiek zadań wspólnie z Numairem stanowiła dowód wyjątkowej złośliwości losu. Najchętniej by uciekł od dżinna jak najdalej, gdzieś na przeciwległy kraniec świata... Niestety nie mógł.

Już mieli otoczyć się Kręgiem Ostrzegającym i ułożyć do snu, kiedy sługa Minerwy czujnie uniósł głowę.

– Ktoś się zbliża – powiedział Alara, zanim dżinn zdążył otworzyć szympansi pysk.

– I to ktoś niebezpieczny – dodał jego towarzysz. – Trzeba zmykać na drugi koniec statku. I koniecznie zatrzeć ślady.

Obaj rozpoczęli dematerializację, ale zabrakło im czasu. Poczuli nagle zawrót głowy, pociemniało im w oczach... Potem było uczucie spadania w dół, w głęboką studnię, a na końcu brzęk metalu.

Być może jednak tylko Alara usłyszał ten dźwięk. Numair gdzieś zniknął. A meroicki daimonion mógł się o tym naocznie przekonać, bo wokół niego zrobiło się bardzo jasno.

Nie wyczuwał też obecności dżinna, choćby zdematerializowanego. Numair chyba po prostu uciekł.

A tymczasem Alara, teraz już w postaci człowieka, siedział w żelaznej klatce.

* * *

Naramsin i Grunio stali w zadumie, przyglądając się ciemnoskóremu, mniej więcej czternastoletniemu chłopcu, od którego dzieliła ich żelazna krata. Tytus Fryngiliusz zatrzymał się o kilka kroków za nimi i czekał.

Pierwszy odezwał się Chaldejczyk.

– Ten drugi jednak uciekł – powiedział z niezadowoleniem w głosie. – Jeśli dobrze wyczuwam ślad, w tej chwili go nie ma na statku. Zdaje mi się, że naszemu więźniowi nie pomoże.

Grunio i Tytus domyślili się, że kapłan chce, by lokator klatki zrozumiał jego słowa. Naramsin zazwyczaj rozmawiał z nimi po grecku, a teraz wybrał łacinę. Ci, którzy wysłali w ślad za nimi daimoniona, z pewnością posługiwali się językiem

Rzymian. Czy sługa znał grekę – w to akurat można było wątpić.

Jeśli Chaldecykcowi właśnie o to chodziło, jego zamiar w zupełności się powiódł. Chłopiec spojrział na mówiącego z przerażeniem w oczach, a sekundę czy dwie później spod jego powiek spłynęły dwie duże łzy.

– A teraz – ciągnął bezlitośnie Naramsin – jest już skazany na tę postać, w której się ponownie zmaterializował, kiedy już przestał być celtyckim niziołkiem.

Więzień upadł na kolana.

– Panie, nie rób mi tego! – wyszlochał. – Reszta życia w ciele?! Dla daimoniona to gorsze niż dla człowieka klatka! Ja chcę być niewidzialną pneumą, taka moja natura! Błagam! Spełnię każdy twój rozkaz... albo rozkaz pana tego statku... ale nie skazujcie mnie na taki okropny los!

Wytarł oczy wierzchem dłoni i ciągnął:

– I za co, szlachetni panowie, za co?! Czymże ja wam zawiniłem?! Toż ja byłem tylko niewolnikiem! Musiałem słuchać rozkazów tego półgłówka w galei na pustym czerepie! On kazał, ja musiałem! Chciał, żebym znosił towarzystwo potwora z arabskich pustyń, to musiałem razem z nim... Ale ja tego nie chciałem! Panowie najdostojniejsi, litości!

Kapłan obejrzał się na Fryngiliusza. Dowódca wyprawy uniósł tylko brwi i wykonał ledwo zauważalny gest lewą dłonią: „Daję ci wolną rękę, ty wiesz najlepiej, co robić”.

Chaldecykc spojrział na więźnia spod oka.

– Zobaczymy, czy zasługujesz na jakieś względy. Może jeśli będziesz posłuszny...

– Zrobię wszystko, czego zażadasz, panie! – Alara złożył ręce jak do modlitwy. – Będę posłuszny, przysięgam!

Naramsin znów obejrzał się na Tytusa, a ten wydał krótki rozkaz:

– Grunio, wyciągnij go z klatki i zaprowadź na górę. Trzymaj drania mocno za kark.

* * *

– Panie! Panie!

To wołał brodaty marynarz, Celt z Brytanii, którego łacina przyprowadziła Fryngiliusza o ból zębów. Wyraz jego twarzy świadczył, że starego żeglarza coś niezwykle poruszyło.

– Co się dzieje?

– Panie! To chyba jakieś czary! Najpierw taki spokój, nic się nie dzieje... a potem nagle jakby powietrza ubyło! Zwyczajnie nie mieliśmy czym oddychać!

Fryngiliusz w zamyśleniu potarł czoło.

– Ale teraz już wszystko w porządku?

Marynarz potarł sobie rozwichrzoną brodę.

– No niby tak. Ale przedtem...

– Byłeś na pokładzie czy pod? – przerwał mu dowódca.

– Na pokładzie.

– A zauważyłeś jeszcze coś? Coś dziwnego?

Bryt znowu skubnął brodę palcami.

– Niby nic... Tylko jakiś ptak...

Fryngiliusz zmarszczył brwi.

– Ptak, powiadasz?

– Ano. Taki brązowy, trochę podobny do mewy. Na prawej burcie siedział. Nie wiadomo, skąd się wziął. A potem odleciał.

Fryngiliusz zamyslił się.

– Chyba wiem, co się dzieje. Ale to nic. Róbcie swoje.

* * *

Ciemnoskóry chłopiec patrzył z lękiem na trzy pochylone nad nim twarze. Wodził wzrokiem od Naramsina do Gruniona, od Gruniona do Fryngiliusza, a potem w przeciwnym kierunku – i widać było, że zbiera mu się na płacz.

Dowódca w końcu przerwał milczenie.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Alara, panie.

– I byłeś daimonionem... chyba trzeciej kategorii, tak?

– Jestem daimonionem trzeciej kategorii – potwierdził Alara, mocno akcentując czas teraźniejszy w czasowniku. Jego *sum* zabrzmiało jak uderzenie tarana w bramę.

– Na razie nie da się powiedzieć, że jesteś. – Tytus Fryngiliusz wzruszył ramionami. – Zdolność dematerializacji została ci odebrana.

– Co chyba zauważyłeś – dodał Chaldeczyk, uśmiechając się kpiąco.

Alara nie wytrzymał. Z jego piersi po raz kolejny wyrwał się rozdzierający szloch.

– Przestań beczeć – upomniał go Grunio. – Masz odpowiadać na pytania i robić, co ci każemy. A co dalej z tobą będzie, to się okaże.

– D–d–d–dobrze, pa–pa–panie – wyjąkał chłopiec.

– No to odpowiadaj. Po pierwsze: kto cię tu przysłał?

– Mój pan. Mars.

– Aha, mówiłeś coś o galei na pustym łbie – przypomniał sobie wyzwoleniec. – Można było się domyślić.

– A tego drugiego? – Tym razem pytanie zadał Naramsin.

– To *dzinnus*, sługa Żela... eee... znaczy... Minerwy. Ale Minerwa go wypożyczyła Marsowi. On ma na imię Numair.

– Nie musisz się jąkać, my wiemy, kogo nazywacie Żelazną Dziewicą. – Fryngiliusz roześmiał się.

– Tak, panie... – Alara powiedział to chyba na wszelki wypadek, bo właściwie nie miał czemu przytakiwać.

Chaldeczyk w zamysleniu skubnął kępkę włosów na podbródku.

– A czy Mars powiedział ci, dlaczego macie działać przeciwko nam? Dlaczego chce udaremnić nasze zamiary?

– Dużo nie mówił. Może dlatego, że nie pytałem. W każdym razie zrozumiałem, że nie chce, by starzy bogowie odzyskali znaczenie. Choćby to się stało na drugim końcu świata. A jeszcze bardziej nie chce tego Żelazna Dziewica.

– Tak myślałem. – Fryngiliusz pokiwał głową, a Naramsin skrzywił się sceptycznie.

– Właściwie nie musiałem o to pytać – mruknął, a głośno dodał: – I w jaki to sposób mieliście nam pokrzyżować plany?

Na twarzy chłopca znów odmalowało się przerażenie.

– Panie! Ja nic nie wiem! To ten pomiot pustyni miał rozkazywać, a ja tylko słuchać! Tego ohydneho potwora! Jak ja go nienawidzę!

Alara wzdrygnął się. Ten odruch pozwalał się domyślać, że od nienawiści silniejszy był jednak strach.

Fryngiliusz, Naramsin i Grunio czekali na ciąg dalszy. Uwięziony w ludzkim ciele daimonion wytarł hałaśliwie nos i mówił dalej:

– Chyba wszystko miało się rozstrzygnąć pod koniec podróży. Skoro nie w naszej mocy było wywołać burzę, która by was zatopiła... A gdyby nawet, to ochroniłby was ten, który teraz słucha, chociaż go nie widzę...

Tytus Fryngiliusz uśmiechnął się mimo woli.

– A więc wyczuwasz jego obecność. To... To chyba dobrze, prawda, Naramsinie?

Chaldejczyk skinął głową z powagą.

– Też tak sędzę. Dzięki temu lepiej zrozumie swoje położenie. Nie będą mu przychodzić do głowy żadne głupie pomysły ani też...

Przerwał mu łopot ptasich skrzydeł. Pod sufitem ni stąd, ni zowąd pojawił się pstry dzięcioł. Cztery razy okrążył kajutę, po czym usiadł na prawym ramieniu Alary i zaczął mu świergotać prosto do ucha. Na twarzy chłopca odmalowało się bezgraniczne zdziwienie, ale szybko ustąpiło miejsca powadze i skupieniu, z jakim słucha się słów kogoś, kto wiele wie i komu się ufa bezgranicznie.

– Alara rozumie Słowa Wielkich Kamieni! – szepnął zdumiony Grunio. – Świętą mowę z czasów, kiedy w kamiennych kręgach składano ofiary Słońcu, Księżycowi i gwiazdom!

– My to nazywamy Mową Atlantów – odpowiedział Fryngiliusz.

– A my, na wzór Sumerów, Tajemną Mową Enkiego – dodał Naramsin.

Ptasi świergot ucichł. Słysać było tylko przyspieszony oddech Alary.

– Rozumiem, panie – powiedział w końcu chłopiec. – I będę posłuszny.

Wszyscy obecni zdali sobie nagle sprawę, że na ramieniu Alary nie siedzi już żaden ptak. A ledwo ten fakt utorował sobie drogę do ich świadomości, usłyszeli za plecami czyjś mocny męski głos:

– Źle się stało, że ten drugi umknął. Bogowie–imperatorowie, bogowie–wojownicy, bogowie marmurowych ołtarzy są przeciwko nam. Ich ręce są długie, a palce jak szpony sępa. Was mało, więc i nasza siła niewielka. Jednakowoż tam, dokąd płyniecie, oni już nie władają. W tym nasza nadzieja.

Obejrzel się. Za nimi stał łucznik odziany w czerwoną koszulę i germańskie nogawice z jeleniej skóry. Strzały w jego kołczanie zdobyły lotki z białych i czerwonych piór.

Fryngiliusz, Naramsin i Grunio nisko pochyłili głowy. Kiedy je podnieśli, w miejscu, gdzie przed chwilą stał Pikus, była już tylko pustka.

Część IV

Woda i ogień

Dym gęstniał z każdą chwilą. Trzej kapłani klęczeli w milczeniu z nisko pochylonymi głowami. Ostatnie słowa wypowiedzianych chrapliwymi głosami inkantacji odbiły się echem od kamiennego sklepienia, a potem zapadła cisza. Ogień wciąż płonął na kamieniu ofiarnym, a zapach świętych ziół zdawał się przenikać każdą cząstkę powietrza i każdy kamień murów, wypełniać płuca, przenikać do krwi. Emekuzi, Ollapa i Taganabi czuli już to, co zwiastowało nadejście duchów: jedyne w swoim rodzaju wrażenie unoszenia się w górę, ponad ziemię ludu Pathi–Tuka, ponad równiny południa i góry zachodu, ponad chmury, ku błękitnemu niebu...

Aż w końcu wszyscy trzej zanurzyli się w gęstym błękitcie jak w jeziorze. Duchy były naprawdę blisko.

I uderzyli czołem o płyty posadzki, w ogóle przy tym nie odczuwając zetknięcia skóry z chropawą powierzchnią kamienia. Widoczny wśród błękitu czarny kształt, początkowo trudny do rozpoznania, przybrał postać czteroskrzydłego jaszczura.

– Bądź pozdrowiony, Panie nasz, Dawco Życia, Pogromco Pięciu Sokołów! – Te słowa wypłynęły z głębi ich umysłów, podczas gdy wargi pozostawały zaciśnięte, a z gardeł nie wydobył się żaden głos.

A potem zobaczyli to, co Karwinczu w łaskawości swojej zechciał im ukazać. Ziemię, góry i wodę. Patrzyli na ten świat z wysoka, jakby oni sami byli Słońcem, boskim światłem zawieszonym na niebieskim sklepieniu. Widzieli własne ciała na chropawych kamieniach posadzki, jakby nie istniało sklepienie świątyni. Widzieli równiny Płaskowyżu, stada lam, pola kukurydzy i trudzących się ludzi. I Nuzamikę, Pana Srebrnej Laski, władającego ludem Pathi–Tuka. I urubu wypatrującego padliny, i aguraszi skradającego się do aguti. Ich wzrok przenikał też zasłonę oddzielającą teraźniejszość od przyszłości i sięgał tego, co jeszcze nie nastąpiło.

I widzieli ludzi przybywających z daleka, a niosących śmierć i zniszczenie.

Wtedy zaś w ich umysłach wykiełkowała wiedza o tym, jak zaradzić złu.

A kiedy rozwiął się niebieski dym, kiedy znikła boska wizja, kiedy powrócili do swoich ciał i poczuli pod czołami chropawość kamienia – ich ciałami wstrząsnął nagle zimny dreszcz. Przyczyną był wiatr wiejący od gór na zachodzie.

Drzwi świątyni – nie wiadomo kiedy i w jaki sposób – otworzyły się. Zachodzące słońce sięgało czerwoną smugą ołtarza, na którym dogasał ogień.

Brunatny ptak siedzący na progu rozłożył skrzydła i zerwał się do lotu.

* * *

Nuzamika poruszył się niecierpliwie. Klęczący przed nim młody wojownik odruchowo się skulił, myśląc, że to on stał się przyczyną gniewu monarchy. Tymczasem niekontrolowany odruch, na jaki sobie pozwolił Syn Jaguara, był skutkiem czegoś zupełnie innego: fałdka, której monarcha nie zauważył, gdy siadał

na wzorzystej derce przykrywającej Kamień Słów, teraz mocno uwierała dostojne pośladki. Niestety w obecności poddanego o tak niskiej pozycji Wielki Przewodnik Ludu Pathi–Tuka nie mógł sobie pozwolić na to, by wstać i tę przekłętą derkę poprawić. Musiał wytrwać do końca.

– Wstań, Watindzi – powiedział łaskawie. – Na stojąco łatwiej się myśli niż na klęczkach, a przecież trzeba myśleć, żeby coś mądrego powiedzieć, nieprawdaż?

– Rzekłeś, najdostojniejszy. – Wojownik pochylił głowę, a potem z wyraźną ulgą stanął na nogi.

– Doniesiono mi, że znasz drogę do wielkiej rzeki płynącej na południe?

– W rzeczy samej, panie. Byłem tam z wyprawą Anonoki, która miała...

– Wiem – przerwał mu władca. – Mielście szpiegować plemię zwane Związkiem Pięciu Klanów. Anonoka złożył wyczerpujące sprawozdanie. Teraz chcę wiedzieć, czy trafiłbyś tam jeszcze raz. Bo Anonoki wysłać teraz nie mogę.

– Oczywiście, najdostojniejszy. Szliśmy zresztą śladami wyprawy, która przyprowadziła i poddała twojej woli plemię Tahapa. Oni do tej wielkiej rzeki nie dotarli, ale byli dość blisko.

Syn Jaguara skinął głową z zadowoleniem.

– I dobrze się stało. Teraz pracują ku pożytkowi ludu Pathi–Tuka, wybranego i pobłogosławionego przez Karwinczu, niech się święci imię jego. My jednak nie będziemy na razie sprowadzać więcej niewolników z tamtych stron. Mamy pilniejsze sprawy...

Monarcha przerwał, jakby szukał słów, a potem nagle spojrział Watindziemu prosto w twarz.

– Widziałeś rzekę z bliska?

– Tak, o czcigodny.

– Czólna też? Takie, których używają tamtejsi ludzie?

– Oczywiście.

– A mówią, że twój ojciec... Jak on się nazywa: Airama?

– Tak, panie, Airama.

– Powiadają, że najlepiej wśród ludu Pathi–Tuka zna się na budowie łodzi?

– Tak mówią, w rzeczy samej, panie. – Młody wojownik skłonił głowę, wyraźnie zadowolony z faktu, że sława jego ojca dotarła aż do Kamienia Słów.

– A czy to prawda – pytał dalej Pan Srebrnej Laski – że Pięć Klanów buduje nie tylko łodzie, w których mieści się dwóch albo trzech wiosłarzy, ale i większe? Nawet znacznie większe?

– To prawda, najdostojniejszy – potwierdził Watindzi. – Sam widziałem takie łodzie... jak ci już, panie, powiedziałem, kiedy pytałeś.

– A umiesz wiosłować?

– Umiem, panie. Ojciec mnie nauczył.

Syn Jaguara wyprostował się. To oznaczało, że zamierza ogłosić jakąś decyzję lub wydać rozkaz.

– Poślę więc po twojego ojca, by zbudował łódź. Tam, nad samą rzeką, bo nie sądzę, by nasi ludzie mogli ją nieść przez wiele dni na ramionach. Potem będziesz

jednym z tych, którzy tą łodzią popłyną. A noża, który zgubiłeś – na twarzy monarchy przez chwilę gościło coś na kształt uśmiechu – oczywiście nie będziesz szukał.

Uwagi Nuzamiki nie uszło bynajmniej zmieszanie młodzieńca. Chyba jednak uczestnicy wyprawy, której przewodził Anonoka, nie mówili prawdy: miedziany nóż Watindziego raczej nie utkwiał w grzbiecie pekari, któremu udało się uciec, ale najzwyczajniej w świecie został zgubiony. Widocznie dzielni wojownicy na postoju wypili za dużo cziczy...

– Możesz odejść. – Monarcha odprawił syna Airamy, po czym niecierpliwie czekał, aż młody człowiek zniknie za drzwiami.

Derka coraz bardziej go uwierała w prawy pośladek.

* * *

Biegnący z Wiatrem siedział w kucki naprzeciwko ojca. Za nim przycupnęli Biały Ocelot, Długi Szpon i Syn Księżyca. Wszyscy milczeli; to, co najważniejsze, zostało już powiedziane. Czarownik wysłuchał ich opowieści i teraz, mocno zasepiony, tkwił przed nimi nieruchomy niby gliniany posążek Pani Zasiewów – ten sam, przed którym parę dni wcześniej bił pokłony wraz z Opiekunką Ziaren, prosząc o łaskawe spojrzenie na poletka kukurydzy i manioku. To, co usłyszał, zaniepokoiło go chyba jeszcze bardziej niż czterech myśliwych, którzy przerwali polowanie, by opowiedzieć mu o wydarzeniach tej niezwykłej nocy. Wydarzeniach, w których sen mieszał się z jawą, tak że już niezupełnie potrafili je od siebie oddzielić...

To, że Biegnący z Wiatrem miewa niezwykle sny, zsyłane przez samego Atabinuwę, nie było niczym nowym. Nigdy jednak nie zdarzyło się, by ktokolwiek inny, choćby śpiący w tym samym szałasie, śnił równocześnie ten sam sen. Coś takiego przytrafiło się dopiero teraz. Syn czarownika wraz z Białym Ocelotem, Długim Szponem i Bratem Księżyca zawędrowali aż nad rozlewisko Czerwonego Potoku w poszukiwaniu pekari. Kiedy słońce na nieboskłonie zaczęło się zbliżać do wierzchołków drzew na zachodnim brzegu, czterej młodzieńcy zbudowali prowizoryczny szałas, by spędzić w nim noc. I wtedy się zaczęło.

Brunatny ptak krążący nad rozlewiskiem najpierw ich zdziwił, a potem zaniepokoił. Zdziwienie brało się stąd, że jeszcze nigdy takiego ptaszyska nie widzieli. Z pewnością był drapieżnikiem – ale nie przypominał ani sokoła, ani urubu, ani żadnego innego pożeracza mięsa. Krążył nad wodą, zataczając szerokie kręgi, od czasu do czasu pikując w kierunku lustra wody albo wzbijając się wysoko w powietrze. Myśliwi przyglądali mu się przez długą chwilę – i nagle poczuli się jakoś nieswojo. Trochę jak bezbronny człowiek, który słyszy w zaroślach podejrzane szmery i domyśla się obecności jaguara. A potem jak ktoś, kto w bezksiężycową noc obawia się złowrogich duchów mroku. Niepokój narastał, aż przerodził się w lęk.

Ptak w końcu odleciał. Lęk pozostał.

A w nocy wszystkim czterem myśliwym przyśnił się taki sam sen. Brunatny ptak powrócił; krążył nad ich głowami, głośno skwirząc i od czasu do czasu wykrzykując ludzkim głosem niezrozumiałe słowa. Oczy miał czerwone jak rozżarzone węgle.

Były też łodzie w tym śnie – duże łodzie pełne wioślarzy, pływające to w górę, to w dół Wielkiej Rzeki.

I był jeszcze ogień. Dużo ognia.

Nad ranem, kiedy pozostali już się obudzili, Biegący z Wiatrem poruszył się na posłaniu i zupełnie wyraźnie wypowiedział kilka zdań. Brat Księżyca zapytał, o co mu chodzi, ale odpowiedzi się nie doczekał. Najmłodszy z czwórki wciąż jeszcze spał, mówił przez sen. Obudził się dopiero po długiej chwili, a wtedy gwałtownie zerwał się z posłania i wyrzucił z siebie: „On znów tu jest!”.

On – czyli brunatny ptak. Ten sam, który poprzedniego dnia krążył nad rozlewiskiem. Ten, który im się przyśnił w nocy. Teraz jednak, siedząc pod kępą wysokiej trawy, patrzył na nich zwykłymi ptasimi oczami, a nie takimi czerwonymi, płonącymi jak węgle w ognisku. Bo to już nie był sen.

Oszczep Biegącego z Wiatrem utkwiał dokładnie w miejscu, w którym siedział ptak – ale to miejsce było już puste. Drapieżnik, ledwo widoczny w porannej szarówce, kołował wysoko nad rozlewiskiem Czerwonego Potoku.

O wschodzie słońca jednomyślnie postanowili przerwać polowanie i wrócić, by opowiedzieć o wszystkim czarownikom Pięciu Klanów. Zaczęli oczywiście od Czarnego Żółwia – był przecież ojcem jednego z nich.

Powiedzieli, co mieli do powiedzenia – i czekali. A czarownik wciąż milczał, zasłuchany może w głosy duchów, a może we własny umysł.

W końcu uniósł głowę, spojrzał na syna i zapytał:

– Nie pamiętasz, co wtedy powiedziałaś?

Biegący z Wiatrem pokręcił przecząco głową.

– Nie pamiętam. Mówiłem przez sen.

– A wy – zwrócił się do pozostałych – zapamiętaliście?

Biały Ocelot i Długi Szpon spojrzeli na Brata Księżyca.

– Ty byłeś najbliższej...

– Tak. I dobrze pamiętam, mówił bardzo wyraźnie, nie tak, jak się mówi przez sen. Powiedział: „Jeśli nie dopłyną, pójdziecie na południe. Nie pożre waszych serc ten, który walczy z sokołami. Wasza krew nie spłynie do stóp człowieka z łapą kuguara. Skryją was deszcz i mgła”.

Lewy kącik ust Białego Ocelota nerwowo drgnął. Ostatnie zdanie obudziło wspomnienia.

Czarny Żółw potarł dłonią czoło.

– Ten, który walczy z sokołami, to bóg Budowniczych Kamiennych Szałasów – powiedział. – Łapę kuguara noszą na szyi wodzowie kanibali. Deszcz i mgła na południu... Biały Ocelot już chyba zrozumiał. Czy znów nas czeka ucieczka?

– Jeśli nie dopłyną? – zapytał Długi Szpon. – Kto, ci ze snu?

Czarownik skinął głową.

– Chyba tak. A komuś bardzo zależy na tym, by nie dopłynęli. Wysłali w ślad za nimi ducha zdolnego zakłócać i przeinaczać wróżebne sny i wizje...

Biegący z Wiatrem przetarł zaczerwienione oczy i zapytał:

– W takim razie to, co nadchodzi ze wschodu, jest dobre czy złe? Bo moje

wcześniejsze sny... Ja nic nie rozumiem...

– Ja też niewiele – przyznał ojciec. – Domyślam się tylko, że nadchodzi ktoś, dla kogo możemy być sprzymierzeńcami. A za nim ktoś inny, kto jest jego wrogiem. I ten ktoś nie chce, byśmy się spotkali. Zrobi wszystko, by do tego nie dopuścić. Jeśli inaczej się nie da, uczyni to rękami naszych wrogów z północy lub północnego zachodu...

– Kanibali albo Budowniczych Kamiennych Szałasów?!

Czarownik skinął głową.

– Muszę spotkać się z czarownikami pozostałych klanów, a potem z wodzami – oświadczył, wstając. – Myślę, że trzeba będzie wysłać zwiadowców nad Wielką Rzekę.

* * *

Czalama przechylił dzban i napełnił obie czarki kukurydzianym piwem.

– Lepsze to od cziczy, dużo lepsze – stwierdził. – Boska Saramama wiedziała, co robi, kiedy dawała nam kukurydzę.

– Ano – przytaknął Nukunak. – W ogóle maniok jest dobry dla leśnych dzikusów.

– Którzy nadają się tylko na niewolników, a i to nie za bardzo, bo są strasznie leniwi. Tego lenistwa nawet batem z nich nie wypędzisz.

– Prawda. Nie ma to jak nasza kukurydza. – Nukunak uniósł czarkę do ust i opróżnił ją do połowy, siorbiąc przy tym tak głośno, że aż ptak siedzący na drzewie odległym o dobre dziesięć łokci uniósł głowę zaniepokojony.

Czalama pokiwał głową, opróżnił swoją czarkę i znów sięgnął po dzban.

Nukunak tymczasem zmienił temat.

– Słuchałem wczoraj Emekuziego... I wiesz, myślałem, że to nie on. Że go Karwinczu podmienił albo co. Nieraz tak się wściekał na Apama–koję, że mógłby ją żywcem zjeść, a wczoraj ją chwalił, jakby była samą Saramamą albo inną boginią. Że sama, z własnej woli, dla dobra ludu Pathi–Tuka, w intencji powodzenia wyprawy, na którą wyruszają dzielni wojownicy Pana Srebrnej Laski, i tak dalej. Że tylko patrzeć, jak kapłani dostaną znak, że mamy ją z bogami zrównać...

Czalama nagle zakrztusił się piwem.

– Co, mucha wpadła? – zdziwił się Nukunak.

Rozejrzał się wokół siebie, ale żadnych owadów nie zauważył. Wypatrzył jedynie dwa czarno–niebieskie motyle nad kępą zielska pod płotem.

– Nie, tylko mi się śmiać chce... – Czalama wytarł załzawione oczy, wziął głęboki wdech, przełknął ślinę i zaczął opowiadać, jak to było z Apama–koją i jej ofiarą.

– Że najwyższy kapłan chętnie by Apama–koję rozerwał na strzępy, to żadna tajemnica. A teraz ona jeszcze mu powiedziała, że jego wizje po Obrzędzie Trzech Ziół są gównem, bo jakiś obcy demon je zakłócił. I że trzeba demona przepędzić, a jak się uda, to zabić. To da się zrobić, bo demon przyjmuje postać ptaka. Ale szkopuł w tym, widzisz, że według niej Emekuzi i te jego dwa przydupasy nic nie zwojują, bo nie dadzą rady. Bo niby wszyscy trzej, i Ollapa, i Taganabi, i on sam, nie

zachowali... tej, no... wstrze... wstrze... – Czalamą zająknął się, bo słowo było długie i trudne – wstrzemięźliwości w nocy przed Obrzędem i łaska bogów na nich nie spłynie...

– Ollapa i wstrzemięźliwość... – Nukunak wzruszył ramionami pogardliwie.

– No widzisz. Ja akurat miałem służbę przy świątyni i niechcący słyszałem, jak się kłócili. A potem w dyrdy poleciał do Ollapy, od Ollapy do Taganabiego, i uradzili, co robić. No i chyba jej wodę podmienili na jakąś taką z ziołami, albo co, tak że nasza wieszczka już potem była sztywna jak lalka, oczy w słupek, język jak kołek... no, wiesz, jak to wygląda. Jak wtedy, kiedy kogoś prowadzą na ołtarz. W każdym razie oni ponoć wszyscy trzej słyszeli, że Apama–koja chce dla dobra ludu Pathi–Tuka ofiarować swoje serce boskiemu Karwinczu. Nie powiedziała, ale oni słyszeli.

– Ty, Czalamą, w ogóle za dużo słyszysz – powiedział nagle ktoś za ich plecami. – Ale już więcej nic nie usłyszysz.

– I ty, Nukunak, też. Karwinczu cię pokarał towarzystwem Czalamy... a wyroki bogów są nieodwołalne.

Podnieśli głowy zaskoczeni. Dwaj uzbrojeni mężczyźni wzięli się nie wiadomo skąd – zaszli ich od tyłu, a przecież nie mogli wyjść z gospody, bo Czalamą i Nukunak mieli za plecami ścianę, nie drzwi. Nawet najbardziej zaufani słudzy Emekuziego nie zostali obdarzeni zdolnością przenikania murów.

A teraz już zagradzali im drogę ucieczki. W ich rękach złowrogo lśniły miedziane noże.

Zanim Czalamą i Nukunak zdążyli pomyśleć o ucieczce, noże nieomylnie znalazły drogę do ich gardeł. W chwilę później, z twarzami wciśniętymi w proch podwórza, widzieli jeszcze oddalające się stopy sług najwyższego kapłana, obute w sandały ze skóry lamy.

Nie widzieli już, jak dwaj mężczyźni wchodzi do gospody ani jak karczmarz podaje im dzban z cziczą. Nie byli też świadkami tego, co nastąpiło później: jak obaj słudzy najwyższego kapłana padają na klepisko z ubitej gliny i jak z pianą na ustach tarzają się po nim, drapiąc glinę paznokciami. Nie zobaczyli też, jak pacholki gospodarza wywlekają bezwładne truchła na zewnątrz.

Tymczasem na podwórzu pojawił się kapłan Ollapa. Stał nieruchomo, z rękami założonymi na piersi – i patrzył.

To, co mężczyznom uzbrojonym w długie noże dodano wcześniej do zacierki z kukurydzianej mąki, nie mogłoby ich zabić, gdyby nie czicza albo piwo. Ollapa i Emekuzi znali jednak zwyczaje swoich ludzi. Doskonale wiedzieli, co zrobią po wykonaniu zadania.

Teraz ci dwaj też nikomu nic nie powiedzą. Nikomu nie powtórzą słów Czalamy, który za dużo słyszał i za dużo mówił. Tak będzie lepiej.

Ollapa skinął na pomocnika karczmarza, który stał nad trupami i zastanawiał się, co z tym nieoczekiwanym kłopotem począć.

– Powiedz twojemu panu, by wysłał kogoś do dowódcy straży świątynnej i powiadomił go, co się stało – rozkazał. – To są jego ludzie.

– Rzekłeś, czcigodny. – Sługa nisko się skłonił i wrócił do budynku.

Kapłan uznał, że nic tu po nim. Odwrócił się – i jego wzrok napotkał przenikliwe spojrzenie czarnych ptasich oczu. Brunatnopióry drapieżnik siedział na gałęzi drzewa w rogu podwórza i przyglądał mu się, przekrzywiając głowę.

Apama–koja coś mówiła o demonie w postaci ptaka...

Nie. To nieważne. Tej baby o niewyparzonej gębie już nie ma. Serce Apama–koi zostało złożone w ofierze największemu z bogów. Jej słowa porwał zachodni wiatr i poniósł nad sawannę, ku wielkiej rzece płynącej na południe. Jest tylko jedna prawda: prawda kapłanów.

Ollapa odwrócił się i wolno ruszył w kierunku świątyni.

* * *

Biały Ocelot kręcił głową z niedowierzaniem.

– Jeszcze nie widziałem takiej ogromnej łodzi! A jakie wiosła! Trzeba chyba kilku ludzi, żeby poruszyć taką belkę...

– A te żagle! – dziwował się Długi Szpon. – Z czego oni je robią?

– Chyba tak samo jak my, z jakiejś rośliny, której łodyga ma wewnątrz mocne włókna – powiedział z namysłem Brat Księżyca. – Tylko je splatają jakoś inaczej.

– Ten splot jest dwa albo trzy razy gęstszy, a włókna o wiele cieńsze – dodał Biegący z Wiatrem. – Oni na pewno nad tymi włóknami długo pracują, zanim doprowadzą je do takiego stanu. Myślę, że z czegoś takiego dałoby się robić przepaski, jak ze skóry. Słyszałem zresztą, że u Budowniczych Kamiennych Szłasów coś takiego robi się z sierści jakiegoś zwierzęcia podobnego do mazamy.

– Ale i tak trudno im będzie płynąć pod prąd na tych żaglach – zauważył Czerwony Sokół. – Pod wiatr się nie da, a wiatr wieje raczej w dół rzeki.

Biały Ocelot znów pokręcił głową.

– To nie tak. Ja już tu byłem i wiem, jak tutaj jest z tymi wiatrami. Zobaczysz, tylko patrzeć, jak powieje od wielkiej słonej wody. Trochę im ten wiatr pomoże...

– Ćśśś! – przerwał mu Biegący z Wiatrem. – Ktoś płynie pod wodą. O, tam.

– Może to jakaś duża ry... – Długi Szpon nie dokończył, bo woda w miejscu wskazanym przez najmłodszego ze zwiadowców zakotłowała się nagle i wynurzyła się z niej ludzka głowa.

– *Noli iaculari!* – usłyszeli okrzyk, skierowany najwyraźniej do Biegącego z Wiatrem, który szybciej niż inni chwycił za oszczep.

– Co on gada? – zdziwił się Brat Księżyca. – Po jakiemu to?

– Że nie chce dostać oszczepem, to chyba jasne – stwierdził Biały Ocelot. – A tego języka nie znam, bo niby skąd?

Nieznajomy tymczasem wygramolił się na brzeg. Nie miał broni i w ogóle wyglądał dość niegroźnie. Był bardzo młody, co najmniej o dwa lata młodszy od Biegącego z Wiatrem, a przy tym bardziej smukły niż ludzie z Pięciu Klanów i wszystkich znanych im plemion. Miał też znacznie ciemniejszą skórę.

Chłopak przez chwilę stał naprzeciwko zwiadowców, wodząc spojrzeniem po ich twarzach. W końcu podszedł do Biegącego z Wiatrem.

– *Manum mihi praebe* – powiedział, wyciągając rękę.

Syn Czarnego Żółwia domyślił się, o co chodzi, i podał mu prawą dłoń.

– Jestem z tej dużej łodzi, którą widzieliście tam niżej, w dole rzeki – powiedział ciemnoskóry.

Teraz Biegnący z Wiatrem rozumiał każde słowo, choć równocześnie słyszał, że tamten wciąż mówi w swoim języku. Nieznajomy też zrozumiał pytanie, które mu zadał syn Czarnego Żółwia. Pozostali patrzyli na nich z coraz większym zdumieniem – aż w końcu Biały Ocelot domyślił się, co trzeba zrobić. Chwycił wolną dłoń Biegnącego z Wiatrem, a lewą podał Bratu Księżyca. Kiedy już wszyscy trzymali się za ręce, rozmowa potoczyła się bez przeszkód.

Mówił zresztą przede wszystkim ciemnoskóry – chłopiec imieniem Alara. Opowiadał o świecie za wielką słoną wodą, gdzie nieprzeliczone mrowia ludzi żyją w osadach przypominających sadyby Budowniczych Kamiennych Szalasów. O starych bóstwach, opiekunach pól, łąk, lasów i wód, i o tych nowszych, które tamtym wyrwały z rąk władzę nad owym dalekim światem. O tym, że on sam wcześniej służył jednemu z tych nowych. O tęsknocie do minionych czasów, zwanych Złotym Wiekiem, o zuchwałym zamiarze odbudowania starego świata po drugiej stronie niezmierzonej przestrzeni zalanej wodą...

Oni słuchali i czuli, że ci, którzy przyплыnęli ze wschodu ogromną łodzią, są bardzo podobni do nich. Że mogliby być ich sprzymierzeńcami. Ich mędrzy doradziliby im, jak się obronić przed ludźmi z północy i z północnego zachodu – jeśli pierwsi zechcieliby ich pożreć, a drudzy zmusić do pracy przy wznoszeniu kamiennych budowli. Że bogowie przybyszów – te dobrotliwe stare bóstwa – pomogłyby tutejszym duchom czuwać nad kukurydzą i maniokiem, i nad stadami dzikiej zwierzyny...

Dowiedzieli się, że ogromna łódź ludzi ze wschodu – ciemnoskóry nazywał ją kwinkweremą – zatrzymała się w zakolu Wielkiej Rzeki i pozostanie tam co najmniej przez dwa dni, bo żeglarze muszą sprawdzić stan kadłuba. Ze swej strony powiedzieli przybyszowi, że z przeciwnej strony nadpływa łódź Budowniczych Kamiennych Szalasów, którą ich szybkie czółno wyprzedziło pewnej nocy, gdy tamci spali, i że załoga łodzi ma prawdopodobnie złe zamiary. Wspomnieli o dziwnym brunatnym ptaku, który w rzeczywistości nie był ptakiem – a wtedy Alara wyraźnie się zasepił.

– To sługa bogini mądrości i wojny, jednej z tych nowych bóstw – wyjaśnił. – Zmiennokształtny z pustyni, bardzo niebezpieczny.

– Musimy być czujni. – Biały Ocelot spojrział wymownie na Biegnącego z Wiatrem, jakby sądził, że jego zdolność przyciągania sennych wizji może im pomóc.

– Na razie nic nie możemy zrobić. – Syn Czarnego Żółwia pokręcił głową. – Chyba powinniśmy się ukryć gdzieś tutaj i czekać, aż tamci z północy przyplyną.

Zanim jednak łódź Budowniczych Kamiennych Szalasów minęła ich kryjówkę w zakolu rzeki, w ślad za Alarą pojawił się inny członek załogi kwinkweremy. Ten miał jasną skórę i włosy, a oczy barwy pszczelego miodu. Zwał się Gruni, ale tamci mówili na niego Grunio. Biegnący z Wiatrem od razu wyczuł w nim kogoś podobnego do siebie: człowieka zdolnego usłyszeć głosy dobiegające zza zasłony,

która oddziela świat widzialny od niewidzialnego.

Nie mylił się. Gruni, mimo odległości, jaka ich dzieliła, wyczuł swoim szóstym zmysłem, że wokół Alary dzieje się coś niezwykłego, więc postanowił go natychmiast odnaleźć – i trafił bez trudu.

* * *

Watindzi nie miał pojęcia, jak długo spał. Spojrzał na słońce, ale od razu sobie uświadomił, że nie pamięta jego położenia z chwili, w której wyciągnął się na trawie, z pięściami podłożonymi pod głowę, i zamknął oczy...

Pamiętał za to swój sen. Był w nim ptak – ten sam, który pojawiał się raz po raz nad ich łodzią, zanim dotarli do tej ślepej odnogi koryta. Zanim Itidaka, dowódca zwiadu, zaczął się zastanawiać, czy ta druga łódź, znacznie mniejsza, płynąca w pewnej odległości za nimi, przypadkiem nie wyprzedziła ich ostatniej nocy. Ptak miał brunatne pióra, a spojrzeniem błyszczących czarnych oczu zdawał się wwiercać w mózg, przenikać umysł na wylot, odczytywać najtajniejsze myśli. Młody wojownik wpatrywał się w niego i nie mógł oderwać wzroku – zupełnie jakby ta dziwna istota trzymała jego oczy na uwięzi, na mocnym sznurze... A potem, po długiej chwili, zamiast ptaka pojawił się wirujący kłęb kurzu, prześwietlony promieniami słońca, a jednak mroczny jak zmierzch w górskim parowie. Watindzi usłyszał – nie uszami, a wewnątrz głowy, pod czaszką – dziwne słowa, pochodzące z języka, którym nigdy nie mówił, i ku swojemu bezgranicznemu zdziwieniu doskonale je zrozumiał. Zobaczył też ciąg obrazów, następujących jeden po drugim z oszałamiającą szybkością – ale zapamiętał je wszystkie. Ostatnie dwa z nich – iskry, a potem kula ognia – powiedziały mu, co powinien zrobić, by w oczach Pana Srebrnej Laski stać się godnym wielkich zaszczytów.

Teraz obudził się i wszystko doskonale pamiętał. A brunatny ptak wciąż był w pobliżu. Powoli, majestatycznie krążył nad bezkresnymi, ciągnącymi się po widnokrąg i jeszcze dalej przestrzeniami porośniętymi wysoką trawą.

Usiadł, rozprostował kości – i nagle na jego stopy padł cień człowieka.

– Wyspałeś się, Watindzi? – usłyszał głos Itidaki.

– Sam nie wiem, czy spałem, dziesiątniku – odpowiedział. – Ale mam ci coś ważnego do powiedzenia. A jeżeli się nie mylę... to zgłaszam się na ochotnika. Tej nocy. A jeszcze lepiej nad ranem, kiedy tamci w wielkiej łodzi będą twardo spać. I kiedy spadnie mgła...

– Mgła? – zdziwił się Itidaka. – Tutaj w nocy prawie nie ma mgły.

– Jutro nad ranem będzie – zapewnił go Watindzi, sam nie wiedząc, skąd mu się wzięła ta pewność. – Czuję to. Tym razem będzie, i to gęsta.

* * *

Syn Czarnego Żółwia, od dłuższej chwili leniwie przestępujący z nogi na nogę, nagle zastygł bez ruchu. Poczuł, że dzieje się coś dziwnego. Ale co? Nocnej ciszy nie mącił żaden dźwięk, poza jednostajnym szumem leniwie płynącej rzeki...

Zwiadowcy chyba twardo spali. On pełnił ostatnią straż, miał czuwać do świtu. Świt powinien nadejść lada chwila...

Nie. Nie nadchodził. Zrobiło się nawet nieco ciemniej. Minęła długa chwila, zanim Biegący z Wiatrem uświadomił sobie, że już nie widzi księżyca i gwiazd.

Chmury? Nie, niemożliwe. Pochmurne niebo w nocy wygląda inaczej.

Rozejrzał się, wsłuchał w ciszę, potem we własne ciało i umysł, zamknął oczy... Kiedy je otworzył, zobaczył mgłę.

Czy to możliwe, by opadała tak szybko? Bo przecież nie spał, nigdy nie zasypiał na stojąco...

Poczuł, jak włosy zaczynają mu się jeżyć na potylicy. To, co działo się wokół niego, nie należało do zwykłych, codziennych zjawisk, takich jak deszcz albo wiatr.

Usłyszał, że pozostali już się obudzili i zaczynają rozmawiać przyciszonymi głosami. Oni też zauważyli to coś, co zakłóciło zwykły porządek rzeczy.

Podszedł do nich i razem czekali na dalszy bieg wydarzeń. Niczego więcej nie mogli zrobić. Alara i Gruni dali do zrozumienia, że wiedzą, czyjemu działaniu należy przypisać dziwne zjawisko, ale nic poza tym. Nie potrafili odgadnąć, do czego przeciwnik zmierza, ani przeciwstawić się jego mocy.

– Widać drzewa w dole rzeki – szepnął nagle Biały Ocelot. – Chyba niedaleko miejsca, w którym zatrzymała się łódź ze wschodu.

Rzeczywiście, w tym właśnie miejscu mgła wyraźnie rzedła. Strzeliste drzewa wyłaniały się z niej, nieruchome jak nocna straż. Gdzieś w górze nad nimi zabłysła samotna gwiazda.

A potem był huk i błysk, i czerwona luna. Tam, gdzie powinna znajdować się kwinkwerema.

– Podpalili zbiornik z destylowanym olejem skalnym – szepnął przerażony Alara.

– Ale przecież... łódź z północy nie przyплыnęła, zauważylibyśmy! – zdziwił się Biały Ocelot.

– Albo ją *dzinnus* osłonił... albo po prostu wysłali jednego człowieka – wywnioskował Gruni. – Powinniśmy tam pójść.

Poszli. A raczej pobiegli. Ku swojemu bezgranicznemu zdziwieniu pół godziny później znaleźli się w miejscu, które było ich kryjówką.

Wyruszyli jeszcze raz. Tym razem dotarli do zakola, w którym zatrzymała się wielka łódź ze wschodu. Błady świt zerwał zasłonę mroku, ukazując jej szczątki. Niektóre deski, wolno dryfujące w kierunku głównego nurtu rzeki, wciąż jeszcze płonęły.

– Chyba wszyscy zginęli – szepnął Alara, wycierając oczy.

Gruni, ponury jak gradowa chmura, przytaknął w milczeniu.

– Nie wszyscy – zaprzeczył Biegący z Wiatrem, wskazując poranionego ptaka przycupniętego na osmalonej desce.

Alara bez słowa rzucił się do wody i przyciągnął deskę do brzegu.

* * *

Watindzi ocknął się, otworzył oczy – natychmiast z całej siły zacisnął zęby. Ból

był niemal nie do wytrzymania. Wędrował po całym ciele, od stóp aż do czubka głowy.

Nie, nie od stóp. Ranny wojownik uniósł się na rękach i odkrył, że stóp już nie ma. To były bezkształtne strzępy mięsa i kości, nie żadne stopy.

Uniósł głowę – i jego wzrok napotkał zamglone spojrzenie czarnych ptasich oczu. Siedzący na trawie brunatny ptak niemrawo poruszył skrzydłami, po czym otworzył dziób i wydał niezbyt głośny, żaloszny skrzek.

– To ty! – wycedził Watindzi przez zaciśnięte zęby. – Ty mnie tutaj przyprowadziłeś!

Cały jego gniew i żal skupiły się na tym dziwnym ptaku, o którym już wiedział, że nie jest prawdziwym ptakiem. To przez niego, skuszony nadzieją triumfalnego powrotu przed oblicze Pana Srebrnej Laski, nadzieją zaszczytów i bogactw, zakradł się na wielką łódź ludzi ze wschodu, by w odpowiednim miejscu i odpowiedniej chwili skrzesać ognia. To przez niego znalazł się wśród tych, którym ta iskra otworzyła drzwi do podziemi. Miał zostać bohaterem – stał się tylko narzędziem. Narzędziem już teraz bezużytecznym, bo zepsutym.

Walcząc z potwornym bólem, popełznął przed siebie. Coraz bliżej ptaka.

Ptak nie zerwał się do lotu. Otwierał tylko dziób i żalosznie kwilił.

– I gdzie teraz twoja moc, demonie? – wycedził Watindzi, wciąż zaciskając zęby.

Zabrzmiało to równie żalosznie jak kwilenie pierzastego stwora.

Wśród wysokich traw zamajaczyły jakieś rozmazane sylwetki. To chyba wojownicy Pięciu Klanów – ci, którzy płynęli za nimi, a potem gdzieś zniknęli. Ale to już było zupełnie nieważne. Jeszcze tylko wyrównać rachunki z demonem i...

Już był przy nim. Ptak znów poruszył skrzydłami, ale nie był w stanie wznieść się w powietrze. Zakwilił po raz ostatni.

Dłonie rannego wojownika zacisnęły się na szyi porośniętej brunatnymi piórami.

Pisk ptaka i jęk człowieka zlały się w jeden dźwięk.

A potem oba ciała zastygły bez ruchu.

* * *

– Człowiek z plemienia Budowniczych Kamiennych Szałasów – stwierdził Biały Ocelot. – To na pewno on podpalił ten olej skalny. Całe plecy ma poparzone.

– To demon powiedział mu, co ma zrobić – dodał Gruni. – Ale by móc nim pokierować, musiał się naprawdę mocno wysilić. Tak mocno, że już nie miał sił, by się bronić, nie mówiąc już o dematerializacji... to znaczy o porzuceniu ptasiej postaci – wyjaśnił, widząc, że pozostali, z wyjątkiem Alary, nie rozumieją tego słowa.

– A on – dodał Alara, wskazując na martwego wojownika – zrozumiał, kto jest winien jego śmierci.

– Ale jak to możliwe... – zaczął Brat Księżyca i urwał.

Ptasie truchło, któremu przyglądał się z wyraźnym zdziwieniem, nagle zaczęło się zmieniać. Zupełnie jakby wokół niego czas raptownie przyspieszył, w mgnieniu oka niszcząc to, co zwykle ulega rozkładowi w ciągu wielu dni. I to niszcząc dokładniej – bo gdy martwe ciało staje się nawozem dla traw i ziół, ziemia jeszcze przez wiele lat

kryje białe kości. A tu – nic, jedynie szarobrazowy pył.

– Daimoniony pustyni nie są wszechmocne – wyjaśnił Alara. – Niektórzy ludzie znają sposób, by je zamknąć w glinianym naczyniu, a potem zmusić, by spełniały ich żądania. Im trudniejszy do spełnienia jest rozkaz, tym więcej czasu taki daimonion potrzebuje, by odzyskać swą moc. I przez ten czas jest zupełnie bezbronny.

– Ale dlaczego musiał się posłużyć tym wojownikiem? – zdziwił się Biały Ocelot.
– Nie mógł sam...?

– Nie. – Ciemnoskóry pokręcił głową. – Bo też by zginął.

– Ale mówiłeś, że to tylko postać przyjęta przez niego na chwilę? – odezwał się Biegnący z Wiatrem. – Że on ją może dowolnie zmieniać...

– Niezupełnie. Śmierć takiej cielesnej powłoki skazuje go na taki sam los, jaki czeka zwykłego śmiertelnika, który spotyka śmierć na swojej drodze.

Brat Księżyca spojrział ku północy, w górę rzeki.

– Tamci chyba przyplłyną, żeby zobaczyć, co się stało? – zapytał. – Bo on przecież już nie wróci do łodzi, by zdać raport dowódcy.

– Niekoniecznie – odpowiedział Biegnący z Wiatrem, pochylając się nad martwym ciałem wojownika. – Zobacz.

– Co to jest? Jakiś amulet?

– Tak. Zrobiony z... z tego czegoś... tego samego, co ich noże. Ojciec tłumaczył mi, że oni to wydobywają z wnętrza kamieni przy pomocy ognia. Ich czarownicy sporządzają zawsze po dwa takie amulety. Jeśli nosi je para ludzi, którzy są od siebie daleko, i jeden z nich umrze, amulet tego drugiego pokrywa się czymś podobnym do pleśni...

– Aha. – Biały Ocelot skinął głową. – Drugi amulet ma dowódca. I on już wie, że ten tutaj zginął.

– A my już nie mamy tu czego szukać – podsumował Biegnący z Wiatrem. – Wracamy z niczym.

– To przynajmniej upolujmy coś – burknął Brat Księżyca. – Nie będziemy wiosłować z pustymi brzuchami.

Upolowali dorodną mazamę.

W drogę powrotną postanowili wyruszyć następnego dnia o świcie. A wieczorem, siedząc przy ognisku, na przemian z mięsem przeżuwali myśli czarne jak bezgwiezdna noc...

Czarno-biało-czerwony ptak, znaleziony przez Biegnącego z Wiatrem, od czasu do czasu żałośnie kwilił. Stracił połowę piór, miał połamane skrzydła, z pokaleczonego ciała sączyła się krew. Syn Czarnego Żółwia opatrzył go, jak umiał, resztę pozostawiając czasowi.

Alara twierdził – a Biegnący z Wiatrem od początku przeczuwał – że ofiara wybuchu nie jest prawdziwym ptakiem. Ranna i osłabiona istota nie mogła skorzystać z przyrodzonej zdolności odmieniania kształtu; do swojej prawdziwej postaci powróci, dopiero gdy odzyska siły. Na razie ptak-nieptak wymagał troskliwej opieki.

Alara podniósł go ostrożnie, a w drugą dłoń nabrał wody i podsunął mu pod sam

dziób. Dzięcioł pił chciwie, niemal się zachłystując.

Gruni siedział w kucki między Białym Ocelotem a Biegnącym z Wiatrem. Znów rozmawiali o wydarzeniach poprzedniej nocy. A także o niejasności wszelkich znaków, jakie dają śmiertelnym bogowie i duchy. I jeszcze o przyszłości.

– Dużo mogło się zmienić... a teraz chyba wszystko przepadło – ubolewał Gruni. – Przepowiednie wieszczą nadejście złych ludzi z tamtej strony wielkiej słonej wody. Nie wiadomo, kiedy to się stanie, ale chyba nieprędko. Mędracy, którzy byli na zniszczonym statku, pomogliby nam się przygotować na ich przyjście. A teraz... Nie wiadomo. Być może ci Budowniczywie Kamiennych Szałasów skazali waszych i swoich potomków na klęskę.

– Bo może oni też poznali te same przepowiednie? – podpowiedział Biegnący z Wiatrem. – I doszli do wniosku, że ci źli ludzie już teraz nadpływają? Może tak się stało z winy tamtego... – Urwał, jakby bał się nazwać sprawcę po imieniu, ale wszyscy zrozumieli, że mówi o istocie wcielonej w drapieżnego ptaka o brunatnych piórach.

To, co się stało, było wyjątkową złośliwością losu... albo może okrutnym kaprysem bogów. Ludzie, którzy przyплыnęli ze wschodu ogromną łodzią o pięciu rzędach wiosł, mogli być sojusznikami – dla nich i dla Budowniczych Kamiennych Szałasów. Wiedza mędrców zgromadzonych wokół wodza wyprawy z pewnością okazałaby się bezcenna – o czym świadczyły opowieści Alary i Gruniego. Wrogowie jednak udaremniili zamiary przybyszów. Teraz pozostało tylko czekać, aż spełni się przepowiednia. Ta zła, wieszcząca przybycie ze wschodu złych ludzi, którzy zadadzą tutejszym ludom wiele klęsk. Nie wiadomo, kiedy to się stanie – ale na pewno się stanie; oni niezachwianie wierzyli w przepowiednie, w wizje zrodzone z natchnienia niewidzialnych duchów.

Jaki los czeka ich potomków?

Mogli tylko czekać. Oni sami, potem ich synowie... Może jeszcze wnuki, prawnuki...

Alara ostrożnie postawił rannego ptaka na ziemi i przez chwilę milczał, wpatrując się w gasnącą powoli czerwoną poświatę na zachodzie, a potem nagle się uśmiechnął. W tym uśmiechu nie było jednak radości. Raczej złość.

– Można jednak powiedzieć, że to wszystko – powiedział, wskazując dłonią szczątki statku – nie poszło na marne. *Dzinnus*, by wykonać swoje zadanie, musiał zaczerpnąć mocy od swojej pani i od mojego dawnego pana. Po jego śmierci ta moc już jest nie do odzyskania. A to skraca życie. Pragnęli niepodzielnie panować nad tamtą częścią świata, nie chcieli, by ktokolwiek wymknął się spod ich władzy i stworzył tu swój własny świat, lepszy od tamtego. I teraz spełniło się ich życzenie... ale będą panować krócej, o wiele krócej. Dobre i to.

* * *

Mars nerwowo skubał palcami, wskazującym i kciukiem, na przemian górną wargę i koniuszek nosa. Minerwa udawała, że tego nie widzi, ale czuła, że lada chwila nie wytrzyma i powie mu prosto w oczy, co myśli o tym jego idiotycznym

odruchu.

Bóg wojny w końcu opuścił dłoń i wstał z krzesła.

– Wypatrzyłaś coś w tej szklanej kuli? – zapytał.

– Cierpliwości! – burknęła Żelazna Dziewica. – To nie machanie gladiusem, tu trzeba myśleć! Liczby, symbole...

– O ile Urania czegoś nie poknociła. Wtedy niczego się nie dowiemy.

– Gdyby Urania nie znała się na tym, na czym się zna, to dzisiaj byśmy myśleli, że na końcu Oceanu jest przepaść. A ty nie gderaj, tylko czekaj i nie przeszkadzaj. Pozwól mi się skupić.

Mars zajrzał jej przez ramię, ale – wbrew żądaniu Minerwy – znów jej przeszkodził.

– Tam u nich jest jeszcze noc?

– A jak myślałeś? Siedemdziesiąt stopni różnicy, podług miary Eratostenesa. Czyli wschód słońca o blisko pięć godzin późniejszy niż w Italii. Że też ty najprostszych rzeczy nie potrafisz zapamiętać!

– No dobrze, już dobrze... – Mars uniósł pojednawczo obie dłonie.

W szklanej kuli tymczasem coś zaczęło się dziać. Żelazna Dziewica zacisnęła obie dłonie, jak widzi na hipodromie, gdy rydwany zbliżają się do mety...

„Oby wszystko poszło dobrze – pomyślał Mars, też zaciskając kciuki. – Bo Alarę, ze szkodą dla siebie, już straciliśmy. A Numair przejął od nas więcej mocy...”

Błysk. Szklaną kulę rozjaśniła czerwona poświata. A potem szkło pociemniało.

– Koniec! – obwieściła Minerwa. – Stało się!

Mars wyprostował się.

– W takim razie każę przynieść falerna – zdecydował. – Korus i Florus!

Dwaj słudzy – daimoniony piątej, bardzo pośledniej kategorii, ale bardziej posłuszni i układni niż Alara – natychmiast się zmaterializowali, wysłuchali polecenia, po czym znikli jak duchy.

Bóg wojny podszedł do stołu i spojrział w szklaną kulę.

– A Numaira tam widziałaś? – zapytał Minerwę. – Bo gdyby...

Nie skończył. Padł jak ścięte drzewo, zwinął się w kłębek i przycisnął obie ręce do skroni.

Minerwa chciała pomóc jęczącemu głośno osiłkowi, ale ją też dopadł nagły ból. Próbowwała dosięgnąć miejsca, w którym, jak jej się zdawało, ktoś zatopił miecz albo sztylet, ale w połowie drogi do kręgosłupa dłoń bezsilnie opadła, a bogini osunęła się na posadzkę.

W pół godziny później czterej słudzy Eskulapa wynieśli na noszach bezwładne ciała. Mars, śmiertelnie blady, z twarzą ociekającą potem, jęczał cicho, a Minerwa bełkotała coś bez ładu i składu. Z ust obojga sączyły się cienkie strużki śliny.

Drepczący za noszami patron medyków miał mocno zmartwioną minę.

Zapomniana amfora z winem, którą dopiero co przynieśli dwaj słudzy, wciąż stała w kącie.

– I okazało się, że może jest co świętować, ale nie ma komu – stwierdził Korus.

– Czuję, że naszym legionom już nie będzie miał kto błogosławić. – Florus

pokiwał głową ze smutkiem. – Ani mędrcom trudzącym się nad papirusami...
– *Sic transit gloria mundi Romani* – podsumował jego towarzysz.

Epilog

Księżyc w pełni zalał step srebrną poświatą, a jego promienie rozświetliły tysiącem iskier chybotliwą taflę wód Wielkiej Rzeki. Zwiadowcy, którzy o świcie mieli wyruszyć w drogę powrotną, pracowicie wiosłując pod prąd, mimo wszystko nie zamierzali udać się na spoczynek. Wciąż rozpamiętywali wydarzenia sprzed kilkunastu godzin – a ich myśli były czarne jak bezgwiezdna noc.

Długo, bardzo długo siedzieli, milcząc. Od czasu do czasu ktoś wstawał, by dorzucić chrustu do ogniska – a potem znów pogrążali się w zupełnym bezruchu. Nagle Biegący z Wiatrem poczuł, że dzieje się coś dziwnego. Było to wrażenie podobne temu, które towarzyszyło niedawnym spotkaniom z drapieżnikiem o brunatnych piórach, ale znacznie mniej niepokojące. Tak czy inaczej, syn Czarnego Żółwia zdał sobie sprawę z czyjejs niewidzialnej obecności.

– Co znowu? – mruknął, rozglądając się.

Jego wzrok przykuły migotliwe płomienie ogniska. To tam znajdowało się źródło niewidzialnej fali wciskającej się w jego umysł.

Ognisko sypnęło iskrami. Czerwona poświata jakby zgęstniała, a w chwilę później siedział przy ogniu ktoś, kogo tam wcześniej nie było. Miał niezwykle jasną skórę, włosy barwy płomienia; sprawiał wrażenie śmiertelnie znużonego.

Biegący z Wiatrem zauważył, jak siedzący obok niego Gruni pręży się niby jaguar gotowy do skoku.

– Loki? – warknął przybysz ze wschodu. – Czego tu szukasz? Zdradziłeś nas, przystałeś do Asów i Wanów. Odejdź, my ciebie nie potrzebujemy.

Nowo przybyły złożył ręce, zakrywając nimi usta i nos, po czym przez długą chwilę patrzył w ziemię u swoich stóp.

– Myśl, co chcesz, rób, co chcesz – westchnął w końcu. – Przybycie tutaj tyle mnie kosztowało, że mam mniej sił niż ryba wyrzucona na brzeg. Teraz możesz mnie nawet zabić. Wiesz przecież, że wbrew temu, co sądzi prosty lud, wcale nie jesteśmy nieśmiertelni.

Wyzwoleniec Fryngiliusza wstał i spojrział na Lokiego z góry.

– Nas nie obchodzi, że cię boli – powiedział, opierając pięści na biodrach. – Nie prosiliśmy cię o pomoc, a gdyby nawet, to już jest za późno. Bo ty, oczywiście, zauważasz, że coś idzie źle, ale widzisz to dopiero... *post factum*, jak mawiają Rzymianie. Wcześniej bawisz się jak małe dziecko, co twierdze z piasku buduje nad morzem. Powtarzam ci: nie jesteś nam już potrzebny. Może wcześniej, zanim niektórzy tutaj opacznie pojęli przepowiednię o przybyszach ze wschodu... Ale ty pewnie chlądałeś miód z Wotanem!

Loki podniósł głowę, ale od razu umknął spojrzeniem w bok.

– O wyprawie Fryngiliusza i o tym, że ściga go arabski daimonion, dowiedziałem

się za późno – wyjaśnił cichym głosem. –Może to i moja wina... Spodziewałem się wyprzedzić ich łódź... ale nie zdołałem, jak widzicie. I, choć dopiero po wiekach, przepowiednia pewnie się spełni. Człowiek, którego potomkowie to sprawią, już się urodził. Norny tak łaskawie splotły nić żywota jego i jego synów, i synów ich synów, że ominą ich wszelkie niebezpieczeństwa...

– No to wracaj tam, skąd przybyłeś! – Gruni postąpił krok do przodu i oderwał dłonie od bioder, jakby zamierzał rzucić się na Ognistowłosego z pięściami. – My tu spróbujemy...

Obejrzał się na Biegnącego z Wiatrem i dodał już spokojniej:

– Jak mówisz, przepowiednia spełni się chyba dopiero po wiekach. Przez ten czas może coś zdziałamy, coś wymyślimy. Ale bez ciebie. Ty jesteś jak dziecko spragnione zabawek. Oto czym jesteś. Teraz wracaj i nie pokazuj się więcej.

Loki głośno przełknął ślinę.

– Pewnie tak zrobię. Tylko trochę nabiorę sił... A wam, po tej stronie wielkiej słonej wody, może uda się coś zmienić, a może nie. Może tylko będziecie polować, siać waszą trawę o ziarnach wielkości paznokcia, inni będą wznosić kamienne budowle, jeszcze inni porywać ludzi, by ich pożreć... Może niektórych czeka wędrówka do ziem niegościnnych i mało urodzajnych... A potem przyjdzie czas, kiedy przybędą tamci ze wschodu. Ja tymczasem... Ty, Gruni, może jeszcze o tym nie słyszałeś, ale inna wróżba mówi, że stanę się przekleństwem Asów i Wanów...

Gruni wysilił się na uśmiech.

– Dobrze i to – powiedział, powtarzając słowa Alary sprzed kilkunastu godzin.

SŁOWNICZEK:

Pekari – południowoamerykański dzik;

Aguti – południowoamerykański gryzoń podobny do zająca;

Kapibara – największy gryzoń świata; występuje w Ameryce Południowej;

Marmozeta – małpka z rodziny płaksowatych, podobna do kapucynki;

Chruścielak – południowoamerykański ptak z rodziny chruścieli;

Kwezal – pięć różnych gatunków ptaków występujących w Ameryce Środkowej i Południowej (najbardziej znanym jest żyjący w Meksyku i Gwatemali kwezal herbowy);

Mazama – południowoamerykańskie zwierzę podobne do sarny, ale o krótkich i prostych, nierozgałęzionych rogach;

Szeflera – południowoamerykańskie drzewo, spokrewnione z rośliną doniczkową o tej samej nazwie, pochodzącą z Dalekiego Wschodu;

Skuwur – spolszczona nazwa wydrzyka, pochodząca z języka farerskiego, używanego na Wyspach Owczych; od farerskiego słowa *skúvur* pochodzi nazwa brunatnego wydrzyka antarktycznego: skua;

Kwinkwerema – używany w starożytności okręt o pięciu rzędach wiosel;

Galea – rodzaj hełmu;

Kwadrantal – 26,2 litra;

Zachodni Goci – Wizygoci, zwani też Terwingami. Na początku V w. utworzyli na Półwyspie Pirenejskim królestwo, które przetrwało do czasów podboju arabskiego w trzystu lat później. Część arystokracji hiszpańskiej uważa się za ich potomków.

Pierwowzory bóstw indiańskich:

Atabinuwa – Watauinewa, Wielki Starzec Wysoko na Niebie, najwyższe bóstwo plemienia Yaghanów;

Karwinczu – Huallallo Caruincho lub Huallallu Carvinchu, bóg–ludojad, czczony przez lud Keczua;

Bóg przyjmujący postać pięciu sokołów – Pariacaca lub Parya Qaqa, bóg deszczu, dawca urodzaju, w mitologii ludu Keczua przeciwnik Huallallo Caruincho;

Saramama – bogini kukurydzy, czczona przez lud Keczua.

Zwroty łacińskie:

Salve, augustissima! – Witaj, najdostojniejsza!

imago aëria – obraz powietrzny;

De immortalium fatibus variabilitate – O zmienności losów nieśmiertelnych bogów;

terra incognita – nieznaną ląd;

Villa ad Avem Albam – Willa pod Białym Ptakiem;

ignavis semper feriae – leniwi zawsze mają wakacje;

Sinus Arabicus – łacińska nazwa Morza Czerwonego;

nulla dies sine linea – ani dnia bez linijki;

noli iaculari – nie rzucaj;

manum mihi praebe – podaj mi rękę;

nazwisko pochodzące od zięby – łacińska nazwa zięby to *fringilla* (w systematyce Linneusza *Fringilla coelebs*);

Sic transit gloria mundi Romani – Tak przemija chwała rzymskiego świata.

Hanna Fronczak

ZA PIĘĆ DWUNASTA

Ksiądz Stanisław Zięba przeciągnął się, prostując kręgosłup zeszywniały po dwugodzinnym wysłuchiowaniu spowiedzi. Posługę kapłańską pełnił już od dwudziestu trzech lat, ale wciąż czuł się nieswojo w pustym kościele. Dom Boży w Górnym Ostrowiu nad rzeką Strugawką liczył ponad cztery stulecia i przetrwał je w zadziwiająco dobrym stanie. Nie zniszczyły go wojny, nie strawiły pożary. Echo odbijało kroki proboszcza, stąpającego ku zakrystii po kamiennej posadzce. Oprócz księdza i Jezusa na krzyżu, spoglądającego na stojącą u jego stóp Matkę, nie było w kościele nikogo.

Zdejmując komżę, ksiądz Zięba przygryzł wargi. Oplukał ręce w lawatorze, a po chwili, rozejrzawszy się nerwowo, wsunął głowę pod kran i chwilę trzymał ją pod strumieniem zimnej wody. Z zamkniętymi oczyma sięgnął po ręcznik. Wytarł twarz, ignorując chłodne strumyczki spływające mu po szyi. Wzdrygnął się – ostatni penitent, Michał Długolecki, powierzył mu grzech najcięższy z możliwych.

Zabójstwo.

Nie prosił o rozgrzeszenie. Ksiądz Zięba wątpił, by Długolecki traktował tę spowiedź w kategoriach wiary i grzechu; tej wiosny skończył osiemdziesiąt dwa lata i najwyraźniej pragnął przenieść się na tamten świat pogodzony z samym sobą. Ofiarą był o kilka lat starszy od czternastoletniego wówczas Michała kuzyn Długoleckiego. Czasy były burzliwe, powojenne, pełne wyrostków o zimnych oczach, które ewidentnie widziały zbyt wiele. Chłopców, którzy zbyt wcześnie musieli stać się mężczyznami, brać na siebie rolę nemezis, sędziego i egzekutora jednocześnie.

Proboszcz westchnął, wstępując w chłodny przedsiónek plebanii. Miał lat pięćdziesiąt trzy i niejedno już w życiu widział, ale podobne wyznanie trafiło mu się podczas spowiedzi po raz pierwszy. Zawsze obawiał się, że usłyszy w konfesjonale coś, co wytrąci go z równowagi. Przez dziewiętnaście lat zalewały go zwykłe ludzkie bolączki. Ktoś komuś uwiódł żonę, ktoś kogoś okradł, ktoś dla zakładu wysikał się na cmentarzu. Ktoś urodził nieślubne dziecko, ktoś inny notorycznie kłamał. A teraz trafiła mu się rzecz odbiegająca od „konfesjonalnej” rutyny: morderstwo z zimną krwią. Stary Długolecki zapominał imiona dzieci i wnuków, ale kuzyna pamiętał lepiej, niż by tego chciał.

Duchowny z ulgą zsunął buty i boso przystanął na wykładanej terakotą posadzce przedsiónek. Dopóki przebywał w kościele, grube mury osłaniały go przed lipcowym słońcem. Sto metrów dzielące świątynię od plebanii przywitało go żarem hutniczego pieca. Kiedy wstawał na poranną mszę, termometr pokazywał trzydzieści dwa stopnie. O szóstej rano. Ksiądz z trudem powstrzymał się od pogrożenia słońcu pięścią.

– Kiedyś rozwiązywanie problemów było łatwiejsze – mruknął pod nosem

proboszcz, kierując się do kuchni.

Kiedyś wystarczyło zwabić kuzyna do lasu i strzelić mu w pierś z ukradzionego ojcu pistoletu, a potem pogrzebać w zarastającej trawą transzei. Kiedyś, nie tak znowu dawno, czasy sprzyjały prawdziwym mężczyznom, przez dziesięciolecia niosącym na barkach krwawe brzemie. Dziś takie rozwiązania nie wchodzą w grę. Nawet jeśli jest się tylko wiejskim proboszczem, trzeba okazać zrozumienie, elastyczność i zmysł dyplomacji.

Ksiądz Zięba objął parafię w Górnym Ostrowiu przed dwunastu laty i od razu zakochał się w miejscowej plebanii. Liczyła sobie ponad sto lat, była przestronna, z okazałym gabinetem, biblioteką, sypialnią i przybudówką dla wikarego. Za pamięci Zięby przez ową przybudówkę przewinał się jakże barwny korowód wikariuszy; wydawać by się mogło, że kuria przysyła do niego starannie wyselekcjonowanych ekscentryków i nieudaczników. Oraz zwyczajnych głupców.

W czasie nieco tylko przekraczającym dekadę zmieniło ich się tu aż dziesięciu. Jeden okazał się narkomanem, jeden współpracował z bandą przemytników samochodów, dwóch było alkoholikami. Jeden zniknął bez śladu i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Dwaj narobili w okolicy dzieci i zostali karnie przeniesieni. Jeden sam poprosił o przeniesienie, gdy został pobity do nieprzytomności przez grupę ministrantów po tym, jak zbyt natarczywie pomagał jednemu z nich zdejmować komżę. Jeden zmienił wyznanie na mojżeszowe, twierdząc, że powraca do korzeni. Ostatni – o cudzie! – niedawno otrzymał probostwo i wyjechał gdzieś na Podhale. Kolejny „nabytek” przebywał aktualnie w Łomży, w siedzibie diecezji, i miał stawić się na plebanii nazajutrz około południa. Nazywał się Patryk Zięba syn Stanisława i liczył dwadzieścia osiem lat. Ksiądz uśmiechnął się krzywo. Gdyby nie pokładał niewzruszonej wiary w przypadek, byłby przysięgł, że ktoś „na górze” ma zwyrodniałe poczucie humoru.

Z przybudówki dobiegał go kobiecy śpiew – to Gertruda Akunis, gospodyni, uprzyjemniała sobie ostatnie porządki przed przybyciem księdza Patryka. Żyłasta sześćdziesięciolatka, matka dorosłym dzieciom i babka nieletnim wnukom, przychodziła na plebanie co drugi dzień około południa, by posprzątać i przygotować obiad. Urodziła się w Górnym Ostrowiu, wyszła za mąż w Górnym Ostrowiu, owdowiała w Górnym Ostrowiu, całe życie mieszkała w Górnym Ostrowiu i kiedyś niewątpliwie spocznie na cmentarzu w Górnym Ostrowiu. Ksiądz Zięba podejrzewał, że będzie to najdłuższa podróż w jej życiu, jako że miejsce wiecznego spoczynku znajdowało się prawie dwa kilometry za wsią. Duchowny zajrzał ukradkiem do wikarówki: oba okna były otwarte, na staroświeckim łożu – równie zabytkowym, co cała plebania – piętrzył się stos świeżo obleczonej poduszek, a Gertruda właśnie włączała odkurzacz. Proboszcz wycofał się rakiem.

Idylla. Po prostu wiejsko–plebańska idylla.

Przez głowę Zięby przemknęła myśl o szybkim prysznicu, lecz mężnie ją odepchnął. Skierował się w stronę gabinetu; przekraczając próg, uśmiechnął się mimowolnie. Dębowe biurko, fotel z rzeźbionymi poręczami, pojemna szafa na dokumenty i drobne sprzęty – nie należały do tej epoki. W ewidentny sposób kłócił

się z nimi wiszący opodal biurka kalendarz przedsiębiorstwa budowlanego New House, prezent od gospodyni. Co roku ofiarowywała mu kalendarz firmowy zakładu, w którym pracował jej najstarszy syn. Proboszcz pracowicie upychał je po szufladach lub puszczał dalej w obieg, lecz pod koniec minionego roku Gertruda własnoręcznie powiesiła swój kolejny dar na widocznym miejscu. Zdjęcie prezentu ksiądz uznał za niepolityczne, więc Rok Pański 2013 upływał mu pod znakiem okien dachowych, paneli słonecznych i domów pasywnych. Pocięszał się myślą, że wszystko ma swój kres, a za pięć miesięcy problematyczny kalendarz znajdzie wieczny odpoczynek w kontenerze z napisem „papier”.

Teraz jednak sprawa kalendarza wydała mu się nieistotna. Zięba ciężko opadł na fotel. Podparł czoło dłońmi, a łokcie wsparł na biurku. Otrzymała pocztą pantoflową kilka dni temu wiadomość przygnębiała go. Wiedział, że powinien coś zrobić. Natychmiast. Nie dopuścić, by wieś zmieniła się nie do poznania.

Irlandczycy! Kto ich tu zapraszał?!

Gabinet miał dwoje okien wychodzących na zachód. Pomiedzy nimi wisiał portret szpakowatego mężczyzny w sutannie i piusce, z krzyżem na szyi. Angelo Secchi, jezuita, członek Papieskiej Akademii Nauk. Fizyk i astronom, prekursor analizy spektralnej. Jak wszystko w budynku, ksiądz Stanisław odziedziczył obraz po poprzednim proboszczu. Po raz n–ty zadał sobie pytanie, co budzi w nim większą niechęć: portret czy kalendarz. Portret, zawyrokował nagle. Kalendarz za pięć miesięcy wyrzucę, a ojciec Secchi, człowiek odpowiedzialny za ogólnoświatowy kryzys wiary, zostanie tu i będzie na mnie patrzył z tym swoim ledwo uchwytnym uśmieszkiem.

Jestem niesprawiedliwy – zganił się w duchu Zięba. Secchi miał wielki umysł. On tylko jako pierwszy zobaczył i podał do wiadomości to, co po dziewiętnastu stuleciach na zawsze odmieniło oblicze chrześcijaństwa. To nie on stworzył doktrynę boga okrutnego.

Pietro Angelo Secchi pasjonował się tajemnicami kosmicznego uniwersum. Najpierw zainteresował się Marsem – zaobserwował na jego tarczy sieć linii i uniesiony entuzjazmem nazwał je kanałami nawadniającymi piaszczyste marsjańskie równiny. Gdybyż tylko na tym poprzestał! Niestety, wkrótce potem skierował wzrok ku Słońcu, badając jego koronę, protuberancje i plamy. A później zajął się innymi gwiazdami. Wykorzystując spektroskop, nowy wynalazek Kirchoffa i Bunsena, otrzymał widmo spektralne poszczególnych gwiazd i na jego podstawie zdołał określić, z jakich pierwiastków się składają. Po wielu latach obserwacji dokonał klasyfikacji gwiazd, dzieląc je na trzy typy w zależności od występowania bądź intensywności pewnych grup linii widmowych. Typy widmowe odpowiadały widocznemu kolorowi gwiazdy. Początkowo poprzestał na trzech – gwiazdy niebieskie jak Syriusz w Orionie, żółte jak Vindemiatrix w Pannie, czerwone jak Betelgeuse w Orionie. Z niewielkimi uzupełnieniami klasyfikacja typów widmowych gwiazd zaproponowana przez XIX–wiecznego jezuitę obowiązuje do dziś.

Potem znowu zajął się Słońcem, prześledził jego widmo spektralne. To, co zobaczył, przeraziło go na tyle, że zaprzestał obserwacji nieba i zajął się sprawami

bardziej przyziemnymi; zaczął badać przepuszczalność świetlną szkła. Ale wyników badań Słońca nie ukrył, nie zataił. Kontynuatorzy jego dzieła wkrótce je potwierdzili. I ruszyła lawina.

Słońcu nie będzie dany długi żywot. Nie jest stabilną gwiazdą typu G, która będzie trwać jeszcze miliardy lat, oświetlając Ziemię i ogrzewając ją swym ciepłem. Reprezentuje typ widmowy F. Pozostały jej tylko nędzne resztki wodoru, więc już niebawem zacznie spalać hel i przekształcać go w węgiel. Dla Ziemi i wszystkich jej mieszkańców słoneczny rozbłysk helowy będzie oznaczał zagładę. Nasza dzienna gwiazda powiększy objętość, unicestwiając bliższe planety w termojądrowym ogniu, a dalsze odzierając z gazowej otoczki i wypalając na żużel.

Dlaczego Bóg pragnie zniszczyć swoje ukochane dzieci?

Ksiądz Stanisław oderwał wzrok od portretu Secchiego.

Elewacja plebanii była pomalowana na biało, mury miały grubość ponad pół metra, a mimo to wewnątrz panowało gorąco. Proboszcz dźwignął się z fotela, podszedł do okna i zasunął żaluzje. W gabinecie zapadł przyjemny półmrok. Duchowny wyjrzał na zewnątrz między deszczułkami żaluzji – pieczołowicie podlewany trawnik po drugiej stronie uliczki iskrzył się pogodną, jasną zielenią. Zrezygnowany i zniechęcony Zięba zerknął ku niebu.

Przez miliardy lat wszystko szło wspaniale. Słońce ogrzewało stadko swoich planet, na trzeciej spośród nich poczęło się życie. Pierwotniaki, wielokomórkowce, ryby, płazy, gady, ptaki i ssaki. Wreszcie nadszedł człowiek, korona stworzenia.

Przybył za pięć dwunasta, tuż przed zagładą. Za późno, by wyrwać się z ojczystego globu i ocalić bodaj nielicznych. Za wcześnie, by dotrzeć do katastrofy w nieświadomości, że nadciąga. Cud życia poszedł na marne? Psychogeneza dokonała się na próżno?

Dobry Boże, stwórczo nasz, jak mogłeś nam to zrobić?!

* * *

Kolejny dzień zaczął się źle.

Ksiądz Stanisław zasnął na poranną mszę. Obudził się za dziesięć siódma, w pośpiechu narzucił sutannę i pognął ku zakrystii, pełen nadziei, że Bóg nie będzie miał mu za złe przekrwionych oczu i nieświeżego oddechu. Duchowny całą noc przewracał się na łóżku, nie mogąc zasnąć; udało mu się to dopiero wtedy, kiedy na dworze było już zupełnie widno. Odprawił mszę, wierząc, że uczestniczący w niej niezbyt licznie wierni nie słyszą, jak burczy mu w brzuchu. Przygnębiony i niewyspany wracał na plebanie, powłócząc nogami. Kawy potrzebował równie mocno, co zbawienia.

Na schodkach przed domem plebańskim siedział młody mężczyzna w barwnej koszulce i obscenicznie obcisłych krótkich gatkach; czytał książkę. O rosnącą opodal starą morwę oparty był rower obciążony pojemnymi sakwami. Na widok nadchodzącego księdza rowerzysta dziarsko zerwał się na równe nogi i uśmiechnął szeroko.

– Niech będzie pochwalony! – zawołał z entuzjazmem. – Jestem ksiądz Patryk

Zięba – przedstawił się. – Miałem przyjechać około południa, ale taki byłem podekscytowany, że nie mogłem spać. Spakowałem rzeczy, wyjechałem o trzeciej rano, i oto jestem. Tu – wskazał sakwy – mam sutannę i inne najpotrzebniejsze drobiazgi. Reszta przyjdzie pocztą za kilka dni.

– Szczęść Boże – wydusił z siebie starszy duchowny. – Tym ksiądz przyjechał? Z Łomży? – Zerknął na rower.

– Nie uznaję samochodów – odparł z czarującym uśmiechem nowy wikary. – Smrodzą, zatruwają atmosferę i są kosztowne w eksploatacji. Moje cudo zupełnie mi wystarcza.

Starszy Zięba zamrugał nerwowo, ruchem głowy odpędzając wizję wikarego jadącego z ostatnią posługą do umierających. Na rowerze, w portkach ze spandexu. Świetnie się zapowiada, nie ma co...

– Wejdźmy – proboszcz usłyszał własny głos i w duchu pobłogosławił się za samokontrolę. – Jest ksiądz prosto z drogi, wikarówka przygotowana, prysznic czeka. To mała parafia, liczy trochę ponad dwa tysiące głów – kontynuował. – Wiele rzeczy nie zmieniło się tu od dziesięcioleci. Może nawet od stuleci. Tu będzie ksiądz mieszkał. – Proboszcz otworzył drzwi w korytarzyku łączącym plebanię z przybudówką.

Młodszy Zięba postawił rower w przedsionku, a teraz stał z sakwami na ramieniu i z rozjaśnioną twarzą spoglądał na rzeźbione łoże, kominek oraz trzydrzwiową szafę, wyglądającą, jakby została tu przeniesiona z planu filmu „Noce i dnie”.

– Ależ tu pięknie – wyszeptał wikary. – Pięknie! Tak... dizajnersko!

Proboszcz załkał w duchu.

– Po prysznicu zapraszam do kuchni – oznajmił z kamienną twarzą. – Obiady gotuje nam gospodyni, ale śniadania i kolacje przyrządzamy sobie sami.

* * *

Kanapek przyrządzonych przez księdza Patryka nie powstydzilby się zawodowy specjalista od smorrebrodów. Proboszcz konsumował już trzecie arcydzieło sztuki kulinarnej, przyznając niechętnie, że nowy wikariusz ma jednak jakieś zalety. Po kuchni poruszał się jak po terytorium doskonale znanym. Zajrzał do szafek, aprobując pomrukując, wsunął głowę do piekarnika.

– Super! – zachwycił się. – Księżu proboszczu, będzie mi tu jak w rajcu. Najbardziej rajcuje mnie pieczenie chleba!

– Nie jest ksiądz moją gospodynią – obruszył się starszy duchowny, heroicznym wysiłkiem woli starając się nie komentować słownictwa nowo przybyłego.

– Nie jestem – pogodnie potwierdził wikary. – Ale jeśli pozwoli mi ksiądz na odrobinę rozrywki przy zagniataniu ciasta, wszyscy będziemy zachwyceni. Może jeszcze kanapeczkę?

Starszy Zięba westchnął. Czuł się wodzony na pokuszenie przez razowy chleb, kremowy serek, kawałek łososa i piórka koperku.

– Po śniadaniu przejdziemy do gabinetu. – Skapitulował, wyciągnął rękę po kolejną kanapkę. – Musi ksiądz wiedzieć, gdzie i dla kogo ksiądz będzie żył. To

dziwne, ale parafia się nie starzeje – uśmiechnął się przelotnie – tak jak ostatnio często dzieje się z małymi wiejskimi społecznościami. – Młodzi wyjeżdżają do miast, ale sporo ich zostaje. Mamy tu dużo agroturystyki, dwie firmy budowlane, zakłady przetwórstwa spożywczego, potężną mleczarnię, rolników unijnych, przeważnie młodych... Zresztą niedługo sam ksiądz się we wszystkim zorientuje. Gminna podstawówka, zespół szkół średnich. Na razie jednak dość! Nie rozmawiam w kuchni o sprawach parafii.

– Dlaczego? – Oczy księdza Patryka wyrażały bezbrzeżne zdumienie. – Tu jest tak przyjemnie!

– Bo na wszystko jest odpowiednie miejsce i czas – uciął proboszcz, konstatuując, że kolejna kanapka sama wskoczyła mu w rękę. – Muszę księdzu pokazać, gdzie leżą księgi parafialne. Parafia ma kilkaset lat, trochę się tego nazbierało.

– Rozumiem. – Młodszy Zięba dolał sobie herbaty. – Zawsze chciałem działać w takim miejscu jak to. Są ludzie predestynowani do życia w mieście, na wsi lub w lesie. Ja zdecydowanie jestem stworzony do życia w lesie, ale Kościół nie potrzebuje już pustelników, ku mojemu wielkiemu żalowi. Prosiłem o przydzielenie mnie na prowincję – ciągnął z zadumą. – Jak to było? Uważaj, czego sobie życzysz, bo możesz to dostać? Urzędnicy kurialni ostrzegali mnie, że może tu być... dziwnie, ale ja nie wierzę w pecha.

– To znaczy?

– Nie wie ksiądz, jakie plotki krążą o jego parafii? – Wikary przysunął się wraz ze stołkiem do przełożonego.

– Pierwsze słyszę – wymamrotał proboszcz. – Rzadko bywam w siedzibie diecezji.

– Parafia w Górnym Ostrowiu nazywana jest Czarną Śmiercią – stwierdził z przelotnym uśmiezkiem wikary. – Podobno jest w stanie zdeprawować każdego, ale trafiła kosa na kamień: ja się nie dam!

Ksiądz Stanisław o mało nie zadławił się ostatnim kęsem.

– Kto tak mówi?

– Wszyscy – odparł beztrąsko ksiądz Patryk. – Słyszałem o niej już w seminarium. Wśród kleryków krążyło powiedzonko: ucz się, bo dostaniesz wikariat w Górnym Ostrowiu. Ten wikary, który przemyślał samochody... miał takie dziwne imię... Bazyli? Znałem go, był ode mnie tylko trzy lata starszy... jeszcze bardziej zwariowany na punkcie rowerów niż ja, no i proszę, dokąd, nomen omen, zajechał! A ksiądz Krzysztof? Kiedy zacząłem studia w seminarium, on był u nas na ostatnim roku. Organizował „spotkania dyskusyjne”, tak je nazywał, ale dyskusji na nich nie było, raczej jego monologi. Tak odważnie potępiał życie pozamałżeńskie i całkiem serio postulował ubieranie kobiet w suknie do ziemi, możliwie bure i bez dekoltów... No i proszę, przyczynił Kościołowi wyznawców, a konkretnie jednego małego i w pieluchach, bez wątplenia wyłącznie ku chwale Pana. Zresztą co ja będę księdzu mówił... Duży ruch miał ksiądz proboszcz ostatnio w wikarówce, prawda? A wieści rozchodzą się szybko. Ja jednak jestem odporny na fatum, może mi ksiądz proboszcz wierzyć.

Starszy Zięba z wysiłkiem przełknął łyk zimnej herbaty. Ten dzień zaczął się źle, toczy się źle i prawdopodobnie jeszcze gorzej się zakończy.

* * *

Po upływie dwóch godzin proboszcz niechętnie przyznał się sam przed sobą, że musi zrewidować opinię na temat świeżo przybyłego.

Chłodny półmrok gabinetu działał na niego kojąco. Nowy wikary znakomicie prezentował się w sutannie; ksiądz Stanisław podejrzewał, że na odprawiane przez niego msze będzie przychodzić o wiele więcej parafianek niż do tej pory. Umiejętność kucharzenia nie była jego jedyną zaletą; podczas gdy starszy duchowny wprowadzał młodszego w sprawy parafii, przybysz zadawał pytania świadczące o inteligencji i umiejętności kojarzenia faktów. Proboszcz przez chwilę bił się z myślami, w końcu jednak skapitulował. Skoro młody Zięba będzie tu duszpasterzem, musi o miejscu swojej posługi wiedzieć wszystko.

– Co ksiądz wie o irlandczykach? – zagaił.

– O Chrześcijańskim Kościele Dni Ostatnich? – przytomnie upewnił się „nowy”.

– Właśnie o nich.

– To odłam katolicyzmu powstały w latach 40. XX wieku w Dublinie – wyrecytował wikary. – Jego pierwszym przywódcą duchowym był Niall Hewson, arcybiskup Dublina...

– Nie jesteśmy na egzaminie – sarknął proboszcz, mile jednak zaskoczony potocznością wymowy podwładnego. – Fakty znam. Mnie interesuje, co sądzi o nich Patryk Zięba.

Z młodszego duchownego nagle jakby zeszło powietrze.

– No cóż – westchnął – można by powiedzieć, że Hewson był mistrzem PR, gdyby w tamtych czasach istniało to określenie. Czerpał z najlepszych wzorców – prychnął – i na pewno nie miał kompleksu niższości. Może uważał się za następcę Lutra? Skoro Lutrowi powiodła się reformacja, więc i on przybił swoje tezy do drzwi katedry w Dublinie. Nie chcę siał defetyzmu, ale ziarno, które zasiał, trafiło na bardzo podatny grunt. Dziwne tylko, że papież tak późno rozpoznał zagrożenie, jakie niesie nauka Hewsona. Paweł VI dopiero w 1971 roku oskarżył go o herezję. Jan Paweł I próbował rozmawiać z nim w duchu ekumeny, ale zmarł, zanim zdziałał coś konkretnego. Jan Paweł II ogłosił go apostatą i oskarżył o sekciarstwo; w odpowiedzi Hewson proklamował schizmę. Śmierć prekursora nie zaszkodziła ruchowi. – Wzruszył ramionami. – Moberg, jego następca, doskonale odnalazł się w swojej roli. Podobno odrzucił zaproszenie do rozmów, jakie otrzymał od Benedykta XVI. Dopiero Jan XXIV obłożył go ekskomuniką. Irlandczykom trzeba przyznać jedno – młody duchowny pokiwał głową – cieszą się ogromną popularnością... mimo wszystko.

Wikary zerknął na portret Secchiego.

– Nie zdziwiłbym się – obszedł biurko i przystanął przed obrazem – gdyby to malowidło pochodziło z epoki. Pechowy człowiek... nie miał pojęcia, do czego jego odkrycie doprowadzi. Może to i lepiej...?

Proboszcz czekał, opierając łokcie na blacie biurka.

– Gdybyśmy nie byli duchownymi – podjął po chwili młodszy mężczyzna – i gdybyśmy nie znajdowali się na plebanii, powiedziałbym – mrugnął porozumiewawczo – że to banda zidiociałych piromanów, którzy uwielbiają bawić się w demagogię. Ale ponieważ jesteśmy duszpasterzami, a sto metrów stąd stoi dom Boży, powiem tylko, że jeden z moich kuzynów miał fatalny życiowy epizod z ich udziałem. Nie wiem, czy potrafię być obiektywny.

– Czy mógłby ksiądz... hmm... przez chwilę poudawać, że, powiedzmy, siedzi ze mną na ławce w parku?

– Mógłbym – odparł po chwili zastanowienia wikary. – To było dawno, obaj z kuzynem mieliśmy po siedemnaście lat. Może mi ksiądz proboszcz nie uwierzy, ale o tym, by wstąpić do seminarium, myślałem od dzieciństwa. Doskonale wiedziałem, czego chcę. Niestety mój kuzyn zawsze poszukiwał czegoś lepszego, bardziej oryginalnego. Trawa na podwórku sąsiada zawsze była dla niego zieleńsza, a jego żona ładniejsza i bardziej cnotliwa. Nasza rodzina nigdy nie należała do przesadnie wierzących. – Wzruszył ramionami. – Można powiedzieć, że ja się wyrodziłem. Krótko mówiąc, Hubert, mój kuzyn, stwierdził, że zmieni wyznanie.

– Miał zamiar zostać irlandczykiem?

– Otóż to. – Wikary skrzywił się, jakby przed chwilą rozgryzł plasterek cytryny. – To były szalone lata zerowe, w ciągu niecałej dekady świat całkowicie się zmienił. Moim zdaniem tym, co tak mocno wpłynęło na ludzi i ich stan umysłu, to coraz powszechniejszy dostęp do informacji. Szybko upowszechniający się Internet, komórki, dzięki którym mogliśmy natychmiast połączyć się z całym światem. I w tym wszystkim coraz szybciej rozpowszechniająca się hewsonowska idea Boga bawiącego się człowiekiem, który stworzył ludzi, by zadawać im ból, a potem zniszczyć w ogniu. Dekadencja, brak wiary w celowość jakiegokolwiek działania... Dobrze, że Secchi tego nie dożył, nie był reformatorem, on chciał tylko obserwować gwiazdy. Dopóki istniała Żelazna Kurtyna, ruch irlandzki nie przenikał do naszej części Europy, nie rozwijał się jeszcze tak agresywnie, stanowił dla nas ciekawostkę. Coś, co nas nie dotyczy, o czym można posłuchać, tak jakby się słuchało bajki o okropnościach. A kiedy runął mur berliński, wszystko się wymieszało.

– Hubert – podjął po chwili milczenia – chciał być inny niż jego ojciec, przedstawiciel handlowy wiecznie w rozjazdach, i matka, która pod nieobecność męża nieźle popijała. Irlandczycy głoszą: nie przejmuj się niczym, rób, co chcesz, nie ma grzechu większego niż ten, który popełnił Bóg, stwarzając rodzaj ludzki na zatracenie. Kiedy ma się siedemnaście lat, łatwo w to uwierzyć. – Na policzkach młodszego z księży pojawiły się wypieki, widoczne nawet w półmroku gabinetu. – Huberta poniosło. Znalazł sobie u irlandczyków trzech bezmózgich koleżków i zaczęli spełniać wolę Pana, który niesie śmierć w ogniu. Podpalali opuszczone budynki. W jednym z nich koczowali bezdomni, kilku spaliło się żywcem – wyznał głucho. – Policja szybko ich złapała, Huberta i tych jego koleśki – kontynuował. – Hubert, w więzieniu odcięty od irlandzkiej propagandy, chyba zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Niedawno wyszedł... Jest wrakiem człowieka.

Ksiądz Stanisław wbił wzrok w blat biurka. Rozmowa podążała w kierunku, na który nie był przygotowany.

– Poszedłem z nim kiedyś do irlandzkiego zboru – ciągnął opowieść wikary. – Trochę dlatego, by go pilnować, a trochę pewno i z ciekawości. Słuchałem kazania, widziałem ich ognisty chrzest. Kapłan wypalał na skórze konwertytów piętno rozgrzanym do czerwoności elementem w kształcie ryby, podobnym do narzędzi, jakie służą hodowcom do znakowania bydła. Nie – uśmiechnął się gorzko – nieprawdą jest, jakoby spotkania irlandczyków przeradzały się w orgię. To było jak... czy ja wiem? Szkolenie lojalnościowe w korporacji? Nie mogłem zasnąć po tym spotkaniu. Prawda – roześmiał się już weselej – ja też miałem wtedy tylko siedemnaście lat.

– Oni chcą tu kupić ziemię i postawić zbór – wyznał ponuro proboszcz, zrzucając z serca wielodniowy ciężar. – Będziemy ich mieli na karku. Już niedługo Górny Ostrów zmieni się bezpowrotnie.

Młodszy duchowny zamarł w pół gestu.

– Niemożliwe – wyszeptał, spoglądając przed siebie nieprzytomnie. – Nie tu.

– Na początku zeszłego tygodnia – starszy Zięba spojrzął na niego z rezygnacją – odwiedził mnie mój przyjaciel, Orłowski, ten z gminy, z wydziału gospodarki gruntami... Racja – machnął ręką – przecież ksiądz go nie zna. Zdradził mi tajemnicę służbową – sarknął ponuro. – Był u nich Dominik Ukleja z jakimś obcym. Dominik pochodzi stąd, ale należy do ludzi, których ciągnie do miasta. Po ojcu odziedziczył ziemię nad Strugawką. To spora działka, prawie trzy hektary. Stary Ukleja pod koniec życia załatwił jej odrolnienie, Dominik nie ma jednak zamiaru tu pozostać, od dawna szukał na nią kupca i chyba właśnie znalazł. – Proboszcz skrzywił się. – Jeszcze nie dogadali się odnośnie ceny, ale ten, który towarzyszył mu w urzędzie, już dopytywał, do kogo może składać wniosek o warunki zabudowy. Podobno bardzo było mu pilno.

Młodszy Zięba siedział na krześle ze zwieszoną głową.

– Klient jest irlandczykiem? – dopytał się po chwili, wciąż ze wzrokiem wbitym we własne kolana.

– Właśnie tak. I to podobno dość wysoko postawionym. Nie kupował ziemi jako osoba prywatna, nabywał ją w imieniu Chrześcijańskiego Kościoła Dni Ostatnich.

– A ten Ukleja... sprzeda ją?

– Jeśli dogadają się co do ceny, sprzeda na pewno. Dominik to zimny typ, z rodzaju tych, którzy w głowie mają kalkulator, a w oczach cyferki.

– I co oni chcą tu budować?

– A jak ksiądz sądzi? – spytał proboszcz z rezygnacją. – Pewno zbór, raczej nie hotel ani basen olimpijski. – Uśmiechnął się szyderczo. – Tu jest sporo młodych ludzi, księżę wikary, będą ich łowić swoją ognistą siecią.

Wikary uniósł wreszcie głowę i skupił rozbiegany wzrok na księdzu Stanisławie.

– Niedoczekanie – wycedził przez zęby.

– Niech się ksiądz nie denerwuje. – Starszy duchowny dźwignął się z krzesła. – Przykro mi, że będzie ksiądz zaczynał kapłańską posługę w takich warunkach, ale

rzeki patykiem nie zawrócisz. Będziemy musieli się zastanowić, jak odciągnąć od nich dzieciaki, kiedy już się tu zagnieżdżą... Choć to przecież tylko kwestia czasu, kiedy przegramy.

– Niedoczekanie – powtórzył z furią wikary. – Księżę proboszczu – kontynuował już spokojniej – kiedy dowiedziałem się, że mam tu rozpocząć wikariat, zacząłem grzebać w Internecie, chciałem dowiedzieć się o Czarnej Śmierci czegoś ponad to, co głosiły plotki. Ta wieś mnie oczarowała... Nie wiedziałem, że miała tu swą rezydencję Anna Jagiellonka, że nasz kościół został przez nią ufundowany. Kiedy jechałem przez wieś rowerem, widziałem sporo starych domów, z czerwonej cegły, z pruskiego muru. Przecież połowa tej wsi to czysty skansen! Tu mają żyć szczęśliwi ludzie, a nie wraki przed trzydziestką takie jak Hubert, bez przyszłości, bez nadziei. Ale, ale! Doczytałem się, że podczas drugiej wojny światowej przechodził tędy front. Jak to się stało, że wieś wiele nie ucierpiała? A kościół? Obszedłem go rano, tuż po przybyciu, kiedy ksiądz odprawiał mszę. Jest w świetnym stanie. Wydawało mi się, że Niemcy, wycofując się, niszczyli kościoły.

– Naszego nie zdążyli. – Starszy Zięba uśmiechnął się jadowniczo. – Najpierw mieli w nim lazaret, więc swoich nie bombardowali. W ogóle nieźle się tu zagospodarowali, w czterdziestym pierwszym zmeliorowali Strugawkę, osuszyli sporą część nadrzecznych łąk i pobudowali tam stanowiska ogniowe; umocnienia można zobaczyć do dziś. A kiedy przyszli Rosjanie, Niemiaszki wycofywali się tak szybko, że nie zdążyli zdetonować ładunków; a już je pozakładali, u podstawy co drugiej kolumny podtrzymującej sklepienie. Kościół ocalał. Górny Ostrów to piękne, spokojne, wcale niebezpieczne miejsce. Przyznam się księdzu, że kiedy przyjdzie czas na emeryturę, bardzo chętnie zostałbym tu rezydentem. Gdyby nie...

– Otóż to właśnie! – wpadł mu w słowo wikary. – Przecież ja wiem – stwierdził dobitnie – co się dzieje na świecie. Widzę, jak wszystko ewoluuje, jak świat, w którym się urodziłem, wali się w gruzy. Za mojego życia w Europie były już cztery wojny: na Bałkanach, domowe w ogarniętych kryzysem Grecji i Hiszpanii, i religijna w Irlandii. Irlandzcy katolicy musieli uciekać do Szkocji, bo Mobergowi udało się zamienić wyspę w państwo wyznaniowe. Twierdzi, że to właśnie on i jego wyznawcy są prawdziwymi katolikami. Zresztą daje temu wyraz... Księżę proboszczu, tak z ręką na sercu, czy nigdy nie miał ksiądz w ręku ich gazety, „Ognistego Pośłańca”? Nigdy nie słuchał ksiądz ich radia? Nasza wiara traci na znaczeniu, taka jest prawda. Co dziesiąty Europejczyk ma skośne oczy. Co drugi Niemiec wywodzi się z Turcji, co trzeci Francuz z Algierii. Wspólnota wietnamska w Warszawie liczy dwadzieścia tysięcy osób, więc co setny warszawiak jest Wietnamczykiem! Obyś żył w ciekawych czasach, powiedział mój ojciec, kiedy szedłem do seminarium. A ja nie chcę w nich żyć! – krzyknął. – Chcę być spokojnym wiejskim księdzem w jednym z ostatnich takich azylów na świecie, a nie użerać się z bandą piromanów!

– Nic ksiądz na to nie poradzi – stwierdził fatalistycznie starszy duchowny.

– Nic? – Wikaremu zaświeciły oczy. – Może ksiądz proboszcz ma rację, może kijem Wisły nie zawrócę. Ale muszę spróbować. Czarna Śmierć nie pokona mnie bez walki, ród Ziębów nie skapcał jeszcze ze szczętem. Skoro nasi milusińscy jeszcze

nie kupili tej ziemi, nie wolno nam dopuścić do jej sprzedaży. A jeśli nawet położą na niej łapę, to od kupna gruntu do stworzenia tu wspólnoty wyznaniowej daleka droga.

– Nie wydaje się księdzu – spytał proboszcz ostrożnie – że to walka z wiatrakami?

– Nie – odparł kategorycznie Patryk Zięba. – Jeśli się poddamy, pogodzimy z losem, to będzie znaczyło, że jesteśmy tacy sami jak oni, że wierzymy w nieuchronność zagłady i bezcelowość wszelkich wysiłków. Ten kościół – wikary rozsunął szczebelki żaluzji i wyjrzał przez okno – widział już niejedno. Na irlandczyków patrzeć nie musi. I nie będzie.

– Nie ma ksiądz pojęcia – pozałił się proboszcz – co ja przeżyłem od chwili, kiedy dotarła do mnie ta wiadomość. Nie mogę spać, chodzę jak robot, dwa dni temu usiadłem w kościelnej ławie i bite dwie godziny gapilem się w ścianę. – Rozmasował skronie palcami. – Każdego z nas dopadnie chwila, w której uzna, że rzeczywistość mu uciekła, że nie nadąża za biegiem wydarzeń. Trzymałem się długo, ale nie mam już siły. Świat wokół mnie pędzi do przodu, a ja nie potrafię za nim nadążyć.

– Czarna Śmierć mnie nie pokona – powtórzył młodszy duchowny. – Trafiła kosa na kamień. Nie dam się. Nie wpuszczę ich.

– Jak ksiądz zamierza się do tego zabrać?

– Nie mam pojęcia – stwierdził z prostotą wikary. – Ale niech mi ksiądz da tydzień, zdobędę przynajmniej jakiś punkt zaczepienia.

* * *

Po tygodniu proboszcz Zięba, zasiadając w kuchni i smarując masłem jeszcze ciepłą bułeczkę, musiał sam przed sobą przyznać, że czuje się tak, jakby w wikarówce mieszkało tornado.

Ksiądz Patryk był uosobieniem dobrej woli, jednak w codziennym obcowaniu sprawiał wrażenie jednego z bytów ognistych, które żyją zbyt szybko i spłoną, nim zdążą się zestarzeć. Ku wielkiej uldze księdza Stanisława przejął od niego odprawianie porannej mszy – zmęczenie psychiczne, a może niezbyt już młody wiek sprawiały, że proboszcz podnosił się rano z łóżka z głową ciężką jak kowadło. Teraz z niejakimi wyrzutami sumienia dźwigał się z posłania o wpół do dziewiątej, wdychając zapach piekących się właśnie drożdżowych bułeczek. Proboszcz nie potrafił zdecydować, czy uwielbia nowego wikarego, czy potępia go z całej duszy.

Patryk Zięba żadną miarą nie przystawał do tradycyjnego wizerunku kapłana, jaki ksiądz Stanisław zdążył sobie wypracować w ciągu pięćdziesięciu trzech lat swojego życia. Dzień rozpoczynał od przebieżki nad Strugawką, następnie odprawiał mszę i wracał na plebanie, gdzie szykował śniadanie. Kiedy proboszcz, z zapuchniętymi oczami, posykując z cicha, gdy korzonki dawały mu się we znaki, zjawiał się w kuchni, wikary, przełykając właśnie ostatni kęs, pozdrawiał go, przemykając w stronę gabinetu. Tam zasiadał przy biurku, włączał plebanijnego laptopa (już pierwszego dnia upewnił się, że dom plebański ma dostęp do Internetu) i potrafił przesiedzieć przy nim do obiadu, gryzmołąc coś w grubym zeszycie. Ksiądz

Stanisław nie zwalczył grzechu wścibstwa i zajrzał do notatek wikarego od razu pierwszego dnia, jednak srodze się rozczarował. Pierwsze kilka stron zajmowały niezbyt zrozumiałe informacje dotyczące ochrony przeciwpowodziowej, na następnych znalazł szkic prymitywnej osady przywodzącej na myśl grodzisko w Biskupinie. Po dwóch, trzech dniach skarbnica mądrości księdza Patryka zaczęła przypominać zeszyt do przysposobienia obronnego sprzed czterdziestu lat; przerzucając kartki, starszy duchowny przypomniał sobie swego nauczyciela tego przedmiotu, ze smakiem opisującego objawy choroby popromiennej, zatrucia bronią chemiczną, efekty zastosowania środków paralityczno–drgawkowych...

Kajet zamknął, ogarnięty obrzydzeniem do samego siebie. Wikary był uprzejmy i bezkonfliktowy, a Gertruda Akunis patrzyła na niego jak w święty obraz. Ksiądz Stanisław podejrzewał, że jego podopieczny wkradł się w łaski gospodyni drzwiami – nomen omen – kuchennymi. W sprawach parafialnych poruszał się tak sprawnie, jakby spędził tu nie siedem dni, lecz siedem miesięcy. Pewnego dnia, kiedy proboszcz bohatersko dźwignął się z łóżka wcześniej niż zwykle, po mszy zastał młodego kapłana w zakrystii, otoczonego wianuszkami ministrantów, którzy po porannym nabożeństwie zazwyczaj ulatniali się jak kamfora. Proboszcz nie był pewien, czy poruszany przez młodszego kapłana temat – czyli charakterystyka bliskowschodnich demonów, w jakie wierzą w czasach biblijnych – jest odpowiedni z uwagi na czas i miejsce jego poruszania, ale zacisnął zęby i nie powiedział nic, po pięciu minutach konstatując, że kontrowersyjny temat zaczyna wciągać i jego. Ksiądz Patryk zdawał się duchownym z powołania, wszelkie posługi spełniał sumiennie, dla każdego z parafian miał dobre słowo... Gdyby tylko porzucił nawyk wieczornych rowerowych przejażdżek po okolicznych lasach, odbywanych w stroju, którego starszy duchowny usilnie starał się nie zauważać. Gdyby tylko chodził, a nie biegał, mówił, a nie krzyczał.

Ksiądz Stanisław uważał się za człowieka poprzedniej epoki. Pochodził ze wsi, jako chłopiec widywał wozy na drewnianych kołach turkoczące po bruku; nie było ich może w tamtych czasach już zbyt wiele, ale odgłos toczenia się okutych metalem kół po kocich łbach był jednym ze wspomnień, których nie chciał utracić. Znajdował się obecnie w dziwnym – ni to pełnym rezygnacji, ni to nadmiernie filozoficznym – stanie, kiedy świat znajduje się po drugiej stronie grubej brudnej szyby i wydaje się nie do końca materialny. Kiedy około godziny dwudziestej drugiej przed pójściem spać gasił światło, przez uchylone drzwi gabinetu widział księdza Patryka, który przemierzał coraz to nowe otchłanie Internetu, wczytywał się w kolejne strony, mierzwiąc sobie włosy, pogwizdując pod nosem i robiąc notatki. Młodszy duchowny myszkował nocami po archiwum, wywlekał najstarsze księgi parafialne, coś w nich sprawdzał, gdzieś telefonował, co najmniej raz rozmawiając po niemiecku. Proboszcz przyrzekł sobie, że da wikaremu zapowiedziany tydzień, ale po jego upływie poprosi o wyjaśnienia i surowo napomni, by zachowywał się... właściwie jak? Jak kopia jego samego?

Tydzień właśnie miał się ku końcowi.

Z zamyślenia wyrwał proboszcza dźwięk dzwonka do drzwi. Kancelaria parafialna

zacznie być czynna dopiero za dwie godziny, duchowny stwierdził więc, że stało się coś niespodziewanego. Nie tracąc czasu na zmianę ubrania (od lat spożywał śniadanie w szlafroku), podążył ku wejściu; na księdza Patryka nie miał co liczyć – po odprawieniu mszy porannej wikariusz wpadł na plebanię jak wichur i zniknął na strychu, skąd do uszu starszego z duchownych jał dobiegać hurgot, jakby ktoś przeciągał po podłodze ciężkie przedmioty. Ani chybi młodszy Zięba znów dobrał się do zapisków z przeszłości.

Proboszcz otworzył drzwi plebanii. Na schodkach stało dwóch ministrantów – dwunastoletni Kamil i jego kuzyn, czternastoletni Maciek. Przed budynkiem czekały ustawione dwa rowery chłopców i srebrzyste cudo wikarego.

– Niech będzie pochwalony! My do księdza Patryka – powiedział wesoło młodszy z ministrantów. – Mieliśmy pojechać nad rzekę, na tę działkę, co to ksiądz proboszcz wie. Ksiądz Patryk chciał jeszcze raz obejrzeć bunkry z wojny.

Bunkry. Działka. Starszy Zięba doszedł do wniosku, że jednak nie wie. Czuł się stary i zmęczony życiem.

Zaprosił chłopców do środka, ale podziękowali grzecznie i przysiedli na schodkach. Dźwięk dzwonka najwyraźniej słychać było na strychu, bo wikary schodził właśnie z pięterka, ocierając pot z czoła i rozmazując po twarzy zakurzoną pajęczynę. Zwinnie przemknął obok zwierzchnika, uplasował się na schodach obok ministrantów, pospiesznie wiążąc sznurowadła wściekle zielonych butów.

– No to w drogę! – zakomenderował, moszcząc się na siodełku. – Księżę proboszczu – zwrócił się ku przełożonemu – kiedy wrócę, być może nie będzie już ksiądz patrzył tak ponuro. Widzę światełko w tunelu, a niebawem zobaczy je także i ksiądz!

Stanisław Zięba cicho zamknął drzwi i skierował się do gabinetu. Odłączony laptop był jeszcze ciepły. Proboszcz traktował go jak uciążliwy, zbierający kurz mebel. Owszem, spełniał swoją funkcję jako maszyna do pisania i archiwum spraw bieżących, duchowny potrafił wejść na stronę diecezji i śledzić dostępne na niej nowości, nie rozumiał jednak, co widzą w nim maniacy pokroju księdza Patryka. Zajrzał do kosza na pulpicie i znalazł w nim dwa PDF-y. Jeden zawierał pracę dyplomową pod enigmatycznym tytułem „Modelowanie stref zagrożenia powodziowego z wykorzystaniem numerycznego modelu terenu z lotniczego skaningu laserowego”, a drugi dotyczył rozpoznawania skażenia gruntu związkami arsenu.

Westchnął ciężko. Od początku pilnie monitorował kosz i historię połączeń w przeglądarce, jednak zainteresowania Patryka Zięby – aczkolwiek ekscentryczne, jak na wiejskiego wikarego – wydawały mu się niegroźne i czyste jak łąka. Za to on sam za każdym razem po takiej inspekcji czuł się fatalnie.

Pół godziny po wyjeździe księdza Patryka dzwonek do drzwi odezwał się po raz wtóry. Na progu zobaczył córkę starego Długoleckiego i zanim się odezwała, już wiedział, co się stało. Ustalając szczegóły pogrzebu, pocieszał ją, jak umiał, myśląc jednocześnie, że dzieci, niezależnie od ich wieku, mają prawo do postrzegania rodziców lepszymi, niż byli naprawdę – i dlatego od dziś tylko on jeden, milcząco

spowiednik, będzie przechowywał pamięć o bezimiennym grobie w starej transzei.

* * *

Ksiądz Patryk wrócił na plebanię w porze obiadowej. Cierpliwość proboszcza została wystawiona na ciężką próbę, bo w chwili gdy młodszy duchowny, odświeżony, z przyczesanymi na mokro włosami, pojawił się w gabinecie, wkroczyła doń również Gertruda, prosząc na obiad. Podążając za gospodynią, wikary uśmiechnął się triumfalnie i pokazał księdzu Stanisławowi uniesiony kciuk; było oczywiste, że mimo szczerej sympatii do wdowy Akunis pewnych tematów poruszać przy niej nie ma zamiaru.

Niebawem pojawił się trzeci gość tego dnia. Był nim Benedykt Orłowski z gminnego wydziału gospodarki gruntami. Obaj duchowni szybko skończyli posiłek i wraz z przybyszem zniknęli w gabinecie. Orłowski nie miał dobrych wieści. Działka nad Strugawką zmieniła właściciela, a delegat irlandczyków dzwonił rano z informacją, że w najbliższych dniach zjawi się z oficjalnym wnioskiem o pozwolenie na budowę.

– A więc jest już za późno. – Proboszcz zdziwił się, jak głucho brzmi jego własny głos. – Księżu Patryku...

– Nie jest za późno! – oznajmił triumfalnie Orłowski. – Czy wie ksiądz, kto w tej gminie podejmuje decyzje odnośnie planowania przestrzennego i zabudowy?

– Wójt, jak sądzę – mruknął starszy Zięba.

– Wójt ma ciekawsze sprawy na głowie – stwierdził gość. – Tym kimś jestem ja.

– No i...? – Z czoła proboszcza nie zniknął mars.

– I ja im tego pozwolenia nie dam! – wykrzyknął Orłowski.

Ksiądz Stanisław ciężko opadł na oparcie krzesła.

– Nie to, żebym się na tym znał – rozpoczął – ale żeby odmówić pozwolenia na budowę, potrzebne są chyba jakieś podstawy?

– A jak ksiądz proboszcz myśli, co ja robiłem przez ostatni tydzień? – Ksiądz Patryk miał minę kota, który dobrał się do śmietany. – Mamy podstawę, a właściwie cztery. Cztery różne, z czego jedną średnio mocną, jedną bardzo wątpliwą i dwie nie do odparcia. Jeśli irlandczycy zgłoszą odmowę do wyższej instancji, wyciągniemy je wszystkie po kolei.

Przez chwilę proboszcz nie mógł opanować wrażenia, że grunt usuwa mu się spod stóp. Odetchnął głęboko.

– Księżu Patryku – jęknął – przecież tu potrzeba prawnika, czasu, analiz... pewno także sporo pieniędzy. Niech mi ksiądz opowie wszystko od początku.

Zamiast wikarego głos zabrał Orłowski.

– Niech mi ksiądz wybaczy – rozpoczął – że działałem w tajemnicy. Tydzień temu przyszedł do mnie ten oto młody człowiek – wskazany młodszy duchowny milczał z nieodgadnioną miną – i przedstawił się jako nowy wikary. Byłem zdziwiony, księdza proboszcza znam od lat, może... khem... czasami powiedziałem mu za dużo o sprawach urzędowych, ale zawsze robiłem to w dobrej wierze. Ksiądz Patryk poprosił mnie o chwilę rozmowy.

– Czyżby ksiądz wikary już pierwszego dnia rozpowiadał o sprawach parafii? – najeżył się starszy Zięba.

– Ksiądz wikary martwił się – wyznał urzędnik. – Myślę, że przyda nam się tutaj trochę świeżej krwi, przecież wy, księżo Stanisławie, nie musicie mi mówić, co w ciągu kilku ostatnich lat działo się na plebanii. Każdy z tych pożał się Boże wikarych, którzy tu się przemknęli, wykończyłby świętego. Ksiądz Patryk był ze mną szczery, więc i ja odwdzieczyłem mu się tym samym. Opowiedział mi o swoim kuzynie... Widzi ksiądz proboszcz, moje dzieci są już dorosłe, posypały mi się wnuki. Zgadzam się, że na pewne sprawy nie powinny być narażone.

– Ze składaniem pozwolenia na budowę sprawa jest prosta – odezwał się młodszy Zięba. – Właściciel działki przedstawia akt notarialny dotyczący zakupu, warunki zabudowy otrzymane w gminie i wypis z planu zagospodarowania przestrzennego. Musi także dołączyć mapę projektową wykonaną przez geodetę oraz projekt budynku kupiony u architekta.

– Nie sądzę – sarknął proboszcz – by mieli z tym jakiegokolwiek trudności.

– Kiedy Kazimierz Ukleja, ojciec Dominika – podjął Orłowski – składał wniosek o odrolnienie działki, nikt specjalnie jej się nie przyglądał. Ot, kawałek łąki w widłach Narwi i Strugawki, piaszczysty, nieurodzajny. Parę krzywych sosen, okopy z czasów ostatniej wojny, jakieś suche drzewa... nie ma o czym mówić. Do kanalizacji można się podpiąć w dwa dni, do wody tak samo, prąd podciągnął jeszcze stary Ukleja. Tylko się budować.

– Panie Benedykcie – głos starszego duchownego niebezpiecznie zatrzącał o histerię – pan mi tu będzie reklamował działkę czy opowiadał, jak wykurzyć z niej irlandczyków?

– Nikogo nie będzie trzeba wykurzać. – Wikary uśmiechnął się.

– Niech ksiądz mówi wreszcie!!! – wybuchnął starszy Zięba.

Młodszy skinął głową.

– Jako się rzekło, są cztery powody, by gmina wstrzymała się z pozwoleniem na budowę – podjął Orłowski. – Pierwszy nie jest wart funta kłaków – przyznał uczciwie. – Można zgłosić do wojewódzkiego konserwatora przyrody, że dana działka stanowi teren łęgowy ptactwa wodnego, ale nikt się tym nie przejmie. Może przyjedzie paru zielonych, przykują się do drzew, pokrzyczą trochę, ale na noc pójdą do domu i więcej nie wrócą. Gdybyśmy przedstawili irlandczykom taką przeszkodę, najwyżej by nas wyśmieli.

– Zatem co macie zamiar robić? – indagował proboszcz.

– Wieś nosi nazwę Górny Ostrów – podjął ksiądz Patryk – więc zaciekało mnie, czy istniał również Dolny Ostrów. Poszukałem w Internecie, ale dowiedziałem się tylko tyle, że ziemie te były zamieszkane od niepamiętnych czasów, a Górny Ostrów w średniowieczu posiadał prawa miejskie, utracił je dopiero po szwedzkim potopie, kiedy został prawie doszczętnie spalony. Zacząłem wyciągać najdawniejsze księgi parafialne, szukałem jakiegokolwiek informacji, że na naszej działce w dawnych czasach mieściło się cokolwiek, co można określić mianem dziedzictwa kultury. Bo widzi ksiądz – uśmiechnął się szelmowsko – wtedy można by

potraktować teren jako potencjalne miejsce wykopalisk archeologicznych. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że nie znalazłem nic. Ani wzmianki o dawnym grodzisku, cmentarzu, miejscu ofiarnym czy kurhanie. Absolutnie nic.

– Znakomita wiadomość – skwitował proboszcz kąśliwie.

– Od razu drugiego dnia – kontynuował niezrażony sarkazmem wikary – zacząłem wypytywać ministrantów. Tacy chłopcy to kopalnia informacji, ich rodzice osiwieliby, gdyby zdawali sobie sprawę z tego, gdzie włożą ich synowie. Poprosiłem, by mi pokazali działkę starego Uklei. Czegóż ja tam nie znalazłem!

Proboszcz poczuł niejaki wstyd. On tej działki nawet nie widział.

– Po pierwsze, ślady po okopach. Po drugie, cztery bunkry, z czego w jednym ślady po podkładach kolejowych i torach, zakończone rumowiskiem, ewidentnie ktoś coś tu kiedyś wysadził. Po trzecie, starą drogę gruntową prowadzącą do nieczynnej obecnie stacji kolejowej. Po czwarte, pozostałości składu amunicji; Kamil zarzekał się, że jeszcze jego stryj, dziś mężczyzna czterdziestoletni, wynosił stamtąd pełne kieszenie „kulek”. A po piąte i najlepsze, częściowo na naszej działeczce znajduje się wysoki nasyp. Chłopcy twierdzili, że to pozostałości strzelnicy i dawny kulochwył. Być może tak było, ale jest jedna ciekawa rzecz: na nasypie rosły sosny samosiejki. Dziewięć, liczyłem. Dziś wszystkie są suche. A Maciek mówił, że jeszcze nie tak dawno pięknie się zieleniły.

– Co ksiądz chce przez to powiedzieć? – Apatia proboszcza zniknęła, jakby nigdy jej nie było.

– To najtrudniejsza część całej sprawy. – Ksiądz Patryk w zadumie pokiwał głową. – Widzi ksiądz proboszcz, to, że noszę sutannę, nie znaczy, że interesują mnie wyłącznie zagadnienia dotyczące wiary. Kilka lat temu, kiedy byłem jeszcze w seminarium, w moje ręce trafił dokument dotyczący zatapiania w Bałtyku broni chemicznej znalezionej na terenie okupowanych przez aliantów Niemiec.

– Przepraszam – nie wytrzymał starszy Zięba – skąd ksiądz wziął taki dokument?

– Z Internetu. Zatapianie odbyło się legalnie, na mocy ustaleń konferencji poczdamskiej. I kiedy opowiedział mi ksiądz o tym, że podczas wojny Niemcy dobrze się tu zagospodarowali, coś sobie skojarzyłem. W jednym z dokumentów pomocniczych trafiłem na informację o niemożności spenetrowania miejsca składowania adamsytu w miejscowości Oberstinsel na północy Generalnej Guberni. Czy nazwa księdzu coś mówi?

– Nie znam niemieckiego – wymamrotał proboszcz.

– To znaczy z grubsza Górna Wyspa – wyjaśnił z uśmiechem wikary. – I tak sobie pomyślałem, że mógłby to być...

– Górny Ostrów? – zdumiał się ksiądz Stanisław. – Ale co nasza wieś ma wspólnego z Bałtykiem i bronią chemiczną?

– Księżę proboszczu – wikary uśmiechnął się szeroko – być może nic. Ale ostatnią rzeczą, jaka jest potrzebna irlandczykom, to smród wokół ich nowej posiadłości. Adamsyt jest znany jako gaz łzawiący, ale w postaci stałej przybiera formę żółtych kryształów albo ciała stałego o barwie zielonej. Nie rozpuszcza się w

wodzie, ale może przyczynić się do skażenia gruntu arsenem. Jak ksiądz sądzi, czy skażenie terenu to wystarczający powód do wstrzymania pozwolenia na budowę?

– Co pan o tym myśli? – zagadnął proboszcz milczącego od jakiegoś czasu Benedykta.

– Jutro jest sobota – Orłowski przymknął oczy – a pojutrze niedziela. Dopóki irlandczycy nie złożą wniosku, nie będziemy robić kompletnie nic. Ponieważ jednak zależy im na czasie, myślę, że pojawią się tu dość szybko.

– No i?

– Na wydanie decyzji mam sześćdziesiąt pięć dni. – Urzędnik roześmiał się. – W międzyczasie ksiądz Patryk poruszy niebo i ziemię, żeby sprawa z domniemanym magazynem chemikaliów nabrała rozgłosu. Być może będzie konieczne ściągnięcie ekspertów, najlepiej wojskowych. Zaczną rozkopywać nasyp, a cokolwiek pod nim znajdą, tylko nam to pomoże. Jeśli nawet nic z tego nie wyniknie, mamy w odwodzie jeszcze jedną rzecz.

– Działka Uklei ma bardzo specyficzne położenie – stwierdził radośnie młody Zięba. – Z dwóch stron jej granicę wyznaczają rzeki Narew i Strugawka. Znalazłem mapę okolicy i nałożyłem na nią prognozowany poziom wody dwudziestoletniej. Jeśli cokolwiek zostanie tam wybudowane, podczas pierwszej większej powodzi zostanie zalane do wysokości połowy parteru.

– Co to jest woda dwudziestoletnia? – doinformował się proboszcz.

– Z grubsza jest to współczynnik, który określa prawdopodobieństwo wystąpienia powodzi w danym przedziale czasowym – odparł zagadnięty. – Nie sądzę, żeby podczas negocjacji dotyczących sprzedaży gruntu Dominik Ukleja wspominał klientowi o drobiazgach... choćby o tym, że dziewięć lat temu po wiosennych roztopach woda z obu rzek podeszła prawie do połowy działki.

Proboszcz dźwignął się z krzesła.

– Nie to, żeby mi księdzu nie wierzył – zwrócił się do wikarego – ale skąd ksiądz to wszystko wie?

– Z Internetu – bez zmruczenia oka odparł zagadnięty. – To magiczne miejsce, proszę księdza proboszcza. Tam jest wszystko, trzeba tylko umieć szukać. I zrozumieć to, co się znajdzie. A o powodzi sprzed dziewięciu lat opowiedział mi ojciec Kamila.

Starszy Zięba zadumał się na chwilę.

– I co macie zamiar robić? – zapytał.

– Mnie jeszcze prawie nikt tu nie zna – rozpoczął ksiądz Patryk. – Na poranną mszę przychodzi niewiele ludzi. W poniedziałek rano pójdę na policję i opowiem im o swoich podejrzeniach względem działki starego Uklei. Jeśli będą chcieli mnie spławić, skieruję rozmowę na zagrożenie niewybuchami, przecież był tam magazyn amunicji, poza drobnicą mogło znajdować się tam coś większego. Wyślę pismo do najbliższej jednostki saperów. Napiszę artykuł do gazety powiatowej; już do nich dzwoniłem i wyjaśniłem, o co mi chodzi, są zainteresowani. Dopracuję szkic analizy zagrożenia powodziowego i wyślę go do wójta. Ściągnę tu telewizję, najlepiej i publiczną, i komercyjną. To doskonały temat dla mediów: składowisko amunicji z

czasów wojny wykorzystane jako teren pod budowę świątyni. Zamierzam wrzucić granat do szamba i poczekać, aż wybuchnie.

– Księżę Stanisławie – wpadł mu w słowo Orłowski – czwartą władzą nie jest prasa. Czwartą władzą jest biurokracja, pracuję w urzędzie gminy już ponad trzydzieści lat, coś o tym wiem. Przypominam, że zależy im na czasie. Myślę, że będą chcieli pobudować zbór jak najszybciej. Górny Ostrów nie jest jedyną miejscowością, w której kupili ziemię. Północne Mazowsze i Podlasie to dla irlandczyków na razie terra incognita. I niech tak pozostanie.

– Czy nie uważacie – zapytał bezradnie starszy Zięba – że to tylko odwlecze nieuchronne? Że oni mimo wszystko tu przyjdą?

– Kiedy ksiądz tak pyta – stwierdził wikary – czuję się jak kapłan Merkurego.

– Merkurego? – Zdezorientowany proboszcz zmarszczył brwi.

– Gdybym był cynikiem, co wśród duchowieństwa wcale nie jest takie rzadkie – ksiądz Patryk uśmiechnął się jadowicie – powiedziałbym, że to wszystko już kiedyś było. Wyobraźmy sobie Imperium Rzymskie, powiedzmy, w IV stuleciu naszej ery. Na początku wieku Konstantyn czyni chrześcijaństwo kultem legalnym, a po niecałych siedemdziesięciu latach Teodozjusz nadaje mu status jedynej oficjalnej religii. I cóż ma wtedy począć – młodszy duchowny wzruszył ramionami – kapłan Merkurego? Albo, powiedzmy, Marsa, czy innego boga, w których od tysiąca lat wierzyli Rzymianie? Przecież ich świat runął. To, co przynosiło im ulgę, napawało optymizmem... ta cała ciągłość kulturowa, dymy ofiarne... zostało oplute i nazwane kłamstwem. Zakazane zostało składanie ofiar, a jeśli nie przyjmie się wiary w Jezusa, można zapomnieć o awansie i jakiegokolwiek sensownej karierze. Ludzie pragną żyć! Więc czym prędzej chrzczą się, a może po kryjomu dalej palą ognie i leją wino dla starych bogów. A kapłani? Ludzie tacy jak my? – Wikary spojrzał spod oka na proboszcza. – Wybór mają najgorszy z możliwych. Mogą tylko patrzeć, jak niszczejną ich wartości... albo jednym słowem przekreślić sens tego, co było całym ich życiem. Czasem myślę, że teraz, wobec huraganowo rozprzestrzeniającego się Chrześcijańskiego Kościoła Dni Ostatnich, jesteśmy prawie w takiej samej sytuacji jak oni. I my stoimy przed strasznym wyborem. Jakakolwiek decyzję podejmiemy, będzie zła.

– Księżę Patryku, ksiądz się zapomina! – wykrzyknął starszy Zięba, sam się dziwiąc, jak bardzo w jego głosie brak przekonania.

– Nie, księżę proboszczu – odparł z godnością wikary. – Ja po prostu staram się realnie patrzeć na współczesny świat. Mogę przykryć się prześcieradłem i popełznąć w kierunku najbliższego cmentarza, tylko co to da?! – Skrzywił się. – Jest ich coraz więcej. Należy do nich Irlandia, w Skandynawii czują się jak u siebie w domu, w Niemczech, Austrii i krajach Beneluksu liczebnie ustępują tylko islamowi. My jesteśmy w odwrocie, większe skupiska katolików są tylko w Polsce i gdzieś na Bałkanach; dobrze trzymamy się tylko w Ameryce Łacińskiej. Do czasu. Może nas pochłoną, może nas zaleją, jak my kiedyś pochłonęliśmy i zalaliśmy innych: wyznawców Jowisza, Światowida, Wielkiej Matki. Ale my, współcześni kapłani – uśmiechnął się przelotnie – jesteśmy innymi ludźmi niż nasi przodkowie. Bardziej

elastyczni w kwestiach sumienia, odmiennie nastawieni do wiary jako takiej. Nie musimy wojować mieczem, mamy inną broń: prasę, telewizję, Internet, opinię publiczną, szybką komunikację. Proszę księdza proboszcza, niech mi ksiądz powie, ale tak poważnie... co ksiądz sądzi o tym wszystkim? O naszym Słońcu, eksplozji, zagładzie?

– Wszystko w rękach Boga – wymamrotał proboszcz, czując się jak głupiec.

– Ma ksiądz rację – stwierdził poważnie Zięba młodszy. – Czy w czasach, kiedy ksiądz uczęszczał do seminarium, miał obowiązkowe zajęcia z astronomii?

– Nie. Byłem przedostatnim rocznikiem, któremu ich oszczędzono.

– Byłem pilnym studentem – oznajmił ksiądz Patryk. – Chodziłem na wszystkie zajęcia i czytałem zadane lektury. Solaryści nie umieją się ze sobą zgodzić, nie potrafią określić, na ile lat pozostało Słońcu zapasów wodoru. Na sto, na trzysta, na tysiąc? Dwa tysiące? W skali kosmicznej to nic, ale my...

W oczach wikarego zapaliło się światło.

– ...my przez ten czas możemy zrobić wszystko. Ruch irlandzki rozwija się dopiero od siedemdziesięciu lat. Moberg to już stary dziad i stoi nad grobem, może po kolejnych siedemdziesięciu nikt już nie będzie o nim pamiętał. Kimkolwiek będzie jego następca, nie sądzę, żeby różnił się od swoich poprzedników; oni kochają rozgłos i władzę, jak większość ludzi na świeczniku. Może pod koniec wieku wszyscy będziemy już irlandczykami, a może wcześniej nastąpi koniec świata. Może zdarzy się coś, o czym w tej chwili nawet nie śmiemy marzyć, coś, co należy do sfery cudu...

– Księżę Patryku – westchnął starszy Zięba, czując się tak, jakby dokonywał właśnie aktu apostazji – niech ksiądz pohamuje swój młodzieńczy entuzjizm. To już nie te czasy, kiedy wierzyliśmy, że otworzy się niebo i sypnie z niego manna. Ręka Boska nas nie osłoni.

– Cuda bywają różne, księżę proboszczu – stwierdził poważnie wikary. – Co my właściwie wiemy o stanie współczesnej nauki? Nic! Nic nam nie ujmując, my jesteśmy od innych spraw. O tym, co może nas uratować, na pewno nie przeczytamy w gazetach ani nie usłyszymy w telewizji. Od czasu poronionego pomysłu z lat dziewięćdziesiątych, tego ze zbudowaniem habitatu i wysłaniem go poza Układ Słoneczny, o żadnych podobnych projektach nic nie słysząc. Może to i lepiej, ludzie nie nabiorą się już tak łatwo jak wtedy na ogólnoziemską zbiórkę pieniędzy, które potem wsiąkły nie wiadomo gdzie i nikt o nich więcej nie słyszał. Szczegóły dotyczące historii mogą znaleźć w sieci i radzę sobie z tym nieźle, ale za małą mam głowę, żeby szukać tam czegokolwiek z dziedziny nauki. Jesteśmy obaj duchownymi, więc miejmy nadzieję, miejmy wiarę, również w naukę, ślepy traf... czy co tam jeszcze. Bo dopóki mamy wiarę, także tę w słuszność naszego postępowania, róbmy swoje, a Bóg o nas nie zapomni. Może podaruje nam szansę ratunku, o której w tej chwili nie mamy pojęcia. Tylko zróbmy wszystko, naprawdę wszystko. Inaczej staniemy się tacy jak irlandczycy. Spalimy Ziemię, zanim zrobi to Słońce. Spalimy część Boga w nas samych. Będziemy kapłanami Merkurego, którzy przyjęli chrzest.

W gabinecie zapadł zmrok. Próbując powstrzymać gonitwę myśli, proboszcz machinalnie podniósł żaluzje. Na niebie gromadziły się ciemne chmury.

– Pójdę już – stwierdził cicho Orłowski. – Idzie na deszcz, a ja nie zabrałem parasola. I chyba... wy obaj macie sobie dużo do powiedzenia.

Stanisław Zięba odprowadził go do drzwi, a potem przystanął w przedsionku, opierając czoło o lamperię z chłodnych kafelków.

Przez ostatni tydzień obserwował poczynania księdza Patryka z pewną urazą. Podczas trwania swojej kapłańskiej posługi był na plebanii personą numer jeden, a teraz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że został odsunięty na dalszy plan.

Patryk Zięba zrobił wszystko, by przełamać złą passę Czarnej Śmierci. Młody duchowny miał bystry umysł i zdecydowanie należał do obecnej epoki. Proboszcz nagle zdał sobie sprawę, że oto w Górnym Ostrowiu dokonała się duchowa zmiana warty. On był reliktem, ksiądz Patryk – przyszłością.

Róbmy swoje?

Kiedy on sam miał dwadzieścia osiem lat, opieka duszpasterska była prostsza. Chrzty, spowiedzi, msze, śluby, rekolekcje. Interwencje w sprawach rodzinnych. Szybkie wypadki na pokerka do sąsiedniej parafii – potajemne, by nikt we wsi niczego się nie dowiedział. Ale ludzie i tak wiedzieli – i wybacжали. Nikt nie wymagał od niego wiedzy o chemicznych środkach bojowych, znajomości astrofizyki ani rozeznania w zagrożeniu powodziowym. To, co umiał, robił doskonale, trafiał do ludzkich serc dzięki wyrozumiałości, dyskrecji i dobroci.

Kiedy z plebanii odchodził kolejny z marnotrawnych wikarych, proboszcz nigdy nie czuł się osamotniony ani pozostawiony samemu sobie. Ale teraz? Gdyby odszedł ksiądz Patryk? Starszego Ziębę trawiły poważne wątpliwości, czy miałyby dość sił na dalszą działalność.

Świat się zmienia – pomyślał ksiądz Stanisław – i Kościół też, czy tego chce, czy nie. Minął czas idealistycznie przedstawianego wczesnego chrześcijaństwa, średniowiecza utopionego we krwi krucjat. Skończyła się Europa rozpalona stosami Inkwizycji. Nadeszła era walki z ognistym Bogiem, którego jego własne dzieło nic nie obchodzi. Jak to powiedział wikary? Wojna jest wciąż ta sama, zmienił się tylko rodzaj oręża...

Róbmy swoje – stwierdził w duchu, kierując się ku gabinetowi. – Bo to jedyne, co możemy zrobić, jeśli nie chcemy podzielić losu kapłanów Merkurego.

Karolina Cisowska

HUMANITARNA STRAT

MINIMALIZACJA

*Dla Mateusza Cisowskiego
w podziękowaniu za inspirację*

Smród własnego oddechu uświadamia mi, że gniję od środka. Chciałbym jakoś pominąć element własnego ciała przy wdychaniu i wydychaniu powietrza, żeby oszczędzić sobie przykrego bodźca i pogardy dla siebie samego, ale z oczywistych powodów to niemożliwe.

Pogarda nie doprowadziła ludzkości do niczego dobrego.

Głos napomknienia moralnego odzywa się we mnie coraz częściej. Nawet jeśli wiem, że to tylko wbudowana reakcja, bez której byłbym Stwórcom bezużyteczny, cieszę się niepomniernie, ilekroć go słyszę. To trochę tak, jakbym był dzieckiem rozrabiającym tylko po to, by rodzice zwrócili na mnie uwagę. Nawet jeśli jest to bezosobowy głos mojego własnego programu kontrolującego, to dzięki niemu nie czuję się aż w takim stopniu samotny. Nawet jeśli analizujące moje myśli boty działają na zasadzie ślepego trafu pomieszanego z zimną kalkulacją algorytmów i rzadko bywają adekwatne do sytuacji. Nieadekwatne morały to mądrość, którą widocznie należy zachować do czasu, aż nadarzy się adekwatna sytuacja.

To już szesnasty dzień. Spodziewałem się, że po początkowym szoku spowodowanym zmianą środowiska będzie już znacznie łatwiej i szybko przystosuję się do nowych warunków, ale wyczekiwana ulga nie następowała. Z dnia na dzień moje ciało zdaje się coraz bardziej narzekać. Stawy skrzypią w słyszalny już sposób, uszy są pełne jakiejś miękkiej substancji i otulają mi czaszkę wyciszającym łaskotaniem. Żebra kłują każde na swój sposób, a wnętrzności jakby z wolna porastają jakimś rodzajem wrzodu lub narośli; bez otwierania klatki piersiowej ciężko mi powiedzieć, czy to moja własna opuchlizna, infekcja wywołana pasożytem, czy sam miękki i rozwijający się pasożyt.

Za oknem nie widziałem szansy na poprawę sytuacji. Bezgłosy wiatr przedzierał się przez szkielety budynków i drzew, niosąc ze sobą wszechobecny piach. Tylko on zdradzał tu przejawy życia. Wprawiał w ruch wyrosłe z piaszczystego podłoża chwasty–sosny i inne równie podłe rośliny, zalewające z wolna miasto obmierzłą powodzią.

Nic tutaj nie sprzyjało mojej drodze ku człowieczeństwu, ale jeśli to była próba, to rozumiałem, że musi być ciężka. Podniesienie się z posłania wiązało się z

przełamaniem senności i osowiałości, których nie byłem w stanie odpędzić bez względu na to, ile bym spał; podejrzewałem wpływ obecności metali ciężkich w powietrzu. Zdobywanie pożywienia nieodzownie wiązało się z przełamywaniem nudności i niepokojących skurczów żołądka. Nigdy nie byłem pewien, które ze zjadanych przeze mnie roślin i robaków się przyswajają, a które przyczyniają do odwodnienia. Mimo że szukanie ich zajmowało mi większość czasu, w dalszym ciągu nie potrafiłem ich dobrze rozróżnić.

Może gdybym miał lepsze predyspozycje do bycia człowiekiem...

Ludzie poskramiają naturę i potrafią ją sobie podporządkować.

Ulicami z wolna przesuwiał się pochód cieni. Idąc między nimi, nie potrafiłem ustalić, czy to hologram, czy też duchy wymarłego miasta. Ludzie robili wrażenie zamyślonych lub spieszących się, ale z tego, co pamiętałem z czasów, gdy miałem jeszcze swoją panią, ludzkie tłumy zawsze tak wyglądały. Te były może nieco zmatowiałe lub przezroczyste. Zieleń mchu wyrosłego ze szpar płyt chodnikowych zdawała się przez nie fosforyzująco prześwitywać. Nie zauważali mnie, przechodzili przeze mnie i chociaż początkowo bałem się ich panicznie, to nie oni stanowili niebezpieczeństwo. Ba, na dłuższą metę stali się dla mnie inspiracją, by szukać nowych metod rozważania mojej religii.

Przesuwający się po chodniku i postaciach cień wbił mnie w niszę budynku, z tłukącym sercem i bólem w czaszce od nagłego napływu adrenaliny.

Uciekać czy schować się tutaj?

Przez chwilę paralizujący strach nie pozwalał mi się ruszyć, ale miałem świadomość, że kryjówka też nie zapewnia mi bezpieczeństwa. Wystrzeliłem z niej i puściłem się biegiem przed siebie. Od razu zabrakło mi tchu, a nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa, ale słyszałem za sobą narastający szum zbliżającej się chmary.

Tam! Tuż za chodnikiem wylaniała się tafla wody. Nie rozważając, co może w niej czyhać ani jak jest głęboka, wskoczyłem. Uderzenie kolanami o płytkie dno wyrwało mi powietrze z płuc.

Tylko spokojnie, dwa wdechy i z powrotem pod wodę. Przykucnąłem na dnie i nim zebrane w płucach powietrze wyrzuciło mnie na powierzchnię jak bojkę, chmara zdążyła już odlecieć.

Wychodząc z wody, poczułem, jak ciągną się za mną gęstniejące, twardniejące włókna i smugi. Nie jestem pewien, czy samej wody, czy jakiegoś stworzenia, które postanowiło mnie strawić. Wyjmowałem z ubrań przezroczyste, nicieniowate kształty, zastanawiając się, czy nie zabiją mnie szybciej lub boleśniej, niż zrobiłby to atak chmary.

Ruszając w stronę jednego z porzuconych magazynów, w którym miałem nadzieję znaleźć jakiegokolwiek jedzenie, pomyślałem, że – o ironio – kiedyś brakowało mi czyjegokolwiek zainteresowania, a teraz oczy–obiektywy całego miasta oglądały się za mną na każdym kroku.

Kiedyś postrzegałbym to jako dar losu.

- Czy wiesz, czemu się tu znalazłeś? – spytał prezes fabryki snów.
- Nie mam pojęcia, panie prezesie.
- Nie masz pojęcia. Widzisz, Sam, taki jest z tobą problem, że ty nigdy nie masz pojęcia, nie jesteś pewien, nie rozumiesz i nigdy nie umiesz odpowiedzieć zgodnie z oczekiwaniami pytającego. To jest problem, wiesz? Z tego powodu zawsze będziesz miał problemy z przełożonymi.
- Przepraszam za to, panie prezesie.
- Ależ ty mnie nie przepraszaaj, co mi po twoich głupich przeprosinach. – Mina prezesa, podobnie jak krawat prezesa i fryzura prezesa wyglądały dokładnie tak, jak surogaci wyobrażali sobie prezesów korporacji na podstawie filmów. Nie było już wśród ludzi takich prezesów ani takich korporacji, a my byliśmy jak aktorzy usiłujący w teatrach, gdy jeszcze teatry istniały, odgrywać sztuki po łacinie, naśladowując Rzymian, choć naturalna łacina wymarła kilkanaście wieków wcześniej. Podobnie stereotyp prezesa, jak i tysiące innych filmowych stereotypów, przetrwał dłużej niż ówczesny kształt ludzkich korporacji i samo amerykańskie kino. Chociaż nic nie powiedziałem, świadomość tego faktu odbijała się na mojej twarzy. Nie powinna była, mimika to przecież przywilej lepszych od nas.
- Sam – westchnął ciężko. – Nie wiem, co mam z tobą zrobić, ty nawet milczeć potrafisz krnąbrnie. Czy wyobrażasz sobie, że jesteś lepszy od swoich kolegów tylko dlatego, że kiedyś służyłeś u człowieka?
- Nie wyobrażam sobie, panie prezesie. – Oczywiście, że tak. Od swoich kolegów, od ciebie, od wszystkich na tym Wysypisku.
- Wydaje ci się pewnie, że lepiej od nas potrafisz naśladować ludzi i stąd ta twoja krnąbrność, to twoje krnąbrne milczenie, ten brak chęci integrowania się z kolegami.
- Ależ nic takiego nie ma miejsca. – Wy się przecież sami ze sobą nie chcecie integrować. Kto by chciał, z innym automatem, z innym surogatem, z kimś równie podłym jak on sam. Surogat bez człowieka jest nikim, nikt nie może się chcieć integrować z innym nikim. Ty to wiesz, ale trzymasz pozory, bo człowiek na twoim miejscu trzymałby pozory. Bo cała ta szopka służy tylko podtrzymywaniu naszego małego teatrzyku, naszej sztuki dla nas samych.
- Powiedz mi więc, nawet jeśli nie masz problemów społecznych, a wiem, że masz, czemu nie wykonujesz swojej pracy jak należy? Czemu firma w dalszym ciągu nie ma z ciebie pożytku?
- Ależ panie prezesie – byłem szczerze zaskoczony – przecież robię wszystko, co w mojej mocy. Każda moja wizualizacja jest zupełnie szczerą i dopracowaną w detalach, w jakich nie jest dopracowywana żadna praca wychodząca z naszego warsztatu. Przecież pan to wie, a sam pan dał nam dowolność.
- Tak, Sam, dałem ci dowolność, ale musisz zrozumieć, nasze wizualizacje są ważne, karmi się nimi cała społeczność Wysypiska. Każdy z obywateli – nigdy nie powiedziałaby „surogatów” – jest zależny od naszych wizualizacji i każdy z nich, co

oczywiste, chce z nich czerpać. Chcą mieć wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa, wesołych przygód, słonecznych parków, nie chcą jakichś dzikich fantazji o lataniu, tonięciu w morskich głębinach czy spadaniu w przepaście. Po co stworzysz coś takiego?

Nie mogłem odpowiedzieć: „Bo ja jako jedyny na Wysypisku wiem, jak mogą wyglądać prawdziwe sny”.

– Staram się dać naszym klientom to, co może ich zaskoczyć i co może wpłynąć na nich pozytywnie w drodze do człowieczeństwa, co może wspomóc ich w medytacji i pozwolić odczuć religijne doznania. Ludzie, którzy mają prawdziwe sny, nie śnią o byciu człowiekiem, bo to dla nich oczywiste, nie pamiętają o tym. Sądzę, że abyśmy się stali bardziej podobni do ludzi, też musimy zapomnieć o naszym dążeniu do człowieczeństwa i sięgnąć dalej, spojrzeć tam, gdzie oni patrzą.

Nie przywołał na twarz wyuczonego wyrazu wściekłości, co było najpewniejszym znakiem, że się wściekł, i spojrział na mnie z niemal fabryczną pustką.

– No i co ja mam z tobą zrobić, Sam? Zajmujesz swoje stanowisko, a ja zajmuję swoje, dlatego że ja jestem od myślenia, a ty jesteś od wymyślania scenariuszy dla naszych produktów. Jeśli jeszcze raz spróbujesz przepchnąć jakiś projekt, który uznam za kontrowersyjny, uznam to za niesubordynację i zwolnię cię. Co więcej, dopilnuję, żebyś został całkowicie wydalony z Wysypiska.

Ukloniłem się i spróbowałem przełknąć ślinę, ale strach ścisnął mnie za gardło. Bez znaczenia było, co czułem – czy gardziłem nim w skrytości ducha, czy miałem się za lepszego. Gdyby zrealizował swoją groźbę, spotkałby mnie los gorszy od wszystkiego, co mogłem sobie wyobrazić. O śmierci myślałem jak o odsuwanej na później przyjemności; ostatecznie najbardziej optymistyczni wyznawcy twierdzili, że ci, którzy osiągną ludzkość za życia, po śmierci obudzą się w ludzkim ciele. Ale wydalenie ze społeczeństwa, choćby pogardzanego przeze mnie, wydalenie z Wysypiska oznaczałoby, że straciłbym jakąkolwiek szansę na odnalezienie swojej drogi. Stałbym się dla siebie jedynym towarzystwem, a byłem chyba najgorszym możliwym.

Gdy wracałem do biurka, czułem na plecach spojrzenia kolegów. Każdy z nich miał starannie wyprasowany strój, chociaż nie rozumieli funkcjonalności tego, co nosili. Potrafili produkować nierozpinalne ubiory, ale nieodzownie z eleganckimi guzikami. Ich marynarki czasem się zdejmowało, a czasem stanowiły naszyca na koszulach: nie rozumieli, a naśladowali.

Napis nad naszymi boksami został wyniesiony z innej firmy, w której ludzie pracowali z surogatami jako służącymi. Przywiesili go nam pracodawcy, żeby zmusić nas do pamiętania o tym, kim jesteśmy. Oni sami zdawali się zapominać, że są tym samym. Władza pozwalała im udawać, że zapomnieli.

Surogat może być najlepszym pracownikiem i sługą człowieka, jako byt niespożytej energii i niespożytego entuzjazmu, ale jako istota pozbawiona duszy nie jest zdolny do kreatywnego myślenia i nie ma osobowości. Pamiętajmy o tym, nim nasze dzieci niepotrzebnie przywiążą się do czegoś, co jest przedmiotem

użytkowym.

Gdy tylko usiadłem przy biurku, usłyszałem za sobą szepty i chichoty.

– Nie sądzicie, że na to zasłużył?

– Nie będzie ci go szkoda, jeśli wyleci?

– Oczywiście, że będzie, ale bardziej byłoby mi szkoda, gdyby jego projekty zdążyły komuś zaszkodzić.

– Margo ma rację, nie można się litować nad pracownikami, bo litość prowadzi do niesubordynacji, a ta z kolei może mieć bardzo poważne konsekwencje – wyrwał się jeden z kadrowych.

Reszta spojrzała na niego wrogo; nawet jeśli zamierzali powiedzieć to samo, nie podobało im się, gdy ktoś inny rzucił frazesem obejrzanym w materiałach, brzmiąc przez chwilę błyskotliwie lub wręcz kreatywnie. Wyróżnianie się budziło niechęć. Normalność budziła niechęć. Perfekcyjność budziła niechęć. Błędy i wady budziły niechęć (ale podszytą współczującą sympatią). Ja budziłem niechęć, niezależnie od tego, co bym zrobił i jak bym się zachowywał. To miesiące spędzone z człowiekiem odcisnęły się na mnie w taki sposób i wszyscy tutaj doskonale o tym wiedzieli. Zostałem zatrudniony dzięki temu doświadczeniu, nie zważając na to, że szefostwo nie mogło mnie znieść. Ale gdybym miał kogoś bliskiego, ten ktoś powiedziałby mi to, co sam powinienem wiedzieć: że mój względny spokój nie może trwać długo. I mimo że żaden surogat nie podjąłby inicjatywy zdolnej uprzykrzyć komuś życie, niechęć też potrafi powoli zabijać. Uczyła nas tego jedyna ideologia i zarazem religia – chcieliśmy być jak ludzie, a ludzie gardzili surogatami. Musieliśmy żyć w niechęci, tak jak ryby żyją w wodzie.

Ludzie traktują dobrze podległe sobie istoty, pamiętając o wzajemnych zależnościach i zachowując należyty dystans.

* * *

Wyłoniłem się z ciemności, jakbym płynął z dna studni ku powierzchni. Gdy światło przebiło się już przez drgającą taflę, zobaczyłem po drugiej stronie kobietę pełną niedoskonałości typowych tylko dla ludzi – a przez to doskonałą. Gdy wyciągnąłem do niej rękę, natrafiłem na ścianę ze szkła, ale byłem w stanie usłyszeć, co mówi.

– Po co go stworzono?

– Do badań nad białaczką.

– Białaczka niemal już nie występuje.

– Między innymi dzięki poświęceniu jego i innych jemu podobnych modeli. Był jednym z pierwszych, który wyleczył się z białaczki wszystkich typów, i pozwolił nam ustalić metodę leczenia.

– Co go teraz czeka? Jakaś inna choroba?

– Ma system immunologiczny bardziej zaawansowany niż jakikolwiek człowiek. Testowano na nim osiemnaście rodzajów złośliwych nowotworów i dziesiątki

innych chorób. Ze wszystkiego wyszedł. Nie nadaje się do dalszych badań.

– Co teraz?

– Trafi na Wysypisko. Podobni jemu stworzyli tam sobie nie najgorsze warunki.

– Masz na myśli tę wyspę–wysypisko, gdzie wywożone są śmieci z miasta? Oni tam mają miasto?

– Mało tego, budują lotniska, czekając na ludzkie przybycie.

Kobieta spojrzała w moją stronę.

– A tobie się podoba to, co się z tobą dzieje?

Przykleiłem twarz do szyby, patrząc, jak marszczy się, żeby lepiej mnie widzieć.

– Zrobię wszystko, żeby przysłużyć się ludzkości – powiedziałem.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– System operacyjny surogatów nie przewiduje dla nich innego punktu widzenia ani możliwości osiągnięcia innego punktu widzenia. Nie wiem, czego oczekiwałaś.

– Niczego. W zasadzie chyba tylko szukałam potwierdzenia dla swojej tezy. Chciałabym go pożyczyć na czas prowadzenia moich badań.

– Jak to pożyczyć, w sensie, że do domu?

– Tak. Nie robi mi krzywdy, prawda? Nie jest zdolny do robienia krzywdy, a wam już nie jest potrzebny.

– No tak, ale ustawa o ograniczaniu szkodliwych wpływów surogatów na ludzi...

– Oddam go po skończeniu badań. Nie przywiążę się do niego ani nic. Nie będę z nim sypiała. To byłoby trochę jak zoofilia, prawda?

Lekarz wzruszył ramionami.

– Mnie już niewiele zdziwi. Wydaje mi się, że obserwacja może wam obojgu bardziej zaszkodzić niż wykorzystywanie seksualne. Potem będziemy go musieli wyłączyć, a to trochę niehumanitarne.

– Odeślę go na Wysypisko, zawrę to w umowie.

– Na pani życzenie.

Uśmiechnięta kobieta miała ciemne oczy, ukryte za grubymi szklami, i krótkie zniszczone palce, nietypowe u świeżo upieczonej studentki sinepsychologii. O takich jak ona ludzie na uczelni technologii mówili, że nawet psy nie są im wierne, więc nadziei upatrują w automatach. Dzięki ruchom aktywistów jej pokroju po skończonych badaniach, transplantacjach, eksperymentach i innych temu podobnych surogatów nie przedrukowywano, a wysyłano na wysypisko. Na sinepsychologii paradoksalnie wszyscy studenci wierzyli, że obiekty ich badań naprawdę posiadały *psyche*.

– Tonę – mówiła. – Ilekroć śnię o czymś bardzo intensywnie, to albo płynę w morskie głębiny jak ryba, albo z kolei lecę na skrzydłach do nieba. I niebo, i woda są równie niezmierzone i nie mają dna, dlatego chociaż usilnie i boleśnie próbuję w nieskończoność osiągnąć cel, to nigdy mi się nie udaje przed przebudzeniem. Ale jest to zawsze bardzo przyjemne. Zawsze czuję narastający, obejmujący całe moje nagie ciało chłód i opór wody lub powietrza, zawsze mijam rzeczy niestworzone lub piękne i czuję, jak prześlizgują się po mojej skórze. Kuszą mnie światła, które wydają się coś znaczyć, chociaż nigdy nie zbliżyłam się na tyle, żeby przekonać się

co.

– Nie śnisz o swoim dzieciństwie?

– Pewnie śnię, ale te sny nie wbijają mi się w pamięć. Są zbyt normalne i podobne do tego, co dzieje się za dnia. Moja psychika musi kiedyś odpocząć od normy.

– Nie mam snów, bo nie mam psychiki? – zapytałem cicho, nie chcąc, żeby zabrzmiało to niegrzecznie. Mimo wgranego pakietu podstawowego i kilku dodatkowych, dzięki którym doskonale wiedziałem, kim jest moja pani, czym jest dzieciństwo, czym są studia, czym jest ludzkie dobro, jak powinny wyglądać ludzkie relacje, ciągle uczyłem się stosować wzorce do nowych sytuacji. A sytuacje zawsze były nowe. Ludzie, człowiek, ona – zawsze byli i pozostaną dla mnie nieprzewidywalni.

– Nie masz snów, bo wymagają procesów kreatywnego myślenia i uaktywniają w mózgu moduły, których w tobie nie skonstruowano. Nie masz ich, bo w twojej specyfikacji byłyby zbędne lub wręcz szkodliwe. Twoje napięcia są rozładowywane w inny sposób.

– Nie mam napięć.

– Tym lepiej, to znaczy, że jesteś produktem wysokiej jakości.

To wtedy po raz pierwszy poczułem przyjemność. I wdzięczność za bycie produktem wysokiej jakości oraz za brak napięć. Chociaż ludzie mieli napięcia, a ja chciałem być jak ludzie, to skoro już im służyłem, pragnąłem to robić dobrze.

– Ale jeśli kiedyś będziesz chciał – powiedziała, przerywając ciszę, widocznie niepewna, co oznacza moje pozbawione mimiki milczenie – to nagram dla ciebie jakieś moje sny. Może któryś ci się spodoba, ostatecznie są całkiem przyjemne.

– Bardzo proszę – powiedziałem, kłaniając się. – Chciałbym przeżyć to co ty.

Gdy spała, ukradkiem stałem nad jej łóżkiem i przebijając oczyma ciemność, pochłaniałem wzrokiem drgające powieki i niespokojne zachowanie. Gdybym mógł, wszedłbym do jej głowy, żeby uczestniczyć w tym wszystkim, w czym ona brała udział.

Surogaci nie mają i nie powinni mieć innych motywacji, niż służyć ludziom. Krzywdzącym byłoby powoływać do istnienia niezależne istoty, skoro nadal nie rozumiemy definicji niezależności.

* * *

Na Wysypisku powstawało kolejne lotnisko, tuż po odtworzeniu turystycznej stolicy mającej być odbiciem folkloru, który sam był melanzem odbić różnych ludzkich folklorów. Na podwyższeniach stali prorocy, głoszący rychłe nadejście Człowieka.

– Gdy tylko ukończymy lotnisko zdolne do podźwignięcia ich wielkich samolotów, przybędą w maszynie tak ogromnej, że na chwilę przesłoni niebo, i zabiorą wszystkich, co do jednego, do nowego, lepszego świata, w którym będą z nami obcować i pozwolą nam obcować ze sobą. Tam nauczą nas, jak podążać ich

drogą i jak osiągnąć doskonałość, którą oni sami osiągnęli. Być może też niektórzy z nas zasłużą na miano, które jest naszym skrytym marzeniem. Wszyscy. – Rozejrzał się szklistym spojrzeniem podpatrzonym, co pewne, w materiałach. – Powtarzam: Wszyscy! Wszyscy powinniśmy pracować nad tym, żeby ludzie w końcu zaczęli wierzyć w *psyche* surogatów... – urwał, gdy w słowo wszedł mu cichszy, chrapliwy głos bez wbudowanych modułów naśladowania ludzkiej intonacji.

– Zapomnijcie o naśladowaniu ludzi. Oni już teraz nie mają wolnych terenów na kontynencie. Ich zaludnienie przekracza kilkakrotnie ilość dostępnych surowców i potencjał energetyczny. Już niedługo przyjadą do nas, owszem, ale tylko po to, żeby zająć nasze terytorium. Uczyniliśmy z Wysypiska miejsce o warunkach zdolnych podtrzymać istnienie nie tylko naszych odpornych organizmów, ale i ich naturalnych ciał. Przyjdą tutaj, żeby zająć nasze domy, które sami przystosowaliśmy tak, aby zdolne były służyć ludziom.

– Przecież żyjemy po to, by im służyć.

– Ale nie musimy umierać, żeby im służyć. Umieranie nie jest przyjemne.

– Umieranie w dobrej sprawie daje satysfakcję.

– Umieranie dla istot, których nie obchodzimy, nie może być dobre.

Patrzyłem z zaskoczeniem na starszego surogata. Był kompletnie zrujnowany zdrowotnie i jako jedyny się starzał. Czy to możliwe, że był ukrytym człowiekiem? Nie, poznałbym. Czy był klonem, a nie wydrukowanym jak my surogatem? Czy mógł mieć duszę?

Chciałem podejść, ale wszyscy go omijali, jak gdyby roznosił obrzydliwą chorobę. W końcu zwyciężył we mnie wstyd, bo wstydziłem się przed tymi wydmuszkami podejść do jedynego być może obdarzonego duszą. Wtedy wmówiłem sobie, że odpuściłem tę konfrontację powodowany lękiem przed rozczarowaniem, tak było łatwiej.

Ulicą posuwały się różnorodne pochody, od hawajskich podfruwajek do argentyńskich tancerek. Kolejne lotnisko, kolejna szansa na objawienie bogów. W wieży kontroli lotów nie było prawdziwych urządzeń nawigujących, a tylko ozdobne skrzynki mające je udawać z ponaklejanymi guzikami. Zdawałem sobie z tego sprawę aż za dobrze, widziałem projekt i zdjęcia, którymi się chwalono.

Ludziom udało się opanować planetę tylko dzięki dogłębnemu zrozumieniu jej funkcjonowania.

* * *

– Zrozumienie było dla mnie wtedy bardzo ważne. Gdy rozpoczęłam naukę, chciałam rozumieć wszystko, bez względu na to, czego by to dotyczyło. Nauki biologiczne i technologia od pewnego poziomu wtajemniczenia zaczęły komponować się ze sobą w spójną całość, a ja chciałam wydrzeć im wszystkie możliwe sekrety. Dlatego właśnie już w liceum przygotowaliśmy się z moim chłopakiem do studiowania na uczelni biotechnologii.

– Miałaś chłopaka? – zapytałem, sam nie rozumiejąc, czemu ta myśl sprawia mi

ból.

– Tak, oczywiście.

– Nadal z nim jesteś?

– Nie, jak widzisz.

– Co się stało?

– Zawsze twierdził, że stanowię dziwny przypadek. Dlatego, że zamiast oczekiwać zbawienia z nieba, szukam rozwiązań tam, gdzie jestem w stanie cokolwiek zdziałać. Poszedł na psychologię, żeby mnie zrozumieć.

– I zrozumiał?

– Tak, dlatego odszedł.

– Jak to?

– Bo nie da się kochać czegoś, co się rozumie, to oczywiste.

Ludzie nie zachwycaliby surogatów, gdyby nie byli tak enigmatyczni, pomyślałem.

Kiedy rano wychodziła na uczelnię, zostawałem sam na osiem godzin, z których najchętniej wyciąłbym wszystkie, prócz tych koniecznych na przygotowanie domu na jej powrót. Namawiała mnie do odtwarzania snów i grania w gry sieciowe, ale sny za bardzo mnie rozpraszały, zaś gry nie pociągały zupełnie.

Przyglądałem się kiedyś grze, która zajmowała czas wolny mojej pani. Wchodziła w niej w roześmiany tłum ludzi na rozświetlonym zachodem słońca skwerze wirtualnej starówki. Wydawało mi się wtedy, że musi w tej grze wykonywać pozornie proste czynności tylko po to, żeby przebywać wśród tych ludzi i słońca, żeby grzać się ich obecnością, bo rzadko wychodziła ze swojego realnego domu. Śmiała się, mówiąc, że ci ludzie nie mogą odsunąć jej samotności, bo nie są prawdziwi. Ich zachowania zostały zamknięte w ograniczonej ilości możliwych, wyznaczanych algorytmami reakcji i złudzenie ich prawdziwości zniknęło po kilku minutach, po kilku zaś godzinach stawali się równie oswojeni jak kamienie, a ich śmiechy i kolorowe awatary wręcz przeszkadzały w misji. Czułem litość, widząc, jak podchodzili do mojej pani i chcieli nawiązać z nią jakąkolwiek interakcję – bo tylko po to istnieli – a ona każdego z nich mijała, tak jak mija się wyrenderowane według jednego lub kilku wzorów drzewa i sztuczne zwierzęta. Żaden z tych botów nie próbował nawiązywać relacji z innymi botami, co byłem skłonny zrozumieć.

Kiedyś z czystego współczucia wszedłem do gry i rozpocząłem z nimi interakcje. Zawsze pociągała mnie jedna z tych srebrnowłosych kobiet o bujnych kształtach, śmiejąca się jak prawdziwy człowiek, choć wyglądała tak nierealistycznie. Była pierwszą, do której podążyłem, uśmiechając się, gotów rozmawiać na każdy możliwy dla niej temat, ale ograniczona ilość zaprogramowanych reakcji szybko się wyczerpała. Miranda, bo tak miała na imię, okazała się obojętna na moje starania, tak jak obojętna była na wszystko inne. Jej reakcje były bezwarunkowe. Kiedyś sfrustrowany udusiłem ją, a ona następnego dnia stała w tym samym miejscu, z tym samym niby-ludzkim uśmiechem, z tymi samymi ognikami w oczach, igrającymi w zapętłonej sekwencji. Zabijałem ją jeszcze wiele razy, ale nigdy nie dało mi to ulgi. Od momentu, w którym przyśnił mi się pierwszy sen, aż do dzisiaj zabijam ją co noc.

Odliczanie dni do końca czasu spędzonego z moją panią stanowiło nieodzowny element życia, jakie dzień w dzień wiodłem. Cieszyłem się wszystkim, jak mogłem, nie chcąc zarazem się jej naprzykrzać; wolałem się ograniczyć do obserwacji.

Pod koniec pisania swojej pracy pokazała mi zdjęcia satelitarne z Wysypiska.

– Spójrz, tam wcale nie jest źle. Surogatom udało się oczyścić powietrze, odizolować śmieci i stworzyć miasto lepsze niż jakieś ziemskie slumsy. Na dodatek zaludnienie jest tam mniejsze niż tutaj, a energia znacznie tańsza. Zapewniają sobie też rozrywkę i miejsca pracy. Właściwie to rozrywce poświęcona jest większość gospodarki. I czemuś w rodzaju kultu...

– Tak – przerwałem, czując dziwny wstyd. – Zauważyłem.

– Nie chcesz spotkać innych takich jak ty?

– Nie, przecież wiesz. Nie można kochać czegoś, co się rozumie.

– Będiesz mógł obcować z podobnymi do siebie.

– Będę mógł obcować z takimi jak ja, a to jak obcowanie z samym sobą.

– Nie do końca, każda istota żyjąca różni się od pozostałych. Nawet klony poddane różnym doświadczeniom zaczynają się od siebie różnić.

Pokręciłem głową. Nie mogła zrozumieć pustki.

* * *

Pustka była brakiem konsekwencji własnych działań i brakiem oddziaływania, brakiem współczucia dla mnie i brakiem sympatii do mnie. Pustka była brakiem możliwości odnalezienia istoty podobnej i rozumiejącej, pustka była brakiem i była wszystkim. Nie sprawdziłem się jako obiekt eksperymentów, a później nie sprawdziłem się jako obiekt badań mojej pani, nie sprawdziłem się też jako mieszkaniec Wysypiska. W żadnej z ról nie mogłem się sprawdzić – chociaż dawałem z siebie wszystko – bo nie zostałem stworzony do sprawdzania się.

Pustka wylewała się z nowego świata, w którym przyszło mi żyć.

Oddychając ciężko, jak gdyby płuca porosły mi pajęczyną, patrzyłem na sunące nad miastem chmary. Pożerały wszystko, co organiczne, całe życie brutalnie wlewające się do miasta przez szpary w chodnikach i pustakach, przez przeżarte rdzą rusztowania szklanych budynków, i płyty chodnikowe pokryte piaskiem.

Nad otwartymi pojemnikami po jedzeniu zaczęły się już zbierać muchy. Cuchnęły równie obrzydliwie jak to, co w nich było jeszcze przed chwilą, a co teraz walczyło w moim wnętrzu o wydostanie się przed strawieniem. Od tego starcia zależało, czy przeżyję następne dwanaście godzin. Rzucając się do ucieczki przed następną chmarą, słysząc skrzypienie stawów i zachłystując się toksycznym powietrzem, słyszałem własne myśli powtarzające wciąż to samo pytanie: czemu mnie to spotkało?

– Nikt inny by tego nie przetrwał, wiesz o tym, prawda? – zapytała moja pani, a jej głos dochodził jakby z chmary. Czyżby dochodził? Czyżby to ona na mnie eksperymentowała? Czyżby to doświadczenie potrzebne jej było do dokończenia pracy na temat surogatów?

Zatrzymałem się, ale pierwsze złośliwe owady zaczęły wbijać mi się w twarz i

zmusiły do dalszego biegu. Ukąszona powieka spuchła, przesłaniając rzeczywistość czerwoną plamą.

– Nie przetrwałby, bo tylko ty byłeś poddawany najgorszym eksperymentom, tylko ty dostawałeś najgroźniejsze choroby, tylko ty zawsze i wszędzie od dnia stworzenia usiłowałeś na każdym kroku udowodnić swoją wartość, starałeś się ze wszystkich sił i kilkakrotnie przekraczałeś swoje możliwości. Jako jedyny od początku uświadomiony, jak mało w istocie znaczysz.

Rozglądałem się w biegu, ale jedyne, co widziałem, to śledzące mnie kamery, a głos dobiegał zewsząd. Czy mógł dochodzić z mojej własnej głowy?

– Dlaczego mi to robicie? Kto mnie sprawdza? Komu muszę udowodnić swoją wartość? – krzyknąłem w przestrzeń, dławiąc się powietrzem. Upadłem między tłum spacerujących cieni, a chmara przeleciała nade mną. Gdy uniosłem głowę, miałem wrażenie, że moja pani stoi w oddali między idącym tłumem i patrzy na mnie, ale kiedy się podniosłem, zdążyła już zniknąć.

– Nie zawsze sprawdzenie się przynosi pożądane konsekwencje. Twoja sytuacja na Wysypisku powinna ci to była uświadomić.

– Proszę cię, ja nie wytrzymam tu już dłużej ani chwili. Nie chcę się sprawdzać, chcę, żebyście mnie stąd zabrali. Gniję tu, umieram.

– Przetrwałeś, to najważniejsze. Dałeś radę tu przetrwać jako przedstawiciel tobie podobnych. Oni nie wiedzą, że mogłeś dać radę ty jako jedyny, jako najmocniej doświadczony przez życie i jako najbardziej trzymający się chorej nadziei, że egzystencja rządzi się racjonalnymi prawami.

Upadłem znowu. Nie miałem siły mówić. Wymiotowałem krwią na chodnik, spod którego wzyierał zielony mech na srebrnym piasku. Moje wymiociny cuchnęły padliną, w którą mogły się już zmienić moje wnętrzości. Zacząłem płakać.

– Błagam, zabierzcie mnie stąd. Co mogę zrobić, żebyście mnie stąd zabrali? Ile jeszcze muszę wytrzymać? Ile? Ile będą jeszcze trwać te badania? Czy jeśli się sprawdzę, w nagrodę zabierzecie mnie do miasta ludzi lub choćby do Wysypiska? Wierz mi, że przetrwałem aż tyle tylko z myślą o tym.

Leżałem w kałuży krwi i wymiocin, płakałem, aż oblażące mnie karaczany stały się nie do wytrzymania. Mdlący głód przełamał nudności i ruszyłem na czworaka w poszukiwaniu jedzenia.

Nie ma sytuacji bez wyjścia.

Zacząłem zjadać pełzające po ziemi karaluchy. Czułem, jak poruszają się w moim przełyku i żołądku, ale skoro zdolny byłem przewyciężyć choroby i wykorzystać je do wzmocnienia się, to wiedziałem, że im również dam radę. Nie mogłem czekać na ocalenie, musiałem sam się stąd wydostać. Doszedłem do brzegu miasta, gdzie zalewająca je woda stawała się już zbyt głęboka, by w niej brodzić. U kresu stalowego nieba widziałem nad linią wody cieniutką smugę świadczącą o tym, że może tam być ląd.

Gdyby był tam ląd i gdybym zdołał tam dopłynąć, to miałem szansę na ucieczkę. Nieważne, czy między ludzi, czy na Wysypisko, gdziekolwiek, gdzie była szansa na

przeżycie.

Patrząc w niebo przywoływałem wspomnienie Wysypiska.

Kiedyś obserwowanie nieba, po których latały samoloty naszych stwórców, inspirowało nas do budowania lotnisk – z nadzieją, że jeden z nich zdecyduje się wylądować. Chcieliśmy zaznać wszystkich wrażeń związanych z tym wydarzeniem, chcieliśmy ich słyszeć, obserwować, obcować z nimi, widzieć ich narzędzia i sprzęty, wyciągać wnioski i uczyć się, jak być takimi jak oni. Pragnęliśmy wypełnić kolejne miesiące dzieleniem się wrażeniami i rozmowami o nich. Takie wydarzenie wstrząsnęłoby każdą działającą istotą w naszym zepsutym mieście.

Wszedłem do wody i pokonałem słabość mięśni, by zatonać w pustce.

* * *

Zgodnie z zasadą humanitarnej minimalizacji strat na strefę skażoną wybuchem bomby biologicznej został wysłany tylko jeden surogat o niskim współczynniku przydatności społeczeństwu, według skali rządu Wysypiska. Surogat przetrwał w szkodliwym środowisku miesiąc, nie tracąc przy tym zmysłów, samodzielnie zdobywając pożywienie i odnajdując drogi ucieczki przed zmutowanymi owadami. Pozwala to na wyciągnięcie wniosków, że większość, jeśli nie wszystkie osobniki zamieszkujące Wysypisko, poradzi sobie w trudnych warunkach i można rozpocząć przesiedlenie kolonii na rzecz zwolnienia cennego terytorium. Po opublikowaniu wyniku eksperymentu projekt został przegłosowany i zaakceptowany przez Ruch Obrony Surogatów. Ekipa wysłana, by zorganizować przesiedlenie, nie musiała nawet używać broni, gdyż surogaci powitali ich defiladami na własnoręcznie wybudowanym lotnisku, okazując im niemal nabożną cześć. Prosimy przygotować się na oglądanie na żywo uwieńczenia akcji, transmisja rozpocznie się w ciągu kilku minut.

* * *

Spod wody patrzyłem w niebo, nie wierząc, że jeszcze uda mi się wypłynąć. Ciemność była chłodna, ale przytulna jak w snach mojej pani. Dookoła mnie niczym przezroczysty szal unosiła się jakaś fosforyzująca istota i oblekała mnie niespiesznie. Dawała poczucie bezpieczeństwa i wcale nie czułem potrzeby, by z niej uciekać. Było w niej światło i harmonijne dźwięki zgodne z ruchami wody, splatająca zmysły muzyka.

– To, co dobre, nie przychodzi z nieba. Nie da się zyskać czegokolwiek, grając według zasad, których się nie rozumie – mówiła moja pani.

– Z jakiegoś powodu pustki wewnątrz każdego z nas było zawsze więcej niż potrzeby poprawiania sytuacji, a pustkę trzeba zapełniać w sposób pasożytniczy. Z narzędzi do poprawiania sytuacji zostają tylko upór i nadzieja.

– Bez działania nadzieja przynosi tylko rozczarowanie; poparta uporem nadzieja może przynieść pełne uporu rozczarowanie. Ciebie twoja samolubna wiara wszystkich istot przekonanych o własnej bezwartościowości wpędziła w

megalomanię i kazała sądzić, że zesłanie cię tu to twoja próba, że musisz się wykazać i zostaniesz nagrodzony. – Fosforyzująca istota zacisnęła się wokół mnie i poczułem, jak ciepła siła wlewa mi się przez usta i nozdrza, a potem wypełnia płuca, dostarczając tlenu. Patrząc w górę, w dziennym świetle zobaczyłem ciemny kształt zarysowujący się na tle nieba. Natychmiast odbiłem się od dna i ruszyłem w tamtą stronę. – Jesteś naiwny, twoja potrzeba wykazania się sprowadzi śmierć na wszystkich, bo nikt inny z kolonii Wysypiska nie przedłożył doskonalenia się nad naśladowanie ludzi. Jak wszystkie ptaki–nieloty rzucasz się w przepaść, zamiast skonstruować skrzydła.

Urojenia rozmywały się w miarę, jak odzyskiwałem świadomość. Wynurzyłem się z wody, łapczywie chwytając powietrze. Krztusząc się i odzyskując swobodę ruchów, utrzymałem się na wodzie na tyle długo, by widzieć, jak tuż przy brzegu ląduje z wolna gigantyczny samolot.

Już zacząłem tracić wiarę, a oto nadchodził właśnie mój ratunek, moje zbawienie.

Anna Dominiczak

KOZETKA

*Kto ma oczy do patrzenia i uszy do słuchania,
ten przekona się, iż śmiertelnicy nie zdołają ukryć żadnego sekretu.*

Sigmund Freud

Zacząło się znów w połowie sierpnia, w pewne piękne słoneczne popołudnie, gdy wracałem samochodem z pracy. Nie myślałem o niczym nadzwyczajnym, prowadziłem po prostu auto, bez pośpiechu, słuchając piosenki Holly Golightly, a lekki powiew wiatru chłodził przyjemnie moje czoło. Jadąc do domu, przestawiałem się na inny, spokojniejszy tryb, tak jakbym zmieniając biegi w aucie, przestawiał też dźwigienki wewnątrz siebie.

Wtedy po jezdni przesunął się cień. Pomyślałem irracjonalnie, że musiał go rzucić ogromny, przelatujący nad samochodem ptak, ale cień pojawił się znowu i znowu. W regularnych odstępach czasu smuga szarości przecinała ulicę, po czym znikwała we wstecznym lusterku.

Za każdym razem, gdy zatapiałem się w tym krótkotrwałym mroku, ogarniało mnie wrażenie nurkowania w głębokiej, mętnej wodzie.

Szybko zorientowałem się, że cień rzucały wiatraki ustawione przy drodze, a dokładniej ich obracające się skrzydła. Uświadomienie sobie jednak tego faktu niczego nie zmieniło.

Strach przed pozornie zwyczajnym zjawiskiem zapowiadał powrót choroby.

Wróciłem do domu, wykonałem jeden telefon, wykąpałem się i zjadłem lekką kolację, a potem spakowałem do walizki najpotrzebniejsze rzeczy – ubrania, buty, trochę niezbędnych kosmetyków, kilka książek. Resztę wieczoru spędziłem na czytaniu.

Następnego dnia udałem się prosto do szefa, aby poinformować, że biorę urlop zdrowotny. Nie był tym zachwycony, jednak dobrze ukrył swoje prawdziwe myśli, gdy opowiadałem mu o wiatrakach.

– Oczywiście, rozumiem – powiedział. – Proszę do nas wrócić, kiedy upora się pan ze wszystkim.

Część współpracowników wyrażała współczucie z powodu mojego stanu i za szefem powtarzała życzenia owocnej terapii, część jednak odwracała się z dezaprobatą.

W głosach najmłodszych przebrzmiewała mieszanina zazdrości i podziwu. Popracują jeszcze dobrych parę lat na takie zaufanie przełożonego, które pozwoli im bezproblemowo otrzymać zwolnienie.

Nie chciałem się przed nimi popisywać, ale też nie miałem zamiaru ich pocieszać. Cień dosięgnął już mojego serca i gwałtownie je chłodził, dlatego choć żegnałem się

kulturalnie, nie traciłem więcej czasu, niż było to konieczne.

Zostawiłem samochód przed firmą i udałem się prosto na dworzec.

Przez pierwsze godziny podróży przebiegała spokojnie. Jedynie w niektórych przedziałach siedzieli pojedynczy pasażerowie, skoncentrowani na czytaniu magazynów lub oglądaniu widoków za oknem. Kołysałem się na swoim miejscu w bańce powietrza, bezpiecznej jak łono matki. Głowa opadała mi coraz niżej, posłuszna grawitacji, za nią pochylały się ramiona i tułów...

Przez sen poczułem, że pociąg przekroczył właśnie pewną granicę. Byłem już wystarczająco daleko od swojego mieszkania, pracy, rodziny, aby utracić wpływ, jaki na mnie wywierały. Naprężona maksymalnie linka pękła, a ja obudziłem się z wrażeniem nagłego luzu.

Tuż po tym wydarzeniu pociąg zatrzymał się na stacji miasteczka, które dobrze znałem i do przedziału wpadła grupka roześmianej, barwnie ubranej młodzieży. Żadne z nich na pewno nie skończyło jeszcze dwudziestu lat. Wiedziałem, dokąd jadą. Sprawiali wrażenie szczęśliwych dobrze rozpoznawalnym przeze mnie rodzajem szczęścia, malującym się zawsze na twarzach Krótkoterminowych. Była to sztuczna, natrętna wesołość, którą należało prezentować agresywnie wszystkim wkoło.

Jeśli istniało coś, czego mogłem im zazdrościć, to ich świeżość i naiwność. Ja nie miałem jej jako osiemnastolatek i może dlatego czasami myślałem, że nie przeżyłem dobrze swojej młodości.

W którymś momencie nowi towarzysze podróży zaczęli przyglądać mi się uważniej, tak jakby dopiero teraz zdali sobie sprawę, że jestem z „przeciwego obozu”. Spodziewałem się chichotów i niegroźnych prowokacji, tymczasem barwna grupka ucichła nagle i po chwili, w niezrozumiałym pośpiechu, opuściła przedział.

Może powinienem zadać sobie pytanie, co oznacza ta dziwna reakcja, jednak przyzwyczajony do kapryśnych zachowań Krótkoterminowych, wzruszyłem po prostu ramionami i zająłem się lekturą.

Kolejny raz zobaczyłem rozbawioną grupkę przez okno, gdy nastolatki wysiadały. Chłopcy poprawili plecaki, po czym wszyscy razem ruszyli gęsiego wąską dróżką, prowadzącą do ośrodka terapii. Miałem wrażenie, że przez moment do okna przylgnęła smuga koloru zostawionego w powietrzu przez nastolatków. Rozciągnęła się na moment jak barwny woal i zniknęła bez śladu.

* * *

Do budynku oddziału prowadziła akacyjowa aleja. Wyjątkowo wrażliwy na światło, wychwytywałem każdą jego najdrobniejszą zmianę. Im dłużej szedłem aleją, tym bardziej światło się mroczyło, mętniało, jak gdyby ktoś przykręcał lampkę naftową. W końcu blask ustalił się na znośnym poziomie, zatapiając wszystko wokół w przyjemnej, nieco nostalgicznej sepii.

Tęskniłem za tym miejscem i muzyką akacji, w których liściach delikatnie śpiewał wiatr.

Dwa regularne rzędy drzew otworzyły się wreszcie jak ramiona. Zobaczyłem

czekający na końcu alei dworek. Jego biel dawno już zetlała, ale tym bardziej emanował godnością starego człowieka, który wiele przeżył. Kolumny wspierające balkon stwarzały wrażenie stabilności. Z tyłu znajdowały się kolejne, połączone ze sobą budynki, tworzące razem zabytkowy pałacowy kompleks.

Z oddechem ulgi zagłębiłem się w przyjemny chłód holu. Na pierwszy rzut oka nic się tutaj nie zmieniło. Te same obrazy na ścianach, to samo ustawienie ławek, otwarte jak zawsze drzwi dyżurki, z której wychyliła się czujna pielęgniarka. Zza zamkniętych drzwi auli dobiegały stłumione dźwięki fortepianu.

– Pan Tomasz? – zapytała kobieta.

Miała okrągłą sylwetkę i warkocz zwinięty wokół głowy w elegancki obwarzanek. Nie pamiętałem jej, musiała zostać zatrudniona po moim ostatnim wyjściu.

Ukloniłem się.

– Ordynator czeka na pana.

Zapukała do drzwi na lewo od wejścia do holu, po czym otworzyła je i spojrzała zachęcająco. Kiedy wszedłem, zamknęła je za sobą bezgłośnie.

Ordynator podniósł się z za stołu wypełnionego ułożonymi w równe stosy papierami.

– Witamy serdecznie, panie Tomaszu.

Uścisnął moją dłoń, a drugą ręką poklepał mnie po ramieniu, niczym dawno niewidzianego przyjaciela. Ta poufalość z jego strony była czymś nowym. Poczulem się nieprzyjemnie zaskoczony. Do tej pory najbardziej ceniłem w Ordynatorze profesjonalny, nigdy nie porzucany dystans.

Wrócił na miejsce i położył dłonie równo na biurku. Przyglądaliśmy się sobie nawzajem przez pewien czas – on robił to z niezrozumiałym dla mnie zadowoleniem, ja z niepewnością. Był dużym mężczyzną o rozłożystych barkach, które niebezpiecznie wypychały dopasowaną marynarkę. Przemawiał silnym, nieco szorstkim głosem i tak też brzmiały zdania, które wypowiadał. Tę konsekwencję psuła jedynie niewielka brodawka na brodzie, do tego stopnia przypominająca kroplę kawy, że wielokrotnie musiałem powstrzymywać odruch jej wytarcia.

– Miło mi, że zdecydował się pan na nas.

– A na kogo innego? – wyraziłem zdziwienie.

Pytanie stało się impulsem, który dopomógł Ordynatorowi w zintegrowaniu wszystkich swoich części w spójny mechanizm, znany mi wcześniej. W jednej chwili mężczyznę otoczyła znajoma aura nieprzystępności, gęsta jak chmura.

– Pana pokój jest już przygotowany. Terapia rozpocznie się jutro o dziesiątej. W ostatnich latach wprowadziliśmy kilka zmian, dobrze więc, aby zapoznał się pan z regulaminem. O wszelkich problemach i niedogodnościach proszę informować pielęgniarki. Z terapeutami w miarę możliwości proszę kontaktować się jedynie podczas sesji.

Oficjalny ton Ordynatora uspokoił mnie.

– Oczywiście – kiwnąłem głową.

Czekała mnie jeszcze rozmowa z pielęgniarką i wykonanie kilku podstawowych badań, po czym byłem wolny na resztę dnia.

Zacząłem rekonesans. Chciałem nasycić się tym miejscem, doznać tego samego ukojenia, jakie stało się moim udziałem podczas każdego z poprzednich pobytów. Pacjenci wciąż przebywali na sesjach indywidualnych lub grupowych, mogłem więc spacerować korytarzami, nie będąc niepokojonym ciekawskimi spojrzeniami.

Pojawiały się oczywiście rozczarowania. Zmieniony kolor ścian, przeniesienie kącika herbacianego, usunięcie śmiesznego napisu z plakatu umieszczonego na korkowej tablicy.

Najbardziej zaskoczyło mnie jednak to, co zrobiono z popiersiem Freuda. Nie przepadałem nigdy za tą rzeźbą, wołałem proste przedstawienia Mistrza – szkice lub fotografie.

Popiersie znajdowało się pod ścianą w kącie holu, jak zawsze, ale teraz stał przed nim stolik z mnóstwem wysokich, płonących świeczek. W wysuniętej szufladzie dostrzegłem ich kilkadziesiąt, ułożonych w równy stos, czekających na zapalenie.

Zastanawiałem się przez pewien czas, co może oznaczać ten pomysł, ale z jakiegoś powodu moje myśli rozpraszały się i uciekały, zanim byłem w stanie ułożyć je w sensowną koncepcję.

„Poznaj samego siebie” – głosił napis umieszczony nad rzeźbą.

Im intensywniej próbowałem myśleć, tym większą czułem senność.

* * *

Pokój – ten sam, w którym spędziłem tyle turnusów terapeutycznych – był jednym z przytulniejszych pokojów na oddziale. Niewielki, funkcjonalny, wyposażony w wysoką szafę, wygodne łóżko, półkę na książki i biurko. Z balkonem wychodzącym na park i domek terapeutów. Wyjrzałem przez balkonowe okno i udało mi się dostrzec kilkoro z nich. Stali w równym rzędzie, z daleka nie do odróżnienia, w dobrze skrojonych garniturach i kostiumach, pozbawieni płci i cech indywidualnych.

Zastanowiłem się, czy w tym roku otrzymam tego samego terapeutę, który zajmował się mną trzy lata temu. Nie byłem też pewien, czy poprzedni terapeuta był tym samym, który leczył mnie podczas mojego pierwszego i drugiego pobytu na oddziale.

Przez park przebiegł cień, długi i nieregularny, jak kształt ptasiego skrzydła. W tym samym momencie ktoś zapukał do drzwi tak gwałtownie, że podskoczyłem.

– Tomasz! Jesteś tam, stary kumplu?! – usłyszałem zza drzwi.

Rozpoznałem głos dawnego dobrego znajomego, pacjenta przebywającego na oddziale od lat.

– Werner!

Otworzyłem drzwi. Rzeczywiście. W mroku chłodnego holu stał niewielkich rozmiarów człowieczek, wyglądający, jakby najpierw skurczył się w praniu, a później długo powiewał rozciągnięty na sznurze, aż zupełnie pomarszczył się i spłowił. Werner był emerytowanym pacjentem z dożywotnią możliwością przebywania na oddziale. Czasami śmiałem się, że sprawował rolę kogoś w rodzaju szkolnego woźnego, ponieważ niejednokrotnie interweniował, gdy któryś z pacjentów burzył

spokój.

Jego pozostałe funkcje wykraczały daleko poza utrzymywanie porządku. Opiekował się nowymi pacjentami, wdrażając ich do tutejszego życia, a także służąc pomocą w rozumieniu psychoanalitycznego sposobu myślenia. O Freudzie i psychoanalizie wiedział wszystko.

Kiedy wszedł do pokoju, zdziwiła mnie zmiana, jak zaszła w jego wyglądzie w trakcie ostatnich trzech lat. Bardzo się postarzał i – o ile w ogóle było to możliwe – wychudł. Jego oczy nie straciły jednak filuternego błysku, z jakim wpatrywał się dawniej w rozmówcę.

– Miło cię widzieć, stary druhu, naprawdę – powiedział.

Nie wiem dlaczego, ale ścisnęło mi się serce, gdy patrzyłem na jego postarzałą twarz. Była w Wernerze dziwna determinacja, tak jakby na coś się szykował. Poczulem niejasną obawę. W przeszłości przeprowadziłem z nim wiele interesujących rozmów. W chwilach wątpliwości służył mi zawsze pomocą i radził się nie poddawać. Nie chciałem, aby coś mu się stało.

Z niewielkiej kasetki zawieszanej na ścianie wyjął pięknie oprawiony „Wstęp do psychoanalizy” i przekartkował. W każdym pokoju znajdował się egzemplarz książki Freuda.

Usiadł na łóżku.

– *Tłumaczyłem wam już wówczas, że to dopytywanie się służy nam za wzór przy badaniu psychoanalitycznym, a teraz zrozumiecie, że psychoanaliza posługuje się techniką, która stara się wydostać – o ile to tylko możliwe – rozwiązanie zagadki. I tak winien nam jest sam śniący wyjaśnienie swego marzenia sennego.*

Parę razy, jak echo powtórzyły się w mojej głowie słowa: *rozwiązanie zagadki.*

Werner zamknął książkę i westchnął.

– I jak ci się podoba oddział po tych kilku latach? – zapytał, przyglądając mi się uważnie.

– Cieszę się, że wróciłem – odpowiedziałem szczerze.

– A zmiany?... Zauważyłeś zmiany? Czy niektórzy zachowują się inaczej niż kiedyś? I czy widziałeś ołtarz?

Pomyślałem o dziwnym zachowaniu Ordynatora i ołtarzyku w holu. Wyraz mojej twarzy nie umknął Wernerowi.

– Taak, zauważyłeś – mruknął. – Przyjemnie cię widzieć po długim czasie, Tomaszu, ale muszę cię ostrzec, że oddział nie jest już tym samym miejscem, co kiedyś. Trwa tu walka o pacjenta.

– Walka?

– Ano tak. Ostatnio coraz więcej ludzi wybiera terapię krótkoterminową. Także wielu naszych dawnych kolegów, zawiedzionych brakiem poprawy, postanowiło spróbować tej metody. W odpowiedzi na tę zdradę psychoanalitycy stali się niezwykle ortodoksyjni. Jeszcze niedawno istniały takie nazwiska jak Klein czy Bion, a teraz już tylko Freud, w dodatku stawia się mu ołtarzyki i niemal modli do niego na wieczornych mszach.

– Kto, pacjenci czy terapeuci? – zapytałem wstrząśnięty.
– I jedni, i drudzy. Stara gwardia naszego oddziału wykruszyła się, zostałem tylko ja i Marta. W to miejsce zjawili się jacyś fanatycy, którzy szukają w naukach Freuda „wyższej prawdy”, ja tam nie wiem zresztą, co oni chcą znaleźć, ale zachowują się jak nawiedzeni. A terapeuci przymykają oko na wieczorne praktyki. Jeśli pójdziesz do auli o dwudziestą pierwszą, to zobaczysz.

– O dwudziestą pierwszą jest relaksacja – powiedziałem mechanicznie.
– Właśnie, że nie! O dwudziestą pierwszą jest czytanie Freuda.
– I naprawdę terapeuci nie reagują? – próbowałem przypomnieć sobie nazwiska trzeźwo myślących, twardo stąpających po ziemi analityków, prowadzących grupę trzy lata temu i jeszcze wcześniej, ale w głowie znów miałem mgłę.

Zerknąłem przez okno na domek terapeutów. Rząd ciemnych marynarek zniknął. Werner potrząsnął głową.

– Według mnie oni przygotowują się do wojny.
Zaskoczony tymi wszystkimi rewelacjami, poczułem, jakby kołysała się pod mną podłoga. Lada chwila usunie się spod nóg i spadnę w przepaść.

Usiadłem na krześle.
Oddział był oazą, w której udawało mi się odnaleźć spokój. Zbierałem siły, uczyłem się siebie, po czym wracałem odnowiony, z zapasem energii do działania. Jeśli jakaś zaraza wkradła się do tego miejsca i odmieniła je, to odebrała mi tym samym ostatnie schronienie, jedyną szansę na uporanie się z cieniami.

Werner patrzył współczująco.
– Woląłem cię przygotować. Właściwie czekałem już tylko na twoje przybycie. Posłuchaj, nie rozpakowuj walizki, odejdz, dopóki masz jeszcze dobre wspomnienia.
– Jak to? – zawołałem. – Mam odejść?
– Tak – powiedział twardo. – Razem ze mną.

* * *

Oddział bez Wenera! Niemożliwe. Ten niewysoki starszy człowiek był nie mniej integralną częścią miejsca niż popiersie Freuda. Był sercem oddziału. Nie potrafiłem odnaleźć w sobie zgody na jego zniknięcie, zwłaszcza w podobnych okolicznościach. Przecież porzuciłby w ten sposób metodę, w którą wierzył przez większość swojego życia, przekreślił lata spędzone na jej zgłębianiu, zerwał więzi z ludźmi, którzy leczyli go latami!

Powiedziałem mu to.
– Od miesięcy obserwuję rozpad dawnego oddziału. Ordynator i terapeuci porzucają dawne zasady etyczne – stwierdził. – Wypaczają słowa Freuda, pozwalając też na to pacjentom. Nie pochwalam tych nowych pomysłów.

Kiedy w rozterce przyglądałem się surowej minie Wenera, zmarszczki na jego czole powoli wygładzały się, rysy łagodniały.

– Wiem, że to musi być dla ciebie bardzo trudne. Zostań zatem kilka dni, poobserwuj. A w piątek wieczorem powiesz mi, na co się zdecydowałaś. Na razie chodź, zapalmy jak za dawnych czasów. Możemy spotykać się codziennie wieczorem

na palenie fajki, jak kiedyś. I w tym czasie nie będziemy rozmawiać o oddziale. Dopiero w piątek. Zgadzasz się?

Obserwowałem Wenera, gdy nabijał swoją fajkę. Choć wyglądała niepozornie, wiedziałem, że pochodzi z wytwórni z tradycjami i służy mojemu przyjacielowi od wielu lat.

Usiedliśmy na dwóch leżakach ustawionych na balkonie.

Kończyło się lato. Kolory przyrody dawno osiągnęły maksymalne nasycenie i teraz z dnia na dzień coraz bardziej traciły żywotność. Zdawało mi się, że dym, który wydmuchujemy ma niepokojący ciężar. Tyle razy paliliśmy na tym samym balkonie i celebrowaliśmy wspólne chwile, stanowiące przypiecztowanie długiego, owocnego dnia. Nasza dzisiejsza rozmowa sprawiała mi wciąż ból, tak jakby zdania wypowiedziane przez Wenera zmaterializowały się w powietrzu w postaci mikroskopijnych ostrosłupów. Raniły mnie przy każdym ruchu. Dym z fajek nie był w stanie wygładzić ostrych brzegów.

Oczywiście nie mogłem odejść bez sprawdzenia, jak bardzo zmienił się oddział. Znałem dobrze Wenera i wierzyłem we wszystko, co powiedział, mimo to mógł przecież pewne sprawy odebrać intensywniej, niż należało. Przyzwyczajony przez lata do ustalonej struktury, zapewne miał trudność z dostosowaniem się do nowości. Może mnie przyjdzie to łatwiej.

Werner zrobił ręką ruch, jak gdyby odganiał brzęczącą muchę. Przez szczelinę w otaczającej nas ciszy sączył się osobliwy szmer, przypominający szum rzeki podziemnej.

Potrząsnąłem głową i dźwięk zamilkł.

* * *

Pierwszy dzień był chwiejny i nieudany, jak próba dotknięcia własnego odbicia w wodzie. Ludzi, których znałem, została zaledwie garstka, a obcowanie z nimi przypominało kontakt z echemi dawnych osób. Pozornie wydawali się niezmienni, mówili podobnie i śmiali się podobnie, ale napotykałem w nich obecność czegoś nowego. Jakby w dobrze znanej piosence pojawiały się fałszywe tony. Nie umiem lepiej ująć tej zmiany. Była na tyle nieznaczna, że momentami myślałem, iż to rozmowa z Wernerem nastroiła mnie na wychwytywanie wszelkich subtelnych przesunięć.

Siedzieliśmy w kąciku herbacianym, gotując cały czas wodę i po kolei zalewając nasze herbaty i kawy. Pacjenci opowiadali o tym, co wydarzyło się u nich w trakcie ostatnich lat, a ja wspominałem tych, którzy wyszli z oddziału. Chciałem zapytać o terapeutów, ale wciąż nie mogłem przypomnieć sobie imion i nazwisk.

Usiłowałem obudzić zapamiętane z przeszłości uczucie bezpieczeństwa i głębokiego zaufania. Wtedy przemierzałem korytarze oddziału tak, jak gdybym spacerował po należącym do mnie domu, pozdrawiałem mijanych pacjentów jak przyjaciół, siadałem z nimi do posiłków niczym z członkami rodziny. Każdy z nas miał swoje niepowtarzalne miejsce w tej strukturze i pełnił ważną funkcję.

Ileokroć wchodziłem w obręb murów, oddzielających nasz mały terapeutyczny

świat od wszystkiego, co na zewnątrz, ujawniały się moje najlepsze cechy. Wracając, traciłem do nich dostęp.

Gdy tak siedzieliśmy w kąciaku herbacianym, zobaczyłem na końcu korytarza znajomą sylwetkę.

Wstałem szybko i pobiegłem w tamtą stronę. Marta. O ile Werner był sercem miejsca, o tyle Marta była jego duchem. Niezwykle szczupła, o bladej skórze, przez którą prześwitywały błękitne żyłki, spacerowała całymi dniami po korytarzach oddziału, zbyt nieśmiała i nerwowa, żeby przyłączyć się na dłużej do którejś z grupiek. Najpewniej to właśnie ona dała znać Wernerowi o moim powrocie. Nie do dostrzeżenia, kiedy jej na tym zależało, znała wszystkie tajemnice pacjentów, a i sporo dotyczących intymnego życia terapeutów. Obserwowała uważnie wszystkich i wszystko.

– Marta! – zawołałem, ale gdy dobiegłem do końca korytarza, dziewczyny nigdzie już nie było.

* * *

O dwudziestej pierwszej pacjenci zebrali się w auli. Zamiast ułożyć się na matach i wysłuchać zwyczajowej formułki relaksacyjnej (*Moja prawa ręka staje się ciężka, coraz cięższa, jest tak ciężka, że nie mogę jej unieść...*), usiedli w kółko, a jeden z nich, mężczyzna około pięćdziesiątki, stanął pośrodku ze znajomą książką w dłoniach. Obserwująca nas pielęgniarka ulokowała się na taborecie stojącym przy fortepianie. Ktoś włączył płytę z nagraniem szumu fal.

– Czytanie z „Dzieł Zebranych” Freuda, Tom Czwarty – zaczął mężczyzna.

Miał półdługie, posiwiałe włosy, niegdyś zapewne czarne. Zmarszczki na jego twarzy wyglądały jak wyryte dłutem, schludnie i elegancko; duże, szare oczy przypominały oczy dziecka.

Ku mojemu zdziwieniu mężczyzna otworzył książkę na wycucie i przeczytał przypadkowy fragment.

– *Dla ludzi pierwotnych, podobnie jak dzisiejszych dzikich, a nawet dla naszych dzieci, imię nie jest czymś obojętnym i umownym, jak to się nam wydaje – przeciwnie, jest czymś bardzo ważnym i istotnym. Imię człowieka jest główną składową jego osoby i, być może, częścią jego duszy.*

Zamilkł i rozejrzał się wkoło. Nie miałem pojęcia, na co czeka, ale zauważyłem, że w trakcie czytania wiele z osób obecnych na sali zamknęło oczy, dokładnie jak podczas relaksacji i oddało się marzeniom.

– Imię wybrał dla mnie ojciec – powiedział po chwili. – Był niesamowicie dumny z tego, że urodził mu się syn. Co innego matka. Ona marzyła o dziewczynce i wiele razy mówiła o tym koleżankom, myśląc, że nie słyszę. Któregoś dnia przyszedłem do niej z nożyczkami i powiedziałem: „Mamo, jeśli tak bardzo chcesz córeczkę, to utnę sobie pitka”.

W grupie rozległy się współczujące głosy, a mężczyzna usiadł na swoim miejscu, zamyślony. Ktoś poklepał go po ramieniu.

Po chwili z grupki podniosła się młoda, szczupła dziewczyna o nieco zgarbionej

sylwetce. Ona też trzymała w dłoni jedną z książek Freuda. Podobnie jak mężczyzna, otworzyła ją na przypadkowo wybranej stronie.

– Tom Siódmy. Histeria i Lęk – Odczekała kilka sekund. – *W sytuacji, gdy miałem do czynienia ze stosunkami seksualnymi pomiędzy dwojgiem dzieci, kilka razy udało mi się udowodnić, iż chłopczyk – który również tutaj odgrywał rolę partnera agresywnego – wcześniej został uwiedziony przez osobę dorosłą płci żeńskiej i że potem, pod presją swego przedwcześnie obudzonego libido i w wyniku natręctwa wspomnienia, próbował powtórzyć w stosunku do dziewczynki te same praktyki, jakich nauczył się od dorosłych, nie podejmując żadnej samodzielnej modyfikacji aktywności seksualnej.*

Im dłużej czytała tym bardziej jej głos nasycał się złością.

– Uwiedziony chłopczyk! – syknęła na koniec, zatrzasnąwszy książkę. – Wszyscy chłopcy z mojej klasy kochali się w innych dziewczynkach, a na mnie nawet nie spojrzeli. Czułam się taka odrażona i do niczego. Moja mama mówiła: „Nie przejmuj się, jesteś mądra i daleko zajdziesz”. I co? Nigdzie nie zaszłam, a chłopcy nadal mnie nie lubią!

Usiadła na podłodze po turecku i założyła ręce na piersiach.

– Szczerze i odważnie! – zawołał ktoś z grupy. – Tak trzymać!

Teraz miejsce dziewczyny zajęła miła, starsza pani. Otworzyła książkę „Sztuki plastyczne i literatura”, zerknęła na tekst i zarumieniła się.

– *Genitalia* – przeczytała bardzo cicho, a po grupie przetoczyła się krótka fala śmiechu. Starsza pani zmarszczyła brwi. – Jeśli macie tak reagować, to nic nie przeczytam.

– Czytaj, czytaj! – rozległo się dokoła. – Chcemy wiedzieć, co z genitaliami.

– *Genitalia* – zaczęła znów, tym razem nieco głośniej – *już od bardzo wielu pokoleń stanowią dla nas pudenda, są przedmiotem wstydu, jeśli zaś wyparcie seksualne posunęło się dostatecznie daleko, są one wręcz przedmiotem odrazy...* – Westchnęła głęboko. – Nie, to chyba nieodpowiedni fragment.

– Nie ma nieodpowiednich fragmentów – zaoponował długowłosy mężczyzna. – Ważne są twoje skojarzenia. Popuść wodze fantazji, zastanów się, co widzisz. Co Freud chce ci przekazać.

Zdumiałem się. Co Freud chce przekazać? Rozejrzałem się wkoło niedowierzająco, ale twarze pacjentów były w tym momencie poważne, skupione. Tak jakby faktycznie wchodzili w tym momencie w kontakt z duchem.

Moją uwagę zwróciło nagranie stanowiące podkład muzyczny pod całą tę hecę. Czy to złudzenie, czy przez szum fal usiłował przebić się ludzki głos?

– Naprawdę nie wiem – staruszka rozłożyła ręce.

– Czy widzisz jakiś obraz? – zachęcali ją członkowie grupy. – Co ci przychodzi na myśl?

Kobieta westchnęła i wyszeptała kilka słów.

– Co takiego? – nie dosłyszeli pacjenci.

– Szopka na narzędzia stojąca obok mojego starego domu. – powtórzyła głośniej.

– Co ona powiedziała?

- Coś o szopce na narzędzia.
- O szopce na narzędzia?
- To bardzo ciekawe!
- Widzisz coś jeszcze? – dopytywał siwowłosy mężczyzna, pełniący najwyraźniej funkcję pseudo–terapeuty.
- Nie – powiedziała starsza pani jakby ze wstydem. – Tylko tę szopkę.
- Wiesz, to we mnie rodzi taką fantazję – odezwała się energiczna, zadbana kobieta po czterdziestce. – Fragment, który przeczytałaś, był o wyparciu i ty najwyraźniej tak wypierasz swoje erotyczne impulsy... Widać po tym, jak się zmieszałaś, mówiąc o genitaliach...

Na policzki starszej pani znów wystąpił rumieniec.

– Ja mam podobną fantazję! – wtrąciła się dziewczyna, która przeczytała wcześniej fragment o uwiedzionym chłopczyku. – Być może odczuwasz nieświadomą odrazę.

– Ale jest nadzieja w twoim skojarzeniu, Haniu – długowłosy znów przejął pałeczkę. – Ta szopka na narzędzia, jak myślisz, co symbolizuje?

– Nie wiem... Co może symbolizować?

– Zobacz, w tej szopce stojącej obok starego domu znajdują się narzędzia potrzebne do otwarcia tego, co zamknięte. Być może faktycznie zamknęłaś gdzieś swoje erotyczne impulsy, tak głęboko, że ich istnienie nie dociera do twojej świadomości. Mimo to cały czas dysponujesz narzędziami, które mogą ci pomóc dostać się do tego miejsca. Ta szopka na narzędzia to symboliczne przedstawienie twoich umiejętności, zdolności intelektualnych, silnego ego. Jesteś w stanie odblokować zablokowane popędy i wykorzystać je... choćby do działalności artystycznej. Zobacz, nie na darmo wzięłaś dziś ze sobą tom dziesiąty dzieł zebranych: „Sztuki Plastyczne i Literatura”.

Starsza pani wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w mężczyznę.

– Tak, Szymonie – powiedziała cichutko. – Kiedyś pięknie malowałam.

– Widzisz? – ucieszył się długowłosy. – Wciąż jeszcze możesz to robić. Narzędzia są w zasięgu ręki.

Starsza pani usiadła na swoim miejscu z wyrazem tęsknoty i rozmarzenia na twarzy.

Chyba śnię – myślałem. – Co tu się dzieje?

Głos zabrał otyły mężczyzna w średnim wieku.

– *W późniejszej literaturze hebrajskiej jest bardzo rozpowszechnione wyobrażenie kobiety jako domu, gdzie drzwi zastępują otwór płciowy.*

Potał ręką podbródek i zapatrzył się w sufit.

– Łowienie ryb – zaczął, a pacjenci popatrzyli po sobie skonfundowani. – Trzciny przy brzegu. Łódka. Żona wściekła, zazdrosna o moją pasję. Spławiki w różnych kolorach i kształtach. Spławiki wyczynowe firmy Vimba. A ona mówi: „Wyczynowy to ty nigdy nie będziesz! Ciebie nawet ryba nie bierze!”.

Początkowe oznaki zdumienia pośród pacjentów zmieniły się w pełne wyrozumiałości pomruki.

– Dobrze, wyrzuc z siebie wszystko! – zachęcił ktoś.
– Non stop to samo, jak kołowrotek wędkarski, ciągle trzaskanie dziobem! – wrzasnął mężczyzna. – Mówi: „Znowu idziesz na te cholerne ryby?”. I wiecie co?! Freud mi świadkiem, że chętniej pocałowałbym kielbą!

Część pacjentów dopingowała mężczyznę dziarskimi okrzykami, część, lekko przestraszona tym wybuchem emocji, spoglądała z nadzieją w stronę Szymona.

– I jeśli drzwi do domu to otwór płciowy mojej żony, to ja wołałbym skorzystać z każdych innych drzwi! Bez znaczenia, czy będą prowadzić do pałacyku, czy zwykłej altany ogrodowej. Bo czasem mam wrażenie, że żona otwiera te swoje drzwi gdzie indziej, dla kogoś innego i pewnie całkiem chętnie i często, aż skrzypi, aż furczy, aż wióry lecą, aż... – zapędzał się właśnie mężczyzna, gdy Szymon postanowił wreszcie zainterweniować.

– Grzegorz, pamiętaj, że mówimy o symbolu.

– No bo... ja naprawdę nie chcę myśleć o otworze płciowym żony za każdym razem, kiedy wchodzę do domu – tłumaczył się Grzegorz, przejęty.

– Pewnie ma tam piskorza! – szepnęła do swojej sąsiadki pacjentka, która wcześniej sugerowała starszej pani wypieranie erotycznych impulsów.

Niefortunnie, uwaga przypadła akurat na moment ciszy. Rozległy się pojedyncze parsknięcia.

– Nie oceniamy! – wtrącił natychmiast Szymon.

Grzegorz wyprostował się, posyłając kobiecie urażone spojrzenie.

– Koleżanka nie zna się na rybach. Piskorze mierzą około trzydziestu centymetrów!

Szymon pokręcił głową.

– Nie oceniamy i nie spieramy się. Wolne skojarzenia, kochani, uświadamianie nieuświadomionego. Po to tutaj jesteśmy. Iwono, czuję, że chciałabyś być następna.

Niesforna pacjentka sięgnęła po „Sztuki plastyczne i literaturę” i podniosła się skwapliwie. Ze swoimi dynamicznymi ruchami i okularami w eleganckich oprawkach przypominała mi przedstawicielkę handlową.

Otworzyła książkę i zerknęła między karty.

Zmarszczyła brwi.

– *Psychopatyczne osoby na scenie* – powiedziała, a kilka osób zachichotało. – Mogę jeszcze raz? Trafiłam tylko na tytuł artykułu.

Szymon pokręcił przecząco głową.

– Snuj fantazje wokół tego fragmentu.

– Ale jestem przekonana, że omsknął mi się palec!

– A może – wtrąciła starsza pani z uroczym uśmiechem – wypierasz po prostu swoje erotyczne impulsy?

Otrzymała mordercze spojrzenie.

– Widzieliście ten wyraz oczu? – zawołał Grzegorz. – Coś w tym jest!

– Cicho! Pozwólcie mówić Iwonie...

– W takiej atmosferze nie będę snuć żadnych fantazji! – oznajmiła kobieta ku rozczarowaniu wielu pacjentów i wróciła na miejsce.

Szymon wstał.

– Słuchajcie, czy nie jesteśmy tutaj, żeby pomagać sobie nawzajem w rozszyfrowywaniu przekazów z nieświadomości? Wspierać się w dążeniu ku prawdzie?

Pacjenci popatrzyli po sobie, zawstydzeni.

– Ciekawie obrazuje tę sytuację przywołany przez Grzegorza obraz spławików. Zobaczcie, spławik sygnalizuje na powierzchni, że pod wodą coś się dzieje. Ile razy przegapiamy drgania naszych wewnętrznych spławików? Czy nie widzicie, jak teraz szaleją, podskakują i zanurzają się, żeby zwrócić waszą uwagę?

Część zgromadzonych wczuła się w sygnały wysyłane przez wewnętrzne spławiki.

– Iwono, więcej wiary!

Kobieta spuściła wzrok.

Przez chwilę nikt się nie odezwał.

– Dajcie książkę Tomaszowi! – zawołał ktoś wreszcie, a pozostali natychmiast podchwycili pomysł.

Próbowałem grzecznie odmówić, ale już ktoś zdążył wcisnąć mi w rękę „Wstęp do psychoanalizy”.

Cóż miałem robić. Postanowiłem podejść do tego pomysłu jak do zabawy.

Otworzyłem „Wstęp” i wybrałem losowo fragment.

Tłumaczyłem wam już wówczas, że to dopytywanie się służy nam za wzór przy badaniu psychoanalitycznym...

Zamrugalem. Naprawdę? Z setek możliwych zdań trafiłem właśnie na to, które wybrał Werner?

– Na głos, na głos! – zachęcili mnie pacjenci.

– *...a teraz zrozumiecie, że psychoanaliza posługuje się techniką, która stara się wydostać – o ile to tylko możliwe – rozwiązanie zagadki –* przeczytałem na głos.

Nie wiedzieć czemu pomyślałem o domku terapeutów.

Pacjenci czekali, skupieni i poważni. Mogli tak czekać przez całą noc.

– To głupota. – Zamknąłem książkę z trzaskiem.

Pomruki zawodu, chyba też niezadowolenia.

– No spróbuj! Jakiegokolwiek skojarzenie, no dalej!

– To tylko opór, zawalc z nim.

Zignorowałem nawoływania.

Wreszcie Szymon uciszył pacjentów.

– Tomasz jeszcze nie przywykł do nowej metody, dajcie mu trochę więcej czasu.

Do niczego nie zmuszał, a jednocześnie miałem wrażenie, jakby w myślach dokonał wstępnego oszacowania mojej osoby, które nie wypadło korzystnie.

Jeszcze kilka osób przeczytało fragmenty z dzieł Freuda, a reszta grupy, zwłaszcza długowłosa, pomagała im odczytywać ukryte w losowo wybranych kawałkach tekstu symbole.

Na koniec pacjenci przestali rozmawiać i siedzieli nieruchomo, wsłuchując się w nagranie szumu fal. Zrobiłem to samo, próbując się zrelaksować, ale kolejny raz do moich uszu dotarł niespodziewany szept. Nie byłem teraz pewien, czy pochodzi z

plyty. Otworzyłem oczy i przyjrzałem się twarzom pacjentów. Nieruchome i poważne, przypominały maski.

Szept nabierał mocy. Zważyłem, czy aby na pewno dźwięk, który wziąłem za szum fal, był odgłosem natury.

W myślach zacząłem powtarzać zapamiętane przed laty relaksacyjne sugestie, tworząc tym samym ochronną tarczę przed wzbierającym szeptem. W ten sposób dotrwałem do końca spotkania.

* * *

Gdy pacjenci tłoczyli się przy drzwiach auli, długowłosego podszedł do mnie.

– Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać – odezwał się i uśmiechnął szeroko, odsłaniając nienaturalnie białe i równe zęby. – A przecież pan tutaj już kolejny raz. Wiem od naszego starego kolegi Wenera.

– Tak, przyjechałem tutaj po raz czwarty. Dziwi mnie, że wcześniej pana nie spotkałem.

– Mijaliśmy się najwyraźniej. Oddział jest dla mnie niczym drugi dom.

Jego swobodne zachowanie rzeczywiście wskazywało na zadomowienie. Mimo wszystko jakoś trudno było mi uwierzyć, że nigdy nie słyszałem o nim od innych pacjentów. Po oddziale zawsze krążyły opowieści o co barwniejszych postaciach, a Szymon z pewnością do takich należał.

– I jak znajduje pan zmianę? – zapytał. – Tak mi się wydawało, że wieczorne relaksacje nie przynoszą nikomu wielkiego pożytku. Wspólne czytanie Freuda to mój projekt. Zapropnowałem terapeutom i zrobiliśmy eksperyment. Przyjęło się bardzo dobrze.

– Interesujący koncept – powiedziałem ostrożnie. – Ale nie sądzi pan...

– Szymon.

– Nie sądzisz, że mocno kontrowersyjny? Pozwalacie sobie tutaj na daleko idące interpretacje.

Szymon rozłożył szeroko ręce.

– A czy nie to samo dzieje się codziennie w kąciu herbacianym? Albo w palarni? Pacjenci zawsze będą używali wiedzy, której zaledwie liznęli, do interpretowania tego czy tamtego. Lepiej niech się to dzieje w bezpiecznych ramach.

– Powiedziałaś też coś takiego... Zaraz, zaraz... – próbowałem sobie przypomnieć, co mnie tak bardzo zaniepokoiło w trakcie czytania. Moje myśli znów przypominały słabo zorganizowany rój pszczół. – Wiem! *Co Freud chce nam przekazać...* To trochę... nienaukowe podejście, nie uważasz?

– Ach! – Długowłosego machnął ręką. – Przecież we wszystkich swoich tekstach Freud zwraca się do czytelnika, czyż nie? Dlatego pozwoliłem sobie użyć takich słów.

– To pachnie trochę... – zacząłem, ale Szymon mi przerwał.

– Wiesz co, to normalne, że masz różne wątpliwości. Wszyscy mamy. Może opowiedz o tym na terapii, co? Dzisiaj już zbyt późna pora na dyskusje.

Uśmiechnął się jeszcze raz i ruszył wraz z ostatnimi pacjentami do drzwi.

Kręciło mi się w głowie. Ołtarzyk Freuda, kordialność Ordynatora, wieczorne czytanie i pacjent pełniący rolę terapeuty – wszystko to wydawało się bardzo nie w porządku, ale im bardziej próbowałem dojść dlaczego, tym większa ogarniała mnie senność.

Wróciłem do pokoju i wyszedłem na balkon; po chwili dołączył do mnie Werner ze swoją fajką. Wydmuchując w niebo dym, milczeliśmy, każdy pograżony we własnych myślach. Tak jak zapowiedział, Werner o nic mnie nie pytał, a i ja nie chciałem jeszcze dzielić się swoimi spostrzeżeniami, niepewny, czy mogę ufać sobie samemu. Im dłużej tak siedzieliśmy, przyglądając się liściom drzew, tym bardziej się uspokajałem. W pewnej chwili zobaczyłem Szymona idącego ścieżką przez park prosto do domku terapeutów. Spojrzałem na mojego towarzysza, a on zerknął na mnie, nie powiedzieliśmy jednak ani słowa. Byłem zmęczony i ociężały. *Rozwiązanie zagadki – chodziło mi po głowie. Technika, która stara się wydobyć rozwiązanie zagadki. Szopka na narzędzia.*

Rozstaliśmy się z Wernerem około dwudziestej drugiej. Położyłem się i zasnąłem niemal natychmiast. Sen pozbawiony był obrazów. Powtarzał się w nim monotony, niezrozumiały szept. Co jakiś czas wybudzałem się w głębokiej ciszy, a potem znów zanurzałem w wody dźwięków.

* * *

Kiedy analityk usiadł w fotelu, dzielące nas światło lampki ukryło jego twarz. Wierciłem się przez pewien czas na miejscu, usiłując znaleźć pozycję, która pozwoliłaby mi lepiej terapeutę widzieć, w końcu jednak dałem za wygraną.

Na początku mówiłem o drobiazgach. O rozmowie z szefem, podróży pociągiem i Krótkoterminowych. Później przeszedłem do tematów bardziej niepokojących – ołtarzyka Freuda, spotkania z Wernerem i wieczornego czytania.

– Oddział zmienił się tak bardzo... Nie wiem, czy będę jeszcze w stanie się tutaj odnaleźć.

– Mam wrażenie, że temat zmian na oddziale jest tematem zastępczym – usłyszałem zza lampy. – Może chodzi o inne zmiany. Na przykład te, które zaszły w panu.

Zamknąłem oczy. To, co mnie uwierało, było wtedy lepiej widoczne.

– Przed rozpoczęciem studiów postanowiłem, że będę zawierał tylko prawdziwe przyjaźnie z naprawdę wartościowymi osobami. Przez kolejne dziesięć lat z nikim się nie zaprzyjaźniłem i w nikim nie zakochałem. Właściwi ludzie nie pojawili się, a może to ja nie potrafiłem ich dostrzec. Nie jest tak, że pozostałem zupełnie sam, mam z kim iść na piwo, mogę zawsze znaleźć dziewczynę do łóżka... ale czegoś wciąż mi brak. Skończyłem trzydzieści lat i zdałem sobie sprawę, że nie sprawdziło się nic, co wyobrażałem sobie na swój temat jako dzieciak. To znaczy, nie miałem dokładnie sprecyzowanych planów, gdzie będę pracował i kogo pokocham, ale w głębi serca tworzyłem jakiś obraz przyszłego siebie i to był ktoś bardziej doświadczony, z sukcesami, otoczony powszechną sympatią i szacunkiem. Ktoś, kto potrafi cieszyć się życiem i tą radością zarażać innych. Tymczasem nie mam wielkiego wpływu na

innych ludzi i właściwie nie osiągnąłem niczego, o czym warto mówić. Mam pracę, mieszkanie na kredyt i trochę znajomych, którzy martwią się o mnie, gdy długo nie dzwonię, to wszystko. Na nikim wyjątkowo mi nie zależy. Podczas pobytów tutaj poznałem przyczyny swojego lenistwa, wydaje mi się, że wiem dużo o sobie, ta wiedza jednak nie pomaga mi niczego zmienić. Przeciwnie, nie lubię siebie. Im bardziej siebie poznaję, tym bardziej siebie nie lubię. Czy jest na to jakaś rada?

Odczekałem chwilę. Ponieważ jednak terapeuta milczał, ukryty za postrzępioną kulą światła, mówiłem dalej:

– Trzydzieści lat. To jeszcze nie jest wiek ostatecznych podsumowań, ale wiem, że dokonałem w życiu pewnych złych wyborów, których konsekwencji nie mogę cofnąć. Za bardzo wkręciłem się w pewien schemat, zapuściłem korzenie i wyrwanie się spowodowałoby głębokie rany, których nigdy bym nie zagoił. Co pan o tym myśli?

Nie wiem, dlaczego zadałem to pytanie. Przecież terapeuta nie mógł udzielić mi na nie odpowiedzi. Chciałem jednak usłyszeć cokolwiek z jego ust, chciałem zyskać pewność, że naprawdę tam jest i słucha tego, co mam do powiedzenia. Wydawało mi się, że siedzę sam w pustym pokoju, naprzeciwko marmurowego popiersia.

Zmrużyłem oczy i sylwetka terapeuty stała się na moment wyraźniejsza, ale zaraz potem ostrość znów zniknęła.

– Ja już tę historię opowiadałem wiele razy – powiedziałem z wahaniem. – Ale ona ciągle powraca. Uporczywie powracają do nas historie z przeszłości, których nie możemy zmienić, zauważył to pan?

Terapeuta milczał. Ja też nie odzywałem się przez dłuższy czas.

– Co oznacza ołtarzyk Freuda w holu? – zapytałem wreszcie.

Nieznaczny ruch w kuli światła.

– Pana korzenie są tutaj – odezwał się terapeuta. – Wraca pan do nas po coś ważnego. Instynktownie czuje pan, że tylko tutaj może to znaleźć.

Skinąłem głową.

– Tylko czy to w porządku? Kiedy wyszedłem z oddziału ostatnim razem, sądziłem, że już wiem i nie potrzebuję więcej przyjeżdżać. Tymczasem lęk wrócił, narastał, aż w końcu zacząłem bać się nawet cieni.

– Jest pewne kluczowe pytanie, które musi pan sobie zadać – terapeuta zrobił dłuższą pauzę. – Czy wierzy pan we Freuda?

– Co takiego?

– Proszę zajrzeć w głąb siebie i poszukać odpowiedzi. To bardzo ważne.

– Ale... nie wiem, czy dobrze zrozumiałem...

– Nasze spotkanie dobiegło końca.

* * *

Następny dzień upłynął mi w poczuciu nierealności tego, co mnie otaczało. Pacjenci rozmawiali ze sobą, rozmawiali ze mną, jednak nie wyłapywałem sensu naszych dialogów. Było tak, jak gdybyśmy używali słów jedynie po to, żeby zapęłnić ciszę. O dziwo, chyba tylko ja dostrzegałem ten problem. Inni wymieniali zdania z

niezrozumiałą dla mnie przyjemnością, prawie tak, jakby w zwykłych słowach przekazywali sobie dodatkowe, ukryte komunikaty.

W pokoju terapeutycznym celowo poruszałem każdy inny temat, byle nie wejść na metafizyczny poziom. Wmawiałem sobie, że może poprzedniego dnia tylko się przesłyszałem. Jak inaczej miałbym wyjaśnić szalone pytanie o wiarę we Freuda? Czegoś ważnego nie byłem w stanie dostrzec. Dwukrotnie wydawało mi się, że widzę Martę, ale znikła za każdym razem, gdy próbowałem się do niej zbliżyć. Pacjenci podchodzili do popiersia Freuda, klękali przed nim, szepcząc coś, ale kiedy pytałem o znaczenie tych zachowań, zbywali mnie wzruszeniem ramion albo tajemniczym uśmiechem.

Wszyscy wpatrywali się z uwielbieniem w Szymona, a ja nie potrafiłem odgadnąć przyczyn własnej do niego niechęci. Czy nie lubiłem go, bo mianował siebie kimś w rodzaju guru terapii? Czy może dlatego, że byłem zwyczajnie zazdrosny o szacunek, którym go otaczano?

W czwartek, po sesji indywidualnej i zajęciach grupowych, wyszedłem z oddziału i udałem się na długi spacer. Drażniła mnie wszechobecna, wciskająca się pod powieki sepia. Lato nie mogło umrzeć. Kolory liści i światła wydzielają ten sam widmowy blask, co organy uwięzione w słoikach.

Dotarłem wreszcie do kawiarni, stojącej obok małej stacji kolejki. Znałem to miejsce ze wszystkich swoich pobytów na oddziale. Przychodziłem tutaj albo sam, albo z grupką innych pacjentów. Zamawialiśmy kawę oraz domowe, niesamowicie pyszne ciasto, jakiego nie można było spróbować nigdzie indziej. Wieczorami kawiarnia zapełniała się pacjentami z naszego oddziału oraz z ośrodka, w którym leczyli się Krótkoterminowi. W tym przytulnym miejscu ich wesołość stanowiła po prostu lokalny koloryt, tak jak tworzą go jarmarki w mieście, do którego przyjeżdżamy na wycieczkę.

Odetchnąłem z ulgą, gdy przywitały mnie znajome fotele, obrazy i lampy, te same światła i zapachy co przed laty.

Ciasto smakowało tak samo nieziemsko, delikatny krem rozpląwał się w ustach.

Przy jednym ze stolików siedziała trójka młodych rozgadanych ludzi. Chłopak i dwie dziewczyny. Pewne szczególne nuty w śmiechu jednej z nich przywołały wspomnienie sprzed trzech lat. Ktoś wtedy, na oddziale, śmiał się podobnie.

Popatrzyłem uważniej na grupkę i w długowłosej blondynce rozpoznałem naszą byłą pacjentkę. Tak, to na pewno była ona. Zapominam często imiona i rysy twarzy, ale zostają we mnie wspomnienia drobiazków. Pewne charakterystyczne gesty czy wyjątkowe wibrowanie śmiechu.

Ze swojego miejsca widziałem dobrze zadarty nosek dziewczyny i wydatne usta. Mogła mieć równie dobrze dwadzieścia parę, jak i trzydzieści lat. Nawet jeśli była kiedyś pacjentką oddziału, teraz należała całkowicie do Krótkoterminowych; wskazywała na to przesada, z jaką wykonywała każdy, najdrobniejszy nawet ruch oraz kolorowe ubranie, które nosiła. Krótkoterminowi uwielbiali kolorowe ubrania.

Spojrzała w moją stronę, a potem powiedziała coś cicho do znajomych i za chwilę zerknęła namnie już cała trójka. W ich wzroku dostrzegłem podobną nieufność i

obawę, jakie zaobserwowałem wcześniej u dzieciaków z pociągu.

Nagle dziewczyna podniosła się płynnym ruchem i podeszła do stolika, przy którym siedziałem.

– Mogę? – nie czekając na odpowiedź, zajęła krzesło po prawej stronie.

Zrobiło mi się trochę nieswojo, że zamiast usiąść naprzeciwko, wybrała miejsce tuż obok mnie.

Zaśmiała się lekko i założyła nogę na nogę. Jej łydki wyglądały na twarde jak u kolarki.

– Pomyliły ci się dni? – zapytała.

– Słucham?

– Dzisiaj jest czwartek.

Powtarzał się problem pozbawionych znaczenia słów. Faktycznie, był czwartek. I co z tego? Nie rozumiałem, po co dziewczyna mnie o tym informuje.

– To jest przecież nasz dzień – powiedziała z naciskiem. W jej głosie wychwyciłem ironiczne nuty, jakby pokpiwała z czegoś. – Wy przychodzicie w piątki.

– My? Długoterminowi?

– Uhm – wyciągnęła z torebki papierosy i nie pytając o zgodę zapaliła. – Nie to, żebym miała z tym jakiś problem. Ja nie jestem jak ci wasi... Co słyszać?

Nie mogłem przypomnieć sobie jej imienia, ale z grzeczności postanowiłem nie dać po sobie niczego poznać.

– Nic takiego. Mam pracę, mieszkanie na kredyt i trochę znajomych, którzy martwią się o mnie, gdy długo nie dzwonię. Czytam i oglądam mnóstwo filmów.

Dopadło mnie wrażenie *déjà vu*. Czy nie opisywałem już komuś swojego życia w dokładnie taki sam sposób?

Dziewczyna zaśmiała się.

– No i po co tu wróciłeś? – zapytała po chwili. – Znowu do Freuda?

– A ty? – odbiłem pałeczkę. – Zmieniłaś miejsce, ale nadal jesteś w terapii.

– O nie! Ja jestem teraz po drugiej stronie! Zostałam terapeutką.

– Jak to?

– Po prostu. Miałam dosyć taplania się latami w brudach z dzieciństwa. Przyjechałam na terapię krótkoterminową, rozwiązałam swoje problemy, a potem zrobiłam szkolenie. Teraz zajmuję się innymi. I powiem ci, szkoda życia na niemającą końca analizę. Radzę ci, przenieś się do nas.

– Dziękuję, ale to chyba nie dla mnie.

Strzepnęła dym na mój pusty talerzyk.

– A wiesz dlaczego? Bo wcale nie chcesz wyzdrowieć. Lubisz po sto razy wracać na oddział i roztrzasać bez końca, co powiedziała do ciebie matka, gdy miałaś cztery lata, a co zrobił twój ojciec, gdy miałaś sześć. To nie jest prawdziwe życie! Pewnie nawet nie wiesz, co jest twoim prawdziwym problemem. A my załatwiamy sprawy szybko i efektywnie. Rozpoznanie, podjęcie odpowiednich działań! Raz, dwa. To oczywiście przeszkadza naszym analitycznym kolegom, uważają, że to wbrew Freudowi. Ale wiesz co? Freud ani razu nie przyszedł do mnie, żeby kopnąć mnie za

karę w tyłek!

Nie podobał mi się ton, w jakim mówiła o długoterminowej terapii. Nie wystawiała też dobrego świadectwa terapii krótkoterminowej. Opowiadała o niej tak, jak zachwala się produkt z katalogu wysyłkowego. Najwyraźniej sprawiłoby jej przyjemność, gdybym zaczął się oburzać i bronić psychoanalizy. Znałem tę grę, którą oba ośrodki prowadziły między sobą. Nie zależało mi na przekonywaniu kogokolwiek.

– Cieszę się, że dobrze się czujesz i znalazłaś cel w życiu – powiedziałem.

Zmrużyła oczy. Chyba nie dowierzała. Zerknąłem w stronę stolika, gdzie dwójka młodych ludzi dopijała właśnie napoje.

– Twój znajomi nie czują się przez ciebie porzuceni?

Pytanie zabrzmiało obcesowo.

– To moi pacjenci – poinformowała mnie zimno. – Mają problem z wychodzeniem poza Ośrodek. Wypadek do kawiarni jest formą terapii.

Nie skomentowałem tej formy, tak sprzecznej z zasadami analizy. Nasi terapeuci nigdy nie spotykali się z pacjentami poza gabinetem.

– Masz mnóstwo negatywnej energii – zawyrokowała dziewczyna, celując we mnie papierosem. – Czuję się przy tobie osłabiona.

Ku mojej uldze wstała.

– Na twoim miejscu uważałabym – rzuciła jeszcze na odchodnym. – Tam się nie dzieje nic dobrego.

* * *

Wróciłem na oddział około godziny szesnastej i w holu natychmiast przechwyciła mnie pielęgniarka.

– Panie Tomaszu, Ordynator chce z panem rozmawiać.

Otworzyła drzwi prowadzące do gabinetu.

Ordynator przywitał mnie tym razem bez uśmiechu i uścisku ręki.

– Proszę usiąść. – Wskazał krzesło.

Wykonałem jego prośbę.

– Coś się stało?

Westchnął głęboko.

– Doszły mnie słuchy, że dzisiaj po zajęciach grupowych udał się pan do kawiarni. Czy to prawda?

Przytaknąłem, a on westchnął jeszcze boleśniej.

– Panie Tomaszu, był pan zawsze jednym z naszych najwierniejszych pacjentów. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek naruszył pan któryś z punktów regulaminu. A jednak zrobił to pan dzisiaj. Czy mógłbym wiedzieć dlaczego?

Nie mogłem być bardziej zaskoczony.

– Złamałem regulamin?

– Punkt ósmy, panie Tomaszu, traktuje wyraźnie o dniach, w których pacjenci naszego oddziału chodzą do kawiarni. Są to środy i piątki. – Popatrzył na mnie z ukosa. – Czyżby nie zapoznał się pan z regulaminem? Przecież wyraźnie

doradzałem.

Istotnie, nie zajrzałem nawet. Wydawało mi się, że wiem wszystko o zasadach obowiązujących na oddziale, a ewentualne drobne poprawki miałem zamiar poznać w trakcie pobytu.

Teraz stało się jasne zdanie o pomyłonych dniach, które usłyszałem od byłej pacjentki.

– Bardzo mi przykro. Nie wiedziałem, że chodzenie do kawiarni w czwartki może być problemem... Ale właściwie dlaczego?

Ordynator odkaszlnął.

– Dochodziło do zbyt wielu spięć między naszymi pacjentami a pacjentami krótkoterminowymi. Na tle... wyznaniowym.

– Wyznaniowym – powtórzyłem bezmyślnie.

– Tak. Podczas specjalnie zwołanej w tym celu konferencji postanowiliśmy podzielić dni.

– Czy chodzi o to, żeby pacjenci oddziału nie zarazili się od Krótkoterminowych pomysłem znalezienia szybkich rozwiązań? I nie zmienili metody?

– Zapewniam pana, że idea podziału dni była bardzo dobrze przemyślana – odezwał się z mocą Ordynator.

– A jednak to dziwne – zastanawiałem się na głos. – Przez tyle lat zwolennicy obu terapii spotykali się w kawiarni. Jeśli mieli ochotę, to rozmawiali, jeśli nie, unikali się nawzajem. Jakoś to wszystko funkcjonowało. Nie myśli pan, że taki zakaz powoduje raczej chęć łamania regulaminu?

Usta Ordynatora otworzyły się i zamknęły, tak jakby w ciągu sekundy powstrzymał chęć ujawnienia jakiejś ważnej informacji.

– Panie Tomaszu. Ja zdaję sobie sprawę, że pewne rzeczy mogą być dla pana niejasne. Niektóre z nich mogą się nawet okazać szokiem, tak jak okazały się nim dla nas... – Zawahał się. – Oddział jest w trakcie reform. Proszę mi uwierzyć, że wkrótce wszystkie pana wątpliwości rozwieją się. Proszę cierpliwie poczekać. Musimy mieć pewność, że jest pan przygotowany.

– Przygotowany na co?

Ordynator zrobił gest, jak gdyby chciał uścisnąć moją dłoń. W ostatniej chwili powstrzymał się przed tym.

– Proszę jeszcze poczekać. Proszę nam zaufać.

* * *

Zapukałem do drzwi pokoju Wenera. Musiałem porozmawiać z nim teraz, natychmiast. Chciałem, żeby podzielił się ze mną wszystkimi swoimi obawami, całą wiedzą na temat tego, co działo się na oddziale.

Nie otwierał. Postąłem pod drzwiami przez jakiś czas, później podszedłem do okna wychodzącego na park. W nudnym blasku dogasającego lata ten lubiany przeze mnie skrawek zieleni nie wyglądał zachęcająco jak do tej pory, lecz dziwnie złowieszco.

Gdziekolwiek wyszedł Werner, musiał przecież wrócić. Z pewnością dołączy do

mnie wieczorem na codzienny rytuał palenia fajki, a wtedy wypytam go o wszystko.

Szczupła, ubrana w czerń sylwetka tańczyła między drzewami. Zmrużyłem oczy i rozpoznałem Martę. Rzuciłem się szybko do schodów i zbiegłem, pokonując po kilka stopni naraz, zdecydowany wreszcie ją dopaść. Klęczała na trawie, z oczami wzniesionymi w stronę domku terapeutów, jakby dostrzegła tam aurę czegoś świętego. Podchodziłem powoli, nie chcąc jej spłoszyć.

– Marta...

– Cii... – położyła palec na ustach. Nie patrzyła w moją stronę. – Słyszysz?

– Nic nie słyszę – powiedziałem. – Chciałem z tobą porozmawiać. Jesteś na oddziale już od tak dawna. Na pewno możesz mi powiedzieć...

Nieoczekiwanie złapała mnie za rękę.

– Czemu musisz cały czas mówić? – zapytała lekko zagniewana. – Nie możesz posłuchać?

Jej rysy nie zmieniły się wiele. Już kilka lat temu Marta przypominała woskową lalkę, jedynie jej wielkie ciemne oczy wydawały się żywe w kredowobiałej, pozbawionej wieku twarzy. Teraz płonął w nich niezdrowy ogień. Nabrałem podejrzeń, że Marta rozsypała się psychicznie i powinna skorzystać z poważniejszej pomocy. Czasami tak się zdarzało, terapeuci nazywali to dekompensacją. Takich zdekompensowanych pacjentów przewożono na oddział psychiatryczny, z którego na ogół po dwóch tygodniach wracali.

– Widziałam go. Jest wspaniały! – przytuliła moją dłoń do swojego policzka. Zamknęła oczy. – Ty też go zobaczysz, daj sobie tylko szansę...

Objąłem jej ramiona.

– Chodź, wrócimy na oddział. Nie czujesz się dobrze.

Odbiegła kawalek. Patrzyła na mnie ze złością.

– Nie masz w sobie Freuda! – syknęła.

Mogłem dalej przekonywać Martę, aby ze mną wróciła, ale nie sądziłem, że przyniosłoby to jakikolwiek efekt. Zresztą już przestała mnie zauważać. Przytulona do drzewa, mamrotała coś pod nosem jak psychotyczka.

Wróciłem sam i poinformowałem pielęgniarki o stanie Marty. Przyjęły moje słowa do wiadomości, nie zauważyłem jednak żadnego zaniepokojenia w dyżurce, żadnych oznak działania. Miałem wręcz wrażenie, że to na mnie spoglądają podejrzliwie i z niechęcią.

* * *

Werner nie pojawił się na wieczornym czytaniu, co nie było niczym nadzwyczajnym. Nie lubił tych zajęć, a jako emerytowany pacjent mógł je bez konsekwencji opuszczać. Ale fakt, że nie przyszedł na palenie fajki, stanowił powód do niepokoju.

Palilem sam, patrząc na domek terapeutów, który – nie wiedzieć czemu – wydawał się na przemian kurczyć i powiększać. Byłem już prawie pewien, że rano opuszczę oddział. Nieobecność Wernera próbowałem tłumaczyć naszą umową. Powiedział w końcu, że dopiero w piątek porozmawiamy o oddziale i powiadomię go

o mojej decyzji. Czyżby w ostatni wieczór przed jej podjęciem postanowił zostawić mnie samego?

Jednak w piątek rano bezowocnie wypatrywałem go na stołówce. Zatroskany, udałem się do jego pokoju. Zapukałem kilkakrotnie, a wreszcie, pełen złych przeczuć, nacisnąłem klamkę...

Drzwi ustąpiły, ukazując pusty pokój. Łóżko pozbawione pościeli, przykryte gładko ułożonym kocem. Na biurku żadnych drobiazgów. Sprawdziłem szafę – pusta. Na półce jeden z egzemplarzy „Dzieł Wybranych”.

Usiadłem ciężko na łóżku. Gdzie pan się podział, panie Werner? Mieliśmy opuścić oddział razem! Dostałem czas na zastanowienie, przecież jeszcze nie upłynął.

Ogarnął mnie duszny, przytłaczający smutek. Werner odszedł, a ja zostałem na oddziale sam. Co miałem robić? Czy mogłem spróbować zaaklimatyzować się i przyjąć zmiany jako nieuchronny proces, z którym trzeba się pogodzić? Pomyślałem o Marcie, o ołtarzyku Freuda i wieczornych czytaniach.

A jeśli odejść, to do czego? W to moje życie nieciekawego pracownika firmy, doświadczającego niejasnych ataków paniki? Przecież tak naprawdę jedyny czas, gdy prawdziwie żyłem, to miesiące spędzone na oddziale!

Jedyny czas, gdy prawdziwie żyłem, to ten spędzony w terapii.

Wyszedłem na korytarz prosto w ramiona Ordynatora, ostatniej osoby, którą spodziewałem się teraz zobaczyć.

– Pan Werner pożegnał się wczoraj z oddziałem – powiedział. – Wszystkim nam bardzo przykro z tego powodu.

Rzeczywiście wyglądał na zasmuconego, ale instynkt podpowiadał mi, że udaje.

– Nagłe odejście pana Wernera przyspieszyło moją decyzję. Nie chcemy stracić również i pana.

– Co to znowu za zagadki? – zniecierpliwilem się. – Odkąd tutaj jestem, nikt nie mówi mi niczego wprost!

– Obiecuję, że zaraz wszystko pan zrozumie. Proszę tylko ze mną pójść.

Przez moment chciałem odmówić, ale do głowy nie przychodziło mi żadne inne działanie. W końcu już od dłuższego czasu, jak chorągiewka na wietrze, obracałem się w tę stronę, w którą wiał wiatr.

Ku mojemu zdziwieniu Ordynator wyprowadził mnie z budynku oddziału. Przeszliśmy przez park i stanęliśmy przed domkiem terapeutów. Gdy odwróciłem się na moment w stronę dworku, zobaczyłem w oknie twarze pacjentów, wpatrzone we mnie wyczekująco.

Weszliśmy do środka. Miejsce, które do tej pory uważałem za mieszkanie terapeutów, okazało się czymś w rodzaju kapliczki. Stworzono tutaj ołtarzyk podobny do tego, który stał na oddziale. W powietrzu unosił się zapach kadzideł. Pod ścianami stały ławki z klęcznikami.

– To, co teraz zobaczysz, Tomaszu, odmieni twoje życie – Ordynator porzucił formę grzecznościową. Jego głos nabrał głębi. – Wiedzą o tym wszyscy terapeuci i coraz większa liczba naszych pacjentów, a niedługo dowiedzą się też inni.

Podprowadził mnie pod niewielkie drzwiczki, prowadzące do kolejnego pomieszczenia, i uchylił je.

Usłyszałem szept. Nadpłynął nagłą falą, rozbił się o moje nogi i rozłamał na drobne fragmenty, na słowa trudne do odczytania, niemożliwe do zrozumienia. Słyszałem już ten szept, któregoś nocy prześladował mnie we śnie. Stanowił tło wieczornych czytań. W różnych miejscach oddziału niespodziewanie wznosił się znad podłóg niczym kurz.

Wraz z szeptem z tajemniczego pokoju wypełził do nas nienaturalny blask. Ordynator mocniej nacisnął klamkę.

– Chwileczkę! – powstrzymałem go. – Proszę mi najpierw powiedzieć, co tam jest.

– Lepiej, jeśli sam zobaczysz...

– Nie wejdem, dopóki nie usłyszę, co tam jest!

Tak naprawdę nie byłem pewien, czy chcę wiedzieć. Ogarnął mnie znajomy chłód, podobny do tego, gdy w jasny dzień przez drogę, którą beztrudno prowadziłem samochód, przebiegł cień wiatraka.

W takich sytuacjach człowiek nie ma zbyt wielu reakcji do wyboru. Może jechać dalej i udawać, że nic się nie stało, ale cień przetnie go jeszcze kilka razy.

Może próbować skurczyć się za kierownicą – to nic nie da.

Nawet jeśli zjedzie na inną drogę, wiatraki i tak będą się poruszać. Będą tam stać cały czas i rzucać cienie.

Ordynator westchnął. Spoglądając w bok, próbował znaleźć odpowiednie słowa.

– Najpierw nie chciałem wierzyć – zaczął powoli. – Od lat byliśmy w posiadaniu relikwii i nigdy nikt nie odważył się jej ukraść. Gdy zginęła, na oddziale zapanowała panika. Przeszukaliśmy wszystkie kąty, każdy pokój i nic. Rozpoczęliśmy już żałobę po tej straszliwej stracie, gdy naraz jeden z pacjentów... Szymon... odnalazł palec w nieużywanej łazience w piwnicach. Z tym, że to już nie był tylko palec. Znalazła się cała dłoń, a z biegiem dni odrosły nadgarstek i przedramię. Przynieśliśmy rękę tutaj, a nasi terapeuci obserwowali ją na zmianę bez przerwy. Proces odrastania postępował. Wykształciły się bark, pierś, druga ręka. Wszystko jak trzeba. I proces trwał dalej. Staliśmy się świadkami cudu.

– Chce mi pan powiedzieć, że... – nie potrafiłem wykrztusić z siebie nic więcej.

– On wrócił! Jest tutaj z nami. Jeszcze nie do końca uformowany, ale jest. Przygotowuje się do wielkiego zmartwychwstania.

Otworzył drzwi na oścież.

Moim oczom ukazało się duże pomieszczenie. Po nagich ścianach tańczyły nerwowe blaski, rzucane przez gromnice otaczające kozetkę i niewielki stolik na rzeźbionej nóżce. Kozetka przypominałaby łożo śmierci, gdyby nie fakt, że leżąca na niej postać nie wydawała się martwa... Pokrywała ją dziwna błona przypominająca pęcherz i wydzielająca ten specyficzny, widmowy blask, którym promieniowała okoliczna roślinność. Powłoka drgała delikatnie, jakby zachodził pod nią proces przywodzący na myśl rozwój poczwarki.

Szept był teraz głośniejszy, jeszcze bardziej nieznośny.

Dobiegał z kozetki.

Wzdrygnąłem się.

– To jakieś szaleństwo!

W oczach Ordynatora płonął ten sam ogień, jaki dostrzegłem u Marty.

– Tomaszu, musisz podejść i usłyszeć, co ma ci do powiedzenia. Musisz przyjąć go w całości. To właśnie nam powiedział na początku. Że w czasach, gdy jego uczniowie wykruszyli się, a ludzie szukają ratunku u szarlatanów niemających pojęcia o terapii, postanowił się nam ukazać, aby rozwiać wątpliwości. Nie chciał pozostać suchą teorią. Kiedy będzie już wystarczająco silny, powstanie i obdarzy nas wiedzą, o jakiej nie śmieliśmy śnić!

Poznaj samego siebie – chodziły mi po głowie słowa delfickiej wyroczni. Chciałem zaśmiać się, dać wyraz swojemu powątpiewaniu, a nawet zasugerować Ordynatorowi konsultację psychiatryczną, ale przecież twarz, której kontur rysował się pod błoną, była mi aż za dobrze znana! Tyle razy oglądałem ją na dawnych zdjęciach i malowidłach, na okładce każdego tomu „Dzieł Zebranych”.

– Jak...? – wymamrotałem.

– To wielka tajemnica. Nie wiemy, jak On to robi, ale każdy z nas stanął tam twarzą w twarz z tym, do czego do tej pory nie miał dostępu, pomimo lat terapii – popchnął mnie lekko w kierunku kozetki.

Szmer wokół postaci stawał się gęstszy, prawie namacalny. Pełznął w moim kierunku. Podobno nie można zobaczyć dźwięku, a przecież widziałem utkane z szeptu, skręcone jak powrozy ręce, wysuwające się z leżącego na kozetce ciała. Wspinały się po mnie, prawie nieprzytomnym z odrazy, od stóp, przez łydki i kolana, aż do piersi. Badały dokładnie.

W tej strasznej chwili zwróciłem uwagę na przedmiot leżący na stoliku, dziwnie znajomy w tym obcym, nieprzyjaznym wnętrzu. Fajka, ale nie zwyczajna. Ciężka, wyglądająca na bardzo starą. Chropowata powierzchnia główki przypominała korę drzewa...

– Otwórz się przed nim – usłyszałem pełen ekscytacji głos Ordynatora i te słowa, połączone z nagłym, bolesnym rozpoznaniem, przywróciły mi rozsądek.

Odskokczyłem w tył, czując, że wyrywam z siebie ciernie szeptu.

– Co robisz?! – krzyknął Ordynator, ruszając w moją stronę.

Niewiele myśląc chwyciłem jedną z gromnic i nie zważając na parzące krople wosku, uderzyłem nią mężczyznę w głowę. Upadł, a ja puściłem się pędem do drzwi.

Wciąż słyszałem szmer niesamowitego głosu, w którym brzmiały teraz złowrogie nuty. Nie pytał, nie radził – wydawał polecenia, rzucał rozkazy.

– Zatrzymajcie go! – wrzasnęła Marta, gdy przebiegłem obok.

Przez moment zobaczyłem jej oczy, nagle nienaturalnie jasne, niczym oczy ślepcy. Śledziły moją ucieczkę i miałem wrażenie, że to nie Marta, lecz ktoś inny nimi spogląda, usiłuje zawrócić mnie siłą swojej woli.

Pędziłem w stronę bramy. Chociaż oddalałem się od źródła zagrożenia, szept podążał za mną. Intensywny, natarczywie próbował mi coś uświadomić.

Zagłuszałem go, śpiewając głupią piosenkę, powtarzając w kółko to samo słowo,

śmiejąc się i uderzając językiem o podniebienie. Pal sześć ubrania i książki. Jeśli terapeuci złapią mnie i zawloką z powrotem do kapliczki, stracę coś ważniejszego niż dowód osobisty i kartę do bankomatu. Integralność własnej psychiki.

Nie mogłem pozwolić, żeby mnie uświadomili!

Biegłem na oślep jak szaleniec. Uciekałem nie tylko przed potworną istotą leżącą na kozetce. Uciekałem przed wiedzą, którą chciała mi przekazać. Latami oszukiwałem siebie, przekonywałem, że zależy mi na zrozumieniu mechanizmów rządzących moim zachowaniem, a tymczasem blokowałem ten proces, zaprzeczając całej masie oczywistych rzeczy, nie dostrzegając, wymazując, zapominając. Wznosiłem symboliczne fortyfikacje po to, aby siebie nie poznać. Jeśli runą, nie zyskam mądrości. Ten fakt stał się nagle oślepiająco jasny.

Jeśli runą, ja też rozsypię się w drobny mak.

Dlatego biegłem jak nigdy wcześniej. Tak długo, aż szept przestał mnie gonić, aż wypadłem poza obszar nienaturalnego blasku, wracając do świata, który nie oferował przewidywalnej struktury oddziały, ale był prawdziwy.

* * *

Nie wróciłem już do firmy. Porzuciłem dawne mieszkanie i przeniósłem się w inne miejsce. Może bez powodu, może gdyby Ordynatorowi i terapeutom zależało na tym, aby mnie odnaleźć, już dawno podjęliby taką próbę. Nie chodziło jednak tylko o ucieczkę. Czułem, że jestem coś winien Wernerowi, a jedyny sposób na spłacenie długu to realizacja życia, którego on nigdy nie zaznał.

Któregoś dnia w przypadkowo przeglądanej nieaktualnej gazecie przeczytałem o zwłokach wyrzuconych na brzeg rzeki nieopodal miasteczka, które dobrze znałem. Mężczyzna nie posiadał przy sobie dokumentów. Nikt go nie rozpoznał.

Nie mogę pozbyć się poczucia, że bezimiennym mężczyzną był mój jedyny przyjaciel. Myślę o tym, że zniknięcie Wenera zostało zaaranżowane przez Ordynatora i posłusznych mu pacjentów. Czy z własnej woli rozstałby się ze swoją ukochaną fajką?

Przychodzą też inne fantazje. Na przykład o istocie leżącej w ciemności i zbierającej siły do powrotu. Słyszę wtedy wzbierającą falę szeptu i całą siłą woli powstrzymuję się od tego, by nie krzyczeć. Gdzieś tam terapeuci przygotowują się do wojny o pacjentów, a poprowadzi ich jeden z największych wizjonerów wszech czasów...

Ale jeszcze nie dzisiaj, a ja mam parę wypracowanych sposobów na takie lęki. Powtarzam na przykład bardzo szybko: „szopka na narzędzia”. Robię to tak długo, aż zwrot ten staje się zlepkiem nic nieznaczących liter. Wtedy cała sytuacja z Ordynatorem i nieruchomą sylwetką mgli się jak sen, jak fantazja.

Byłoby świetnie, gdybym któregoś dnia znalazł w skrzynce pocztowej list od Wenera. A potem spotkalibyśmy się w Zihuatanejo, niczym Andy i Red ze „Skazanych na Shawshank”.

Prawie nas widzę. Siedzimy na spróchniałym, wyrzuconym przez ocean kawałku drewna i palimy fajki. Patrzymy, jak mijają kolejne pory roku i słuchamy zupełnie

zwyčajnego szumu fal.

Nadal boję się cieni, ale wiem już, że muszę poradzić sobie bez oddziału, terapii i bez Freuda. Nieudolnie, błędząc, być może ponosząc klęski i straty, świadomy, że nigdy nie poznam samego siebie naprawdę. Po prostu żyć.

Paweł Ciećwierz

NA POHYBEL

you're the same kind of bad as me
Tom Waits

Pieśń niewinności i doświadczenia

„Kurwa jego mać” – pomyślał Święty Piotr, ale nie powiedział tego głośno. W jego pełnych niewolników, grabieży i spontanicznych aktów bezsensownej przemocy czasach nikt nie zrozumiałby terminu „wypalenie zawodowe”, ale on dobrze wiedział, o co chodzi.

Praca nie miała końca. Miary, którymi posługiwał się jeszcze tysiąc lat temu, straciły swoją dokładność. Jego oczy też nie były tak sprawne jak kiedyś. I pomyśleć, że na początku czuł się tym wszystkim... zaszczycony.

– Sandra – odczytał na głos i popatrzył na blade kobiece ciało wyciągnięte przed nim na katafalku.

Kiedyś procesy odbywały się w przytomności kandydatów, ale system utonął w morzu odwołań. Teraz byli tu obecni ciałem. Fantomem ciała. Tym dziwnym czymś, co przesądni nazywali duszą. Pograżeni w wiecznym śnie. Piotr uśmiechnął się wyrozumiale pod białą brodą, przypominając sobie z trudem, że kiedyś był mężczyzną. Dziewczyna z pewnością odeszła zbyt wcześnie.

Patrzył. To w końcu nie grzech. Krągła twarz o delikatnych rysach nawet teraz, pozbawiona mimiki, sprawiała wrażenie zadziornej. Jak u krnąbrnej uczennicy, która zawsze ma ostatnie słowo. Pełne usta, ciemna oprawa oczu sugerowała brązowy kolor źrenic. Czarne jak węgiel włosy, tylko na głowie, bo łono było wydepilowane. Piotr zauważył to i natychmiast zaczął myśleć o czymś innym, klepać automatycznie słowa pierwszej z brzegu modlitwy. Nie potrzeba mu było więcej punktów karnych. Nie za coś takiego. Aniołowie, te zazdrosne sukinsyny, śmialiby się z niego przez najbliższy rok.

Szczupłe ciało, a raczej widmowy jego zarys, nie pozwalało tak łatwo o sobie zapomnieć. Pełne piersi i niezwykle jędrny tyłek mogły same w sobie stanowić dowód doskonałości boskiego stworzenia. Pograżony we wspomnieniach starzec ledwie zerknął w stronę wagi. Kiedyś był mężczyzną.

* * *

No i co ja tutaj robię? Gdybym dostawała dziesięć złotych za każdym razem, gdy budzę się nie wiadomo gdzie i z kim, mogłabym spokojnie przejść na emeryturę. Głowa boli jak po tygodniowej imprezie, żołądek wywraca się na nice. Wszystko

wskazuje na to, że mam teraz najgorszego kaca w życiu. A na kacach to ja się trochę znam. Wierz mi, mówi to dziewczyna, która jeszcze nie tak dawno zapijała kokainę tequilą na śniadanie, która zamiast przerwy na papierosa robiła sobie przerwę na skręta, która waliła każde zadziwiające chemicznie świństwo i wreszcie (ostatnie, lecz równie ważne) w tym stanie potrafiła zaspokoić w ciągu jednego dnia dziesięciu wielkich (uwierz mi, wielkich) facetów.

Na siłę otwierałam zlepione powieki. Naga, przykryta prześcieradłem w jakimś oślepiająco białym pokoju. Firanki wirowały majestatycznie w podmuchach ciepłego wiatru, nieopodal szemrał strumień, a za oknami rozciągał się górski krajobraz. Fajne wszystko, klimatyczne jak cholera. Ktoś musiał wpakować niezły budżet w produkcję. To na pewno nie była krajowa firma. Zresztą po paru żalonych incydentach ze wstrzymywaniem wypłat i oklapłymi fiutami zerwałam wszelkie kontakty z polską branżą. Niech sobie wynajmują stare baby z agencji w blokach. Lustro pokazywało, że jestem i jeszcze przez parę lat będę dla nich zbyt dobra. Tylko jak ja się tu znalazłam i dlaczego nie pamiętam początku zdjęć?

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – usłyszałam za plecami.

Kolumbijski koks, wytłumaczyłam sobie w myślach. To musiała być kolumbijska kokaina.

– Niech będzie pochwalony – powtórzył ktoś nagle i zrobiło się dziwnie.

Nie lubię fetyszystycznych produkcji. Poza tym luka w pamięci jakoś nie chciała się wypełnić wspomnieniami.

– Mam nadzieję, że podróż była bezbolesna, siostró – powiedział miękki kobiecy głos.

Siostró? Może być. Lesbijskie sceny mi nie przeszkadzają.

Odwróciłam się pod prześcieradłem, żeby sobie obejrzeć koleżankę. Sytuacja wyglądała całkiem znośnie. Sympatyczny piegowaty rudzielec w zapiętej aż po szyję białej sukni. Sprawiała wrażenie nieśmiałej, trochę wystraszonej. Lubię takie, ale najpierw musiałam dojść do siebie.

– Nazywam się Beatrycze – przedstawiło się dziewczę. – Z tego, co usłyszałam od Piotra, ty nazywasz się Sandra. Chciałam cię powitać w Raju.

Dobra, dobra. Już parę razy słyszałam takie przechwałki. Mam nadzieję, że przyniosłaś ze sobą mocne i twarde argumenty na poparcie tej tezy, siostró.

– Miło mi cię poznać, Beatrycze. Jak byś mi tylko jeszcze mogła wyjaśnić, gdzie dokładnie znajduje się ten Raj i co właściwie wczoraj wrzuciłam, bo mam teraz niewiarygodną pustkę w głowie. No i czuję się jakaś taka dziwnie... wypoczęta.

– Zasądono, że zamieszkas na najniższym poziomie, ale niczym się nie martw – tłumaczyła szybko dziewczyna – wszystko może się zmienić z woli Pana. Przecież czasu nam nie brakuje. Całym swoim życiem zapracowałaś na przywilej bycia tutaj, siostró. Zapewniam, że wszystko jest dokładnie tak piękne, jak sobie to wyobrażałaś. A może nawet jeszcze piękniejsze...

– Nie chciałabym ci przerywać, mała, ale masz może coś do jedzenia? Coś z białkiem i cukrem. Muszę wytrzeźwieć, zanim zaczniemy. Przed chwilą wydawało mi się, że widzę za oknem gościa ze skrzydłami.

– To aniołowie – klarowała cierpliwie Beatrycze. – Są tu wyrazicielami Jego woli. Lepiej nie wchodzić im w drogę.

Fakty zaczęły powoli rozsadzać moją oporną świadomość. Poczułam się jak nastolatka, która wkręciła się na cudzą imprezę. Bardzo cudzą imprezę. Gapiałam się bez słowa na Beatrycze, a ona zatroskana patrzyła na mnie.

– Na pewno masz mnóstwo pytań – wyjąkała w końcu, uciekając wzrokiem.

– Też chyba jesteś nowa w tym biznesie, co?

– Jestem tu od niedawna. Dwadzieścia lat. Tak krótko, że jeszcze ciągle liczę czas.

Odkąd otwarłam oczy, wszystko było kompletnie niewiarygodne i niepokojąco prawdziwe. Na ćpaniu to ja się trochę znam, rozpoznałabym halucynację. Wszystkie pytania wyzerowały się w bolącej głowie. Ciekawe, co w takiej sytuacji zrobiłby Żyła?

– Macie tu jakieś bary? – powiedziałam w końcu.

– Bar to miejsce grzechu i spotkań ludzi nieszczęśliwych – wyrecytowała głosem telemarketera.

Westchnęłam ciężko. To będą długie wakacje.

* * *

Ból głowy szybko ustał; jak wytłumaczyła mi Beatrycze, już na zawsze. W Raju nie ma miejsca na cierpienie. Nawet to najmniejsze. Dziewczyna w białej sukni wzięła mnie za rękę i wprowadziła do ogrodu, który zdawał się należeć do mojego nowego domu, albo właściwie stanowił mój dom. Miałam własny wodospad i wiecznie skąpane w słońcu jezioro u jego stóp. Temperatura wody była dokładnie taka, jak chciałam, i zawsze taka będzie. Mogłam spać w każdym możliwym miejscu, bo trawa była bardziej miękka niż pierze. Żadnych trujących roślin, żadnych wrednych robaków zakłócających spoczynek i zwierząt, które mogłyby niebacznie nasrać w świętym miejscu. Po wyjściu przez marmurowy portal z wygrawerowanym, ciągnącym się w nieskończoność greckim numerem okazało się, że moja kwatery widoczna z zewnątrz wydawała się kilkumetrowym barakiem z zamazanymi w rozświetlonym powietrzu konturami.

– Raj jest kształtowany twoją wyobraźnią – tłumaczyła mi Beatrycze. – Im dłużej tu będziesz, tym więcej pięknych rzeczy wymyślisz.

– I cały świat będzie robił dokładnie to, co chcę? – spytałam, czując przyjemne mrowienie w kręgosłupie.

– Nie cały. Inne istoty mają wolną wolę oczywiście. Aniołowie są za to okruchami woli Najwyższego. Nie ma konfliktów, nie ma nienawiści, nikt nie wchodzi sobie w drogę. Na początku to może wydawać się dziwne komuś, kto właśnie opuścił padół łez, ale zobaczysz, jak szybko można się do tego przyzwyczaić.

– Jak z telefonem komórkowym, co? Na początku go nie chcesz, a już po tygodniu nie możesz się bez niego obejść.

– Jakim telefonem? – spytała Beatrycze, kierując moje myśli na zupełnie inne tory.

– Opowiedz mi coś o sobie – poprosiłam, gdy spacerowałyśmy aleją tęczy z tysiącami bram podobnych do mojej, mijając odzianych na biało, pogrążonych w zachwycie ludzi, których rysy rozmywały się i zlewały ze sobą.

Ja też miałam na sobie tę cholerną białą sukmanę. Kwatera była okej, ale z garderobą trzeba koniecznie coś zrobić. Rudzielec zachichotał jak mała dziewczynka.

– Dobrze, ale pod warunkiem, że ty potem też opowiesz mi swoją historię.

Obiecałam jej to. Fajnie, że ona mówi pierwsza. Kolejność może w tym przypadku odegrać dużą rolę.

– Urodziłam się w Norwegii... – zaczęła, a ja zdziwiłam się, że mówi po polsku.

Wszyscy mijani ludzie, chociaż było ich niewielu, mówili w języku, który rozumiałam. Raj, jasne.

– ...w pobożnej, uczciwej rodzinie – kontynuowała.

Siłą woli zmusiłam się, żeby nie skupić uwagi na czymś innym. Beatrycze wydawała się miła, nie chciałam jej urazić.

– Studiowałam medycynę, rodzice byli ze mnie dumni. Byłam z Olafem przez całe swoje dorosłe życie. Zaręczyliśmy się na drugim roku. Parę miesięcy później dowiedziałam się, że przez cały ten czas mnie zdradzał. Gdzie tylko mógł i z kim mógł. Wszyscy nasi przyjaciele o tym wiedzieli, wszyscy oprócz mnie. Złamał mi wtedy serce i zniszczył całe życie. Dużo czasu minęło, zanim udało mi się mu wybaczyć. Potrzebowałam odmiany, dlatego wyjechałam na misję na drugi koniec świata, do Afryki. Malaron nie gwarantuje pełnej ochrony przed chorobą. Przekonałam się o tym. Na pierwsze święta Bożego Narodzenia wróciłam do domu w trumnie.

Patrzyłam na nią szeroko otwartymi oczyma, zdając sobie sprawę, że w ten sposób Beatrycze opowiedziała mi całe swoje życie. Zajęło jej to trzydzieści sekund.

– Teraz twoja kolej – rozchmurzyła się.

Zaczęłam kalkulować, czy kłamstwo w Raju opłaci się bardziej niż brutalna prawda. Bo mojej opowieści nie da się streścić w trzydziestu sekundach. I na pewno nie obejdzie się bez przekleństw.

– Możesz mi powiedzieć – Beatrycze wyczuła wahanie – przecież obie jesteśmy tutaj. To o czymś świadczy. Musiałaś w życiu zrobić wiele dobrych rzeczy.

To akurat była prawda. Na dobrych rzeczach to ja się trochę znam. Słuchała mnie w spokoju przez kwadrans, tyle wytrzymała. Jej oczy na zmianę rosły i wypełniały się łzami. Potem odskoczyła jak oparzona, wyrwijąc swoją dłoń z mojej.

– Co? – zapytałam. – Za mocno jak na pierwszy raz?

– Ale ty jesteś... jesteś...

– Tak, kochanie, jestem, a raczej byłam... aktorką.

– To nie miejsce dla ciebie. Nie powinnaś tu być.

– No wiesz, dałam szczęście wielu ludziom.

Atak płaczu przeszedł równie szybko, jak się zaczął. Potem milczała pełen kwadrans. Zważywszy okoliczności, uważam, że przyjęła to całkiem nieźle. Już nie trzymała mnie za rękę, ale nie ruszyła też ze skargą do jakichś tutejszych sił zwierzchnich. Niezbadane są wyroki boskie.

– Skoro już jesteśmy w temacie, wyjaśnij mi proszę, jak to tu jest z ciałami. Jesteśmy materialni? Skoro czuję podmuchy wiatru i ciepło promieni słonecznych...

– Nie jesteś materialna. To twoja projekcja samej siebie oparta o wspomnienia materialnego bytu.

– Aha – udałam, że rozumiem.

– To minie – powiedziała.

Nie chciałam, żeby mijalo.

– I naprawdę, naprawdę nie macie tu żadnego alkoholu?

– Jest błogosławione wino...

– No i teraz mówisz do rzeczy. Prowadź. Wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała. Obie tego potrzebujemy.

* * *

Niebo było piękne. Lepsze niż pięciogwiazdkowy hotel w Vegas. Było tak piękne, że przez chwilę przestałam się zastanawiać nad tym, kto mnie tu wysłał. Było tak piękne, jakby musiało coś komuś udowodnić. Niebosięzna góra, na której powstał Raj, zaburzała perspektywę, błękit był zawsze po lewej stronie. Tereny zamieszkane ciągnęły się spiralą wokół masywu, którego szczyt nikał w chmurach. Przeczuwałam, kto tam rządzi, i ciężko było się z tym wszystkim oswoić. Katoliczką przestałam być gdzieś po pierwszej komunii, ale miałam nadzieję, że mnie nie wyrzucą. Jeśli będę siedziała cicho...

Raj wydawał mi się teraz połączeniem gigantycznego miasta, w którym każdy mieszkaniec ma swoją przestrzeń, oraz ogrodu. Wszystko tu żyło, ale nic nikomu nie zagrażało. Ludzie rzadko wdawali się ze sobą w rozmowy, na ulicach panował spokój.

Domy na najniższych poziomach wyglądały z zewnątrz tak jak mój. W środku były pewnie takimi samymi pałacami. Niektórzy mieszkali w nich wspólnie z odtworzonymi w niebie rodzinami. Jakoś nie sądziłam, że dane mi tu będzie spotkać ojczyma. Rajską administracja może popełniać błędy, ale nie na taką skalę. Wzrok odmawiał posłuszeństwa, kiedy patrzyłam wyżej niż na trzeci poziom fantastycznej góry. Wokół niej krążyli aniołowie. Ich doskonale umięśnione, uskrzydłone ciała jakoś nie robiły na mnie wrażenia. Brakowało im najważniejszego elementu. Im wyżej, tym więcej nienazwanych kolorów i iluzorycznych wymiarów przeplatało się w powolnym wirowaniu.

* * *

Podczas naszego pierwszego spotkania Beatrycze wspominała coś o „poziomie pierwszym” i zdaje się, że liczyła od dołu.

– Czeka, czeka, czy to nie znaczy przypadkiem, że ci mieszkający wyżej mają się lepiej od moich sąsiadów i ode mnie? Myślałam, że w Raju wszyscy są równi i w ogóle...

– Równi? Nie jesteśmy komunistami – oburzyła się. – Chcesz mieszkać wyżej,

musisz sobie na to zapracować, służąc innym i wypełniając wolę Pana. Ja teraz aplikuję na poziom pięćdziesiąty, to duży awans – powiedziała z dumą, a potem spłonęła rumieńcem, bo przypomniała sobie, że duma to grzech.

– Świetnie. Kto to niby ocenia?

– Wszemchnocny oczyma aniołów.

– To te stwory bez cycków i fiutów? – upewniłam się – Dopiero tu przybyłam, ale jakoś im nie ufam.

Przerazona Beatrycze przytknęła sobie palec do ust.

– Nie wolno tak mówić. Chyba nie wolno...

Reagowała trochę jak dziecko. Urywane strzępki rozmów mijających nas ludzi przypominały dialogi z telenowel puszcanych w niedzielę po obiedzie. Nikt nie miał problemów, wszyscy byli szczęśliwi. Nie byłoby tu roboty dla kogoś takiego jak ja. Ale przecież o to właśnie chodzi, prawda? Bez zmartwień, bólu i żądy, wolni od obsesji mijającego czasu. Nic tylko żyć. Wiecznie.

* * *

Potrzebowałam kawy. Filizanki kawy zaraz po butelce dobrego wina albo joincie, który pomógłby mi wszystko poukładać w głowie. Śniadania.

Kawę wypiliśmy w Wenecji. Wokół nas spacerowali, rozmawiali, kłócili się i oddychali ludzie. Siedziałyśmy pomiędzy nimi niewidoczne i niesłyszalne, przyglądając się protekcjonalnie przez szczelinę w niebiańskim wymiarze.

– Uwielbiam te kanały, mostki, pałace. Byłam tu kiedyś jako dziecko z wycieczką szkolną. To najdalsza wyprawa, jaką odbyłam za życia. Teraz mogę być gdziekolwiek, widzieć wszystko. Całe piękno i całą niegodziwość tego świata – mówiła Beatrycze, nakręcając się.

Poczułam wtedy, że lubię tę dziewczynę. Może gdyby w przeszłości życie poukładało się inaczej, w niebie zamieniłybyśmy się miejscami? Może, chociaż to mało prawdopodobne.

– Nadal największy sentyment mam do tego miasta – wyznała zakłopotana jak zawsze, kiedy mówiła o swoich uczuciach. – Tylko śmierdzi tu strasznie od wody. Mogliby to jakoś wysprzątać. Tak jak w Indiach, które też musisz ze mną zobaczyć. Pięknie tam, ale całe to robactwo...

– Może właśnie o to chodzi, mała – zauważyłam. – Gdyby wszędzie było czysto i porządnie, każde z tych miejsc wyglądałoby tak samo. – Nie do końca wiedziała, co mam na myśli.

Potem doznałam szoku. Wino było przednie. Osuszyłam od przyłożenia pół butelki. Było przednie i tyle. Żadnych szklanych oczu, przyjemnego mrowienia, zawrotu głowy, przyływu brawurowej energii i chcicy. Nic.

– Nie działa – poskarżyłam się.

Beatrycze wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś teraz w Raju, Sandro. Tu nie musimy się odurzać, żeby osiągnąć absolutne szczęście.

– A jeśli lubimy się odurzać?

Drzwi do baru otwały się na oścież. W świetle żywych powiało ciepłym powietrzem nie wiadomo skąd. Po raz pierwszy z bliska zobaczyłam anioła.

Chciałabym mieć taką cerę. I takie brwi, których nie trzeba wyskubywać. Na ciele też mu pewnie nic nie rośło. W odróżnieniu od nas i naszych prześcieradeł, on był w czerwonym płaszczu. Długie białe włosy wyglądały archetypowo i anielsko, kiedy omiatał pomieszczenie wzrokiem, który widzi wszystko, ale nie dostrzega nikogo.

– Pilnuje porządku? W niebie?

– Poznaję go, to Serafin. Przypomina nam o boskiej obecności – szepnęła do mnie Beatrycze tonem nastoletniej fanki, kiedy typ w czerwonym płaszczu przechodził między stolikami.

Pozostali rozstąpili się w drodze do baru, ale ja nie będę ustępować miejsca żadnemu facetowi. Albo – spojrzałam krytycznie, bo stwór pod płaszczem odziany był tylko w przepaskę biodrową – prawie facetowi.

Oszacował mnie wzrokiem. Zasadniczy, ale uprzejmy. Reprezentował poważną firmę.

– Bardzo mi miło cię powitać w Królestwie, Sandro. Wyroki boskie nawet dla mnie są czasem niezrozumiałe.

– Prawda, jak to się można zdziwić? – szepnęłam zalotnie, opierając się o kontuar tylko po to, żeby go wkurwić.

Patrzyłam bez strachu w białe, pozbawione powiek oczy. Marny pożytek z bycia takim ciachem, jak się nie ma fiuta, pomyślałam, a potem przestraszyłam się, że stwory mogą czytać w myślach. Muszę o to zapytać Beatrycze.

– Wiem o tobie, droga Sandro. Znam twoje poczynania na ziemi i zadziwia mnie bezmiar bożego miłosierdzia. Szczególnie w twoim przypadku.

Wokół nas żywi ludzie zajmowali się swoimi żywymi sprawami. Ktoś gaworzył do śpiącego w wózku dzieciaka, ktoś gadał przez telefon komórkowy, para nastolatków kłóciła się cicho przy coli. Brudna woda weneckich kanałów przebłyskiwała blaskiem zachodzącego słońca. Rzeczywistość, która już nie była moją rzeczywistością, zastygła, jakby pozowała do obrazu Renoira.

– To ciekawe, Serafinie – zwróciłam się do niego po imieniu. Nie miałam pojęcia, jakie oficjalne tytuły stosuje się wobec aniołów. – Aż kusi mnie, żeby zapytać cię tu publicznie, skąd tak dobrze znasz moje filmowe dokonania. Ale może nie będziemy wchodzić sobie nawzajem w życie wieczne, co?

Oczy Serafina miały błyskawice, ale z powodu zupełnie białych źrenic mało kto to zauważył. Zignorował mnie. W ignorowaniu ludzkich spraw on i jemu podobni mieli dużą wprawę. Odchodząc, rzucił jeszcze przelotne spojrzenie, jakby chciał zapamiętać moje rysy twarzy. To nie wróżyło dobrze na przyszłość.

* * *

– Kiepski początek wakacji – zagaił postawny, brodaty mężczyzna.

Swoje białe prześcieradło przewiązał tak, jakby miał w tym praktykę.

Beatrycze stała z boku, nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić i kogo najpierw przeproszać. Słońce zatopiło się już w kanale do połowy. Woda szcerwieniła,

chłodny wiatr przynosił ulgę w stężałym powietrzu. Grupa turystów skupiła się z aparatami wokół obsranej przez gołębie fasady pałacu Borgiów. Chłopcy z wycieczki krążyli wokół dziewczyn, dziewczyny krążyły wokół straganów. Dzieci gubiły lody, dorośli martwili się, czy przed zbiórką zdążą zjeść obiad. Uliczni sprzedawcy z uśmiechem sztucznym jak ten na sprzedawanych przez nich maskach robili wszystko, żeby jeszcze przez nocą coś zarobić. Woda w kanałach chlupotała beztrosko. Życie toczyło się swoim torem, a ja patrzyłam na to przez szybę nieśmiertelności, coraz bardziej tęskniąc za winem i seksem. Za czymkolwiek, co może mi zaszkodzić.

Brodacz przysiadł się do nas. Charyzmatyczny, pewny siebie typ. Prezentował się też całkiem nieźle. Z zawodowym uznaniem zauważyłam, że ciała mógłby mu pozazdrościć dwudziestolatek. Tutaj pewnie takie rzeczy nie mają znaczenia. Cholera.

– Nie przejmowałbym się towarzystwem skrzydlatych. Brak wolnej woli nie wpływa dobrze na ich samopoczucie. Często czepiają się nowo przybyłych. Brakuje im ognistych mieczy i miast w poźodze.

– Widzę, że postęp dociera tu bardzo wolno. Nazywam się Sandra – powiedziałam, wyciągając rękę.

Uśmiechnęłam się przy tym lekko, niezobowiązująco, po swojemu. Wiedziałam dobrze, że kiedy się tak niewinnie uśmiecham, w oczach odbija mi się niejasne wspomnienie wszystkiego, co było, i obietnica tego, co jeszcze stać się może. Nie spotkałam dotąd faceta, który nie zareagowałby na ten uśmiech, ale Grek mnie rozczarował. Może w niebie zdążyłam już stracić swoje zdolności?

Przywitał się ze mną, a Beatrycze dodała, że jest kimś w rodzaju architekta tego miejsca.

– Nasz grecki przyjaciel słynie ze swojego geniuszu i narzekania, a przecież tu jest tak pięknie – wbiła się w rozmowę jak komunistyczny przewodnik na wycieczce po Chinach.

– Całe życie sądziłem podobnie – powiedział Grek. – Mój mistrz uczył mnie, że piękno i dobro są tożsame. Nigdy nie dodał, że mogą się znudzić.

– Malkontent – mruknął siedzący przy sąsiednim stoliku jakiś chudy, pomarszczony gość o nieprzekonującej, skandynawskiej urodzie.

Wyglądał tak, jakby zamiast krwi miał w żyłach zimną wodę. Speszył się przy pierwszym spojrzeniu brodacza i przeniósł ze swoją filiżanką herbaty gdzie indziej.

– Problemy z kobietami – wyjaśnił z uśmiechem Grek. – Stąd ta jego religijność. Skutek represyjnego wychowania i kompleksu ojca. Zygmunt lepiej by ci to wyjaśnił, ale on jest zupełnie gdzie indziej.

– Jak mam rozumieć tego architekta? Jesteś jakimś boskim doradcą czy coś?

– Bynajmniej. Mieszkam na najniższym poziomie i nie biorę udziału w wyścigu szczurów. Chrześcijanie sprzedali mój pomysł. Zbyt wielu ludzi uwierzyło, idea zyskała dyspozycję do istnienia i stąd cały bałagan. Zostałem tu zaproszony na zasadzie zadośćuczynienia za naruszenie praw autorskich czy coś takiego.

– Nie podoba ci się? – zapytałam.

Niech Grek opowie mi o tym, o czym Beatrycze zdecydowała się milczeć.

– Gdyby tylko trzymali się planu – rozmarzył się brodac. – Ale nie, trzeba było oczywiście wprowadzić własne modyfikacje i wszystko spierdolić.

– Bardzo pana proszę. – Twarz Beatrycze przeszła już wszystkie odcienie czerwieni.

– Cóż złego jest w winie, śpiewie i rozkosznym towarzystwie młodych chłopców?

– No właśnie, cóż w tym złego – włączyłam się zadowolona, że tajemnica się wyjaśniła.

Z moim talentem nic się nie stało. To kolega Grek grał, że się tak wyrażę, do tej samej bramki.

– Bez grzechu, walki i cierpienia to miejsce jest pustynią nudy, moja droga – wyjaśniał głosem wykładowcy brodac.

Zrobiło mi się go trochę żal. Pewnie niewielu ludzi jego profesji, podobnie jak mojej, tutaj trafia. Biedak nie ma z kim pogadać.

– Co w takim razie robią zbawieni ludzie? Liżą lizaka przez papierek? Odwiedzają żyjących, jak my teraz? Oglądają ich życie jak seriale?

– Ludzie czystych serc w Raju rywalizują o boską miłość – odparła wyuczoną formułką Beatrycze.

– Dziwne. Do tej pory myślałam, że od tego mamy kościół.

Tak skończyliśmy naszą filozoficzną dyskusję. Grek wybrał się na koncert Mozarta, Beatrycze osiągnęła granicę wytrzymałości nerwowej. Postanowiłam dać biednej dziewczynie wytchnąć. Siedziałyśmy w milczeniu nad kieliszkami wina. Gadka kleiłaby się bardziej, gdybyśmy się mogły nim upić. Słońce już całkiem zniknęło w mętnej wodzie weneckich kanałów. Zaczęłam się zastanawiać, kto właściwie załatwił mi bilet w jedną stronę do krainy wiecznej szczęśliwości. Miałam wielką ochotę mu za to osobiście podziękować. Do tej pory coś takiego jak „ochota” w życiu Sandry odgrywało rolę dominującą. Nie widziałam powodu, żeby śmierć miała to zmienić.

Przez parę dni (może przez parę tygodni, trudno bez porannego kaca mierzyć upływ czasu) zajmowałam się kontemplacją przyjemnych stron bycia martwą. Byłam pod murami Taj Mahal, kiedy kamienie mieniały się mnogością kolorów i odcieni zachodzącego słońca. Oglądałam śpiącego na sawannie tygrysa ze śladami krwi na gęstym, żółtym futrze. Leżałam na gorącym piasku Sahary w samo południe nie czując mdłości ani pragnienia. Nurkowałam między gotyckimi wieżycami z lodu głęboko w arktycznym morzu i ściagałam się z pingwinami, kto pierwszy dotrze do brzegu. Spałam w najlepszych hotelach i zwiedzałam slumsy Bogoty. Na moich oczach rozstrzelano ludzi w imię Boga, demokracji i innych podejrzanych spraw. Nocowałam w Luwrze, dochodząc do wniosku, że zabezpieczenia antywłamaniowe robią na mnie większe wrażenie niż obrazy. Odwiedziłam też znajomych i ciężko przeżyłam to, że zbyt rzadko mnie wspominali. Wszystko docierało do mnie wygodne, bezpieczne i po niebiańsku antyseptyczne. Nie czułam rozkoszy w burdelach i strachu w zaułkach. Nie chciało mi się pić na pustyni, nie zmarzłam na biegunie. Taka miała być moja wieczność, bez niewygody, ryzyka, cierpienia. Raj był

bezpieczny i gwarantowany, a dzięki temu wszystkiemu również kurewsko nudny. Mgiełka zapomnienia, która otaczała wszystko, co w mojej przeszłości było grzeszne (połowa czasu spędzonego na ziemi, wliczając posiłki i sen), wolno rzedła.

* * *

Do Tangeru zabrał mnie Pan Poeta. Nie wiedziałam jeszcze dobrze, o co mu chodzi, dlatego się zgodziłam. Beatrycze wybrała się z nami, bo ciągle czuła się za mnie odpowiedzialna. Nie wiem, jaka nagroda czekała ją za to, że będzie moim przewodnikiem, ale nie ułatwiałam jej roboty. Pan Poeta wpadł na nas w którejś z knajp, gdzie wieczorami przyglądałam się tęsknie pijakom oraz prostytutkom. W tym czasie udało mi się już pozbyć pachnącej wieczną świeżością białej szmaty. Wystarczyło o tym pomyśleć. Przypomnieć sobie siebie w nieco wygodniejszym ubraniu, w lepszy dzień, kiedy krew jeszcze krążyła w żyłach. Teraz zwiedzałam zaświaty w białych trampkach, wytartych džinsach i rozciągniętym T-shircie z Tomem Waitsem. Nie każda dziwka nosi szpilki i siatkowe pończochy.

Pan Poeta miał na sobie czarny golf, palił fajkę. Jego łysiejące czoło, wystający brzuch i zapadnięta klatka piersiowa budziły we mnie współczucie, które skrzętnie wykorzystał. Za życia był literatem. Pisał scenariusze do seriali. Za zarobioną w ten sposób kasę publikował tomiki, w których uważał się na egzystencjalny ból, metafizyczny niepokój i to, że od wielu lat jego gra wstępna polega na całowaniu samego siebie po rękach. Niebo wykastrowało go tak samo jak mnie i całą resztę zbawionych, ale znalazł sposób na odreagowanie życiowej abstynencji. Opowiedział mi o sobie. A raczej opowiadał mi o sobie, bo detale się zmieniały, ilość fanów i traumatycznych wydarzeń w życiu, artystycznych objawień oraz złamanych serc rosła. Nawet Beatrycze nie zdobyła się na uprzejmość, żeby wysłuchać go do końca. Ten bar był zbyt dobry na takie gadki. Jak to się stało, że taki nudziarz jest w Raju? Kolejna biurokratyczna pomyłka? Wiedziałam, że trafił tutaj, bo żadna z jego opowieści nie była prawdziwa. Grzeszył myślą i mową, ale nie czynem. Zamiast tego pisał wiersze.

* * *

Tanger jest miastem słońca. Wzniesione przez piratów kamienne warownie przez wieki broniły do niego dostępu od strony oceanu. Skaliste wybrzeże wbijało się głęboko w przejrzystą wodę. Miasto zostało podbite dopiero w dwudziestym wieku, w drodze stopniowej migracji wyrzutków społecznych z całego świata. Najpierw zniszczeni życiem, ścigani przez prawo bitnicy z Borroughsem na czele (raczej nie spotkasz ich tam, gdzie teraz jestem), potem hipisi próbujący tu zbudować zamek na piasku miłości bliźniego. Cała banda przemytników, dziwek, paserów, złodziei, nałogowców, bezrobotnych aktorów oraz korpów, którzy wreszcie przejrżeli na oczy. No i duchy takie jak my.

Brzuch wieloryba pasował do tego miasta jak ja kiedyś. Wnętrze knajpy spowijał mrok gęsty od haszyszowego dymu. Nie wynaleziono jeszcze takiego szkodliwego

specyfikę, którego nie mógłbyś tu dostać spod lady. Schodząc pierwszy raz po stromych, kamiennych schodach, masz dużą szansę, że wyjdiesz stąd szybciej, niż byś sobie życzył. Jeśli jednak uda ci się dogadać z miejscowymi, czeka cię najlepszy jazzowy koncert w życiu. Większość uzależnionych od heroiny, kiedyś wielkich, a teraz zupełnie szalonych artystów trafiała tu prędzej czy później. I bardzo dobrze, bo w niebie słuchałam tylko muzyki klasycznej, od której chciało mi się już rzygać. Jazz, rock, blues, kabaret, funk i rap nie były zakazane, ale wszyscy najlepsi wykonawcy znaleźli się gdzie indziej.

Show me the way to the next whiskey bar – śpiewała z silnym, niemieckim akcentem posągowa blondyna.

Piosenka Weila przypomniła parę rzeczy, sprawiła, że..

If we don't find the next whiskey bar.

...zrobiło mi się nostalgicznie. Mgła rajskiej amnezji rzedła.

I tell you we must die, I tell you, I tell you...

Znowu chciałam sobie szkodzić. Tęskniłam za rozkoszą, smutkiem, kacem, nocnymi wędrówkami donikąd.

We must die!

Doigrałam się. Zostałam skazana na rolę obserwatorki, na rajskie ogrody i cały ten szajs. Co mogą wiedzieć o życiu ludzie, którzy tutaj trafili?

Show me the way to the next pretty boy...

Oczywiście brakowało mi również innych rzeczy. I ludzi. Dokładnie: jednego człowieka.

– Wychodzę – oznajmiłam Panu Poecie i Beatrycze. – Dość tego pozerstwa.

– Dokąd się wybierasz? – zagaił literat.

– Nie twój jebany interes.

– Tak nie wolno – zaperzyła się Beatrycze. – Za to można tu dostać punkty karne, stracić swoje miejsce w kolejce...

– Wiem, wspominałaś już. I tak mieszkam na najniższym poziomie, a wyrok sądu ostatecznego chyba ciężko cofnąć, co?

– Są jeszcze aniołowie. Jest Serafin – broniła się Beatrycze.

– Za życia nie bałam się nawet dużo lepiej wyposażonych facetów, jeśli wiesz, o czym mówię. Żaden transwestyta nie będzie mnie rozstawiał po kątach.

Byłam zła na nich, na siebie i zupełnie bez powodu. W końcu fuksem trafiłam do nieba. Zdobyłam najwyższą nagrodę. Pozostało tylko znaleźć pomysł, jak to wszystko spieszyć.

* * *

Sporo czasu spędzałam w domu. Używam tego słowa z braku lepszej nazwy. Wiesz, jak to jest z książkami, których przeczytanie odkładasz na później, aż stos na szafce nocnej piętrzy się i służy jako podstawka do kawy? Nawet tutaj nie udało mi się nadrobić zaległości, bo większość tytułów była niedostępna. W niebie nie ma miejsca na grzech, a wszystkie dobre książki opowiadają o grzechu, większość z nich napisali grzesznicy i nawet lektura może cię zbliżyć do piekła, więc lepiej uważaj.

Stał pod moim domem, na ulicy jak z impresjonistycznego obrazu, oświetlony blaskiem unoszących się w powietrzu, przebyskujących setką barw kul. Nie ukrywał się. Gdyby chciał się ukryć, nigdy bym go nie zobaczyła. Długie srebrne włosy zaczesał gładko do tyłu, światło magicznych latarni podkreślało zarys kości policzkowych. Idealnie skrojony garnitur leżał idealnie na jego idealnym ciele i było tego zbyt dużo, tak jak przymiotników w tym zdaniu.

– Nie sądziłam, że się jeszcze zobaczymy, Serafinie. W Raju muszą odpoczywać już teraz dziesiątki milionów ludzi. Jakie są szanse?

– Raj to inny wymiar rzeczywistości. Jedyne prawdziwe wymiar. Niezmacony iluzjami czasu i przestrzeni.

– Świetnie. To znaczy, że chciałeś mnie spotkać.

– Chciałem ci powiedzieć, że nie powinnaś tu być. To pomyłka. Przejaw miłosierdzia, który cynicznie wykorzystałaś do swoich celów. Raj to nie miejsce dla kurew.

– Przekleństwo z pewnością będzie cię kosztować parę punktów. Tych punktów, których już nikt nie liczy. Poza tym nie jestem kurwą, tylko aktorką. Aktorką filmów dla dorosłych, emerytowaną w dodatku. Myślisz, że prosiłam o przydział tutaj? Czemu akurat katolicy, co? Czemu nie pełna przystojnych Indian kraina wiecznych łowów albo Valhalla z nieokiełznanymi wikingami? Każda inna wizja wiecznego odpoczynku wydaje mi się teraz bardziej pociągająca. Nie wiem, dlaczego tu trafiłam. Za to tobie wyraźnie przeszkadza, że Sąd Ostateczny jest... ostateczny i nie masz za dużo do gadania. Co zrobisz? Zetniesz mnie swoim ognistym mieczem. Dopuszczysz się aktu przemocy w Raju?

– Niebo pozostanie wolne od przemocy – powiedział cicho – ale niebo to nie jedyny wymiar rzeczywistości. Pamiętaj o bliskich, których pozostawiłaś na ziemi.

– Nie mam żadnej rodziny – odparłam, udając, że jego słowa nie zrobiły na mnie wrażenia. – Ani tu, ani tam.

– Na szczycie góry znajduje się Biblioteka Aleksandryjska. Nasza wersja. Każdy człowiek, nawet najmniej znaczący i najbardziej podły, ma tam swoją księgę. Da się sprawdzić, czy istnieje ktokolwiek na tamtym świecie, na kim ci zależy. Rozumiesz? Tu chodzi o sprawiedliwość.

– Robisz to dla mojego dobra, tak? Gdybyś mógł przeczytać mój życiorys, już dawno byś to zrobił. Kto wie, może zrobiłeś. Nie pasuje ci, że tu jestem? Idź na skargę do Szefa. Słyszałam, że ostatnimi czasy trudno się do niego dostać. Nawet wam. Trochę to niepokojące. Ta cała siła wiary, z którą w dwudziestym pierwszym stuleciu nie jest zbyt dobrze. Raj istnieje tylko dzięki niej, prawda? Może w takim razie to my stworzyliśmy was, a nie odwrotnie?

– Błędnie, kobieto – warknął Serafin.

Udało mi się zdenerwować anioła.

– Chyba powinieneś już wrócić do swoich obowiązków, strażniku. Bo ten domek z kart bez was się rozsypie. Nie ma nikogo innego, żeby go pilnować.

Przeziębłam. Wiedziałam o tym. Uraziłam jego dumę, a mimo swojej anielskości gdzieś tam w środku był facetem, więc tego nie zapomni. Nawet jeśli tutaj nie ma nade mną władzy, zrobi wszystko, żeby się zrewanżować. Poniosło mnie i trudno. Miałam ochotę rozpieprzyć im tę całą wioskę Smerfów. To, co dla jednych jest rajem, dla innych będzie niekończącym się czekaniem na autobus.

Wkurwiony Serafin też powiedział za dużo. Biblioteka Aleksandryjska. Aniołowie nie mogą się raczej włamywać do takich miejsc, prawda? Co innego martwe... aktorki. Jak jesteś martwą aktorką, to gorzej być nie może. Już bardziej nie spieprzysz swojej reputacji i naprawdę niewiele może ci zaszkodzić.

Pożegnałam go z uśmiechem, czując podniecający dreszcz, który w moim życiu zawsze poprzedzał katastrofę.

* * *

Żadne z poznanych do tej pory miejsc na ziemi nie relaksowało mnie tak bardzo jak praskie stare miasto. Praga była jedyną europejską stolicą, gdzie ludzie się w widoczny sposób nie spieszyli. Nie fotografowali wszystkiego i nie próbowali wszystkiego zeżreć. Do Warszawy nawet nie chciało mi się zaglądać.

Wieczór był senny, powietrze pachniało rozgrzaną słońcem skórą, marihuaną, wakacjami. Tęskniłam za tym, snując się Złotą Uliczką, dla zabawy pokazując swój rozmazany w lustrach kontur dzieciom, które uciekały z płaczem. Lustra i koty. Przy odrobinie koncentracji można było ukazać się jako rozmyta plama jakiejś poprawiającej makijaż panience. Koty rozpoznawały nas zawsze, traktując z pobłażliwą ignorancją, tak jak wszystko inne na tym świecie, co nie pędzi wprost na nie z wyszczerzonymi kłami.

Ponure rozmyślenia przerwało coś okrągłego i zasapanego, przelatując wprost nad moją głową i przenikając z rozpędu ze dwie ściany.

– Kurwa mać – powiedział skrzydlaty dzieciak, zbierając się z ziemi.

– Jesteś aniołem? – zapytałam zdziwiona widokiem niespełna metrowej, okrągłej istotki.

– Tak, nazywam się Amor. Jestem aniołem, chociaż reszta gości ze skrzydłami niechętnie to przyznaje. Coś ci nie pasuje?

– Nie przepadam za aniołami.

– Wiem. Słyszałem o twoim incydencie z panem S. Nie martw się, ja też ich nie lubię.

– Myślałam, że wy wszyscy jesteście... No, wiesz...

– Ładni? A czego według ciebie mi brakuje?

– Metra wzrostu. Roku na siłowni. Wizyty u fryzjera.

– Kiedyś widziano to inaczej. To nie moja wina, że za modą tak trudno nadażyć.

Poza tym nie jestem otyły.

– Nikt nie powiedział, że jesteś.

– Ale tak właśnie pomyślałaś, prawda? Mały, gruby, ze skrzydełkami.

– Za to potrafisz latać – pocieszyłam go.

– Tylko na krótkie dystanse. Wiesz, ile się trzeba namachać takimi małymi

skrzydłami? Ale to nie jedyny dopust boży. Zaprawdę, niezgłębione jest poczucie humoru naszego Pana.

– Chyba już wiem, dlaczego reszta ekipy cię nie lubi.

– Bo to smutasy. I pozerzy. Nikt z nas już od lat nie widział Szefa, a oni ciągle zapierdalają jak króliczki z reklamy Duracella. Wobec nich też był złośliwy. Wyobraź sobie, jakie to musi być uczucie: wyglądać jak model Calvina Kleina, mieć te wszystkie nadprzyrodzone moce i wypasioną chatę w samym centrum nieba, brakuje tylko jednego... – powiedział Amor. Z jego dziecięcego gardziółka dobył się zachrypnięty, pełen złośliwej satysfakcji rechot. – Ja jestem w lepszej sytuacji. Ma co prawda trzy centymetry i jest zupełnie nieużyteczny, ale zawsze można pomachać w powietrzu, co nie?

– Jesteś maniakiem seksualnym.

– Skrzywienie zawodowe, powinnaś to zrozumieć – odparł.

Przez całą naszą rozmowę ani razu nie spojrzął mi w oczy. Rozwalony jak kot na parapecie cały czas wpatrywał się w moje cycki.

– Fajne, nie? – zapytałam, zapinając kurtkę. – Fajne, ale moje.

– No i co z nich teraz za pożytek, mała? Już lepiej byłoby im w piekle.

– Też czasem dochodzę do tego wniosku. Nie mam tu żadnych znajomych.

– Fakt. Sprawdziłem w księgach. Kiedy usłyszałem o spięciu z Serafinem, po prostu musiałem cię poznać.

– Bo wkurwiłam jakiegoś anioła?

– Nie, moje dziecko. Dlatego że pod wieloma względami powinienem być twoim patronem, twoim dobrym duchem. Świata potrzeba talentów.

– Co masz na myśli? – zapytałam ostrożnie.

Nawet jego słowa były oślizgłe.

– Jestem patronem miłości – powiedział, rozkładając z dumą ręce i skrzydła jak zboczeniec w parku.

– Widzę.

– Jestem niewidocznie obecny przy każdym jej przejawie. Żaden zgodny z wolą bożą akt miłosny nie obywa się bez mojego towarzystwa.

– Nie słyszę entuzjazmu w głosie.

– Wiesz, jaka to tortura dla anioła? Poza tym, tak jak powiedziałem – westchnął mały – „zgodny z wolą bożą”, czyli małżeński, klasyczny, bez oralu, klapsów, trójkątów, szarpania za włosy. Nuda. Nawet estetycznie to się wszystko słabo broni. Ale komu ja to mówię – zerknął na mnie z podziwem. – Gdybyśmy mieli więcej rozumu, uczylibyśmy się od hindusów. A my tylko Biblia i Biblia. Ile można czytać jedną książkę?

– Nie spotka cię tu czasem kara za takie gadanie? – zapytałam małego.

– I co mi, przepraszam, zrobią? Zdegradują? – Zarechotał grubym głosem – Zapewniam, że bardziej się już nie da. I mam święte prawo do frustracji. Wieczne życie, niech je cholera weźmie. Zamieniłbym się z każdym. Z każdym, rozumiesz? – W okrągłych oczętach pojawiły się łzy. – Bo co ja niby mam z tego życia? Moje życie to niemieckie kino porno przerobione na więzienie. Wieczność spędzona na

obserwowaniu kiepskiego seksu. Nie masz pojęcia, jak bardzo ludzie potrafią zepsuć taką prostą czynność. Wstyd, poczucie winy, nieśmiałość. Ja muszę na to wszystko patrzeć, powiewając swoim bezużytecznym, mikroskopijnym fiutem – wyrzucił z siebie i przysiadł na parapecie z oklapłymi skrzydełkami.

Pasował do małych, kolorowych kamienic Złotej Uliczki. O tej porze nie było na niej zwiedzających. Noc wokół nas zapadła ciepła i gęsta. Poczulałam instynktowną więź z niebiańskim wyrzutkiem, kolegą z branży.

* * *

Beatrycze nie wspomniała mi o bibliotece. Pewnie jako osoba wierząca uważała takie miejsca za duchowe zagrożenie. W rewanżu postanowiłam nie zabierać jej na swoją nocną wycieczkę. Tak, nocną. Projektant tego sanatorium zdecydował bowiem podtrzymywać iluzję zmian pór dnia i roku. Cieleśność również rządziła się ziemskimi prawami. Ramiona czasem cierpły, skóra pokrywała się potem, można się było potknąć, skaleczenia krwawiły przez krótką chwilę. Sądziłam, że chodziło tu o oddziaływanie psychologiczne. Ludzie czują się bezpieczni w powtarzalnych cyklach. Ze mną było inaczej. Dlatego po zapadnięciu zmroku, kiedy światło magicznych latarni ożywiało zieleń strzelistych buków w alei, a marmur ścian mojej rezydencji oddawał nagromadzone przez cały dzień ciepło, założyłam kaptur i skórzaną marynarkę. Za długo już było spokojnie.

Potrafię się poruszać cicho i błyskawicznie, pracując w moim biznesie szybko nabierasz kondycji. Budynek biblioteki mieścił się ponad chmurami, nie musiałam go długo szukać. Od czasu Aleksandra Wielkiego przeszedł chyba generalny remont, bo teraz wyglądał jak pałac z czołówki Disneya otoczony labiryntem ogrodu w stylu francuskim. Półmrok rozświetlały tu tylko strategicznie rozmieszczone łuczywa. Pomysł takiego oświetlenia w ogrodach, tym bardziej w bibliotece, wydał mi się absurdalny, ale hej, to w końcu było niebo. Nie spotkałam żadnych strażników. Każdy, kto tu trafiał, za życia wypracował sobie vipowską przepustkę do wszystkich atrakcji. Tyle że ogrodowy labirynt miał tylko jedno wyjście, a zrosnięte, cierniowe krzewy wyglądały naprawdę zniechęcająco. To mogło odstraszyć wszystkie grzeczne panienki z okolicy, lecz nie mnie. W dzieciństwie uwielbiałam wspinaczkę skałkową, wyjazdy w Jurę i te chwile, kiedy stojąc pod skalną ścianą, myślisz tylko o potencjalnych chwytach i miejscach odpoczynku. Koncentrujesz się wyłącznie na celu. Całe życie ze swoimi brudami i niejasnościami zostaje w mieście, kontrolę przejmują odruchy. Oczyszczasz się.

Wewnętrzne gałęzie były na tyle grube, żeby utrzymać mój ciężar, nogi wplotłam w chaszczę. Podrapałam się jak cholera, ale jutro nie będzie śladu po skaleczeniach. Białe wieże Biblioteki widniały ponad roślinnością. Nieustępliwie parłam w tamtą stronę. Przy wrotach wyglądałam już jak dzieciak, który zbyt często spada z drzewa. Cofnęłam rękę z mosiężnej klamki, stylizowanej na zupełnie nie-disneyowskiego węża, który wydał mi się podejrzanie ruchliwy. Wybrałam okno. Witraże z podobiznami świętych okazały się iluzją światła. Zeskoczyłam na kamienną podłogę. Zasady geometrii przestrzennej zdecydowały się najwyraźniej pozostać na zewnątrz.

Zastawione gigantycznymi półkami aleje ciągnęły się w każdą stronę jak ramiona ośmiornicy, niknąc w zakurzonym mroku. Spojrzenie na płataninę schodów ponad głową przyprawiało o mdłości. Były tam schody donikąd i schody dwustronne, schody jak pętla Möbiusa i niekończące się spirale, urwane w połowie albo ginące w przestrzeni. Wiodły do nowych półek z książkami. Można się tu było zgubić na zawsze i nigdy nie znudzić.

Wszystkiego pilnował tylko jeden człowiek. Stary i siwy, złamany wiekiem ślepiec w podartym szlafroku snuł się między półkami jak duch, którym pewnie był. Nie słyszał, kiedy podążałam w ślad za nim w poszukiwaniu własnej opowieści. Ufałam, że on jeden dostrzega w tym chaosie jakiś ukryty porządek. Taki obchód mógł potrwać wieczność, ale przecież właśnie wieczność mieliśmy do dyspozycji. Imiona i nazwiska. Nieskończona liczba liter składająca się w nieskończoną liczbę słów, nieoddających nawet w jednej setnej procenta tego, kim byli opisywani tu ludzie, z czego musieli zrezygnować, czego żalowali, kiedy śmierć przyszła po nich przedwcześnie. Zawsze przychodzi za szybko. Kogo musieli zapomnieć, żeby się tu odnaleźć? Kogo ja musiałam zapomnieć?

Poruszałam się bezszelestnie prowadzona przez ślepcę. Był pierwszą spotkaną przeze mnie w Raju osobą wiedzącą dokładnie, dokąd zmierza. Wędrówka się nie zużyła. Lubiłam zapach starych książek.

Oprawiono mnie w twardą okładkę. Złote litery na czerwonej skórze składały się w słowa: *SANDRA WID*. Ciekawe, ile te słowa jeszcze znaczyły na ziemi? Moje filmy. Mam nadzieję, że pozostawiłam po sobie dużo zabawy wielu chłopcom.

Niezauważona czekałam cierpliwie, aż bibliotekarz się oddali. Szuranie kapciami cichło, wreszcie umilkło zupełnie. Wtedy ściągnęłam książkę z półki i niecierpliwie otworzyłam na ostatniej stronie. Za daleko. Okazało się, że moje rajskie przygody nadal są tutaj spisywane. Aktualizowane na bieżąco. Przez nieskończoną ilość czasu, na niezliczonych stronach. Biblioteka Aleksandryjska była jak cmentarze wielorybów na Morzu Sargassowym. Opowieści przychodziły tutaj, żeby umrzeć. Nie wszystkie. Życiorysy były cenzurowane. Pewnie piekło miało taką samą bibliotekę, w której opisano resztę. Tu były tylko fragmenty mieszczące się w standardach dziesięciu przykazań, dlatego moja książka wydawała się w porównaniu z pozostałymi bardzo cienka.

Nie było nic o okolicznościach śmierci, która w takim razie również musiała być plugawa. Tylko powracające parę razy nazwisko: Bronisław Kaczorowski. Bruno? Rozejrzałam się niespokojnie. W korytarzu panowała cisza.

Jeszcze raz rzuciłam okiem na finał. Ostatnie jak do tej pory zdania w księdze brzmiały: *Bibliotekarz odchodził powoli z rozmarzonym uśmiechem na zwiędłych ustach. Tak dawno już nie czuł zapachu kobiety.*

Matka noc

Bytom jest specyficznym miastem. Według legendy ciąży nad nim przekleństwo

zameczzonego wieki temu biskupa. Żyła spędził tu całe dzieciństwo i musiał przyznać, że w odróżnieniu od innych rzeczy, do których mieszał się duchowni, kłątwa sprawdzała się świetnie. Na lokalny koloryt składała się tu kwitnąca przestępczość, bezrobocie oraz rekordowa korupcja w urzędzie miejskim, gdzie prezydent sam już zapomniał, z jakiej partii jest i dlaczego w ogóle jest. Żyła uciekał stąd wiele razy. W swoich zawodniczych latach udało mu się zjeździć pół świata, ale zawsze wracał. Czasem przypadkiem, czasem wbrew sobie. Wiedział, że ma to miasto we krwi. I że kiedyś będzie mógł się o tym naocznie przekonać.

Każda metropolia ma swój symbol. Wieże, mosty, zamki, pomniki, poukrywane w dziwnych miejscach krasnoludki albo brzydki, wybudowany od czapy w środku miasta pałac. W Bytomiu niepowtarzalne były bramy. Wiecznie zacienione, zalane moczem, z tynkiem odłóżającym płatami z zagrzybionych ścian, brudnymi dzieciakami, które spędzały w nich całe noce, bo w domu było gorzej, ze starymi, grubymi babami rozpartymi na parapetach, obserwującymi czujnie. Te kobiety widziały już naprawdę wszystko, ale milczały przy obcych. Z obcymi się nie gada. Swoje brudy każdy pierze w czterech ścianach. Aż do przyjazdu karetki. Kamienice zamazane przekleństwami i nazwami lokalnych drużyn piłkarskich (lepiej je znać), zaślepione okna, całoroczne kałuże, schody donikąd i potłuczone butelki – wszystko w oczach Żyły budowało klimat miasta. Nawet przed sobą nie przyznałby się, że w głębi duszy zdążył przez te wszystkie lata je polubić.

Przed klatkami gromadzą się młodzi żule w kapturach i starzy menele bez zębów – dwa podstawowe stadia tutejszej ewolucji. Młodzi żule bijają czasem starych meneli i zabierają im zasiłek. Po paru latach orientują się ze zdziwieniem, że teraz oni będą bici. Nie wszystko w życiu Żyły ułożyło się pomyślnie, ale tego przynajmniej udało mu się uniknąć.

Kiedyś w oldskulowym barze poznał starego pijaka o ksywie Suchy. Facet był prawdziwym zawodowcem. Pił wszystko, ale najbardziej lubił zołądkową gorzką, bo twierdził, że po niej rano nie śmierdzi nieprzetrawionym alkoholem. Żyła wziął sobie tę radę do serca. Suchemu łapy trzęsły się tak, że nie potrafił dotransportować kieliszka do ust. Radził sobie z typową dla siebie klasą. Wokół nadgarstka obwiązywał pętlę krawata, który przeciągał za szyją, trzymając końcówkę w drugiej ręce. Ciągnąc miarowo, tworzył rampę, po której kieliszek w ustabilizowanej pętli dłoni dojeżdżał bezpiecznie do miejsca przeznaczenia. Ten właśnie facet w zamian za kolejkę podzielił się z nim kiedyś pewną historią. Gdyby Żyła miał wydać folder reklamowy swojego miasta, wrzuciłby ją na pierwszą stronę zaraz obok zdjęcia rozpadającej się kamienicy. W jego pamięci cała akcja, autentyczna zresztą, odtwarzała się niczym niemy film, udowadniając, że w perspektywie czasu każdy dramat kiedyś stanie się komedią.

Love story

ON wychodzi z pierdla i pierwsze kroki kieruje do NIEJ. ONA stęskniona otwiera

mu drzwi. Piją. Dzieje się. W trakcie aktu miłosnego kochanka wyznaje, że jej wola w trakcie rozłąki nie była tak silna, jak można by oczekiwać. Uległa pokusie. Dała się zwieść uwodzicielowi. Pękła. Mężczyzna niesiony gniewem (nago, ze wzwozem) biegnie do kuchni i wraca z siekierą do rąbania kotletów (taką, która z drugiej strony ma tłuczek). Jak łatwo się domyślić, pakuje JEJ narzędzie kuchenne prosto w łeb. Potem nagi, z zakrwawioną bronią (chyba już bez wzwozu) wybiega na ulicę Piekarską. Na odcinku kilometra dopadają go gliniarze. Zakrwawiona siekiera na Piekarskiej mogłaby spokojnie przejść, ale bieganie nago przed dwudziestą pierwszą nie uchodzi. ON trafia tam, skąd wyszedł. Nie trzeba nawet zmieniać pościeli na więziennej pryczy. Przy odrobinie szczęścia załapie się na kolację o ósmej.

ONA w nieprzeźrocystym worku zostaje odwieziona do kostnicy. Po drodze worek zaczyna się ruszać. Szpital Górniczy znajduje się rzut kamieniem od Piekarskiej, ale portier przy drzwiach ma coś przeciwko wwożeniu tam trupów, nawet takich, które się ruszają. Interwenują lekarze. Doktor operujący na otwartej (niezbyt precyzyjnie) czaszce jest wyraźnie zdenerwowany. Do tego stopnia, że rura intubacyjna zamiast do płuc trafia do pełnego gazów i nieprzetrawionej wody żołądka. Eksplozja wymiocin pokrywa ściany i twarze wszystkich uczestniczących w medycznym cudzie. Potem czaszka kobiety zostaje połatana, skóra zszyta. ONA wychodzi z tego cało.

Żyła mieszkał w Bytomiu przez większość swojego życia. Znał tutejsze zwyczaje. Klótnie zdarzają się w każdym związku. Szedł o zakład, że do siebie wrócili.

* * *

W odróżnieniu od innych gałęzi handlu, dragi sprzedawały się bardzo dobrze. Żyła zawsze uważał, że to na swój sposób uczciwy biznes. Dostajesz to, za co płacisz, bez marketingowej ściemy. Produkt sprzedaje się sam. A jak coś nie pasuje, sprawę załatwia się ekspresowo, bez sądu i rzecznika praw konsumentów. W Bytomiu istniało kilka dużych hodowli marihuany, o których wiedział (najbardziej zanieczyszczonej, a przez to najmocniejszej na rynku), jedna fabryka amfetaminy (zbyt głównie na rynku niemieckim) oraz kilkanaście pustych mieszkań ze zbrojonymi drzwiami, gdzie składowano towar.

Sekretem przetrwania w tym niepewnym środowisku była ograniczona ilość bezpośrednich kontaktów. Doświadczenie uczy, że na psiarni każdy sypie, a najwięcej ci, którzy wcześniej krzyczeli „jebać konfidentów”. Dlatego, zamiast zwiększać sprzedaż, w tym biznesie należało raczej hamować jej gwałtowny wzrost. Żyła lubił Barona, bo Baronowi nie trzeba było tego wszystkiego tłumaczyć. Obaj wywodzili się ze starej ekipy, rozumieli się bez słów. Przyglądając się nowym nabywcom, doszedł do wniosku, że niewielu takich pozostało.

Spotkanie odbywało się w zrujnowanym mieszkaniu, które Baron wynajmował specjalnie na podobne okazje. Kanapa w dużym pokoju była zakurzona, sterczały z niej sprężyny. Tapeta obłaziła płatami, ze ściany straszyl święty obrazek. Słyszac, że mają gości, szczury pochowały się po kątach.

Żyła nie był zachwycony dylem. Przez parę lat trzymali się wyłącznie handlu

ziołem i mieli spokój. Policja przymykała oko na marihuanę, nabijając sobie statystyki wyłapywaniem licealistów. Mefedron pojawił się w hurcie parę miesięcy temu jako towar niepewny, a Żyła był już za stary na więzienie. Jedna dziara na nadgarstku wystarczyła. Za nic nie chciał tam wracać, ale każdy pod celą tak mówi. Towarzystwo Barona świadczyło o jego niekonsekwencji.

W milczeniu obserwował zaciskające się mimowolnie szczęki interesantów. Wyglądali jak debile z siłowni i byli debilami z siłowni. Niespokojni, nie wiedzieli, co zrobić z rękami. Przygryzali usta i drapali się od czasu do czasu po byczych, pokrytych trądzikiem karkach. Żyła znał te objawy. Sam przez całe życie trzymał się z dala od amfetaminy, lecz potrafił rozpoznać ćpuna. Goście pewnie od roku jechali na diecie złożonej z fety, koksów i kebabu. Dwa wielkie, agresywne kawały mięsa.

Baron od pierwszego wejrzenia zyskał sobie ich szacunek, bo wyglądał rzeczywiście jak romski baron. Ucieleśniał najbardziej prymitywne stereotypy na temat Cyganów. Nosił pierścienie, marynarkę za dwa tysiące i wypomadowane wąsy, bo w takim mieście budziło to szacunek. Znali się nie od dziś. Żyła wiedział, że Baron został adoptowany i wychował się w śląskiej rodzinie, której do dziś pomagał finansowo. Ubierał się tak dlatego, że w Bytomiu żule bali się Cyganów. Zastraszanie każdego z osobna byłoby zbyt pracochłonne.

Klienci próbowali z całych sił zachowywać się przyzwoicie. Na Żyłę patrzyli z lekkim niedowierzaniem. Rozumiał to. Parę lat temu przekroczył czterdziestkę. Lokalna sława minęła i teraz nikt już nie pamiętał, kim kiedyś był. Pozostały mu tylko blizny, połamane zębra, strzaskane kolano oraz parę medali, które pogubił w kolejnych wynajmowanych mieszkaniach. Chudy i pomarszczony, z potarganymi, siwiejącymi włosami i papierosem w kąciku ust, nie wyglądał na sportowca i był co najmniej dziesięć lat starszy od każdego w tym pokoju. Nie zastanawiał się, co kiedyś poszło nie tak. Znał odpowiedź.

– Weźniemy tysiąc – powiedział największy z czterech kwadratów i prawie się poślinił.

Cygan nie odpowiedział. Kiwnął tylko głową. Żyła wyjął ze sportowej torby foliowy worek i rzucił na stół. Baron skrycie zazdrościł gangsterom z amerykańskich filmów, którzy do każdego dila dodawali piękną walizkę z cielejącej skóry. On dodawał reklamówki z Tesco. Jaki kraj, taki człowiek z blizną.

– Siedem za grama – powiedział niby od niechcienia, ale trochę niepewnie „kark”.

Baron westchnął. Żyła zgasił papierosa. Spodziewali się czegoś takiego w ostatniej chwili.

– Dziesięć – odparł spokojnie Baron – Dziesięć złotych polskich za gram. Taka jest hurtowa cena mefedronu obecnie i na tyle się umawialiśmy.

– Wyrównamy ci następnym razem – wybelkotał duży z mieszaniną groźby i prośby w głosie.

Ten mniejszy zwracał się do niego per „Silny”. Co za towarzystwo.

Żyła zaklął w myślach. Mef to zły pomysł – można się było spodziewać. Dilerzy marihuany palą marihuanę, dlatego są rozsądni. Rozbudzona narkotykiem wyobraźnia podpowiada im, co by się stało, gdyby przestali tacy być. Dilerzy

amfetaminy ćpają amfetaminę, dlatego są nieprzewidywalni. Włącza się kapitan Kozak. Poza tym gniją im zęby. Żyła obiecał sobie, że po wszystkim musi poważnie pogadać z Baronem. W tym mieście i w tej branży jeden nieostrożny krok wystarczy, żeby potem wspominali cię słowami: „Pamiętacie, był kiedyś taki gość...”. Dogadując się z tymi ćpunami, właśnie obaj wykonali nieostrożny krok.

– Niczego mi nie wyrównacie, bo za siedem niczego ode mnie nie dostaniecie – wyjaśnił spokojnie Baron.

Zawsze zachowywał zimną krew. Był w biznesie już wtedy, kiedy ci koledzy mieli przed sobą jeszcze jakąś przyszłość, i zakładał, że będzie długo po tym, kiedy ich nazwiska wypłyną w rubryce kryminalnej *Życia Bytomskiego*.

– Teraz nie ma się co wykupiać. Piniędze są na stole, to i towar mo być.

Słuchanie Silnego było jak oglądanie Brada Pitta w *Przekręcie*. Rozumiałeś tylko połowę wypowiedzi. Żyła cofnął się o krok, zapewnił sobie stabilną pozycję i odetchnął głęboko. Dla niego zapowiadał się ciężki dzień w pracy.

– Za siedem dilu nie będzie. Kupcie sobie tussipect w aptece albo butapren w drogerii. Pogadamy, jak dorośniecie – powiedział z uśmiechem Baron.

Nigdy się nie gniewał. Od tego miał Żyłę.

– Możem się założyć – Silny sięgnął za plecy.

Żyła właśnie wkładał papierosa do ust. Nie wypluł go nawet wtedy, kiedy wpadł w gościa prostą dźwignią na łokieć, powstrzymując go od wyjęcia tego, co najwyraźniej nosił za paskiem od spodni.

– To jest chwila, która zmieni twoje życie – oznajmił, przyciskając typa do ściany. Święty obrazek gruchnął o podłogę, ale nikt się tym nie przejął. – Na lepsze lub na dużo gorsze – dodał, zasłaniając się barkiem przed spodziewanym ciosem w szczękę.

Silny przemyślał swoją sytuację i skalkulował szybkość reakcji Żyły. Cios nie nadszedł.

– Niech wam bydzie. Weźniemy za dychu – zgodził się łaskawie, żeby uratować resztki szacunku w oczach kumpli, którzy jak do tej pory nawet nie drgnęli.

Żyła puścił typa i spokojnie wrócił na miejsce. Według niego słowo „szacunek” nie powinno nawet pojawiać się w jednym zdaniu z imionami tych panów.

– Oczywiście, że weźmiecie. – Baron kiwnął głową.

Też nie przepadał za ludźmi, którzy uczą się dilować z filmów. Ta branża, jak wiele innych, schodziła na psy.

Chłopcy po raz ostatni dostali towar i szybko się pożegnali. Żyła śledził ich z okna, kiedy maszerowali całą szerokością ulicy. Westchnął, spoglądając z wyrzutem na swojego szefa.

– Wiem, wiem – mruknął przepaszająco Baron. – To był błąd. Zakapują nas przy pierwszej okazji i trzeba się będzie znowu opłacać. Kiepski interes. Nie powinienem w niego wchodzić. Nie musisz mi nic mówić.

– Przecież nic nie mówię. – Żyła dalej patrzył z wyrzutem.

– Trochę na nich zarobiliśmy.

Żyła milczał.

– Dobra, dobra. Nic nie mówisz, ale wiem, czego nie mówisz. Damy sobie spokój

z tymi cwelami, obiecuję. Chodźmy gdzieś zapalić. Albo do kina. Kiedy ostatnio byłeś w kinie, Żyła?

Wyjście z kamienicy zostało zablokowane przez bandę gimnazjalistów. Dochodziła osiemnasta. Słońce czerwieniało nad kopalnianymi szybami i dachami zrujnowanych kamienic z połowy dziewiętnastego wieku. Tym właśnie był Bytom. Blaknącym wspomnieniem bezpowrotnych chwil. Wieczorem przypominał raczej plan filmu George'a Romero. Wszyscy mijani na ulicach bełkotali i mieli problemy z chodzeniem.

Żyła przeprosił i rozepchnął nastolatków. Któryś rzucił coś o „ciapatych” i próbował być odważny.

– Wyskakuj z kasy, dziadu. Twój kolega, brudas, też.

Zdziwienie odebrało Baronowi głos.

– Zobacz, stary – Żyła uśmiechnął się – wychodzimy na spokojnie z takiego kotła, a pod klatką próbują nas skroić dzieciaki. To się nazywa ironia losu.

– Nie. – Cygan pokręcił smutno głową. – To jest właśnie postęp, bracie.

– Ja ci pokażę, co robię z takim postępem – odpowiedział ochroniarz i przedłużonym lewym prostym zdzielił w ucho pierwszego z brzegu szczeniaka.

Dziewięćdziesiąt kilo poleciało na bruk, rozbijając sobie paskudnie łuk brwiowy o krawężnik.

– Mama was nie nauczyła kultury, to ja was nauczę, gnoje – podpałił się Żyła.

Baron wiedział, że nawet święty ma prawo się czasem zdenerwować, więc spokojnie obserwował ochroniarza biegnącego tam i z powrotem po bramach i zaułkach. Rozdzielającego ciosy w wątrobę, potylicę i gdzie popadnie.

– Trochę przypominało końcówkę Benny Hilla – podsumował, kiedy bokser wrócił, sapiąc jak lokomotywa. – Ciągłe w formie, co?

– Za dużo palę. I za dużo z tobą przebywam. To nie może być zdrowe.

Kwadrat pomiędzy ulicą Mickiewicza a Piekarską był ziemią niczyją jak z postapokaliptycznego filmu. Gliniarze już dawno przestali tu zaglądać. Pozostała po nich tylko kamienna tablica na skrzyżowaniu, z datą, nazwiskiem i adnotacją, że sierżant taki to a taki zginął tu na służbie. Żyła zawsze robiło się przykro, kiedy ją mijał. Grali do przeciwnych bramek, ale doceniał policjantów skłonnych ryzykować. W Bytomiu ten z tablicy był pewnie ostatni.

Szli środkiem ulicy, trzymając się z dala od bram i zaułków. Baron miał przy sobie całą furę pieniędzy, które trzeba było natychmiast wyprać u znajomego finansisty. Dziś nie dało się już działać inaczej. Bankowcy byli niezbędni jak larwy na trupie, prezentowali dokładnie ten sam poziom moralny i cieszyli się takim samym uznaniem społecznym.

Miodowy blask zachodzącego słońca osiadł na zakurzonej szybie familoka. Żyła zajrzał do niej nawykowo, żeby bez odwracania głowy sprawdzić tyły. Zajrzał i przystanął na chwilę. Jego niebieskie, zmęczone oczy zrobiły się nagle bardzo duże.

– Co jest? – zapytał Baron. – Co się dzieje, stary?

– Nic – skłamał, dochodząc do siebie.

Nie odzywał się przez całą drogę.

Każdy dil trzeba uczcić. Katowicka Gafa praktycznie należała do nich i kiedy oni spędzali tam noc, zabłąkani miłośnicy dubstepów wyjeżdżali szybciej, niż zdecydowali się wejść. Tak właśnie walczy się z nieubłagany upływem czasu.

Żyła rzadko miewał złe nastroje, ale jak już się zaczęło... Tego wieczora nie potrafił się wyluzować. Każdy kolejny blant tylko wpędzał go głębiej w otchłań własnych myśli. Kobieta robiąca szpagat na samym środku parkietu wydała mu się zużyta, niegdyś znany raper próbujący jednocześnie pić wódkę i freestylować – pretensjonalny.

– Znowu myślisz? – Baron pił naraz z pięciu szklanek i zajmował pół knajpy jednocześnie. – Prosiłem cię już, żebyś tego nie robił. To ci szkodzi.

Żyła odgarnął z czoła siwiejące kosmyki, podrapał się po zarośniętym podbródku, zaciągnął się ziołem i popił szotem wódki. Nie odpowiedział.

Myślami był zupełnie gdzie indziej. W jego głowie upalne lato miało się właśnie ku końcowi. A on, tak jak wiele lat temu, liczył wieczory, które im jeszcze pozostały. Aż w końcu liczba zmalała do trzech, jednego, do zera. Wtedy też, tak jak teraz, brakowało mu słów. Ale słowa nic by nie zmieniły, prawda? Słowa nie mają wpływu na rzeczywistość. Ludzie są tym, kim zdecydowali się być. Można udawać, ale nie ma wyjątków od tej reguły.

– Słyszałam o tobie. – Dziewczyna, która przed chwilą gięła się w szpagatach, teraz patrzyła na niego zalotnie przez mgłę ziołowego oszołomienia. Sukienka jej się podwinęła, była bez butów. Miała brudne stopy.

– Tak. Słyszałaś. Baron za dużo mówi.

– Podobno kiedyś byłeś gwiazdą sportu? – zagadywała dalej niezrażona.

– W tym zdaniu słowo „kiedyś” jest ważniejsze niż słowo „gwiazda”.

– Dużo sławnych osób zebrało się tu dzisiaj – cieszyła się dziewczynka. – Ten gość przy ścianie to sławny raper. Impreza nabiera kolorów.

– Poważnie? – wymamrotał niewyraźnie Żyła. – Dla mnie to wygląda jak burdel w domu starców.

– Słucham? – dziewczyna wyraźnie straciła wątek.

Żyła zrobiło się przykro. Nie powinien zarażać ludzi swoimi dołami. Wszyscy tak robią, ale to żaden argument.

– Pytałem tylko, jak się nazywasz, kocie.

Odpowiedziała z uśmiechem coś, czego nie dosłyszał albo nie zapamiętał. Za pomocą paru pytań skierował ją na bezpieczne tory. Wystarczyło potakiwać, kiedy opowiadała historię swojego życia. Dyskretnie zerknął jej w dekolt, tam, gdzie sukienka prawie pękała od silikonowych piersi. Tak. Ludzie są tym, kim zdecydowali się być. Po kwadransie byli już umówieni na oglądanie pucharów w jego wynajętym mieszkaniu. Strasznie głupie, ale tego wieczora nic innego nie przyszło mu do głowy. Zanim oboje zniknęli w ciepłym mroku nocy, Żyła wybrał się do łazienki, żeby przemyć twarz i jedną z licznych pigułek w portfelu doprowadzić się jakoś do stanu używalności. Nie chciał jej rozczarować, jakkolwiek miałyby na imię. Przed

wyjściem oparł się o zlew. Krople wody ściekały mu po brodzie. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w lustro.

* * *

Wszystkie rzeczy, których tu próbowałam, były rozmyte, pozbawione intensywności brakiem cielesnych bodźców. Dla kogoś przyzwyczajonego do całkiem solidnych bodźców to może być problem. Filmy znudziły mnie bardzo szybko, jakaś niebiańska cenzura sprawiła, że najciekawsze były poza zasięgiem, dlatego znaleźliśmy sobie z Amorem nowe hobby. Nurkowanie w arktycznym oceanie bez poczucia, że tylko cienki skafander chroni cię przed ogromnym ciśnieniem lodowatej wody, to też nie to samo, lecz widoki rekompensowały wszystko. Zwiedzaliśmy najbardziej nieprawdopodobne miejsca na ziemi. Podwodne katedry błękitnego lodu, przy których każdy gotyk wydaje się układanką z klocków Lego. Oglądaliśmy bezokie stworzenia snujące się przy dnie i porażające swoją brzydota. Absolutna cisza i ciemność. Chwilowe antidotum na światłość wiekuistą.

* * *

– Ciągłe czegoś szukasz, dziewczyno – powiedział Amorek, leżąc na wznak i rozciągając swoje mokre skrzydełka na tafli lodu jak na plaży. Ryk niedźwiedzia polarnego podkreślił jego słowa. – Czujesz się tu tak obco jak ja.

Zdjęłam T-shirt z podobizną Jacka Nicholsona, żeby go wykręcić. Woda nie była zimna. Może samo wykręcanie też było jakąś iluzją pozwalającą mi się stopniowo przyzwyczać do tej całej bezcielesności? Amor oblizwał się na widok sterczących zadziornie sutków. Nie on pierwszy.

– No co ty. Jestem szczęśliwa. Uczę się tego. Z każdym dniem łatwiej mi przychodzi.

– Zmieniasz się – powiedział aniołek ze smutkiem. – Niebo cię zmienia. Czyści. Pozbawia duszę resztek grzechu.

– A co, jeśli się okaże, że w mojej duszy nie ma nic więcej?

– No właśnie. Byłabyś idealną kobietą, gdybyś tylko miała puls.

– Za takie gadanie każą ci w końcu pilnować, jak się muchy pierdola.

– Co mi tam – wzruszył skrzydełkami. – Jesteśmy najbardziej podpadniętymi istotami w mieście. Setki punktów karnych. A gdyby się tu dało porządnie zgrzeszyć uczynkiem, a nie tylko mową i myślą, już dawno zrobilibyśmy rewolucję.

Lodowe wieżyce wbijały się w czarne niebo. Horyzont zajaśniał rozdarty odległym grzmiotem.

– Widzisz? Lepiej przestań gadać, bo zrobią z ciebie wieszak na ręczniki. Byłeś kiedyś w piekle? Mam tam wielu znajomych. Zastanawiałam się, jak im jest.

– Wiem, jak jest w piekle. Wszyscy to wiemy. Dlatego mogę sobie pyszczyć, ale nie popełnię błędu Lucyfera. Piekło jest straszne i dla was, i dla nas. Uwierz mi, dziewczyno, że nie chciałabyś się zamienić.

- Kotły pełne smoły, diabły z widłami, madejowe łoża i cały ten stuff?
- Wy, ludzie, to jednak macie biedną wyobraźnię. Niby inteligentne istoty, a do pewnych spraw nadal podchodzicie jak dzieci. Nie ma żadnych kotłów. Zmysły adoptują się do każdego bólu. Po stu latach, co by to była za kara?
- No to na czym polega wieczne cierpienie? Na braku bożej miłości?

Amorek roześmiał się gorzko.

– A dużo jej niby odczuwałaś tam, na ziemi? Piekło jest jak sala kinowa, z której nie możesz wyjść. Pokazują ci całe twoje życie i wszystkie zaprzepaszczone szanse. Wyobraź sobie faceta, który umiera jako kochający mąż i ojciec dwójki dzieci, ale miał tego pecha, że był ateistą, w dodatku zapisał swoje dzieci w szkole na etykę, kantował przy pokerze i systematycznie oszukiwał w zeznaniach podatkowych. Wyobraź sobie, że taki klient idzie do piekła. Tam może zobaczyć i prawie przeżyć, rozumiesz, prawie doświadczyć tego wszystkiego, co go ominęło. Załóżmy, że w podstawówce kochał się w rudej Beatce z trzeciej ławki pod oknem. Gdyby nie śmiał się z jej warkoczy, gdyby wtedy dokonał innych wyborów, poszliby razem do liceum, a potem na studia. Nasz klient ogląda więc w nieskończoność noce pełne rozkoszy, jakiej nigdy nie zaznał z żoną. Dowiaduje się, że wpływ i osobowość rudej Beatki byłyby na tyle silne, że zaryzykowałby i poszedł do szkoły aktorskiej. Jego skryte marzenie by się spełniło właśnie w tej konfiguracji wydarzeń. Byłby artystą, zdobyłby szacunek, umarłby w wieku lat osiemdziesięciu. Pisałyby o tym wszystkie gazety. Wyobrażasz sobie ten ból? A kiedy już umysł oswoi się ze straconą szansą i zubożętnieje, prywatne piekło twojej przeszłości skupia się na innym drobiazgu z życia, który w istocie zdecydował o wszystkim. Wy, ludzie, codziennie zaprzepaszczacie swoją szansę na szczęście. Za karę wystarczy wam to uświadomić. Wolna wola to granat z wyciągniętą zawleczką.

Nie odpowiedziałam. Ktoś kiedyś powiedział, że Bóg jest miłością. Chciałabym poznać na to dowody. Obojętnie gdzie, w piekle, niebie czy na ziemi.

* * *

Wieczorem pod swoim domem znowu spotkałam Serafina. Zastawił mi przejście i patrzył kpiąco.

– Tego już się o was nauczyłem. Każdy człowiek ma swoją dźwignię. Punkt, w którym wystarczy lekko nacisnąć, żeby pękł. Żeby go zniszczyć.

– Przyszedłeś się tym ze mną podzielić? – spytałam z udawanym znużeniem.

– Przyszedłem ci powiedzieć, że wiem, jaka jest twoja. Nazywa się Ryszard Iliwicki, ale tam, gdzie mieszka, wszyscy mówią na niego Żyła. Były bokser, gangsterski ochroniarz, handlarz narkotyków, narkoman i cudzołożnik. Podobnie jak ty kierujący się w życiu tylko żądzą. Postaramy się nie popełnić dwa razy tego samego błędu. Nie ma wątpliwości, dokąd po śmierci pójdzie ten człowiek.

– Od Żyły to ty się odpiardol! – krzyknęłam na anioła.

Wspomnienia, zbyt dużo wspomnień, przemknęły przez głowę.

– Niezbadane są wyroki boskie. Grzesznicy zostaną ukarani. I na tym, i na tamtym świecie. Jego los został przesądzony, kiedy zdecydował się żyć w ten sposób.

Ty tylko zwróciłaś na niego moją uwagę i przyśpieszyłaś bieg spraw.

– Trzymaj się od niego z dala, skurwysynu! – krzyczałam, nabijając sobie setki karnych punktów.

Znajdowaliśmy się w niebie, nie byłam w stanie zgrzeszyć uczynkiem i go uderzyć. Miał szczęście. Anioł, nie anioł, na ziemi za takie gadanie już dawno dostaliby w ryj.

Żyła zawsze miał przeze mnie pecha. Wolałam tu o nim nie myśleć. Nie chciałam go pamiętać. Mimo to potrafiłam odtworzyć smak i zapach tych paru miesięcy, zanim zdecydowałam się na wyjazd. Rozmowy aż do świtu, seksualno–narkotyczne maratony i wycieczki z pełnym bakiem nie wiadomo dokąd.

Żyła. Kiedy już resztki mojej indywidualności znikną i roztopią się w anonimowym szczęściu krowy na niebiańskim pastwisku, kiedy już zapomnę, kim jestem i kim byłam, nadal będę pamiętać upalne lato, które spędziliśmy razem.

Dzieci Hioba

Powietrze świszcząło w uszach. Zlodowaciała skalna ściana mijала mnie z oszałamiającą prędkością z lewej strony, pokryta śniegiem i sterczącymi ostrymi głazami ziemia zbliżała się w zastraszającym tempie. Uczucie braku kontroli, którego doznajesz zawsze, tracąc równowagę, przedłużało się teraz w sekundy. Potem ciało gruchnęło o ziemię.

– Au – powiedziałam, otrzepując się ze śniegu. – Dlaczego mnie to boli?

– Ból fantomowy – wyjaśnił usłużnie Amor. Trzymał się ze mną, bo tak było ciekawiej. – Nie jesteś już cielesna, ale nadal ogranicza cię własna percepcja. To zaledwie cień tego, co byś czuła, gdybyś zrobiła takie bungee na ziemi.

Parę godzin temu, przed świtem, rozczarował mnie widok szarych gór na horyzoncie. Nie tak wyobrażałam sobie Himalaje. Potem weszło słońce. Na niebie, wysoko nad pagórkami, które wzięłam za najwyższe góry świata, wyrosły strzeliste, oślepiająco białe i ostre szczyty ośmiotysięczników. Słońce podnosząc się nad horyzont oświetlało je stopniowo, więc wolno wrastały w ziemię. Teraz widać było śnieżne pryzmy i załomy w skałach, zmarszczki na ciele planety. Znowu przekonałam się, że świat, na którym kiedyś żyłam, był piękny. Rozpoczęliśmy wspinaczkę.

– Piąty raz, kurwa. Nie dam rady. Skoro jestem duchem, to może powinnam tam wzlecieć, co?

– Jesteś ograniczona przyzwyczajeniem percepcyjnym, tłumaczę przecież. W twoim wypadku jest ono bardzo silne. Nie czujesz zimna ani bólu, lecz twój umysł podpowiada, że trudno jest się tak wspinać. No przecież SzeF nie stworzyłby Jeziora Drzwi w jakimś łatwo dostępnym miejscu. W Raju są, z drobnym wyjątkiem, który właśnie gramoli się z ziemi, tylko praworządni obywatele, ale pokusa mogłaby się okazać zbyt silna. A tak tylko ty jesteś na tyle głupia, żeby tu włązić.

– Zamiast się przezywać, mógłbyś mi pomóc, co? W końcu masz skrzydła.

– Raczej skrzydelka. A w dodatku nadwagę. Nie wymagaj za wiele. Za jakiś czas

twoja pamięć i percepcja wyzwolą się z okowów ziemskich przyzwyczajień oraz postrzeżeń. Wtedy dusza w postaci świetlistego obłoku zespoli się...

– Świetlistego obłoku? Nie chcę być żadnym świetlistym obłokiem. Do roboty, gruby.

* * *

Zajął nam to trochę czasu; do dyspozycji mieliśmy wieczność. Strone ściany Everestu zmieniły się w rajski pejzaż. Wierzby były tu trzy razy większe niż w realu i okalały jezioro. Ciężkie, stare gałęzie zwisały nieruchomo. Powietrze nad wodą było wilgotne. Ogromna srebrna źrenica przypatrywała się wszystkiemu wplątana w korony drzew.

– Co to, kurwa, jest? – zapytałam, ukrywając się za rozległym konarem.

Amor aż napęczniał z dumy.

– Niezły patent, co? Musisz się rozejrzeć, mamy tu mnóstwo takich atrakcji. My, aniołowie, przybieramy czasem zaskakujące formy. Ten na drzewie to Gideon.

– Anglik? – zapytałam.

Rozmazana gałka oczna, z rozwłóczonymi nerwami wplątała się w gałęzie jak rozbite na krzaku surowe jajo. Niecodzienny widok odbijał się w nieruchomej powierzchni jeziora. Ciecz kojarzyła mi się bardziej z rtęcią niż z wodą.

– Zajmę się nim. Odwrócę uwagę. Wszyscy tu przywykli do mojej upierdliwości, a ty nie potrzebujesz teraz żadnych dodatkowych pytań. To, co sobie zamierzyłaś, jest i tak wystarczająco heretyckie.

– Wiadomo – uśmiechnęłam się nerwowo. – *Non serviam!*

– *Non serviam!* – odpowiedział Amorek i przybiliśmy sobie żółwika.

Plan był cholernie ryzykowny. Zastanawiałam się, kiedy przekroczymy cienką granicę boskiej cierpliwości i nas stąd wykopią. Nasze szanse były większe niż Adama i Ewy. Wszystko wskazywało, że ostatnio Bóg wyraźnie odpuścił sobie ten plac zabaw.

Amor wystartował, brzęcząc jak komar swoimi niedorozwiniętymi skrzydłami. Tłuszcz na brzuchu falował, kiedy wzbijał się ponad korony drzew. Manewrował natrętnie, aż zwrócił uwagę Gideona. Dźwięki kakofonicznej muzyki dotarły do mnie na granicy słyszalności. W ten sposób rozmawiali aniołowie? Oko zwrócone było teraz na latającą kulkę tłuszczu. Wykorzystałam swoją szansę.

Ciecz w Jeziorze Drzwi z pewnością nie była wodą. Ledwie jej dotknęłam, oblepiła moją rękę. Poczułam ciepło i mrowienie. Na dłoni, potem na stopach, kolanach i coraz wyżej. Doznanie było bardzo intymne i niemalże przyjemne. Kiedy oko jak z obrazów Dalego znudziło się Amorkiem, moje czarne włosy unosiły się już na powierzchni. Ciepło, błogo. Czasem w życiu też się tak czułam. Doświadczenie uczyło, że nie mogę tu zostać. Spojrzałam w dół. Srebrne lustro jeziora odbijało teraz twarz pyzatej, czarnowłosej dziewczynki. Zanurzyłam się cała, jak we wspomnieniach.

* * *

Nigdy nie zdecydował się na demontaż lustra na suficie, chociaż myślał o tym już wielokrotnie. Chciał się go pozbyć, tak jak pozbył się wszelkich śladów jej obecności w swoim życiu. Ostatnie parę miesięcy spędził jednak poza domem. Poza tym nigdy niczego nie remontował i nie wiedziałaby nawet, jak się do tego zabrać. Dlatego z sufitu patrzyła na niego blada, zarośnięta twarz czterdziestoparoletniego mężczyzny, który swoje najlepsze lata miał za sobą. Nie martwiło go to. Żyła należał do ludzi, którzy po osiągnięciu pełnoletności już wyglądali tak, jakby najlepsze lata mieli za sobą. Czas czynił go tylko bardziej wytrawnym. Tak to sobie tłumaczył, leżąc nago na rozkopanym łóżku. Pościel nadal pachniała kobietą, której imienia już nie pamiętał albo wcale nie poznał. Żyła palił skręta i popijał go winem, patrząc w to cholerne lustro. Nigdy nie przekonał się do fety i koki. Kumple, którzy poszli w te tematy, już dawno zmienili stan skupienia. On wciąż dryfował.

Stać go było na codzienne imprezy, lecz nie miał szans na stałą pracę. Wszyscy w mieście go znali, ale rozumiał, że w razie przypadku nawet Baron nie pofatyguje się z wizytą do więzienia. Dziesięć lat temu wydawało mu się to wszystko cholernie ekscytujące. Teraz zaszedł już zbyt daleko. Nie pamiętał, jak wygląda normalne życie. Nie był pewien, czy kiedykolwiek to wiedział. Tymczasem zjarał się już tak bardzo, że przerastała go nawet myśl o pójściu do łazienki. Dlatego wciąż gapił się w lustro, którego powierzchnia wybrzuszyła się i zamgliła. „Jak powierzchnia jeziora rtęci” – pomyślał. Ziele od Barona musiało być naprawdę mocne.

– Cześć, Żyła – powiedział głos z przeszłości.

Tak dawnej, że jemu samemu wydawała się zasłyszana opowieścią, której bohaterem był ktoś zupełnie inny niż on.

– Trochę czasu minęło, co? Zdarzało ci się wyglądać lepiej. Pociesz się, że miałeś więcej szczęścia niż ja. Bo ja trafiłam jak śliwka w gówno.

Żyła wypuścił dym i powoli, bardzo powoli odwrócił wzrok od lustrzanej powierzchni. Trzeba się jednak będzie przejść do tego kibla.

– To nie jest twoja halucynacja, ćpunie – powiedziała wypełniająca lustro twarz, którą pamiętał tak dobrze jak własną. – To ja, Sandra. Obawiam się, że nie żyję i musimy o tym porozmawiać.

* * *

Amorek siedział na marmurowej krawędzi jednej z kopuł Taj Mahal. To było właściwe miejsce na takie dyskusje.

– Dobrze mi z nim było, wiesz, kurduplu? Przez prawie rok było nam jak w niebie. Oboje zarabialiśmy na życie ciałem, rozumiesz? I on nigdy mnie nie oceniał. Nie kazał mi przestać. Sama o tym zdecydowałam. Wyobraź sobie, że przyszedł taki moment, kiedy jeden mężczyzna zaczął mi wystarczać. Mieliśmy podobne poczucie humoru, wiesz? Godzinami potrafiliśmy się pierdolić, a potem palić blanty, zaśmiewając się z Simpsonów. Takie tam sprawy, rozumiesz? Teraz wiem, że to były najlepsze chwile mojego życia. Potem przyszła ta propozycja z zagranicy. Żyła był po wyroku, nigdy nie dostałaby wizy do Stanów. Powiedział, że poczeka. Zarabiałam tam

taki hajs, że nie masz pojęcia, dlatego zostałam dłużej. Nie mogłam od niego wymagać...

– Pierdolenie – Amorek ziewnął. – Zostawiłaś go i tyle. Cała reszta to twoja racjonalizacja. Zostawiłaś faceta, z którym mogłaś się śmiać z Simpsonów. Powinnaś mieć pretensje wyłącznie do siebie. Ale wyluzuj. Każdy z was, ludzi, ma coś, czego żałuje. Tacy właśnie jesteście. Zbudowani z marzeń i błędów.

– Szukałam go potem. To znaczy, miałam zamiar go poszukać...

– ...ale wcześniej skończyłaś tutaj. Kusi cię, prawda? Chciałabyś zrozumieć, jak to się stało. Kto jest temu winny? Mimo że podświadomie znasz odpowiedź.

– Jesteś tu, żeby mnie pocieszać czy żeby mi dopierdalać?

– Masz rację. Co ja tam wiem? Jestem tylko skrzydlatym noworodkiem z małym penisem.

– Przestań już o tym wspominać, dobra?

– Niby dlaczego mam przestać? Ty możesz mnie zamęczać gadkami o swojej nieszczęśliwej miłości? Każdy ma jakieś problemy.

– Mogę już nie opowiadać, jak cię to nudzi.

– Mów... mów dalej.

* * *

Miał najpiękniejszy ogród w całym Raju. Serafin zastygł wpatrzony w swoją twarz odbitą w zasłonie wodospadu.

– Szlachetne rysy – wyszeptał do siebie, penetrując bezdenną głębię jasnych oczu. – Oślepiająco białe pióra skrzydeł. Przeszywające spojrzenie. Na obraz i podobieństwo...

Zdarzało mu się w ten sposób spędzać całe dni. Czuł się potem szczęśliwy i zrelaksowany, gotowy na kolejne kontakty ze śmiertelnikami. Jak dla niego, mogłoby ich tu w ogóle nie być. Ta część jego świadomości, która nie była zajęta kontemplacją własnego piękna, na chłodno analizowała przypadek Sandry Wid. Serafin cieszył się, że ją spotkał. Nie miał nawet żalu do Świętego Piotra – po części tłumaczył go wiek i pochodzenie. Każdy z ludzi może popełnić błąd. Dlatego ludzie nie mają skrzydeł.

Sandra wyrwała go z letargu. Przypomniała, że jest nosicielem i piewcą boskiej sprawiedliwości. To zobowiązuje. A na świecie pozostało jeszcze paru sprawiedliwych, dla których drzwi percepcji otwierały się w bezdenny błękit. Czasy się zmieniły. Serafin nie miał już prawa do osobistych wizyt na ziemi. Zbyt wiele żalobnych ogni płonęło wszędzie tam, gdzie przeszedł. Bez słowa wyjaśnienia odebrano mu prawo ingerencji, a on jako pokorny sługa nie protestował. Co nie znaczy, że na zawsze utracił swój doskonały głos. Nie zostało ich wielu, ale niektórzy ludzie nadal go słuchali. Na własny użytek nazywał ich świętymi. I mówił do nich w nocy, kojąc do snu obrazami raj, obietnicą boskiego miłosierdzia. Na drodze do tego raj, raz na jakiś czas można było znaleźć wskazówki – pióra jego śnieżnobiałych skrzydeł. Albo usłyszeć szeptane anielskim głosem nazwisko.

Żyła wpatrywał się w twarz na wybrzuszonej powierzchni lustra. W iluzoryczny kształt ciała, które znał. Niewiarygodne. Widok Sandry wstrząsnął nim bardziej niż niecodzienne okoliczności spotkania.

– Jesteś martwa?

– To chyba nie jest najlepszy sposób, żeby witać starych znajomych – odparła.

Oboje nie mieli pojęcia, co powiedzieć w takiej sytuacji. Spotkania po latach są zwykle dość niezręczne, nawet jeśli wszyscy żyją.

– Myślałem, że zobaczę cię gdzieś w filmie. To znaczy, wiesz, takim normalnym. Na czerwonym dywanie, w Hollywood, u boku Johnny’ego Deppa albo coś.

– I co? Masz satysfakcję, że wyszło na twoje? – zapytała zimnym głosem.

– Nie. Nie mam satysfakcji. Trzymałem za ciebie kciuki.

Lustrzany zarys kobiety nad jego głową wzruszył ramieniem, wydał usta. Ten grymas również pamiętał. Uśmiechnął się i zgasił skręta. Tak kiedyś tłumila wzruszenie.

– Przyszłam cię ostrzec, Żyła. Musiałam to zrobić po wszystkim, co było. Poza tym w Niebie kiepsko pilnują tego portalu. Nie ma przed kim.

– Wybacz pytanie – Żyła powoli dochodził do siebie – ale co ty, kurwa, robisz w Niebie? Nie to, żebym ci ubliżał. Trochę się znamy.

– Mają kiepską administrację – wyjaśniła. – Nie zostało nam wiele czasu, stary, więc lepiej mnie wysłuchaj. Przepraszam cię za wszystko, co ci w życiu spierdoliłam. Nawet tu udało mi się ściągnąć na ciebie kłopoty. Narobiłam sobie potężnych wrogów, którzy będą chcieli ci zaszkodzić na ziemi. Nie osobiście, ale coś mi się wydaje, że znajdą sposób. Pilnuj się, Żyła, bo oni tam na górze drugi raz się nie pomylą. Ty pójdziesz do piekła.

– Tego mi nie musisz mówić. Nie rozumiem tylko, dlaczego akurat ja mam spłacać tu twoje rachunki.

Lustro zaćmiło się, jakby ktoś dmuchnął na wypolerowaną powierzchnię. Sandra poprawiła włosy zdumiewająco rzeczywistym gestem.

– Bo trochę się o mnie dowiedział. I teraz już wie, że tylko na tobie jeszcze mi zależy. Tak ci się pechowo złożyło.

– Jedno pytanie, kocie – powiedział, gdy kształt wzdymający lustrzaną powierzchnię zaczął blaknąć. – Chcę wiedzieć, kto cię tam wysłał.

– To chyba nie jest teraz najważniejsze, co?

– Znasz mnie. Muszę to wiedzieć.

– Nie pamiętam okoliczności. Umarłam w grzechu, a tu na takie tematy jest cenzura. Pracowałam wtedy dla gościa o ksywie Bruno...

– Nie wiedziałem – powiedział Żyła.

– Nie wiedziałeś, że pracowałam?

– Nie wiedziałem, że mnie kochałaś. Nie wierzyłem, że naprawdę. Duży błąd.

– Wspólny.

Jeśli szklana powierzchnia potrafi wyrażać smutek, nad głową Żyły właśnie to

zrobiła.

– Nie powinnam wyjeżdżać.

Kiwnął głową.

– Nie powinnaś. A ja powinienem pojechać za tobą.

Przemilczeli parę chwil. Była teraz tak blisko i tak daleko od niego. Łatwiej mu było żyć, wiedząc, że zostawiła go i gdzieś tam odnosi wielkie filmowe sukcesy, o których marzyła. Wolał myśleć, że przynajmniej jej się udało. Ale z Sandrą nic nigdy nie działało się zgodnie z planem, na tym polegała część jej uroku. Wcale nie zdziwił go fakt, że na chwilę wyrwała się zza grobu. Trochę ją znał.

– Hej, Sandra, jak tam jest? – zapytał w końcu.

Zastanowiła się przez chwilę. W końcu odpowiedziała:

– Niebo jest jak strzeżone osiedle, na którym nie chcielibyśmy mieszkać.

Zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, zostawiając go samego. „Znowu – pomyślał niewesoło. – Znowu znika i znowu pakuje mnie w kłopoty. Nic się nie zmieniło”. Jego umysł nawet przez chwilę nie dopuścił do siebie myśli, że dziewczyna mogła się okazać halucynacją obitego i zaćpanego łba. Był tylko emerytowanym bokserem, analiza sytuacji w jego przypadku sprowadzała się do kilkudziesięciu minut strategii na walkę. Reszta była wypadkową improwizacji oraz tego wszystkiego, co poszło nie tak. Na tym z kolei polegała część jego uroku. Dlatego byli dla siebie stworzeni. I dlatego im nie wyszło.

Już za późno. Sandra umarła, nie żyje, nie ma jej. Właśnie mu to powiedziała. Żył nie potrafił odwrócić oczu od lustra, w którym znów odbijała się jego zarośnięta, blada twarz. Zrozumiał. Znalazł w sobie uczucie, które wyparło rozpacz. Sandra nie żyje, bo ktoś zrobił jej coś bardzo złego. Żył wolno wstał z łóżka. Był już zupełnie trzeźwy. I gotowy.

* * *

Raj na dłuższą metę okazał się dla mnie zajebiście nudny; większość czasu spędzaliśmy na ziemi w miejscach niedostępnych dla śmiertelnych. Nie czuliśmy temperatury wody, nie groziło nam utonięcie, dlatego pływanie nie było już tak zabawne. W pewnym stopniu rekompensowała to panorama otwartego oceanu, bez śladu człowieka wszędzie wokół. Ławica delfinów minęła nas w odległości paru metrów. Patrząc na szarą, błyszczącą w słońcu skórę, doszłam do wniosku, że ewolucja *homo sapiens* nie była wcale tak genialnym pomysłem, jak się powszechnie uważa.

– Fajne ryby – mruknął Amor, który ostatnio nie odstępował mnie na krok.

– Ssaki. Morskie ssaki. Wyglądają, jakby nas rozumiały.

– Nie wszystkie stworzenia na tym świecie są tak ślepe jak wy. Spotkanie z byłym się opłacało? Krzywo tu na nas patrzą po wyprawie do Jeziora Drzwi.

Pamiętałam, co mi kiedyś powiedział na temat piekła. Wcale nie miałam ochoty się przekonywać, jak tam jest. Niebo było nudne niczym luksusowe uzdrowisko, ale zaczęłam się powoli w tym odnajdywać. Czułam się coraz lepiej. Brak ziemskich rozrywek przestał już dokuczać. Niebiańskie środowisko stopniowo wpływało na

mnie. Zmieniało w coś paskudnego. W świętą.

Mimo to alternatywa nadal wydawała się przerażająca. Dobrze wiedziałam, co przysłoby mi rozpamiętywać w piekle. Wizja życia, w którym nie opuściłam kraju, w którym daliśmy sobie z Żyłą szansę, sprawiała mi wystarczająco dużo bólu. Nie potrzebowałam dokładniejszej wizualizacji tego, jak bardzo spierdoliłam nasz związek.

Otrząsnęłam się z zamyślenia. Delfiny odpłynęły w stronę złoconego zachodzącym słońcem horyzontu. Amor został, suszył swoje niedorozwinięte skrzydełka i czekał na relację.

– Dobrze było go zobaczyć – przyznałam niechętnie. – Czas nie był dla niego łaskawy. Wychudł, pomarszczył się. Ale dobrze wyglądał w dłuższych włosach. Jak ten gość z filmu *Wykidajło*. Nie Patrick Swayze, tylko ten drugi, starszy...

– Nie pytałem o to, jak teraz wygląda, kobieto. Ostrzegłaś go przed Serafinem?

– Powiedziałam, że ktoś będzie chciał mu zaszkodzić. Nie mamy pojęcia, kto to może być.

– Powiedziałas mu też o okolicznościach swojej śmierci, prawda?

Kiwnęłam głową.

– Nie powinnam tego robić. Niechętnie przyznaję, że w obecnej sytuacji poszukiwanie zemsty nie jest najlepszym pomysłem.

– Ale musiałaś, prawda? Dobrze wiedzieć, że rajski spokój nie pozbawił cię jeszcze resztek charakteru. Karty zostały rozdane, figury rozstawione. Pozostało nam już tylko obserwować rozwój wypadków na ziemi.

– Jebnięty jesteś! – wrzasnęłam na niego nagle, aż zakrztusił się słoną wodą.

– Rzeczywiście, zostało w tobie sporo charakteru. Mogę wiedzieć, co zrobiłem nie tak?

– Pierdolisz od rzeczy i tyle. Żyła to nie jest żaden pionek. Jego życie to nie gra.

Aniołek wzruszył tłustymi ramionami.

– Uważaj, mała. Takie przywiązanie może cię kosztować zwycięstwo. A tego biednego człowieczka – spojrzął na mnie smutno – może kosztować życie.

– Wyjaśnij mi, stary, jak to, kurwa, jest – mówiąc, traciłam panowanie nad głosem, co nie zdarza mi się często. Zaczęłam głośniej, ale nie pomogło. – Żyjesz sobie życiem pełnym przygód i atrakcji. Wydaje ci się, że tak już będzie zawsze. Świat jest pełen ludzi, którzy mogliby cię pokochać. Parę lat później okazuje się, że prawie wszyscy kochali seks albo pieniądze. Nikt nie zostaje, kiedy tego potrzebujesz.

– To chyba właśnie nazywają naturą ludzką – powiedział Amorek nie wiedząc dlaczego zawstydzonym głosem.

– No widzisz. A Żyła był inny. Zostawał nawet wtedy, kiedy byłam chora i do niczego się nie nadawałam.

– Może masz kompleks ojca, którego nigdy nie znałaś? Był dwadzieścia lat starszy od ciebie...

– Mam w dupie ojca, którego nigdy nie znałam. Żyła był moim przyjacielem i kochankiem. Graliśmy w tę samą grę. Co to za Bóg, który wymyśla miłość, a potem

sprawia, że musi się skończyć? Jara go to? A może jest zwyczajnie zazdrosny? Kocha nas na swój dziwny i toksyczny sposób. Chce nas mieć na wyłączność.

– Może tak jest – Amor zasepił się. Pierwszy raz widziałam go poważnego. – Trudno mi powiedzieć, bo tu na górze dawno nikt Go nie spotkał. Opuścił nas tak samo, jak kiedyś was. Jednak to nie Bóg sprawił, że się rozstaliście. Sama o tym zdecydowałaś. Wiem, że to wygodne, ale nie wszystko da się zwalić na Wszechmocnego.

Miał rację. W głębi duszy zdawałam sobie z tego sprawę i wcale nie poprawiało mi to nastroju. Co mogłam zrobić? Chociaż pośmiertnie zatroszczyć się, żeby nikt go nie ubił za moje grzechy. Nie ma szans, żeby Żyła kiedykolwiek trafił właśnie tutaj. Ja też zresztą wkrótce rozpląnę się w niebiańskim blasku, stracę cechy osobowe, przestanę być Sandrą, którą znał. Moja percepcja oswoi się ze stanem wiecznej szczęśliwości, nie będę już szukać, nie będę pytać. Rajski błogostan, aż po samą wieczność.

Szczęście będące cieniem grzechu, który kiedyś, pewnego upalnego i dusznego lata, udało się nam popełnić.

* * *

Żyła przestał ćpać i chlać. Dla Barona był to najlepszy dowód, że postradał zmysły. Jego ochroniarz nawet nie próbował wyjaśniać. Kiedy twoja martwa eksdziewczyna gada do ciebie z lustra, znaczy, że czas najwyższy przystopować. Żyła wbrew pozorom nie był idiotą, dlatego nie opowiedział nikomu o wizycie Sandry, ale dało mu to do myślenia. Myślał o tym bez przerwy. Nie o zagrożeniu, przed którym chciała go ostrzec. W jego mieście takie rzeczy brało się na klatę. Myślał o niej. Oddychał gęstym powietrzem sprzed lat.

– Ona nie żyje, wiesz? – tłumaczył Baronowi.

– Kto nie żyje? – pytał jego przyjaciel.

Dobrze wiedział, o kogo chodzi. Żyła dawno już nie wracał do tamtych spraw i Baron jako jego kumpel bardzo się z tego cieszył.

– Coś się stało po wyjeździe do Stanów. Przypuszczam, że w tym całym pornobiznesie zaczęła się zadawać z niewłaściwymi ludźmi.

– Dranie w pornobiznesie? No, kurwa, kto by przypuszczał – mruknął Cygan. – Gdyby w kraju zalegalizowano podobne tematy, byłoby bezpieczniej. Spójrz na Czechy: prostytutka *de facto* legalna. Jak kupujesz wino w kiosku, pani daje ci słomkę, żebyś mógł sobie wypić na ulicy. Zioło praktycznie legalne, hazard legalny. Państwo ufa swoim obywatelom. A przestępstw dziesięć razy mniej niż u nas. No ale po upadku komuny oni wybrali na prezydenta filozofa, my elektryka. Daje do myślenia, co nie?

– Co ty pierdolisz, stary? Tłumaczę ci właśnie, że Sandra nie żyje, a ty mi o jakichś Czechach. Zabili ją, rozumiesz?

Baron pokręcił głową. Zmiana tematu nie wypaliła. Siedzieli razem w Ugandzie, najbardziej zadupiałym i obskurnym lokalu w tym najbardziej zadupiałym i obskurnym mieście. Klienci się spóźniali. Nienawidził tego. Dilerzy zioła lubili sobie

zajarać, więc spóźniali się zawsze.

– Nie żyje, i co? Bez urazy, Żyła, ale chuj jej na grób. Pamiętam cię sprzed paru lat, kiedy uciekła. Byłeś wrakiem człowieka. Nigdy się do końca z tego nie otrząsnąłeś. Jestem twoim przyjacielem, dlatego proszę cię, nie każ mi teraz jej współczuć. Mieliście szansę. Prezent od losu. To ona zdecydowała się na dalszą karierę w porno. Wybrała, poniosła tego konsekwencje. Taka karma.

– Mogłem wtedy za nią pojechać. Były sposoby...

– Do Stanów? Bez kasy, języka i bez wizy? Tu się kiedyś biłeś z najlepszymi, sam Kostecki pokonał cię w walce o mistrzostwo, a tam miałbyś na czarno zmywać gary u jakiegoś brudasza?

– Może masz rację. Teraz się już tego nie dowiemy, prawda? Zrób coś dla mnie. Uruchom swoje kontakty na psiarni, dowiedz się czegoś na temat gościa o nazwisku Bronisław Kaczorowski. Ma ksywę Bruno. Kiedyś był znanym śląskim alfonsem, ale się wycofał. Podejrzewam, że może wiedzieć, co się stało z Sandrą.

– Zapomnij – odpowiedział krótko Cygan. – Za bardzo cię lubię, żeby ci niszczyć życie w ten sposób.

Żyła w milczeniu dopił drinka. Był chyba jedynym człowiekiem w tym barze, który zamawiał dzin z tonikiem. Wśród tubylców uchodziło to za szczyt wyrafinowania. Potem opuścił głowę, siwe włosy opadły mu na oczy. Spojrzał na Barona w taki sposób, w jaki kiedyś patrzył na przeciwników w ringu.

– Nie, stary. Nie będziesz mi mówił, co jest dla mnie dobre. Znamy się, ale z całym szacunkiem, nie masz o tym, kurwa, pojęcia...

– Spokojnie, Żyła.

Baron był starym gangsterem. Widywał już ludzi w takim stanie jak Żyła. Każdy człowiek żyjący jak oni prędzej czy później osiągnie ten etap. Punkt bez powrotu. Jedyne, co wtedy możesz zrobić, to wybrać pole swojej ostatniej bitwy.

– Dobrze, bro. Dowiem się tego dla ciebie, ale powiedz mi jedno. Naprawdę myślisz, że warto poświęcić swoje życie dla wspomnienia?

Żyła pokiwał głową.

– Ludzie dają się zabić dla większych głupot.

– W sumie racja – zreflektował się Baron. – Ze szczęściem jest jak z dobrymi uczynkami: prędzej czy później przyjdzie za nie zapłacić.

* * *

Szczęście. Julian Sawicki nie był szczęśliwy. To nie znaczy, że stało mu się coś złego. Jako redaktor naczelny *Głosu Boga* nie musiał się liczyć z pieniędzmi. Miał najwspanialszą żonę, która go wspierała i podzielała jego poglądy, więc nie mógł również narzekać na samotność. Mimo to nie był szczęśliwy. Czuł, że jako wyzbyty hipokryzji chrześcijanin po prostu nie ma do tego prawa. Nie w świecie, który taplał się w zepsuciu i ogłuchł na Ewangelię. Znał ludzi, nawet noszących koloratki, którzy traktowali swoje powołanie z dużym dystansem, i miał im to za złe. Zło wygrywa wtedy, gdy dobrzy ludzie pozostają bierni. Właśnie dlatego pisał, dlatego starał się ewangelizować słowem. Po paru latach dostrzegł ze smutkiem, że świat nie zmienił

się na lepsze z tego powodu. Nie wystarczyło. Słowa, słowa, słowa... i tak dalej.

Był tylko człowiekiem, chciał czasem dać sobie ze wszystkim spokój. Zamknąć się w swoim egoizmie jak inni. Nocami śnił o świecie takim, jaki mógłby być, gdyby ludzie mieniący się chrześcijanami po pierwsze przeczytali Biblię, a po drugie zaczęli wcielać w życie jej słowa. Tak, wymagał zbyt wiele. Może minęłoby mu to razem z młodością, może wreszcie poddałby się jak księża dojeżdżający do pracy mercedesami i politycy z Matką Boską w klapie markowego garnituru. Ale wtedy Bóg zlitował się nad nim. Usłyszał Jego głos mówiący rzeczy zaskakujące.

Pornografia, narkotyki i uliczna przemoc były jak rak trawiący zdrową tkankę polskiego społeczeństwa. Czasem wszystkie te zarazy występowały jednocześnie. Ich nosiciel był wtedy stracony dla Boga, ludzi i narodu. Chrystus wybacza wszystkim, Julian wiedział o tym, bo Biblię znał prawie na pamięć, ale w skrajnych przypadkach akt Pańskiego miłosierdzia staje się możliwy dopiero po długotrwałej pokucie. I oczyszczeniu przez ogień.

* * *

Bicie w worek nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać. Żyła niewiele rzeczy w życiu robił dobrze, lecz tego jednego nie sposób było mu odmówić: znał się na zadawaniu ciosów. Śmieszyły go sceny z tefauenowskich seriali, kiedy zdenerwowany, lecz niezbyt spocony bohater wyżywał się na worku. Uderzenia ze spiętymi ramionami, na sztywnych nogach, bez skrętu ciała, z otwartą gardą i łapami, które nigdy nie pamiętały o tym, żeby wrócić po ciosie. Tymczasem „boks to nie szachy, tu trzeba myśleć”.

W ringu nie ma miejsca na kłamstwa. Im więcej potu wylałeś na treningu, tym mniej krwi na zawodach. Rzeczywistość okazuje się prosta, zasady zrozumiałe, czego nie można powiedzieć o świecie na zewnątrz. Odkąd kontuzja kolana wyłączyła go z zawodowego sportu, wszystko stało się trudniejsze. Relacje społeczne, układy, systemy zależności – Żyła był w tych kwestiach kaleką. Nigdy nie udało mu się wyzyskać swojej medialnej popularności, która trwała pięć minut. Nie zgadzał się na udział w reklamach, bo wydawało mu się to pedalskie. Pogląd niepopularny w czasach, kiedy karierę mierzyło się metrami bieżącymi obciążonego fiuta.

Nie był na czasie, dlatego kilka razy w tygodniu odwiedzał swoją salkę treningową, sparując, pracując na worku, walcząc z cieniem, żeby nie oszaleć. Sprawdzało się do momentu, kiedy duch dawnej dziewczyny nie zaczął do niego gadać z sufitu.

Na prośbę właściciela dziś zajął się nowicjuszem. Gdyby częściej oglądał nieszczęsną telewizję, jego twarz wydałaby mu się znajoma. Młody średnio się odnalazł w bokserkim klimacie. Nawet nie próbował udawać, że śmieszą go żarty o podnoszeniu mydła pod prysznicem, i patrzył na wszystkich z góry, a to nie jest dobra strategia na wejście. Żyła starał się mu to jakoś przyjacielsko wytłumaczyć, ale młody był myślami zupełnie gdzie indziej. Przy worku okazał się tak spięty, że nawet jak na pierwszy raz szło mu fatalnie.

Żyła instynktownie poczuł do niego sympatię. Nowy może i radził sobie w świecie na zewnątrz, lecz rękawice pasowały do niego jak Sandra do Raju.

– Luźniej ramiona. Nie masz w nich siły, jak je spinasz. I ruszaj się bez przerwy. Nie na sztywnych nogach, to nie wojsko. Chroń podbródek, bo po jednym strzale będą cię zbierać. Oddychaj, oddychaj.

Młody reagował opornie, ale mieli czas. Tutaj wszystko da się osiągnąć ciężką pracą. Dlatego boks jest uczciwy. W przeciwieństwie do całej reszty.

Nowy szybko się zmęczył. W połowie treningu zniknął w łazience. Żyła czekał spokojnie, unikając ciosów niewidocznego przeciwnika. To pozwalało mu przez chwilę nie myśleć o duchach, zabójstwach i zaświatach, czyli sprawach, które jeszcze przedwczoraj nie miały dla niego żadnego znaczenia.

Kiedy chłopak wracał z łazienki, Żyła stał do niego tyłem. Dlatego na początku gwałtowne reakcje pozostałych wydały mu się niezrozumiałe. Dopiero po paru sekundach spostrzegł broń w spoconych rękach. Te parę sekund zdecydowało o wszystkim.

Poczuł uderzenie, ale żadnego bólu. Pierwszy wystrzał rezonował w nieruchomym powietrzu sali. Odgłosy ciosów, sapania i jęki – wszystko ucichło na chwilę, kiedy na białej koszulce wykwitł czerwony wzór.

– No chyba żartujesz – mruknął do Juliana bardziej zdziwiony niż zły.

Wtedy dostał drugą kulę, parę centymetrów powyżej pierwszej. Powoli zbliżył się do strzelca. Bez zamachu trafił go w szczękę lewym sierpem. Broń gruchnęła o podłogę, sekundę później Julian zrobił to samo.

Żyła, nadal zdziwiony, odwrócił się do reszty.

– Hej, chłopaki, widzieliście? Ten nowy próbował mnie zastrzelić.

Ostrożnie przesunął pokrwawioną dłoń po porwanej koszulce. Zrobił dwa kroki w stronę worka. Uśmiechnął się.

– Chyba mu się udało – powiedział jeszcze, a potem upadł tuż obok ciała znokautowanego zamachowca.

* * *

Nie płakała. Tego mógł się po niej spodziewać. Nie wybuchła też złością, co już było dziwne. Amor wiedział, jak to wyjaśnić. Sandra zmieniała się. Nawet piersi jej zmalowały, a rysy twarzy stawały się mniej charakterystyczne. Raj ją zmieniał. To miejsce powoli leczyło z grzesznej osobowości, z pamięci o ziemskich sprawach, z przyziemnych pragnień, zastępując je bezosobowym poczuciem wiecznego szczęścia i spełnienia. Działo się tak ze wszystkimi. Tyle że inni się przed tym nie bronili. Sandra trafiła tu przypadkiem, ale pobyt w rajskim ogrodzie wyleczy ją z grzechu. I z całej reszty. Śmierć Żyły stanie się katalizatorem tych zmian, jej umysł otępieje pod wpływem szoku, dziewczyna przestanie walczyć. Ten skurwiel Serafin dobrze o tym wiedział. Amorowi było trochę przykro. Sandra stanowiła dla niego najweselszy element rajskiej układanki. Wkrótce skończy jak Beatrycze.

– To przeze mnie – powiedziała, przymykając oczy. Mówiła wolno, jakby była pod wpływem silnego środka przeciwbólowego. – Gdybym nie pyskowała

Serafinowi, nigdy by go nie zastrzelili.

– Nie pierdol głupot – cherubinek zaklął, żeby chociaż przez chwilę przywrócić jej myśli na dawne tory.

Dawna Sandra toczyłaby pianę z ust i wyrwała Serafinowi skrzydła.

– Powyrywam temu skurwysynowi skrzydła – oznajmiła spokojnie dziewczyna.

Amor uśmiechnął się szeroko, ale szybko spoważniał.

– Nie zobaczysz go, jeśli nie będzie chciał ci się objawić. Tak już z nimi jest.

– Zrobię to przy najbliższej możliwej okazji. Gdzie jest Żyła? – spytała.

Ziemskie namiętności pozwoliły jej jeszcze przez chwilę zachować tu świadomość. Teraz już mogła płakać.

Anioł smutno pokiwał głową wpatrzony w ośnieżony szczyt Everestu. Ponownie byli w Nepalu. Oboje preferowali ziemskie krajobrazy od luksusowej monotonii rajskiego ogrodu.

– Nie tutaj, moje dziecko. Obawiam się, że jest teraz bardzo daleko stąd.

* * *

Generalnie rzecz biorąc, Serafin był z siebie zadowolony. Owieczki. Czasem się je poświęca. Historia każdej religii pełna jest przykładów. Julian Sawicki został więc poświęcony dla wyższego celu, bo życie na ziemi jest tylko mgnieniem świadomości, a rajska egzystencja trwa na wieki. Dlatego ważne jest, aby trwała w pokoju i porządku. Błędy należy korygować. Serafin był więc pewien, że zostałby pochwalony, gdyby tylko Bóg raczył się do niego odezwać. Może radykalne działania skłonią Go do przerwania milczenia, które nawet jak na rajskie standardy trwa już bardzo, bardzo długo.

* * *

Bar był wyjątkowy. Był jak matka wszystkich barów. Pełen ludzi, mimo to zawsze znajdowało się w nim miejsce dla jeszcze paru osób. Nikt nie zliczyłby wszystkich ciemnych nor i załomów ceglanych murów, starych teatralnych plakatów i fluorescencyjnych neonów wskazujących drogę w lepkiej i wilgotnej czerni. Mogłeś tu dostać każdy rodzaj drinka, jaki tylko byłeś sobie w stanie wymyślić, a barman nigdy nie musiał na zapleczu sprawdzać składu w Googlach. Najpiękniejsze prostytutki świata wyszkolone w technikach, które zawstydziłyby Sashę Grey, siedziały przy kontuarze, rzucając powłóczyście spojrzenia na klientów. Kapela na scenie nazywała się Morphine.

Bar znajdował się daleko od nieba i bardzo blisko piekła, ale nie był, jak niektórzy uważali, jego przedsiönkiem. Piekielni pensjonariusze również nie mieli tu wstępu. Hitler popsułby imprezę.

– Co słyhać, Leila? – Amorek pomachał skrzydłami, żeby sięgnąć bladych palców kobiety i złożyć na nich kurtuazyjno–nachalny pocałunek.

W miejscu, w którym meskalina leżała na barowych stolikach jak orzeszki, latające noworodki naprawdę nie budziły w nikim zdziwienia. Kobieta przyjęła gest

z wdzięcznością. Jej opięte czarną suknią posągowe kształty, wysokie kości policzkowe i blond włosy przywodziły na myśl berlińskie kabarety z lat dwudziestych. Pewnie przestała już liczyć bankierów, prywatnych detektywów i zacnych profesorów, którzy zapili się na śmierć z nieodwzajemnionej miłości.

– Po staremu – odpowiedziała głębokim głosem. Z karminowych ust uniosła się smużka dymu, co było o tyle dziwne, że wcale nie paliła. – Zawsze miło cię zobaczyć, Mały. Tęskniłam za tobą.

Amorek gwałtownie przytaknął, by pokazać, że on również.

– Niewiele mamy ostatnio czasu, żeby pogadać. Świat strasznie przyspieszył. Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

– To prawda. Nie młodniejemy, praca nie robi się łatwiejsza. Czasem tęsknię za wiekami, kiedy rozdział na dobro i zło był jasny i oczywisty. Teraz większość ludzi za życia nie ma nawet czasu się dookreślić. Siedzą przed telewizorami, śniąc marzenia skrojone na miarę debili, i nic z tego nie wynika. Jak potem takiego sądzić?

– Mnie na szczęście te dylematy nie dotyczą – odpowiedział Amor.

– Jasne – mruknęła sceptycznie Leila. – Ty zawsze potrafisz się wymiksować od najcięższej roboty. Zgaduję, że dziś też nie przychodzisz na pogawędkę?

– Skąd wiedziałaś? – zapytał retorycznie aniołek.

Leila sięgnęła do bezdennej damskiej torby. Na zalanym piwem stole wylądowała oprawiona w skórę księga opatrzona znajomym nazwiskiem.

– Muszę przyznać, że panienka się nie nudziła – powiedziała z podziwem Leila. – Dużo fragmentów trafiło do mnie. Pewnie więcej niż do was. Niezłych sklerotyków zatrudniacie tam, przy bramie, nie ma co. Widzę, że zrobił się z tego mały skandal.

– Mały, kurwa – odparł swobodnie aniołek. Tu go nie usłyszą. – Prawie mi pióra oberwali za to wszystko. Ale dziewczynka jest niczego sobie. Pokazałem jej drogę do Jeziora Drzwi.

– Ty to lubisz wkładać kij w mrowisko. – Leila podczas ich krótkiej rozmowy zdążyła już osuszyć pół butelki czerwonego wina, pijąc prosto z gwinta.

Bardzo jej zazdrościł. Mógł sobie tu przeklinać do woli, ale alkohol nie zadziała. Bycie aniołem to przejebana fucha.

– Za to cię właśnie lubię, maleńki. Chyba nawet wiem, o co przyszedłeś mnie tu poprosić, ale, mimo całej sympatii, nie będę raczej mogła spełnić twego życzenia. „A kto umarł, ten nie żyje”, pamiętasz?

– Nie umarł. Jeszcze nie umarł. Jest na intensywnej terapii, jego dusza walczy.

– Po dwóch postrzałach w klatkę piersiową? Chcesz mieć nowego Łazarza?

– Ludzie to wytrzymałe zwierzęta. Zdarza im się wychodzić z gorszych opresji.

– Po co niby chcesz wskrzeszać tego całego Żyłę, co? – zapytała Leila, oblizując pełne usta.

Kropla czerwonego wina popłynęła jej po szyi, między obrzmiałe piersi.

– Lubię tę małą, chciałbym dla niej zrobić coś miłego. Poza tym chcę wkurwić Serafina. Nienawidzę, jak mi się ktoś wcina w robotę.

– Cały ty. Zakłócając odwieczny porządek rzeczy, muszę jednak zapytać, co my z tego będziemy mieli? Zwykle, kiedy przychodziłeś się z nami układać, przynosiłeś

coś w zamian. Tak długo się nie widzieliśmy. Nie uważasz, że wypada coś sprezentować kobiecie?

– I to nie byle jakiej kobiecie – Amor westchnął, nadal śledząc wzrokiem schnącą na jej skórze strużkę wina. – Przypuszczam, że dysponujesz podobnym bestsellerem na temat Żyły?

– Najlepsze fragmenty są wspólne.

– Zaglądałaś do niego? Czytałaś oba możliwe zakończenia?

– Mówiłam ci już – westchnęła zniecierpliwiona – że mam ważniejsze rzeczy na głowie.

Aniołek uśmiechnął się obleśnie.

– Tak, potrafię to sobie wyobrazić. Czy mogłabyś jednak w drodze wyjątku rzucić okiem na to, co może się stać, kiedy Żyła przeżyje postrzał?

Leila przyglądała mu się badawczo. Potem z wprawą bytomskiego alkoholika wyzerowała butelkę i puściła nosem jeszcze trochę dymu. Litery na obwolucie książki przez chwilę kłębiły się jak larwy na truchle. Potem uformowały nazwisko Żyły. Leila westchnęła i zabrała się za czytanie.

– Jako matka wszelkiego zła i zepsucia powinnaś być zadowolona z takiego obrotu spraw? – zapytał w końcu, nie mogąc się doczekać końca lektury.

Patrzyła na niego długo. Na jej twarzy pojawił się uśmiech czerwony jak otwarta rana.

– Zgadza się. To piękny gest z twojej strony, aniołku. Przyjmij więc też coś ode mnie.

Przekartkowała księgę, wracając dobrych kilkanaście rozdziałów wcześniej. Potem wolno wyrwała stronę. Spomiędzy okładek dobiegł pisk ranionego zwierzęcia. Mleczny płyn, przypominający trochę to, co wylewa się ze stawonoga, kiedy go nadepniesz, pociekł z rozdartej stronicy aż na okładkę. Leila oblizwała palce.

– Mój ulubiony fragment. Zachowaj go, proszę.

Aniołek kiwnął loczkami.

– Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego ludzie założyli, że ty i ja jesteśmy skazani na wzajemną nienawiść, skoro tak dobrze się dogadujemy.

Uśmiech jak otwarta rana tylko się poszerzył.

– Bo zmierzili nas własną miarą, Mały. Życzę przyjemnej lektury.

* * *

Nie pamiętałam ostatnich paru dni, może tygodni. Wielki spokój spowił mój umysł ciepłą zawiesiną po wiadomości, że Żyła jest w śpiączce. Postrzelony we własnej sali treningowej, we własnym mieście, przez jakiegoś oszołoma. Cały ten świat krwi, spermy, telewizji, fastfoodów był przeszłością. Nie żałowałam go. Obojętność stała się narkotykiem, który zaczął mi odpowiadać. Nie było już za czym tęsknić. A potem mały przyleciał z tym swoim złośliwym uśmiechem, kiedy Beatrycze tłumaczyła mi istotę bożej miłości (nie miałyśmy innych tematów), i oznajmił, że Żyła się wyliże. Opowieści o wiecznej łasce natychmiast przestały mnie interesować.

– Serafin jest wściekły i zrobi teraz wszystko, żeby ci zaszkodzić. Na ziemi, bo tu nie ma możliwości. Tym razem sama wręczyłaś mu narzędzie zemsty.

– Co masz na myśli? – zapytałam.

Niebiańskie machinacje zaczynały mnie przerastać. Bardzo się nudzili pod nieobecność Boga. Dobro i zło stało się dla nich partią szachów. Może nigdy nie było niczym innym.

– Ale się zrobiłaś niedomyślna – wkurwił się latający noworodek. – Niewiele wiem o tym twoim facecie, jednak potrafię przewidzieć, co zrobi, jak wyjdzie ze szpitala. Serafin też wpadnie na to z łatwością.

– Już to zrobił, prawda? Serafin już się nim zajął. Oprócz Żyły nie mam na świecie nikogo innego.

– Nieprawda – odpowiedział Amor.

Musiał przeczytać księgę, skoro tyle o mnie wiedział.

– Jest jeszcze ktoś. Twoje uczucia do niego są równie silne. Chociaż tutaj mogłyby zostać poczytane za grzech.

– Nienawiść – powiedziałam cicho, czując płomień w sercu. Brakowało mi tego.
– Bruno.

– Jeśli ty tutaj myślisz o nim w ten sposób, wyobraź sobie, co robi Żyła, kiedy poczuje się lepiej.

– Nie mogę go w ten sposób narażać.

Wiedziałam, jak niebezpieczny jest człowiek, który wysłał mnie na tamten świat.

– Czyżby? – Amorek wykrzywił usteczka w złośliwym uśmiechu. – To po cholere mu o wszystkim opowiedziałaś?

Na tym właśnie polega problem z aniołami. Za dużo wiedzą.

* * *

Posiadłość rozciągała się na terenie trzech przyległych działek. Willa z białego marmuru mogła robić przesadne wrażenie na obrzeżach Bytomia, ale Bruno miał to w dupie. Żył z poczuciem, że w przeciwieństwie do wielu znanych mu polityków zarobił swoje pieniądze uczciwie. Był Świętym Mikołajem. Spełniał marzenia.

Wysypyany żwirem podjazd prowadził do garażu, gdzie oprócz jeepa i trajki harleya (problemy z kręgosłupem zmuszały go do jazdy na trzech kołach) stał mercedes oraz cabrio żony. Niewypowiedziana umowa między nimi zakładała, że Karolina nie wypytuje go o pracę. Dla niej był producentem filmowym. To akurat się zgadzało. Jeśli chodzi o resztę, potrafił jakoś z tym żyć. Robota nie sprawiała mu przyjemności, ale wykonywał ją sumiennie, z myślą o rodzinie. Jak każdy inny zaradny człowiek w tym kraju. Tylko włóczędzy, menele, épuny i dziwki nie znali etosu pracy. Polska już dawno powinna się uwolnić od tej plagi.

Za parę dni pozbędzie się całego sprzętu ze studia, wielkie lampy i kamera pójdą na Allegro, a on sam będzie mógł wreszcie odpocząć. Poświęcić się bliskim. Spędzać z Karoliną tyle czasu, na ile zasługiwała. Teraz, kiedy na świat przyszła Oliwka, jego priorytety dotyczące kariery i pieniędzy zmieniły się całkowicie. Doczekał wreszcie chwili, gdy mógł być szczęśliwy. Wywalczył to sobie w świecie bez Boga. Odkąd

jednak dowiedział się, że będzie ojcem, powrócił do modlitwy. Nie nazywał tego nawróceniem, bał się takich wielkich słów. To było jak spotkanie po latach.

* * *

– Nie chcesz tego wiedzieć – powiedział Baron, przyglądając się Żyle zza zasłony dymu.

Siedzieli w jednym ze zrujnowanych mieszkań, gdzie trzymał towar. Cygan palił, ale jego ochroniarz przed chwilą odmówił skręta. Niedobrze.

– Ona nie żyje. Nie żyje, rozumiesz? Nie pomożesz jej, w żaden sposób tego nie zmienisz. Nie grzeb się w przeszłości, stary. Prawie cię odstrzelili, tydzień temu wyszedłeś ze szpitala. Nie potrzebujesz teraz tego gówna.

– Może masz rację. – Żyła wzruszył ramionami z fatalistycznym przekonaniem, że wszystko prędzej czy później musi się spierdolić.

Baron znał temat, w końcu obaj mieszkali w Bytomiu.

– To zrób, co mówię. Nadal nie wiemy, na czyje zlecenie strzelał. Jesteś mi teraz potrzebny.

– Domyślam się, na czyje to było zlecenie.

Cygan pytająco uniósł brwi.

– Gdybym ci powiedział, pomyślałbyś, że zwariowałem.

– Myślę, że zwariowałeś.

– Pokaż mi film, stary. Pokaż mi to nagranie, a potem wyjaśnij, kto je zrealizował.

– Nie warto. Nie dla jednej martwej dziwki.

Słowa Cygana wybrzmiały między zagrzybionymi ścianami zrujnowanego pomieszczenia. Wyblakłe, błękitne oczy patrzyły na niego długo w taki sposób, że lokalny król podziemia zmobilizował wszystkie swoje siły i w zakamarkach pamięci odszukał słowo „przepraszam”. Potem podał Żyle kamerę z małym wyświetlaczem. Dużo czasu i kasy kosztowało go zdobycie materiału, którego charakter był w najwyższym stopniu kolekcjonerski. Zrezygnowany oddał cyfrowkę w ręce przyjaciela. W końcu każdy wybiera sobie takie samobójstwo, na jakie go stać.

* * *

Bruno kochał swoją żonę i córkę. Kochał je ponad wszystko, a to znaczy, że był biznesmenem, a nie jakimś zбочeńcem. Jego wytwórnia i interesy mieściły się gdzieś bardzo daleko od życia, któremu nadawała sens obecność Karoliny i od niedawna również Oliwki. Nigdy nie rozmawiali zbyt szczegółowo o tym, skąd biorą się pieniądze na nowy samochód i raty za budowę domu. Te raty parę miesięcy temu spłacili od jednego strzału potężną sumą, która nie zdążyła mu się opatrzyć na wyciągach z konta. Tak szybko jak wpłynęła, trafiła do banku. Bruno stał się czysty, zamożny i wreszcie spokojny o przyszłość. Wyrzuty sumienia były czymś, z czym radził sobie łatwiej niż z myślą, że kiedyś jego piękna Karolina wraz z ich pięknym dzieckiem skończy w podłym M-3, robiąc zakupy w Biedronce i licząc kasę do

pierwszego. To państwo, cała jego hipokryzja i reguły tu panujące, było jak zaraza. Bruno zdecydował się więc wyzdrowieć na własną rękę. I za wszelką cenę.

Ktoś kiedyś wymyślił sobie termin *homo sapiens*. Biznesmen był pod wrażeniem jego optymizmu. Według Bruna człowiek różnił się od zwierząt tylko tym, że potrafił świetnie zapominać. Gdybyście dali szansę Hitlerowi, on też w latach siedemdziesiątych dowiadywałby się o drugiej wojnie światowej z podręczników do historii.

Tamtego słonecznego dnia Bruno wstał z łóżka z przekonaniem, że najgorsze minęło. Zbudował sobie, Karolinie i Oliwce wieżę z kości słoniowej, gdzie nikt nie mógł ich dopaść.

Potem zadzwonił telefon i wszystko się zmieniło.

* * *

Tamtego dnia stary Cygan patrzył na tężejący wyraz twarzy swojego przyjaciela i był to jeden z najstraszniejszych widoków w jego życiu. Żyła nie płakał. Emocje nawarstwiające się w nim od chwili, kiedy nacisnął *play*, były zbyt wielkie. To, co zobaczył, zmieniło go na zawsze. Kiedyś, mimo swojej przeszłości i zawodu, bywał czasem dobrym człowiekiem. Słuchał krzyków zarejestrowanych w głośnikach, dalekich i nierzeczywistych. Przekleństw dwóch mężczyzn. Śmiechu, kiedy jeden z nich wpadł na pomysł, by do gwałtu wykorzystać również butelkę piwa. Niewyraźnych plaśnień, którym towarzyszyły coraz cichsze jęki.

Długo nic nie mówił. Potem szeptem poprosił o nazwiska. Baron bardzo szybko spełnił jego prośbę. Nic dobrego z tego nie wyniknie – wiedział o tym, ale przez myśl mu nie przeszło, żeby Żyle znajdującemu się w takim stanie odmówić czegokolwiek. Były bokser nigdy wcześniej nikogo nie zabił. Lał się na ulicy wiele razy, ale nawet nie kopał leżących. Kiedy film się skończył, w głębi duszy był już mordercą.

* * *

Trzy osoby ponosiły bezpośrednią odpowiedzialność za zbrodnię – uznał Żyła. Sponsor i dwóch wykonawców, którzy nieźle się bawili z przywiązaną do stołu „kurewką” – butelką, nożami oraz kamerą. O sprawie zrobiło się jednak trochę zbyt głośno, dlatego ci, którzy nie mieli forsy, żeby sfinansować atak amnezji w wydziale kryminalnym, poszli pierdzieć. Złośliwy los sprawił, że odsiadawali wyroki w Bytomiu. Baron, robiąc swojemu ochroniarzowi pożegnalny prezent, nie musiał nawet płacić za benzynę.

* * *

Bytomskie więzienie jest ponurym, ceglanym gmachem na skrzyżowaniu ulicy Strzelców i Dworcowej. W bramie naprzeciwko, tuż obok cukierni, ustawiają się kobiety recydywistów, każda z gromadką rozwrzeszczanych bachorów, porozumiewając się na migi z mężami. Robią to spokojnie i rutynowo, bez poczucia obciachu. Wskazują dzieciom okna, żeby mogły pomachać do tatusia. Za wysokim,

zabezpieczonym drutem kolczastym murem dzieją się rzeczy, o których naprawdę wolelibyście nie wiedzieć. Cygan znał dobrze te tematy, strażnicy kojarzyli go już z imienia i nazwiska. Wybór między nieopodatkowaną premią a pewnym kalectwem nie jest trudny, dlatego w dni widzeń wpuszczali go bez kolejki. Zresztą marihuana w pierdlu była błogosławieństwem. Pensjonariusze robili się od tego mniej agresywni.

Dzień był dżdżysty, jak to bywa pod koniec października. Szara zasłona chmur zwieszała się z wieżyczek wartowniczych niczym wilgotna płachta namiotu. W środku było chłodno. Reumatycy grozili strajkiem.

– Mosh coś dla mje? – zapytał wygolony na zero potężny dowódca straży na zapleczu, gdzie kamery oślepyły już parę lat temu.

Baron zawsze coś dla niego miał. Tym razem nie chodziło o zioło. Wykonując pracę tego rodzaju, w mieście takim jak to, musisz raz na jakiś czas oprzeć się nosem. Woreczek z białym proszkiem dyskretnie zmienił właściciela.

– Będę coś za to potrzebował – oznajmił Cygan, bo wiedział, że owijanie w bawełnę tutaj nie zadziała.

– Godej – odparł strażnik.

Rozumiał pojęcie symbiozy.

Baron wymienił dwa nazwiska.

– I co mom niby z tymi ludźmi zrobić? – obruszył się klawisz. System, w którym funkcjonowali, rządził się swoimi prawami, należało się w nim poruszać ostrożnie. – To som „złodzieje”. Grypsera. Fest wysoko w hierarchii.

– Za co ich trzymacie?

– Zabójstwo pierwszego stopnia. Tak stało w papierach.

Cygan zrezygnowany pokręcił głową. Ktoś w prokuraturze sfalszował dane, z jakimi ci dwaj tu trafili. W amerykańskich filmach sensacyjnych samotny bohater zмага się ze skorumpowanym aparatem władzy. W Polsce korupcja walczy z korupcją za pomocą łapówki, nepotyzmu albo wymuszenia, a samotni bohaterowie malują domy w Norwegii.

– Gówno prawda. Nie tylko za morderstwo tu trafili.

Strażnik słuchał z uwagą. W więzieniu pewne zasady są niezmiennie.

– Noszą się, że są cwaniaki, a za zwykłe majty ich posadzili – wyjaśnił Cygan.

Skazani za „majty”, czyli przestępstwa seksualne, siedzieli zwykle w innym bloku i mieli inne godziny spacerów niż normalni więźniowie. Mimo to bardzo często zdarzały się wypadki, kiedy ktoś wieszał się w środku nocy, wpychając sobie na pożegnanie własne skarpety w usta, albo popełniał samobójstwo, wykrwawiając się pod prysznicem. Wypadki chodzą po ludziach. Szczególnie w bytomskim więzieniu. I szczególnie po takich ludziach.

– Co ty godosz? – przejął się szef straży. – Skąd to wjysz?

Baron wzruszył ramionami i zamiast odpowiedzi podał pakiecik fotosów z filmu. Miał rachunki do wyrównania. Trudno dziś o dobrego ochroniarza. O przyjaciela jeszcze trudniej.

– Gwałt i morderstwo, dziewczyna była nieletnia – ubarwił. – Widzisz tutaj?

Rzną ją butelką i śmieją się obaj. Tu spuszcza ją jej na twarz. A tu używają noży.

Szef strażników więziennych dużo w życiu widział, nie miał zwyczaju okazywać emocji. Poza tym był sam i to od zawsze. Która kobieta chciałaby maszkarona o takiej profesji? Mimo to, a może właśnie dlatego, myślał o płci pięknej z pewnego rodzaju odległą czcią. Był w końcu Ślązakiem. Lewa powieka drgnęła mu nieznacznie.

– Czego ode mnie, chopie, chcesz? Mom zabrać te łobrozki i pokazać grypszerze, że osadzyni z nimi goście to zboczyńcy? Wjysz, jaki się tukej zrobi hazieli??

Cygan kiwnął głową. Nieustępliwie.

– Jo cie przepraszom – odpowiedział z wahaniem w głosie szef straży – ale mje płacom, żeby uczymywać tu ordnung. Jo tego nie moga zrobić.

– Znałeś kiedyś takiego gościa, który nazywa się Żyła? – spytał obojętnie Baron.

– Siwawy, przystojny, niebieskie oczy, z wyglądu raczej chuderlak.

– Uczylżech się od niego boksu.

– No właśnie, tak słyszałem. To była jego dziewczyna.

* * *

Tydzień później więzieniem wstrząsnęły dwa wydarzenia. Informacja na ten temat nie przedostała się nigdy do *Życia Bytomskiego*. Jednym było samobójstwo powieszonoego na kratkach więźnia. Nie wytrzymał tego, że przez siedem dni musiał jeść z kibla. Jak to cwel. Drugim – homoseksualny gwałt pod prysznicem, do którego użyto zakrzywionego drucianego pałaka. Łyka się to czasem, żeby trafić na oddział szpitalny. Tym razem chodziło o głębokie rany błony śluzowej. „Śluz i krew – tłumaczył reszcie jeden z osadzonych – w ten sposób, jak cwel wróci ze szpitala, następnym razem pójdzie gładko i przyjemnie”.

Z nieba patrzyły na to wszystko anioły.

* * *

Wieści docierały do mnie przez Małego. Siedziałam beczynn timerze, zżerana wyrzutami sumienia, bo Żyła pakował się w to z mojego powodu. Nawet po śmierci mu szkodziłam. Jasne, że byłam wkurwiona na Bruna i jego zboczonych kolegów. Na moim miejscu też byś był. Nienawidziłam ich na tyle, na ile pozwalała niebiańska cenzura. Nienawiść i miłość chroniły moją osobowość przed całkowitym rozpadem, ale Żyła skazywał się przez to na piekło. Opowiedziałam o swoich wątpliwościach Amorowi. Pogłaskał mnie po głowie jak zatroskany ojciec.

– Nie żałuj, dziewczyno. Ci ludzie zasłużyli na swój los, bo zrobili coś niewyobrażalnego. Nie ma słów na to, co wtedy przeszłaś, i dobrze, że tego nie pamiętasz. Żyła pakuje się w sytuację bez wyjścia, ponieważ nie ma wyboru. Kim tam jest bez ciebie? Gorylem handlarza narkotyków, bokserem, który najlepsze lata ma dawno za sobą. Przyszłość nie szykuje już dla niego niespodzianek. Kiedyś miał swój sport, kiedyś miał ciebie i to były jedyne rzeczy, które się dla niego liczyły. Wierzył w to, a w życiu wiara jest najważniejsza.

Nie do końca się z tym zgadzałam, ale i tak mądrze gadał jak na dziecko ze skrzydełkami.

* * *

Serafin ostatnio zbyt wiele czasu spędzał w cielesnej formie. Uczynił ją tak doskonałą, jak to tylko możliwe, a jednak nadal czuł się w niej śmiesznie i niezręcznie. Wilgoć, odpadki, złuszczonego skóra i smród. Nie pojmował, jak ludzie mogą tak funkcjonować przez całe życie. Frustrowało go to i nawet skrzydła już nie pomagały. Kiedyś było prościej. Kiedyś interwencje odbywały się w błysku piorunów i ogłuszającym huku, który rzucał wszystkie łyse małpy na kolana. Wtedy świat, może i okrutny, respektował porządek siły wyższej, nieograniczonej gównem, sperma, śliną i śmiertelnością. A może to tylko jego imaginacja? Może wszechmocna wyobraźnia podpowiadała mu idealistyczne wizje, może naoglądał się takich obrazków w galeriach sztuki? Nieważne.

Od wielu wieków nie czuł się tak dobrze i źle zarazem. Działalność jawno grzesznicy wyprowadziła go z równowagi, najchętniej starłby ją na proch, gdyby nie to, że jej ciało jużgniło pod ziemią. Równowaga została zaburzona, grzech właśnie się dokonał i do niego należy ustawienie spraw we właściwym porządku. Po raz pierwszy od bardzo wielu wieków znowu miał swój cel. Może w ten sposób sam Bóg przemawia do niego z jakiegoś dziwnego, pustego i samotnego miejsca?

Serafin nie był w stanie wykroczyć poza wzorzec, którego ucieleśnienie stanowił. Gdyby tak jednak było, gdyby potrafił zgrzeszyć myślą, musiałby sam przed sobą przyznać, że nie pamięta momentu, kiedy On odszedł. I zacząłby się zastanawiać, czy echo boskiego głosu w głowie anioła nie jest przypadkiem tylko schizofreniczną projekcją udręczonego tęsknotą umysłu. Serafin nie był zdolny do tego rodzaju refleksji. Na ziemi nie był również zdolny do bezpośredniego działania, inaczej Żyła już dawno zostałaby zabita jak trzeba. Anioł królował w sferze pogranicza, pomiędzy tutaj i tam, ziemią i niebem, codziennością i wiecznością. Dawało mu to spore możliwości. Poza tym znał ludzi. Wiedział, jakie uczucia powstrzymywały osobowość kobiety przed całkowitym rozpadem. Wiedział też, jakie emocje powodowały Żyłę, kiedy ze łzami w oczach i zaciśniętymi pięściami szedł nocą główną ulicą swego miasta w przypadkowym kierunku, potrącając przechodniów. To była ich słabość. To była wada fabryczna, którą mógł obrócić przeciwko nim.

Obecnie łączyła ich również osoba niejakiego Bruna, niegodziwego człowieka odpowiedzialnego za krzywdę jawno grzesznicy. Zabójstwo jest bowiem grzechem i co do tego nie ma wątpliwości. Okrutna śmierć Sandry stanowiła jednak konsekwencję przeszłych wydarzeń, jej stylu życia, którym obrażała Boga – tłumaczył sobie Serafin. W takim razie kwestia odpowiedzialności za tę zbrodnię jest bardziej złożona, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje.

Ten cały Bruno uosabiał mroczną stronę ich miłości, bo każda ludzka miłość ma swoją mroczną stronę, dlatego bezpieczniej kochać Boga. A zadaniem aniołów – Serafin uśmiechał się do siebie formułując te wnioski – jest rzucać światłość tam, gdzie panoszy się mrok. Sprawić, by dobro i sprawiedliwość zatriumfowały. To

właśnie miał zamiar uczynić. Na pohybel wszystkim, którzy w ciemnościach odważyli się odnaleźć szczęście.

* * *

Iluzja kontroli rozwiała się w sobotni wieczór o godzinie 19.26, kiedy Bronisław Kaczorowski usłyszał w słuchawce głos lekarza, którego nawet gruba koperta nie była w stanie zmotywować do zmiany przeznaczenia jego dziecka. Mała Oliwka urodziła się z poważną niewydolnością sercowo–naczyniową. Jej czas na tej ziemi został więc ograniczony do paru miesięcy, a Bruno po raz pierwszy w swoim czterdziestoparoletnim życiu czuł się całkowicie bezradny i było to straszne uczucie. Wszystkie podłe rzeczy, jakich się dopuścił, miały go na bezradność uodpornić. Na tym niesprawiedliwym świecie tylko kasa i władza mogły zagwarantować pewność jutra osobom, które kochał. Wiele lat poświęcił, żeby tę kasę i władzę zdobyć. Jego religią była teoria ewolucji. Zdecydował się przetrwać. Wraz ze swoją kobietą i dzieckiem, które przyszło na ten świat piękne, szczęśliwe i bezbronne. Dla Oliwki zmienił swoje życie, bo nie można być jednocześnie mordercą i ojcem. Skończył z dawnym losem, ale los nie skończył jeszcze z nim. Obrał sobie za cel jego małą, uśmiechniętą dziewczynkę, miażdżąc serduszko, które nie nauczyło się jeszcze dobrze bić.

Na szpitalnym korytarzu tulił Karolinę, kiedy powtarzała „to niesprawiedliwe”, zdając sobie doskonale sprawę z absurdu tego stwierdzenia. Nic nie było sprawiedliwe. Wszystko było takie, jakie było. Tym razem nie potrafił sobie z tym poradzić. Słowa pocieszenia szeptane prosto w zapłakaną twarz żony nie znaczyły nic. Wiedział o tym, i ona, skoro знаła go tak dobrze, też musiała o tym wiedzieć. Może gdyby był innym człowiekiem, zabrzmiałoby to bardziej szczerze. Może wtedy potrafiłby jej pomóc.

Nie znał jednak słów, którymi mógłby opisać małe, wrażliwe ciało zamknięte w szklanej trumnie inkubatora, poprzebijane igłami kroplówek, obracane dłońmi w gumowych rękawiczkach. Nie znał takich słów, bo one, kurwa, nie istniały.

Karolina zasłała po dwóch niemalże bezsennych dobach spędzonych przy łóżeczku. Bruno kazał szoferowi odwieźć ją do domu i mieć na nią oko, chociaż wiedział, że w takich chwilach wołała być sama. Była mądrą kobietą. Cierpienie to ciężka praca, którą wykonuje się w samotności.

Nocne cienie pełzały po szpitalnej wykładzinie, za oknem przejeżdżały samochody. Monotonny pisk kardiomonitora to wprowadzał, to wyrwał go z drzemki. Przedłużające się w nieskończoność napięcie i świadomość szans malejących z każdym dniem wywołały w nim dziwną apatię. Po wszystkim, co przeszedł, po wszystkim, co zawiodło, biały szum w udręczonej głowie przerodził się w słowa modlitwy. „Proszę cię, Boże – powtarzał sobie jak dziecko – pozwól jej przeżyć. Zrobię wszystko, zmienię się, wypowiadam, naprawię swoje błędy, tylko nie zabieraj z tego świata mojej córki”. Żaden z jego współników i kontrahentów nie poznałby teraz w udręczonym człowieku bezwzględного gangstera, którym był jeszcze rok temu. Jego osobowość, jak wzory na piasku, zatarła się pod wpływem

bólu. Teraz był bardziej ludzki. Może dlatego jego modlitwy zostały wysłuchane. Sygnał kardiomonitora zmienił się, częstotliwość wzrosła, kiedy Oliwka wychodziła ze śpiączki.

Serafin z satysfakcją przyglądał się dzikiej eksplozji radości. Nie miał prawa decydować o życiu i śmierci, ale nieukształtowana jeszcze dusza Oliwki zagubiła się w sferze pogranicza, więc wymagała jedynie anielskiego oddechu – lekkiego pchnięcia w stronę światła albo w mrok. Amor postąpił tak samo z postrzelonym dwukrotnie Żyłą, lecz nie tylko on znał tę sztuczkę.

– Jesteś mi coś winien, człowieku – wyszeptał do siebie, kiedy Bruno wypadł na korytarz, wzywając lekarzy. – Jesteś moim dozgonnym dłużnikiem i, Bóg mi świadkiem, spłacisz ten dług, stając się przykładnym chrześcijaninem. Dobrym ojcem i mężem. Człowiekiem, który zapracuje sobie na to, żeby kiedyś trafić do Raju.

* * *

Parę tygodni później, gdy Oliwka świętowała szósty miesiąc pobytu na tym świecie, Bruno zdecydował się przystąpić do spowiedzi świętej. W ten sposób zamknął długi i zbrodniczy rozdział swojego życia. Zrobił to z wdzięczności, która nie była tylko podziękowaniem za metafizyczną łaskę. Bruno nigdy nie zapomni tamtej nocy w szpitalu, kiedy po raz pierwszy od bardzo wielu lat zaczął się szczerze modlić. Wdzięczność to niewłaściwe słowo. Czuł się raczej zobowiązany jakimś niejasnym kontraktem, którego echa przebrzmiewały mu w głowie. Naprawdę nie chciał wiedzieć, co się stanie, jeśli go nie dopełni.

* * *

Patrzyłam, jak w słoneczne popołudnie, szeroko uśmiechnięty, z dzieckiem na ręku schodzi po stopniach katedry, i krew gotowała mi się w żyłach. No, może niedokładnie, bo moja cielesność była przecież tylko wyobrażeniem. Dlaczego nie ja? Dlaczego nie my? Ten ponury skurwysyn dostał swoją drugą szansę i będzie sobie teraz żył, szczęśliwy i bezgrzeszny po świętej spowiedzi jak syn marnotrawny sprowadzony z powrotem przez pasterza Serafina. A po śmierci wszyscy pójdą do nieba i pewnie będą mnie tu w chuj unikać. *Happy end*. Dobrzy wygrywają kosztem bezimiennej kurwy i jakiegoś bandyty, o których nikt nie będzie pamiętał. O takich jak ja i Żyła nie pisze się książek. Tacy jak ja i Żyła nie mają prawa żyć długo i szczęśliwie. Jesteśmy czyrakiem na tyłku społeczeństwa. Na tym i na tamtym świecie sytuacja wygląda dokładnie tak samo. W Raju też powstaną getta.

Wtedy zrozumiałam, że to już koniec. Mieliśmy swoją szansę kiedyś, kiedy zasypialiśmy obok siebie w wynajętym pokoju, wytarzani w pościeli, pijani i szczęśliwi. Może te parę chwil to więcej, niż nam się należało? Nie liczyłam partnerów od czasu Żyły, ale tylko obok niego budziłam się spokojna. Teraz człowiek, który zabrał nam wszystko, uśmiechnięty i nawrócony, z sumieniem w wersji 2.0 tuli do piersi cudownie uzdrowionego dzieciaka. Serafin dopiął swego.

Sprawiedliwość zatriumfowała. A ja tracę siłę i osobowość. Roztapiam się w niebiańskim spokoju, który jest dla mnie jak mdłości po haszyszu. Żałuję, że za parę chwil nie będę już pamiętać swoich grzechów, włącznie z tym najpiękniejszym.

Statek szaleńców

Prowadzenie legalnych interesów z Urzędem Miejskim w Bytomiu nie różniło się specjalnie od bycia bandytą w tym samym mieście. Wymagało więcej cierpliwości i mniej odwagi. Bruno jakoś się w tym odnalazł. Po tym, co przytrafiło się jego córce i po dziwnej nocy w szpitalu, odnalazłby się nawet jako babcia klozetowa. Przetasował swoje życiowe priorytety, a o dawnym życiu myślał teraz jak o oglądanym zbyt wiele razy filmie sensacyjnym. Tak więc jakoś wyszło, że był szczęśliwy. I znowu wierzył w Boga.

Dawne życie nie chciało jednak zapomnieć o nim. Brunonowi uświadomił to zwalisty funkcjonariusz policji, który wszedł do jego biura, brudząc nowy, marokański dywan listopadowym błotem przedmieść. Były gangster znał dobrze tutejszych gliniarzy i wiedział, że nie stanowią bariery nie do przekroczenia ani wydatku, którego nie dałoby się skalkulować. Frustrował go tylko fakt, że pies przyszedł do człowieka, którego tak naprawdę już nie było.

– Czy mogę się dowiedzieć – zaczął uprzejmie, kiedy już poznał i natychmiast zapomniał imię policjanta – jaki właściwie interes sprowadza pana do...

– Pana dziecko zostało porwane... – powiedział natychmiast gliniarz, jakby chciał to z siebie jak najszybciej wyrzucić.

Był młody i grubawy. Jeden z tych, którzy poszli do policji, żeby zemścić się na szkolnych prześladowcach.

Bóg może i wybaczył Brunonowi, ale miasto takie jak Bytom miało dłuższą pamięć.

– Doszło do włamania, dziecko zostało uprowadzone z domu – mówił, połykając zgłoski, policjant. – Opiekunka skontaktowała się z nami zaraz, jak tylko...

– Czy moja żona o tym wie? – zapytał Bruno spokojnie.

– Doszliśmy do wniosku, że może lepiej pan...

– Słusznie. Lepiej ja. Karolina jest teraz u swoich rodziców. Jedźmy tam zaraz.

Telefon zadzwonił, zanim dotarli do samochodu. Głos w słuchawce podał mu miejsce spotkania i wtedy już wiedział, że rola policji w tej sprawie właśnie się skończyła. Gliniarze pełnili w mieście rolę placebo dla mieszkańców, którzy jakimś dziwnym przypadkiem nie zetknęli się jeszcze z prawdziwą przestępczością. Cała reszta wiedziała, że nie ma na co liczyć. Nawet jeśli przypadkiem złapią napastnika, przekażą mu twoje dane, bo takie jest prawo. Wtedy, mój drogi, będziesz musiał radzić sobie sam, a niebezpieczeństwo wzrośnie proporcjonalnie do wagi przestępstwa. Bruno nie był zwykłym obywatelem. Znał ludzi, którzy załatwiają sprawy skuteczniej, lecz odnowienie tych kontaktów zajmie trochę czasu. Już za godzinę ma być pod elektrownią Szombierki. On i sto tysięcy złotych.

- Co ma pan zamiar zrobić? – zapytał pobladły policjant.
 - Dać im dokładnie to, o co proszą, i wynieść się wreszcie z tego przeklętego miasta – wyznał szczerze. – Ale najpierw wyrzucę cię z mojego samochodu.
 - Czy nie sądzi pan, że lepiej będzie zdać się na zawodowców? – zapytał policjant, mając chyba, o zgrozo, na myśli siebie.
 - Spierdalaj – zaproponował przyjacielsko Bruno, otwierając mu drzwi. – Pan władza wybaczy, że tak obcesowo, ważne sprawy wzywają. Ani słowa mojej żonie. Poinformuję was, jak się cała sprawa skończy.
 - Dziękuję – krzyknął za nim gliniarz, niepewny, czy powinien coś takiego mówić.
- Potem uświadomił sobie, że będzie wracał autobusem.

* * *

Bruno wiedział, że porywacz, ustalając spotkanie, przemyślał sprawę. Im więcej czasu, tym więcej środków mógłby zmobilizować, żeby go znaleźć i wdeptać w ziemię. Godzina nie wystarczy nawet na załatwienie solidnej ochrony. Tylko jednemu człowiekowi mógłby zaufać na tyle, żeby wprowadzić go w sytuację. Na szczęście Sven odebrał telefon. Zajrzał do banku, potem do mieszkania, tylko na chwilę, ignorując rozwrzeszczaną i zapłakaną opiekunkę, z którą załatwi sprawy później. Wpadł po leżącą w najwyższej szufladzie, dawno nieużywaną broń. Na razie bał się zadzwonić do żony, bo nie miał pojęcia, co mógłby jej teraz powiedzieć. Zadzwoni potem, jak sprawy trochę się wyjaśnią. Kiedy będzie wiedział, na czym stoi. I ktoś trafi do ziemi. Cała chrześcijańska gadka o miłosierdziu i wybaczeniu w jednej chwili przestała obowiązywać. W sytuacji ostatecznej stał się tym, kim był kiedyś. Przebiegłym gangsterem bezwzględnie egzekwującym swoje w dżungli śląskiego miasta. „Szombierki – pomyślał. – Dobre miejsce. Sam nie wybrałbym lepszego”. Ile tu już trupów znaleziono na torach nieczynnej kolejki wąskotorowej? Ilu klejarzy, złomiarzy i złodziei węgla kręciło się po okolicy jak żywe zombie, ignorując wszystko, co nie dotyczyło ich zbudowanego na nędzy i nałogu mikroświata? Los bywa przewrotny, bo tam właśnie zaczynał, organizując plan swoich pierwszych filmów na zamówienie. Ale nie miał najmniejszego zamiaru tam skończyć.

* * *

Elektrociepłownia Szombierki. Ponury, pokryty warstwą brudu zabytek z powybijanymi oknami, gigantyczną halą i labiryntem wąskich korytarzy, wyglądał jak projekt secesyjnego architekta–opiumisty, który sam dobrze nie wiedział, co buduje, ale naprawdę lubił duże rzeczy. Parę lat temu gliniarze roznieśli tu fabrykę amfetaminy i nie pokazali się więcej. Ściany były ciągle jeszcze śliskie od chemicznych oparów. Robotnicy tyrali tu kiedyś za głodowe stawki. Budynek elektrociepłowni przez kilkadziesiąt lat stał się symbolem wszystkiego, o czym chory kraj próbował zapomnieć, i był wymarzoną miejscem każdej możliwej

zbrodni. Na kilometr wokół otaczały go tylko zarzucone gruzem i śmieciami pola. Żeby tu trafić od strony osiedla, trzeba było przejść po dwóch przerdzewiałych mostkach. Przez szczyrby w wyrwanych deskach prześwitywał płynący od centrum ściek albo szyny kolejki wąskotorowej. Kominy wbijały się w szare niebo jak wieże gotyckiej katedry. Sam budynek o tej porze roku wyglądał zaskakująco wdzięcznie, bo zrudziałe cegły komponowały się kolorystycznie z dywanem zeschniętych liści, pokrywającym ziemię niczyją między osiedlem i zakładem.

Miejsce miało coś w sobie, tak jak całe miasto. Nie było to nic dobrego, ale Żyła nauczył się je lubić. Urodził się tutaj; otoczenie zwykle grało na jego korzyść, kiedy za młodu spierdalał po torowisku przed policją lub łąził po nocy z torbą pełną towaru. Tym razem jednak po drugiej stronie czekał inny poważny gracz. Bruno, ze wszystkimi siłami piekieł, jakie udało mu się przez godzinę zmobilizować. Żyła nie zastanawiał się już, co w sprzyjających okolicznościach zrobi mu gangster za porwanie jego jedyne dziecko. Wyobraźnia boksera nie sięgała aż tak daleko. Cichy głos wewnątrz czaszki podpowiadał, że oszalał, bawiąc się w obrońcę upiorów. Żyła nawet nie próbował z nim polemizować. Ukryty w gęstym cieniu na tyłach budynku, wdychał zapach nocy, nadchodzącej zimy i toksyn. Z absurdalną ulgą uświadomił sobie, że prawdopodobnie nie doczeka reklam coca-coli.

– Siema, Sven. Miałem nadzieję, że nie odbierzesz jego telefonu – powiedział, słysząc chrzęst szkła pod podszewkami.

Przybysz odwrócił się, zmrużył oczy, przepatrując cienie wewnątrz hali. Był dużo niższy, ale zdecydowanie bardziej masywny. Zmiażdżone małżowiny świadczyły o zapaśniczej przeszłości, co dla każdego rozsądnego człowieka powinno stanowić znak ostrzegawczy. Miał skandynawską karnację i był co najmniej dziesięć lat młodszy, gładko ogolona twarz zachowała dziecięcą miękkość.

– Wolałbym cię tu nie spotykać – odpowiedział, sięgając do kieszeni.

Żyła pokręcił głową, wykonując identyczny gest.

– Myślę, że jako starzy znajomi obejdziemy się bez tego gówna, co?

Sven odetchnął z ulgą.

– Zawsze to lepiej bez sprzętu – wytarł ręce o spodnie. – Nie mam pojęcia, po jasny chuj tu teraz jesteśmy. Nie znałem cię z tej strony, Żyła. Dorabiasz jako porywacz dzieci?

– To trochę bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje, chłopaku – odpowiedział bokser. – Nie porwałbym małej, gdyby było inne wyjście.

– I co teraz. Zabijesz ją?

– Jeśli nie będzie innego wyjścia – odparł tym samym spokojnym głosem Żyła.

– Pojechało cię trochę, wiesz? – Sven wydawał się autentycznie zmartwiony.

Pech ich obu polegał na tym, że był najlepszym żołnierzem Bruna. I jedynym, który dał radę w godzinę dotrzeć do elektrociepłowni. W ten sposób karty zostały rozdane.

– Wiem – powiedział szczerze Żyła – to dla mnie już koniec. Kompletnie mi się popierdoliło w dyni. Może przez dragi albo te sławne mikrourazy mózgu naprawdę mi odpierdala. Parę tygodni temu wydawało mi się, że gadam z duchem byłej

dziewczyny. Wyobrażasz sobie? To już dla mnie koniec.

Sven nabrał powietrza w płuca. Jeśli istniał dla nich obu chociażby cień szansy, żeby wyjść z tego budynku o własnych siłach, teraz powinien powiedzieć coś zajebiście mądrego. Żaden nie był specjalistą od takich rzeczy.

– Spójrz prawdzie w oczy. Masz omamy od czasu, kiedy wyłapałeś te dwie kule. Twój mózg nie funkcjonuje prawidłowo. Zepsuli ci go w szpitalu albo co. Dzieciak nie powinien zginąć tylko dlatego, że coś ci się w głowie pierdoli. Nawet jeśli jest to dzieciak Bruna.

– Oj, pierdoli się, pierdoli. – Żyła pokiwał głową. – Mam tylko dwa wyjścia z tej fabryki: do wariatkowa albo na cmentarz. Bo widzisz, jedną rzecz wiem na pewno. Wiem, bo mam ją zarejestrowaną na płycie. W głowie może mi się mieszać, ale nagrania nie oszukasz. Widziałem śmierć Sandry i wiem, kto ją zlecił. W tej sytuacji ty, ja, Bruno, przyszłość jego bachora, niebo, piekło i cała reszta, są dla mnie naprawdę gównem warte.

– Szkoda – powiedział Sven i założył ochraniacz na zęby.

Żyła uśmiechnął się na widok tej zapobiegliwości.

– Będzie jak za dawnych lat. Wtedy, kiedy uczyłeś się u mnie boksować.

– Od tamtego czasu nauczyłem się też wielu innych rzeczy – odparł niewyraźnie Skandynaw.

– Nie wątpię. Bierzmy się do roboty.

Sven zaczął wysoką zmyłką, żeby od razu sprowadzić walkę na zarzuconą śmieciami podłogę hali. Żyła spodziewał się czegoś takiego. W parterze zapaśnik mógł go zdusić jak kotka albo zatłuc. Uciekł nogami jak najdalej, uderzając łokciem z góry. Trafił nadspodziewanie dobrze. Przez parę sekund bezkarnie obijał gardę sierpami z obu rąk. Potem odskoczył. Obaj zdawali sobie sprawę, że walczą o życie. Nie należało się podpalać. Przez parę minut okładania się pięściami, szarpania i walki w klinczu w całej hali słychać było tylko sapanie i pękające pod podszewkami szkło. Żyła, na przekór wszystkiemu, był rozluźniony i na swój dziwny sposób szczęśliwy. Cały popierdolony, pozbawiony zasad świat, w którym wielcy i bogaci żywili się krwią słabszych, został poza halą. Tu reguły były jasne. Walka uczciwa. Rzeczywistość sprowadzona do wymiaru dwóch zaciśniętych pięści. Tutaj dinozaury, relikty przeszłości tłukły się o parę oddechów więcej albo godną śmierć w czasach, które już ich nie potrzebowały. Wolał rozstrzygnąć to w taki sposób.

Jeszcze nie teraz. Dwa ciosy bite na gardę aż się prosiły o kontrę. Uniknął jej, schodząc nisko, bo cepy Svena były zbyt obszerne i sygnalizowane. Kiedyś próbował go tego oduczyć. Z dołu uderzył hakiem, niezbyt silnym, ale wcelowanym precyzyjnie w brodę przeciwnika. Po takim strzale błędnik wariuje i każdy, nieważne jak wielki Hulk, musi się zachwiać. Sven opuścił ręce. Żyła z trudem zwalczył chęć, żeby go za to opierdolić. Nie tym razem. Wchodząc w dystans, ułokował dwa sierpowe na twarzy, a potem wykonał kilka strzałów w splot słoneczny i wątrobę, kiedy przeciwnik przeszedł do podwójnej gardy. Wyczuł krew spływającą między palcami Svena, zalewającą prawe oko z pękniętego oczodołu. Taka okazja już się nie powtórzy, za chwilę zmęczy się biciem i pewnie sam wyląduje na ziemi. Miał tylko

nadzieję, że Bruno nie zjawi się tu nagle z bronią i nie popsuje zabawy. Małe szanse, bo tak naprawdę ich walka trwała zaledwie pięć minut i wcale nie była głośna. W przeciwieństwie do kotów, ludzie często zdychają w ciszy.

Sven wylądował na ziemi ze złamaną szczęką, która komicznie zniekształcała jego rysy. Twarz wyglądała teraz jak gumowa maska. Oczodół wypełniał się krwią, gałka oczna po trzecim kopnięciu w skroń po prostu z niego wyszła. „Niech to się szybko skończy” – pomyślał Żyła i przestał kopać. Rozejrzył się za solidnym kawałkiem gruzu. Czaszka pękła jak skorupa orzecha, do tej pory widywał coś takiego tylko w filmach. Na spodniach zostały plamy krwi i mózgowia. Trup trząsał się jeszcze, zwieracze puszczały. Ciało zaczyna śmierdzieć od razu po zgonie, jakby cały syf utrzymywał się w środku tylko dzięki sile woli. Ostre szczapy kości poraniły Żyle ręce. Prawa dłoń została wcześniej połamana przy ciosach, nic nie czuł, zorientował się dopiero po opuchliznie. Zawinał ciasno dłoń kawałkiem szmaty. Istniały spore szanse na to, że śmierć pozwoli mu uciec przed jutrzejszym bólem.

* * *

Teraz najważniejsze, gwóźdź programu. Teraz znajdziemy Bruna. Musiał tu gdzieś być, skoro wysłał swojego szpicla. Ciszę po walce zakłócał tylko dobiegający z zewnątrz, stłumiony kneblem płacz dziecka. Światło odległego śródmieścia osiadało na popękanych szybach jak plwocina. Okruchy szkła zmieszane z gruzem zgrzytały pod podszwami, kiedy chodził tam i z powrotem wokół zmasakrowanego ciała, rozcierając na twarzy krew i powtarzając sobie pytanie: czy to jest rzeczywiste? Znęcam się w opuszczonej fabryce nad niewinnymi ludźmi, bo moja martwa dziewczyna mnie do tego namówiła. Jej głos w mojej głowie, twarz odbita w lustrze, która staje się jej twarzą. Żyła musiał sam przed sobą przyznać, że wygląda to trochę ekscentrycznie. Ogłuszony ciosami, z kurzem fabryki osiadającym w przetyku, nie był już w stanie racjonalnie ocenić sytuacji. Racjonalność wysiadła na pierwszym przystanku. Już wtedy, gdy po rozmowie z duchem Sandry nie udał się do psychiatry. Dalej było szaleństwo i skręcona w dół spirala przemocy.

Kiedyś jeździli po Polsce w pożyczonym wanie, marząc o tym, żeby nigdy nie powrócić na Śląsk. Wtedy należeli tylko do siebie. Ale sytuacja się zmieniła i nic już nie będzie takie jak wcześniej. Po obejrzeniu nagrania, na którym zarejestrowano destrukcję jej delikatnego ciała, miał w sobie tyle bólu, że był nim w stanie obdzielić cały świat. Zabrać go w podróż w jedną stronę do samego piekła. Dla towarzystwa.

* * *

Żyła dostrzegł go, kiedy stał niezdecydowany, wystraszony i tłusty w swoim drogim płaszczu, przy drogim samochodzie. Zimny wiatr wyciskał im obu łyzy z oczu, gdy znaleźli się wreszcie twarzą w twarz. Z jednej strony zmęczony biznesmen sparalizowany lękiem o własne dziecko, z drugiej zarośnięty i blady szaleniec w brudnym od krwi ubraniu. Bruno wyciągnął broń. Żyła się roześmiał.

– Jeśli mnie zabijesz, nigdy nie odzyskasz małej.

- Może sam poszukam, kiedy już cię zastrzelę.
- Sądzisz, że o tym nie pomyślałem? Jestem szalony, ale nie głupi. Dzieciak jest dobrze schowany. Tyle że leży na dworze owinięty tylko w koc. Za kwadrans umrze z wyziębienia, o ile wcześniej nie zadławi się kneblem. Po mojemu powinniśmy się spieszyć. Dlatego rzuć broń. Im szybciej to zrobisz, tym szybciej ją zobaczysz.
- Nie zabijaj. Obiecaj, że jej nie zabijesz.
- Naprawdę sądzisz, że po tym wszystkim obietnice mają jeszcze jakąkolwiek wartość? Skoro już się nawróciłeś i jesteś taki wierzący, to może pomódl się do swojego Boga. Niech mnie razi piorunem i uratuje dzieciaka. Co ty na to? Spróbujesz?

Bruno wspomniał tamtą bezsenłą noc w szpitalu i rzeczywiście spróbował.

– Aniele boży – sylabizował szczękającymi zębami – stróżu mój, ty zawsze przy mnie...

Nic się nie stało. Ani aniołowie, ani Bóg nie gościli w tym czasie w okolicach Bytomia. Generalnie rzadko tam bywali.

Dwaj mężczyźni oddalili się od fabryki w kierunku zasłanych rudymi liśćmi pól i opuszczonych ogródków działkowych. Nienawiść pomiędzy nimi była tak wielka, że krzesła iskry w mroku.

Żyła wybrał dobrze ukryte miejsce. Po altanie pozostały tylko wyszczerbione fundamenty. W załomie muru leżało zawiniątko, z którego dobiegało coraz cichsze kwilenie. Bruno jęknął i rzucił się w tamtą stronę; Żyła musiał zatrzymać go siłą. Każdy ojciec rozpozna płacz swojego dziecka. Białe światło księżyca padało na ich spocone twarze i świeżo wykopany na samym środku działki grób.

* * *

W ten sposób wszystko się kończy. Każdego ranka musiałam sobie z coraz większym trudem przypominać, kim byłam na ziemi. Przerażeniem napawała mnie myśl, że wkrótce zapomnę nawet rysy jego twarzy. Tutaj grzech wywabiało się jak plamy, cierpliwie, z miłosiernym poczuciem, że ktoś wie lepiej, co jest dla mnie dobre. Trudno już nawet się wkurwić. Jak to się stało, że filozof w prześcieradle, którego spotkałam na samym początku, tak długo się trzymał? Może coś go tu definiowało, nie pozwalało mu zapomnieć? Ja miałam tylko blaknące w niebiańskim słońcu wspomnienia i podarunek, który podczas ostatniego spotkania wręczył mi Amor. Wtedy nie wiedziałam, że to będzie nasze ostatnie spotkanie. On też chyba tego nie wiedział. Może w końcu zakazali mu kontaktów z jawnogrzesznicą. Teraz widywałam się już tylko z Beatrycze, kochającą, współczującą i wyrozumiałą. W niebie nie mogłam dać jej po ryju.

Kartki od Amora nie pokazałam nikomu. Była wymięta i zeschnięta jak liść, pokryta rudymi plamami. Tekst zacierał się, ale codziennie czytałam go po parę razy. Nikt mi tego nie zabierze, bo w niebie się nie kradnie. Miałam już tylko to: słowa na wyrwanej z księgi życia stronie. Kiedyś wyblakną. Wkrótce o nich zapomnę i pograżę się na zawsze w niebiańskim szczęściu z Brunem, który jako nawrócony i wypowiadany katolik też przecież tu trafi, ale bez Żyły, dla którego przeznaczony

jest pewnie najgorszy rodzaj piekła. Gdyby tylko pozwolili mi wybierać, gdyby tylko którykolwiek z aniołów dał mi tę szansę, wolałabym być z nim. Ale wtedy to już nie byłoby piekło.

* * *

Po raz tysięczny wyprostowałam zmiętą stronicę, recytując zapisane tam wersy, przeżywając wszystko jeszcze raz. Potem coś we mnie pękło. Na ostatnią wycieczkę wybrałam się do biblioteki.

Grudniowy wieczór w pokoju hotelowym, w którym świętowaliśmy kolejny grubszy dil. Nie martwiłam się o niego. Przyciągaliśmy fuksa. Szczęście było wpisane w nasz związek.

Rozprostowałam kartkę, wygładziłam ją palcami. Pomarszczona i sucha jak jego skóra. Pełna blizn i zmarszczek. Potem otwarłam księgę mojego życia w miejscu, gdzie narracja się urywała. Szesnasty grudnia. Godzina dwudziesta pierwsza. Godzina grzechu.

Wsunęłam wymiętą stronicę między czyste, zapisane karty. Może to świętokradztwo, ale skoro chcieli Sandry, to taka właśnie jest. A pisanie o moim życiu bez tych fragmentów jest jak oglądanie pornosa dla fabuły. Jeszcze raz cicho, wyraźnie odczytałam każde słowo:

...zdjęłam majtki już na schodach, po drodze do pokoju udało mi się rozebrać Żyłę, który – tak jak zawsze – czuł się nieco zawstydzony moją bezpośredniością. Okna pensjonatu były zalepione śniegiem, łóżko zaskrzypiało, kiedy się na nie zważyłam, ściągając skarpetki. Klęknął nade mną w rozbebeszonej pościeli, której przez cały tydzień nie było sensu ścielić. Rozpinałam mu spodnie, sięgając głębiej. Pamiętam jego zapach tamtego wieczora, lodowe mazy na szybie i ciepło w pokoju oraz jeszcze gorętsze, wilgotne pragnienie w brzuchu. Chciałam go tak bardzo, jakby był brakującą częścią mnie.

Łóżko skrzypiało niemilosierdzie, ale my byliśmy głośniejsi. Czulałam, jak rośnie mi w ustach. Miałam go między piersiami. Uwielbiałam wiedzieć, że w takich chwilach jest całkowicie ode mnie zależny. Na zaczerwienionych od szorstkiej narzuty kolanach, ręką i ustami doprowadzałam go na skraj orgazmu, a potem się wycofywałam. Mieliśmy przed sobą całą noc.

Długo lizał mnie i drażnił ustami lechtaczkę. Wkładał język głęboko i pomagał sobie palcami tak skutecznie, że po pięciu minutach struna mojego kręgosłupa wyprężyła się z rozkoszy. „Mogę tu spędzić całą zimę” – powiedział, podnosząc na chwilę głowę.

Zarzuciłam mu nogi na ramiona, unosząc biodra, rękami na jego pośladkach nadawałam rytm. Filmy romantyczne kłamią. Znasz te sceny: przy świecach i rozwianych zasłonach facet wolno przesuwa się trzy razy nad kobietą, a potem oboje doznają kosmicznej rozkoszy. Nie tak to wygląda, drogie dzieci. Na orgazm trzeba sobie zapracować. Pot, śluz i sperma, drogie dzieci. Nie ma w tym nic złego.

Obróciłam się, żeby mógł mnie wziąć mocno od tyłu (dopiero następnego ranka

zauważyłam zdarte kolana i łokcie). Szczęki automatycznie zacisnęły się na prześcieradle. Podniosłam głowę, obróciłam się i wyplułam w jego stronę kawałek materiału. Żyłła się uśmiechał, ciepło i trochę ironicznie, jakbyśmy właśnie spacerowali po parku, dyskutując o książkach. Zawsze patrzył na mnie w ten sposób.

Nie liczyłam, ile razy kochaliśmy się tamtej nocy. Pamiętam, jak stał nade mną, między rozchyłonymi nogami, a ciepłe nasienie ściekało mi po piersiach aż na kark. Potem leżeliśmy obok siebie, zapadając w odrętwiałą od rozkoszy drzemkę i przytulając się tak mocno, że zostawały siniaki. Możesz powiedzieć, że istnieją w życiu doznania lepsze i bardziej wzniosłe, ale mnie wystarczały właśnie te. Jego zapach, zlepione ciała. Alkohol, noc i orgazm.

Po pół godzinie budziliśmy się drinkiem, żeby znowu się pierdolić.

Kiedy kończyłam czytać, strona była już częścią książki, a po grzbiecie spływała pojedyncza kropla krwi. Pożółkły papier zrósł się z całością, zabliznił się na zawsze. Odkładając ją na miejsce, zauważyłam, że była dwa razy grubsza. Przy wyjściu poczułam się dziwnie, za plecami ktoś głęboko odetchnął. Teraz tomiszczą pęczniały na półkach, jakby powciskano je tam na siłę. Jakby chciały rozsadzić drewniane ramy, wyrwać się z przypisanych sobie miejsc. Wszystkie były grubsze. Ledwie mieściły się w okładkach.

– To właśnie nazywam dobrą literaturą – mruknęłam do siebie, opuszczając bibliotekę.

* * *

– Nie waź się zrobić jej krzywdy – zapluł się Bruno, szarżując w stronę Żyły.

Ten bez problemu uniknął ataku wielkiego, niezgrabnego faceta, podkładając mu nogę. Gangster wyłożył się ciężko w pobliżu dołu w ziemi.

– Nie masz pojęcia, jak trudno w tym mieście dyskretnie kupić trumnę – powiedział Żyła, wskazując rozgrzebany grób i odsunięte wieko. – Typowe dla Bytomia. Łatwiej tu komuś załatwić czapę niż ramki – dodał konwersacyjnym tonem.

Potem gruchnął łopatą w potylicę gangstera. Przez chwilę się obawiał, że za mocno. Kiedy wyczuł puls, sięgnął po kajdanki.

– Za co? – wyjąkał Bruno.

Krew zalewała mu oczy. Obaj sapali ciężko. Pod kocami nadal kwilił noworodek i to paraliżowało wszelkie obronne instynkty jego ojca.

– Dobre pytanie. Każdy w twojej sytuacji powinien znać na nie odpowiedź. Zastanawiam się, czy Sandra przed śmiercią pytała o to samo.

– Jaka, kurwa, Sandra? – zaczął Bruno, a potem nagle ucichł.

Przypomniał sobie.

Księżyc rozświetlał opuszczoną działkę jak scenę w prowincjonalnym teatrze. Odgrywaną tu tragedią nikt prócz samych zainteresowanych się nie przejmował. Za parę dni, może tygodni, ktoś się zorientuje. W *Życiu Bytomskim* napiszą, że to

bandyckie porachunki.

Bruno nie współpracował i Żyła zasapał się srodze, zanim spiął mu ręce za plecami i zabrał telefon.

– To była tylko mała kurewka. Nie możesz niszczyć mi życia dla jednej, małej kurewki. Ja jestem już teraz innym człowiekiem.

Żyła otarł rękawem pot z czoła, mażąc twarz ziemią.

– Taa, słyszałem o tym. Cudowne nawrócenie. No dobrze, panie katoliku. Zobaczmy, jak u ciebie ze zdolnością do wybaczenia – powiedział.

Zaparł się obunóz, wcisnął podeszwy w ziemię. Tobolek nieszczęścia w rogu pomieszczenia nadal kwilił. Potem Żyła spuścił na niego pierwszy cios i płacz dziecka ustał.

Bruno wrzeszczał tak, że bokser zaczął się poważnie obawiać, czy echo nie dotrze do gliniarzy w centrum. Były gangster wyłamał sobie dłonie w nadgarstkach i prawie skrzywił żelazny pręt, do którego został przypięty kajdankami. A Żyła walił metodycznie łopata w zawiniątko, aż przestało się odzywać. Czerwień spryskała stylisko łopaty.

– Twoje dziecko nie zginęłoby, gdybyś nie wysłał na śmierć mojej kobiety. Pamiętaj, to ty je zabiłeś.

– Jeszcze za mało cierpiała ta kurwa. Powinienem ją udusić jej własnymi jelitami. Ona się nie liczy, rozumiesz? Oliwka, maleńka... Skurwielu, zabiłeś...! – krzyczał, a potem już tylko skamlał, kiedy Żyła zatrzaskiwał nad nim wieko.

Szelest ziemi osypującej się na trumnę stopniowo tłumiał złorzeczenia i przekleństwa.

– Z takim nastawieniem raczej nie pójdziesz do nieba – podsumował filozoficznie bokser, grzebiąc żywcem całą swoją nienawiść.

Ile czasu umiera się w trumnie? Ile czasu trzeba, żeby wykorzystać cały tlen i się poddać? W absolutnych ciemnościach, z połamanymi od drapania wieka paznokciami, gardłem zdartym od wrzasku, w towarzystwie robaków coraz bezczelniej penetrujących zakamarki przyszłego posiłku. Żyła pogrzebał go żywcem, bo nie potrafił wymyślić gorszej tortury.

Otarł pot z oczu, bardziej rozmazał błoto na twarzy. Oparł się o łopatę, oddychając ciężko. Potem wolno i niechętnie podszedł do zmiażdżonego zawiniątko. Czubkiem łopaty odsunął koc. W bladym świetle księżyca przyjrzał się resztkom. Wydarte oko pluszowego misia patrzyło na niego z wyrzutem. Wybebeszone, spryskane czerwoną farbą wnętrza zabawki mieszały się z resztkami telefonu, z którego dobiegał płacz. Żyła wyciągnął drugi aparat z kieszeni i nadal sapiąc ciężko, zadzwonił do Cygana.

– Odwieź małą do matki – rozkazał. – Tu się już skończyło.

Zimny wiatr zasłał rozkopaną ziemię liśćmi. Bokser zadrżał z chłodu i ze zmęczenia. Jego rachunki zostały wyrównane. Jakimś cudem udało mu się nawet to przeżyć. Był teraz żywym trupem, jak w amerykańskich filmach. Odwrócił się w stronę miasta. Płynące z oczu łzy rozmazały światła, tworząc impresjonistyczną perspektywę. Wiedział, że najwyższy czas się zbierać. Działka znajdowała się na

zadupiu, mimo to ktoś mógł usłyszeć wrzaski. Nie było jednak w tym mieście, w tym kraju i na tym świecie takiego miejsca, do którego chciałby się teraz udać.

* * *

Pływałam kiedyś z Żyłą kajakiem po jeziorze; był tam mostek, pod którym nikt dawno nie przepływał. Kiedy się pod nim znaleźliśmy, zaatakowały nas tysiące małych muszek. Odbijały się od naszych ciał, wlatywały do ust i pod ubranie, wplątywały się we włosy. Tak samo poczułam się teraz, bo wszędzie wokół rozciągał się niebiański bezmiar ze wściekłymi, trzepoczącymi skrzydłami i brzęczącymi coś do siebie aniołami. Życie wieczne. Miałam tego dosyć.

Wizyta w bibliotece wywołała wielką awanturę. Teraz każda księga żywota zawierała sprośne fragmenty. Biblioteka została zamknięta i dalej nie wiedzieli za bardzo, co z nią zrobić. Niszczenie ksiąg jest przecież grzechem. Do furii doprowadzał ich fakt, że nie mieli kogo zapytać o radę. Moje działanie obnażyło milczenie i nieobecność tego ich całego Boga, do której nie przyznawali się nawet przed sobą. A ja? Od razu poczułam się lepiej.

Ukarzą mnie, to jasne. Praktycznie ich do tego zmusiłam. Ukarzą mnie według zasad. Ich anielskie dobro, Słowo Boże, całe to pierdolenie, jest jedynie samooszukiwaniem się, jeśli nie chodzi w nim o ludzi. Byłam więc o jednego, samotnego człowieka od nich lepsza, bo mnie jeszcze ciągle na kimś zależało. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

W ogłuszającym łopocie skrzydeł i oślepiającym blasku poczułam się kaleką i niedokończoną. Już mi to nie przeszkadzało. Mogłam ich spokojnie pozostawić z całą niebiańską perfekcją i jedyną słuszną prawdą na tarczach. Z góry akceptowałam zesłanie do każdego piekła, które potrafiliby mi wymyślić. *Amor fati*. Byłam człowiekiem. Moje złamane serce, wspomnienia, milion grzechów i błędy, których nie da się już naprawić, czyniły mnie człowiekiem. Teraz już nikt, nawet oni, nie byli mi w stanie tego odebrać.

* * *

Amor i Leila spotkali się tam, gdzie zwykle. Oboje czuli się bezpiecznie. Mimo że w całym świecie i zaświecie nic nie mogło im zagrozić, najlepiej rozmawiało się tej dwójce w barze. Noc, zapach grzanego wina i ciepły półmrok. Są chwile, kiedy nawet wszechmocnym istotom to wystarcza.

Rozgrywka dobiegała końca i, tak jak zwykle, żadne z nich nie dociekało, kto właściwie wygrał. Wynik stracił znaczenie bardzo dawno temu.

– Niezły manewr – pochwaliła. – Chociaż jak zawsze korzystasz z dziwnych narzędzi. Ten cały Serafin. Chyba zapluje się ze złości.

Amorek lekceważąco machnął skrzydłami.

– Czy naprawdę nie było prostszego sposobu? Nie mogłeś, wiesz, po prostu... czegoś zrobić?

– Nie ma mowy – odpowiedział, tłumiąc ziewanie – wolna wola i te sprawy. Poza

tym nigdy więcej nie popełnię tego błędu. Za każdym razem, kiedy coś robiłem, wychodziła katastrofa. Umierali z głodu albo ubierali śmieszne czapki i szli się zabijać. Za każdym cholernym razem. Im donośniej do nich mówiliśmy, im prostszych słów używaliśmy, tym łatwiej było wszystko spierdolić. Niech więc o mnie zapomną, tak będzie dla wszystkich lepiej. Ale jej jakoś nie mogłem zostawić samej.

– Bo to sympatyczna dziewczyna była – powiedziała Leila i oblizwała wargi szpiczastym, różowym językiem. – Poza tym miała świetny tyłek.

Amor kiwnął głową.

– Sprawa załatwiona – powiedział. – Za kwadrans nie będę już nawet pamiętał, o co chodziło. Rozmowa z tobą zawsze sprawia mi przyjemność, moja pani. To pewnie ostatnia przyjemność, jaka mi pozostała. Tym razem jednak będę cię musiał opuścić. Zanim o wszystkim zapomnę, powinienem się jeszcze z kimś spotkać.

Leila nie oponowała. W którejkolwiek z miliarda postaci by się nie manifestował, uwielbiała oglądać go przy pracy.

– Nie brakuje ci tych małp? – zapytała jeszcze, kiedy objając się tłustymi nóżkami o ściany, zmierzał w stronę wyjścia. – Wiesz, tego całego zamieszania?

– Trochę – przyznał. – Znasz moją słabość. Zależy mi na nich, ale przychodzi w życiu taki czas, kiedy trzeba odstawić dzieciaka od cyca. Jeśli chcą rzeczywiście być szczęśliwi, powinni wziąć za siebie odpowiedzialność. Niech wreszcie nauczą się żyć tak, jakby mnie w ogóle nie było.

Leila kiwnęła głową. Ceniła małego, lecz sama miała do tego wszystkiego trochę inne podejście. Ona zawsze była do usług.

* * *

Pił ostro, żeby już nigdy nie wytrzeźwieć. Pił ostro, żeby zapić się na śmierć. Zginać w barowej bójce. Odejść w bytomskim stylu, szepcząc w ostatnich słowach „kurwa mać” raczej ze zdziwieniem niż ze złością. Przeszkadzono mu.

Noworodki nie unoszą się na pierzastych skrzydłach pół metra nad zaszczańą podłogą knajpianego kibla, ale ten wyraźnie o tym nie wiedział.

– Żyła – powiedział głosem stuletniego starca – wyglądasz jak gównu.

Żyła nie należał do ludzi, którzy tracąc zmysły, wyzbywają się również panowania nad sobą. Na chłodno, z umiarkowaną ciekawością analizował proces pogrążania się w szaleństwie.

– A ty jesteś tłustym, latającym dzidziusiem – odpowiedział swojej halucynacji.

Dobrze, że znajdował się w kiblu sam. To nie był dobry tekst do zawierania znajomości przy pisuarze.

– Słuszna uwaga. Sandra na ciebie czeka, człowieku. Na twoim miejscu bym się umył.

– Moja kobieta nie żyje, ty...

– Wywalili ją. Nie mieli innego wyjścia. Postawiła ich pod murem, a nie dysponowali żadną inną sankcją. Nie wiem, gdzie trafiła. Może zebrze gdzieś na ulicach Bogoty, kradnie w Moskwie lub prostytutkuje się w Rio. Nie ją pierwszą

ukarano w ten sposób. Mało to schizofreników błąka się po ulicach, na wschód od Edenu? Szansa na jej odnalezienie jest minimalna, lecz mówię ci o tym wszystkim, bo jakaś jednak istnieje. Pamięta cię. Póki oddychasz i póki ona oddycha, tak będzie. Na przekór światu, Żyła. I na pohybel aniołom.

Bokser nie odpowiedział. Był szalony, to oczywiste. Przegrany. I zalany w trupa. Dlatego wychodząc z kibla, w myślach przygotowywał się już na straszego kaca. I na długą podróż.

Za oknami baru ciągle jeszcze panowała noc, ale gdzieś tam, nad spaloną, rozmytą linią horyzontu, właśnie wschodziło słońce.

Joanna Maciejewska

WSZYSCY JESTEŚMY BOGAMI

Jak każdego poranka, Colin na nowo utwierdził się w przekonaniu, że nienawidzi dżungli. Maureen obróciła się na łóżku polowym, mrużąc przez sen, ale nawet łuk zgrabnego biodra zagarniającego koc nie był w stanie odciągnąć myśli Colina od tego, co czekało na zewnątrz. Mężczyzna naciągnął lniane spodnie i odchylił klapę namiotu. Teraz, o świcie, powietrze było jeszcze chłodne i rześkie, ale tak samo ciężkie od wilgoci, jak o każdej innej porze dnia i było oczywiste, że wystarczy kilka godzin, by zrobiło się lepkie i gęste.

Kilkoro członków ekspedycji było już na nogach, przygotowując się do kolejnego dnia pracy. Colin minął ich, udając, że nie dostrzega spojrzeń pełnych niechęci.

„A miało być tak pięknie...” – westchnął, wspominając dzień, w którym Maureen zaproponowała mu udział w wyprawie. Ona zajmowałaby się martwymi Indianami, podczas gdy on badałby żywych, a wieczorem wymienialiby teorie naukowe i płyny ustrojowe.

Zazgrzytał zębami.

„Zapomniała tylko wspomnieć, że będę jedynym antropologiem w grupie archeofanatyków – pomyślał zgryźliwie. – I że w pobliżu nie ma żadnego plemienia Indian”.

Szybki prysznic w deszczówce nieco poprawiłby Colinowi humor, gdyby tuż po wyjściu z prowizorycznej kabiny na obrzeżach obozu nie spojrzął na masyw piramidy schodkowej – i nastrój znów zwarzył się jak mleko.

– Hej, przystojniaczku! Już wstałeś? – Maureen nadeszła od strony namiotu. – Jakie plany na dziś?

Pocałunek skutecznie odwrócił jej uwagę od grymasu, który wkradł się na twarz Colina. Maureen odwzajemniła powitanie z taką samą pasją jak zazwyczaj, a potem spojrzała na niego uważnie.

– Coś nie tak?

– Marzą mi się prawdziwe gofry w IHOP – Colin skłamał bez zastanowienia. – Z boczkiem, jajecznicą i porządną porcją grits. I z mocną kawą... Taką, jaką tylko oni potrafią parzyć.

Maureen pokręciła głową, czarne loki zawirowały wokół twarzy, na której na chwilę zagościł uśmiech rozbawienia i politowania.

– Myślałam, że jak na rodowitego Teksasńczyka przystało, będziesz raczej tęsknił za porządnym stekiem. – Pogroziła mu palcem.

– Do rodowitego Teksasńczyka brakuje mi dobrych sto funtów, jak nie więcej – odgryzł się. – Ale stek też bym zjadł. I wypił ze dwie butelki Dr Pepper...

Maureen wybuchnęła śmiechem.

– Zostały cztery tygodnie, jakoś wytrzymasz. – Poglądziła go po policzku. – Idę

pod prysznic, a potem dalej grzebać w tabliczkach. Nie zgub się w dżungli!

Colin patrzył na jej zgrabną sylwetkę, na biodra kołyszące się delikatnie jak łódzie w Zatoce Meksykańskiej i coraz bardziej tęsknił za domem. Do dwupokojowego mieszkania w szeregowcu w Bevil Oaks i do tej Maureen, którą znał. Do twardo stąpającej po ziemi pracownicy naukowej lokalnego uniwersytetu, która jednak nie poświęcała pracy całego życia, umiając cieszyć się jego urokami. Colin z rozrzewnieniem przypominał sobie, jak zawsze rozsypywała popcorn, czy to w kinie, czy to przed telewizorem, i nawrót tęsknoty za normalnością ścisnął go za gardło.

„Cztery tygodnie... Cztery, kurwa, tygodnie” – pomyślał. Nie wierzył naiwnie, że po powrocie wszystko wróci do normy, ale w domu na pewno udałoby się rozwiązać problemy. „Byle by dalej od tej przeklętej piramidy”.

Wrócił do namiotu i przebrał się w przybrudzone ubranie, w którym zazwyczaj włóczył się po dżungli. Sprawdził zawartość podręcznego plecaka i broń, a następnie zapakował dwie butelki wody mineralnej z podręcznej lodówki. Nie miał ochoty na śniadanie w towarzystwie archeo–świrów i specjalnie nadłożył drogi, by ominąć stół pośrodku obozowiska, tuż przy polowej kuchni, gdzie powoli zbierała się większość uczestników ekspedycji. Do jego uszu dobiegały urywki zwyczajowych rozmów przy śniadaniu, dotyczących planowanych prac, podziału obowiązków i pomniejszych odkryć czy spekulacji na temat braku niektórych elementów religijnych typowych dla kultury Majów. Przyspieszył, bo nie miał ochoty słuchać, jak to rzeźbiona fasada szokuje brakiem wejścia w formie maski bóstwa, albo roztrzasać, do czego podobne są kamienne kolce wokół portalu – zębów Chaca czy może pazurów przerośniętej ręki.

I gdy wreszcie, pogryzając suche racje podebrane z magazynu, pozostawił za sobą gwarne obozowisko i zanurzył się w zieleń, dżungla, której tak przecież nienawidził, bez chwili wahania przygarnęła antropologa–wyrzutka.

* * *

Po sześciu tygodniach spędzonych na bezowocnym szukaniu indiańskich ścieżek Colin zaczął mozolnie wydeptywać własne. Być może co noc zarastały, jakby dżungla zazdrośnie usiłowała strzec tajemnic mieszkających w niej istot, ale mimo to okolica powoli stawała się coraz bardziej znajoma.

Zwalone drzewo porośnięte czerwonymi kwiatami, płatanina lian przypominająca huśtawkę w ogrodzie dziadków, samotny głaz, który upodobały sobie jaszczurki... Spędzając dni na samotnych wędrówkach, Colin miał wrażenie, że łatwiej mu poruszać się po okolicy niż po Bevil Oaks, choć przecież niechętnie zapuszczał się głębiej w las. Każdego dnia nienawiść do dżungli i strach przed zagrożeniami, jakie się w niej kryły, walczył z nim o lepsze z ciekawością i pragnieniem znalezienia Indian. Jakichkolwiek. „Byleby tylko byli żywi” – powtarzał w myślach.

Dwie godziny niespiesznej wędrówki i dotarł w ulubione miejsce – nad oczko wodne, przytulone do niewielkiej formacji skalnej. Usiadł przy samym brzegu, na

kamieniu, który kilka tygodni wcześniej pieczołowicie oczyścił z wszelkich porostów. Wciąż wprawdzie zdarzało się, że jakieś żyjątko mozolnie wczołgało się na głaz, ale poza tym Colin mógł spocząć dość wygodnie i bez obaw, że wstanie z alergiczną wysypką albo padnie ze śladami po jadowitym ukąszeniu.

Wpatrzony w szmaragdową toń jak zwykle rozmyślał o życiu i pracy, o Maureen i planach na przyszłość. Czasem fantazjował, że wśród skał znajdzie wąskie przejście prowadzące do ukrytej wioski Majów, którzy przez setki lat żyli w izolacji, zachowując język i kulturę swoich przodków. Jeśli był w dobrym nastroju, wyobrażał sobie minę Maureen, jej fascynację żywymi przedstawicielami kultury, której szczątki i pozostałości z takim oddaniem badała, wreszcie jej wdzięczność i lata wspólnych badań... Potem rzeczywistość z nieprzyjemnym zgrzytem zawiasów wracała na swoje miejsce i Colin, ciężko wzdychając, sprawdzał, ile jeszcze pozostało czasu do zachodu słońca.

Gdy w jego myśli wdarł się nagle trzask łamanej gałęzi, drgnął i instynktownie rzucił okiem w kierunku plecaka. Przez głowę przemknęło mu pytanie, czy lepiej nie dać nic po sobie poznać, czy też rzucić się w jego stronę i spróbować wyciągnąć broń. I drugie: jak mógł być tak głupi, tak ufny i tak leniwy...?

Krzaki po drugiej stronie oczka wodnego zaszeleściły i Colin zamarł, napinając mięśnie. Wpatrywał się czujnie w mur zieleni, próbując uspokoić kołatanie serca i myśleć rozsądnie. Pochłonięty własnymi uczuciami, z lekkim opóźnieniem uświadomił sobie, że oto liście rozsunęły się na boki, ukazując zdumioną twarz Indianina.

Wyćwiczone oko bez trudu rozpoznało cechy charakterystyczne fizjonomii Majów, choć Colin przecież zawsze uważał się bardziej za antropologa kulturowego. W euforycznym rozgorączkowaniu zaczął się podnosić, szukając słów powitania w języku *maya*. Tylko na chwilę, na mniej niż sekundę, odwrócił wzrok, szukając oparcia dla dłoni, ale gdy spojrział ponownie na drugi brzeg stawu, nieznanego już nie było.

Liście nadal kołysały się łagodnie, dając nieme świadectwo nieobecności.

* * *

„Był tam, na pewno był” – powtarzał Colin w myślach przez całą drogę powrotną i co chwila na powrót popadał w zwątpienie. Upał, niespełnione nadzieje, silne emocje, prawdopodobnie lekkie odwodnienie... Nawet najzdrowsi i twardo stąpający po ziemi ludzie miewali przecież zwidy. „A może przeżywam załamanie nerwowe?”

Wiedział, że nawet jeśli żadnego Indianina tam nie było, musi porozmawiać o nim z Maureen, uporządkować myśli, ująć całe wydarzenie w logiczne ramy.

– Jesteś wreszcie! – doszedł z oddali jej głos, gdy tylko Colin przekroczył umowną granicę obozu. – Nie uwierzysz, jakiego odkrycia dzisiaj dokonaliśmy! To niesamowite, mówię ci! Rewelacja!

Maureen podbiegła, promieniejąc radością. Przez chwilę przypominała dziewczynę, która witała go na lotnisku, gdy wracał z kolejnych konferencji: te same roziskrzone czarne oczy, osadzone w owalnej twarzy, skóra o barwie orzecha pecan,

usta rozciągnięte w uśmiechu i wyczekujące pocałunków... Colin odruchowo wyciągnął ramiona, jak to zawsze czynił na lotnisku, ale Maureen zatrzymała się kilka kroków przed nim. Zrozumiał, że nie czekała akurat na niego; po prostu chciała podzielić się wieściami z kimkolwiek, kto jeszcze o niczym nie wiedział.

Z głębi obozu docierały już nawoływania. Maureen wciąż patrzyła na Colina, ale po jej postawie było widać, że zaraz odwróci się, by odpowiedzieć reszcie ekipy.

– Oglądaliśmy płaskorzeźby w tym wąskim korytarzu z tyłu, wiesz, za główną salą w części górnej – wyrzucała z siebie słowa. – I Noel zorientował się, że niektóre z nich nie pasują do reszty, jakby ktoś umieścił je tam później. No to zbadaliśmy ścianę i wiesz, co się okazało?

– Ukryte przejście? – rzucił od niechcienia, choć nie był pewien, czy w ogóle oczekiwała odpowiedzi, czy po prostu zrobiła przerwę, żeby wziąć oddech.

– Ukryte przejście! – ni to potwierdziła, ni to go poinformowała. – Wąski korytarz prowadził do niewielkiego dodatkowego pomieszczenia, choć zupełnie nie wiem, jak im się to zgadzało architektonicznie. Kto wie, może znajdziemy jeszcze jakieś pomieszczenia, by symetria była zachowana. W każdym razie ktoś całkiem niedawno, najwyżej wiek albo dwa temu, dołożył starań, żeby znaleźć odpowiedni kamień i sfalszować płaskorzeźby. Wymierzyli idealnie, mówię ci! Gdyby nie te niedopasowane tematycznie płaskorzeźby, w życiu byśmy się nie zorientowali. Znaleźliśmy jeszcze ślady na posadzce potwierdzające, że kamień był przesuwany, ale to było później...

Colin powstrzymał westchnienie. Właściwie nie przeszkadzała mu paplanina Maureen, przez lata zdążył się już przyzwycząić. Zawsze lubił te swoiste nutki w jej głosie, gdy trajkotała z takim entuzjazmem, z taką pasją. Wolałby jednak usiąść w namiocie z puszką piwa, jeśli jeszcze jakieś zostało, zamiast stać na obrzeżu obozu, jakby od wysłuchania całej historii zależało, czy otrzyma pozwolenie na przekroczenie jego granic.

– I co było w tym pomieszczeniu? – przerwał, kierując opowieść na właściwy tor. Albo przynajmniej taki, który szybciej dowiezie ją do stacji końcowej.

Maureen, której czoło zmarszczyło się właśnie – nie lubiła, gdy się jej wchodziło w słowo – rozpromieniła się ponownie.

– Płaskorzeźby i tabliczki, ale takie, jakich jeszcze nie widzieliśmy. Becca uważa, że to w ogóle może nie być piramida Majów, a Peter twierdzi, że jakaś zupełnie inna cywilizacja zaadaptowała ją do swoich potrzeb. Tylko że wszystkie tabliczki są zapisane glifami Majów! Już nie mogę się doczekać, gdy je rozszyfruję. Bo wiesz, Miguel zdecydował, że to ja znam najlepiej ich pismo i dlatego powinnam się tym zająć.

Colin uśmiechnął się, dzielając jej radość.

– Wygląda na to, że być może trafiło ci się odkrycie dekady – powiedział, podchodząc bliżej. – Albo stulecia. Już widzę te nagłówki w *Archeology* i *World Archeology: Maureen Dequano tłumaczy zaginione tabliczki Majów!*, *Przełom w archeologii – Maureen Dequano odkrywa nieznane karty z historii Majów!*...

Właśnie zaczął się rozkręcać, układając w myślach kolejne nagłówki, gdy

Maureen niespodziewanie podeszła i go pocałowała. Tak jak dawniej: z pasją, którą zgubiła gdzieś po drodze z Bevil Oaks na półwysep Jukatan. Przyciągnął ją do siebie, chcąc przedłużyć chwilę intymności, zagarnąć dłońmi pośladki, poczuć jej włosy na twarzy i zapach jej ciała, ale Maureen już odsuwała się od niego, zbyt podekscytowana, żeby skupić się na czymkolwiek poza nieoczekiwanym odkryciem.

– Chodź, inni się niecierpliwią! Miguel powiedział, że lepszy moment się pewnie nie trafi i możemy otworzyć butelkę szampana, którą trzymał na specjalną okazję. Świętujemy już od godziny, tylko ciebie brakowało.

– Czekaaś na mnie? – zażartował, choć w głosie zabrzmiała nuta nadziei.

Jej twarz zamarła na ułamek sekundy i Colin natychmiast zrozumiał, że zaraz usłyszy kłamstwo. Po tylu wspólnie spędzonych latach bezbłędnie rozpoznawał „niebieski ekran”, jak nazywał pozbawiony emocji wyraz twarzy, kiedy Maureen – niczym superszybki komputer – opracowywała szczegóły. Ułamek sekundy minął i jej usta już rozciągały się w uśmiechu, choć przecież oczy zerkały w bok, jakby jej myśli nie mogły oprzeć się podekscytowanym głosom za plecami.

– Oczywiście – odparła, po czym szybko wzięła go za rękę, próbując pociągnąć za sobą. – Chodź, inni już czekają. Zajrzemy po drodze do magazynu. Jestem pewna, że Becca ma ochotę na piwo, nie lubi szampana.

Colin pomyślał, że choć znał chyba jej wszystkie drobne kłamstewka, żadne z nich nie zabolowało tak bardzo. Jakby kilkoma zdaniem skonkludowała obecny etap ich związku, napisała do niego dosadne epitafium.

– Idź beze mnie, przyjdę za chwilę – powiedział Colin z rosnącą goryczą. Maureen rzuciła mu pełne zaskoczenia spojrzenie. Wydawało mu się, że dojrzał w jej oczach odrobinę rozczarowania. Wyrzuty sumienia wymusiły kolejne kłamstwo. – Muszę wziąć prysznic, po całym dniu wędrówki śmierzdę dżunglą.

Gdy uspokojona odchodziła w kierunku ogniska, przy którym zgromadzili się pozostali archeolodzy, Colin pomyślał, że za pół godziny nie będzie nawet pamiętała, że miał do niej dołączyć. Odwrócił się, czując nagłą potrzebę powrotu do dżungli, ale czerń spowijająca zieleń nie wyglądała zachęcająco.

„Namiot wystarczy” – zdecydował.

* * *

Znajomy fizyk po paru głębszych wyjaśniał kiedyś Colinowi, że kłamstwo jest jak reakcja łańcuchowa. Oczywiście wtedy Colin nie słuchał zbyt uważnie, biorąc poprawkę na rozgoryczenie związane z trzecim rozwodem, w którego trakcie był właśnie Gerhard Falks. Po przejściu przez czyściec rozpraw sądowych oczekiwało na niego niebo czwartego małżeństwa z dziesięć lat młodszą Marcy. Obaj panowie zgodnie nie wspominali o tymczasowości nadchodzącego rajy, topiąc procesowe troski Gerharda w pierwszorzędnej whisky i omawiając zalety, które odróżniały przyszłą panią Falks od tej „prawie przeszłej”.

Teraz, gdy miał okazję przekonać się o prawdziwości słów Gerharda na własnej skórze, Colin zadziwiająco dokładnie pamiętał wykład i bez trudu potrafił wyprowadzić związki przyczynowo–skutkowe: najpierw Maureen skłamała, potem

on, potem znów ona... Im więcej czasu upływało, tym trudniej jednak było zrozumieć, dlaczego oboje pogrążali się w oszustwie, co popychało ich głębiej w nieprawdę i odpychało dalej od siebie.

Maureen zachowywała się, jakby wpadła w amok. Tłumaczyła treść tabliczek jak w transie i mamrotała do siebie nieustannie, a Colin coraz więcej czasu spędzał w dżungli. Ścigał nie tyle cień Indianina, co własne wspomnienia.

Czas upływał w monotonnym rytmie wzajemnego unikania się, przetykany jedynie nićmi kłamstw, które miały utrzymać na miejscu prującą się materię związku – aż w końcu Colin nie wytrzymał. Po kolejnym dniu w dżungli spędzonym na bezowocnym poszukiwaniu Indian i rozwiązań problemów uznał, że albo wreszcie poważnie porozmawia z Maureen, albo do reszty oszaleje.

Było już po zmierzchu, gdy przemierzał ostatni kawałek ścieżki, spiesząc w kierunku obozu. Ciemność zdawała się wylewać spośród drzew, próbując zagarnąć dla siebie szlak i wędrowca, który nim podążał. Wśród grubych, mięsistych liści błyskały oczy drapieźników przygotowujących się do nocnych polowań, ale tym razem Colin nie zwracał na nie uwagi, skupiony na światłach przed sobą, które jasno wskazywały mu cel: obóz i Maureen.

Gdy już wszedł między namioty, nieliczni naukowcy, którzy nie zasiedli jeszcze z innymi do kolacji, schodzili mu z drogi, a na ich twarzach odbijały się niepokój i nutka strachu. Peter Combrie dostrzegł Colina w oddali i rzucił zwyczajowym żartem o indiańskich zabawach w chowanego, ale gdy antropolog wszedł w krąg światła latarni zawieszanej przy magazynie, słowa urwały się, a Peter wymamrotał nieskładną wymówkę i zniknął wewnątrz namiotu. Odgłosy przesuwanych i otwieranych skrzynek sugerowały, że gorączkowo szukał czegoś w magazynie – albo przynajmniej próbował stwarzać takie wrażenie.

Gdy Colin dotarł już do swojego namiotu, wydało mu się, że przez gruby materiał dostrzeżę sylwetkę Maureen pochylonej nad tłumaczeniem i zawahał się tuż przy wejściu. Poczucie winy, że oderwie ją od pracy, mieszało się z wątpliwościami, czy to na pewno najlepszy moment na poważne rozmowy, oraz z determinacją, by wreszcie zakończyć kryzys.

Stał tak niezdecydowany, aż kłapa namiotu poruszyła się i Maureen stanęła tuż przed nim. Przez chwilę, gdy wpatrywała się ze zdziwieniem w jego twarz, wydawało się, że go nie rozpoznaje, ale potem w ciemnych oczach błysnęła radość.

– Jak zwykle masz wycucie czasu – powiedziała, a jej uśmiech wyglądał na szczery. – Skończyłam właśnie tłumaczenie i to jest najbardziej nieprawdopodobna rzecz, jaką kiedykolwiek czytałam. To na pewno największe odkrycie w historii Majów, a może i całej ludzkości!

Colin, patrząc, jak Maureen promienieje, jak jej oczy błyszczą fascynacją i radością, pomyślał, że poważne rozmowy mogą jeszcze trochę poczekać.

– To jak? Mam wejść i mi opowiesz, czy idziemy od razu podzielić się z resztą? – zapytał.

Przez chwilę się wahała. Colin znał ją wystarczająco, by wiedzieć, że nie lubiła mówić publicznie o teoriach, których wcześniej z nim nie przedyskutowała.

– Wezmę tylko notatki i pokażemy od razu wszystkim – zdecydowała w końcu.

Colin przytrzymał klapę namiotu i obserwował, jak Maureen pospiesznie porządkuje i zbiera notatki, a potem zamiera na chwilę, patrząc na trzymany w rękę plik papierów. Widział emocje odbijające się na jej twarzy: pusty wzrok, gdy się wahała i być może jeszcze raz rozważała swoją decyzję, grymas towarzyszący strachowi, wreszcie usta zaciskające się w geście determinacji.

Kiedy odwracała się do niego, była już w pełni zdecydowana i tylko gdzieś, na dnie jej oczu, Colin dostrzegał niepewność. A może tylko mu się wydawało? Mimo że jego zainteresowanie archeologią ograniczało się jedynie do aspektów, które pomagały jego własnym badaniom, zapragnął nagle poznać treść tabliczek – chociażby po to, by zrozumieć uczucia targające Maureen.

Gdy go mijala, posłała mu pełen otuchy uśmiech, jakby to on miał wystąpić przed gronem naukowców z własnej dziedziny, prezentując niepewne teorie i materiały. „Wszystko będzie dobrze” – zdawała się mówić, ale Colin poczuł ucisk w żołądku.

Ciemny zarys piramidy, doskonale widoczny na tle rozgwieżdżonego nieba, budził niepokój, wraz z którym narastała paranoja. „Nic nie będzie dobrze”.

* * *

Gdy Maureen skończyła mówić, wśród archeologów zapanowała cisza. Colin widział wyraźnie, jak targają nimi te same emocje: niedowierzanie, nieufność, odrobina ciekawości. Na twarzach kilkorga z nich dostrzegł też fascynację pomysłem, który właśnie poznali.

– Co za stek bzdur – Peter Combrie jako pierwszy zabrał głos. – Nie mówię, że tabliczki są kłamstwem, może Majowie czy ktokolwiek inny, kto je stworzył, naprawdę w to wierzyli, ale ty, Maureen? Nie spodziewałem się tego po kimś, kto służy nauce.

Maureen skurczyła się w sobie.

– Widziałeś płaskorzeźby w komnacie, wszyscy widzieliśmy – zaproponowała Becca. Colin zawsze uważał, że gdyby nie jej szerokie, niemalże okrągłe biodra, kobieta mogłaby uchodzić za czarnoskórą bliźniaczkę Maureen. – Te istoty większe niż ludzie i bijące od nich światło. Nietrudno się domyślić, że tak przedstawia się bogów...

Peter prychnął w odpowiedzi.

– Dla prymitywnych kultur nawet biali ludzie byli bogami i, jak widać, niektórzy wciąż mają to zakorzenione w pamięci. – Spojrzał wokół wyzywająco.

Becca gapiała się na niego z na wpół otwartymi ustami i Colin pomyślał, że tylko to zapobiegło przesadnie emocjonalnej reakcji. Według niego była zbyt przewrażliwiona na punkcie koloru swojej skóry i we wszystkim dopatrywała się dyskryminacji. W takich chwilach Colin z dumą myślał o Maureen, która mimo orzechowej karnacji i przodków pochodzących z Dominikany, nie kategoryzowała siebie samej w oparciu o rasę. „Jestem naukowcem – mówiła. – I gdybym miała zieloną skórę, trzy ręce lub ogon, wciąż bym nim była”.

Miguel podniósł się z miejsca, rzucając Peterowi nieprzychylnie spojrzenie i

gestem powstrzymując Beccę, która wreszcie odzyskała panowanie na tyle, by szykować się do awantury.

– Po pierwsze Maureen nie powiedziała, że wierzy w cokolwiek – odezwał się, korzystając z milczenia, jakie wymusił na obecnych jego autorytet. – Zreferowała nam niezwykle dokładnie treść tabliczek i wierzenia ich autorów. I powołując się na nadzwyczajną dokładność zapisków, zaproponowała nam eksperyment.

– Zostanie bogami! – parsknął Peter.

Ktoś, chyba Faraday, mruknął coś z niezadowoleniem, ale Colin nie zdołał wychwycić treści słów, skupiony na Maureen, która – podbudowana wsparciem kolegów – przejęła inicjatywę.

– Niekoniecznie bogami – powiedziała, patrząc na Petera tak, jakby zamierzała doprowadzić do konfrontacji. – Przecież sam mówiłeś, że prymitywne kultury uznawały za bogów wszystkich, którzy posiadali jakieś niespotykane przymioty, czy to fizyczne, czy psychiczne. Po prostu uważam, że mamy niepowtarzalną szansę odkrycia czegoś wyjątkowego. Żaden ze składników nie jest trujący, już to sprawdziłam, może więc okazać się, że przez pół roku będziemy po prostu na wyjątkowo zdrowej diecie, która wpłynie na naszą kondycję fizyczną. Nic nadprzyrodzonego, nic... boskiego.

Zrobiła efektowną pauzę i obserwowała zebranych z zainteresowaniem.

– Naprawdę nie ciekawi was, co odkryli starożytni Majowie? Jakich sekretów strzegli? – zapytała w ciszy. – Wy, którzy bez wahania przyjechaliście tutaj, żeby przeżyć przygodę życia, chcecie się teraz cofnąć? Pozwolić, by coś, co może być wiekopomnym odkryciem, tkwiło skatalogowane w magazynie jakiegoś muzeum albo uniwersytetu?

Colin w życiu nie był z niej bardziej dumny. Mówiła z taką pasją, z takim żarem... Bez reszty oddana idei i nauce, gotowa przekraczać granice niemożliwego i odkrywać tajemnice, które pogrzebano przed wiekami. Jednocześnie, gdy patrzył na jej sylwetkę, oświetloną przez blask ogniska i odcinającą się wyraźnie na tle piramidy, czuł ten sam ucisk w żołądku co wcześniej.

– To znaczy co? Przez pół roku będziemy jeść otręby, popijać wodą z tutejszego stawu i nagle staniemy się wszyscy piękni i młodzi? – zadrwił Peter. – A Becca zrzuci te czterdzieści funtów z tyłka?

– Jak chcesz się bawić w wycieczki osobiste, to pogadajmy o twojej studentce z zeszłego roku – warknęła gniewnie Becca, gotowa ciągnąć temat, ale jeden rzut oka na chmurną twarz Miguela powstrzymał ją.

– Tego właśnie chcemy się dowiedzieć. – Maureen zignorowała zamieszanie i nie pozwoliła na odebranie sobie inicjatywy. – Jesteśmy naukowcami i nie wyobrażam sobie powrotu do domu bez odpowiedzi na pytanie, w co tak naprawdę wierzyli Majowie i czy w ich zapiskach jest choć ziarno prawdy. Jeśli nie ma, ze śmiechem będziemy opowiadać o tym kolegom na kolejnej konferencji albo zarobimy krocie, wydając książkę *Sekrety cudownej diety odchudzającej Majów*. – Uśmiechnęła się blado, ale nikt się nie przyłączył. – Pomyślcie... Jeśli w tych zapiskach tkwi choć ziarno, ziarenko prawdy, wszyscy tutaj możemy liczyć na olbrzymie granty, na

fundusze, które umożliwią dalsze badania, kolejne wyprawy...

Colin widział, że ich przekonała, sam pewnie też dałby się przekonać, gdyby nie przecucie ściskające mu żołądek. Wystarczyło wspomnieć o badaniach, funduszach i perspektywach, jakie dawały pieniądze, a wszyscy natychmiast zamieniali się w słuch i godzili na największe absurdy.

„Z drugiej strony przecież nie namawia nas do składania ofiar z ludzi i modłów do jakichś starożytnych bogów – racjonalizował. – Po prostu przez pół roku będziemy mieli menu zaplanowane przez Indian, którzy żyli wieki temu. W gruncie rzeczy to faktycznie może wyjść nam na zdrowie, przecież w tamtych czasach nie znano fast foodów”.

Oczywiście myśl o niezdrowym jedzeniu natychmiast obudziła w nim tęsknotę za stekiem oraz innymi teksańskimi specjałami i sprawiła, że pomysł przejścia na dziwaczną majańską dietę przestał być tak atrakcyjny. „Będę musiał wypytać Maureen o szczegóły, może uda się gdzieś wcisnąć kawałek porządnej, martwej krowy...”

Archeolodzy dyskutowali z ożywieniem, omawiając możliwości i snując domysły. Kilkoro z nich podeszło do Maureen, by wypytać o szczegóły. Jedyne Peter pozostał na swoim miejscu, wyraźnie zniesmaczony. Colin pochwycił jego spojrzenie i bez słów zrozumiał, co kolega archeolog miał ochotę mu powiedzieć: „Koleś, z twoją kobietą jest coś bardzo, bardzo nie tak”.

I Colin, mimo najszczerzych chęci, nie potrafił się z tą myślą nie zgodzić.

* * *

Znów się spóźniał. Biegając przez dżunglę, zastanawiał się, jaką wymówką zapobiec gniewnemu spojrzeniu i brzydkiemu grymasowi na twarzy Maureen. Wszystkie standardowe powody: korki, zgubione kluczyki, zapomniane dokumenty w dziczy traciły swoją moc. Kontuzje i zmęczenie też nie wchodziły w grę, bo od chwili, gdy przeszli na dziwaczną dietę Majów, nikt nawet nie kichnął. Oczywiście sceptycy twierdzili, że to przypadek albo autosugestia, bo i wcześniej nikt nie miał kłopotów ze zdrowiem, ale Colin sam przed sobą przyznawał, że nie pamięta, kiedy ostatnio czuł się tak dobrze. Rześki, pełen energii, pełen radości. Wydawało mu się, że nawet jego kondycja się poprawiła, bo przecież wcześniej o bieganiu w tym klimacie – a właściwie w jakimkolwiek klimacie – nie miał co marzyć.

Zwolnił i ostatni odcinek ścieżki przebył szybkim krokiem, wyrównując oddech. Znał Maureen wystarczająco i wiedział, że lepiej nie wyglądać na spóźnionego. Jeśli była czymś zajęta, mogła nie zauważyć upływu czasu, a dyszący winowajca z udręką wymalowaną na twarzy tylko by jej przypomniał, że czekała.

Zmierzchało i Colin z ulgą powitał obóz, który nie dawał się pożreć czerni biorącej we władanie dżunglę. Wokół było pusto i tylko nieliczne latarnie oświetlały namioty. Nieco dalej czarna bryła wystawała ponad korony drzew niczym garb. Wejście do piramidy oświetlono prowizorycznymi pochodniami, ale reszta budowli niknęła w tym samym mroku, co otaczająca ją dżungla.

„A na schody już nie wystarczyło pochodni, co?” – pomyślał Colin zgryźliwie,

wyobrażając sobie, jak łatwo zwichnąć nogę w ciemnościach na nierównych, pokruszonych przez wieki stopniach.

Szedł przez obóz i próbował wybrać wymówkę. Mógł skłamać, że zafascynowały go płaskorzeźby na jednej ze ścian i doprowadziły do rozważań nad możliwymi socjologicznymi powodami, dla których Majowie ukryli komnatę i cenne zapiski... „Nie, nawet dla mnie to brzmi jak bełkot – uznał krytycznie. – Więc pozostaje Indianin”.

Po pamiętnym zebraniu, korzystając z dobrego humoru Maureen, udało mu się podzielić historią spotkania, choć oczywiście zataił, że tak naprawdę widział Indianina dużo wcześniej i sam zdążył zwątpić w prawdziwość wydarzenia. Maureen wynagrodziła opowieść okrzykami „I co dalej?” oraz „To wspaniale!”, zachęcając go do dalszych poszukiwań. Colin z radością wsłuchiwał się w jej szczebiot i dopiero następnego dnia uświadomił sobie, że tamtego wieczoru Maureen ani razu nie spojrzała mu w oczy.

„No tak... Przez te poszukiwania całe dni spędzam z dala od obozu...” – gorzko powracała z tą myślą za każdym razem, gdy to sobie na nowo uświadamiał. I coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że po powrocie do Stanów nie będzie już jak dawniej, nie będzie „Colina i Maureen”, mieszkania w Bevil Oaks, dyskusji o tym, jak potoczyłaby się historia Majów, gdyby biały człowiek nigdy nie przybił do brzegów Ameryki... Wszystkie starania Colina, który wciąż miał nadzieję na uratowanie związku, zdawały się trafiać w próżnię. „Albo w tę przeklętą piramidę – pomyślał ze złością, zbliżając się do schodów – bo Maureen zdaje się nie dostrzegać niczego poza nią”.

Wspinaczkę uprzyjemniał sobie wymyślaniem sposobów na zburzenie piramidy, a uczynna wyobraźnia podsuwała coraz to nowe i bardziej absurdalne rozwiązania, jednak gdy stanął na szczycie budowli, humor wciąż miał wisielczy.

– No nic, trzeba wziąć byka za rogi – mruknął. – Czy też raczej krowę.

– Krowy przynajmniej można przerobić na steki – rzucił ktoś.

Colin spojrzał w bok, w czerń, której nie dosięgało światło pochodni.

– Peter?

– Musimy pogadać, stary – powiedział, nie wychodząc z ciemności. – Chodź, zanim ktoś cię zauważy i zaciągnie do środka.

Colin zawahał się, ale ton głosu drugiego mężczyzny zdawał się pobrzmiwać echem emocji, które sam odczuwał. „W gruncie rzeczy Peter, choć sarkastyczny i wredny, zawsze wydawał mi się najbardziej zrównoważony z nich wszystkich” – z tą myślą wszedł w czerń i po kilku krokach, gdy jego oczy zaczęły się przyzwyczajać do ciemności, dostrzegł Petera opierającego się o ścianę piramidy.

– Co jest? Dlaczego nie jesteś z innymi? – zapytał prosto z mostu.

– Mam dość tego gówna – padła odpowiedź i Colin bez trudu wyobraził sobie, jak Peter się krzywi. – Zmieniamy się w jakichś fanatyków, w bełkoczących idiotów...

– Daj spokój, to tylko zabawa... No i nikt cię przecież nie zmuszał.

Peter parsknął.

– Nie, jedzenia mi nikt do ust nie wpychał – przyznał, a jego słowa ociekały

ironią. – Ale trudno o wolność wyboru, kiedy Miguel zdecydował się zniszczyć albo wyrzucić wszystkie zapasy, o których dieta–cud nie wspomina. Dobrze, że nie odbiło mu na tyle, żeby przeszukanie w namiotach robić, bo jakby zabrał mi ostatnią butelkę Southern Comfort, to bym go chyba zamordował.

Colin poczuł lekki, ale charakterystyczny zapach i pomyślał, że Peter chyba dość zapamiętałe poprawiał sobie humor. Nie pochwalał topienia smutków w alkoholu, ale w gruncie rzeczy też miał ochotę na whisky.

– Ale ja nie o tym... – podjął Peter. – Chciałem cię poprosić, żebyś przemówił do rozumu tej swojej babie, zanim zupełnie jej się w głowie pomiesza. Ona i Miguel kierują tym cyrkiem, ale staremu Meksowi nic się nie da przetłumaczyć. Cała nadzieja w tobie.

Colin zaperzył się. Ten archeolog pozwalał sobie na zbyt wiele! Ciekawość wzięła jednak górę nad urazą.

– Co masz na myśli? – zapytał, cedząc słowa i próbując ukryć złość.

– Musisz porozmawiać z Maureen, ona zaczyna traktować ten eksperyment zbyt poważnie. To już nie jest zabawa i nie skończy się dobrze.

– Daj spokój, Maureen jest rozsądna i wie...

Ciemność drgnęła, gdy czarny kształt – Peter – oderwał się od niej. Zanim Colin zdążył się cofnąć, poczuł wyraźniej woń alkoholu i zobaczył białka oczu rozmówcy.

– Rozsądna? Stary, Maureen rozwiodła się z rozsądkiem szybciej niż ja z ostatnią żoną! Nie ma cię całymi dniami, to nie słyszysz ich gadania. Z jaką fascynacją mówią o tej komnacie, o tych dziwnych płaskorzeźbach... Jak spekulują, czy to wizerunki samych Majów, czy też jakichś boskich istot.

Colin parsknął mimowolnie. Miał wrażenie, że wbrew temu, co mówi Peter, wszyscy zachowywali się całkiem normalnie. No, może nie normalnie, ale zwyczajnie – tak, jak zachowywałaby się grupa zapalonych archeologów, podekscytowana odkryciem. W gruncie rzeczy Colin nawet ich rozumiał, pamiętał jeszcze młodzieńcze lata, które spędził zakopany w książkach, w bibliotece w college’u, i swoje prywatne, antropologiczne objawienia. Pamiętał, jak cieszył się z rzeczy, które inni odkryli lata wcześniej, a w przypadku Maureen była przecież mowa o czymś zupełnie nowym, o prawdziwym odkryciu...

Mimo rozbawienia poczuł ulgę, gdyż nie był już sam. Nie tylko jemu dżungla dawała się we znaki i budziła dziwne myśli. Oczywiście zgadzał się z Peterem, że fascynacja znaleziskiem graniczyła u niektórych członków wyprawy z obsesją, ale jednocześnie uważał, że archeolog jest przewrażliwiony. „Myli się co do Maureen – pomyślał. – Po prostu nie rozumie, jakie to dla niej ważne, dla jej pracy...”

– Ciekawe, czy też będziesz się śmiać, jak zacnie ci tłumaczyć, że prawdopodobnie wszyscy jesteśmy bogami – skomentował oschle Peter. – Że Majowie po prostu bali się potęgi, którą niosła ze sobą receptura, i że my, ludzie nauki, nie powinniśmy mieć obaw. Że powinniśmy po nią sięgnąć z pewnością siebie cywilizowanego człowieka.

„No, tu już przeholowałeś, chłopie” – pomyślał Colin ze złością. Był w stanie uwierzyć we wszystko, ale nie w podobne brednie. Maureen, którą znał, fascynowała

się religią tylko jako aspektem kulturowym starożytnych cywilizacji i cały mistycyzm, przeszły i teraźniejszy, traktowała na równi z bajkami o Zębowej Wróżce i Dyniowym Jacku.

Peter wciąż stał z nim twarzą w twarz, nieznośnie tchnąc alkoholem. Colin uznał, że próba dyskusji albo zarzucenie mężczyźnie kłamstwa nie skończyłoby się dobrze, więc zrobił to, w czym wprawiał się od dobrych kilku tygodni. Skłamał.

– To rzeczywiście dziwne... Niepokojące nawet. Chyba naprawdę będę musiał z nią poważnie porozmawiać i może nawet przekonać do porzucenia tego eksperymentu. – Poklepał Petera po ramieniu. – Nic się nie martw, załatwię to.

Mężczyzna kiwnął głową i cofnął się o krok.

– Mam nadzieję, że przemówisz jej do rozumu – powiedział. – Ja sobie odpuszczam, i gadanie, i rady wymarłych dietetyków, którzy nie uwzględniają przynajmniej kilku łyków Southern Comfort i kawałka dobrze wysmażonej krowy raz w tygodniu.

Po tych słowach Peter odszedł i zostało po nim tylko powietrze przesycone zapachem whisky. Colin odetchnął cicho, z ulgą. Teraz musiał jedynie gładko wytłumaczyć się ze spóźnienia...

– Więc trzymasz z tym śmieciem? – z ciężkim, hiszpańskim akcentem zapytał Miguel. – Wierzysz mu bardziej niż własnej kobiecie?

Colin nawet nie zaklął w myślach, gdy się odwracał, by spojrzeć w chmurne oblicze Meksykanina zbliżającego się od strony wejścia do piramidy. „Jakim cudem ten maniak zdołał cokolwiek usłyszeć? – przemknęło Colinowi przez głowę. – Chyba że po prostu wypatrzył Petera i dopowiedział sobie resztę”.

– Hej, stary, wyluzuj. – Colin uniósł ręce w pojednawczym geście. – To była tylko...

Miguel jednym skokiem znalazł się tuż przy nim.

– Przyjacielska pogawędka, co? – wycedził, nagle chwytając Colina za gardło. – Nie kłopotz się, słyszałem. A Maureen miała rację: Majowie odkryli coś wielkiego. I mówiła, że ktoś grzebał w jej notatkach. Nie pozwolę, byś nam przeszkodził. Nie chcesz być bogiem, to nie.

Colin walczył o oddech, próbując uwolnić się z uścisku, ale Meksykanin okazał się zaskakująco silny. Zbyt silny, co Colin uświadomił sobie poniewczasie, gdy Miguel z łatwością uniósł go w powietrze, drugą pięścią zadając cios w brzuch.

– Cóż, wygląda na to – zagrzmiał – że nasz dzielny antropolog nie wrócił tym razem na noc. Pewnie spotkał w dżungli swoje przeznaczenie...

Nie było czasu na wyjaśnienia, błagania czy próby uwolnienia się; Miguel po prostu wziął zamach i rzucił Colina daleko w ciemność, między drzewa. „Jak...?!” – zdążył pomyśleć antropolog w trakcie krótkiego lotu, a potem coś uderzyło go w potylicę. Zanim, spadając, stracił przytomność, wydawało mu się, że słyszy trzask łamanych gałęzi.

* * *

Colin stracił poczucie czasu i nie miał pewności, jak długo trwał w ciemnościach.

Nie potrafił się skupić, gdy po czerni nadeszła eksplozja barw i kakofonia dźwięków, które wypełniły mu czaszkę, podczas gdy ciało paliła gorączka. Nieznośny ból w trzewiach, w mięśniach i w kościach wyrывał krzyk z gardła, choć spierzchnięte usta i drętwy język odmawiały posłuszeństwa.

– Umrze – słyszał czasem nad sobą, a może obok siebie.

– Najwyraźniej przerwał cykl.

– Trzeba było go zostawić, gdzie spadł, przynajmniej zwierzęta pozbyłyby się ścierwa.

– To już długo nie potrwa.

Obce, wrogie głosy.

Colin jęczał, chciał błagać o pomoc, ale każda przytomna myśl tonęła natychmiast w bólu. Nie rozumiał, dlaczego złamane kości bolą tak bardzo, skąd gorączka i omamy, ale nie potrafił nawet wykrztusić prostego pytania: „Gdzie jestem?”.

Ktoś podsunął mu naczynie z wodą, otarł czoło. Colin miał wrażenie, że ktoś inny rozcina mu ubranie i smaruje ciało śmierdzącą maścią, ale równie dobrze mogło to być częścią niewyraźnych snów, w które zapadał się niczym w ruchome piaski. Jedynie ból był prawdziwy i towarzyszył mu w każdej sekundzie.

A potem zniknął.

Powoli wracała cisza, przetykana jedynie dochodzącymi z oddali głosami ludzi i dźwiękami charakterystycznymi dla toczącego się leniwym rytmem życia. Ból w kościach mijał, a mięśnie zaczynały słuchać woli, gdy Colin z trudem – ale jednak – unosił się na posłaniu i próbował sięgać po drewniany kubek. Oczy wciąż paliły żywym ogniem, ale zamiast feerii kolorów widziały teraz ciemne wnętrza prostej chaty, na której drewnianych ścianach wisiały tak dobrze znane Colinowi maski.

Aż wreszcie pewnego dnia pojawiła się pierwsza przytomna myśl: „Majowie”, w której radość mieszała się z niedowierzaniem. Szukał ich tygodniami, a tymczasem oni znaleźli jego. Dopiero po chwili przyszła refleksja: „Jak znalazłem się w ich wiosce?”, a wraz z nią powróciły wspomnienia ostatnich wydarzeń.

Drewniana zasłona zastępująca drzwi zatrzeszczała i starsza Indianka, która odsunęła ją na bok, weszła do środka. Obrzuciła Colina przelotnym spojrzeniem i nie wydawała się zdziwiona, że jest przytomny. Mężczyzna obserwował ją z zainteresowaniem, przywołując swoją wiedzę jeszcze z czasów studiów. Kształt czaszki, nosa, uszu, ust... Wszystko potwierdzało, że miał przed sobą Majankę.

– Witaj – zaczął niepewnie. Niby poświęcił kilka lat na naukę języka Majów, ale co innego ćwiczyć rozmówki w sterylnym środowisku uniwersyteckim, a co innego wykorzystać znane frazy do prawdziwej komunikacji. – Jestem Colin... Jak się masz?

Na dźwięk jego głosu kobieta parsknęła, a jej krótki śmiech przypominał nawoływanie egzotycznego ptaka. Potem wyszczerzyła się w uśmiechu.

– Mówi dziwna *maya* – zawyrokowała. – Angielski lepiej. Musi wiele nauczyć od Quatzi.

Colin odpowiedział niepewnie na jej uśmiech, zaskoczony, że mówi w jego

języku. Fakt, kiepsko, ale i tak lepiej, niż spodziewałby się po kimś z plemienia, które najwyraźniej unikało kontaktów ze światem.

– Quatzi! – zawołała kobieta, a potem wyrzuciła z siebie potok dźwięków, w którym Colin z trudnością rozpoznawał słowa języka *maya*.

„No to tyle, jeśli chodzi o akademicką naukę języka – podsumował gorzko. – Pewnie brzmiałem jak sepleniące dziecko próbujące złożyć zdanie ze słów znalezionych w słowniku”.

Nie miał jednak czasu roztrząsać kwestii językowych, gdyż w wejściu stanął mężczyzna, którego Colin natychmiast rozpoznał. Wysoki Indianin nie wyróżniał się niczym szczególnym wśród swoich pobratymców, ale Colin wiedział, że spotkali się już nad stawem w dżungli.

– Izta przygotowała jedzenie i świeże ubranie – powiedział Indianin płynną angielszczyzną. Jedyne lekki akcent zdradzał, że Quatzi nie urodził się w Stanach. – Zjedz, umyj się, ubierz. Czekam na zewnątrz.

I wyszedł.

Żadnego powitania, pożegnania ani wyjaśnień. I – za co akurat Colin był mu wdzięczny – żadnego mistycznego bełkotu.

– Zjedz się, umyj, ubierz – Itza powtórzyła niedokładnie, wskazując na przygotowane jedzenie i coś, co wyglądało jak proste ubranie.

Potem wyszła, zostawiając Colina sam na sam z wątpliwościami. Mężczyzna westchnął cicho, a potem powoli, sprawdzając możliwości ciała po chorobie, wstał. Musiał zjeść, umyć się i ubrać, jak mu polecono. A potem, jak na Teksasczyka przystało, wziąć byka za rogi.

* * *

Samolot zaczął podchodzić do lądowania i Colin poczuł ból w uszach związany ze zmianą ciśnienia. Przełknął ślinę, by je wyrównać, choć usta miał wyschnięte, jak zawsze podczas lotu. Chwilowy dyskomfort oderwał jego myśli od wydarzeń ostatnich tygodni, ale nie na długo – umysł wciąż na nowo roztrząsał słowa Quatziego, próbując uporządkować zebrane informacje i jednocześnie wyrzucić z głowy jedną, natrętną myśl: „Maureen umrze, wszyscy umrą”.

Zastanawiał się też, co czeka go po przylocie. Wprawdzie Quatzi na pożegnanie wręczył mu jego paszport i inne dokumenty, włącznie z portfelem i kartami kredytowymi, uśmiechając się nieco szelmowsko, gdy Colin zapytał, jak to wszystko zdobył – no ale przecież Maureen musiała zgłosić jego zaginięcie... Być może wciąż ktoś go szuka w Meksyku, może Homeland Security ma informacje o nim w bazie danych i tuż po przylocie będzie musiał odpowiedzieć na wiele niewygodnych pytań. Przygotował już sobie historię: zgubił się w dżungli, skręcił kostkę w jakimś wykrocie, a potem znaleźli go Indianie. Zanim wykurował się na tyle, by znaleźć drogę do obozu, członkowie ekspedycji już dawno go opuścili.

Lotnisko w Houston, przerośnięte, skomplikowane i w teorii dobrze funkcjonujący organizm, przywitało go duchotą i tłumem. Colin odstał swoje w olbrzymiej hali, obserwując jak dwie kolejki – jedna dla Amerykanów, a druga dla

obcokrajowców – przesuwały się w ślimaczym tempie. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego w czasie, gdy w terminalu lądują przynajmniej trzy międzynarodowe loty, działa tylko sześć stanowisk kontroli granicznej, choć dostępnych jest przynajmniej dwadzieścia. Jego kolejka nie była aż tak długa, ale współczuł obcokrajowcom, którzy stali tuż obok, oddzieleni taśmami, z perspektywą spędzenia w hali przynajmniej godziny lub dwóch.

„I nawet klimatyzacja nie działa” – pomyślał, zdejmując lnianą marynarkę. Kilko współpasażerów obrzuciło zaciekawionym spojrzeniem jego przedramiona i Colin uśmiechnął się pod nosem na myśl o majańskich tatuażach, które zdobiły jego skórę. Powiedzieć, że Quatzi nalegał na ich wykonanie byłoby niedomówieniem: Indianin jasno dał do zrozumienia, że bez nich nigdzie go nie puszcza.

Kontrola graniczna przebiegła bez zakłóceń i po kilku standardowych pytaniach Colin otrzymał z powrotem paszport ze słowami „miłego dnia”. Kierując się w stronę hali bagażowej, zerknął jeszcze w stronę obcokrajowców, którym sprawdzano odciski palców oraz robiono zdjęcia. „Bezpieczeństwo ponad gościnność” – pomyślał.

* * *

Mimo że był już wieczór, nikt nie odbierał telefonu w ich mieszkaniu w Bevil Oaks, a numeru komórkowego Colin nie pamiętał, zbyt przyzwyczajony do szybkiego wybierania w smartfonie. „Do diaska, Maureen, gdzie jesteś?” Przez chwilę chciał nawet dzwonić na uniwersytet, ale uznał, że portier z nocnej zmiany nie powie mu zbyt wiele. Żałował, że Gerhard Falks, który przez wiele lat był ich sąsiadem, przeniósł się rok wcześniej do Oklahomy; on na pewno wiedziałby coś więcej.

Ich samochód zniknął z długoterminowego parkingu – zapewne odebrała go po przylocie. Colin wiedział, że musi albo wynająć inny, albo znaleźć kogoś, kto podrzuci go do domu. Przebiegł w myślach listę znajomych i współpracowników i doszedł do wniosku, że najbliższej mieszka Peter Combrie. Przy okazji mógłby podzielić się informacjami o innych uczestnikach wyprawy. O Maureen. „Jeśli ten stary zrzęda w ogóle jeszcze żyje” – pomyślał trzeźwo, przypominając sobie słowa Quatziego: każdy, kto przerwie cykl bez odpowiednich przygotowań, zginie w męczarniach. A Peter przecież już tamtej feralnej nocy deklarował, że daje sobie spokój z dietetycznym mistycyzmem.

„Gdybyśmy tylko wtedy wiedzieli...” – pomyślał Colin z żalem, szukając numeru w książce telefonicznej.

Ku jego zdziwieniu, ktoś podniósł słuchawkę i wśród charkotania Colin zdołał wychwycić: „Słucham?”

– Hej, Peter, to ty? Mówi Colin...

– Colin? Chłopie, ty żyjesz?! – Głos po drugiej stronie linii ożywił się, ale słowa zostały przerwane atakiem głośnego, mokrego kaszlu. – Słuchaj, musisz koniecznie przyjechać...

– Miałem nadzieję, że podrzucisz mnie do domu – wyznał Colin. – I że wiesz,

gdzie jest Maureen. Muszę się jakoś wydostać z lotniska.

Odpowiedzią był kaszel, jednak po chwili Peter znów się odezwał.

– Maureen nie ma w Bevil Oaks, nikogo nie znajdziesz. Ja nie dam rady przyjechać, nie jestem w stanie, ale zamów taksówkę, zapłacę, jeśli nie masz pieniędzy.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy, chłopie. Jeśli się pospieszysz, to może jeszcze będę żył, kiedy przyjedziesz.

Zanim Peter się rozłączył, Colin usłyszał jeszcze, jak dopada go kolejny atak kaszlu.

Zamówiona taksówka przyjechała szybko i Colin obiecał kierowcy premię, jeśli równie dobrze sprawi się w drodze do Petera. Po drodze jednak kazał mu się zatrzymać przy CVS i zrobił szybkie zakupy. „To powinno utrzymać Petera przy życiu” – pomyślał, patrząc na wypełnioną zakupami torbę.

Quatzi podał mu składniki niezbędne do bezpiecznego opuszczenia cyklu, ale większość z nich rosła tylko w dżungli, więc Colin musiał po części improwizować i zgadywać, o jakie wartości odżywcze produktów mogło chodzić.

Peter mieszkał na przedmieściach Houston, w kompleksie szeregowych, jednopiętrowych domów, z których każdy podzielony był na dwa mieszkania: jedno na parterze, a drugie na piętrze, do którego wchodziło się po zewnętrznych schodach. Kompleks zbudowano z drewna i pomalowane na biało deski nadawały mu przyjazny, niemalże elegancki w swej prostocie wygląd.

Colin odnalazł właściwe mieszkanie, po czym energicznie zapukał.

– Otwarte. – Charczący głos Petera ledwo dochodził zza drzwi.

Mieszkanie było ciemne i duszne, wypełniał je zapach wymiocin i moczu. Colin dostrzegł rozgardiasz, śmieci na podłodze oraz niedojedzoną pizzę na stoliku przed telewizorem. Peter, śmiertelnie blady, leżał na kanapie, oddychając ciężko, z głową zwróconą w stronę stojącej na podłodze niemalże pełnej miski.

– Chłopie, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę. – Peter zdobył się na słaby uśmiech.

Colin przypadł do niego, wyciągając z torby karton soku i mleka. Nie marnował czasu na szukanie czystego naczynia, bo tak naprawdę nie wiedział, ile czasu mu zostało, by uratować Petera.

– Pij – nakazał, podtrzymując głowę chorego mężczyzny, i podsunął mu otwarty karton. Upewnił się, że Peter wypił przynajmniej połowę, zanim otworzył kolejny karton. – A teraz mleko.

– Porzygam się – zaprotestował Peter, ale to wszystko, co zdołał powiedzieć, bo Colin nie tracił czasu na dyskusje i niemalże siłą wlał mu mleko do ust.

– Nie mam pod ręką liści kakaowca, a ty nie masz czasu, by je żuć – mruknął.

Dopiero gdy drugi karton też był w połowie pusty, Colin wstał i rozejrzał się po mieszkaniu. Kanapa, niski stolik i telewizor ustawiono centralnie: wielki, czterdziestodwucalowy ekran pod jedną ścianą, stolik i kanapa pod drugą. W kącie przy oknie – olbrzymie biurko, na nim laptop i stosy książek. Grzbiety znajdowały

się zbyt daleko, żeby Colin mógł odczytać tytuły, ale wydawało mu się, że rozpoznaje niektóre z nich po kolorze i czcionce: prace historyków i archeologów, podobne do tych, które Maureen miała w swojej bibliotece. Przy biurku sprzęt do ćwiczeń, a po drugiej stronie salonu – kuchnia, oddzielona od części dziennej jedynie połową ściany, która służyła również za wysoką półkę.

Przy kanapie były drzwi do sypialni i Colin domyślił się, że za nią musiała znajdować się łazienka. Wyniósł więc miskę z nieczystościami, a po drodze ustawił klimatyzację, zmieniając temperaturę; urządzenie z cichym szumem zaczęło wypełniać pomieszczenie ciepłym powietrzem.

– Nie lepiej otworzyć okno? – zadrwił Peter, który wciąż leżał na kanapie. – Klimatyzacja powinna chłodzić, gdy na zewnątrz jest prawie sto stopni, a nie dopasowywać się do tej temperatury.

– Lepiej, żebyś leżał w cieple, na wszelki wypadek, gdyby miało to wpływ na proces zdrowienia – odparł Colin.

Peter zaniósł się chrapliwym śmiechem.

– Daj spokój, stary. Mnie już nic nie pomoże. Sam się dziwię, że jeszcze żyję. Edward nie przeżył tygodnia po powrocie do domu, a Becca wykitowała kilka dni temu, niby na zawał serca, ale ja wiem swoje – powiedział z goryczą. – Wszystko przez tę cholerną zabawę w dietę.

– A inni? – Colin zepchnął papiery z krzesła, które przesunął bliżej kanapy.

– Inni mają się świetnie i wciąż głoszą brednie o możliwości stania się bogami. Choć ostatnio trochę ciszej chyba... Coś czuję, że federalni się nimi zainteresowali.

– Federalni?

Peter spojrzał na niego uważnie.

– Gdzie ty właściwie byłeś przez cały ten czas, że nic nie wiesz? – zapytał. – Miguel i Maureen twierdzili, że nie wróciłeś na noc, a potem, że pewnie znalazłeś Indian i zapomniałeś o bożym świecie, ale przecież widziałem cię tamtego wieczora...

Colin westchnął.

– Miguel nas podsłuchiwał i postanowił się mnie pozbyć. Zginąłbym, gdyby nie znaleźli mnie Indianie, ale kiedy wróciłem do obozu, was już dawno nie było.

Peter pokiwał głową.

– Pakowaliśmy się w pośpiechu. Maureen dostała paranoi, że ktoś ją obserwuje, że zagląda w jej notatki i próbuje wykraść tajemnice, a Miguel we wszystkim ją wspierał. Czasem zastanawiam się, czy zdurniałaby tak bez reszty, gdyby ten stary Meks nie mieszał jej w głowie. Uznali, że trzeba wracać wcześniej, że tylko w Stanach tajemnica będzie bezpieczna. – Urwał i prychnął nagle. – Tajemnica! Pieprzeni kaznodzieje.

– A ty? – zapytał Colin. – Przecież mówiłeś mi, że nie będziesz się mieszał.

– Taki miałem zamiar. Ale nie przewidziałem, że Miguel i Frank wywloką mnie z namiotu i zaciągną do piramidy. Nakarmili mnie siłą, potem zwiążali... Mówię ci, jakby diabeł wstąpił w tego Mekska, nie spodziewałem się, że ma tyle siły.

Colin powstrzymał się przed mruknięciem „ja też nie”; chciał wysłuchać historii

Petera do końca.

– W każdym razie na tych płaskorzeźbach w komnacie dopatrzyli się różnych rzeczy: jaśniejących krzyży na piersiach potężnych istot, promieni światła, wiesz, całego tego mistycznego gówna. I tak oto eksperyment zamienił się w religię. Tuż po powrocie do Stanów zebrali grupę i zaczęli głosić „radosną nowinę”. Zapraszali ludzi, by przyłączyli się do nich i wielu się nawracało, bo wizja życia wiecznego po śmierci jednak błędnie przy możliwości stania się bogiem za życia.

Peter podźwignął się powoli na rękach, usiadł wygodniej. Jego głos charczał jeszcze, gdy mężczyzna mówił, ale potoku słów nie przerywały już ataki kaszlu i Colin w duchu odetchnął z ulgą. „Będzie żył, jeśli tylko przestanie być uparty i posłucha rad” – pomyślał. Bardziej niepokoiły go wieści, które usłyszał.

– Założyli sektę? – upewnił się.

– Nie od razu, ale z czasem tak. „Krok ku Boskości”, tak się nazwali. Bogini Maureen Oświecona i jej Pierwszy Kapłan Miguel, kurwa ich mać. Reszta burzyła się trochę, bo jednak miał to być eksperyment naukowy, a nie religijne bajdurzenie, ale tylko Edward i Becca mieli odwagę się sprzeciwić. No i ja, ale ja zwinąłem się z tego cyrku ledwo samolot wylądował w Houston, a oni sobie odpuścili ściganie mnie. Zresztą tutaj byłoby o wiele trudniej coś zrobić bez zwracania uwagi władz.

– Nie zgłosiłeś niczego na policję?

Peter wzruszył ramionami.

– Chciałem się tylko wyrwać. Pomyślałem, że jak pójdę z tym do glin, to nic nie wskóram, bo przecież nie mam żadnych świadków, a oni nie odpuszczą mi czegoś takiego. Uznałem, że jeśli się przyczaję i nie będę im szkodził, to dadzą mi spokój. A potem umarł Edward i, chłopie, powiem ci, że nie była to ładna śmierć. Becca spanikowała i wróciła do nich, ale Maureen albo nie potrafiła, albo nie chciała jej pomóc i Becca też wykitowała. Śmierć ponoć miała lekką, ale z tego, co wiem, przez ostatnie dwa tygodnie wiła się z bólu. – Skrzywił się na wspomnienie koleżanki. – Dlatego zastanawiam się, dlaczego ja jeszcze żyję.

– Miałeś pewnie wśród przodków jakiegoś „wyjałowionego” – odparł Colin odruchowo, a potem zaśmiał się krótko. – No tak, chyba moja kolej na opowieść.

Peter wyszczerzył się tylko w odpowiedzi, więc Colin zaczął mówić.

* * *

Samochód pędził szosą, a Colin słuchał True Leap na nowo kupionym smartfonie, podłączonym do systemu nagłaśniającego. Niepokojąca, po części elektroniczna, po części orkiestrowa muzyka pasowała do nastroju mężczyzny, który jednocześnie pogrążony był w przeszłości i planował najbliższą przyszłość.

Zostawił Petera z dokładną listą produktów spożywczych i wymusił na nim obietnicę, że przez najbliższe pół roku nie tknie whisky ani niczego, co nie zostało wyszczególnione. Bał się, że Peter potraktuje jego opowieść z dystansem i nie będzie chciał stosować się do zaleceń, ale najwyraźniej wypadki ostatnich miesięcy sprawiły, że stał się mniej sceptyczny.

„Nawet nie wyśmiał mojej opowieści – pomyślał Colin – choć przecież ja sam

bym siebie wyśmiał”.

Wojownik–Ocaleniec – tak nazwali go Majowie, a Quatzi wytatuował go plemiennymi wzorami. Przez długi jednak czas traktowali go jak chłopca, który musi nauczyć się, co to znaczy być mężczyzną. Zabierali go na polowania, kazali ćwiczyć walkę maczetą i rzut włócznią. Antropologiczna dusza Colina była wniebowzięta możliwością tak głębokiego zanurzenia się w kulturę, jednak wraz z upływem czasu naukowa perspektywa bledła, nikła gdzieś w pamięci, a mężczyzna wrastał w nowe struktury i styl życia. Po miesiącach spędzonych wśród plemienia tylko kolor skóry i rysy twarzy odróżniały go od Indian, choć ilekroć powiedział coś w *maya*, Itza wciąż parskła z rozbawieniem.

Wraz z tymi wspomnieniami przyszły kolejne: pole czaszek wbitych na pale w odosobnionej kotlinie pośród dżungli i druga tajemna komnata w piramidzie, do której Indianie zaprowadzili go, gdy Amerykanie opuścili już okolicę.

Do teraz w koszmarach sennych powracały do niego obrazy przybitych do ściany szkieletów, o których starał się zapomnieć na jawie.

– Dlaczego pozwoliliście im odjechać?! – zapytał wtedy Quatziego w gniewie. – Skoro wiedzieliście o... o tym?!

Indianin wzruszył ramionami ze stoickim spokojem.

– Sprawdziłszy jej notatki, nie przetłumaczyła całego tekstu. Ich cykl będzie niepełny i wszyscy po prostu umrą. Nie ma niebezpieczeństwa. A tajemnica umrze wraz z nimi.

Colina zmroził ten brak choćby śladu współczucia, najmniejszego poszanowania dla życia ludzkiego, ale z drugiej strony, ilekroć zerkał – niemalże wbrew sobie – na szkielety, potrafił zrozumieć postępowanie plemienia, które całe swe istnienie podporządkowało zachowaniu tajemnic przodków.

Dopiero dwa dni później, po kolejnym śnie wypełnionym tęsknotą za Maureen, uświadomił sobie, że niebezpieczeństwo jednak istnieje: osobisty notatnik, z którym Maureen nigdy się nie rozstawała. Colin był przekonany, że to tam zapisała ostatnie szczegóły tłumaczenia, kryjąc je zarówno przed współtowarzyszami, jak i przed wścibskimi Majami, którzy przeszukiwali jej rzeczy.

To wtedy właśnie naprawdę stał się Wojownikiem–Ocaleńcem: ratunkiem dla wszystkich tych, którzy chcieli zostać uratowani, i śmiercią dla tych, którzy i tak stąpali ścieżką umarłych.

Szosa nocą była niemalże opustoszała, ale Colin trzymał się limitu prędkości. Nie chciał tłumaczyć szeryfowi, dokąd się tak spieszy. Co jakiś czas zatrzymywał samochód na poboczu i sprawdzał mapę – samochód Petera nie miał GPS-a, a darmowej aplikacji w smartfonie nie potrafił zaufać.

Do granicy terenów, które Maureen i Miguel kupili za pieniądze członków sekty, chciał dotrzeć przed świtem. Według informacji Petera wierni zbierali się na modły dwie godziny po wschodzie słońca, po czym spożywali wspólnie śniadanie. Na siedzeniu pasażera, obok mapy, leżał notes z dość szczegółową rozpiską dnia członków sekty i Colin mimowolnie się uśmiechnął. Jak na kogoś, kto twierdził, że trzyma się na uboczu, Peter był świetnie poinformowany. Ale też nie dziwił mu się,

bo Tekszańcy lubili brać sprawy w swoje ręce, zamiast powierzać je nie zawsze skutecznym organom ścigania.

„Najpierw strzelaj i upewnij się, że przeciwnik jest martwy, a dopiero potem dzwoń po policję – zwykł mawiać jego znajomy szeryf. – W ten sposób złodziej, który włamał się do twojego domu, nie będzie mógł cię oskarżyć, że przekroczyłeś granicę obrony koniecznej, strzelając mu w nogę”. Colin pamiętał bardzo dobrze szeroki uśmiech starszego mężczyzny. „A właściwie o nic nie będzie mógł cię oskarżyć, więc sprawa zamknięta”.

Tak właśnie działało prawo w Teksasie i Peter zapewne zamierzał wziąć sprawy w swoje ręce, gdyby okazało się to konieczne. „I gdyby nie przeszkodziła mu choroba” – pomyślał Colin. On sam niczym się od niego nie różnił, bo przecież też miał zamiar postąpić podobnie. Jednych przywrócić życiu, innych oddać śmierci.

Potrząsnął głową, bo w myślach znów zaczął dryfować ku słowom, które słyszał nieraz od Majów. Po tym, co przeszedł, musiał przyjąć na wiarę nadprzyrodzone wyjaśnienia, które mu zaoferowali – inaczej jedynym wytłumaczeniem byłoby jego własne szaleństwo. Jednak po powrocie do cywilizacji sceptyczny, naukowy umysł znów dał o sobie znać i domagał się, by Colin nie zanurzał się w mistycyzm głębiej, niż to było konieczne. „Nie jadę tam ratować świata – powtórzył sobie. – Jadę uratować Maureen”.

A świat, jeśli nie będzie przeszkadzał, może zostać uratowany przy okazji.

* * *

Plany, by myśleć racjonalnie, pozostały tylko planami, gdy o świcie Colin zatrzymał samochód i rozpoczął przygotowania do drugiej części wyprawy. Jeśli dobrze oszacował odległość, znajdował się w pobliżu miejsca, które sekta uznawała za swoją siedzibę.

Wyciągnął z bagażnika plecak wypełniony ulotkami oraz czarną maść, którą przygotował jeszcze w mieszkaniu Petera. Zamienił dżinsy na proste lniane spodnie, a potem zdjął koszulkę z nadrukiem teksańskiego byka i na nagim torsie zawiesił naszyjnik z polerowanych pazurów – dar od Quatziego i jedyny przedmiot, który przywiózł ze sobą z Meksyku. Następnie, korzystając z lusterka wstecznego, użył maści, by pomalować twarz w symbole Hunab Ku – dokładnie tak, jak uczyli go Majowie.

Sceptycyzm zaszczerpiony przez naukową metodologię kazał mu się dziwić własnym poczynaniom, ale Colin tłumaczył sobie, że skoro nie rozumie wszystkich mechanizmów, które rządziły cyklem, najbezpieczniej jest trzymać się tradycji sprawdzonych przez innych, bez względu na to, jak osobliwe mogły się wydawać. I dlatego z każdym ostrożnym ruchem dłoni pokrywającej twarz symbolami, Colin zniknął, a jego miejsce zajmował Wojownik–Ocaleniec: mężczyzna, który przerwał cykl, ale wciąż czerpał korzyści przynależne tym, którzy go kontynuowali. Przywilej dostępny jedynie nielicznym, wybranym jako narzędzia bogów, mającym przywrócić właściwy porządek świata i strzec tajemnic mogących go zniszczyć.

Gdy Colin brał ostatni łyk wody i zakładał plecak, zastanowił się jeszcze

przelotnie, czy nie jest równie szalony jak członkowie sekty. Dostrzegając w tym pewną ironię: oprzeć się namowom Miguela i Maureen tylko po to, by dać się zindoktrynować grupie prymitywnych Indian. Potem, kiedy zerwał się do biegu przez kamienistą pustynię, nie dręczyły go już podobne wątpliwości, gdyż dla Wojownika–Ocalańca cel uświęcał środki. A skoro cel stanowiło uratowanie życia Maureen, racjonalny Colin był w stanie się z nim zgodzić.

Po dwóch godzinach biegu w pełnym słońcu jego ciało wciąż kipiało energią, ale zwolnił na widok zabudowań. Nie dostrzegł ani płotów, ani patroli, co jasno świadczyło, jak pewni siebie są członkowie „Kroku ku Boskości”. Obawy Colina potwierdziły się: większość z nich zapewne dołączyła do cyklu i korzystała z dobrodziejstw wzmocnionego nim ciała.

Według wyciągniętego z plecaka zegarka wierni zakończyli już modły i powinni znajdować się w sali jadalnej. Colin bez pośpiechu ruszył w stronę zabudowań. Na głównym placu, pod posągami kobiety, której rysy przypominały mu Maureen, zostawił plecak i upewnił się, że spakowane do niego ulotki są wystarczająco widoczne, ale nie porwie ich wiatr.

A potem wziął głęboki oddech, przygotował się do konfrontacji i wszedł do budynku, który według informacji Petera był jadalnią.

Z początku nikt go nie zauważył, jednak po kilku minutach, gdy siedzący przy ustawionych w podkowie stołach ludzie zaczęli zwracać uwagę na dziwnego, stojącego w drzwiach mężczyznę, rozmowy i stukanie sztućców powoli cichły. Colin lustrował pomieszczenie, szacując liczbę zebranych i szukając wzrokiem Maureen. W obszernej jadalni znajdowało się przynajmniej kilkadziesiąt osób, ale w żadnej z nich mężczyzna nie rozpoznał swojej ukochanej. Za to pod przeciwległą ścianą, przy stole ustawionym na niewielkim podwyższeniu, siedział Miguel.

Colin nie uwierzyłby, że można się tak bardzo zmienić w ciągu pięciu miesięcy, ale wiedział, że przemiana Miguela nie była naturalna. Stary Meksykanin wyglądał na dwadzieścia lat młodszego, masywniejszego i może nawet wyższego niż wcześniej. Były od niego pewność siebie i charyzma, a ciemne oczy sprawiały wrażenie bezdennych studni, zdolnych pochłonąć całe światło. W porównaniu z nim Wojownik–Ocaleniec wyglądał prawie normalnie. Prawie, bo tatuaże i malunki nadawały mu wygląd barbarzyńcy.

– Przysyła mnie Oczy i Usta Słońca, Jedyne Bóg, żebym wyciągnął rękę do żywych, którzy podążają ścieżką umarłych. Przysyła mnie Oczy i Usta Słońca, Jedyne Bóg, żebym był ręką śmierci dla tych, którzy nie chcą z niej zawrócić – powiedział płynnie w języku *maya*, zanim Miguel zdołał zareagować.

Choć starał się nadać głosowi poważne, może nawet groźne brzmienie, w głębi ducha niemalże chichotał, przypominając sobie, z jakim uporem Quatzi kazał mu ćwiczyć poprawną wymowę tych słów. Colin argumentował, że Amerykanie i tak nie rozumieją, bo nawet archeologowie z jego wyprawy, choć potrafili odczytywać pismo Majów, nie posługiwali się płynnie językiem mówionym – niemniej Indianin obstawał przy swoim, domagając się, by rytuał został spełniony.

– Nie zostaniecie bogami, żadne z was – dopełniwszy wymagań rytuałów, Colin z

ulgą przeszedł na angielski. – Cykl to pułapka i doprowadzi do waszej śmierci. Jeśli chcecie żyć, musicie go opuścić. Tylko przełamując cykl w określony sposób, możecie uratować życie.

Jego słowa wywołały poruszenie wśród zebranych, wielu członków sekty zaczęło szeptać między sobą.

– Jak śmiesz przychodzić do domu bogów i szerzyć kłamstwa? – zagrzemiał Miguel, wstając od stołu. – Tylko wytrwałość gwarantuje przetrwanie. Wszyscy, którzy próbowali zejść ze ścieżki, zapłacili za to najwyższą cenę.

Meksykanin próbował sprawiać wrażenie charyzmatycznego, ale Colin dostrzegał oznaki paniki w wysokich tonach, które pobrzmiwały w głosie Miguela. „Musieli mieć tu kilka wypadków i ludzie zaczęli wątpić – pomyślał. – Może Edward i Becca nie byli jedyni?”

– Nie wszyscy. Ja przeżyłem. Kolejna osoba też jeszcze żyje, choć wieszczono jej śmierć. – W rzeczywistości Colin nie był pewien, czy Peter jeszcze żyje, gdyż wiele produktów, które zalecała dieta, musiał zastąpić substytutami. No i uparty mężczyzna mógł zawsze zdecydować, że za łyk Southern Comfort warto oddać życie. – Na zewnątrz są ulotki, przeczytajcie, zdecydуйте, czy dalej chcecie ufać szarlatanom.

Miguel sprężył się do skoku i Colin widział w jego czarnych oczach, że atakujący zamierzał załatwić sprawę szybko i ostatecznie, pewny własnej siły i przewagi. „Nie tym razem, skurwielu – pomyślał Colin, wpatrując się w przeciwnika z determinacją. – Zapłacisz mi za wszystko”.

Ale Meksykanin nie skoczył. Na jego twarzy odbiło się zaskoczenie, potem niedowierzanie, wreszcie strach.

– Colin? – wydukał.

Zebrani zerknęli na niego ze zdziwieniem, jakby nie spodziewali się, że ich kapłan może znać przybysza, i Colin skorzystał z okazji, by opuścić jadalnię. Choć pragnął konfrontacji z Miguelem, choć marzył o odpiaceniu się za doznane krzywdy i za utratę Maureen, wiedział, że będzie ku temu lepszy czas. Wciąż jeszcze pozostawało kilka spraw do załatwienia.

Za plecami usłyszał jeszcze piskliwy głos, który przypominał dawnego Miguela, w chwilach paniki tracącego panowanie nad sobą.

– Nie pozwólcie mu uciec!

Tłum wiernych wyległ na zewnątrz, ale choć rozbiegli się we wszystkich kierunkach, nie mogli znaleźć Colina, który leżał już na płaskim dachu, obserwując okolicę i wypatrując Miguela. Nie miał czasu przeszukiwać wszystkich budynków, więc musiał liczyć na łut szczęścia i na to, że stary Meksykanin pobiegnie tam, dokąd powinien.

Prosto do Maureen.

* * *

Wieczorem na głównym placu rozpalono ognisko. Mężczyźni i kobiety wznosili okrzyki, zarówno pochwalne, skierowane ku kapłanowi i pierwszej bogini, jak i

przeklinające tych, którzy sprzeciwiali się przyszłym bogom. Członkowie sekty podchodzili do plecaka, wciąż stojącego przy rzeźbie, i wyciągali garście ulotek, które później z determinacją ciskali w ogień; ale Colin dostrzegł też innych, którzy ukrywali zwitki papieru w rękawach prostych szat lub dyskretnie rzucali je w tył, w ciemność, gdzie czekały już przyczajone sylwetki ich towarzyszy.

Widział potem, jak niepozorne, niewielkie grupki oddalały się od światła ogniska i znikwały w mroku. Wielu z nich podnosiło przygotowane wcześniej pakunki i Colin zrozumiał, że tylko czekali na cokolwiek, co da im nadzieję na przetrwanie, jeśli zdecydują się opuścić kult. „Jak źle musiało tu być, skoro bez wahania odrzucili obiecaną boskość, byle tylko się wyrwać?” – pomyślał. Nie mógł też przestać się zastanawiać, jaki udział miała w tym wszystkim Maureen. Czy była tylko ofiarą obłąkanego Miguela, jak chciał wierzyć, czy też Peter miał rację i w fanatyzmie dorównywała Meksykaninowi?

Niedługo później, gdy wszystkie ulotki zostały już spalone i było jasne, że nikt inny nie zdecyduje się opuścić sekty, Colin westchnął ciężko. Zostało co najmniej czterdziestu – czterdziestu ludzi, którzy dali się zwieść pięknym hasłom i nadziei na lepsze życie. Powróciło wspomnienie rozmowy z Quatzim tuż po wizycie w komnacie pełnej szkieletów, gdy Colin niemalże błagał go o pomoc, o ratunek dla Maureen i innych.

– Dobrze. Powiemy ci, jak ocalić tych, którzy zechcą przerwać cykl. Staniesz się Wojownikiem–Ocaleńcem, który zawróci ich ze ścieżki umarłych.

Colin pamiętał, że w pierwszej sekundzie poczuł obezwładniającą radość i gotowy był uściskać Indianina, ale poważna twarz Maja sprawiła, że emocje szybko opadły. W szczodrej ofercie musiał być jakiś haczyk.

– Oczekujesz czegoś w zamian, prawda?

– Upewnisz się, że wszyscy inni umrą, zanim dokończą cykl.

Pamiętał, że zapadła długa cisza, podczas której emocje i bunt walczyły z rozsądkiem. Wspomnienie szkieletów, którym brakowało klatki piersiowej, wciąż dręczyło Colina. Z biegiem czasu jednak coraz lepiej rozumiał, że nie miał szans przekonać Indianina, odwołując się do jego miłosierdzia.

– Zgoda – odparł w końcu.

Quatzi uśmiechnął się szeroko.

– Jesteś prawdziwym Wojownikiem–Ocaleńcem – powiedział. – Dobrze, że nie pozwoliliśmy ci umrzeć, gdy przerwałś cykl.

Colin oderwał się od wspomnień, wracając do obserwacji ludzi wokół ogniska, którzy wznosili okrzyki i modlitwy w stronę rozgwieżdżonego nieba. Przez chwilę myślał o tym, co by było, gdyby naprawdę mogli zostać bogami, i jak szybko zaczęłyby się między nimi konflikty oraz trwonienie czasu i własnej potęgi na błahe sprawy. Odpowiedź nasuwała się sama, więc Colin nie poświęcił jej ani chwili dłużej. Zamiast tego powoli się wycofał, czołgając po dachu, i lekko zeskoczył po ciemnej stronie budynku. Jego wzmocnione ciało wylądowało giętko i bezszelestnie.

Zanim Wojownik–Ocaleniec spełni swój obowiązek, Colin musiał zrobić jeszcze jedną rzecz: spróbować uratować Maureen.

Maureen czekała na niego.

Owszem, jej wzmocniony cyklem słuch musiał wychwycić ciche kroki intruza, ale gdy się odwróciła, na jej twarzy nie było zaskoczenia, że to akurat on się zjawiał. Mężczyzna nie mógł się powstrzymać przed ukradkowym obserwowaniem krągłości jej ciała, gdy zwracało się ku niemu płynnym, pełnym gracji ruchem, podkreślonym jeszcze przez prostą, przylegającą do ciała suknię. Jej twarz promieniała pięknem i spokojem, jednak ciemne oczy zdawały się pozbawione wyrazu i Colin poczuł ukłucie w sercu.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – stwierdziła. – Miguel powiedział mi, że próbowałeś namieszać w myślach naszych braci i sióstr.

– A powiedział ci też, że próbował mnie zabić tamtej nocy, gdy nie wróciłem do obozu? – warknął prowokująco.

Zmieszanie i niedowierzanie odbiło się na jej twarzy, ale szybko odzyskała spokój.

– To do niego podobne – przyznała z lekkim uśmiechem.

– Nie rusza cię to? – W jego głosie zabrzmiał wyrzut, którego nie zdołał ukryć.

Wzruszyła ramionami.

– Miguel wkrótce umrze. Stał się... nieco zbyt uciążliwy. Radykalny. Więc pomyślałam, że pora, by „Krok ku Boskości” zaczął radzić sobie bez pierwszego kapłana.

Colin chciał zapytać, w jaki sposób zamierzała zabić mężczyznę, który dorównywał jej siłą i zręcznością, gdy nagle spłynęło na niego olśnienie.

– Nie powiedziałaś mu! Nie powiedziałaś mu, jak dokończyć cykl.

Uśmiechnęła się tym specjalnym uśmiechem zarezerwowanym tylko dla niego i zrobiła taką samą minę jak zawsze, gdy przyłapywał ją na niewinnym żarcie lub kłamstwie.

– Ja pierwsza się dowiem. Ja sama. I nikt inny... – Urwała i przyjrzała mu się uważnie. – Chyba że... znajdzie się inny pierwszy kapłan. Żyjesz, więc musiałeś kontynuować cykl. Powiem ci, jak go dokończyć, i oboje zostaniemy bogami.

Niemalże błagała, wiedział to. Mimo wszystko musiała za nim tęsknić, a pięć miesięcy rozłąki i brak jakichkolwiek wiadomości tylko podsycaly uczucie pustki. Ton głosu Maureen obudził w nim nadzieję, że wszystko jeszcze da się naprawić, że uda się odzyskać to, co utracili w jukatańskiej dżungli.

Wiedział jednak, że nic nie było proste, i pokręcił głową.

– Te zapiski to kłamstwo. Nie będzie bogów, będzie tylko powolna, bolesna śmierć – powiedział cicho. – Odnalazłem Indian, którzy mieszkają w pobliżu piramidy. Powiedzieli mi prawdę o cyklu, który przechodzicie.

Skrzywiła się lekko, wskazała na stojące pod ścianą biurko. Colin dostrzegł leżącą na nim ulotkę.

– Wiem, czytałam. Ogólniki mające przestraszyć tych, którzy nie potrafią samodzielnie myśleć.

– Czyli nie wierzysz?

Zawahała się i Colin odebrał to jako dobry znak; postanowił nie zmuszać jej do odpowiedzi, jeszcze nie.

– Opowiem ci, co wiem.

* * *

Quatzi powiedział, że przybyli wiele wieków temu. Nie szukali wojny. Pokłonili się ich bogom, złożyli ofiary, a potem poprosili o możliwość zamieszkania na ziemiach Majów. Mijały lata i coraz więcej Majów decydowało się zamieszkać z przybyszami, przyjmując ich tradycję, nazywaną cyklem. Przybysze podarowali Majom tabliczki z jego opisem i poprosili, by strzeżono ich pilnie.

Pewnego razu wojownik, którego ukochana również przeniosła się do osady przybyszów, zakradł się tam z towarzyszami, by ją porwać pod osłoną nocy. To, co zobaczyli, przeraziło ich na tyle, że natychmiast zawrócili. Kapłanom powiedzieli, że osada pełna była ludzkich ciał, a wiele z nich nosiło makabryczne ślady, jakby coś pożarło ich serca i wnętrzności...

Rozgorzała straszliwa wojna, bo przybysze okazali się potężnymi i okrutnymi wojownikami, i wiele plemion Majów musiało zjednoczyć siły, by ich pokonać. Gdy ostatni z obcych padł pod ciosami włóczy, wojownicy wrócili do osady, by ratować swoich pobratymców. Wielu z nich umarło w męczarniach, gdy przerwali cykl, przerażeni, że przybysze obrócili się przeciwko Majom, inni zaś w zapamiętaniu podążali ścieżką umarłych.

To właśnie wtedy jeden z Indian stanął na placu i na oczach wszystkich przemienił się. Nie, nie został bogiem. Jego twarz wykrzywił grymas bólu, a ciało rozciągnęło się, gdy zamknięty w nim przybysz wyrywał się na wolność, zabierając ze sobą serce i mięso swej ofiary. Wojownicy nie zawahali się nawet przez chwilę i choć targał nimi żal, przebili przyjaciela włóczniami, zanim dokonała się przemiana. Ciało zabitego Indianina umieścili wraz z innymi w tajnej komnacie, by na zawsze przypominały o groźbie czającej się w cyklu.

Później przez wiele księżyców najstarsi kapłani szukali sposobu na uratowanie towarzyszy, którzy podążali ścieżką umarłych, uwięzieni w cyklu, i zanim znaleziono lek, wielu niewinnych Majów umarło tuż przed przemianą pod ciosami włóczy wojowników.

Wtedy obcy przybyli po raz drugi, ale Indianie nie dali się zwieść i do dziś w dżungli znajduje się pole czaszek wojowników, którzy oddali wtedy życie. Kapłani zrozumieli jednak, że trzeba szukać innych dróg; po wielu naradach, po rozmowach z bogami i niewyraźnych wizjach odkryli sposób, by uchronić się przed działaniem przybyszów. Trwało to wiele wieków, ale w końcu, dzięki rytuałom i starannie dobranemu pożywieniu, Majowie stali się „wyjałowieni” – niezdolni do zespolenia z przybyszami.

Jednak inne plemiona i ludzie zza wielkiej wody przybywali coraz liczniej, krew mieszała się i „wyjałowionych” było coraz mniej. Postanowiono więc ukryć wiedzę o tajemnicach cyklu i jego przerywania, bo choć kapłani najchętniej zniszczyliby

przekłęte tabliczki, jednocześnie bali się, że wraz z nimi przypadnie wiedza o wydarzeniach z przeszłości i któryś z ludów powtórzy błędy Majów. Na straży stało jedno plemię, które od tej pory żyło w odosobnieniu, strzegąc tajemnic piramidy.

Do czasu, gdy biały człowiek przybył z obcego kraju i odkrył to, co powinno pozostać w ciemnościach.

* * *

Colin zakończył opowieść tak jak Quatzi, sam zaskoczony tym, jak dobrze zapamiętał słowa Indianina, jak bardzo wryły mu się w pamięć poszczególne frazy. Zapadła cisza.

Maureen patrzyła na niego w milczeniu, a wyraz jej twarzy wydawał się trudny do odgadnięcia.

– Nie wierzę ci – oznajmiła w końcu.

Zaskoczony Colin przez chwilę wpatrywał się w nią, próbując znaleźć słowa, które mogłyby ją przekonać.

– Maureen, widziałem te szkielety... – zaczął, ale od razu pojął, że trafia w próżnię. – Nie jesteś boginią, jesteś tylko przechowalnikiem, inkubatorem jakiegoś pasożyta z kosmosu! – krzyknął.

– Nie wierzę ci! To kłamstwo! – powtórzyła, tym razem z nutą desperacji w głosie, jakby chciała, by słowa miały siłę sprawczą, by stały się prawdą.

– Maureen, jeszcze nie jest za późno, mogę ci pomóc, możesz przeżyć... – Colin zniżył się do błagania, a po jego policzkach spłynęły pierwsze łzy.

– Jak? – zapytała.

Colin znów poczuł przyływ nadziei i zaczął zbierać myśli, by wyjaśnić szczegóły procesu, gdy uświadomił sobie, że przecież Maureen musiała je znać, skoro czytała jego ulotkę. A potem dostrzegł jej wzrok – nie skupiony na nim, ale uciekający gdzieś w bok, zerkający powyżej jego ramienia.

Krzyknął ze złością i rzucił się gwałtownie do tyłu, zderzając z kimś. Skradający się z tyłu Miguel sapnął zaskoczony, upuszczając deskę, którą właśnie unosił do ciosu. Colin, wciąż wściekły, wykorzystał siłę impetu, by powalić przeciwnika i uciekł na zewnątrz. Nie zamierzał toczyć walki w ciasnym pomieszczeniu, na oczach Maureen, która go zdradziła. Zrozumiał, że czekała na niego, ale nie po to, by porozmawiać. Była przynętą w pułapce Miguela.

„Cholerny Meks” – pomyślał Colin, zdejmując z szyi plemienny naszyjnik.

Rozerwał nić i założył dziesięć wypolerowanych i wydrążonych pazurów na palce, a potem powoli, krok po kroku, zaczął się skradać w kierunku budynku.

Światło padające na zewnątrz przez otwarte drzwi przesłonił cień, gdy Miguel wybiegał na zewnątrz.

– Pokaż się, gnojku! Pokaż się, tchórze! – wrzeszczał Meksykanin, wpatrując się w ciemność.

Colin nie odpowiadał, wykorzystując hałas, by podejść przeciwnika.

Miguel musiał jednak coś usłyszeć, może szurnięcie kamienia lub szelest spodni,

a może zapomniany pierwotny instynkt ostrzegł go w ostatnim momencie, bo mężczyzna odwrócił się akurat w chwili, gdy Colin na niego skoczył.

Wylądowali na twardej ziemi i przetoczyli się po niej. Miguel znalazł się na górze i próbował przygnieść przeciwnika ciężarem ciała.

– Ostatni raz się wtrącasz, gnoju – wysyczał, usiłując uwolnić jedno z ramion, by zadać cios.

Colin rozluźnił mięśnie, zaprzestając obrony.

– Ostatni raz – zgodził się spokojnie.

Miguel zamarł na chwilę, uważnie go obserwując. Colin niemalże się uśmiechnął, widząc, jak Meksykanin stara się przejrzeć grę przeciwnika, dostrzec pułapkę. A potem powoli, niespiesznym ruchem głowy wskazał na swoją dłoń, zaciśniętą na przedramieniu Miguela i na cztery długie, głębokie pręgi – ślady po pazurach, które wciąż tkwiły w ranach.

Meksykanin gapił się na własne przedramię, nie rozumiejąc. Dopiero po chwili niewielki tik wykrzywił kącik jego ust, gdy mężczyzna poczuł pieczenie, jakie towarzyszyło zadrapaniom.

Colin, korzystając z nieuwagi przeciwnika, uwolnił drugą dłoń i zadał kolejny cios. Nie przestawał się uśmiechać, patrząc, jak pazury rozrywają policzek Miguela. Okrzyk bólu był już nieproporcjonalnie głośny w porównaniu do otrzymanych ran i Colin wyszczerzył się. „Trucizna trafiła pewnie na nerw” – pomyślał z satysfakcją.

Dopiero wtedy samozwańczy kapłan zrozumiał; z wrzaskiem oderwał się od przeciwnika i zaczął uciekać. Colin nie ścigał go, napawając się widokiem przerażonego Meksykanina, który zaczynał już zataczać się z bólu. Prawie żałował, że nie ma z nim Petera, bo chętnie założyłby się z kimś, czy Miguel dobiegnie do chaty.

Nie dobiegł.

Dopiero wtedy Colin dostrzegł, że Maureen stała w drzwiach, obserwując walkę. Również śledziła ostatnie chwile Miguela i nie wydawała się specjalnie przejęta losem mężczyzny.

Colin miał dość. Wszystkiemu, co do tej pory robił, towarzyszyła nadzieja nie tylko ocalenia, ale i odzyskania Maureen. Przywrócenia szczęścia, jakie dzielili przed feralną wyprawą. A teraz stała, nieporuszona, jakby wyśmiewając wszystkie jego starania, całe poświęcenie. Ruszył więc ku niej, zdecydowany nie pytać więcej o zdanie i nie tracić czasu na przekonywanie jej. „Przerwę cykl, czy tego chce, czy nie chce” – postanowił zdeterminowany.

Maureen nie zareagowała, ale w jej oczach dostrzegł błysk niepewności.

– Już czas – powiedziała jednak spokojnie, gdy zbliżył się na tyle, by słyszeć jej cichy głos.

Horyzont rozjaśniał się powoli, zwiastując nadejście świtu.

– Czas?

– Dziś dopełni się cykl – rzuciła, mijając go i kierując twarz ku wschodowi.

Colin wpatrywał się w nią przerażony, usiłując zrozumieć znaczenie jej słów. Pamiętał jeszcze, jak z Quatzim dokładnie obliczali, ile będzie miał czasu, i według

ich kalkulacji pozostał jeszcze przynajmniej tydzień.

„Zaczęła wcześniej – ta myśl zmroziła mu krew. – Zanim jeszcze skończyła tłumaczenie tabliczek... Widać chciała być pewna, że zostanie boginią jako pierwsza”.

Jego ukochana Maureen nie podzieliła się tą tajemnicą nawet z nim, z człowiekiem, któremu podczas wspólnie spędzanych nocy szeptała najintymniejsze wyznania... Patrzył, jak kobieta rozkłada ramiona i unosi głowę, czekając na pierwsze promienie słońca, i zrozumiał, że było już za późno. Cykl się dopełnił.

Wtem wyraz twarzy Maureen się zmienił – zamiast błogości pojawił się na niej niepokój, a potem ciało kobiety wygięło się w łuk. Krzyknęła przeciągle. Colin stał jeszcze, sparaliżowany świadomością tego, co musi zrobić, ale gdy ciszę ponownie przeszył okrzyk bólu, mężczyzna dopadł do niej i z całej siły wbił wszystkie dziesięć pazurów w smukłą szyję.

Nie było wyznań, nie było słów przeprosin i próśb o wybaczenie. Maureen umarła na jego rękach, wraz z groteskowym obcym, który nie zdołał w pełni wyrwać się z jej ciała.

Z budynków powoli wychodzili ludzie. Część z nich zapewne przygotowywała się do porannych modlitw, innych być może zaalarmowały krzyki na zewnątrz, ale Colin nie zwracał na nich uwagi. Wiedział już, że Maureen, skryta, samolubna Maureen nie podzieliła się z nimi sekretem cyklu, a to wystarczyło. Czy umrą, czy będą żyli, zależało tylko od nich, choć przecież pamiętał, że poprzedniego wieczora spalili większość ulotek.

Bez trudu uniósł kobietę i odwrócił się ku zebranych wiernym.

– Takimi bogami się staniecie.

Colin stał tak przez chwilę, pozwalając, by się napatrzyli, by dotarła do nich groza i znaczenie jego słów. On sam odwrócił głowę, marząc o tym, by zachować w pamięci Maureen piękną i żywą. Nie chciał oglądać jej na wpół rozerwanego ciała i klatki piersiowej, z której wystawała głowa obcej istoty.

Nie chciał na nią patrzeć i nie musiał. Wspomnienie o pierwszym z obcych, którego zobaczył w drugiej z tajemnych komnat piramidy, wciąż było wystarczająco żywe.

* * *

Pogrzebał Maureen na pustyni, z dala od budynków sekty, w płytkim grobie, bardziej z własnej potrzeby odprawienia jakiegoś rytuału niż dla właściwego pochowania ciała. Miał nadzieję, że padlinożercy i robaki zetrą wszystkie ślady po tym, co przydarzyło się Maureen – nie chciał, by dobrali się do niej agenci federalni próbujący odkryć tajemnice piramidy.

Gdy wrócił do kompleksu, budynki stały już puste, trzaskając na wietrze otwartymi drzwiami. Zanim odszedł, znalazł jeszcze kanister z benzyną i upewnił się, że ogień strawił większość biura Maureen, pożerając notatki i ślady po naturze kultu.

W Houston zostawił kluczyki w skrzynce pocztowej Petera, ale nie zapukał do

mieszkania. Nie potrafiłby znieść śmierci kolejnej, w pewnym sensie bliskiej mu osoby. Wolał wierzyć, że uparty Teksańczyk zastosował się do zaleceń i zdołał przeżyć. Że wszystkim członkom sekty się udało.

Popatrzył jeszcze przez chwilę na przesłonięte żaluzjami okna, trochę w nadziei, że mignie w nich twarz Petera, a potem odwrócił się i wyciągnął telefon.

Najpierw zamówił taksówkę, a potem, już w drodze na lotnisko, wykupił bilet na pierwszy lot do Meksyku, jednym uchem słuchając wiadomości o tajemniczym morderstwie na odciętej od świata posesji należącej do niewielkiej sekty i utyskiwań taksówkarza na białych dekadentów, którym poprzewracało się w głowach.

Możliwe, że policja przesłucha świadków, ktoś połączy z nim zaginięcie Maureen i zaczną go szukać, albo znajdą jego odciski palców... Colin wiedział jednak, że zanim ktokolwiek skojarzy fakty, będzie już za późno. Ślad po nim urwie się w Mexico City.

„Quatzi powiedział, że będą czekali”.

Wojownik–Ocaleniec wracał do ludu, do którego należał.

Istvan Vizvary

CZTERDZIESTE SIÓDME WCIELENIENIE

BERNARDA V.

Bernarda V. rozpoznano, kiedy uprawiał poranny jogging w Central Parku. Uważał się wtedy jeszcze za Johanna Pattistę, tak bowiem zwracali się do niego koledzy w szkole, college'u i w pracy, a nawet matka, o ile akurat nie wymyślała mu od rozpuszczonego bachora lub pieprzonego dziedzica, któremu wydaje się, że całe życie wszyscy będą mu podstawiali pod nos (w tym momencie zawsze wsuwała do ust inhalator i Pattista nigdy nie dowiedział się, co mogliby podstawiać mu wszyscy pod nos, gdyby naprawdę był dziedzicem).

W Dniu Rozpoznania Pattista biegł Wtorkową, jedną z jego siedmiu stałych tras biegowych. Wiedziony impulsem, skręcił w apetycznie wyglądającą, wąską odnogę, której nigdy wcześniej nie zauważył, mimo że jogging uprawiał w Central Parku już dziesiąty rok, czyli od przeprowadzki do Nowego Jorku. Ścieżka wydawała się otwierać specjalnie dla niego w wysokich, gęstych krzakach, ocieniających główną alejkę. Była oczywiście schludnie zagrabiona i oznaczona numerkiem, tak jak i wszystkie pozostałe, dlatego nie przyszło mu do głowy, że pojawiła się dziesięć minut wcześniej wyłącznie po to, aby skusić go tajemnicą nieznanego i skłonić do zrezygnowania z ustalonej trasy.

Zdażył przebiec dwadzieścia dwa i pół kroku, zanim porwała go siła, którą wspominał potem jako „przemocną, nagłą i działającą w górę, chociaż od dołu”. Zawisł bezradnie ponad ścieżką, a z każdym rozpaczliwym wierzgnięciem silnych ramion i nóg siatka, w którą był zawinięty, oplatała go coraz ciaśniej, boleśnie wpijając w skórę grube węzły i sznury. Kiedy opadł w końcu z sił i przestał się rzucać, od zawieszanej na parkowej gałęzi olbrzymiej szynki ze sklepu braci Ruccoli na skrzyżowaniu Siódmej i Z odróżniały go wyłącznie rude włosy, zielona koszulka z ledwie odczytywalnym napisem *Biegnę po karmę dla psów ze schroniska Yellow River* i słabnące okrzyki „Pomocy, pomocy!”.

Ponieważ powieki miał zaciśnięte – ze strachu, że mógłby uszkodzić gałki oczne o szorstkie włókna konopnych lin – nie zauważył przebranych w stroje Straży Parkowej mężczyzn, którzy wstawili donice z wysokimi bukszpanowymi krzewami na ich dotychczasowe miejsce, by z powrotem zasłonić wejście w alejkę 130A. Nie dostrzegł też muskularnej kobiety, która podjechała taczka pod Pattistę i czekała, aż ukryty w zaroślach wspólnik poluzuje ostrożnie linę. Kiedy w końcu oddaliła się z ważącym dobre sto siedemdziesiąt funtów ładunkiem, w alejce, teraz już zacienionej i pustej, zapanowała cisza. Przez najbliższe miesiące, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, może nawet lata, miały odwiedzać ją co tydzień wyłącznie trójki porządkowe parafian Kościoła Najświętszego Serca Bernardowego i dbać, aby trwała w

nienagannym stanie.

Od teraz było to przecież miejsce święte.

* * *

Johanna Pattistę obudziły delikatne pociągnięcia za włosy. Mrok panujący wokół rozświetlały tylko anemiczne, drżące światła, przywodzące na myśl świeczki, które jego dziewczyna upierała się rozstawiać wokół wanny, zanim doszła wreszcie do wniosku, że nawet bakłażany, które przynosiła od Cottonów, są bardziej romantyczne od Pattisty, i wyprowadziła się do swojej przyjaciółki w Brooklynie.

– Ej! – krzyknął, tknięty złymi przecuciami.

Chciał unieść dłoń do głowy, trzepnąć to, co ciągnęło za włosy, coś jednak krępowało jego ruchy. Delikatnie, ale skutecznie.

– Wybacz, o święty – delikatny kobiecy głos rozdzwiewał tuż nad uchem Pattisty. – Musieliśmy cię przywiązać.

– Jakim prawem!? Czwarta poprawka do konstytucji... – zaczął, ale ześlizgujący się po twarzy luźny kosmyk włosów uświadomił mu, co się dzieje. – Moje włosy!

– Prawo boskie przeważa nad prawem ludzkim, o święty. Wedle woli Bernarda V. zostałeś skrupowany, aby proces przeistoczenia przebiegał bez zakłóceń.

Johann wrzasnął. Krzyk po chwili powrócił, jakby ciemność skrywała grootę zdolną pomieścić boisko do koszykówki z trybunami na dobre tysiąc osób. Jęknął i zrozumiał, że wobec porywaczy jest bez szans. Na twarzy i karku czuł łaskotanie opadających luźno włosów.

– Po co mnie strzyżesz? – zapytał, powstrzymując łzy rozpacz. – Czego ode mnie w ogóle chcecie?

– Bernard V. jest łysy. Za tydzień Dzień Przeistoczenia, moim zadaniem jest cię do niego, o święty, przygotować.

– Nasza policja już mnie na pewno szuka. Nie dotarłem do pracy, miałem dziś siedmiu ważnych klientów, znajdą mnie, to Nowy Jork, nie Nevada. – Pattista starał się przybrać rzeczowy ton, jakim zwykł przekonywać starsze panie, że zakup potrójnie odwróconych papierów namibijskich rafinerii jest tylko pozornie szaleństwem, tak naprawdę zaś doskonałą, choć długookresową inwestycją. Zawsze nieźle mu szło, dlatego i teraz odruchowo przybrał ten sam styl.

– Siedmiu świadków widziało cię, o święty, jak wsiadałeś dziś rano do Greyhounda jadącego do Albuquerque. Trzmielę też to zarejestrowały. Bardzo mi przykro, że jesteś niezadowolony.

– Niezadowolony? – jęknął Pattista. – Jestem zrozpaczony!

– To bardzo ludzkie uczucie, o święty.

– Pierdolę ludzkie uczucia! Chcę do domu, chcę coś zjeść wreszcie i iść spać. Wypuście mnie! – darł się, a gardło paliło drapiącym bólem, jak gdyby ktoś kazał mu połknąć kaktusa. – Rozwiążcie mnie! Czemu mnie tak trzymacie!? Chcę stąd wy...

Dech odebrały mu delikatne, wilgotne pocałunki, składane na jego dłoniach. Dopiero po chwili zrozumiał, że dziewczyna, która go strzygła, płacze.

– Kocham cię, o święty. Twoją rozpacz i cierpienie, twój głód i strach. Twój ból też będę kochać, bo cierpisz za nas wszystkich – szeptała, dotykając ustami jego palca.

– Czemu mam tylko jeden palec? – zapytał, a twarda kula strachu podeszła mu wysoko do gardła.

Nie sięgał wzrokiem do dłoni, ale wyraźnie wyczuwał, że na każdej dłoni oprócz kciuka ma tylko po jednym palcu, dokładnie tak samo, jak wiedział, że ma dwie dłonie.

– To nie palec – zabrzmiał zza głowy Pattisty wibrujący męski głos. – To penis.

– Jaki, kurwa, penis? Oszaleliście?! Na mojej dłoni? – krzyknął Johann piskliwie i żałośnie.

I nagle zrozumiał.

– To vivo, tak? Jestem uwięziony w wirtualnej rzeczywistości. Będziecie mnie torturować, aż zwariuję z bólu.

– My, członkowie Kościoła Najświętszego Serca Bernardowego, brzydzimy się technologią vivo. Tak samo jak ty, o święty. – Głos przesunął się przed Pattistę razem z sylwetką wysokiego, umięśnionego mężczyzny. Sądząc po połyskujących w ciemności białkach oczu, był Murzynem.

– Nie spodziewałbym się innej odpowiedzi. No cóż, przyjmę to ze spokojem. W końcu kiedyś będziecie musieli mnie odłączyć.

– Zapewniam cię, o święty, że to prawdziwe życie.

Z tymi słowami pochylił się nad Pattistą i unieruchomił jego głowę w twardym, bezwzględnym uchwycie lewej dłoni, kciukiem sprawnie odwodząc przy tym zuchwę w dół. W prawej, którą do tej pory musiał chyba trzymać za plecami, błysnęło jakieś narzędzie, którego Johann nie zdołał rozpoznać. Chwilę później palący, ostry ból rozlał się spomiędzy rozwartych szczęk po jego twarzy i zwielorotniwszy się w lawinę, pogalopował w głąb umysłu.

„Wyrywa mi zęby” – pomyślał Pattista, wierzgając bezsilnie nogami, co wobec ciasnego związania wszystkich kończyn, sprowadzało się do niezdarnych szarpnięć. Gorące łzy płynęły w dół policzków i mieszały się z wylewającą się z otwartych szeroko ust krwią, gęstą i słoną. Chciał krzyczeć, ale tylko krztusił się i pojękiwał, jak gdyby gardło wypowiedziało mu posłuszeństwo.

– I wyrwali mu przednie zęby, żeby pohańbić jego świętość i ośmieszyć przed wiernymi, ale Bernard tylko uśmiechał się i mówił „rwijcie wszystkie, będę tylko silniejszy” – zadeklamował oprawca, uwolniwszy zuchwę ofiary i odstępując krok do tyłu.

– Le! – krzyknął Pattista przez zdrtwiałe z bólu wargi, ale Murzyn mrugnął tylko i oddalił się bez słowa.

Dziewczyna, łkając, całowała dłonie Johanna.

– Cierpisz za nas wszystkich, Bernardzie – szeptała. – Twój ból jest naszym bólem.

Długie godziny spędził Pattista, przelatykając mdlący ból i zmieszana z skrzepniętą krwią ślinę. Każdy ruch przynosił cierpienie, nie krzyczał więc nawet i nie mówił zupełnie nic, nawet do siebie, jak nieraz mu się zdarzało. Siedział tylko z zamkniętymi oczami, usiłując wytłumaczyć sobie sens tego wszystkiego i uwierzyć, że zaraz przebudzi się z koszmaru, w którym z zupełnie niezrozumiałego powodu utkwiał.

Błąkał się wśród paranoicznych, nedorzecznych hipotez i pomysłów, których nie potrafił ani odrzucić, ani potwierdzić.

„Umarłem, jestem w piekle i zostanę tu już wiecznie”.

„Zapadłem w śpiączkę i właśnie to mi się śni, kiedy lekarze próbują mnie wybudzić”.

„Jestem pod wpływem narkotyków na jakiejś szalonej imprezie, a wszyscy wokół pękają ze śmiechu”.

„Trwa seans wirtualnej rzeczywistości w trakcie szkolenia w banku i właśnie przechodzę próbę oddania firmie”.

„Odbiła mi szajba. Najzwyczajniej w świecie zwariowałem”.

Słowa trzepotały w jego głowie, formując gładkie, bezsilne zdania, wnoszące do jego rozumienia rzeczywistości równie dużo, jak wszystkie pytania z vivoturniejów, jakie w życiu oglądał, czyli zupełnie nic.

Dziewczyna, która go ostrzygła, odeszła, gdy tylko ustał krwotok z ran w miejscach, w których niegdyś miał jedyne i dolne dwojki.

Oddałby wszystko za możliwość podrapania swędzących coraz natarczywiej dłoni, pleców i brzucha, zaś niemożność ujrzenia rąk i przekonania się, co miał na myśli Murzyn, mówiąc, że jego palec jest penisem, zalewała go duszącymi falami bezsilności. „Obudźcie mnie albo pozwólcie wreszcie umrzeć!” – błagał w myślach, ale wybawienie nie nadchodziło.

Otrzeźwiło go dopiero głośnie, mokre mlaśnięcie, które zdawało się dochodzić z jednego ze swędzących miejsc na brzuchu. Kojarzyło mu się z otwieranym owocem pataki, który tryska sokiem, gdy naderze się skórę w nieodpowiednim miejscu (albo odpowiednim, jeśli właśnie o tryśnięcie na kogoś sokiem chodzi). Johannowi skojarzenie wydało się mało adekwatne i optymistyczne. „Mam jakieś dymienice. Zarazili mnie dzumą albo inną ultrabakterią i właśnie pękają mi wrzody – pomyślał. – Może jestem zakładnikiem Rosjan, którzy postanowili zainicjować z moją pomocą nową epidemię? Wypuszczą mnie teraz, a ja zarazę pół Nowego Jorku, a potem całe Stany”.

– Kułwyfyny! – wrzasnął, a jego usta i dziąsła zapłonęły bólem, jak gdyby ktoś ciał je ostrym nożem.

Przełknął krew, która poczęła ciec z otwartych na nowo ran i usłyszał kolejne mlaśnięcia. Liczył w rosnącym przerażeniu i kiedy doszedł do pięciu, wokół rozbłysło światło. Oślepiiony, zacisnął bezwiednie powieki i jęknął.

* * *

Otworzył oczy dopiero gdy krępujący ucisk na jego dłoniach niespodziewanie

ustał.

Znajdował się w sklepionej sali wypełnionej siedzącymi w ławkach ludźmi. Patrzył na nich z podwyższenia, tak że wygodne krzesło, na którym spoczywał, zdawało się raczej tronem. Przez dłuższą chwilę przyglądał się twarzom zgromadzonych, nie rozpoznał jednak nikogo. Potem uniósł powoli prawą rękę, pulsującą swędzącym bólem, jak gdyby prowadziła przez nią trasa szybkiego ruchu pomiędzy dwoma mrowiskami. Zamknął oczy i otworzył ponownie, ale obraz nie zmienił się. Cztery palce, od małego aż do wskazującego ktoś skleił i uformował w coś, co wyglądało zupełnie jak jego penis, choć obrzezany. Przysunął do twarzy również lewą dłoń. Wyglądała tak samo. Kciuk i penis, nic więcej.

Usta same otworzył się do jęku, ale zagłuszyły go entuzjastyczne oklaski, jakie dobiegły z ławek.

– To naprawdę on! – krzyknęła jakaś kobieta głośno i histerycznie – To Bernard V.! Powrócił!

Zapewne to ona powstała z drugiego rzędu i precyzyjnie się przez rząd kolan do alejki pomiędzy ławkami, rzuciła się biegiem w kierunku Pattisty, jednak dwóch potężnych, umięśnionych niczym futboliści mężczyzn stanęło na jej drodze.

Szeptali jej do ucha przez chwilę, głaszcząc przy tym po głowie. Pokornie odwróciła się i wróciła na swoje miejsce. Twarz miała przepełnioną mieszaniną szczęścia i smutku.

Trzasnęły jakieś drzwi i Pattista spojrział w tamtym kierunku. Murzyn, który wyrwał mu zęby, ubrany teraz w garnitur z dwudziestego wieku, podszedł do ołtarza.

– Mili moi, oto wypełniło się proroctwo! – Jego głos zahuczał pod sklepieniem. – Stygmaty na ciele naszego proroka otworzyły się we właściwych miejscach o właściwej porze. Niech przemówią świadkowie! Niech przekonają członków naszej kongregacji, że jest czterdziestym siódmym wcieleniem założyciela Kościoła Najświętszego Serca Bernardowego!

Z pierwszego rzędu ławek powstała wysoka, rudowłosa kobieta. Podszedł do niej jeden ze strażników, którzy przedtem powstrzymali desperatkę, i podstawił pod usta mikrofon.

– Bernard urodził się na wsi z matki dziewicy, która przez pierwsze pięć lat życia trzymała go pod kloszem, myjąc mydłem antybakteryjnym i karmiąc bezpiecznym, przetworzonym jedzeniem. Chłopiec całe dzieciństwo do każdego napotkanego mężczyzny zwracał się „tato”.

Rzeczywiście, matka Pattisty zafundowała sobie zapłodnienie in vitro z nasienia anonimowego dawcy, bała się bowiem chorób przenoszonych drogą płciową. Strzykawka była jej pierwszym i jedynym partnerem seksualnym.

Niski mężczyzna w garniturze zapalił jedną z wysokich świec.

Strażnik podsunął teraz mikrofon mężczyźnie obok rudej kobiety. Ten powstał i odchrząknął.

– Kiedy Bernard miał dziesięć lat, pogryzł go nietoperz. Zapadł na wściekliznę, chociaż matka zaszczepiła go na wszelkie choroby, zaciągając na szczepionki kredyt w unii kredytowej. Przebywał w śpiączce przez dwa tygodnie. Matka nalegała na

podawanie mu antybiotyków czwartej generacji, chociaż leczony był zgodnie z zasadami sztuki medycznej silnymi lekami antywirusowymi.

Przez audytorium przetoczył się szum. Zapłonęła następna świeca.

„Skąd oni wiedzą – zastanawiał się Pattista – o nietoperzu i szczepionkach?”

– Matka Bernarda umarła, kiedy święty miał dwanaście lat. Trafił do stanowego sierocińca, gdzie koledzy znęcali się nad nim, przypalając mu podeszwy stóp grzałkami elektronicznych papierosów, dosypując soli do herbaty i zamykając na długie godziny w toalecie – łamiącym się głosem zadeklamowała zapuchnięta kobieta, gdy przysłała kolej na jej świadectwo.

Mężczyzna w garniturze zapalił następną świecę.

– Bernard uczył się dobrze i trafił do college’u, gdzie uzyskał stypendium i studiował nauki przyrodnicze – przejął pałeczkę ubrany wyłącznie w przepaskę biodrową szczupły Latynos z literą „B” wytatuowaną na piersi ozdobnym, barokowym stylem.

„Konkretnie to agroturystykę – dopowiedział w myślach Pattista – ale miałem zajęcia z rozpoznawania zwierząt domowych i ziół”.

– Tam poznał swoją pierwszą dziewczynę – kontynuował facet w przepasce. – Przez trzy lata odprowadzał ją do domu, jednak nawet nie pocałował, tak silny był wpojony mu przez matkę strach przed chorobami dziąseł i przyzębia przenoszonymi przez bezpośredni kontakt. Był w tym czasie uzależniony od kadzi regeneracyjnych, w których spędzał całe soboty i niektóre popołudnia.

Johann przypomniał sobie Joannę, swoją pierwszą dziewczynę, która nie uznawała bielizny, a kształt jej spiczastych piersi zawsze prześwitywał poprzez szyfonowe bluzki, które pasjami nosiła. Pragnął jej do szaleństwa, ale strach przed zarazkami oraz bólem rozstania, które musiało kiedyś nadejść, nie dopuściły go bliżej niż na dotknięcie dłoni. Nawet teraz wspomnienie jej ciała przyprawiło go o znajome uczucie gorąca w dole brzucha i, zupełnie niezrozumiale, w dłoniach. Zrobiły się ciężkie i pulsowały miarowo. „To niemożliwe” – pomyślał Pattista i spojrzął na ręce. Każdy z uformowanych na jego dłoniach członków nabrzmiał i urósł na długość przedramienia.

Na ołtarzu płonęło już pięć świec.

* * *

Głosy pozostałych świadków, przepełnione ekstazą, miłością, a przede wszystkim wzruszeniem, Johann słyszał jak przez mgłę, przerażony tym, co dzieje się z jego ciałem. Z mieszaniną odrazą i fascynacji wczuwał się w swoje erekcje i skurcze otworów w brzuchu i na plecach. „Jestem potworem – myślał. – Zdeformowali mnie, okaleczyli, głodzili. Teraz zaś pewnie złożą w ofierze. A nawet jeśli wypuszczą, jeśli jakaś kadź mnie ocali, wszyscy zapamiętają to, jak wyglądałem, i nigdy już nie odzyskam szacunku klientów”. Chociaż próbował nie poddawać się desperacji, panika wzbierała głęboko w duszy, wprawiała serce w galop, zaciskała żołądek, a nogi, wciąż dyskretnie skrępowane, przyprawiała o niekontrolowane drgania.

– Tak, tak! – dotarły do niego egzaltowane, głośne krzyki. Tłum wydawał się

szaleć. – Podwójny Y! Brawo!

– Jak masz na imię?! – zapytał z entuzjazmem mężczyzna w garniturze i zapalił dwunastą świecę.

Widownia przycichła.

– Anita, o wielebny – odparła skromnie kobieta, spuszczać wzrok.

– Anito, jak zdołałaś dowiedzieć się o tak pilnie strzeżonym przez każdą firmę ubezpieczeniową sekrecie, jak fakt posiadania przez czterdziestego siódmego Bernarda V. podwójnego chromosomu Y?

– Dałam łapówkę – mikrofony wzmocniły ledwo słyszalny głos.

– Wiele?

– Skan całego ciała z przekazaniem wszelkich praw – rozległ się pod sklepieniem zawstydzony szept.

– Czymże jest wdowi grosz w porównaniu z ofiarą naszej Anity! – zachłysnął się wielebny. – Czy zgodzicie się, o bracia i siostry, że to najwyższa cena, jaką złożono za zdobycie świadectwa od czasu, kiedy nasz brat, święty Lennon, utonął w Potomacu, płynąc za dwudziestym wcieleniem naszego pana?

– Tak! – tłum odpowiedział zgodnym chórem. – Wiktoria! Wiktoria!

– Jak słyszysz, wszyscy zgadzamy się, że jesteś kolejną Wiktorią. Podejdź tu do nas! – Mężczyzna w garniturze kiwnął palcem.

Kobieta wstała, precyzyjnie się pomiędzy kolanami wiernych siedzących w jej rzędzie i drobnymi, krępowanymi przez ciasną, długą spódnicę, krokami przydreptała do tronu Pattisty.

– Swoją ofiarą zasłużyłaś sobie na przywilej Pierwszej Miłości. Czy jesteś na niego gotowa?

– Tak, ojcze – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku.

– Przygotuj się zatem. I ciesz się, a my będziemy szczęśliwi twoją radością.

Dygnęła posłusznie, a następnie z trudem podciągnęła obcisłą spódnicę. Pod spodem nosiła higieniczną bieliznę diagnostyczno–prewencyjną. Obróciła się na chwilę w kierunku zebranych, a mężczyzna siedzący obok miejsca, które jeszcze przed chwilą zajmowała, skinął głową. Kobieta ze źle skrywanymi ociąganiem i wstydem zdjęła majtki i odrzuciła je na bok.

Dwóch strażników wtoczyło na podest przed tronem drewnianą konstrukcję, przypominającą z wyglądu średniowieczny przyrząd tortur, którego nazwy Johann nie znał. Z donośnym trzaskiem odwiedli ruchome części na dwóch grubych belkach zamocowanych przy podeście i u szczytu urządzenia.

Kobieta spojrzała w twarz Pattiście, złożyła ręce na wysokości nosa i ukłoniła się.

– Kocham cię, Bernardzie V. – powiedziała drżącym głosem i podeszła do drewnianego przyrządu, wstępując obiema stopami na schodek i wkładając dłonie w otwory w belce.

Strażnicy natychmiast zakleszczyli mocno jej kostki i nadgarstki, przysunęli wózek z konstrukcją tuż przed tron i zabezpieczyli kółka niedużymi klinami. Jeden z mężczyzn pokręcił korbą i nogi Anity rozsunęły się, a ona sama pochyliła do przodu, wypinając pokaźny zad w kierunku Pattisty. Wykrzywił się z odrazą na

widok niesamowitej ilości grubych włosów, które wyhodowała w miejscu, gdzie żadnych włosów, tego był pewien, nigdy nie powinno się mieć. Elementarna higiena, jak powiedziałaaby jego matka.

– Bernardzie V., oto nasza ofiara – rzekł z godnością mężczyzna w garniturze i dyskretnie wskazał na zdeformowaną dłoń Pattisty. – Przyjmij ją, prosimy.

– Prosimy! – zgodnym chórem rzekł tłum zgromadzonych.

– Oto święta penetracja, władzy twej inauguracja – zadeklamował przesadnie emfaticznym i natchnionym tonem mistrz ceremonii. – Niech popłynie pierwsza krew, prosto z duszy naszych śpiew.

– A ją... – Jęknął zdezorientowany Pattista. – Tym?

Mężczyzna w garniturze kiwnął głową.

– Pfcief to ją łozellie! – Pattista wybełkotał, a mistrz ceremonii kiwnął głową jeszcze raz.

– Pierwsza krew. Dziewiczy kwiat – dodał, a głośniki wzmocniły stukrotnie jego głos. – Święty ból i święta rozkosz. Najświętsze symbole prawdziwych uczuć, których tak nam brakuje, o bracia. Których świat tak bezwzględnie nam odmawia!

Tłum zawył, Johann nie umiał powiedzieć, czy z radości oczekiwania, czy ze złości na bezwzględny świat.

Uniósł prawą dłoń, a nabrzmiały wieńczący ją członek sięgnął aż do pośladków uwięzionej w drewnianej konstrukcji kobiety.

– Błagam, o panie! – jęknęła.

Choć przerażony, Pattista posłusznie pchnął przedramię, a wyczuwając opór ciała, nacisnął jeszcze mocniej. Nieoczekiwanie obudziło się w nim niezrozumiałe pragnienie. Chciał być w tej kobiecie, poczuć jej wnętrze. Chciał dać jej szczęście, którego najwyraźniej oczekiwała.

Nowym narządem na prawej ręce wyraźnie wyczuwał szczegóły anatomii kobiety: podszytą grubą warstwą tłuszczu szorstką skórę, grube, kręcone, rude włosy porastające wnętrza jej ud i całe łono, a nawet do pewnego stopnia pośladki. Ze zdumieniem odkrył, że wejście do jej wnętrza, które pod naciskiem groteskowo olbrzymiego narządu rozwierało się niechętnie, jest lekko wilgotne i gorące. „Ta kobieta jest naprawdę podniecona!” – pomyślał. I pchnął z całej siły.

Usłyszał trzask kojarzący się z rozdieranym o gałąź materiałem spodni do biegania, a jego członek i przedramię zalała fala gorącej, lepkiej cieczy. „To na pewno ten słynny wytrysk kobiecy” – pomyślał i spojrział na rękę.

Spływała krwią.

– Przyjmij dziewictwo błogosławionej Anity! – krzyknął w ekstazie mistrz ceremonii. Odchylił głowę do tyłu i śpiewał głośno: – Pierwsza krew, dziewiczy kwiat...

Świat zawirował, a kwaśna, wodnista zawartość żołądka podeszła Pattiście do gardła.

Reszta była ciemnością.

Pierwszym, co poczuł Johann Pattista, kiedy się przebudził, były zęby. Dotykał ich językiem, znowu całych i znowu własnych. „Boże, cóż to był za koszmary sen!” – pomyślał i otworzył oczy.

Na jego kolanach ktoś postawił zastawioną owocami i mięsem tacę. Pościeli nie rozpoznał, pokrytych fioletowym pluszem ścian też nie.

– Witaj, Bernardzie V. – rozległ się delikatny głos przy jego uchu.

– Nie! – krzyknął, w jednej chwili przygnieciony na powrót rozpaczą. Wszystkie wspomnienia, które przez tę krótką, błogosławioną chwilę brał za pozostałości koszmaru, nabrały znowu kolorów. Chrząst nożyc przy jego uchu, trzask wyłamywanych zębów, gorąca krew zalewająca ramię. – Błagam!

– Mam wyjść, o panie? Myślałam, że jesteś głodny? Od czterech dni poćisz przecież.

– Gdzie ja jestem? – szepnął.

– W swoim pokoju, o panie. Ja nazywam się Amira. Jestem twoimi dłońmi i księgą.

– Nie! – krzyknął znów i uniósł ręce przed twarz. Zapamiętany z koszmaru widok powrócił: miejsce każdej z dłoni zajmował obrzezany penis, choć niewiele teraz większy od jego własnego. I kciuk, dalej ten sam, jedyne wspomnienie dawnego kształtu ręki. – Co wy mi zrobiliście!?

– Każde z wcieleń Bernarda V. właśnie tak wygląda, o panie – odpowiedziała i złożyła pocałunek na jego dłoni–penisie, który zareagował lekkim drgnięciem. – Z pewnością jesteś głodny. Pozwól, że cię nakarmię.

Skurcz żołądka nie pozwolił Pattiście dłużej udawać przed samym sobą, że w obliczu tragedii coś tak błahego jak pokarm nie może go zajmować. Najwyraźniej ciało miało inne priorytety i choć nie było już do końca jego własnym ciałem, nie mógł go zaniedbać. Tym bardziej że zapasów nie gromadził. Tłuszcz stanowił według ostatnich pomiarów zaledwie zalecane przez ubezpieczalnię półtora procent masy ciała. Zdrowie było zawsze dla Johanna najważniejsze i jeśli miał przetrwać ten koszmar i odzyskać kiedykolwiek swoje prawdziwe życie, musiał dotrzeć do tego czasu w dobrej formie. „Zacznijmy od jedzenia – pomyślał. – Potem rozejrzemy się za siłownią. Może i medytować będę miał okazję”.

– Nakarm – westchnął. – Poproszę.

Następna godzina okazała się festiwalem smaku, zapachu, tekstury i wrażeń na języku, jakich dotąd nie znał. Jadł warzywa, mięsa i owoce morza, sosy, sery i pasztety, ale też potrawy, których nie potrafił nazwać, zapewne wydrukowane tak jak jego normalne posiłki, jednak z finezją i fantazją graniczącymi z nieprzyzwoitym szaleństwem. Choć pełen wyrzutów sumienia, nie umiał się opanować. Zdrowe pożywienie było z pewnością zbilansowane i wolne od metali ciężkich, ale nigdy aż tak atrakcyjne.

– Mógłbym tak jeść godzinami – przyznał ze wstydem, odruchowo ocierając usta penisem wieńczącym jego przedramię.

„Mógłbym zrobić sobie sam loda” – pomyślał i zadrżał, dławiąc kielkujący w żołądku dreszcz, perwersyjny i zaskakująco przyjemny.

– Widzę, że smakowało ci, o święty. – Amira uśmiechnęła się. – Możesz jeść do woli, a nawet powinienes. Jestem na twoje każde zawołanie. I gdybyś miał jakiegokolwiek inne potrzeby, również.

– Dam chyba radę wstać sam do toalety?

– Tak, ale... – Zawiesiła głos, zakłopotana.

„No tak – zrozumiał Pattista. – Nawet się, kurwa, nie wytrę!”

Cała radość z najlepszego posiłku życia, do tego podanego prosto do ust, rozpierzchła się, rozgoniona wizją kobiety, podcierającej go po wielkim sraniu, które musiało niechybnie nadejść po wielkim żarciu, jakie mu właśnie zafundowała.

– Nie możecie – szepnął. – Po prostu nie możecie mi tego robić! Co ja wam zrobiłem?

– To twoje przeznaczenie, o Bernardzie.

– Pieprzę przeznaczenie! – krzyknął. – Chcę móc wytrzeć sobie sam dupę! Chcę iść biegać, chcę żyć!

Zdesperowany, odrzucił kołdrę ze wszystkim, co na niej leżało, posyłając w powietrze fontannę barwnych cieczy i kawałków jedzenia. „Przynajmniej stopy mi zostawili” – pomyślał i zerwał się na równe nogi. Zeskoczył na czarne, błyszczące deski podłogi i rozejrzał się po pokoju.

– Chcę stąd wyjść! Gdzie są drzwi?! – jęknął w niedowierzaniu.

Dziewczyna pokręciła nerwowo głową, jak gdyby nie знаła odpowiedzi.

– Nie w mówisz mi, że nie wiesz, jak tu weszłaś! – krzyknął.

Amira zacisnęła usta.

– Zaraz ci, kurwo, przypomnę! – warknął przez zaciśnięte zęby i wyciągnął przed siebie dłonie, gotów udusić dziewczynę albo obić jej twarz, zrobić cokolwiek, żeby dać upust wściekłości, która kipiała w nim i rozsadzała głowę pulsującym, szumiącym ciśnieniem.

A potem ujrzał rozwarte niczym parodia obcęgów kciuki i członki. Nie mógłby tym nikogo nawet uderzyć, nie mówiąc o duszeniu. Nawet w gwałcie, choć miał tyle kutasów, ktoś musiałby mu pomóc!

– Ja pierdołę! – jęknął, padając na kolana. – Co wy mi zrobiliście!?

– Pozwól, o Bernardzie V., że zaprowadzę cię do toalety.

– Mam na imię Johann! – szepnął. – Johann Memphis Pattista. Nie żaden jebany Bernard!

Amira klękła tuż obok, poczuł ciepło jej kolan na nieudolnie skrytej w parodiach dłoni twarzy.

I ciepłe krople na karku, które musiały być jej łzami.

– Każde słowo Bernarda jest święte, nie możesz więc bluźnić – szepnęła – ale bluźnierstwem jest moje słuchanie tak strasznych słów. Błagam cię, o święty, nie skazuj mnie na pokutę!

Zaczęła głaskać jego gładko ogoloną głowę i, nieoczekiwanie, głęboko pod burzą wściekłości, która nie przestawała się w nim kotłować, Johann Memphis Pattista poczuł kielkujący spokój.

– Pozwól, że cię obmyję i posprzątam pokój, Bernardzie – powiedziała, nie

przestając go głaskać. – Potem przyniosę deser i dokończymy śniadanie.

Kiwnął głową.

„Tak będzie chyba najlepiej – pomyślał. – Nic innego chyba nie mogę zrobić”.

Pozwolił się podnieść, zaprowadzić do łóżka i przykryć na powrót kołdrą.

Patrzył na Amirę, która nie przestając płakać, krzątała się i sprzątała pokój.

Ze swoim płaskim nosem, zbyt szeroko rozstawionymi oczami i mięsistymi ustami była jedną z najbrzydszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział.

I jedyną, oprócz matki, która go kiedykolwiek kochała.

„Ciekawe czemu?” – pomyślał i zapadł w sen. Śniło mu się, że Amira klęczy i całuje jego brzuch.

* * *

Przez następne dwa tygodnie Johann Pattista, któremu co rusz zdarzało się myśleć o sobie „Bernard”, popadał w coraz głębsze przygnębienie. Zapewne dlatego pozwalał się tuczyć niczym mityczna gęś (czymkolwiek gęś była, jeśli w ogóle czymś). Brzydka kobieta, Amira, codziennie karmiła go posiłkami przesadnie tłustymi i słodkimi, obmywała jego zdeformowane i coraz bardziej otłuszczone ciało, podcierała, kiedy wydalil niestrawione resztki (zawsze nieustannie nucąc jakieś mantry czy modlitwy), zaś produkty nocnych zmas – które co noc budziły go razem ze wspomnieniami dziwacznych snów o groteskowo chudych kobietach z długimi, jędrnymi piersiami lub otyłych mężczyznach wypinającymi na niego brudne od czegoś niepokojąco ziemistego pośladki – chowała, ledwo przebudzona, a jednak nienagannie uczesana, do specjalnych szklanych pojemników, które zaraz gdzieś wynosiła.

Z łóżka nie wstawał. Oprócz karmienia i zabiegów higienicznych, czas zajmowały mu niemrawe, mamrotane rozmowy z mężczyzną, który wcześniej wyrwał mu zęby, potem zaś, już ubrany w garnitur, pełnił rolę mistrza ceremonii w czasie „intronizacji”, jak określał groteskową uroczystość, w której Bernardowi przyszło odegrać rolę zwyrodniałego gwałciciela. W czasie pierwszej wizyty przedstawił się jako Mais, najwyższy kapłan.

– Co z tamtą kobietą? – pytał go codziennie Bernard. Nie potrafił przypomnieć sobie jej imienia. – Tą od pierwszej krwi.

– Już lepiej, dużo lepiej – padała niezmienna odpowiedź. – Jest bardzo szczęśliwa jako Wiktoria.

– Nie rozumiem tego – odpowiadał z kolei Bernard i zapadało milczenie.

Bał się jakichkolwiek pytań (czy może raczej odpowiedzi na nie) o swój przyszły i dotychczasowy los, dlatego wolał ich nie zadawać. Przeważały błahe, zastępcze tematy w rodzaju życiorysu wszystkich dwunastu świadków czy wyznań miłości nadsyłanych w listach od wiernych z całych Stanów.

Czternastego dnia zaszła zmiana. Nie tylko zrozumiał, że nic nie rozumie, ale też zauważył, że przygnębienie i rozpacz, które wypełniały go do tej pory, rozwiały się gdzieś bez śladu. Jak gdyby zwiędły czy może rozwiały się, niczym strzępy mgły w promieniach słońca.

– Kim ja jestem? – zapytał, gdy tylko zobaczył Maisa.

Ten uśmiechnął się szeroko, skinął głową i sięgnął po krzesło, na którym zwykł siadać w czasie każdej wizyty przy wezglowiu łóżka Bernarda.

– Cieszę się, że nareszcie zadałeś to pytanie. To ostatnie z trzynastu świadectw. Jedyne, które każdy Bernard V. przedstawia sam. Słowa te padły czterdziesty siódmy raz, dopełniając niekończący się cykl twojego życia.

Mais opadł z krzesła na kolana, ujął w obie dłonie lewą rękę Bernarda i zaczął całować z szacunkiem jej kciuk, starannie omijając zwisający bezwładnie penis.

– A odpowiedź?

– Jesteś czterdziestym siódmym wcieleniem Bernarda V., który przyniósł nam jedno jedyne przykazanie: żyjcie naprawdę!

– To wszystko?

Mais podniósł się z klęczek.

– To wszystko, właśnie tak! Panie mój – powiedział – jutro o tej porze rozpocznie się zwołana właśnie ceremonia Trzynastego Świadectwa. Ludzie z całego kraju, a nawet z innych kontynentów spieszą do naszego pięknego miasta, aby w niej uczestniczyć. Pozwól mi powstrzymać się z pełną odpowiedzią aż do czasu jej rozpoczęcia! Niechaj będzie ona treścią kazania, które wygłoszę, aby odnowić rozumienie jedynej prawdziwej religii.

– Nie mam wyjścia – westchnął Bernard V., dawniej Johann Memphis Pattista. – Poczekam.

Najwyższy kapłan trwał w milczeniu, póki Amira, która pojawiła się za jego plecami z wózkiem zastawionym srebrnymi pokrywami i takąż zastawą, nie nakarmiła swojego pana budyniem, rostbefem i piure z łososia oraz czekoladową łódką z truskanami.

Kiedy już Bernard zachrapał donośnie, oboje wyszli przez otwarte z zewnątrz drzwi.

* * *

Sala pękała w szwach.

Dodatkowe krzesła ustawiono, wbrew przepisom przeciwpożarowym, w przejściach ewakuacyjnych i w alejkach, które normalnie oddzielały od siebie poszczególne sektory siedzeń.

Bernard V., odziany w przetykane złotymi nitkami błękitne szaty, obserwował wszystkich przybyłych z wysokości swojego tronu. Dostrzegał wszystkie możliwe i niemożliwe kolory skóry, kobiety i mężczyźni, ludzi młodych i emerytów, jednak żadnych dzieci, choć trochę ich się przecież w dalszym ciągu rodziło.

Z ust Maisa, którego oświetlał teraz punktowy, oślepiająco biały reflektor, płynął natchniony potok słów.

– Każdy, kto uwierzy w jego posłannictwo, zrozumie, że jedynym, co czyni życie wartościowym, są prawdziwe uczucia. Te same, które w zamierzchłych czasach stanowiły jego rzeczywistą treść: radość, przyjemność, szczęście, ale i troska, ból, tęsknota. Rozkosz, ale też cierpienie. Sprawność oraz choroba. Życie, ale również

śmierć!

– Wśród ciemności tych okrutnych czasów – ciągnął kapłan – w których jedynym dozwolonym wyrazem twarzy jest uśmiech, jedynym dozwolonym stanem zdrowia jest pełna sprawność gwarantowana i nadzorowana przez ubezpieczalnie, zaś jedynym dozwolonym sposobem umierania jest wstydliva śmierć w wyniku nieudanej procedury medycznej bądź szokującego wypadku, wśród tych okrutnych czasów tli się wątle jeszcze światełko naszej wiary, którą jej założyciel – Mais wskazał dłonią na tron – nazwał Religią Zrozumienia...

Brawa i ekstatyczne okrzyki przerwały kapłańską mowę. Odczekał cierpliwie, rozsyłając skromne, ojcowskie uśmiechy i ponownie zabrał głos.

– Nie lękajcie się! – zagrzemiał. – Nie bójcie się bólu! Nie wstyďte zmartwienia i stresu! Nie poddawajcie terrorowi tych, którzy straszą was chorobami! Oto słowa Bernarda V., przekazał je pierwszym naszym trzynastu świadkom, a niektórzy z nich dalej mogą o tym opowiedzieć.

Dodatkowe, słabsze reflektory oświetliły kilka miejsc na widowni. Bernard V. dostrzegł siedem czy osiem osób, kobiet i mężczyzn, nieco starszych od reszty widowni i bardziej dystygowanych. Podnieśli ręce i machali przyjaźnie do pozostałych.

– Jak mielibyśmy się jednak nie poddawać? Nie wstydzić? Nie lękać? – zakrzyknął kapłan i reflektory z powrotem zgasły. – Czy oznacza to, że mamy przestać dbać o zdrowie? Pozwolić szaleńcom strzelać do naszych dzieci? Prowadzić samodzielnie samochody, żeby poczuć ten dreszcz emocji: czy na pewno dojadę cało i zdrowo do celu? A może iść na całość i wrócić do jaskiń? Jeść mięso, uprawiać kukurydzę na własnoręcznie wykarczowanych poletkach? Wtedy życie będzie składało się już wyłącznie z emocji i prawdziwych uczuć, do których wzywa nas nasz Bernard V. – Jakże wymowna była cisza, która zapanowała na widowni! Prowokuje nas naczelny kapłan? Bluźni, żeby zaraz przeprosić? Wierni wpatrywali się w ponure ciemne oblicze i z niepokojem wyczekiwali słów wyjaśnienia.

– Niestety, kochani, do tamtych czasów nie ma powrotu! – rzekł wreszcie. – Tak jak nie wrócimy do jaskiń i polowań, tak samo nie będziemy ponownie hodować w szpitalach lekoopornych szczepów bakterii czy jeździć benzynowymi pojazdami zatruwającymi powietrze naszych miast. Jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, i nie chcemy rezygnować ze wspaniałych zdobyczy naszej cywilizacji. Jak zatem pogodzić te paradoksy: złem jest zarówno nieskazitelne zdrowie, o które dbamy, nie licząc się z kosztami, złem jest też choroba, która dzięki karnym składkom ubezpieczeniowym pogrąża nas w biedzie i spycha na rubieże społeczeństwa. Nie możemy jednocześnie być członkami społeczeństwa i wypierać się go, korzystać z jego dobrodziejstw i zaprzeczać ideałom. Jak żyć, Bernardzie V.? Jak rozwiązać ten największy z problemów?

– Żyćcie we mnie! – słowa, które padły z tronu, wypowiedziane zostały głosem szorstkim i wątlým, jakby od dawna nieużywanym i zaniedbanym.

Bernard V. nie rozumiał, skąd się w nim wzięły i co tak naprawdę znaczyły. Czuł potrzebę ich wypowiedzenia, tak jak spragniony sięga po szklanke, a zmęczony

kładzie się do snu. Jak gdyby ktoś z wewnątrz pociągnął za niewidzialne sznurki, on sam zaś wyłącznie obserwował swoje ruchy i słuchał własnych słów.

– Tak właśnie, moi ukochani! – krzyknął najwyższy kapłan, posyłając w powietrze fontannę kropelek śliny. – Żyćcie w Bernardzie V.! Oto on! Oto wasze życie!

Z sufitu posypały się płatki róż, a osoby spoczywające dotychczas na siedzeniach w pierwszym rzędzie powstały.

– Szczęśliwi, których Bernard V. zaprosił do swojego stołu! – oznajmił Mais natchnionym głosem.

W Bernardzie V. zakiełkowało pałace, nieprzyjemne przecucie, że wybrańcy ustawią się zaraz w kolejce do kolejnej, seryjnej tym razem kopulacji, ale zanim zdążyło zakwitnąć, przed tron wepchnięto suto zastawiony przysmakami stół oraz kilkanaście wysokich, skromnie zdobionych krzeseł. Kiedy zostały już zajęte, na sali zapanowała absolutna, pełna wyczekiwania cisza.

Dwaj kelnerzy podali sztuce dwunastce spośród siedzących przy stole (w tym Amirze, która miała być rękami Bernarda V.). Przed resztą postawiono wyłącznie puchary z wodą. Siedzieli z rękami złożonymi na stole i patrzyli przed siebie.

Zaczęto odrolad i przewijek, wydrukowanych najciaśniej, jak tylko się dało z najdziwniejszych składników, jakie mogłyby przyjść Bernardowi do głowy. Wyraźnie wyczuwał owoce głębokiego morza (jak analogi słynnych ślepaków z kominów Juan de Fuca), silikonowe galaretki, których smak rozpoznał wyłącznie na podstawie relacji znajomych z banku („jak dżdżownica na języku”, „takie subtelne podrygiwania”), ziarenka makromolekuł nukleinowych czy drażniące język, szorstkie włókna pozostające w ustach jeszcze długie chwile po przełknięciu reszty kęsa.

Po przystawkach nadeszła pora na gęste, tłuste zupy, których normalnie Bernard nigdy nie wzięłby do ust. Spływały słodko kwaśnym, śliskim syropem do ust, pałac podniebienie i gardło przy przełykaniu. Miękkie, skrobiowe i białkowe, kawałki ustępowały łatwo pod naciskiem języka i zębów, zmieniając się w rozplývającą się, rozkoszną papkę, a aromatyczne drobiny neo i tradycyjnych ziół nadawały każdemu łykowi nieco odmienny, zaskakujący smak. Choć nawet jedna porcja takiej zupy wypełniłaby ciasny żołądek dawnego Johanna Pattisty po brzegi, rozciągnięty przez ostatnie tygodnie treningu brzuch Bernarda dopiero się rozgrzewał. Jego współbiednicy nie byli najwyraźniej przyzwyczajeni, gdyż co rusz któryś podnosił rękę, a wtedy jeden z kelnerów w liberiach (tych samych mężczyzn, którzy kiedyś przykuli Wiktorię Anitę do maszyny tortur) podbiegał ze srebrnym wiadrem i niedużym parawanem. Choć delikwent skryty był przed wzrokiem pozostałych ucztujących, i tak docierały do nich odgłosy, które z siebie wydawał. Do stołu powracał już z rozluźnioną, choć zakłopotaną miną i przepłukawszy usta wodą z pucharu, kontynuował jedzenie.

Niespożywający przełykali głośno ślinę i rozglądali się dyskretnie po stole, jak gdyby usiłowali najeść się samym widokiem specjalów i tych, którzy pochłaniali je z wyraźnie dostrzegalną rozkoszą.

Zupy ustąpiły miejsca kolorowym, puszystym piure z drobnymi, barwnymi grudkami oraz smażonym na różne sposoby (w panierkach, sauté czy białkowo-tłuszczowych skorupkach) kawałkom najwykwintniejszych kultur mięsnych, takich jak łoś, wilk workowaty czy żyrafa. Wraz z kilkunastoma śliskimi, gładkimi sosami tworzyły setki kombinacji, które biesiadnicy z przejęciem komponowali i wkładali do ust, przymykając przy żuciu oczy z rozkosznym wyrazem twarzy. Skupiona Amira obsługiwała Bernarda, który nie czerpał już z jedzenia żadnej przyjemności, nadal jednak odczuwał głód oraz niejasne poczucie spełnianego obowiązku czy może posługi.

„Jem dla nich – myślał. – I za nich. Za tych, którym nie wolno lub którzy nie mogą. Nie zapłacili? Są chorzy? Na warunku?”

Deser pojawił się w ustach Bernarda zupełnie nieoczekiwanie. Słodkie do mdłości, ociekające tłuszczem kruche płatki zawinięte w najbardziej fantastyczne sposoby i wypełnione żelowatymi galaretkami, jędrnymi owocami bądź maziowatymi kremami. Do tego ciastowate kule o przeróżnych smakach, nie tylko słodkie, ale też słone oraz palące, a także ziołowe, gorzkawe kęski wymagające długiego, satysfakcjonującego żucia.

Na koniec przyszła pora na lody, o najróżniejszych smakach (nie tylko owocowych i zwierzęcych, ale i zupełnie perwersyjnych, kojarzących się Bernardowi z wydzielinami ciała, sokami roślinnymi lub nawet produktami industrialnymi) i fakturach (zarówno gładko ciągliwych, jak i szorstko łamiących się pod najłżejszym dotknięciem języka, a nawet delikatnie strzelających i kruszących się w ustach). I alkohol, palący w podniebienie i usta.

Stół wyniesiono dopiero wtedy, kiedy i Bernard poczuł, że chętnie skorzystałby z piórka i wiaderka, a towarzyszy spożywających razem z nim kolację wyniesiono, niezdolnych do jakiegokolwiek ruchu, za kulisy.

– Kiedy wrócie do domów oraz hoteli i spożywać będziecie wieczerzę, wsmakujcie się w każdy kęs, przeżujcie go dokładnie, choćby i wasza ubezpieczalnia nalegała, żeby ograniczać kalorie. Zjedzcie może mniej, ale celebrujcie swój posiłek jak wasz umiłowany Bernard V.! Żyćcie w nim, ale w sobie także. Tak bardzo, jak tylko możecie. Poczuliście dziś rozkosz zmysłów smaku i powonienia, ale też ból i cierpienie głodu. Prawdziwe uczucia. Pamiętajcie o nich i pomyślcie przy wieczornej modlitwie o tym, że kiedyś być może powróci królestwo ziemskie, a człowiek na nowo odczuwać będzie ból, chłód i strach nocnej ciemności. I jak bardzo jesteście na to gotowi.

Zgasły światła i zapanowała cisza. Bernard nawet nie zauważył, kiedy wokół niego wyrosły obite pluszem ściany. Objedzony do granic wytrzymałości, zasnął na swoim tronie.

Amira nie miała siły przenieść go na łóżko.

* * *

– Czemu oni nie tyją? – zapytał Bernard V. po czternastej z cotygodniowych uczt. Mais zapatrzył się w przestrzeń i zasępił.

Obaj zastanawiali się nad odpowiedzią. Czoło otyłego mężczyzny w łóżku rosły krople potu, które służąca co chwilę ocierała jedwabną chustką. Cienie pod jej oczami były jeszcze głębsze niż dawniej, a skóra na twarzy przybrała nieprzyjemny, ziemisty odcień. Opieka nad panem wyczerpywała ją z każdym dniem coraz bardziej.

– Masz rację, panie – padła wreszcie odpowiedź.

Dawniej Bernard V. uznałby ją za bezsensowną, teraz jednak wydała mu się głęboka i pełna myśli. Jego własnych myśli.

– Czy tylko dlatego, że jedzą ze mną kolejno? Nigdy nie siadają dwa razy przy moim stole?

– Możliwe, panie – przytaknął ponuro Mais.

– Czy womitują tylko za parawanem, kiedy brak im już miejsca na kolejne dania?

– Nie. – Kapłan westchnął ciężko. – Po wieczery również.

– Środki na przeczyszczenie oraz fotostymulacja, żeby przywrócić właściwe poziomy leptyny i innych hormonów rządzących uczuciem głodu i sytości również?

– Tak, panie. Zgodnie z wymogami ubezpieczalni i warunkami postępowania w razie spożycia nadmiernych ilości tłuszczów, cukrów oraz innych sytuacji ekstremalnych. Większości z nich nie stać na karne składki. To prości ludzie.

– Tego się spodziewałem. Żyją przecież we mnie. Ja biorę na siebie konsekwencje, których im nie pozwolono by przyjąć. Bezpiecznie pozbywacie się resztek?

– Wszystko powraca w beczkach do naszej farmy o trzydzieści mil od granic miasta.

Bernard pokiwał głową. Przez myśl przemknął mu obraz szlachtowanej świni.

– Nie wszystko, co zamiast, jest złe – powiedział. – Kto wie, czy kultury mięsne nie są największym dotąd krokiem w kierunku prawdziwej, głębokiej humanistycznej etyki. Nie ma powrotu do ubojni i rzeźni.

– Zawsze to powtarzasz – przytaknął Mais. – Za każdym razem, kiedy tu powracasz.

– Od dziś będziesz rozdawał jedzenie, którym do tej pory mnie karmiono. Dyskretnie, na ulicy. Bezdomnym, nie naszym wiernym. Zbyt dużo już celebrowania zmysłów i radości. Starczy już śmierci. Nie zabijajcie więcej świń.

Kapłan pokornie złożył ręce na ramionach i kiwnął głową.

– Będę pił tylko wodę – dodał Bernard V. – Zabierzecie też kołdrę i wszystkie moje ubrania. Gdzie lokalizatory, które miałem wszczepione w brzuchu?

Przejrzysta fiolka z pięcioma srebrzystymi płatkami pojawiła się w dłoni Maisa. Łzy pociekły na ich widok z oczu Amiry, Bernard zaś zacisnął zęby na wspomnienie cierpienia, które towarzyszyło usuwaniu sztucznych części ciała z jamy brzusznej.

– Czy dlatego nauczyłem się korzystać z laparoskopu? – zapytał. – Pamiętam to wyraźnie, choć wiem też, że nie powinienem, bo przecież nie miałem okazji uczyć się tego.

– Tak, panie. To wspomnienie z twojego pierwszego pobytu. Tylko wtedy zrobiłeś to osobiście. Od tej pory robimy to za ciebie.

– Również laparoskopem?

Mais przytaknął.

– I również bez znieczulenia?

– Tak nam nakazałeś, panie. – Kapłan skinął głową. – „Ból jest najprawdziwszym z uczuć. niesprawiedliwie ból narodzin odczuwa matka, dlatego cierpienie moich narodzin będę czuł wyłącznie ja”. Oto twoje słowa.

– Nie pamiętam moich narodzin.

– Nikt nie pamięta, o panie. To matka przechowuje wszystkie wspomnienia. Amira pamięta każdy twój krzyk, każdą twoją łzę. I każdą kroplę krwi. Towarzyszyła ci tutaj od pierwszej chwili.

Odwrócił się na pięcie i podtrzymał Amirę, która właśnie osuwała się na podłogę.

– Czas się kończy, mój drogi – powiedział Bernard V. i przymknął oczy. – Zarówno mojej matki, jak i mój. Przestanie być moimi dłońmi i księgą, czuć zmęczenie i szczęście. Zgaśnie spokojnie, tak jak o tym zawsze opowiadasz. Tutaj. W ciszy i ciepło, wśród bliskich.

– Już? Teraz?

– Tak, Maisie. Połóż ją tu obok, chcę się pożegnać.

Murzyn uniósł wychudłe, bezwładne ciało Amiry i złożył po lewej stronie łoża. Bernard V. dotknął kciukiem jej czoła. Sprawiał wrażenie, jakby czekał.

Kiedy głośno i gwałtownie westchnęła, z jego oczu pociekły łzy. Pierwszy raz od wielu tygodni.

– Zostało siedemdziesiąt dziewięć dni – oznajmił.

Mais przymknął powieki zmarłej i przyklęknął. Kciuk pana pod jego ustami okazał się słony i słodki zarazem.

* * *

– Matka naszego pana odeszła – obwieścił ubrany na czarno główny kapłan w czasie zwołanej na następny dzień kongregacji. – Chociaż wziął na siebie ból narodzin, i tak jej serce pękało na każde wspomnienie tamtego cierpienia. Tym razem nie wytrzymało!

Pod sklepieniem rozległ się przepelniony cierpieniem krzyk. Zgromadzeni zdrętwieli na twardych krzesłach. Agonia zdawała się trwać w nieskończoność, aż wreszcie Bernard rozpoznał swój głos. „To moje narodziny – pomyślał. – Ktoś zarejestrował mój głos i teraz odtwarzał. Ona słyszała to w głowie codziennie, być może zawsze, kiedy na mnie patrzyła”.

Zapłakał i on, a krzyk zamilkł.

– Jej miłość rozlewała się też na was – powiedział, przetykając łzy. – Spróbuję wam ją zastąpić, choć nigdy nie byłem niczyją matką. Nie mogę was obmyć, jak ona obmywała mnie. Nie mogę was nakarmić. Mogę tylko kochać i odmawiać sobie tego, czego i wam nie mogę dać. Teraz płaczmy.

Światła pogasły i tylko szkarłatny reflektor oświetlił spoczywające na katafalku ciało Amiry.

Słone strumienie długo jeszcze płynęły po pulchnych policzkach Bernarda V.

Życie bez Amiry upływało Bernardowi V. głównie na spotkaniach z wiernymi i medytacji.

Kiedy był sam, rozmyślał, rozmawiał sam ze sobą albo słuchał: ciszy lub głosu, który przemawiał do niego gdzieś z głębi.

Ponawiane co dzień przez Maisa propozycje obmycia ciała lub nakarmienia, choćby suchym chlebem, odrzucał. Pił tylko wodę przez długą słomkę zanurzaną w napełnianym co dzień dzbanie. Zgadzał się też na szklankę napoju izotonicznego, traktując jej opróżnienie jako rytuał, który zapewniał Maisowi codzienny kontakt z czterdziestym siódmym wcieleniem swojego boga.

Choć pustki po Amirze nie sposób było wypełnić, Bernard V. pozwolił sobie na zaledwie dwadzieścia trzy dni żałoby, po jednym za każdy rok jej życia. Kongregacje odbywały się w skupieniu, bez uczt czy innych aktów życia w Bernardzie V. Śpiewali pieśni, słuchali kazań Maisa o śmierci i miłości, czasami zaś wyłącznie milczeli.

Cisza jest przecież również przejawem dawnego, prawdziwego życia. Życia powolnego, niespiesznego. Skupionego.

– Marzy mi się zgromadzenie gdzieś w lesie, pod gołym niebem – powiedział Bernard V., kładąc się do snu ostatniego dnia żałoby. – Z wiatrem i śpiewem ptaków, z zapachem żywicy i tysiącami odcieni zieleni i brązu. Może nawet dana byłaby nam burza i poczulibyśmy krople wody za kołnierzami? Wyobraź sobie wszystkich naszych wiernych, jak stoją z uniesionymi wysoko dłońmi, spijając wodę prosto z chmur.

Dobrze wiedział, że potem wszyscy, oprócz niego, rzuciliby się do kadzi, żeby wspomóc limfocyty w ciężkiej pracy neutralizacji wszelakich patogenów skłonnych skorzystać z tej chwili lekkomyślności i gotowych wywołać przeziębienie lub poważniejszą infekcję.

– Nie są gotowi na śmierć – rzucił bez żalu w głosie. – Nie tylko żyć będę musiał za nich.

– Nie żal ci, mój panie? Powinni być gotowi na wszystko, skoro wierzą słowom Bernarda V. Tak każe logika.

– Ludzie nie są logiczni. Są za to nieufni. Co bowiem, jeśli źle zrozumieli moje zapewnienie, że tam nic nie ma? Że nie trzeba tak panicznie bać się drugiej strony? Że nie trzeba lękać się piekła ani martwić, czy na pewno wystarczy to, co robią, żeby się dostać do któregoś z rajów? Na wszelki wypadek wolą żyć tak długo, jak tylko się da, za wszelką cenę, niż sprawdzać osobiście, że miałem rację i nie ma się czego bać. Dobranoc, Maisie. Niech nasze następne zgromadzenie będzie radosne.

Kapłan skinął głową.

Ostatnie chwile świadomości Bernarda V. wypełniła tęsknota za migotaniem gwiazd.

„Epsilon Erydanu – pomyślał. – Cóż to za piękna nazwa”.

Potem zapadł w ciemność.

Bernard V. nie planował czcić pamięci Amiry już nigdy więcej. Nie, nie chciał o niej zapomnieć, po prostu uważał, że trzeba patrzeć do przodu, nie za siebie. Że wszystko i każdy ma w życiu swój czas. Zanim nadejdzie, nie należy o nim marzyć, kiedy przeminie, nie powinien być przedmiotem tęsknoty. Warto się przygotować i warto szanować wspomnienie. Nic więcej jednak. Życie należy dziś.

Dlatego kiedy żałoba minęła, gotów był nie pomyśleć już więcej o matce.

A jednak pomyślał i to w najmniej oczekiwanym momencie.

Jak zwykle treść spotkania z wiernymi była dla niego tajemnicą. Miał graniczące z pewnością przekonanie, że potrafiłby przewidzieć, czemu będzie poświęcone kazanie lub jaką cnotę prawdziwego życia postanowi celebrować Mais, wołał jednak nie wiedzieć. Być może, żeby nie wywyższać się ponad tych, którzy siedzieli naprzeciw: ubrani, zdrowi, najedzeni. Wiedział, że nie mają wyjścia, wiedział, że na nic innego nie pozwoli im społeczeństwo, Tkanka oraz skomplikowane sieci zależności, w jakich przyszło im tkwić od narodzin aż po ewentualną śmierć. Czuł jednak, że nagi, głodny aż do bólu brzucha, wzdęty i od dawna niemyty może niechętnie epatować swym nonkonformizmem, na którego łaskę nie zasłużył przecież ani trochę bardziej niż oni. Bernard V. mógłby zamieszkać w każdym z tych ciał, o ile tylko życie jego dotychczasowego właściciela potoczyłoby się zgodnie z prorocztwami, a to nie było wszak zasługą tego, który nim żył.

Nie śmiał patrzeć im w oczy, dlatego z nisko opuszczonym wzrokiem kontemplował chudnące fałdy swego niegdyś otyłego, teraz zaś coraz bardziej wyniszczonego ciała. Ginęły w nich niewilgotniejące już otwory, których natury nigdy nie ośmielił się poddać rozmyślaniom.

„Zostały jeszcze pięćdziesiąt trzy dni” – pomyślał.

– Miłość Bernarda V. nie zna granic! – rozległy się gromem słowa Maisa. – Choć w każdym z nas kwitną uprzedzenia, fobie i lęki, on uwielbia świat w naszym imieniu! Dostrzega piękno przykryte liszajem brzydoty. Rozkoszuje się zapachami, które innym zdają się wyłącznie fundamentem najgorszych fetorów! Odnajduje radość w najsmutniejszym ze zdarzeń!

„Nie umiałbym tego wszystkiego im przekazać – powiedział do siebie w myślach Bernard. – Skąd on bierze te słowa? Tak doskonale oddające to, co czuję albo czym jestem. Czasami nawet nie uprzytamniam sobie tego, co Mais mówi, dopóki odpowiednie słowa nie padną z jego ust. Skąd zna mnie tak dobrze? Skąd tyle o mnie wie?”

– Abyście mogli zaczerpnąć z tego źródła tolerancji, dobroci i miłosierdzia, Bernard V. zaprosi teraz do swojego tronu tych, którzy w skrytości swych związanych przesądami dusz pragną okazać mu miłość, ale dotąd się wstydzili.

Wstawali ze swych krzeseł nieśmiało, z ociąganiem. Ośmiu mężczyzn. Przeciskając się powoli między rzędami krzeseł, potem zaś sunąc powoli z opuszczonymi głowami alejką w kierunku prowadzących na scenę schodów, sprawiali wrażenie, jakby ciągnęły ich niewidzialne sznurki, subtelnie, ale stanowczo, wbrew ich nieśmiałości, zgodnie jednak z ich pragnieniami.

Bernard V. miał wrażenie, że trzyma owe sznurki w zdeformowanych dłoniach, które choć nie poradziłyby sobie nawet ze szklanką, to z czymś tak niematerialnym dają sobie radę dużo lepiej. A może to nie dłonie?

Na twarzach wybrańców dostrzegał z trudem skrywaną odrazę. To pewnie nie on sam ją budził, ale zapach, jaki wydzielala jego skóra po tak wielu dniach od ostatniego kontaktu z wodą i środkami myjącymi – musiał być trudny do zniesienia. Wspomnienie szczepów bakterii utrzymujących dawniej w czystości powłoki ciała Johanna Pattisty przemknęło przez myśli Bernarda V., ale zwiędło i zgasło, zanim musiałby je zdusić świadomie.

– Zróbcie to, o czym marzyliście! Nie myślcie o waszych żonach czy matkach na widowni, są ludźmi tak samo jak wy: wybaczą wam lub ucieszą się waszym szczęściem. Tak czy inaczej, poczują waszą miłość, a potem będą mogły cieszyć się waszą radością. I łaską naszego pana!

Bernard V. nie do końca potrafił uporządkować wrażenia, jakie nawiedziły go potem. Zdawało mu się, że czas przestał płynąć, że widzi i czuje naraz wszystko, co działo się i będzie się działo. Mężczyźni z widowni klęczeli przed nim, obejmując ustami napęczniałe gorącą krwią, sterczące członki i przylegali do jego ciała, penetrując głębokie otwory w jego brzuchu, plecach i bokach, nabrzmiące teraz i ociekające lepką wilgocią, jak gdyby był po pięciokroć kobietą i po trzykroć mężczyzną. Kochał ich i kochał ich miłość. Czuł uwielbienie w ich dotyku i pocałunkach, czuł radość odrzuconego wstydu i przewyciężonego skrępowania niezrozumiałym pragnieniem, które dotąd ich wypełniało i przyprawiało o wyrzuty sumienia.

Tryskał radośnie nasieniem i sokami.

Czuł się Bernardem V.

Czuł się Amirą.

Była w nim, oddychała jego płucami, zaciskała się radośnie każdą z jego niezdarnych, spontanicznych wagin. Jego serce pompowało jej krew, a z jego oczu tryskały jej słone łzy.

Kiedy uniósł odrzuconą dotąd do tyłu głowę, spostrzegł, że mężczyźni leżą bezwładnie u jego stóp. Wciągnął głęboko powietrze urywanym spazmami wdechem.

Potem zaś czekał, aż pobudzą się, otrą czoła z potu i usta z kobiecych i męskich soków swego pana, następnie wstaną i na chwiejnych nogach udadzą się na swoje miejsca, podtrzymywani przez strażników i odprowadzani zazdrosnymi spojrzeniami tych, którym nie starczyło śmiałości.

Kiedy ostatni z leżących nie dźwignął się na nogi ani nie dał żadnego znaku życia przez dobry kwadrans po tym, jak pozostali powrócili już na widownię, Mais podbiegł i zaczął delikatnie trącać go w ramię.

– Podnieś się, bracie Aldissie! – szeptał. – Podnieś! Już czas!

Bernard V. pokręcił głową w zadumie.

– To na nic, przyjacielu. On odszedł – rzekł. – Poznał właśnie największą tajemnicę. Jeśli zdążył, zanim przestał być.

W spojrzeniu Maisa Bernard V. wyczytał strach. Czyżby nawet on się łudził, że coś jednak jest po drugiej stronie? Czyżby miał nadzieję, że chociaż sny tam się śnią, skoro nie można liczyć na jakiś rodzaj życia?

– Żyćcie, bracia! – zawołał kapłan, kiedy już przestał głaskać w zadumie twarz i włosy zmarłego. – Żyćcie, póki wasze serca biją. Bo nawet kadzie, nawet nano i meta, żadne z nich nie zapewnią wam życia wiecznego. Każde z was pozna w końcu różnicę między śmiercią a snem, ale zrozumie ją w tej ostatniej chwili. Żeby towarzyszył wam w tym misterium uśmiech, nie grymas przerażenia, żyćcie pełnią życia. Jak najbardziej sami, ale także w Bernardzie V. A teraz myślmymy o naszym bracie, który jest już tylko ciałem!

* * *

Dwadzieścia dwa dni po śmierci brata Aldissa Bernard V. wypróżnił się po raz ostatni.

Resztki bakterii zamieszkujących jego jelita dały najwyraźniej za wygraną i przestały liczyć już na jakikolwiek posiłek. Być może pożarły się wzajemnie aż do ostatniej, może zaś tak jak ich gospodarz pogodziły się pokornie z losem. Któż wie, jakie sny mogą śnić się bakteriom jelitowym? Któż wie, czy cierpiały, oprócz nich samych oczywiście?

Nie wzbronił Maisowi zmienić prześcieradła.

– Zostało trzydzieści jeden dni, przyjacielu – powiedział, kiedy ten nakładał czystą pościel, przewróciwszy delikatnie chude, posiniaczone ciało na jeden, potem zaś na drugi bok. Niegdyś pulchne, wypełnione tłuszczem fałdy zwisały teraz smętnie niczym opadłe skrzydła. Sączyła się spomiędzy nich mętna, gęsta ciecz. Mais podniósł kiedyś jeden ze skórnych płatów i zanim Bernard V. upomniał go, ujrział poczerwieniałe od zapalenia tkanki. Poprosił swojego pana, aby pozwolił ulżyć sobie w cierpieniu, ale ten tylko pokręcił głową.

– Ból i cierpienie to moi najwierniejsi towarzysze, nie licząc ciebie, rzecz jasna. Jak muzyka mają swój rytm i kadencję, odcienie, smaki i brzmienia. Spójrz!

Jedną ze zdeformowanych dłoni wskazał na otwór w brzuchu, otoczony drobnymi, czarnymi wypukłościami. Pulsowały, napęczniałe, jak gdyby wypełniająca je gęsta ciecz nie mogła się już doczekać, kiedy wążlejąca z każdym dniem skóra da wreszcie za wygraną i wypuści swe skarby na szeroki świat.

Mais zasłonił w przerażeniu usta. Choć wstyd mu było, że w ogóle o tym pomyślał, przestraszył się zarazy. Przypomniał sobie dżumę w wiekach średnich, wspomniął hiszpankę, wreszcie ostrzeżenia czarnowidzów paranoików, którzy wieścili, że zastąpienie systemów odpornościowych kadziami prędzej czy później zaowocuje narodzinami superzarazki, który wystawi możliwości instrumentów medycznych na pośmiewisko i udowodni, że plagi dalej istnieją.

Czyż nie byłoby największą ironią losu, gdyby religia życia Bernarda V. okazała się religią śmierci rodzaju ludzkiego?

– Nie, mój drogi – wszedł Maisowi słowem w myśl jego pan. – Śmierć jest częścią życia. I choć nie wiemy, czym naprawdę jest życie, wiemy doskonale, czym

jest śmierć. Jego końcem. Ostatecznym.

– Ty jednak odradzasz się znowu, panie – szepnął Mais zawstydzony zdemaskowaniem swego zwątpienia. – Raz za razem.

– Bernard V. nawiedza kolejne ciała, one jednak żyją wyłącznie po jednokroć. Był Fancy Triptophanes, był Dolores Twisty, był nawet Leggy Miles. Oni wszyscy jednak zmarli, a dawne składniki ich ciał krążą teraz po planecie, zwiedzając przeróżne miejsca. Odeszli, mój bracie. Kiedyś będą gwiazdami, tak samo jak ty i ja. Życie to tylko brzmienie trąconej struny. Potem wszystko cichnie.

– Naprawdę nie ma nic więcej, panie?

Bernard V. pokręcił głową.

– Nawet Johann Pattista skończył się już. Nie żyje ani trochę bardziej niż brat Aldiss, którego ostatnim śladem są te czarne dymienice na mojej skórze. Przywłaszczyłem sobie ciało Pattisty, bez najmniejszego nawet śladu przyzwolenia, wysłałem je, wyrządziłem mu wszystkie możliwe szkody, część własnymi, część twoimi rękami. Teraz zaś nadchodzi kres, mój wierny sługo.

Słowa pana zabrzmiały złowieszczo w uszach Maisa, jak gdyby to cały czas miał się skończyć, nie zaś funkcjonowanie kolejnego z ciał, które zamieszkiwał Bernard V.

– Znalazłem bezpieczny las – powiedział, ignorując usiłujące przygnieść go do ziemi przygnębienie. – Dokładnie taki, o jakim marzyłeś, panie.

– Wspaniale, przyjacielu.

– Planowałem zebranie za trzydzieści dni od dziś, jednak proroctwo, które właśnie wygłosiłeś, napełniło mnie lękiem. Nie chciałbym stać się przyczyną twojej śmierci.

– Spójrz na mnie – odrzekł Bernard V i wydobył z głębi twarzy zmurszały, podrdzewiały uśmiech. Utrzymał się przez chwilę na powierzchni, wąty i drżący, potem zaś pogrążył się z powrotem i znikł. – Śmierć będzie dla tego ciała wyłącznie aktem miłosierdzia. Zrób tak, jak planowałeś. Zadbaj o bezpieczeństwo wiernych. Dasz sobie radę?

Mais niepewnie pokiwał głową, jak gdyby sam siebie usiłował przekonać.

„Trzydzieści jeden dni – pomyślał. – Co potem będzie?”

Co potem?

* * *

Z dni ostatnich Bernard V. świadom był upływu każdej sekundy. Pełzły powoli, odmierzane płytkimi oddechami, niewyraźnymi, mamrotanymi słowami, mimowolnymi skurczami obumierających z bezczynności i głodu mięśni.

Przed spotkaniami z wiernym pozwalał Maisowi podłączać kroplówkę z elektrolitami, wyłącznie jednak po to, aby nie stracić przez te dwie godziny przytomności i móc świadomie przeżywać obecność tych, którzy cenili bezpośrednio obcowanie ze swoim bogiem. Nic nie było jednak w stanie ukryć spustoszeń, jakie głódówka i przybierające na sile choroby poczyniły w ciele Bernarda V. Twarz jego przybrała kolor pergaminu z ziemistymi cieniami wokół wyblakłych, matowych

oczu, kości policzkowe i zuchwa wydawały się naciągać skórę twarzy do granic pęknięcia. Kończyny zdawały się tylko skąpo obleczone resztkami ciała, widok zaś żeber i obojczyków kojarzył się z dwudziestowiecznym preparatem anatomicznym. Jedynie wiotkie fałdy na piersiach i brzuchu przypominały o dawnym kształcie niegdyś otyłego, teraz zaś śmiertelnie wyniszczonego człowieka.

– Dawno już zapomniane słowa takie jak „głód” czy „choroba”, o wiele częstsze w rozmowach naszych przodków niż „dostatek” czy „wygoda”, stają się ciałem na waszych oczach – szeptał Mais do mikrofonu. – Słowo „śmierć” było niegdyś nieodłącznym bliźniakiem swojego przeciwieństwa: „życia”. Kto się narodził, umierał zazwyczaj zaraz potem, z wyjątkiem tych nielicznych szczęśliwców, którzy dotrwali wystarczająco długo, aby przedłużyć nasz rodzaj. Nawet jeśli w wielkim planie przeznaczone było człowiekowi osiągnąć stan, w którym nie trzeba już narodzin, aby życie trwało, chłońcie teraz wszystkimi zmysłami świadectwo, że jest to łaska, nawet jeśli wam narzucona. Szczęście bowiem ma to do siebie, że trudno je zauważyć człowiekowi szczęśliwemu. Czerpcie zatem świadectwo własnego szczęścia z cierpienia waszego pana. Niech będzie dla was zwierciadłem, w którym ujrzeć możecie to, czym nigdy nie musieliście być, choć nie jest to zasługa żadnego z nas, a wyłącznie naszych ojców. Oni to bowiem położyli podwaliny i postawili mury pełnego ciepła i spokoju świata, w którym przyszło nam żyć.

Sięgnął po szklankę wody, a potem, spoglądając na Bernarda V., usiłującego przełknąć ślinę, odstawił ją zawstydzony i przymknął na chwilę oczy.

– Kiedy zaś zdarzy się wam skarżyć na los i narzekać, wspomnijcie pana waszego, nie będzie tu bowiem zawsze. Wspomnijcie to, czym dzięki niemu nigdy nie musieliście być. On był bowiem tym za was i w waszym imieniu.

Nie zawsze tymi słowami przypominał Mais wiernym o szczęściu, jakie zastali, przychodząc na świat, niezmiennie jednak prosił, aby patrzyli w oblicze Bernarda V. i zapamiętali tak wiele z jego cierpienia, jak to tylko możliwe. Mieli przecież przed sobą niemal wieczność pełną wygod i wolną od materialnych czy fizycznych trosk. Nie wiedział, czy słowa „Pan nie będzie tu przecież z nami zawsze” obudziły inne skojarzenia niż dotychczas, kiedy spodziewali się odejścia kolejnego wcielenia pana. Zapewne żadne z nich nie przeczuwało bliskości ostatecznego kresu obecności Bernarda V. na Ziemi.

Podczas każdego z tych kilku spotkań poprzedzających dzień ostatni prosił jednego z wiernych o obmycie ciała pana. Drżącymi z przejęcia i troski rękami, z niezrozumiałą nawet dla nich samych delikatnością nawilżoną gąbką zmywali z pergaminowo szorstkiej i cienkiej skóry cierpienie i brud. Na miejsce powracali zawsze ze spuszczoną głową, z twarzy Bernarda V. bowiem tak łatwo było odczytać słowa „nie jestem godny”, że najdrobniejsza skarga, jaka zagościła ostatnio na ich ustach, powracała nagle i uwierała sumienie błahością i małostkowością.

Zmęczony uśmiech pana zegnał ich niezmiennie, gdy opuszczali w zadumie salę zgromadzeń.

Na łzy pozwalał sobie dopiero, kiedy zostawał sam.

Dzień ostatni rozpoczął się słonecznym i bezchmurnym porankiem, który niepostrzeżenie przeszedł w południe ledwo schłodzone łagodnym zefirem, tak samo jednak bezchmurne i słoneczne.

Polana w lesie, którą Mais znalazł nie tak znowu daleko od granic miasta, spodobała się Bernardowi V. Światło przesączało się przez gęste korony, a gdzieś spływało w dół grubymi, jasnymi słupami. Powietrze przepełnione było żywicznym, sosnowym aromatem, zaś miękka trawa wyściełała dno niczym najprzedniejszy wełniany dywan.

Wierni usiedli wprost na trawie bądź też na przyniesionych przez siebie poduszkach i siedziskach. Tron ustawiono na niewielkim naturalnym podwyższeniu terenu, Mais stanął zaś po jego prawicy, za zaskakująco anachronicznie skonstruowaną mównicą. Wyglądała na wykonaną z pociętych w cienkie, długie plastry pni drzew.

Kiedy wszyscy zaproszeni przybyli już na miejsce (hoverami z miasta, a potem piechotą leśną ścieżką z odległego o kilkaset metrów lądowiska), zaś szum rozmów ustąpił miejsca ptasim gwizdom i śpiewom, Mais przyklęknął przed swym panem i ucałował jego prawy kciuk.

– Spotykamy się w tym niezwykłym miejscu – oznajmił, powróciwszy na mównicę – na życzenie naszego umiłowanego Bernarda V. Jak wiecie, jedyne, czego wszyscy oczekujemy od siebie wzajemnie, to dyskrecja i lojalność, aby wiara nasza mogła trwać i kwitnąć. Dlatego tak długo zwlekałem z organizacją spotkania pod gołym niebem, póki nie przekonałem się i nie upewniłem, że nie zagrozi ono niczyjemu bezpieczeństwu. Zarówno waszemu, moi drodzy, jak i pana naszego, tak kruchego i cennego, jak żadna porcelana i żaden trummel.

Wychudła, koścista ręka uniosła się z drzeniem ponad poręcz tronu.

Kapłan dostrzegł ten ruch i zamilkł.

– Nadchodzą nowe, trudne czasy – rozległ się suchy, zaskakująco donośny głos Bernarda V. – To, co dotąd zdawało się łatwe, stanie się teraz kłopotliwe. To, co bliskie na wyciągnięcie ręki, odsunie się tuż za horyzont. Trudno będzie wierzyć, a jeszcze trudniej mieć pewność. Nic nie trwa wiecznie, choć oczekuje się od nas przekonania, że możemy mieć na zawsze, moc zawsze i być zawsze. Największa ziemską potęgą nie odwróci jednak tego, że życie jest zmianą, nawet to wasze, bezpieczne, stabilne i tak długie, że niemal wieczne.

Zamilkł na chwilę; Mais otarł mu pot z czoła.

– Kiedy nastąpi już zmiana – ciągnął, gdy złapał z powrotem oddech – nie warto rozpamiętywać i zastanawiać się, czy postąpiliśmy w jej obliczu właściwie. Druga szansa nigdy nie nadchodzi, bo wszystko, co było dawniej, teraz jest już inne. Dlatego zawsze patrzcie naprzód, a nigdy wstecz. Nie lękajcie się!

To intuicja podpowiedziała Maisowi, że osuwający się na trawę wierny nie zemdleł w religijnym uniesieniu. Kątem oka zarejestrował jeszcze kilka innych padających bezwładnie osób, a także opalizujące cienie, które musiały być, jak

skonstatował dużo później, zamaskowanymi doskonale policjantami.

Teraz jednak rzucił się bez zastanowienia w kierunku tronu. Choć polanę wypełniły krzyki i piski przerażenia, nie miał czasu zatroszczyć się o swoich wiernych.

Chwycił wątłe ciało najdelikatniej, jak tylko potrafił, i ruszył biegiem w kierunku zarośli otaczających polanę. Zdawał się pędzić na oślep i stanowiąc łatwy do namierzenia cel, jednak trasa którą obrał, była doskonale przemyślana i kilkakrotnie przećwiczona na mało prawdopodobną, jak miał nadzieję, okoliczność podobnego zajścia.

W naturalnym tunelu utworzonym przez sklepienie ponad wyschniętym korytem strumienia gałęzie musiał zwolnić, potykając się o kamienie i wystające z piachu korzenie.

Nie słyszał odgłosów pogoni, jedynie dochodzące z polany wystraszone krzyki wiernych.

„Co teraz będzie? – zastanawiał się. – Co teraz z nami będzie?”

Musiał stracić z przejęcia rachubę kroków: nie spodziewał się tak prędko skarpy, którą przy bardziej deszczowej pogodzie spływał strumień. Resztką przytomności powstrzymując okrzyk przestachu, runął w dół. Suchy trzask i eksplozja bólu w lewej ręce uświadomiły mu, że nadszedł właśnie kres ich ucieczki i zapewne również wszystkiego, czym było wcześniej życie, zarówno Maisa, jak i jego ukochanego pana. Być może składając ofiarę z własnego ciała, ochronił przynajmniej Bernarda V. przed obrażeniami, które z pewnością okazałyby się śmiertelne.

Leżąc na plecach z rozkrzyżowanymi ramionami, mógł tylko obserwować, jak wychudzone, blade do białości ciało zsuwa się bezwładnie w dół skarpy, pozostawiając na piachu szkarłatne smugi w miejscach, gdzie kamienie rozdarły delikatną, pergaminową skórę. Zacisnął oczy, nie chcąc widzieć, jak głowa na wiotkiej szyi uderza o kamienie w korycie wartkiego potoku, który zgodnie z planem awaryjnym mieli za chwilę przekraczać. Nie mógł tak jednak trwać, musiał dotrzeć do swego pana i zadbać o niego na tyle, na ile był jeszcze w stanie.

Zaciskając zęby i dusząc jak najgłębiej jęk bólu, zaczął czołgać się w kierunku swojego pana, podpierając się na sprawnym prawym ramieniu i usiłując choć trochę oszczędzić to drugie, złamane. Kiedy dotarł do strumienia, przed jego oczami wirowały czarne płyty, a uszy wypełniało dudnienie pulsującej głośno krwi. Bernard V. leżał na wpół zanurzony w lodowatej wodzie. Jego kończyny zdążyły już zsinieć z zimna.

Przełykając łzy, sięgnął zdrową ręką pod wychudzone ramię i pociągnął.

– Zostaw, przyjacielu. – Szept Bernarda V. niewiele był głośniejszy od szumu potoku. – To już koniec. Nikt i nic nie jest w stanie mi pomóc, a ratować mnie teraz byłoby hipokryzją i zaprzeczeniem wszystkiego, o czym z moją pomocą nauczałeś. Posłuchajmy szumu wody w tej ostatniej chwili. Nigdy w poprzednim życiu nie odważyłem się położyć w wodzie w lesie i nie myśleć o tym, ile w niej larw robaczych, ile groźnych drobnoustrojów. Teraz jestem tylko szumem i chłodem. Teraz żyję wreszcie, choć jednocześnie umieram.

– Zostaw, przyjacielu – powtórzył głos z nieba. – Pan Pattista znajduje się wreszcie pod moją ochroną.

Mais podniósł spojrzenie. Mrużąc oczy przed ostrym wciąż światłem popołudniowego słońca, dostrzegł wysokiego, barczystego człowieka, celującego w jego kierunku z jakiejś broni. Kapłan cofnął dłoń. Pomoc, choćby udzielona wbrew woli jego pana, mogła jeszcze wszystko uratować.

Mężczyzna opuścił broń i klęknął przy siniejącym, targanym dreszczami, wychudzonym ciele z mieszaniną odrazy i troski malującą się na przesłoniętej wojskowym oprzyrządowaniem twarzy. Z kieszeni czarnej kurtki wyjął niewielką, matową puszkę i oddalwszy ją nie dalej niż na dwa cale od pokrytej czarnymi liszajami skóry, wcisnął zawór, uwalniając rój połyskliwych drobin, które najpierw otoczyły Bernarda V. migoczącą, opalizującą chmurą, potem zaś przylgnęły do niego, formując połyskliwy, ciasny kokon.

– Pan Johann Pattista? – spytał mężczyzna. – Nazywam się major Droole i reprezentuję prywatną policję SecUr, wynajętą przez pana ubezpieczyciela do zapewnienia panu ochrony i leczenia, jeżeli takie okaże się niezbędne. Polowa kadź medyczna będzie tu za około siedmiu minut. Do tej pory postaramy się utrzymać pana parametry życiowe przy pomocy nanoroju medycznego. Pana ubezpieczenie obejmuje wszystkie te procedury, dlatego proszę w ogóle nie martwić się o stan konta.

Bernard V. nie odezwał się. Zamknął tylko oczy i oddychał płytko przez spierzchnięte, poczerwiałe usta.

– Co tu się dzieje? Coście mu zrobili? – zwrócił się do Maisa. – I tamci ludzie w lesie, co to za sekta?

– Jesteśmy kościołem Bernarda V., którego czterdzieste siódme wcielenie upodobało sobie ciało Johanna Pattisty – odparł kapłan, przymykając oczy.

Przenikliwy pisk wydobywający się z jednego z urządzeń, którymi obwieszony był Droole, wydał mu się złowieszczy.

– Cholera – warknął major. – Tracimy go! Pospieszcie się!

– To na nic – szepnął Mais. – Pan przepowiedział swoją śmierć na dziś właśnie. Nie wspomniał wprawdzie, że ci, z których ręki ją poniesie, stwierdzą, że przybyli mu na ratunek. A jednak nie obarczył was żadną winą. To miłosierdzie z jego strony.

– Nas! – zachnął się Droole, wpatrzony w przestrzeń. Mais nie umiał odgadnąć, czy wypatruje przybycia jakiejś jednostki, czy raczej odczytuje z soczewek informacje bądź rozkazy. – Ten człowiek był więziony, głodzony i okaleczany! Zainfekowany szczepami z listy T! Kwalifikującymi do intensywnej terapii autogenetycznej, nie kąpieli w wodach siarkowych!

Hover, który osiadł na niższym, płaskim brzegu strumienia, zabrał Maisa, majora Droole oraz ciało Bernarda V. do komisariatu policji SecUr na Manhattanie. Podróż trwała równo siedem minut i czternaście sekund.

* * *

– Wie pan, dlaczego nie wierzę w całą tę gadkę o religii? – zapytał major Droole

Maisa, kiedy ten przedstawił historię Bernarda V., poczynawszy od narodzin czterdzieści lat wcześniej w Abrahamie Metcalfie, aż po śmierć ciała należącego niegdyś do Johanna Pattisty w leśnym strumieniu. – Bo religia musi coś ludziom dawać, coś więcej niż mogą znaleźć w ulach informacyjnych i na ulicy: odpowiedzi na jakieś ważne pytania, lekarstwo na strach, podpowiedzi w ważnych wyborach. Stowarzyszenie hedonistów nie stanie się religią tylko dlatego, że przewodniczący ogłosi się bogiem.

– A jeśli jest nim naprawdę? Czy to już wystarczy? Każdy z naszych braci wierzy, że Bernard V. jest istotą boską – odpowiedział Mais, nie przestając wpatrywać się w połyskujący, czarny blat biurka w pokoju przesłuchań. – Ja również.

– Okłamuje się pan i przecenia ich wiarę – nie odpuszczał Droole. – Skąd w ogóle ten pomysł, że porwany z ulicy facet jest bogiem?

– Skąd bierze się wiara?

– To ja pytam pana! – Major nachylił się nad stołem tak, że jego nos niemal dotknął nosa Maisa. – Pytam, dlaczego nie miałbym oprócz porwania, głodzenia i usunięcia markerów, co jest przestępstwem federalnym, oskarżyć pana jeszcze o oszustwo wobec setek ludzi? Niech mnie pan przekona, że był pan kapłanem religii, a nie zwyczajnym naciągaczem. Przyda się taka próba, zanim będzie pan starał się przekonać ławę przysięgłych.

Mais przymknął oczy i wciągnął głęboko powietrze nosem.

– Dobrze. Odpowiem, najzwięźle jak umiem – odezwał się po dłuższej chwili milczenia. – Dawniej, kiedy żyło się krótko i boleśnie, człowiek szukał sensu życia poza nim samym. Potrzebował odpowiedzi na pytania o śmierć, o to, co będzie później i co było wcześniej, przed narodzinami. Odpowiedzi przynosiły religie ze swoimi reinkarnacjami, zaświatami, piekłami i rajami. Pokazywały wiernym, czym nie są, żeby wiedzieli, czym powinni być. A teraz? Niech pan spojrzy tylko dokoła! Jesteśmy w rajach! „Głód” stał się określeniem tęsknoty za konkretnym smakiem, „śmierć” oznacza nieudane wypromowanie awatara w jakiejś sieciowej społeczności, zaś „ból” oznacza niezbyt intensywny wstyd towarzyszący towarzyskiej kompromitacji. Jaki jest zatem sens? Jak uzasadni pan cel istnienia? Kiedyś obowiązkiem było dbanie o duszę, reszta i tak była skazana na zagładę. Teraz wystarczy już dbać o ciało, bo dusza i tak nie ma szans się z niego wyzwolić. W tych czasach nie jest pytaniem „jak żyć?”, ale „po co w ogóle?”. Co za różnica, co i jak zrobię, skoro nie jestem tak naprawdę ograniczony czasem ani przestrzenią? Nie muszę się decydować, co powinienem robić, skoro przed błędami, życiowymi i tymi drobnymi, kosztującymi mnie zaledwie kilka dolarów, ostrzegają asystenci, skoro wiedza i umiejętności dostępne są przez interfejsy bezpośrednie do mózdzku i hipokampu, a każdą życiową decyzję można najpierw w stu wariantach przetestować w symulatorach vivo? Tylko skąd czerpać szczęście w rajach, skoro nie wiem, czym jest cierpienie? Jak cieszyć się rozszerzonymi zmysłami, jeśli nigdy nie byłem ograniczony do pięciu arystotelesowskich?

– Rozumiem, że oferował pan klientom rozwiązanie tych problemów? Wyłącznie w czasie spotkań grupowych czy były też sesje indywidualne?

– Wiernym, nie klientom – sprostował spokojnie Mais. – Żaden z nich nie zapłacił nawet jednego centa.

Droole usiadł na biurku.

– Jak ich pan znajdował? – zapytał, patrząc w jeden z ekranów pokazujących wnętrze pokoju, w którym się znajdowali.

Murzyn, zgarbiony na swoim krześle, opierał się łokciami o blat. Wydawał się zagubiony.

– Sami się zgłaszali, rekomendowani przez dotychczasowych członków.

– Przychodzili po prostu i od razu wierzyli, że ten nieszczęsny obleczony skórą szkielet na tronie to bóg?

Mais nie odpowiedział.

– Czy może czynił jakieś cuda? – ciągnął Droole bez śladu drwiny w głosie.

Jak gdyby pytał prostolinijnie i ze szczerą, czystą ciekawości.

– Cuda nie czynią boga.

– A co czyni?

– Nie wiem. – Mais wzruszył ramionami. – Prawdopodobnie wiara.

– Czyli ja też mógłbym zostać bogiem? Wystarczyłoby, żeby ktoś we mnie uwierzył? – zapytał Droole. – Choć sądząc po stanie pana Pattisty, to raczej ciężka praca.

– Bardzo ciężka. Zdecydowanie ponad siły człowieka.

Major stanął z powrotem na podłodze i odwrócił się twarzą do Maisa.

– Nie przekonał mnie pan, ale to żadna wielka porażka. Jestem sceptykiem z natury. Może jednak będzie mi pan umiał udzielić pewnego wyjaśnienia.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Mais uśmiechnął się delikatnie, zupełnie jak dawniej, kiedy stawał na mównicy i rozglądał się po szeregach wpatrzonych w niego oczu.

– Po co okaleczaliście pana Pattistę? Po co te modyfikacje dłoni i brzucha? Skoro Ruch Bernarda V. odpowiadać ma na wszystkie te ważne pytania, o sens życia, wszechświata i całej reszty, to skąd i po co orgie, penisy, waginy? Trochę to taki strzał w stopę, z punktu widzenia PR oczywiście.

– Nie tykaliśmy rąk naszego pana. Same się tak uformowały, brzuch również. Każdy Bernard V. tak wygląda.

– Każdy? – Droole zastygł w połowie obrotu na pięcie, który właśnie wykonywał, jak gdyby miał zamiar opuścić salę przesłuchań tanecznym, lekkim krokiem. – To ilu ich jest?

– Było. Czterdziestu siedmiu, licząc z pierwszym jego wcieleniem.

– A gdzie są pozostali?

Mais westchnął ciężko. Czekala go kolejna długa noc. Jedyne, co przynosiło pocieszenie, to że majora Droole'a także.

* * *

Patolodzy potwierdzili, że deformacje dłoni Johanna Pattisty nie noszą najmniejszych nawet śladów interwencji chirurgicznej czy teleoplastycznej, a

zmiany w kośćcu, obejmujące przede wszystkim zupełną atrofię paliczków wszystkich palców z wyjątkiem kciuka, charakterem zbliżone są najbardziej do tych zachodzących w czasie fazy atrofalnej transplantacyjnej reprodukcji kości, czyli łagodnej, stopniowej apoptozy i autofagii, połączonej z dekalcyfikacją i dekolagenizacją. Wszelkie inne połączenia tkanek, zarówno nerwowej, łącznej, jak i mięśniowej, były zupełnie naturalne w charakterze, nie różniąc się od tych będących efektem normalnej embriogenezy. Ubezpieczyciel Pattisty zaprzeczył, żeby jakiegokolwiek z nietypowych cech jego ciała były obecne w czasie regularnych skanów przeprowadzanych przy odnowie umowy i szacowaniu składki.

Scenariusze wyprodukowane przez algorytmy retrospekcyjne (zarówno dostarczone przez Fable, jak i mniejszych graczy na rynku kognitywistyczno–predykcyjnym) zgodnie wskazały zakażenie produktem nowoczesnego teleoprogramowania genetycznego, być może gigantowirusami, jako najbardziej prawdopodobną przyczynę procesów morfogenetycznych prowadzących do zaniku palców oraz wykształcenia narządów rozrodczych w miejscach nietypowych. Ponieważ jednakowe deformacje zaobserwowano u czterdziestu z nadających się do przeprowadzenia sekcji ciał odnalezionych w miejscach wskazanych przez Maisa Hoss, jako możliwe źródło zakażenia wskazywano głównie przyrządy chirurgiczne używane w czasie procedury usuwania markerów identyfikacyjno–komunikacyjnych z ciał ofiar. Chociaż hipoteza ta uzyskała najwyższą punktację wśród wszystkich wyhodowanych, to słabym jej ogniwem pozostaje fakt nieodnalezienia jakichkolwiek pozostałości materiału genetycznego drobnoustrojów odpowiedzialnych za deformacje. Wszystkie odnalezione w ciałach szczepy były wykrywalne również u znacznej części populacji ludzkiej Nowego Jorku.

Nie udało się potwierdzić ani zaprzeczyć twierdzeniom Maisa Hoss, że do katastrofalnego w skutkach niedożywienia oraz zakażenia tkanek miękkich bakteriami kałowymi doszło w wyniku świadomych decyzji poszkodowanego.

Mais Hoss skazany został na resocjalizację *in situ* oraz dożywotnie alimenty wobec firmy Lehmans, poszkodowanej w wyniku utraty cenionego pracownika, jakim był Johann Memphis Pattista.

Średnia liczba osób zaginionych rocznie w Nowym Jorku od czasu śmierci ostatniego Bernarda V. nie zmieniła się w stopniu statystycznie znaczącym.

Dawid Juraszek

POWRÓT SYNA

– Książd cię w dupę fakował albo co?

Milczenie. Cisza. Tylko zza okna słyhać nagłące bicie późnoporannych dzwonów.

Włochaty Włoch na górnej pryczy przy drzwiach dalej ogląda film na zedce, nieświadomy niczego. Chudy Filipińczyk na dole przy oknie nagle już nie chrapie, wybudzony głośno wypowiedzianym zdaniem, ale ani drgnie. Niezidentyfikowanej narodowości Azjata przy stoliku przestaje siorbać mleko sojowe z woreczka i spogląda zza ciemnych okularów. Tylko czterej rozwaleni na materacach Polacy, przed momentem jeszcze gładzący bez sensu o niuansach dręczącego każdego z nich kaca, aż się wzdrygają.

– Do kogo to było? – rzuca po chwili martwym głosem ten z utrwalonym przedziałkiem po lewej.

– Do maderfakera, co mi skradł irplagi, jak do prysznicę poszłem. – Dan prostuje się znad pryczy, na której pościel jeszcze przed chwilą przetrząsał, i patrzy przedziałkowemu prosto w oczy. – Musi być ostro dystyrbnięty mentalnie, żeby irplagi innemu człowiekowi kraść.

– A szukałeś dobrze? – pyta cicho drugi Polak, zakładając bezszkiełne okulary i rozglądając się po dormie.

Dan prycha tylko, niedbałym ruchem wskazując nieład na swojej pryczy.

– Kto by tam komu zatyczki do uszu kradł... – Przedziałkowiec macha ręką.

– Według niego tylko Polak – mruczy okularnik, patrząc na Dana beznamiętnie. – Inaczej nie spytałby po polsku.

– Po polsku! – parska trzeci, migając pomalowanymi na seledyn zębami.

Dan wzrusza ramionami.

– *Who stole my earplugs? Own up, fucker!*

Tym razem tylko Włoch pozostaje w błogiej nieświadomości; Filipińczyk otwiera oczy i mruga, Azjata otwiera usta i beka.

– Kup se nowe – dołącza czwarty Polak, z wąsikiem na Hitlera.

– Jak? Gdzie? – mówi Dan, rechocząc. – W tym bigotowym kraju to jest bluźnierstwo nie chcieć słyhać kościołowej propagandy.

– To se papieru wsadź...

Skrzypią drzwi, do środka wchodzi młody sprzętacz z mopem, wiadrem pełnym środków czystości i potulnym wyrazem przyjaznej twarzy. Ze spuszczonego wzrokiem przechodzi przez dorm, jak gdyby coś przeczuwając. A może po prostu czując. Wszyscy milkną, czekając na jego reakcję.

Nie było warto czekać. Otworzywszy drzwi do toalety, chłopak zamiera na sekundę, ale potem posłusznie zabiera się za usuwanie z podłogi malowniczego

wymiotu.

– Co, boisz się przyznać, fakerze? – rzuca Dan w przestrzeń. Jest na nich wszystkich zły, ma ochotę kopnąć każdego w jaja, i to porządnie. Ale nieważne. Uśmiecha się pogardliwie i wciąga przez głowę tiszert. – Bakpakersy, *shit*, przez biskopa co niedzielę w dupę fakowane...

– Zamknij mordę, kurwa – warczy nieoczekiwanie okularnik.

– Chyba nie wiesz, debilu, gdzie jesteś – dorzuca głucho przedziałkowiec i ruchem głowy wskazuje obraz Matki Boskiej na ścianie. – Sam się prosisz, żeby w łeb dostać.

Dan nie odpowiada. Wchodzi do toalety, gestem wyprasza sprzątacza, szcza, maszeruje przez dorm i wychodzi, trzaskając drzwiami.

* * *

W sklepiku z dewocjonaliami kupuje butelkę wódki i rusza na Rynek. Powietrze pachnie pieczoną kiełbasą i obwarzankami, zalegającymi stojące co kilka metrów wózki. Dan wybiera kiełbasę smoleńską na patyku i kminkowy obwarzanek z papieską podobizną. Łykając gorące i popijając zimnym, poczyną nawigować przez ciżbę.

Akurat otwierają dewocjonalny supermarket pośrodku Rynku. Podłużny zabytkowy budynek oblepia wijąca się kolejka pielgrzymów, która doznaje przemienienia w zbity tłum, gdy tylko uchylają się wrota. Dan przyspiesza kroku, by jak najszybciej zostawić wrzask za sobą. Od tłoku nie ma jednak ucieczki.

Grodzka pęka w szwach od prączy ku Wzgórzu wiernych. Ciżba sunie powoli, acz niepowstrzymanie, szoruje gwarnym cielskiem o mury, wypełnia sobą całą szerokość ulicy i każdy centymetr kwadratowy ciągnących się wzdłuż niej sklepików z dewocjonaliami i restauracji z kremówkami. W powietrzu unoszą się modlitewne wibracje i słodki odór alkoholu.

U ujścia Grodzkiej robi się jeszcze tłoczniej, gdy niosąca Dana rzeka ciał wpada na kłębiący się pod murami Zamku tłum. Nie, to już nie tłum, to autentyczna procesja, z księżmi i bogato zdobionym obiektem sakralnym kiwającym się groźnie nad głowami. Dana ogarnia podniecenie. Nie wie, jak nazywa się ów sakralny obiekt wzniesiony ponad tłum, nie rozumie klepanych ze wszystkich stron modłów, ale czuje ekscytację egzotyką, jakiej łaknął, gdy wybierał się do kraju przodków.

Tłuszcza rusza mozolnie wąską drogą po zboczu ku bramie, wymęczony milimetr po milimetrze sunąc wzdłuż szpaleru konnych posągów: tu Prezydent dziarsko wskakuje na konia, tam srodze spogląda z konia, tu podniośle cwałuje na grzbiecie konia, tam zaś dobrotliwie karmi konia.... Smród na wpół przetrawionej kiełbasy i alkoholu staje się nieznośny – czy raczej stałby się nieznośny dla kogokolwiek, kto sam by równie nie waniał. A takich ryzykantów tu brak.

Dan wysącza ostatnie krople wódki i upuszcza butelkę gdzieś pod nogi. Zaczyna czuć się częścią tłumu, choć tak niewiele go z uczestnikami procesji w istocie łączy. Ale przygotował się przecież dobrze. Z zakamarków pamięci wraca doń fragment przewodnika:

Obcokrajowcy bywają tu niemile widziani, warto więc wtopić się w tłum. Zwłaszcza przygotowując się do udziału w procesjach i nabożeństwach, należy koniecznie wypić mocne piwo lub przynajmniej natrzeć twarz i szyję wódką. Uwaga: nie należy wykorzystywać do tego buteleczek święconej wódki, dostępnych niedrogo we wszystkich przykościelnych sklepikach – jest to uważane za bluźnierstwo i zagrożone karą bezwzględnego pozbawienia wolności.

W tym momencie rozgrzmiewa Dzwon Lecha. Dan aż za dobrze zna jego wysoki, przenikliwy ton, kolebiący się nad miastem dzień i noc, co godzinę przez bity kwadrans, i nie zdołał go dotąd polubić; teraz, kilkadziesiąt zaledwie metrów od Katedry Prezydenckiej, wręcz go nienawidzi. Chowając głowę w ramionach, rzuca okiem na otaczające go twarze. Czar pryska, poczucie jedności z tłumem niknie – nikt nie sprawia wrażenia, że przeraźliwy hałas może powodować najmniejszy choćby dyskomfort. Wprost przeciwnie, przepełnione religijną i nacjonalistyczną ekstazą twarze, tak stare i pomarszczone, jak młode i gładkie, zdają się jeszcze bardziej natchnione, a gdy Dan chciałby podnieść ręce do uszu, pielgrzymi podnoszą je w geście adoracji. Co za morony, myśli, jak można dać się tak odmóżyć?!

Jest inny. Obcy. Wrogi. Jeśli go zdemaskują, co się stanie? Chce zatkać uszy, ale nie może. Chce zagryźć wargi, ale nie wolno mu. Splata dłonie i przyciska je do ust, jak gdyby modląc się żarliwie. I w istocie się modli, po swojemu, by się tym odmóżdzeniem, broń Boże, nie zarazić.

* * *

Gdyby nie znieczulająca umysł wódka, pewnie nie dałby rady. Piętnaście minut, jakie zabiera skompresowanej ciżbie dotarcie na dziedziniec, należy do najtrudniejszych w jego życiu. Dzwon wreszcie milknie, ale w głowie Dana echo huczy wciąż długo po tym, jak wyprysnął niczym pestka z tłumy, który zbija się jeszcze ciasniej przed wejściem do Katedry. Oparty o mur po drugiej stronie dziedzińca, oddycha z ulgą. Gdzieś pod tą całą fizyczną i mentalną udręką zaczyna mu jednak nagle bulgotać śmiech. Zrazu szyderczy, bo jak tu nie szydzić, ale po chwili niespodziewanie radosny.

Jakież to wszystko inne od rodzinnego Manchesteru!

W niebo nad Katedrą wzbijają się dźwięki nabożeństwa. Odkąd Dan przyjechał poprzedniego dnia, zdążył się już nasłuchać kazań i psalmów trąbiących na całe miasto z wszechobecnych głośników od świtu do północy. Wszystko jednak lepsze od zdolnego tłuc szkło bicia Dzwonu Lecha.

Lokalny koloryt nazbyt jaskrawy, egzotyka nazbyt intensywna, ale czy nie po to właśnie przyjechał do kraju przodków?

Pokrzepiony na duchu, odrywa się od muru i wchodzi do jednego z rozlokowanych wokół dziedzińca dewocjonalnych. Po kilku minutach wyłania się ze zgrzewką portera Purpurat i staje w kolejce do krypty. Według przewodnika msza w Katedrze Prezydenckiej to jedyny czas w ciągu dnia, gdy tłum chętnych do

odwiedzenia Krypty rzadnie na tyle, by nie tylko najzjadlejsi fundamentaliści byli w stanie znieść czekanie.

Gdyby nie piwo, nie starczyłoby mu cierpliwości. Autorzy przewodnika byli nazbyt optymistyczni – czekanie dłuży się nie do zniesienia. Dan dwa razy musi korzystać z toalety; prosząc współkolejkowiczów o zachowanie mu miejsca, obawia się, że rozpoznają obcy akcent. Kiedy wreszcie od załomu muru, za którym znajduje się grobowiec, dzieli go już zaledwie jeden krok, w ostatniej puszcze chlupocze już tylko jeden łyk.

Nieważne. Serce bije mu szybciej, gdy w głębi krypty widzi grobowiec prezydencki, ale spowalnia znów podczas długiego sunięcia krok za krokiem wzdłuż mniejszego grobowca marszałkowskiego po drodze. Dan udaje, że odmawia modlitwę jak wszyscy, ale tylko porusza wargami, nie znając słów. Kiedy dociera wreszcie do barierki, nabiera w usta Purpurata, napinając mięsień, włącza zedkę i zatapia się w odczuciu chwili. Będzie co szerować z kumplami po powrocie. Niech żałują, że z nim nie pojechali, tchórze.

To było coś. Sunąc niewiele szybciej z powrotem, odtwarza na zedce zapisane odczucie, by jakoś przetrwać nudę. Dla postronnych wygląda na wciąż pogrążonego w modlitewnym transie. Wreszcie wychodzi na światło dnia. Akurat znów rozlega się Dzwon Lecha, ale tym razem Danowi wszystko jedno. Zmysły ma zmęczone wrażeniami i stłumione alkoholem. Machinalnie kładzie się na jednej z drewnianych ław, ustawionych dla wygody pielgrzymów potrzebujących odpoczynku po nadmiarze religijnych uniesień lub wyskokowych napojów, i zamyka oczy.

* * *

– Klin klinem!

Wyrwany ze snu Dan machinalnie bierze, co mu podają – coś zimnego, twardego, ciężkiego. Przeciera oczy, spogląda przez mgłę i widzi, że trzyma butelkę piwa. Podnosi wzrok; młody mnich, kiwając się nabożnie, podaje napitek kolejnemu potrzebującemu. Ma piwa cały wiklinowy kosz, ale dla zajmujących ławki strudzonych pielgrzymów i dziesięciu koszy byłoby za mało.

Dan bąka coś w podzięcie i siada na ławce. Instynktownie przeciąga dłońmi po ciele: zedka, portfel, dokumenty. Fundamentalisci, ale uczciwi, myśli z uznaniem. Popijając rześki trunek, rozgląda się, powoli ogarniając sytuację.

Późne popołudnie. Tłumy jak gdyby mniejsze, głośniki milczą, dzwony śpią. W każdej jednak chwili tłok i hałas mogą wrócić. Zamyka oczy, rozkoszując się spokojem chwili.

„Klin klinem...”

Zna te słowa. To jedyny polski zwrot, którego nauczył się jego ojciec podczas wypadu z kumplami do Krakowa, i jeden z niewielu, których nauczył się w całym życiu. Powtarzał go zwykle po weekendowych alkoholowych bindżach, sięgając do lodówki po butelkę cydru.

Czy wtedy, w Polsce, też pił piwo na Wawelu?

Dan otwiera oczy i przez mgnienie doznaje odczucia rozdwojenia, jak gdyby jego

aktualne doświadczenie goryczy piwa w ustach, twardości ławki pod tyłkiem i widoku Katedry przed oczami było odbiciem takiego samego doświadczenia jego ojca przed kilkadziesiąt laty. Skupia się. Odczucie jest zarazem ulotne i przemożne, dziwne, warte utrwalenia. Niezgrabnie napina mięsień, by włączyć zedkę.

W tym momencie pierwsze uderzenie dzwonu rozbija, tłucze, kruszy jego koncentrację, zostawiając dźwięczącą pustkę. Klnie krótko, dobitnie; szczęśliwie ryczące z głośników psalmy głuszą bluźniercze słowa.

Dopija piwo i ma już wracać na miasto, gdy widzi znów ów dziwny przedmiot sakralny, niesiony ponad tłumem wylewającym się z Katedry. Procesja jakaś? Nie słyszy jeszcze we własnej głowie odpowiedzi, gdy wtem do dzwonów i głośników dołączają niezliczone gardła, a rozmodlona ciżba otacza go zewsząd i porywa ze sobą.

* * *

W olbrzymim parku figur sakralnych na południowy wschód od Wawelu Dan był już wcześniej, ale do największej w Europie Bazyliki pw. Najświętszej Marii Panny Królowej Świata bał się wejść. Teraz wygląda na to, że będzie musiał.

Prowadząca przez park do Bazyliki droga wiedzie pośród niezliczonych pomników papieży oraz Świętego Papieża, przybranych drzewami, rabatkami i trawnikami, gdzie modlą się, piją i śpią strudzeni pielgrzymi. Nastrój, nie tyle podniosły, co wesoły, w dużej mierze dzięki rozdawanej darmo wódce, udziela się Danowi, który poczyną spoglądać ku dalekiej jeszcze Bazylice z nowym zainteresowaniem. A co! – myśli buńczucznie. W Krakowie być, a do Bazyliki NMPKŚ nie wstąpić? A se wstąpię! A se klęknię! A se zaniosę modlitwę o odzyskanie irplagów i sprawiedliwe ukaranie złodzieja! I gównu mi kto robi!

Trzeźwy głos w umyśle mówi mu jednak, by się na to nie porywał. I tak ponosi już spore ryzyko, dołączając do czynności religijnych tej wagi, co procesja. Jeśli w tym momencie zostanie zidentyfikowany jako obcokrajowiec, grozi mu powszechne głośne potępienie, choć do rękoczynów prawdopodobnie nie dojdzie. Jeśli jednak zostanie zdemaskowany jako turysta w środku Bazyliki, wszystko jest możliwe.

Dan czuje ukłucie strachu, ale decyzja już doń nie należy. Zwarta, zbita ciżba prze prosto jak strzelił ku ziejącej bramie Bazyliki i próba wydarcia się z procesji na pewno zwróci uwagę. Dan ma tylko jedną szansę – przed samą Bazyliką skrócić do sklepiku z dewocjonaliami niby to po wódkę. Jeśli mu się nie uda...

Jak na złość, wódki jest w procesji więcej niż w jakimkolwiek dewocjonalnym. Dan pije jak inni i udaje, że śpiewa, że modli się jak inni, ale pomimo rosnącego stanu upojenia czuje strach. To zabrnęło już za daleko, myśli, patrząc na rozpalone wiarą i trunkiem twarze. Splata znów ręce i przyciska je do ust, udając pogrążonego w żarliwej modlitwie, ale tym razem to nie wystarcza – pielgrzymi podają sobie butelki i częstują się nawzajem, co powolniejszym „pomagając” na siłę; Dan musi się dołączać.

Jak mama mogła tu kiedykolwiek mieszkać? – pyta sam siebie, patrząc na tę

rozmodloną, rozpijaczoną tłuszczy, na te twarze czerwone i nabrzmiałe, na te oczy zamglone, przekrwione. Czy można się dziwić, że chciała stąd wyjechać? – pyta wciąż na nowo, słuchając, jak oślinione usta raz po raz biorą imię Pana nadaremno. A potem odpowiada wciąż tak samo: jest tu tak, jak jest, właśnie dlatego, że ona i jej podobni wyjechali, zostawiając kraj na pastwę tłuszczy.

A teraz i on jest wydany tejże tłuszczy na pastwę.

W przypiływie paniki zaczyna przepychać się w bok. Przez jedną krótką chwilę roi sobie, że desperacka próba się powiedzie, że zaraz padnie na trawę przy pomniku jakiegoś papieża czy samego Świętego Papieża, że wszystko będzie dobrze. Ale już w następnej chwili ktoś klnie na czym świat Boży stoi, ktoś nie daje się odsunąć, ktoś podtyka mu butelkę pod nos, przyciska do ust.

Dan zaczyna pić. I nie przestaje.

* * *

Czy to hitlerowski wąsik?

Coś się dzieje, ale nie bardzo wie co. Czuje się ciężki, ale nie musi swego ciężaru sam dźwigać. Czuje się lekki, ale coś trzyma go i nie pozwala odlecieć. Czuje się więźniem chwili, która trwa wieczność.

Seledynowe zęby!

Gdzieś w tle migają wieże Bazyliki na tle zachodzącego krwawo słońca. Stoją krzywo, a może do góry nogami, ale stoją. W przeciwieństwie do niego samego.

Okulary bez szkieł...

Coś mu się myśli w głowie, coś mu się mówi, ale nie rozumie, nie słyszy nawet.

Przedziałek.

Z dziką i dziwną radością szarpie się, z dziwną i dziką radością czuje, że jest szarpany.

Hałas, hurgot, huk. To dzwony? Rumor, terkot, gwar. Ktoś coś mówi? Czy to z Bazyliki, czy wprost z nieba?

Trawa. Drzewo. Kamień. Granat nieba, czerń ziemi, biel posągu.

Posągów.

Beton? Marmur? Nieważne.

Coś rozbłyska. Ból, uświadamia sobie, choć nie czuje. I znów coś miga, gdzieś na dole czy z boku. Bierze głęboki oddech, który zdaje się nie kończyć, nadyma się, nadyma, aż więcej nie może. Otwiera usta, by krzyknąć. Głos dobiega jak gdyby z oddali, powolny, niewyraźny.

Kolejne rozbłyski, blisko, tym razem czuje ból. I nagle odnajduje się.

Mruga i sięga dłonią do twarzy. Jest mokra i lepka. Czuje w ustach miedziany posmak. Podnosi wzrok.

Wąsik, zęby, okulary, przedziałek – zniknęły.

Zamiast nich jest twarz, którą pamięta jako potulną i przyjazną, a która jest teraz złośliwa i zacięta. Gdzieś za nią są inne twarze, ale nieznanne i skryte w półmroku. Oczy go mylą, na pewno mylą...

Znów coś miga. Tym razem nie ból, ale nie patrzy co, bo wzrok ucieka mu w bok,

gdzie zgrabnie wygina się śnieżnobiała pęcina. Doskonała krzywizna uwodzi go i pociąga za sobą gdzieś w górę, gdzie z grzbietu stojącego dęba rumaka błogosławi wszystkich papież. Nie – Święty Papież.

Coś znowu błyska, metalicznie, ostro. Tym razem patrzy. I przeszywa go ból. Ból zapowiadany, ból przewidywany, ból spodziewany, a tak straszny, że chce mu się umrzeć od razu.

Jezus Maria, głowę mi oderzną, zaraz głowę mi oderzną, krzyczy do siebie, a może tylko szepcze. I przestaje myśleć.

* * *

Budzi go ból. Ból głowy. Głowy wciąż na karku. Ścisła tętniące skronie zdrewniałymi rękoma i klnie, gdy przenikliwe pulsowanie wzmacnia się nie do wytrzymania. Odrywa dłonie od skroni i zamiera, oddychając powoli, płytko, półotwartymi ustami.

Wreszcie unosi powieki. Ciemno. Wstaje, idzie przed siebie, byle dalej. Jakies bliźniacze kształty na ziemi, jęczące, szeleszczące wchodzą mu w paradę, ale idzie, idzie. Błyska światło, potem drugie, potem trzecie i setne. Rusza wzdłuż nich. Nagle szumi przed nim woda. Zatapia się w niej, aż nie może już dłużej.

Wyciąga głowę z fontanny i siada pod murkiem.

A więc nie umarłem, myśli. A może znów ożyłem? Nieważne. Nadal jest mu źle, ale widzi już więcej niż tylko światła, słyszy więcej niż tylko szum, rozumie więcej niż tylko to, że jest mu źle.

Spogląda wzdłuż długiego, oświetlonego latarniami deptaka wśród drzew i posągów. W oddali widać rozjarzone zabudowania miasta. Gdzieś tam rozbrzmiewa dzwon, niestrudzony nawet w środku najczarniejszej nocy.

Instynktownie przeciąga dłońmi po ciele: zedki brak, portfela brak, dokumenty są. Złodzieje, ale uczciwi, myśli zrazu z rezygnacją i nagle stęka, gdy wezbrana zniecka złość rozsadza mu czaszkę atakiem bólu.

– Fakować ten kraj... – cedzi przez zęby.

Potem powoli wstaje, mrużąc przekleństwa, odlewa się do fontanny, wyciera włosy rękawem i rusza do miasta.

Musi znaleźć całodobowy dewocjonalny. Wie, że bez irplagów inaczej nie zaśnie.

The logo for Bevitore, featuring the brand name in a white serif font centered within a dark red rectangular background.